



*J. Courtney Sullivan*

*Diamenty są wieczne.*  
Frances Getety

*Zareczyny*

J. Courtney Sullivan

# Zaręczyny

Tytuł oryginału: ***The Engagements***

Projekt okładki: *Aleksandra Szmak*

Redakcja: *Beata Słama*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Redaktornia.com*

Fotografie wykorzystane na okładce:

© Viorel Sima/Shutterstock

© 123dartist/Shutterstock

© 2013 by J. Courtney Sullivan

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2014

© for the Polish translation by Anna Rajca-Salata

ISBN 978-83-7758-739-3

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2014

Wydanie I

*Kevinowi*

*Dlaczego diamenty są tak niewzruszenie, bezlitośnie piękne? Nie ma znaczenia, czy o ich istnieniu zdecydowała śmierć gwiazdy, czy też życie planktonu. Te skalne drobiny są jedynie pustym opakowaniem na marzenia – wolnym miejscem, w które wpisujemy zmienne pragnienia naszych serc.*

Tom Zoellner, *The Heartless Stone*

*Zamieszczamy informacje na temat diamentów noszonych przez gwiazdy sceny i ekranu, przez żony i córki przywódców politycznych, przez wszystkie kobiety, na których widok żona sklepikarza czy ukochana mechanika powie: „Chcę mieć to samo co ona”.*

*Materiały strategiczne, 1948 rok, N.W. Ayer i Syn*

# 1947

Frances wlała do filiżanki pozostałe w dzbanku resztki gorzkiej kawy. Mały kuchenny stół pokrywały papiery: makiety, poufne wyniki badań, marne hasła odrzucone przed kilkoma godzinami i te dobre opublikowane już w „Looku”, „Vogue’u”, „Saturday Evening Post”, „Lifie” i „Harper’s Bazaar”, mające przypominać o tym, że skoro wcześniej potrafiła coś wymyślić, teraz też się uda.

Na szczęście w kamienicy panowała cisza. Zwykle z jakiegoś odległego zakątka dobiegał płacz dziecka, głosy kłócącej się pary, szum wody spuszczonej w toalecie. Jednak minęła już trzecia w nocy. Birbanci dawno poszli spać, a mleczarze jeszcze się nie obudzili.

Współlokatorka położyła się koło dwudziestej drugiej – Frances, gdy zobaczyła ją w nocnej koszuli i wałkach, poczuła zazdrość, choć Ann była tylko sekretarką w kancelarii prawniczej i jutro miała robić to samo co we wszystkie inne dni: podawać kawę i notować pod dyktando.

Frances właśnie skończyła pisać najnowszy tekst reklamy dla koncernu De Beers, z cyklu adresowanego do nowożeńców. Opatrzony był zdjęciami pięknych miejsc, w które młoda para mogłaby się wybrać na miesiąc miodowy – *Skaliste wybrzeże Maine! Arizona! Paryż!* Oraz specjalna oferta dla niezamożnych zatytułowana *Nad rzeką*.

Na swój sposób to właśnie ona była najważniejsza, jako że adresatem cyklu miał być przeciętny obywatel. Przed dziesięcioma laty, gdy De Beers wyraził chęć nawiązania współpracy, agencja przeprowadziła szerokie badania rynku, by sprawdzić, jak mocno – czy też słabo – zakorzeniona jest w Stanach Zjednoczonych tradycja kupowania pierścionków zaręczynowych z diamentem. W tamtych czasach niewiele kobiet o nich marzyło. Uważały, że to wyrzucanie pieniędzy. Wolały dostać pralkę lub nowy samochód, cokolwiek, byle nie drogi pierścionek. Frances pomogła to zmienić.

Hasło reklamy dla nowożeńców brzmiało: *Niech wasze szczęście będzie trwałe jak diament*. Frances uznała, że jest dobre.

– Frank, czas do łóżka – wyszeptała do siebie te same słowa, które w dzieciństwie co wieczór powtarzała jej matka.

Już chciała zgasić światło, gdy na makiecie zobaczyła puste miejsce zaznaczone przez dyrektora artystycznego. Powinna do rana je zapełnić.

– Do diabła.

Frances usiadła przy stole, zapaliła papierosa i wzięła do ręki ołówkę.

Wczoraj zadzwonił do niej Gerry Lauck, dyrektor ich nowojorskiego biura.

– Myślę, że powinniśmy umieścić coś sygnalizującego, że chodzi o reklamę diamentów – powiedział. – Jakiś slogan. Co o tym sądzisz?

Kiedy Gerry Lauck pytał kogoś, co o czymś sądzi, nie należało traktować tego jak prawdziwego pytania. Frances uważała go za geniusza. Bywał nieprzewidywalny i nieco ponury, lecz może takimi cechami odznaczają się wszyscy geniusze.

– Znakomity pomysł – odparła.

Gerry wyglądał jak Winston Churchill, zachowywał się jak Winston Churchill i Frances myślała czasami, że naprawdę uważa się za Winstona Churchilla. Miewał nawet napady depresji. Kiedy po raz pierwszy pojechała do Nowego Jorku, aby pokazać mu swoje pomysły, umierała ze strachu. Gerry obejrzał materiały, a wyraz jego twarzy nie zdradzał, co o nich myśli.

– Doskonale piszesz, Frances – powiedział z uśmiechem po kilku męczących minutach. – A co ważniejsze wiesz, jak coś sprzedać.

Polubili się. Połowa pracowników agencji N.W. Ayer bała się Gerry'ego Laucka albo go nie znosiła, druga połowa – do której należała Frances – uważała go za półboga.

– Oczywiście w sloganie nie powinno być ani słowa o De Beers – dodał przez telefon Gerry.

– Oczywiście.

Przez dziewięć lat koncern wydał miliony dolarów na reklamy, które ledwie o nim wspominały. Wymieniając nazwę De Beers, nawet jako dystrybutora, łamało się prawo. Reklamy dotyczyły więc po prostu diamentów i były piękne. Agencja Ayer dawała z siebie wszystko. Nie mogli umieszczać w reklamach zdjęć biżuterii z diamentami, co stawiało dział kreatywny w trudnym położeniu. Teoretycznie Gerry nie miał z nim nic wspólnego. Był poważnym biznesmenem i po prostu wyznaczał zadania. Jednak jako miłośnik sztuki wpadł na pomysł, by u Lucioniego, Bermana, Lamotte'a i Dame Laury Knight zamówić cykle obrazów. Kupił też w najlepszych galeriach Europy dzieła Dalego, Picassa i Edzarda – do kolekcji De Beers.

W efekcie powstały kolorowe reklamy przedstawiające cudowne krajobrazy, miasta i katedry. Na tej samej stronie, tuż pod dziełem artysty, umieszczano w ramach rysunki kamieni szlachetnych o masie od połowy do trzech karatów, wraz z przybliżonymi cenami. Gerry był pierwszą osobą, która wykorzystwała w kampanii reklamowej dzieła sztuki. Po roku czy dwóch robili to wszyscy w branży.

– Sloganu potrzebuję na jutro – zakomunikował Gerry. – Lecę rano do Filadelfii,

a po południu do Afryki Południowej.

– Jasne – odparła Frances, a potem to polecenie zupełnie wyleciało jej z głowy i przypomniała sobie o nim dopiero teraz, w środku nocy.

Westchnęła. Gdyby przez całe życie nie zabiegała aż tak bardzo o tytuł Największej na Świecie Odkładaczki Wszystkiego na Później, dziś pewnie mogłaby się wyspać. Tymczasem, choć wiedziała, że czeka ją dużo pracy, spędziła cały wieczór z Dorothy Dignam. Rozstali się dopiero o dwudziestej pierwszej, kiedy przyjaciółka wsiadła do pociągu jadącego na nowojorską Penn Station.

Dorothy zaczęła pracować jako copywriterka w filadelfijskim biurze Ayer w 1930 roku, lecz przed czterema laty, tuż po przybyciu Frances, przeniosła się do filii w Nowym Jorku, mieszczącej się pod numerem trzydziestym w Rockefeller Center, by kierować działem public relations. Jej najważniejszym klientem, tak jak dla Frances, był koncern De Beers. Tylko dla niego agencja zatrudniała specjalistów w Miami, Hollywood i Paryżu. Dzięki zabiegom Dorothy wytwórnia Columbia Pictures nakręciła nawet krótki film pod tytułem *Magiczny kamień. Z diamentami przez wieki*. Wszedł na ekrany kin we wrześniu 1945 roku i obejrzało go ponad piętnaście milionów widzów.

Dorothy nigdy nie mówiła, ile ma lat, ale Frances przypuszczała, że przyjaciółka jest przynajmniej półtorej dekady od niej starsza i pewnie zbliża się do pięćdziesiątki. Zaczęła pracę w branży reklamowej w Chicago w ostatnim roku pierwszej wojny światowej. W wieku siedemnastu lat została dziennikarką kroniki towarzyskiej w „Chicago Herald” i pisała tam, dopóki nowy właściciel gazety, pan Hearst, jej nie wyrzucił. Wtedy zaczęła tworzyć reklamy dla firmy mleczarskiej Contented Cow, a z niej przeszła do Ayer.

Dorothy to nie byle kto. Frances traktowała ją trochę jako wzór do naśladowania. W latach trzydziestych zjeżdżała dla Ayer cały świat, pracowała dla Forda w Londynie, Paryżu i Genewie, popłynęła też do Norwegii i Szwecji, by zbadać postępy w użytkowaniu elektrycznego sprzętu gospodarstwa domowego. Bywała nawet częstym gościem w Hollywood, gdzie jadała obiady w Trocadero i widywała wszystkie gwiazdy. Pewnego dnia w domu towarowym Bullocks Wilshire wpadła na Joan Crawford. Kupiły wtedy takie same sukienki, aktorka w rozmiarze czternastym, a Dorothy w szesnastym. Jak napisała na wysłanej pocztówce: *Zwykłe, niedrogie czarne kiecki, które na pewno obu nam bardzo się przydadzą.*

Dzisiejsza kolacja w Bookbinder’s zaczęła się jako spotkanie służbowe, ale po wypiciu podwójnej porcji martini obie panie ryczały ze śmiechu, jedząc ostrygi i żartując z kolegów z pracy. Bardzo bawiły je rzeczy, które zdaniem panów powinny jako kobiety wiedzieć. Przed kilku laty Dorothy zaczęła trzymać w szufladzie pod



maszyną do pisania kartkę i zapisywała na niej wszystkie zadawane przez kolegów pytania.

Dziś wieczorem przeczytała Frances kilka najnowszych: „Jak powinna wyglądać kobieta, która ma siedemnastoletniego syna?”, „Czy zimowy kapelusz można ozdobić ptasim gniazdem?”, „Czy Macy’s to liczba pojedyncza, czy mnoga?”, „Czy kobiety śpiewają w wannie?”, „Jaka jest różnica między zamszem a nubukiem?”, „Czy królowa Mary ma ładną cerę?”, „Ile razy dziennie karmi się dziecko?”, „Czy to coś to jest kontrafałda?”.

Doskonale się bawiły, ale teraz Frances musiała za to zapłacić.

Spojrzała na kartkę z najnowszym planem strategicznym i przeczytała: *Mamy do czynienia przede wszystkim z zagadnieniem z psychologii tłumu. Zależy nam na tym, żeby podtrzymać i wzmocnić tradycję kupowania pierścionków zaręczynowych, sprawić, żeby stało się to psychologiczną koniecznością. Grupa docelowa, na którą zamierzamy oddziaływać: około siedemdziesięciu milionów osób w wieku od piętnastu lat wzwyż.*

Rzeczywiście, same konkrety.

W 1938 roku przedstawiciel sir Ernesta Oppenheimera, prezesa De Beers Consolidated Mines, napisał do Ayer z pytaniem, czy na skutek, jak to określił, „użycia różnych form propagandy” w Ameryce może wzrosnąć sprzedaż diamentów.

Wielki kryzys sprawił, że ceny kamieni szlachetnych na całym świecie gwałtownie spadły – nabywcy stracili zainteresowanie. W Ameryce sprzedawano o połowę mniej diamentów niż przed wojną, a nieliczne kupowane jeszcze pierścionki zaręczynowe były tanie i małe. Koncern De Beers został z zapasami, których nie mógł sprzedać. Oppenheimer pragnął, by pierścionki z diamentami nabrały w Stanach znaczenia. Wiedział z dobrego źródła, że Ayer jest najlepszą agencją reklamową na rynku, jedyną, która poradzi sobie z tego rodzaju zadaniem. Zaproponował, że przez pierwsze trzy lata będzie przeznaczal na kampanię pięćset tysięcy dolarów rocznie.

Wyniki pracy, jaką Ayer wykonała dla De Beers, świadczyły dobitnie o potędze reklamy. Do 1941 roku sprzedaż diamentów zwiększyła się o pięćdziesiąt pięć procent, a potem jeszcze wzrosła, w związku z falą ślubów w Ameryce po drugiej wojnie światowej. Rosła także cena klejnotów: dziś koszt dwukaratowego diamentu wahał się w granicach od tysiąca pięciuset do trzech tysięcy trzystu dolarów. W 1939 roku wynosił odpowiednio od dziewięciuset do tysiąca siedmiuset pięćdziesięciu dolarów.

Na potrzeby kampanii stworzono zupełnie nowy rodzaj reklamy, który od tamtej pory naśladowały inne agencje. Ponieważ nie było mowy o sprzedaży bezpośredniej czy choćby o wymienieniu nazwy firmy, w grę wchodził tylko jeden argument:

wartość emocjonalna przypisywana diamentom.

Koncern De Beers ograniczył wydobycie, by nie tworzyć dużych zapasów i utrzymać wysoką cenę. Nowe reklamy nie tylko poprawiły sprzedaż, lecz także zapewniły, że raz sprzedany diament nigdy więcej nie wracał na rynek. Gdy Frances zagrała na uczuciach odbiorców, wdowy, a nawet rozwódki nie chciały rozstawać się ze swoimi pierścionkami.

W minionych latach przy różnych okazjach wyobrażała sobie, jak wyglądają Oppenheimerowie. Szczególny rodzaj łączącej ją z nimi relacji pobudzał wyobraźnię, prowokował do zastanawiania się, co wyrażały ich twarze, gdy widzieli jej najnowsze pomysły. Czy unosili brwi? Uśmiechali się lekko? Wydawali okrzyki?

Rzadko zdarzało się, że nie znała swojego klienta, ale De Beers jako kartel nie miał wstępu do Stanów Zjednoczonych. Koncern rządził światowym rynkiem diamentów i był tak silnym monopolistą, że już sama obecność jego przedstawicieli w Ameryce uchodziła za złamanie prawa. Działał z Johannesburga i Londynu. Raz w roku Gerry Lauck zawoził do Afryki Południowej grubą oprawną w skórę księgę zawierającą reklamy opatrzone przez Frances tekstami i przedstawiał do zaaprobowania. Trzymał tam na miejscu zestaw kijów golfowych, gdyż było to łatwiejsze niż przywożenie ich za każdym razem z Nowego Jorku.

Gdy Gerry po raz pierwszy wybrał się do Johannesburga, by przedstawić Oppenheimerom wyniki badań rynkowych, jego mały hydroplan rozbił się w pobliżu Mozambiku. Gerry'emu udało się dopłynąć do brzegu dzięki unoszącym się na wodzie dużym oprawionym mapom i wykresom, które wiozł. Dwie pozostałe osoby zginęły i w „New York Timesie” ukazał się nagłówek: *Katastrofa samolotu w południowo-wschodniej Afryce. Amerykanin wyszedł z niej cało*. Gerry uznał, że wiezione materiały dosłownie ocaliły mu życie i może dlatego dla De Beers gotów był zrobić wiele.

Współlokatorka zachrapała głośno w sąsiednim pokoju, przywołując Frances do rzeczywistości.

Ann czekała na oświadczyzny nudnego księgowego, z którym spotykała się od pewnego czasu. Potem Frances znowu będzie musiała poszukać sobie nowej współlokatorki. Od zakończenia wojny działo się tak co kilka miesięcy. Rose, Myrtle, Hildy odchodziły jedna po drugiej, by stanąć na ślubnym kobiercu. Frances liczyła jednak na awans w firmie. Może po odejściu Ann stać ją będzie wreszcie na samodzielne mieszkanie?

Gdy przed czterema laty, jako dwudziestoosmiolatka, zaczęła pracę dla agencji Ayer, przekonała rodziców, że najwyższa pora, by wyprowadziła się z domu i z miasta. Niestety, przy swoich zarobkach musiała znaleźć współlokatorkę, która

pomogłaby opłacić czynsz. Chciała mieć własny dom w jednym z miasteczek Main Line. Wtedy nigdy nie musiałyby się martwić, czy w zimowy poranek wystarczy dla niej gorącej wody na prysznic, ani znosić wieczorem popisów Ann wtórującej nosowym sopranem śpiewającej w radiu Dinah Shore. Frances marzyła o samodzielnym mieszkaniu, tak jak pewnie większość dziewczyn marzy o małżeństwie.

Przesunęła palcem po jednej z nowych reklam skierowanych do nowożeńców. Inne kobiety chyba nigdy nie zastanawiają się nad tym, co będzie dalej. Tak bardzo pragną znaleźć partnera, jakby małżeństwo oznaczało pełnię szczęścia. Frances przeciwnie: zawsze myślała o przyszłości. Mogła pójść na kolację lub na tańce z nowym znajomym i doskonale się bawić. Ale potem, gdy wracała do domu i kładła się do łóżka, serce łomotało jej ze strachu. Jeśli umówi się z nim po raz drugi, może dojść do kolejnego spotkania. W końcu będzie musiała przedstawić go rodzicom, a on ją swoim. Wreszcie jej się oświadczy. A ona, jak wszystkie inne pracujące dziewczyny, które przed nią wyszły za mąż, po prostu zniknie, by gdzieś na uboczu poświęcić się macierzyństwu.

Dorothy powiedziała jej kiedyś, że miała wielbiciela imieniem George. Gdy po zakończeniu pierwszej wojny światowej wrócił do domu, ożenił się z córką rzeźnika. Dorothy podsumowała to błyskotliwą uwagą, którą zdaniem Frances musiała wygłaszać nie raz: „Siłę ciosu – tak mocnego, jakby zadano go tasakiem do mięsa – znacznie osłabiło to, że Klub Kobiet Reklamy ciągle mnie kochał”.

Frances nie potrafiła wyobrazić sobie, że Dorothy mogłaby mieć złamane serce. Była na to zbyt niezależna, zbyt bystra. Powiedzmy, że George po powrocie z wojny poprosiłby ją o rękę, a potem zamknął w jakimś miłym domku. Po paru tygodniach chyba oszalałaby tam z nudów.

Ojciec Dorothy, J.B. Dignam, dziennikarz i jeden z pionierów reklamy, zmarł, gdy córka miała dwadzieścia lat. Od tamtej pory utrzymywała siebie i matkę. Przez pewien czas mieszkały w Swarthmore w Pensylwanii, a teraz rezydowały w apartamencie hotelu Parkside w okolicach Gramercy Park na Manhattanie. Frances nie wiedziała, jakim cudem Dorothy na to stać.

Po pięciu latach spędzonych w Ayer pracownicy dostawali medal z motto firmy: *Tak trzymaj, a odniesiesz sukces*. Frances, widząc go u kogoś na biurku, zawsze myślała: Uroczy pomysł. Żeby jeszcze dorzucili trochę pieniędzy.

Wśród pracowników agencji krążyło powiedzonko: *Doskonałe miejsce pracy, jeśli twoi bliscy pomogą ci finansowo*.

Frances wychowała się w Filadelfii, w dość zamożnej rodzinie, choć bez luksusów. Mieli jedną służącą, dziewczynę o imieniu Alberta, która nauczyła ją piec ciasto

i zaplatać warkocz. Ojciec Frances, syn irlandzkich emigrantów, był kierownikiem w składzie węgla. Rodzina matki także przybyła z Irlandii, lecz osiedliła się w Kanadzie, gdzie odniosła wielki sukces w przemyśle budowlanym, wznosząc drapacze chmur w całym Ontario. Choć Pigottowie byli tam bardzo znani, w Stanach Zjednoczonych nikt o nich nie słyszał. Matka Frances mawiała, że dla Amerykanów Kanada mogłaby równie dobrze leżeć na Zanzibarze, tak niewiele wiedzą o tym, co się dzieje za granicą.

Na początku wielkiego kryzysu ojciec stracił pracę. Musieli zwolnić Albertę. W końcu przenieśli się na północ, do Hamilton, rodzinnego miasta matki. Frances miała wtedy piętnaście lat. Gdy skończyła dwadzieścia, nastały lepsze czasy i mogli wrócić do Pensylwanii. Rodzice kupili farmę Longview, duże gospodarstwo w Media, gdzie hodowali teraz kozy i konie.

Kiedy Frances miała kilkanaście lat, trudno jej było opuścić przyjaciół i dogadać się z przyzwyczajonymi do luksusów kuzynami z rodziny Pigottów. Z czasem jednak polubiła życie w Kanadzie.

Ona i ojciec, jako osoby z zewnątrz, bardzo się wtedy do siebie zbliżyli. Frances była jedynaczką, a tata, nawet jeśli jak większość mężczyzn pragnął mieć syna, nigdy nie dał tego po sobie poznać. Nie traktował córki ani jak chłopca, ani jak dziewczynki, tylko jak swoje jedyne ukochane dziecko. Zachwycał go każdy jej pomysł. A jeśli Frances coś się nie podobało i nie chciała tego robić, nie miał nic przeciwko temu. Ocalił ją od kotyliionów, przyjęć i lekcji tańca, będących przeznaczeniem wszystkich jej kuzynek.

W dzieciństwie Frances lubiła pisać opowiadania. Ojciec czytał każde z nich i wygłaszał krytyczne uwagi.

– Nie jesteś redaktorem, tylko jej ojcem – skarciła go kiedyś matka. – Powinieneś po prostu powiedzieć, że są wspaniałe.

Ale Frances zachwycało krytyczne podejście taty. Tym cenniejsze stawały się przez to jego pochwały. Czowała się dzięki niemu jak prawdziwa pisarka.

W wieku szesnastu lat, jeszcze w szkole średniej, dostała pracę w lokalnej gazecie informacyjnej w Ontario, w dziale poświęconym zakupom. Sprzedawała reklamy, a także sama je pisała, i w środku kryzysu zarabiała czterdzieści pięć dolarów tygodniowo. Czowała, że to jej prawdziwa pasja – uwielbiała pisać i sprzedawać. A nade wszystko lubiła dostawać wypłatę. Ojciec był z niej dumny.

Frances uważała, że pobyt w Kanadzie dobrze przygotował ją do pracy w Ayer. Prezes agencji, Harry Batten, choć do wszystkiego doszedł ciężką pracą, lubił zatrudniać bogatych absolwentów najlepszych uczelni, zwłaszcza Yale. Mieli też mnóstwo klientów z tej sfery. Ludzi o nazwiskach takich jak du Pont i Rockefeller.

Frances była jedyną osobą wśród copywriterów, która nie ukończyła studiów, ale nie brakowało jej pewności siebie i chyba nikt nie zauważał różnicy.

Batten lubił się przechwalać, że w Ayer pracują ludzie ze wszystkich czterdziestu ośmiu stanów.

Nordycki protestant z każdego stanu! – myślała Frances. Rzeczywiście, dobra robota! W agencji nie przepadano za katolikami, a o Żydach nie było mowy. Z drugiej strony, taka sytuacja panowała wówczas w całej branży. Frances nie afiszowała się więc ze swoim katolicyzmem. Tylko raz w roku, w Środę Popielcową, zawiadamiała firmę, że jest chora.

Cztery lata w agencji minęły jak z bicza strzelił, a w każde święta Bożego Narodzenia babka Frances z coraz większym niepokojem pytała, kiedy wnuczka wreszcie się ustatkuje i założy rodzinę. Rodzice poznali się przypadkiem podczas wakacji na Tysiącu Wysp i gdy w 1911 roku wzięli ślub, mieli więcej lat, niż było to wówczas przyjęte: matka miała dwadzieścia osiem, a ojciec trzydzieści. Upłynęły kolejne cztery, zanim urodziła się Frances. Matka wciąż pamiętała pytania, którymi zamęczali ją zaniepokojeni starsi krewni. Twierdzili, że wyszła za mąż zbyt późno i za długo czeka na dzieci. Te narzekania sprawiały jej wielką przykrość, dlatego przez długi czas nie chciała zatruwać nimi życia córce. A kiedy wreszcie zaczęło się namawianie do małżeństwa, nie trwało długo, bo Frances skończyła trzydzieści dwa lata, czyli weszła w wiek, w którym porzucano wszelką nadzieję. I tak z godnego politowania późno rozkwitłego kwiatuszka stała się w pełni rozkwitłą starą panną. Cóż to była za przyjemność mieć wreszcie z głowy naciski!

Pracowała w najważniejszej agencji reklamowej na świecie. Uważała, że ma zajęcie bardziej ekscytujące niż jakikolwiek męczyzna, którego w życiu poznała. Nawet gdy ślęczała po nocach, trzęsąc się ze strachu, że nie zdoła dobrze wykonać zadania – nawet wtedy czuła dreszcz emocji.

Docierała do niej ironia całej sytuacji: jest niezamężną kobietą, której największy talent polega na namawianiu par, żeby się zaręczyły.

Gdy w 1943 roku rozpoczęła pracę w Ayer, stu trzech, czyli dziesięć procent pracowników agencji, służyło w wojsku. Jedynymi klientami byli koncern lotniczy Boeing i Armia Stanów Zjednoczonych. Promowanie luksusowych towarów w czasie wojny uważano za wulgarne. Od czerwca 1942 do września 1943 roku reklamy De Beers ograniczały się do informacji o donacjach koncernu na cele wojenne. Po pewnym czasie reklamy biżuterii powróciły, ale ich twórcy musieli bardzo uważać. W 1945 roku Frances przygotowała nową kampanię, niepodobną do żadnej oglądanej wcześniej w amerykańskich pismach. Ukazywała śluby zawierane przez prawdziwych, powracających z frontu amerykańskich żołnierzy z dziewczynami,

które na nich czekały. Zamieszczono zdjęcia autentycznych ceremonii i opisano historie par. Towarzyszyły im informacje na temat diamentów.

Podczas wojny Ayer zaczęła zatrudniać więcej kobiet, i to nie tylko w charakterze urzędniczek i stenotypistek. Z konieczności powierzano im także kierownicze i półkierownicze stanowiska. W dziale obsługi klienta pracowała Dolores, a w dziale mediów Sally, poza tym dwie panie w księgowości, no i oczywiście Dorothy w public relations. Wśród copywriterów było obecnie trzynastu mężczyzn i trzy kobiety. Miały reprezentować damski punkt widzenia podczas tworzenia kampanii reklamowych produktów, o których zakupie bezpośrednio bądź pośrednio decydowały panie.

Przygotowując kampanię dla De Beers, Frances nie mogła odwołać się do swoich marzeń, obserwowała więc koleżanki z pracy, przyjaciółki i współlokatorki. Czego najbardziej pragnęły? To proste – wyjść za mąż. Czego się obawiały? Samotności. A wojna jeszcze bardziej spotęgowała te pragnienia i lęki. Frances postanowiła to wykorzystać. Dawała do zrozumienia, że już sam diament może zapobiec tragedii: *Diament w pierścionku zaręczynowym błyszczy jak łza – lecz nie jest to łza smutku. Skrywa obietnicę wspólnych poranków, dojrzałości, spełnienia i spokoju. Zaklęta w nim pewność towarzyszy dziewczynie przez długi okres oczekiwania, by rozbłysnąć radośnie u progu nowego wspólnego życia.*

Większość reklam adresowano do mężczyzn, gdyż to oni kupowali pierścionki. Agencja przygotowała wiele wysmakowanych materiałów o dżentelmenach – obdarzonych dobrym gustem i odnoszących sukcesy – sugerując, że nawet jeśli dana osoba takich cech nie posiada, może zastąpić je pierścioneńki ofiarowany ukochanej.

Przyjaciółka Frances wspominała, jak pewnego razu jej narzeczony napisał, że martwi się, co się z nią stanie, jeśli on nie wróci z wojny. Bał się, iż może zginąć, i jak przypuszczała Frances, nie był w tym osamotniony. Napisała więc: *Niewielu mężczyzn założyło miasto, odkryło nową gwiazdę, rozbiło atom. Zaledwie kilku zbudowało sobie pomnik tak wielki, by przyszłe pokolenia mogły, wskazując nań z daleka, powiedzieć: „Spójrzcie, to był nasz ojciec. Tak się nazywał. Tak wiele w życiu dokonał”. Diamenty to najtrwalsza pamiątka, jaką może pozostawić po sobie mężczyzna.*

Brzmiało to bardzo mrocznie i patetycznie, ale Gerry Lauck był zachwycony.

Frances zamknęła na chwilę oczy. Powinna się trochę przespać, bo jutro na porannym zebraniu będzie wyglądała strasznie. Ale co ze sloganem? Ułożyła na podłodze wachlarz z kilku pism otwartych na reklamach, które wymyśliła.

W „Vogue’u” napisała: *Nosisz diamenty, które zawsze promienieją pięknem. Żadne zmiany w modzie nie zdołają przyćmić ich ponadczasowego uroku.*

W „Collier’s”: *Noś diamenty, jak niebo gwiazdy, zawsze i wszędzie... ich piękno jest ponadczasowe.*

W „Lifie”: *Wspomnienia ukryte w zaręczynowym pierścionku będą lśniły przez wieczność.*

Motyw ponadczasowości już dawno jej się przejadł. Zamknęła oczy i powiedziała: „Dobry Boże, ześlij mi slogan”.

Potem nabazgrała coś na kawałku papieru i położyła go na szafce nocnej. Padła w ubraniu na łóżko i nawet nie zadając sobie trudu, by nakryć się kołdrą, zapadła w głęboki, pozbawiony marzeń sen.

Gdy po trzech godzinach wyrwał ją z niego budzik, pierwsze, na co spojrzała, to zapisane wczoraj słowa: *Diamenty są wieczne.*

Uznała, że mogą być.

Stawiając stopy na zimnej drewnianej podłodze, usłyszała, jak Ann idzie do łazienki. Jeśli chodzi o współlokatorkę, Frances wprost nie mogła się doczekać jej zaręczyn.

Szybko zjadła śniadanie i wzięła prysznic. Włożyła brązową sukienkę z długimi rękawami, nie zwracając sobie głowy patrzeniem w lustro. I tak zwykle spotykało ją rozczarowanie: płaskie szerokie policzki, głupi uśmiech. Bywała na randkach z mężczyznami, którzy twierdzili, że jest ładna, lecz przecież знаła prawdę. Przewyższała wzrostem połowę chłopaków w biurze. W tych czasach uważano, że kobieta powinna być skromna, cicha i miniaturowa, a Frances stanowiła przeciwieństwo wszystkich tych cech.

Pojechała pociągiem do centrum, ściskając w ręku skrawek papieru z zapisanymi w nocy słowami. Wysiadła na Washington Square i ruszyła spieszenie w stronę budynku agencji. Była już prawie spóźniona.

W 1934 roku, kiedy cały świat zbankrutował, firma N.W. Ayer i Syn miała wystarczająco dużo gotówki, by przy tym placu wybudować sobie trzynastopiętrową siedzibę. Był to wspaniały gmach w stylu art déco.

Frances o mało nie pękła z dumy, kiedy ojciec, odwiedzając ją po raz pierwszy w czasie przerwy na lunch, aż zagwizdał na widok budynku: „No proszę, Frances, to dopiero coś”. Zwracał się do niej pełnym imieniem tylko wtedy, gdy chciał podkreślić, że mówi coś ważnego.

Otworzyła wielkie, okute brązem drzwi budynku, tak ciężkie, że przy najlżejszym wietrze ledwie dawały się ruszyć. Ściany holu wyłożono marmurem. Wystrój wnętrz był klasyczny, bez śladu przesady czy ostentacji. Zupełnie jak sama agencja.

Tuż za drzwiami, za dębowym biurkiem siedziała kobieta w średnim wieku, której zadaniem było witanie wchodzących.

– Dzień dobry pani – powiedziała.

– Dzień dobry.

Frances podeszła do windy i czekała niecierpliwie na jej przyjazd.

W końcu drzwi się otworzyły. W środku stała jasnowłosa windziarka w wyprasowanym mundurku i białych rękawiczkach.

– Dziesiąte piętro? – zapytała jak każdego ranka.

Frances skinęła głową.

Takie drobiazgi napełniały ją dziwną dumą – oto ktoś, kogo w ogóle nie zna, coś na jej temat wie. Czuła dreszczyk emocji na myśl, że jeśli każe taksówkarzowi w Filadelfii zawieźć się do budynku Ayer, żaden nie będzie miał wątpliwości, gdzie to jest.

Po wyjściu z windy przystanęła obok boksu dla maszynistek zajmującego środek piętra. Drewniane ścianki otaczające miejsce pracy stenografki Alice Fairweather i jej czterech podwładnych wyglądały jak zagroda dla zwierząt, które muszą być trzymane w zamknięciu. Frances zawsze czuła się trochę głupio, rozmawiając z nimi ponad niską barierką.

– Dzień dobry, panno Gerety – powitała ją Alice. – Ma pani dzisiaj coś dla nas?

Frances podała jej tekst o nowożeńcach.

– Musi być gotowy przed zebraniem.

– Oczywiście.

Dopiero po przepisaniu – bez błędów – przekazywano tekst piętro niżej, do działu artystycznego. Szef copywriterów, George Cecil, miał bzika na punkcie nieskazitelnej angielszczyzny. Kiedyś pracownikowi zatrudnionemu w agencji od dziesięciu lat zdarzyło się wypuścić reklamę z literówką. Następnego dnia Cecil go zwolnił.

Pięć po dziewiątej Frances usiadła przy biurku.

Poranne zebranie miało się rozpocząć o dziesiątej. Pan Cecil obejrzy na nim nowe hasła i rozdzieli kolejne zadania. Był staroświecki i sztywny, ale kierownictwo go uwielbiało. Uchodził za największego copywritera swoich czasów. To on wymyślił slogany: *Z Kanady przyszła wieść o cudownym napoju dla Canada Dry oraz Śmiali się, gdy usiadłem do fortepianu, lecz gdy zacząłem grać...* dla Steinwaya, i prawie setkę innych.

Dwa gabinety dalej Nora Allen podniesionym głosem perorowała o czymś do słuchawki. Pokoje miały drzwi, ale ich wysokie brązowe ściany nie sięgały sufitu. Można było zamknąć się w środku i nikogo nie widzieć, jednak z całą pewnością wszystkich się słyszało.



Frances próbowała przeczytać zostawioną na jej biurku wiadomość. Była zmęczona. Kiedyś wreszcie będzie musiała zacząć funkcjonować w normalnych godzinach, lecz wieczorem nigdy nie chciało jej się spać. Powinna pracować w gazecie na nocnej zmianie.

Pomogłaby kawa, niestety Harry Batten zabronił picia jej w budynku agencji, po tym jak dyrektor artystyczny wylał całą filiżankę na gotowe do druku zdjęcie. Zakaz bolał tym bardziej, że jednym z najważniejszych klientów była firma Hills Bros i wokół piętrzyły się puszki kawy tylko czekającej na to, by ją zaparzyć. W latach dwudziestych pan Cecil wymyślił nawet w ramach kampanii reklamowej określenie *przerwa na kawę*. Jak na ironię, w budynku agencji za życia Battena nigdy takiej przerwy nie wprowadzono.

Z korytarza doleciały dwa głosy. Ton jednego świadczył o tym, że pan Cecil jest w podłym nastroju.

- Kto tak wrzeszczy? – zapytał z irytacją.
- Chyba Nora Allen – odparła sekretarka.
- Co ona, na Boga, wyprawia?
- Rozmawia z Nowym Jorkiem, proszę pana.
- Dlaczego nie skorzysta z telefonu? – rzucił szyderczo.

Frances zaśmiała się w duchu. Na zebraniu okazało się jednak, że sama stała się obiektem zręczliwych uwag pana Cecila. Kiedy przeczytała hasło, wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po pokoju, co oznaczało, że zaraz zetrze jej pomysł na proch.

– Po co chodzić do szkoły i uczyć się gramatyki, skoro potem się ją lekceważy? – zapytał. – W tym zdaniu powinien pojawić się przymiotnik[1]. Gdybyś powiedziała: *Diamenty są drogie, Diamenty są twarde* albo *Diament przecina kamień* miałyby to ręce i nogi. Ale coś takiego?

Frances chciała mu odpowiedzieć, ale on jeszcze nie skończył.

– Chuck, co o tym myślisz? – zapytał.

Frances napotkała wzrok Chucka McCoya. Nieźle pisał i był dobrym pracownikiem, ale z pewnością nie odznaczał się silną osobowością.

Odchrząknął.

– Każdy romans zaczyna się od słów: „Będę cię kochał na wieki”. Po to zawieramy małżeństwo, żeby trwało wiecznie, prawda? Mnie się ten slogan podoba.

Frances uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, lecz on w tej samej chwili odwrócił się w stronę pana Cecila i dodał:

– Ale ma pan rację, wyrażenie nie jest gramatycznie poprawne.

Frances pokręciła głową. Głupi lizus. Postanowiła sama zabrać głos w swojej obronie.

– Według mnie słowo „są” oznacza „istnieją”. To synonim. Ale można je zmienić, jeśli pan sobie życzy. Ślubu z tym hasłem nie brałam.

– Dowcip niezamierzony – dodał Chuck.

Frances wzniosła oczy do nieba.

– Zastanówmy się – zaproponowała. – Na pewno znajdziemy podobne określenie, które będzie pasowało.

Chciała dodać: Sama poświęciłam na to zaledwie trzy minuty w środku nocy, ale się powstrzymałam.

– Tak, musimy to przedyskutować – zgodził się pan Cecil.

Przez następne trzy godziny przerzucali się pomysłami. W popielniczce na środku stołu rosła góra niedopałków. Frances słyszała, jak burczy jej w brzuchu. Na tym etapie skłonna była zaakceptować wszystko, czego zażąda pan Cecil, jeśli tylko będzie potem mogła wyskoczyć do automatu po kanapkę z serem.

W końcu do pokoju wetknął głowę Gerry Lauck.

– George, muszę już jechać na lotnisko – oznajmił. – Jak brzmi slogan dla De Beers?

– Frances wymyśliła *Diamenty są wieczne* – odparł pan Cecil tonem, jakby chciał na nią naskarżyć.

Gerry utkwiał wzrok w suficie i zastanowił się głęboko.

– Spróbujemy – zdecydował. – Pokażę go klientowi i zobaczymy, co o nim myśli.

– Ale to nie jest poprawnie po angielsku – zaznaczył pan Cecil.

Gerry wzruszył ramionami.

– Nie martw się, George. To nie takie ważne. To tylko wstępna propozycja.

# Część pierwsza

# 1972

Na stoliku w korytarzu leżało pięćdziesiąt kopert z naklejonymi znaczkami, zaadresowanych na skrytkę pocztową w New Jersey. Evelyn jednym ruchem zgarnęła cały stosik.

– Kochanie, wychodzę! – zawołała do Geralda, który siedział w gabinecie w głębi domu.

– Jedź ostrożnie! – odkrzyknął mąż.

– Wyślę twoje zgłoszenia!

– Jesteś aniołem!

Już zamykała drzwi, gdy zawołał coś jeszcze, czego nie dosłyszała.

Westchnęła i zawróciła.

– O co chodzi? – zapytała.

Cisza. Evelyn jeszcze nie przyzwyczyła się do tego, że we wtorek o dziewiątej rano mąż jest w domu. Ruszyła w stronę gabinetu – mijając bawialnię, salon i jadalnię, w której nakryła już stół dla trzech osób płóciennym obrusem i elegancką porcelaną swojej matki. Stojący na środku duży kryształowy wazon czekał na kwiaty o długich łodygach. Nie wiedziała, dlaczego zadaje sobie tyle trudu. Po tym, co zrobił jej syn, powinna mu podać na papierowym talerzyku kanapkę z tuńczykiem i kazać ją zjeść na podjeździe przed domem. Zawsze uważała umiejętność urządzania awantur za swoją największą wadę.

Gerald siedział przy biurku w gabinecie. Przed nim stała maszyna do pisania, a o filiżankę z kawą opierało się pudełko pełne kopert.

– Masz tego więcej? – Evelyn ściągnęła brwi.

– To na inny konkurs. Można wygrać tygodniową wycieczkę rowerową po Toskanii sponsorowaną przez Prince Spaghetti! – Oczy mu rozbłyły. Wyglądał jak na portrecie z dzieciństwa wiszącym kiedyś w saloniku jego matki.

Gerald w wieku sześćdziesięciu sześciu lat nie interesował się pięknymi kobietami czy szybkimi samochodami, lecz wszelkiego rodzaju konkursami, zakładami i loteriami. Evelyn zawsze współczuła młodym, pełnym zapału sekretarkom, które firma wyznaczała mu do pomocy. Pewnie myślały, że będą brały udział w poważnych przedsięwzięciach, tymczasem musiały bez końca wypisywać adres swojego szefa na kopertach ze znaczkami.

Odkąd Gerald przeszedł na emeryturę, jego hobby zmieniło się w rodzaj obsesji.

Zazwyczaj niczego nie wygrywał, ale po każdym rzadkim zwycięstwie podejmował starania ze zdwojoną siłą. Twierdził, że ma duże szanse, gdyż większość ludzi tylko od czasu do czasu (lub, zdaniem Evelyn, nigdy) bierze udział w konkursach, wtedy gdy stawką jest coś, na czym naprawdę im zależy. Gerald uczestniczył we wszystkich. W ciągu mniej więcej dwudziestu lat wygrał tylko kilka razy i nigdy nic nadzwyczajnego: dwa bilety na mecz Red Soxów, kajak, paskudną brązową lodówkę turystyczną stojącą teraz w garażu, olej silnikowy, obraz przedstawiający psy pływające żaglówką oraz wystarczający na całe życie zapas płatków śniadaniowych Kaboom, których żadne z nich nie jadło.

*Może już jesteś zwycięzcą...* Ileż to razy Evelyn widziała powyższe słowa wypisane rozstrzelonym drukiem na pierwszej stronie gazety? Większość loterii zniknęła przed kilku laty, gdy Federalna Komisja Handlu sporządziła raport ujawniający to, co Evelyn od dawna podejrzewała: najcenniejsze nagrody przyznawano bardzo rzadko. Obecnie kupony kilku ostatnich loterii rozdawano w sklepach spożywczych lub na stacjach benzynowych, gdzie traktowano je jako rodzaj promocji.

Jedna nazywała się *Chodźmy na wyścigi* i żeby wziąć w niej udział, należało odebrać darmowy kupon w Stop & Shop, a potem obejrzeć w telewizji pokazywany raz w tygodniu wyścig koni. Jeżeli koń z kuponu wygrywał, dostawało się nagrodę. W każdy piątek Gerald, ściskając w ręku kupon, zasiadał pełen nadziei przez telewizorem. Evelyn nie miała serca mu powiedzieć, że wyścigi sfilmowano zapewne dawno temu i ten, kto przygotowywał kupony, dokładnie wiedział, ilu będzie zwycięzców.

Cała ta sytuacja ją żenowała. Przecież niczego im nie brakowało. Zaczynało jednak do niej docierać, że potrzeba to jedno, a chęć wygrania to coś zupełnie innego.

– Wycieczka rowerowa? – zapytała teraz. – Kiedy ostatni raz jeździłeś na rowerze?

– Pewnie jako brzdąc w krótkich spodenkach, ale właśnie o to chodzi. Evie, przeszedłem na emeryturę! Wszystko jest możliwe.

– Owszem. Choć z drugiej strony teraz sam musisz wypełniać wszystkie zgłoszenia.

– Na to wygląda – mruknął. – Chyba że zdołam zainteresować tym zajęciem żonę.

– Na to nie licz. – Pogroziła mu palcem. – A poza tym, co do mnie wołałeś? Nie usłyszałam.

– Pytałem tylko, czy mam coś zrobić, kiedy cię nie będzie.

Evelyn się uśmiechnęła. Na emeryturze Gerald stał się innym człowiekiem, choć może bardziej w myślach niż w uczynkach. Wcześniej nie proponował, że pomoże jej

w domu, jednak w ostatnich tygodniach, gdy kilka razy skorzystała z jego oferty, wszystko wyszło nie tak: do szafki trafiły niedomyte naczynia, a za bardzo przystrzyżone żywopłoty wyglądały jak stado smutnych pudli.

– Chyba nie, ale kochany jesteś, że pytasz – powiedziała.

– Pościeliłaś wszystkie łóżka na górze? – zapytał. – Gdzie go dzisiaj położymy?

Evelyn znieruchomiała.

– Nie zatrzyma się u nas – oznajmiła.

– Nie?

– Nie.

Właśnie z tego powodu zaprosiła syna na lunch, a nie na obiad.

– Mamy sześć pustych sypialni – przypomniał Gerald.

Evelyn popatrzyła na niego uważnie. Wiele razy ustępowała już pola w tej bitwie, ale tym razem miała zamiar być stanowcza. Przyjazd Teddy’ego to dobry znak. Liczyła, że oprzytomniał. Lecz gdy myślała o jego żonie i córkach mieszkających po drugiej stronie miasta i o tym, jak przed pięcioma miesiącami je porzucił, czuła się, jakby ktoś wykręcał jej serce niczym mokrą ścierkę.

Syn nie wspomniał, czy zamierza dziś nocować w domu. Jeżeli nie, niech idzie do hotelu.

– Przepraszam. Nie powinienem był... – zaczął Gerald.

– W porządku. Nic się nie stało.

W zeszłym tygodniu Teddy zadzwonił i oznajmił, że pragnie zobaczyć się z rodzicami.

– Musimy omówić parę spraw – powiedział. – I nie mieliśmy jeszcze okazji uczcić przejścia taty na emeryturę.

Evelyn zasmuciła się, widząc, jaką przyjemność sprawiło Geraldowi ostatnie zdanie. Cóż z tego, że na wystawne przyjęcie pożegnalne, które przed dwoma miesiącami wyprawiła mu firma, Teddy nie pofatygował się z Florydy? Mąż zawsze myślał o synu jak najlepiej, choć tak naprawdę nie miał ku temu powodów.

Gerald wierzył, że Teddy przyjeżdża, żeby zrobić porządek w swoim małżeństwie. Evelyn także miała taką nadzieję, ale nawiedzały ją wątpliwości. Dlaczego syn powiedział, że woli przyjść sam, kiedy chciała zaprosić na lunch Julie z dziewczynkami? Według Geralda wolał przed spotkaniem z żoną najpierw porozmawiać z rodzicami.

– Może nawet nas przeprosi – powiedział.

Evelyn tylko pokiwała głową. Bardzo dbała o spokojną atmosferę w domu. Rzadko się z Geraldem kłócili, a gdy już do tego doszło, szybko uciniała spór, powtarzając w myślach wierszyk Ogdena Nasha *Słowo do mężów*, choć uważała, że odnosi się także do żon:

*Żeby małżeństwa płonął żar  
i ktoś ci szeptał: kocham cię,  
gdy nie masz racji, przyznaj to.  
A gdy ją masz, to zamknij się.*

Jednak przez kilka ostatnich miesięcy, odkąd zaczęły się kłopoty z Teddym, atmosfera między małżonkami gęstniała. Gerald jasno dał żonie do zrozumienia, że bez względu na wszystko powinni trzymać stronę syna, który może wtedy zrozumie, iż postąpił źle. Evelyn nigdy nie wtrącała się w to, z kim syn umawiał się w młodości. Przy wielu okazjach gryzła się w język. Jego pierwsza dziewczyna nadużywała alkoholu i za kłótnie i wrzaski wyrzucono ich z Teddym z niemal wszystkich barów w Bostonie. Następnie aresztowano, gdy pobiła się z własną matką. Teddy musiał prosić Geralda o pieniądze, żeby zapłacić za nią kaucję. Jednak później ożenił się z Julie, cudowną dziewczyną, i mieli dwie piękne córeczki.

Przedtem Evelyn najbardziej żałowała tego, że ma tylko jedno dziecko. Gdyby Gerald się zgodził, adoptowałyby jeszcze piątkę. Ale kiedy pojawiła się Julie, poczuła, że wreszcie ma córkę. Tak często się razem śmiały, pożyczały sobie książki i czasopisma. Julie prosiła ją o sprawdzone przepisy, więc Evelyn spisała wszystkie ręcznie i pewnego roku na Gwiazdkę ofiarowała synowej cały ich zbiór. Dziesięć lat, które upłynęły od ślubu syna, były najszcześniejszym okresem w jej życiu. Po raz pierwszy dom był pełen ludzi. Raz w tygodniu cała rodzina jadła razem obiad. W niedzielę po mszy dzieci rzucały kawałki suchego chleba kaczkom kręcącym się przy niskim brzegu stawu, a Evelyn i Julie siedziały na patiu, piły lemoniadę i gawędziły. Raz w roku wszystkie cztery ubierały się elegancko i szły na herbatę do hotelu Ritz. Dziewczynki zabierały ulubione lalki i udawały, że poją je earl greyem z delikatnych porcelanowych filiżanek.

Evelyn i Julie poznały się, bo pracowały jako nauczycielki w tej samej szkole średniej. Z początku Evelyn przyglądała się młodszej koleżance z daleka. Wysoka smukła dziewczyna o pięknych jasnych włosach łatwo nawiązywała kontakt z uczniami i naprawdę ich lubiła. W pokoju nauczycielskim mężczyźni z grona pedagogicznego pchali się jeden przez drugiego, by usiąść obok niej podczas lunchu. Evelyn od razu pomyślała o Teddym. Oto dziewczyna, z którą powinien się związać – kochająca dzieci, solidna, o dobrym sercu.

Po kilku tygodniach zdobyła się na odwagę i zagadnęła nową koleżankę. Z

nerwów ścisnęła ją w żołądku, zupełnie jakby sama się w niej zakochała. Dowiedziała się, że Julie przed trzema miesiącami przeprowadziła się na wschód z Oregonu i prawie nikogo tu nie zna. Ma czwórkę młodszego rodzeństwa. Jej rodzice byli nauczycielami akademickimi, jednak w latach pięćdziesiątych zajęli się sadownictwem i założyli sad wiśniowy.

Evelyn zwierzyła się ze swoich planów najlepszej przyjaciółce. Ruth Dykema uczyła pierwszoklasistów algebry i zawsze mówiła to, co myśli.

– Lepiej uważaj – ostrzegła. – Swatanie może się czasem obrócić przeciwko dziewczynie.

Evelyn starała się nie przejmować ani nie zastanawiać, czy ostrzeżenie przyjaciółki wiąże się z tym, że Teddy nie nadaje się na męża. W dodatku Ruthie miała doskonały kontakt ze swoim synem, przez co jej uwaga zabolęła Evelyn jeszcze bardziej.

Przecież chciała dla Julie tylko dobra. W tamtych czasach kobieta, która do dwudziestego piątego roku życia nie wyszła za mąż, zazwyczaj pozostawała starą panną. Julie miała dwadzieścia trzy lata.

– Musisz przyjść do nas w przyszłym tygodniu. Wydaję małe przyjęcie – powiedziała następnego dnia podczas lunchu. Postanowiła przedstawić sobie młodych. Wiedziała, że w tych sprawach trudno coś wymusić, ale przecież można trochę pomóc losowi.

Przed przyjęciem całą noc nie spała. Zastanawiała się, jak sprawić, by Julie i Teddy zaczęli rozmawiać. Jeśli syn wyczuje, że zastawiono na niego pułapkę, nie będzie chciał mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Ku zdumieniu i radości Evelyn oboje zwrócili na siebie uwagę od pierwszego przypadkowego spotkania na ganku. Gdy Evelyn otworzyła drzwi, stali tam razem, a tak rozpromienionego syna nie widziała od lat.

Zaczęli się spotykać i po sześciu miesiącach się zaręczyli. Czasem Evelyn zastanawiała się, czy Teddy powiedział Julie o swojej przeszłości, a jeśli nie, to czy ona powinna to zrobić. Ale w końcu postanowiła się tym nie przejmować. Przy Julie Teddy się zmienił. Może po prostu potrzebował więcej czasu, by dojrzeć. Z ulgą wyobrażała sobie, że stanie się takim mężczyzną, jakim w jego wieku był Gerald. Gdy na świat przyszły dziewczynki, uznała, że to koniec kłopotów. Nie musi się już dłużej martwić. Powinna była mieć więcej rozumu i pamiętać, że nigdy nie wiemy, co nas w życiu czeka.

To Melody, starsza wnuczka, pierwsza powiedziała wiosną Evelyn, że Teddy ich opuścił.

– Tatuś pojechał służbowo do Naples i się zakochał – oznajmiła wprost, gdy Evelyn przyniosła im tulipany ze swojego ogrodu i zastała synową płaczącą przy



kuchennym stole.

Pogłaskała Julie po głowie i nalała brandy do dwóch szklaneczek. Nigdy nie piła w środku dnia, ale tym razem sytuacja tego wymagała. Zapewniała synową, że Teddy popełnił głupi błąd, którego na pewno pożałuje.

– Zadzwoił i zawiadomił, że zostanie na Florydzie przez jakiś czas – mówiła zrozpaczona Julie. – Powiedział, że nigdy nie doznawał takich uczuć jak w towarzystwie tej kobiety. Kiedy zapytałam, co to ma oznaczać, wyjaśnił, że przy niej czuje się jak mężczyzna. Wolny. Był taki podekscytowany. Zupełnie jakby oczekiwał, że ja też się ucieszę.

– Oszalał – stwierdziła Evelyn.

Przygotowała obiad i została, dopóki dziewczynki nie położyły się spać.

– Rano zadzwoni i cię przeprosi, wiem o tym – zapewniała. Zastanawiała się, czy Teddy znów zaczął pić. Chciała się usprawiedliwić, paść na kolana i błagać Julie, by mu przebaczyła, choć wiedziała, że to nie ma sensu.

Po powrocie do domu opowiedziała o wszystkim Geraldowi.

– No to mamy kłopot – stwierdził krótko.

– Jak on mógł, Geraldzie? Co robimy? Może powinieneś polecieć na Florydę i przemówić mu do rozsądku?

Spodziewała się, że mąż stanie po jej stronie, ale on tylko pokręcił ze smutkiem głową.

– Evie, nie wolno nam się wtrącać. To nie w porządku spiskować z Julie. Teddy jest naszym synem.

Początkowo zlekceważyła radę męża. Każdego wieczoru rozmawiały z synową i zastanawiały się, co zrobić, żeby Teddy wrócił do domu. Ale w końcu Julie zaczęła widzieć w niej tylko matkę niewiernego męża. Evelyn coraz rzadziej spotykała się z wnuczkami. Synowa przestała się do niej odzywać.

Evelyn spojrzała na zegar stojący na biurku Geralda. Teddy przylatuje o trzynastej. Ma niecałe cztery godziny na to, żeby kupić mięso, kwiaty i ciasto, włożyć pieczeń do piekarnika i się przebrać.

– Muszę iść, kochanie – powiedziała. – Niedługo wrócę.

Gerald podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach.

– Cokolwiek się stanie, przetrwamy to.

– Wiem. – Uśmiechnęła się do niego ciepło.

Gdy kilka minut później przekręciła kluczyk w stacyjce, poczuła przypływ nadziei. Trzeba myśleć pozytywnie. Czarnowidztwo nie jest w jej stylu. Przed tygodniem,

zanim Teddy zadzwonił, bała się, że już nigdy nie wróci. A przecież niedługo przyleci. Może pewnego dnia będą wspominali ten okres tylko jako czarny rozdział w życiu rodziny. Mężczyźni popełniają błędy, a potem przepraszają i kobiety im wybaczą. To się zdarza każdego dnia.

Przez chwilę napawała się pięknem rześkiego jesiennego poranka. Liście już żółkły i w całym mieście drzewa kipiały jaskrawymi barwami: pomarańczem, czerwienią i złotem. Evelyn musiała uważać, by prowadząc samochód, nie zagapić się i nie zjechać z drogi.

Na szczęście mieszkali na ponadhektarowej zalesionej działce na Belmont Hill. Dom stał w pewnej odległości od ulicy, a za nim, w oddali, połyskiwał staw. Cała posiadłość cieszyła się z nadejścia jesieni – żółte liście pięknie wyglądały na tle dostojnych ceglanych murów, ostatnie burze nadały trawnikom odcień żywej zieleni, a chłopcy z Pielęgnacji Ogrodów O'Malleya przed dwoma dniami je skosili. Rozłożyste bzy i rododendrony dawno już przekwitły, ale wciąż zielone liście cieszyły oko. Wiele lat temu Evelyn zasadziła za domem byliny i róże, założyła też warzywnik. Uwielbiała pracę w ogrodzie. Raz w tygodniu pracowała jako wolontariuszka w Arnold Arboretum, oprowadzając wycieczki szkolne, i organizowała doroczną zbiórkę pieniędzy, podczas której zwiedzano historyczne domy w Massachusetts, łącznie z jej własnym.

Położyła koperty Geralda na fotelu obok, razem z listą zakupów i torebką, po czym otworzyła okna, by wpuścić trochę świeżego powietrza. W radiu stacja z muzyką poważną nadawała utwór, który Evelyn знаła i nawet lubiła – IX symfonię Dvořaka *Z Nowego Świata*. Nastawiła ją głośniej i ruszyła długim podjazdem w stronę ulicy.

Najpierw zatrzymała się przed pocztą, by wrzucić do skrzynki koperty Geralda. W tym konkursie nagrodą był gramofon. Za pieniądze wydane na znaczki Gerald mógłby kupić go sobie sam, ale jakie to miało znaczenie.

W centrum znalazła miejsce parkingowe przed księgarnią. Wzięła torebkę, przeszła na drugą stronę Leonard Street i zmierzała w stronę znajdującego się kilka domów dalej supermarketu Sage's. Gdy dotarła na miejsce, ze sklepu wyszła Bernadette Hopkins, trzymając za rękę dziewczynkę z mysimi ogonkami. Minęło dziesięć lat. Bernadette trochę przytyła w talii i nosiła natapirowany kok, ale jej dziecinna twarzączka w ogóle się nie zmieniła. Evelyn pamiętała wszystkich swoich uczniów, z wieloma nadal utrzymywała kontakty. Chociaż uczyła ich przed laty, zapraszali ją na śluby i przysyłali mnóstwo kartek na Boże Narodzenie, dołączając do nich zdjęcia swoich dzieci. Evelyn przechowywała je w pudle na strychu.

– Pani Pearsall! – zawołała Bernadette, a potem zwróciła się do dziewczynki: – Rosie, to jest pani Pearsall, moja ulubiona nauczycielka ze szkoły średniej.

– Możesz teraz mówić do mnie Evelyn – powiedziała z uśmiechem starsza pani.

– Och, nie, nigdy. Nie przeszłoby mi to przez gardło.

Evelyn się roześmiała. Zwykle taką właśnie odpowiedź słyszała.

– Przyjechałaś odwiedzić rodzinę? – zapytała. Bernadette skinęła głową.

– Moja kuzynka z Newton urodziła dziecko.

– Gdzie teraz mieszkasz?

– W Connecticut, w Darien. Mąż stamtąd pochodzi. Poznaliśmy się na studiach. Na Uniwersytecie Notre Dame. Ja byłam tam oczywiście w college'u Saint Mary's. – Znów zwróciła się do dziecka: – Pani Pearsall napisała mi list polecający.

Evelyn się uśmiechnęła. Mało prawdopodobne, żeby dziewczynkę obeszała ta wiadomość. Może Bernadette chciała tylko pokazać dawnej nauczycielce, że o tym nie zapomniała.

– Wszyscy panią lubili – ciągnęła. – Pamięta pani moją przyjaciółkę, Marjorie Price? Pracuje teraz w redakcji „Ladies' Home Journal” w Nowym Jorku. Zawsze powtarza, że to dzięki pani została pisarką.

– Czuję się zaszczycona – odrzekła Evelyn. – Proszę, pozdrów ją ode mnie serdecznie. Z wieloma koleżankami z klasy utrzymujesz kontakt?

Pamiętała, że Bernadette działała w samorządzie szkolnym i choć może nie należała do najzdolniejszych uczennic, na pewno miała mnóstwo entuzjazmu. Cieszyła się popularnością i była dla każdego miła, a to rzadkie połączenie.

– Jasne. Wendy Rhodes i Joanne Moore są gospodyniami domowymi, tak jak ja. Każda z nas ma dwójkę dzieci: jedno dwu-, a drugie czteroletnie. Joyce Douglas pracuje jako pomoc dentystyczna. Zabawne, biorąc pod uwagę, że jej bracia przez tyle lat grali w hokeja. I pewnie słyszała pani o tym, co spotkało biedną Nancy Bird?

Evelyn pokręciła głową, choć przeczuwała, czego się zaraz dowie.

– Półtora roku temu jej mąż Roy przyleciał na urlop z Wietnamu. Mówił, że zdaniem dowódcy za sześć miesięcy wszyscy Amerykanie wrócą do domu. Potem pojechał z powrotem na front i parę tygodni później zginął.

Evelyn zrobiło się ciężko na sercu. Biedna Nancy, jest jeszcze taka młoda.

– Jak ona się czuje? – zapytała.

– Załamała się. Urodziła chłopczyka. Tydzień przed śmiercią Roya odkryła, że jest w ciąży.

Evelyn drgnęła zaskoczona. Z racji wieku zareagowała staroświecko: w czasach jej młodości nikt nie wypowiedziałby głośno słowa „ciąża”.

Zanotowała w pamięci, żeby napisać do Nancy i zapytać, czy mogłaby jej w czymś pomóc.

W głosie Bernadette pojawiła się weselsza nutka.

– Kiedy dowiedziałam się, że odeszła pani z Belmont High, było mi strasznie żal moich siostrzenic. Nie będzie ich pani uczyła. Moja siostra wciąż tu mieszka. Przy tej samej ulicy co mama i tata.

Przez chwilę Evelyn miała ochotę zapytać ją, czy zna Julie – były w podobnym wieku – ale Bernadette mówiła dalej, nie dając jej dojść do głosu:

– Swoją drogą, świetnie pani wygląda. Ładnie jak zawsze. Pamiętam, że chłopcy się w pani kochali, chociaż była pani taka...

– Stara? – dokończyła Evelyn.

– Starsza niż my, i tyle – odparła Bernadette. – Zresztą w ogóle się pani nie zmieniła.

Wszyscy tak mówili, chociaż nie była to prawda. Evelyn od skończenia studiów nosiła długie spódnice i bluzki ze stójką, a włosy upinała zwykle w luźny kok. Przez większość życia były jasne, jak Julie i dziewczynek, ale ostatnio nabrały całkiem ładnego srebrzystego odcienia. Jak na kobietę była wysoka – miała prawie metr osiemdziesiąt – i szczupła, ale nigdy chuda. Przez całe życie pływała, jako studentka Wellesley brała nawet udział w zawodach.

Przeszła na emeryturę przed dziewięciu laty, kiedy urodziła się jej pierwsza wnuczka, żeby w razie potrzeby pomóc Julie. Robiła to z przyjemnością, ale tęskniła za nauczaniem. Jej ulubionym dniem roku był pierwszy września. Kończyły się wakacje, a ona wracała do szkoły i otwierała klasę. Wciąż pamiętała radość, jaką czuła, wdychając zapach nowej kredy, patrząc na wypisane na brystolu cytaty z dzieł literackich, które co roku wieszała na ścianie, i na czysty dziennik z nazwiskami nowych uczniów, wypisanymi jedno pod drugim, pełnymi obietnic.

Uczyła angielskiego w drugiej i trzeciej klasie. Znajomi nauczyciele robili, co mogli, żeby uniknąć pracy z młodzieżą w tym wieku, ale ona przepadała za swoimi uczniami. Nawet ci najbardziej denerwujący i kłopotliwi, jeśli lepiej im się przyjrzeć, mieli coś w sobie. Niektórzy nauczyciele nie chcieli angażować się tak głęboko, lecz Evelyn to uwielbiała.

Jedynym dzieckiem, do którego nigdy nie zdołała dotrzeć, był jej własny syn. Okazał się największą porażką. Wszyscy spodziewali się, że Evelyn, jak większość kobiet, po wyjściu za mąż rzuci pracę, i rzeczywiście na pewien czas to zrobiła. Chciała być przy Teddym i zwolnić miejsce dla innej osoby podczas ostatnich lat wielkiego kryzysu. Wtedy bardzo źle patrzono na pracujące dziewczyny, zwłaszcza

mężatki. Większość szkół w kraju w ogóle nie zatrudniała kobiet.

Jednak tęskniła za pracą i gdy Gerald wrócił z wojny, znów, po ponad dziesięcioletniej przerwie, zaczęła uczyć. Nie było wtedy przyjęte, żeby mężczyzna na jego stanowisku miał pracującą żonę. Gerald jednak rozumiał Evelyn lepiej niż inni i wiedział, jak wiele to dla niej znaczy.

Z biegiem lat dzieci się zmieniały. To dziwne i pouczające doświadczenie: być dla wszystkich piętnasto- i szesnastolatków z okolicy przystankiem na drodze. Rodzice także się zmieniali, i to na lepsze. Evelyn wiedziała, że złymi rodzicami są często osoby, które miały trudne dzieciństwo. Takie błędne koło. Mimo to nienawidziła ludzi, którzy traktowali okrutnie swoje dzieci i bez cienia wstydu posyłali je do szkoły z siniakami na rękach i nogach. Sama nigdy nie uderzyła syna, nie pozwoliła też na to Geraldowi, choć w tamtych czasach wszyscy stosowali takie kary.

Ruthie, przyjaciółka Evelyn, wciąż uczyła w szkole i informowała ją na bieżąco o najnowszych zmianach. Ostatnio podrzuciła jej broszurę rozprowadzaną przez Stowarzyszenie Rodziców i Nauczycieli zatytułowaną: *Jak rozpoznać, czy twoje dziecko jest potencjalnym hipisem, i co z tym zrobić*.

Evelyn przekartkowała listę sygnałów ostrzegawczych:

1. Nagłe zainteresowanie obcymi wierzeniami zamiast powszechnie przyjętą religią.

2. Niezdolność do bycia w związku uczuciowym z jedną osobą, skłonność do doświadczeń „grupowych”.

3. Skłonność do posługiwania się niejasnymi terminami filozoficznymi, mówienie nie na temat.

4. Chęć posiadania pieniędzy, a jednocześnie niechęć do ich zarabiania.

5. Przesadne zainteresowanie poezją i sztuką.

6. Wyśmiewanie wszystkich form rządów.

7. Przekonanie o tym, że ma się rację, niemożność przyznania się do błędów.

8. Coraz częstsze wagary.

9. Tendencja do umawiania się na randki tylko z osobami innej rasy i wyznania.

Na ostatniej stronie broszury umieszczono opinię psychiatry, którą Ruthie odczytała głośno, naśladując cudzoziemski akcent:

Oczywiście niektóre z powyższych oznak można zaobserwować u zupełnie normalnych nastolatków. Dopiero gdy mamy do czynienia z większą liczbą takich zachowań, pojawia się groźba, że dziecko zostanie „hipisem”. Są też symptomy dość oczywiste, takie jak długie włosy i specyficzny ubiór, jednak one jeszcze o niczym nie

*świadczą. Czasem to tylko chwilowa moda. Trzeba odbyć wiele rozmów – niekiedy bardzo bolesnych – aby skłonić młodych ludzi do zmiany przekonań. Będą uparcie zaprzeczali, że są wrogo nastawieni. Dopóki nie wydobędzie się tej ukrytej wrogości, dzieci będą skłonne do buntu. Staraj się wykazać zrozumienie i okaż więcej tolerancji. Dojrzewanie to w najlepszym razie bardzo niespokojny okres w życiu.*

Ruthie się śmiała, ale Evelyn pomyślała o swojej starszej wnuczce Melody, która za kilka lat będzie musiała się z tym zmierzyć. Chyba nigdy wcześniej w historii bycie nastolatkiem nie wydawało się takie skomplikowane.

Córeczka Bernadette zaczęła się denerwować i kołysać na piętach.

– Mamo, chodźmy już – poprosiła.

Bernadette wciąż uśmiechała się szeroko niczym lampion z dyni zrobiony na Święto Dziękczynienia. Nie zwracała uwagi na dziecko.

– Ma się pani czym zająć? – zapytała.

– Och, tak – odparła Evelyn. – Jestem babcią dwóch dziewczynek.

Prawdę mówiąc, ostatnio niewiele miała do roboty. Przed odejściem Teddy’ego dwa razy w tygodniu odbierała dziewczynki ze szkoły. Zwykle też zajmowała się nimi w sobotnie wieczory, kiedy syn z Julie gdzieś wychodzili. Zawsze wymyślała dzieciom jakieś zajęcie – lepienie z papier-mâché na dworze albo pieczenie ciasteczek w kuchni. Bardzo lubiła czytać im książki, które sama pochłaniała w dzieciństwie. Wymyślała też własne historie i cieszyła się, gdy ta czy inna tak im się spodobała, że wciąż domagały się powtórek. Jednak od dwóch miesięcy Julie nie prosiła o pomoc w opiece nad dziećmi. A gdy teściowa zapraszała je wszystkie, mówiła, że nie mają czasu.

Evelyn zwolniła sprzątaczkę. Uznała za absurdalne prosić kogoś, by sprzątał jej łazienkę i ścielił łóżka, skoro sama nie wie, co zrobić z czasem. Świętej pamięci matka Geralda byłaby wstrząśnięta, lecz ona zawsze uważała, że Gerald i Evelyn zachowują się jak parweniusze. Chociaż żyli na wysokim poziomie, Evelyn nigdy nie interesowała się Małą Ligą i podobnymi rzeczami, a Gerald, choć lubił od czasu do czasu zagrać w golfa, wolał spędzać czas z żoną w domowym zaciszu niż brylować na nudnych przyjęciach. Spotykali się tylko z kilkoma zaprzyjaźnionymi małżeństwami, Evelyn brała udział w ulubionych imprezach charytatywnych i raz w tygodniu, w niedzielę, jadła lunch z Ruthie.

Odkąd Julie ograniczyła kontakty z dziećmi, Evelyn większość czasu przebywała sama i ten smutny stan przypominał jej własne dzieciństwo spędzone w Nowym Jorku. Wychowywały ją głównie guwernantki. Była najmłodsza z czworga rodzeństwa, a od poprzedniego dziecka w rodzinie dzieliło ją piętnaście lat. Może rodzice w późniejszym wieku zdecydowali się na jeszcze jedno dziecko, a może po

prostu wpadli. Ojciec Evelyn wciąż pracował. Widywała go co wieczór przez pół godziny, gdy popijał sherry. Zapraszał ją na chwilę do siebie, a potem równie szybko odprawiał.

Matka wydawała się trochę niezadowolona z obecności córki. Liczyła pewnie, że w tym wieku będzie już mogła skupić się na swoim życiu. Evelyn wciąż miała ją przed oczami: wysoką piękną damę, gotową do wyjścia na wykład o prawach wyborczych kobiet. Nosiła długą ciemną aksamitną suknię, białe rękawiczki, czarne buciki, na ramiona narzucała sobolową pelerynkę, a na głowę wkładała czarny kapelusz z czarnym strusim piórem.

Jako dziecko Evelyn znalazła pociechę i przyjaciół na kartkach ukochanych książek, głównie powieści o odważnych bohaterkach obdarzonych bujną wyobraźnią. Najbardziej lubiła *Małe kobiety*. Przeczytała ją chyba pięćdziesiąt razy. Udawała, że panny March są jej siostrami.

Ostatnimi czasy czytała zwykle dwie książki na tydzień. Uwielbiała pisarzy wiktoriańskich, zwłaszcza Charlesa Dickensa i George Eliot. Podziwiała Jane Austen. Największą przyjemnością było dla niej popołudnie spędzone nad stawem na czytaniu poezji W.B. Yeatsa lub Elizabeth Barrett Browning.

Gdy była w ciąży, bała się, że urodzi dziecko, które nie będzie lubiło czytać. Byłoby to jak wydanie na świat istoty obcego gatunku. Cóż, w tej kwestii Teddy nie sprawił jej zawodu. Chętnie czytał, przynajmniej jako mały chłopiec. Najbardziej lubił *Tajemniczy ogród*, co Evelyn uważała wtedy za przejaw uroczej wrażliwości i empatii. Wszędzie nosił ze sobą pluszowego baranka, którego nazywał Owiesiem. Nie rozumiał, dlaczego nie pozwoliła mu zabrać go do szkoły. Płakał. I miał złote kędziorki, nie mogła się zmusić, żeby mu je obciąć. W którym momencie stał się taki nieczuły?

Evelyn przestała słuchać tego, co mówiła Bernadette.

– Ile mają lat? – powtórzyła młoda kobieta, najwyraźniej po raz drugi, a może nawet trzeci.

– Proszę? – zapytała Evelyn.

– Ile lat mają pani wnuki?

– Dziewięć i siedem. Dwie dziewczynki. Mieszkają w naszym mieście.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę i w końcu się pożegnały. Evelyn z oświetlonego słońcem chodnika weszła do zatłoczonego sklepu i ruszyła do stoiska z mięsem, przed którym czekały w kolejce cztery młode kobiety. Przy ladzie starsza pani, nie spiesząc się, żądała, aby pokazywano jej każdy kawałek mięsa.

– Polędwica na pieczeń po dwa dolary za kilogram? – dopytywała się. – Ale czy

jest dobra?

Evelyn uśmiechnęła się blado do dziewczyny na końcu kolejki i stanęła za nią. Pozdrowiła rzeźnika Gusa, który jej pomachał. Spojrzała na zegarek. Samolot Teddy'ego zaraz wylądował na lotnisku Logana. Mimo wszystko pomodliła się w duchu, by doleciał szczęśliwie.

Zaczęła przekręcać na palcu pierścionek zaręczynowy, robiła to zawsze, gdy była zdenerwowana. Nosiła go tak długo, że skóra pod nim zrobiła się biała i gładka, jakby pierścionek chronił ją przed upływem czasu, suszą, słońcem i zmarszczkami.

Evelyn nigdy nie przepadała za biżuterią, wyjątkiem był ten pierścionek. Jej ulubiony. Nawet po czterdziestu latach małżeństwa często łąpała się na tym, że mu się przygląda. Był wyjątkowy. Ozdabiały go dwa duże, okrągłe, osadzone niesymetrycznie brylanty[2]. Obrączka tworzyła na górze jakby ósemkę, owijając się wokół kamieni niczym pnącze wysadzone maleńkimi diamentami. Z każdej strony umieszczono trzy małe diamenty o szlifie zwanym markizą, które gdy im się uważnie przyjrzeć, przypominały listki. Większość zaręczynowych pierścionków ozdabiał jeden duży brylant, czasem zdarzały się trzy, dwa widywało się rzadko, choć dla Evelyn miało to najgłębszy sens – oto ich dwoje, ona i Gerald, zakłęci na wieczność w kamieniu symbolizującym miłość, mocną i niewzruszoną niczym diament.

Już dawno temu zapisała swój pierścionek Julie w testamencie.

Pochodził z prywatnej kolekcji matki Geralda, pani Pearsall, i zrobił go w 1901 roku londyński jubiler. Chciała, żeby dostała go Evelyn. Same brylanty były w rodzinie o wiele dłużej i należały chyba do babki jej teściowej. Gerald powiedział narzeczonej, że może wybrać sobie u Tiffany'ego taki pierścionek, jaki jej się spodoba, ale Evelyn, chcąc zrobić przyjemność jego matce, przyjęła prezent. Pearsallowie należeli do ludzi, którzy uważali, że biżuteria, dzieła sztuki i meble powinny pozostawać w rodzinie, a jej odpowiadał ten pogląd.

– Uważam, że do ciebie pasuje – powiedział Gerald w dniu, w którym włożył go jej na palec. – Chyba przypomina kwiat, prawda? I zobacz, dzięki temu będzie naprawdę twój.

Wskazał wewnętrzną stronę platynowej obrączki. Kazał tam wygrawerować zdobnienie, którym ją nazywał: EVIE.

Czasami pierścionek trochę Evelyn krępował. Był piękny, ale tak drogi, że wstydziła się go nosić do szkoły albo występować z nim na palcu przed rodzicami uczniów. Nie chciała wywołać niewłaściwego wrażenia. Oczywiście taki klejnot mógł oznaczać tylko jedno: że ona i Gerald są zamożni. Zrobiono go dla kobiety z wyższych sfer, która miała służbę, nigdy sama nie ścieliła łóżka ani nie pisała na tablicy. Kamienie odstawały od obrączki i wciąż zaczepiały o różne rzeczy, Evelyn



wyciągała sobie nimi nitki ze swetra lub zahaczała o włosy.

Jeszcze wiele lat po ślubie z Geraldem nosiła na łańcuszku na szyi pierścionek zaręczynowy otrzymany od pierwszego męża. Jednak pewnego dnia, podczas pobytu na greckich wyspach, zdjęła go, zanim poszła popływać. Gdy wróciła na ręcznik, pierścionka już nie było. Poczowała wtedy, jakby jej pierwszy mąż, Nathaniel, umarł jeszcze raz. Ludzie mają zabawny stosunek do niektórych przedmiotów. Tamten pierścionek – prostą złotą obrączkę z maleńkim szmaragdem – jej kamieniem – ceniła tak, jakby był wart milion dolarów.

Wreszcie Evelyn dotarła na początek kolejki i zapłaciła za zamówione kilka dni wcześniej dwa i pół kilograma żeberek. Gus zapakował je w woskowany papier i włożył do brązowej papierowej torby.

– Zwykle kupuje je pani na niedzielę – zauważył, wydając resztę. – Jakaś specjalna okazja?

– Jesteśmy już na emeryturze. Niedziela czy wtorek, to dla nas bez różnicy! – Evelyn starała się mówić wesoło, ale nawet w jej uszach te słowa zabrzmiały ponuro.

W kwaciarni próbowała się pocieszyć, kupując dalej, storczyki i róże, aż dobrała bukiet, który ledwie mogła objąć ramieniem. Przed pójściem do piekarni będzie musiała zostawić go w samochodzie. Zamówiła ciasto kokosowe. W innej sytuacji upiekłaby je sama, ale ten lunch budził w niej tyle sprzecznych uczuć, że zawsze, gdy o nim myślała, stwierdzała, że ma coś pilniejszego do zrobienia – trzeba było schować letnie ubrania do schowka i wyjąć zimowe albo dokładnie umyć okna.

Wróciła do samochodu i położyła kwiaty i mięso na pieczeń na tylnym siedzeniu. Na podłodze spostrzegła błyszczącą różową kokardkę, tę samą, którą widziała tyle razy we włosach swojej wnuczki June. Z westchnieniem podniosła ozdobę, przesunęła po niej palcami i nawet powąchała, by sprawdzić, czy pozostał na niej słodki zapach dziewczynki. Po chwili schowała kokardkę do torebki. Lepiej teraz o tym nie myśleć.

Zamierzała przed lunchem przygotować dip z awokado, który lubią teraz chyba wszyscy młodzi ludzie. Poda też jak zwykle kulki serowe, faszzerowane lodygi selera i sałatkę Waldorf. Przepowiadając sobie w myślach składniki, odwróciła się w stronę mijanej wystawy księgarski, by popatrzeć na swoje odbicie.

A tam, po drugiej stronie szyby, stała Julie. Ich oczy się spotkały. Evelyn uśmiechnęła się i skręciła do drzwi.

Wtedy synowa odwróciła się i odeszła w głąb sklepu.

Evelyn zrobiło się przykro, ale nie zrezygnowała. Podeszła do Julie od tyłu i położyła jej rękę na ramieniu.

– Cześć.

– Evelyn, proszę cię, odejdz – szepnęła młoda kobieta.

– Julie, kochanie.

Synowa się odwróciła. Na jej twarzy widać było ślady łez.

– Wiesz, że on przyjeżdża? – zapytała.

Evelyn przytaknęła.

– A słyszałaś, o co mnie poprosił?

Teściowa aż się wzdrygnęła.

– Nie.

– Chce rozwodu.

Evelyn poczuła, że serce pęka jej niczym cienka tafla lodu.

– Żeby dostać rozwód, trzeba mieć podstawy – ciągnęła Julie. – Na przykład popełnić cudzołóstwo, porzucić rodzinę, być impotentem, nałogowcem albo okrutnikiem znęcającym się nad rodziną.

Cudzołóstwo, pomyślała Evelyn, ale synowa mówiła dalej:

– Nie widział dzieci od pięciu miesięcy, nawet do nich nie zadzwonił, a gdy się w końcu odezwał, miał mi do powiedzenia tylko jedno: że jego prawnik zasugerował argument o stosowaniu przemocy. Pewnie najłatwiej ją udowodnić, bo na wszystko muszą być świadkowie. Powiedział, że zrobią mi uprzejmość i nie będą wymagali, żebym opowiadała, jak przyłapałam go z kimś w łóżku. Uprzejmość! Mam stanąć przed sądem i zeznać, że podbił mi oko, uderzył mnie w twarz i rzucił mną o ścianę. Powinam też przyprowadzić przyjaciółkę albo sąsiadkę, która powie, że wszystko widziała. Zaproponował nawet, żebyś to ty wystąpiła w tej roli.

– Ależ to krzywoprzysięstwo – wyjąkała Evelyn.

– Mówi, że wszyscy tak robią.

Evelyn czuła palący wstyd, jakby to ona była winna, że Teddy poprosił o coś takiego. Jak może żądać, żeby jego żona kłamała z tak ohydnych powodów? A ona? Czy naprawdę sądziła, że syn przyjeżdża tutaj, aby wszystko naprawić? Okradł ją z rodziny, pozbawił dzieci ojca, a żonę męża. Evelyn przerażał taki egoizm. Teddy ma prawie czterdzieści lat i nie rozumie, że ta decyzja dotyczy ich wszystkich, nie tylko jego.

– Julie, to jakieś szaleństwo. Teddy stracił rozum.

– Zabieram dziewczynki do Eugene, chcę być bliżej rodziców – powiedziała synowa.

Evelyn skinęła głową.

– Odwiedziny u nich dobrze wam zrobią. My tymczasem postaramy się jakoś wszystkiemu zaradzić.

Julie spojrzała jej w oczy. Evelyn wydało się, że widzi na jej twarzy cień czułości.

– Wyjeżdżamy na zawsze.

Teściowa osłupiała.

– Nie wyjeżdżaj – prosiła. – Jeszcze nie jest za późno. Możesz powiedzieć, że nie zgadzasz się na rozwód. Nie tylko jego zdanie się liczy.

– Wiem, że chcesz jak najlepiej, ale błagam cię, idź już.

– Ale...

– Proszę – powtórzyła Julie. – Są w to wmieszani prawnicy. Nie powinnam z tobą rozmawiać.

Evelyn chciała powiedzieć, że jeśli będzie trzeba, złoży zeznanie na jej korzyść. Że po południu, wszystko jedno jakim kosztem, przekona syna, by wrócił do domu.

Ale tylko pokiwała głową i ruszyła do drzwi. Zdołała jeszcze odebrać ciasto z piekarni i wyjechać na ulicę, lecz gdy oddaliła się na bezpieczną odległość, łzy popłynęły jej z oczu. Każdy rozdzierający szloch jeszcze bardziej pobudzał ją do płaczu. Nie starała się opanować, dopóki nie dojechała do domu.

# 1987

Termometr za drzwiami pokazywał minus dziesięć stopni.

Była piąta rano, dzień Wigilii, a na podwórku panowały egipskie ciemności. James zapalił światło na ganku, ale nadal prawie nic nie widział. Gdy było ciemno, zaczynał ogarniać go lęk, i chociaż wiedział, że to dziecinne, ostatnio właśnie tak się zachowywał - niespokojnie, zbyt czujnie. Zamknął drzwi na klucz, choć do niedawna rano nie zwracał sobie tym głowy. Na górze Sheila i dzieci jeszcze spały.

Podjazd pokrywała świeża warstwa lodu. Dwa dni temu posypał solą chodniki przed domem swoim i matki, ale już widział, że to nie wystarczy.

Pies szarpnął, a James pociągnął za smycz. Nie chciał rozpoczynać dnia od szorowania tyłkiem po ziemi.

- Przyhamuj, stary - powiedział. - Jezu, Rocky, spokojnie.

Dziewięcioletni basset stęknął, ale posłuchał pana i powoli poczłapał w stronę krawężnika. Po dotarciu na miejsce obsikał obficie rosnący na granicy działki ostrokrzew Sheili. Pomarańczowe światło latarni wydobywało z mroku okoliczne budynki.

Mieszkali na samym końcu ciasno zabudowanej ulicy. Ich dom stał na narożnej działce, zwrócony frontem w stronę ruchliwego skrzyżowania. Po zmroku w okna na parterze świeciły reflektory samochodów, a ich poblask przeszkadzał w oglądaniu wieczornych wiadomości i programu Johnny'ego Carsona. Oglądali je więc w sypialni na trzynastocalowym czar-no-białym telewizorze regulowanym za pomocą pokrętki.

James zadarł głowę i popatrzył w niebo. Bolał go krzyż. Przez palto pomasaował sobie dół pleców. Chyba robi się za stary na dźwiganie przez cały dzień tych przeklętych noszy.

Na trawniku od tygodnia leżał śnieg. Facet od prognozy pogody przewidywał, że do wieczora spadnie jeszcze trzydzieści centymetrów. W pracy może będzie przez to spokojniej, ale jutro rano, po powrocie do domu, czeka Jamesa odśnieżanie schodów i ścieżek. Jego stary kumpel Dave Connelly pracował dla miasta i zawsze po śnieżycy przejeżdżał pługiem przed jego domem. I przed domem jego matki. W podzięce za przysługę James za każdym razem kupował mu sześciopak piwa i podrzucał bez słowa na ganek.

Facet w furgonetce przemknął na czerwonym świetle i stanął na miejscu do wysadzania pasażerów przy stacji kolejki elektrycznej North Quincy.

- Dupek - mruknął James do psa. Ruszyli ulicą.

Przecznice dalej była stacja benzynowa, a naprzeciwko niej salon samochodowy, McDonald's i cukiernia Dunkin' Donuts. Na ziemi wały się śmiecie. James zbierał je w niedzielne poranki podczas koszenia lub grabienia trawy. Torby po chipsach, puszki po napojach, papierki po batonikach, a od czasu do czasu, ku jego obrzydzeniu,

prezerwatywa. Mieszkali trzy przecznice od szkoły średniej w North Quincy i czasem myślał, że to kara za cały syf, jaki sam, będąc nastolatkiem, rzucał na ziemię lub przez okno samochodu.

Sheila nie pozwalała dzieciom bawić się przed domem. Bała się, że ktoś mógłby je porwać albo przejechać. Spędzały więc czas na małym ogrodzonym siatką podwórku z tyłu, gdzie ledwo starczało miejsca na pomalowaną metalową huśtawkę, Plastikową piaskownicę w kształcie żółwia i biało-niebieską figurę Najświętszej Marii Panny, którą młodszy synek nazywał lalką mamusi.

W październiku dwulatka z Teksasu wpadła do studzienki kanalizacyjnej. Przez dwa dni wszyscy mówili tylko o tym. Przewożeni karetką pacjenci, sami w stanie o wiele gorszym niż mała Jessica, martwili się o nią i pytali Jamesa, czy słyszał w radiu coś nowego. A Sheila dodała nową pozycję do swojej długiej listy zmartwień o dzieci. James próbował tłumaczyć, że obaj chłopcy urodzili się duzi jak świąteczne indyki i w dziurę takiej wielkości nie zdołaliby wsadzić nawet jednej nogi.

Ich dom był mały, o połowę mniejszy od tego, w którym na drugim końcu miasta spędziła dzieciństwo Sheila. Pokrywał go szary plastikowy siding. Na piętrze były dwie sypialnie i staroświecka łazienka, a na parterze mała kuchnia z ciemnymi szafkami z lat siedemdziesiątych, pokój dzienny z telewizorem i jadalnia, w której nigdy nie jadali. Stół służył jako tymczasowa przechowalnia suchego prania przyniesionego z piwnicy, ale jeszcze nieodłożonego na miejsce, listów, starych programów telewizyjnych i numerów „Heralda” z całego tygodnia, które James miał zamiar kiedyś przeczytać.

Do domu nie wpadało zbyt dużo światła. Nawet w południe, gdy na dworze świeciło słońce, w każdym pomieszczeniu panował mrok. Na szczęście Sheila miała zmysł artystyczny - łazienkę ozdobiła wymalowanymi według szablonu kaczuszkami, a w pokoju chłopców położyła tapetę w pirackie statki. Co prawda James mógłby się obyć bez jej sześciu ukochanych lalek Cabbage Patch siedzących rzędem na kredensie w jadalni. Zona bardzo chciała mieć córkę, lecz on uważał, że dwójka dzieci w zupełności wystarczy.

Całe szczęście, że kiedyś namówił ją, żeby wzięli Rocky'ego. Po urodzeniu chłopców na pewno by się na to nie zgodziła. James wyprowadzał basseta każdego ranka i każdego wieczoru, jeśli tylko nie pracował. I nawet gdy, tak jak teraz, z zimna odmarzały mu jaja, były to jego ulubione chwile. W dni wolne, przy ładnej pogodzie, zabierał psa na plażę w Wollaston i spuszczał ze smyczy. Ale w zimie obaj woleli przespacerować się przez parę przecznic i szybko wrócić do domu.

Skęcili w Holmes Street. Niektóre bliźniaki ozdobione były świątecznymi lampkami - Sheila uważała, że najelegantsze są białe, więc takie właśnie powiesili u siebie. Sąsiedzi z jednej strony mieli kolorowe, a ci z drugiej - niebieskie. Zdaniem Sheili świadczyło to o złym guście. W ciągu czternastu lat małżeństwa James nigdy się nie przyznał, że w dzieciństwie marzył o tym, żeby zamieszkać w domu ozdobionym

niebieskimi lampkami.

Wychował się półtora kilometra stąd, w nieco lepszej dzielnicy, w parterowym domku, który wciąż zajmowała jego matka. Teściowie, Linda i Tom, też wciąż mieszkali w swoim dużym starym domu w Squantum, nad oceanem. Bardzo im pomagali w opiece nad dziećmi. Byli dziesięć lat starsi od matki Jamesa, ale wydawali się o wiele młodszy. W lecie w każdą sobotę pływali żaglówką, a o zachodzie słońca pili na patiu koktajle z przyjaciółmi. Czasem, patrząc na nich, James myślał o swojej matce palącej samotnie papierosy przed telewizorem i miał ochotę walnąć pięścią w ścianę.

Wiedział, że zdaniem teściów Sheila mogła trafić lepiej. Mniej by się tym przejmował, gdyby w duchu nie przyznawał im racji. Raz podsłuchał, jak Tom mówił do córki: „Powinnaś wyjść za prawnika, gdy miałaś taką szansę”.

- Żartowałeś, oczywiście, że żartowałeś - zapewniła Sheila, gdy ją potem o to zapytał. Akurat.

Teściowie byli w sumie dobrymi ludźmi. Ale Tom, który miał własną firmę budowlaną, wciąż próbował dyktować zięciowi co ma robić - w minionych latach wielokrotnie proponował

mu pracę i pieniądze. Przed miesiącem, spoglądając na łuszczącą się farbę na ich kuchennym suficie, powiedział: „Jimmy, to nie jest drobna kosmetyczna robótka. Z łazienki na górze cieknie woda. Lepiej nie odkładaj tej naprawy”. Jakby James nie wiedział o cholernym przecieku. Jakby czekał, aż ktoś mu powie, żeby natychmiast zadzwonił po hydraulika i wydał na niego tygodniową pensję.

Parę dni temu Tom zapytał, czy potrzebują pomocy przy zakupie gwiazdkowych prezentów dla dzieci. James się obraził i szybko zaprzeczył, choć prawdę mówiąc, z gotówką było krucho - za połowę prezentów zapłacili kartą kredytową, której pewnie nigdy nie spłacą, a pozostałe wzięli na raty.

Sheila uważała, że chłopcy czasem mogliby obejść się bez podarków, ale James za nic nie chciał się na to zgodzić. Szczególnie w Boże Narodzenie. Wciąż pamiętał, jak w wieku ośmiu lat zobaczył w Searsie rower marki J.C. Higgins, gdy poszedł tam z matką kupić ubranie do szkoły. Strasznie chciał go dostać, marzył o nim miesiącami, ale rower kosztował trzydzieści dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów, a James wiedział, że matka nie ma pieniędzy, więc nawet jej o nim nie wspomniał. O rowerze powiedział tylko sklepowemu Świętemu Mikołajowi w domu towarowym w centrum Bostonu, tak na wszelki wypadek, choć wiedział, że w świąteczny poranek nie znajdzie wymarzonego prezentu. Dostał traktor błyskający światełkami, zabawkę dla o wiele młodszego dziecka. Ze względu na matkę udawał, że jest zachwycony, cieszył się przesadnie, a w nocy zabrał nawet traktor do łóżka. Teraz, gdy o tym myślał, przygnębiało go nie tyle to, że nie dostał roweru, ile świadomość, iż nawet nie mógł go chcieć. Pragnął, by jego chłopcy mieli marzenia. To nie ich wina, że trafił im się niezaradny ojciec, który potrafi tylko tracić.

Kupili dom w najgorszym możliwym okresie, tuż po narodzinach Parkera. Kilka lat wcześniej kosztowałby połowę, ale gdy wreszcie uzbierali pieniądze na wkład własny, inflacja drastycznie wzrosła, ceny domów w całym kraju poszybowały w górę i najlepsze oprocentowanie kredytu, jakie mogli dostać, wynosiło czternaście procent. W pierwszym roku w nowym domu, gdy pieniędzy mieli tak mało, że na kolację jedli płatki, odkryli w piwnicy pleśń. James w takich sprawach był naiwny jak dziecko. Przeżył wstrząs, gdy się okazało, że choć wszystko skontrolowali i zrobili, jak należy, sami muszą naprawić usterki.

Marzyli o tym, by mieć własny dom, ustawić w nim meble i pomalować okiennice na ulubiony kolor. Ale w pięknym domu czaiło się wiele strachów. Połowę czasu poświęcali na pilnowanie, by się nie rozleciał. Od wypadku z pleśnią co parę miesięcy pojawiał się kolejny problem. A to rynny wymagały naprawy, a to zatkał się komin. Parker zrobił rysę na porcelanowym kuchennym zlewie i trzeba było wymienić całość. Drzewo złamane podczas huraganu Gloria uszkodziło dach garażu.

Rodzice Sheili pożyczyli im pieniądze na usunięcie pleśni. Podobno nie oczekiwali zwrotu, ale James nie mógł znieść, że ma u teścia dług. Odłożył gotówkę dla Toma, płacąc za inne rzeczy - jedzenie, meble, benzynę, ubranka dla dziecka, za co tylko się dało - kartą kredytową. Przez całe życie, tak jak matka, oszczędzał na wszystkim i teraz bawiło go nowe podejście do kwestii wydatków. Nie stracili nad nimi zupełnie kontroli, nie płacili Visą za wyjazdy na Florydę ani nie kupili stołu bi-lardowego do piwnicy, jak wielu przyjaciół. Używali karty tylko wtedy, kiedy musieli. Ale coraz częściej okazywało się, że właściwie tak jest zawsze.

W 1984 roku James stracił pracę w straży pożarnej w Lynn i przez rok nie mógł znaleźć nowej. Wydawali w tamtym czasie

tyle samo co zwykle, płacąc za wszystko kartą. Refinansowali kredyt hipoteczny. James próbował, za namową Dave'a Connelly'ego, nadrobić stratę, pakując resztki gotówki w zakłady bukmacherskie. Dave zapewniał, że łatwo na tym zarobić, i przez pewien czas naprawdę się udawało. Ale w końcu James stracił wszystkie pieniądze. Potem matka zachorowała i w ciągu pół roku wydała całe oszczędności. Musieli zapłacić część rachunków za lekarzy. Wciąż czasem jej pomagali, chociaż sami nie mieli pieniędzy. James wiedział, że długi to jego wina. Złe decyzje połączone z brakiem szczęścia. Najpierw zapożyczali się, żeby przetrwać, by odsunąć się od przepaści. Kiedy zrozumiał, że wciągnął ich w bagno, było już za późno.

Przestali wieczorami odbierać telefon. Zwykle dzwonili wierzyciele. W powietrzu wisało napięcie, wiedzieli, jak ogromny jest ich dług i jak mała szansa, by go w najbliższym czasie spłacili. Dwa razy odłączono im prąd. Powiedzieli dzieciom, że to zabawa w życie w dawnych wiekach - świece na stole, bajki na dobranoc czytane przy świetle latarki. Potem oczywiście Parker domagał się, żeby każdego wieczoru przesiadywali w ciemnościach.

Gdy się kłócili, to zazwyczaj o pieniądze. Sheila zarabiała całkiem nieźle: brak

pielęgniarek sprawił, że szpitale w Bostonie płaciły fortunę i ściągały kobiety do pracy nawet z Irlandii. Ale James dostawał grosze. Dałby wszystko, żeby było odwrotnie, choć przecież mieliby wtedy dokładnie tyle samo pieniędzy.

Mówili w gniewie okropne rzeczy, takie nie do wybaczenia, ale zawsze w końcu się godzili. James czuł, że zna żonę lepiej niż kogokolwiek na świecie, lecz czasem, słuchając jej, zastanawiał się, czy właściwie ocenia swoje życie. Sheila twierdziła, że nie jest tym samym człowiekiem, za którego kiedyś wyszła, ciągle chodzi smutny i zły. Zarzucała mu, że jest agresywny,

choć nie pobił się z nikim od szesnastu lat. Według niej nie miało to znaczenia - można być agresywnym, nie podnosząc na nikogo ręki.

Po kłótni czuł się koszmarnie, i ona też. Ale najmniejszy drobiazg mógł spowodować wybuch. Teściowie szczylic się tym, że nigdy nie położyli się spać pokłóceni - była to jedna z ich Złotych Zasad Małżeństwa, które wypisali na karcie ofiarowanej Sheili w dniu ślubu. Ale jak, do diabła, dwoje ludzi może sobie coś takiego obiecać? James zastanawiał się, czy Tom i Linda nigdy nie mieli poważnych problemów, czy też po prostu aż tak bardzo im na sobie zależy.

Starali nie kłócić się w obecności chłopców. Wszyscy mówili, że to najgorsze, co mogą zrobić rodzice. Ale przecież nie planowali tych kłótni: „W każdą środę o siódmej, gdy dzieci są na meczu Małej Ligi, skaczymy sobie do gardeł!”. Najgorsze awantury zwykle Jamesa zaskakiwały, wybuchały często tuż po chwilach pozornego spokoju, na przykład podczas uroczystego rodzinnego obiadu albo wycieczki do kina. Sheila od tygodni była wściekła, bo zgodził się pracować w Wigilię, ale myślał, że klamka zapadła i oboje o tym wiedzą. Szef zaproponował podwójną stawkę, nie mógł tego odrzucić.

Kilka dni później jedli razem miłe niedzielne śniadanie. Sheila usmażyła jajka na boczku, śmiali się z różnych głupstw, gdy nagle, ni stąd, ni zowąd, wróciła do sprawy Wigilii. Była zła, że James zostawi ich samych w tak ważne święto. Nie mógł uwierzyć, iż Sheila nie rozumie, dlaczego to robi, i jak bardzo wolałby tego uniknąć.

- To mają być nasze szczęśliwe lata? - zapytała. - Dlaczego wszystko jest takie gówniane?

- Nie wiem, kochanie, może ty mi powiesz? To na pewno woja wina.

- Jasne, rób z siebie ofiarę. Doskonale ci to wychodzi.

- Uczyłem się od najlepszych.

James zdał sobie sprawę, że na siebie wrzeszcza, dopiero gdy Parker zakrył dłońmi uszy i powiedział:

- Proszę, przestańcie. Nie wiem, po czyjej mam być stronie. To go dobiło.

Gdyby mógł cofnąć czas, nigdy by się nie zgodził nazwać synka Parker. Chciał mu dać na imię Bird, na cześć koszykarza Larry'ego Birda, który w 1980, czyli w roku narodzin pierwszego syna Jamesa, zdobył dla Boston Celtics najwięcej punktów. Sheila oświadczyła, że według wielu poradników dla kobiet już sama taka propozycja



byłaby powodem do rozwodu. Pozwolił więc, by to ona zdecydowała, w końcu przeszła przez piekło, starając się zająć w ciążę. Zanim Parker przyszedł na świat, poroniła sześć razy. Byli siedem lat po ślubie i wszyscy zaczęli im się dziwnie przyglądać, zupełnie, jakby nie było powodu, by być małżeństwem, jeśli nie zamierza się mieć dzieci.

A teraz, choć wydawało się, że upłynęła zaledwie chwila, Parker skończył siedem lat, a mały Danny dwa.

James przystanął przed domem Pata Flaherty'ego, gdzie pies zajął się obwąchiwaniem wystającej spod śniegu kępy trawy. Na krzakach nie wisały świąteczne lampki, a przed wejściem nie stały żadne samochody. Żona Pata odeszła. Po pewnym niedzielnym obiedzie podała szarlotkę i zawiadomiła męża, że ma romans z miejscowym pastorem. Dave Connelly twierdził, że puściła biedaka z torbami.

- Musiała, skoro teraz ma żyć z pensji pastora - zażartował James, ale pomyślał o Sheili. Może i ona pewnego dnia wstanie i wyjdzie z domu na zawsze. Gdy miał osiemnaście lat, wytatuował sobie jej imię na prawym przedramieniu. Pobrali się, kiedy skończyli dwadzieścia jeden lat. Czasami, zwłaszcza ostatnio, zastanawiał się, czy dziś podjęłaby taką samą decyzję.

Na trawniku Pata Flaherty'ego stała tabliczka: Na sprzedaż. Bezpośrednio. James nie wiedział, co stało się z Patem

- czy zamieszkał z matką w Wollaston? Mieć trzydzieści cztery lata i zaczynać wszystko od początku? Już na samą myśl o tym ogarniało go cholerne przygnębienie. Niedługo pozna wszystkie szczegóły. Koledzy ze szkoły średniej plotkują jak stare baby. Connelly, O'Neil, Big Boy

- wszyscy są żonaci i mają dzieci. Co parę tygodni oglądają football w domu jednego z nich albo spotykają się w barze U Dee Dee, jeśli mama Jamesa zgodzi się zostać z chłopcami. Niektórych znajomych z dawnych lat unikał - awanturników, pijaków, takich, co wciąż łamali prawo i wdawali się w bójki, jakby mieli po siedemnaście lat. Byli też tacy, którzy poszli na studia i widywał ich tylko raz do roku, w wieczór przed Świętem Dziękczynienia, gdy wszyscy dawni uczniowie North Quincy High szli schlać się do Dee Dee. Z zażenowania paliły go policzki, gdy znów musiał wyjaśniać któremuś z nich, że tak, nadal tu mieszka. Zawsze tyle gadał o swoich planach.

Usłyszał z tyłu brzęk, a gdy się odwrócił, zobaczył Doris Mulcahey ciągnącą w stronę krawężnika dwa metalowe kubły.

- Pomogę pani - powiedział, przechodząc przez jezdnię.

- Nie trzeba - odparła ostrożnie. Zmrużyła oczy w bladym świetle poranka. - Czy to Jimmy McKeen?

Nie znosił tego zdrobnienia. W szkole wszyscy nazywali go Jimmy. Odkąd zaczął pracować, chciał, żeby zwracano się do niego James. Niektórzy tak robili - współpracownik Maurice i Sheila, jeśli nie zapomniła. Ale matka, brat, dawni

koledzy i cała reszta wciąż mówili do niego Jimmy i w żaden sposób nie mógł ich tego oduczyć.

- Dzień dobry, pani Mulcahey.

Przez wiele lat grała w kręgle w jednej drużynie z jego matką. Od czasu choroby te sukki prawie jej nie odwiedzały, dlatego nie znosił ich wszystkich.

- Jak się czuje mama? - zapytała.

- Całkiem nieźle.

- Twarda z niej sztuka, niech ją Bóg ma w opiece. Powiedz, że życzę jej wesołych świąt. Miałam zamiar do niej wpaść.

- Jasne, przekażę.

- A jak twoi chłopcy? Pewnie nie mogą się doczekać jutra?

- Odliczają dni od Halloween - odparł. Stuknął w chodnik czubkiem buta. Czuł dzieciinną ochotę, by uciec przed sąsiadką.

- A jak się ma biedna Sheila? - wyszeptwała, jakby ktoś mógł ich usłyszeć.

A więc wie. Pewnie wie całe North Quincy.

- W porządku. - Starał się, by jego słowa zabrzmiały krótko i cierpko, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty rozmawiać na ten temat. - Chyba chcesz już wracać, stary? - zwrócił się do psa. Rocky popatrzył na niego dużymi brązowymi oczami. Miał spojrzenie, od którego topniało serce. - Tak, chciałbyś zjeść śniadanie. Ja też. Wszystkiego dobrego, pani Mulcahey.

- Wesołych Świąt, Jimmy.

Pięciominutową drogę do domu przebyli w ciszy. Widział wydobywającą mu się z ust mgiełkę oddechu. Zawsze gdy myślał o tym, co się stało, czuł napięcie, które od brutalności dzielił zaledwie centymetr - gdyby w takiej chwili ktoś przypadkiem otarł się o niego lub zawołał go po imieniu, mógłby urwać mu głowę, a potem stać i patrzeć, jak umiera.

Miesiąc temu, gdy Sheila wracała ze sklepu do domu, została napadnięta. Jakiś tchórzliwy łajdak z nożem zabrał wszystko, co miała przy sobie: zegarek, obrączkę, pierścionek zaręczynowy, portfel, nawet cholerną torbę z pieluchami. Kiedy godzinę później James wrócił do domu, zastał żonę szlochającą przy kuchennym stole. Dzieci były w pokoju z nastawionym głośno telewizorem. Najpierw usłyszał hałaśliwe głosy i zażartował na ten temat, a potem zobaczył jej twarz.

Wszystko działało się na oczach małego. Ma dwa lata i musiał patrzeć, jak jakiś gnój przystawia jego matce nóż do gardła. Facet ją dusił. Dwa dni po napadzie na całej szyi Sheili pojawiły się ciemne sińce. Na ich widok James poszedł do łazienki i płakał z twarzą ukrytą w dłoniach.

To jego wina. Samochód żony był w warsztacie, a on miał wrócić do domu punktualnie o ósmej, żeby zdążyli razem pojechać po zakupy, bo o dziewiątej musiała wyjść do pracy. Ale się spóźnił. Współpracownik zachorował, więc James kazał mu iść do domu i powiedział, że sam zajmie się sprzątnieniem karetki. Trwało dwa razy

dłużej niż zwykle - na budowie na Kendall Square zdarzył się wypadek i cały tył ambulansu był ubrudzony krwią. Gdyby go tak zostawił, wlepiliby mu grzywnę, a na to nie mógł sobie pozwolić. Szorował wóz, jak mógł najszybciej, tymczasem upływały kolejne minuty i wiedział z doświadczenia, że żona będzie wściekła.

Sheila czekała do ósmej piętnaście, a potem zdecydowała, że nie może odkładać dłużej wyjścia do sklepu. Musiała przygotować coś Parkerowi na lunch i kupić mleko dla Danny'ego. Zabrała małego, a Parkera po raz pierwszy zostawiła samego w domu. Martwiła się o niego, więc szybko zrobiła zakupy i wracała na skrót, wąską uliczką odchodzącą od Hancock Street. Tam zaszedł ją od tyłu ten chuj i przydusił tak mocno, że nie mogła oddychać.

James zadzwonił do brata kolegi, który pracował w policji, a on przysłał do nich dwóch ludzi, żeby spisali zeznania. Widać było jednak, że to tylko formalność, próba pokazania, iż panują nad sytuacją. Kiedy wyszli, James wpadł w gniew, mówił Sheili, co by zrobił z tym gnojkiem, gdyby tylko go wytropił

- tortury to o wiele za mało. Tłukłby drania tam, gdzie najbardziej boli, przywiązałby go do krzesła i na jego oczach zarznął mu babkę, matkę i dzieci. Niech patrzy, jak cierpią, niech wie, co to znaczy strach. A potem niech z tym żyje do końca swoich dni.

- Po co mówisz te okropieństwa? Przecież cię tam nie było. - Sheila popatrzyła na męża przez łzy.

Od tamtej pory nie mógł spać. Zawsze miał problemy z zasypianiem, ale teraz, chociaż kładł się do łóżka śmiertelnie zmęczony, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki, serce zaczynało mu walić i nagle senność odpływała. Zmuszał się, żeby zamknąć oczy. Przez kilka godzin przewracał się z boku na bok, próbując się wygodnie ułożyć. Rano nie wiedział, czy w ogóle spał. Ciągle czuł się zmęczony. W dzień marzył o drzemce. Był rozkojarzony, kręciło mu się w głowie. Ale kiedy w końcu kładł się do łóżka, wszystko zaczynało się od nowa.

Sheila miewała koszmary. Wieczorem kilka razy domagała się, by sprawdzał, czy drzwi są zamknięte. Chciała, żeby się przeprowadzili. Martwiła się o dzieci i o teściową, która mieszkała sama w, jak się teraz okazało, niebezpiecznej okolicy. James chciał bronić ulicy, przy której się wychował, choć wiedział, że żona dorastała w lepszej części miasta. Dwa lata temu, po udarze, matka wprowadziła się do nich na trochę. Sheila musiała wtedy zajmować się niemowlakiem, a przecież postawiła matkę na nogi, jakby to była drobnostka. Ćwiczyła z nią, uczyła ją na nowo czytać, pokazywała jej, jak trzymać szczotkę do włosów i jak schodzić ze schodów. Myła ją i malowała jej paznokcie u nóg bez słowa skargi.

James żałował, że nie można wszystkiego zacząć od nowa. Po napadzie coś w nim pękło, odpadła jakaś część już wcześniej naderwana, od początku trzymająca się ledwie, ledwie.

Najgorsze podejrzenia, jakie miał na swój temat, okazały się prawdą: nie obronił

własnej rodziny. I nadal nie może nic zrobić. Nie stać go na przeniesienie się do bezpieczniejszej dzielnicy, do domu z dużym ogrodem i basenem. Jest uziemiony, a oni razem z nim.

W szkole średniej należał do najprzystojniejszych chłopaków z rocznika, chociaż brat przewyższał go wzrostem. Sheila wciąż powtarzała, jaka była szczęśliwa, że ktoś tak atrakcyjny wybrał właśnie ją. Pamiętał prąd, jaki przebiegał między nimi, gdy tańczyli na zabawach w Organizacji Młodych Katolików, a zakonnice wkładały między nich linijkę i mówiły, żeby zostawili trochę miejsca dla Ducha Świętego. Teraz James czuł się, jakby oszukał Sheilę. Przyjaciółki, na które patrzyła wtedy z wyższością, doczekały się, że ich przeciętnie wyglądający mężowie wyrosli na mężczyzn mających pieniądze i władzę. Mogli je zabrać w rocznicę ślubu na Bahamy, a w każdy piątek na obiad do restauracji. A Sheila? Została z niegdyś przystojnym nieudacznikiem, któremu nie udało się rozwinąć skrzydeł.

Przed paroma miesiącami wybrali się wieczorem na pizzę do sieciowej pizzerii Papa Gino. Nieczęsto się to zdarzało. Chłopcy zajęli się majstrowaniem przy stojącej na stoliku miniaturowej szafie grającej, a James zobaczył, jak Sheila podsuwa dziewczynie przy kasie kupon promocyjny - dwa ciastka w cenie jednego. Gdy kasjerka odwróciła się, by odebrać telefon, Sheila szybko chwyciła kupon i schowała go do torebki. Potem spojrzała na męża i mrugnęła, jakby właśnie udało im się zrobić skok na bank. Była z siebie dumna, a James poczuł się jak największy dupek, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi.

Każdy głupi widział, że jest do niczego, a on, zamiast starać się to nadrobić i traktować Sheilę jak księżniczkę, jeszcze urządził jej awantury. Irlandzki temperament, jak mawiała matka. Nigdy nie skrzywdziłby żony ani chłopców, ale niekiedy w złości niszczył przedmioty - obłukł lampę, rozbił szklankę, zrobił dziurę w ścianie. Raz podczas kłótni z Sheilą walnął się pięścią w twarz i podbił sobie oko. Wyśmiewała się z tego latami. Ale naprawdę była dla niego wszystkim. Jeśli ją straci - to koniec.

W domu odpiął psu smycz i nastawił kawę. Z szafki po lewej stronie zlewu wyjął dużą butelkę ibuprofenu. Wysypał z niej trzy tabletki i połknął bez popijania. Odchylając głowę, zobaczył łuszczącą się na suficie farbę. Plama, która początkowo miała wielkość naleśnika, urosła do rozmiarów hula-hoop. Otoczony brązową obwódką tynk wydawał się odklejać. Przerażony James odwrócił wzrok. Obiecał sobie, że do końca świąt nie spojrzy w tamtą stronę.

Był śmiertelnie zmęczony, a czekała go trzecia dwudzie-stoczetogodzinna zmiana w tym tygodniu. Dałby wszystko, żeby wrócić do łóżka, położyć się obok Sheili, otoczyć ją ramionami i przespać cały dzień. Nie robili tego od wieków, odkąd urodziły się dzieci, ani razu. Sheila pracowała na bloku operacyjnym szpitala Brigham, brała trzy osiemnastogodzinne zmiany tygodniowo, gdy James miał wolne. Zdecydowali się na taki układ ze względu na synów, ale teraz, nie licząc niedziel,

prawie się nie widywali.

Nie chciał, żeby po urodzeniu dzieci wracała do pracy. Nie zrobiły tego ani jej matka, ani siostra. Sheila nigdy się nie skarżyła, ale Jamesowi było przykro, ilekroć jego szwagierka Debbie wspominała o wtorku spędzonym z dziećmi w YMCA albo mówiła, że Sheila powinna więcej udzielać się w Stowarzyszeniu Rodziców i Nauczycieli.

Debbie była zmorą jego życia. Wyszła za kanalię imieniem Drew, który skończył studia w Amherst, i teraz żyła jak królowa w ładnym domu w Milton. W latach siedemdziesiątych Drew i Debbie uwielbiali dyskoteki. Kobieta to jeszcze pół biedy, ale który facet na poziomie interesuje się takim gównem? Do tej pory James, mówiąc o szwagrze, używał wyłącznie przezwiska John Travolta. Drew był jednym z tych podejrzanych prawników, którzy reklamują się w telewizji: „Mąż umarł na azbestozę? Zadzwoń do nas! Dziecko najadło się farby ołowianej? Zadzwoń do nas! Pitbull zeżarł ci babcie?”.

James nienawidził Drew głównie z powodu sposobu, w jaki poznał Debbie. Zaraz po szkole Sheila, kiedy na blisko rok zerwała z Jamesem, umawiała się z jakimś durniem z wydziału prawa. Drew był jego najlepszym kumplem.

Zawsze gdy szli na kolację do Debbie i Drew, James czuł, że chełpią się przed nim swoją sytuacją materialną: powodziło im się stokroć lepiej, zamierzali kupić letni dom. Sheila i Debbie były sobie bliskie, więc niestety widywali się często. Według Jamesa Debbie korzystała z każdej okazji, by dokuczyć Sheili, choć żona tłumaczyła mu, że siostry tak się ze sobą drocą.

Po urodzeniu chłopców Sheila trochę przytyła, głównie w talii, i się tego wstydziła, choć dla Jamesa była równie piękna jak w dniu, w którym zobaczył ją po raz pierwszy. Kupiła kasetę wideo z ćwiczeniami i żartowała z siebie, mówiąc do dzieci: „Spójrzcie, mama ma z przodu dodatkową pupę”. Tymczasem Debbie walczyła jak wariatka, by zachować linię. To zastępowało jej pracę - codziennie rano aerobik, po południu jogging, dwa razy w tygodniu zajęcia o nazwie jazzercise, na które wkładała jaskraworóżowe getry i czarny trykot, a potem leżała pół godziny w solarium. Mimo to żaliła się Sheili, że wazy za dużo, przez co siostra czuła się jeszcze gorzej. Zeszłego lata Debbie przywiozła Sheili z wycieczki do Hyannis obrazek: deseczkę z rysunkiem przedstawiającym hipopotama

w kostiumie kąpielowym podpisanego: Ja nie nurkuję, po prostu idę na dno.

- Ale śmieszne, co? - mówiła. - Kupiłam sobie taką samą! Na widok smętnej miny żony James miał wtedy ochotę

przywalić Debbie, albo - skoro nigdy nie uderzył kobiety - Johnowi Travolcie.

Począł, aż woda się zagotuje, i nalał sobie filiżankę kawy. Wyciągnął czysty ręcznik ze sterty leżącej na stole w jadalni i zajrzał do salonu, gdzie w kącie stała lekko przekrzywiona choinka. Sheila miała bzika na punkcie Bożego Narodzenia. Wszędzie w domu rozwiesiła girlandy, a kolędy nuciła już chyba od miesiąca. James poszedł

kupić drzewko pierwszego dnia, gdy pojawiły się w sprzedaży. Było małe, ale obwiesili je złotą lametą, której pasma znajdował teraz we włosach chłopców, w kieszeniach lub przyklepione do podeszew butów. Zeszłego roku czekali z zakupem choinki aż do Wigilii, gdy wszystkie drzewka przeceniano o połowę, ale tym razem James uparł się, że bez względu na koszty urządzi żonie wyjątkowe święta.

Wszedł po schodach i w drodze pod prysznic przystanął przed drzwiami sypialni dzieci. Zajrzał do środka. Piersi chłopców unosiły się i opadały w rytm oddechów, w powietrzu wisiał zapach snu. Obok głowy Parkera leżały rzędem cztery Żółwie Ninja. Zawsze kazał ojcu życzyć każdemu dobrej nocy.

- Słodkich snów, Rafaelu - mówił James, unosząc plastikową figurkę w stronę lampy, zanim włożył ją pod kołdrę i sięgnął po następną. - Michelangelo, wiem, że lubisz imprezy, ale czas do łóżka.

Parker za każdym razem wybuchał histerycznym śmiechem. Tak łatwo było go rozbawić.

Gdy wieczorem zostawali sami w domu, James dawał synom na kolację mrożone paluszki rybne albo podgrzewane w mikrofalówce nuggetsy z kurczaka z keczupem i kolo dzie-więtnastej kładł ich do łóżek. Czytał im różne historyjki i śpiewał Blackbird albo Norwegiem Wood, smutne mroczne piosenki, tak naprawdę nieodpowiednie dla dzieci, ale chłopcy chyba nie zwracali uwagi na słowa. Potem, czasem nawet przez pół godziny, patrzył, jak śpią.

Teraz, przez otwarte drzwi, zobaczył z korytarza, że żona porusza się pod kołdrą. Zrobił krok i zaskrzypiała deska podłogi.

Sheila się poderwała.

- To ja-powiedział.

- Cześć, skarbie. Nie słyszałam, jak przyszedłeś. Usiadł na brzegu łóżka.

- Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć.

- Nie przestraszyłeś. Która godzina?

- Prawie wpół do szóstej.

- Spodnie od twojego uniformu są w suszarce - powiedziała. - A koszula wisi w piwnicy.

- Dzięki. Zapowiadają, że spadnie dziś trzydzieści centymetrów śniegu.

- O Jezu - westchnęła.

- Wiem.

Parker przydreptał korytarzem i wszedł do sypialni rodziców. Zamrugał kilka razy, zanim całkiem otworzył oczy.

- Mamo, jeszcze jeden dzień do świąt! - wykrzyknął. - Ile godzin?

- Dwadzieścia cztery. Wracaj do łóżka, kochanie - powiedziała Sheila. - Jeszcze wcześniej.

- Nie dla mnie - oznajmił donośnym głosem Parker.

- Dla mnie na pewno za wcześniej - odparła. - Ciszej, dobrze? Obudzisz małego.

- Dla taty też nie jest za wcześnie. Przeczytasz mi przed wyjściem komiksy w gazecie? Wiem, że musisz iść, ale tylko kilka - prosił z nadzieją, jakby chodziło o coś niemożliwego do spełnienia.

- Spóźnisz się - ostrzegła Sheila. - Parkerze, wracaj do łóżka.

Zawsze narzekała, że James zmuszają do odgrywania roli złego policjanta, sam wybierając sobie rolę dobrego. Ale jak można odmówić dziecku spełnienia takiej małej prośby?

- Tylko jeden - błagał Parker. - Cyrk rodzinny"? Albo Garfielda?

- Tylko jeden - powtórzył James, choć obaj wiedzieli, że przeczyta mu wszystkie. Podszedł do synka, wziął go za rękę i poprowadził korytarzem w stronę schodów.

- Będziesz udawał głosy, tatusiu?

- Pewnie tak.

Parker się rozpromienił.

- Bo mamie nie wychodzi.

- Wszystko słyszę! - doleciał ich z góry głos Sheili. Jamesowi wydało się, że usłyszał jej śmiech.

- Oczywiście, że tak - szepnął do synka.

Parker wyprostował się, jak to robił w towarzystwie starszych kuzynów, pokiwał głową i powtórzył znacząco:

- Oczywiście.

A potem zapytał:

- Tato, jak myślisz, czy Mikołaj przyniesie mi Wirującego Robota?

Wirujący Robot był najtrudniejszą do zdobycia zabawką na świecie. W każdym sklepie z zabawkami w Massachusetts mówili, że spodziewają się nowej dostawy trzeciego stycznia. Tylko że wtedy robot nie będzie już rodzicom do niczego potrzebny. W połowie grudnia James i Sheila dostali na jego punkcie obsesji. Razem i osobno jeździli aż do Worcester, wchodząc do każdego napotkanego sklepu, nie wyłączając tych z artykułami metalowymi, choć nie miało to większego sensu. W końcu James znalazł jednego robota ukrytego za ekspozycją przyrządów do masażu pleców w sklepie Radio Shack w centrum handlowym South Shore Plaża. Może ktoś go tam schował, a może los w końcu postanowił się do niego uśmiechnąć. Jakkolwiek było, Jamesa ogarnęła nieopisana radość. Poczł się niezwykczony. Zupełnie jakby właśnie wynalazł penicylinę czy coś podobnego.

Gdy wieczorem wrócił do domu i przekazał Sheili wiadomość, Parker był w pokoju.

- Zdobyłem - oznajmił.

- Co?

- To.

Dwadzieścia lat wcześniej Sheila pomyślałaby, że mówi o piwie, a może o skrócie marihuany. Wtedy jednak zrozumiała, o co mu chodzi i powiedziała: - Jejku. Jesteś wielki.

Teraz James spojrział na Parkera i powiedział:

- To zależy od tego, czy będziesz słuchał mamy, gdy pójde do pracy.

- Będę - obiecał żarliwie chłopiec.

- W takim razie masz duże szanse.

- Hura! - wrzasnął Parker.

W tej samej chwili rozległ się płacz Danny'ego. Rocky podszedł do schodów i na znak solidarności zaczął wyc.

- I po spaniu! - westchnęła Sheila. Wyszła na korytarz, wkładając szlafrok. Wyglądała jak anioł.



## 2003

Była to stara szmizjerka matki: granatowa, ozdobiona małymi niebieskimi kwiatuskami na spódnicy i staniku. Z wąskim skórzanym paskiem w kolorze bezchmurnego nieba. Delphine wydawało się, że pamięta matkę w tej sukience, choć jak w przypadku wszystkich innych wspomnień o niej, mogła to sobie tylko wyobrazić.

Dziś rano starannie złożyła szmizjerkę, owinęła w bibułę i umieściła w walizce wraz z resztą rzeczy. Potem jednak postanowiła ją włożyć. Przez ostatnie dwa tygodnie bardzo schudła. Nawet zapinając pasek na ostatnią dziurkę, czuła luz w talii.

Na nogach miała stare pantofle Chanel na wysokich obcasach, które dwadzieścia lat temu, jeszcze jako studentka, kupiła w butiku przy rue de Passy. Od tamtej pory wiele razy wymieniała w nich fleki.

Ten sam strój nosiła w dniu, w którym lecieli z Paryża do Nowego Jorku, a ona od startu aż do lądowania ścisnęła PJ. za rękę. Pamiętała, jak patrzyła na budynki w dole. Wyglądały niczym mrugające światełkami zabawki, a ona czuła się filigranowa i lekka w porównaniu z siedzącym obok mężczyzną. Na jej palcu błyszczał pierścionek z brylantami. Pasował doskonale, jakby robiony na miarę, choć miał już pewnie ze sto lat.

Tamtego wieczoru, kiedy podnieśli się, aby wyjść, stewardesa dotknęła jej ramienia.

- Czy to pani męża? - zapytała, wskazując trzymany w ręku sweter.

Delphine nie poprawiła jej. Nie wyjaśniła, że dopiero się zaręczyli. Zachwyciło ją samo brzmienie słów: „pani mąż”. Mieli przed sobą całe życie. EJ. pomagał właśnie jakiejś starszej pani wyjąć ze schowka wypchaną torbę - miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona i muskularne plecy. W ciemnych włosach ani jednego siwego kosmyka. Za każdym razem, gdy Delphine na niego patrzyła, zapierało jej dech w piersiach.

Nigdy wcześniej niczego takiego nie czuła. Dla niego bez żalu porzuciła dotychczasowe życie - pracę, dom, małżeństwo z Henrim.

O tamtego dnia minął zaledwie rok i cała sytuacja wydawała się przez to jeszcze bardziej bolesna. To tak niewiele czasu. Poszła za pożądaniem ścieżką, która jak uczy historia, zwykle prowadzi na skraj przepaści. A jednak była egoistką i wierzyła, że w jej przypadku sprawy ułożą się inaczej.

Na Zachodniej Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy wysiadła z taksówki prosto na sierpniowe słońce. W jednej ręce niosła walizkę, a drugą podtrzymywała na biodrze brązową papierową torbę. Przed nią wznosiła się kamienica, rzucając cień na chodnik. Miała własne imię - Wilfred - co Delphine przywodziło na myśl starszego łysiejącego mężczyznę z cygarem. Uważała Nowy Jork za męskie miasto, pełne wysokich budynków i ostrych krawędzi, pozbawione miękkości.

- Dzień dobry - powiedział rosyjski portier, otwierając przed nią szklane drzwi. - Pomóc pani wnieść bagaż?

Popatrzyła na jego obciążoną białą rękawiczką dłoń wspartą na mosiężnej gałce.

- Nie, dziękuję.

- P. J. wyszedł już do pracy - dodał.

Wszyscy odźwierni zwracali się do E. J. w ten sposób - na jego stanowczą prośbę. Delphine, słysząc to, za każdym razem się dziwiła. Takie zachowanie wydawało jej się wymuszone, zbyt intymne.

- Wiem. - Uśmiechnęła się. - Mam klucze.

Obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem. Zastanawiała się, czy E. J. wszystkiego mu nie opowiedział. Mogła sobie wyobrazić, jak wraca pijany do domu z jakiegoś baru i otacza Rosjanina ramieniem. „Hej, stary, zaraz opowiem ci niezłą historię”.

Może portier po prostu zauważył, że Delphine już tu nie mieszka? To nie on pracował tamtego wieczoru przed dwoma tygodniami, kiedy odeszła, tylko starszy facet, Irlandczyk, który odwrócił głowę na widok zalanej łzami Delphine wlokącej za sobą bagaże. Z drugiej strony odźwierni rozmawiali ze sobą i wiedzieli wszystko o lokatorach. Kiedy jeszcze mieszkała w Wilfredzie, musieli widzieć - ile razy? - jej narzeczonego przychodzącego i wychodzącego z inną kobietą, a jednak zawsze uśmiechali się do Delphine i nie zdradzili jego tajemnicy.

W ciągu ostatnich czterech miesięcy, zanim wszystko się popsuło, tęskniła za swoim mieszkaniem w Paryżu na czwartym piętrze typowej haussmanowskiej kamienicy w VI dzielnicy. Budynek pochodził z 1897 roku i stał przy rue de Grenelle, róg rue Cler, w okolicy, którą zawsze uważała za okropnie bourgeois. Mąż odziedziczył mieszkanie po rodzicach, gdy na emeryturze przeprowadzili się na wieś. Było duże - cztery chambres, bawialnią, jadalnia, salon i gabinet. Delphine nigdy go nie lubiła. Nawet po wymianie większości pozostawionych przez teściową mebli w stylu Ludwika XVI na współczesne, utrzymane w odcieniach bieli i szarości, i ułożeniu swoich książek na półkach, obok książek Henriego, gdzieś w głębi duszy zawsze czuła się tam jak gość. Teraz jednak ogarnęło ją dziwne pragnienie, żeby wrócić do tamtego mieszkania. Znów położyć się w wannie wspartej na lwich łapach, wsiąść do windy, najpierw odsunąwszy z wysiłkiem czarną metalową kratę.

Dziwne, jak bardzo może brakować miejsca, które nigdy specjalnie nas nie obchodziło. Czasem nagle ogarniała Delphine tęsknota za jakimś skrzyżowaniem, perfumerią albo widokiem staruszków grających po południu w boules na esplanadzie Inwalidów. Marzyła, by stanąć przy comptoir kawiarni, w której jako dwudziestoparolatka piła rano kawę, albo zobaczyć dzieci jedzące lody z wafelków w kształcie kwiatów popularnych tuż przed jej wyjazdem z Paryża.

Weszła do wyłożonego marmurem holu Wilfreda. Jak zwykle było w nim chłodno. Choć minęło tyle czasu, nie przyzwyczała się do obsesji Amerykanów na punkcie klimatyzacji. Działała w każdym sklepie i w każdym wagonie metra i choć

katastrofalnie wpływała na środowisko, najwyraźniej była nowojorczykom niezbędna. W mieszkaniach ludzie montowali na parapetach okien wielkie, paskudne metalowe skrzynki, które zużywały niewiarygodne ilości energii, by wpompowywać do pokoju chłodne powietrze. Z tysięcy okien w całym mieście wystawały klimatyzatory i przez całe lato skroplona para kapiała z nich prosto na głowy idących chodnikiem przechodniów. Do tego także Delphine się nie przyzwyczała.

Podobnie jak do podawanych w restauracjach porcji przeznaczonych dla jednej osoby, a wystarczających do wykarmienia całej rodziny. Do zabierania ze sobą do domu resztek jedzenia. Do kelnerów porywających talerz, nim zdążyło się odłożyć widelec, lub wyganiających gości z restauracji zaraz po zapłaceniu rachunku i niezważających na to, że nie dopili kawy.

No właśnie - kawa! Wszechobecny Starbucks. Kobiety zamawiające poranne latte. Przychodziły w spodniach od dresu,

bez śladu makijażu, z niedbale związanymi włosami. Wyglądały, jakby przed chwilą obudzono je z głębokiego snu i grożąc bronią, wypędzono na ulicę. Mężczyźni prezentowali się jeszcze gorzej - te ich równo przystrzyżone włosy, piwne brzuchy i brzydkie buty. We Francji męskie obuwie robiono z najdelikatniejszej skóry, miało cienkie eleganckie zółwki i wąskie noski. Tutejsze buty przypominały łodzie.

Były drobiazgi i poważniejsze sprawy: woda podawana z lodem. W cukiernicach sypki cukier zamiast kostek. Fałszywa poufałość obcych ludzi. Po miłej pogawędce na przyjęciu zapewniali, że trzeba się spotkać, umówić na zakupy lub obiad, obiecywali, że zadzwonią, a potem nie dawali znaku życia.

Oczywiście Nowy Jork, jak każde miasto, miał też swoje uroki. Delphine na długo zapamięta piękno wieżowca Chryslera. Blask słońca na szklanych ścianach drapaczy chmur. Wielki wybór przedstawień na Broadwayu w dowolny wieczór. Nie znosiła przesadnej amerykańskiej witalności, a jednak podziwiała przekonanie, że każdy może spełnić swoje marzenia bez względu na to, z jakiej pochodzi rodziny. P. J. był tego najlepszym przykładem. Nie, nie wolno jej nienawidzić Nowego Jorku.

Choć z drugiej strony nawet nowojorczyki skarżyli się na swoje miasto. Jakby sprawiało im przyjemność wyliczanie wszystkich jego najgorszych cech: smrodu śmieci w lecie, tłumów na Times Square. Drożyzny, tempa, napięcia, małych mieszkań, anonimowości. Mieszkańcy Paryża byli z niego dumni. I love Paris every moment, every moment of the year, śpiewał Cole Porter w ulubionej piosence ojca Delphine.

Przy windach nacisnęła górny guzik i patrzyła na zapalające się światełka pięter. Po chwili srebrne drzwi po prawej rozsunęły się, więc weszła do środka, a one zamknęły się za nią. Ściany windy były pokryte lustrami, Delphine nie mogła odwrócić od nich wzroku. W Nowym Jorku często słyszała, że jest podobna do Jacqueline Kennedy. P. J. powiedział jej kiedyś z dumą, że to największy komplement, jaki można usłyszeć w tym kraju. Pewnie właśnie dlatego Francuzi

podziwiali Jackie: przypominała jedną z nich, nie miała w sobie nic z Amerykanki. Teraz jednak Delphine zauważyła sińce i worki pod oczami, zmarszczki w kącikach ust. Skończyła czterdzieści jeden lat i po raz pierwszy w życiu wyglądała na swój wiek, a nawet starzej. Ojciec powiedział jej kiedyś, że kobieta wygląda pięknie w wielu sytuacjach, ale najpiękniej, gdy jest zakochana.

Kiedy Delphine odkryła prawdę, rozpacz wypełniła ją całą, wsączyła się w każdy zakamarek ciała. Leżała na łóżku w pokoju hotelowym, przy zaciągniętych zasłonach i żałośnie łkała. Nie mogła jeść ani spać. Odtwarzała w myślach każdą chwilę romansu, szukając tej, od której wszystko potoczyło się źle. Wiedziała, że od kilku miesięcy w ich związku istniało napięcie. Ale nie spodziewała się takiej zdrady. Nie miała już prawie żadnych pieniędzy, pracy, przyjaciół. P. J. był dla niej całym światem.

Po półtora tygodnia spędzonym w hotelu pewnego popołudnia obudziła się i podeszła do okna. Odsunęła ciężkie zasłony i spojrzała na brzydkie miasto w dole. Wciąż miała złamane serce, ale czuła się trochę silniejsza i bardziej przytomna, jak pierwszego dnia po przełamaniu kryzysu choroby. Wiedziała już, co powinna zrobić.

Wyjedzie z Nowego Jorku - nie ma sensu zostawać tu bez P. J. - ale nie ucieknie chyłkiem, jak żalosna wzgardzona kobieta. Sprawি, że ją popamięta.

Ponieważ nie odbierała telefonów, P. J. zaczął się dąsać - zostawiał na sekretarce kolejne wiadomości, domagając się informacji, gdzie jest Delphine, tonem upartego smarkacza,

który nie chce zjeść warzyw i grozi, że jeśli matka nie zabierze talerza, przestanie oddychać.

P. J. to dzieciak. Od razu powinna to zauważyć. Może zresztą zauważyła, ale i tak straciła dla niego głowę. Co prawda był młody, miał tylko dwadzieścia cztery lata i częściowo pewnie tu leżała przyczyna problemów. Ale był też Amerykaninem i artystą. Nikt nigdy nie żądał od niego, by zachowywał się jak prawdziwy mężczyzna. Najszybszy sposób, żeby pozbyć się fascynacji artystą, to z nim zamieszkać. Ponieważ P. J. był wirtuozem, ludzie traktowali go tak, jakby znał się doskonale na każdym aspekcie ludzkiej egzystencji. W rzeczywistości potrafił tylko jedno: grać na skrzypcach lepiej niż inni. Ale ta zdolność nie czyniła z niego wszechstronnego geniusza. Tak długo skupiał się wyłącznie na muzyce, że inne strony jego osobowości zanikły, nieużywane, a może po prostu nigdy się nie rozwinęły. Nie był szczególnie bystry czy wyrobiony kulturalnie i brakowało mu wrażliwości.

Nawet tamtego wieczoru, gdy stanęła przed nim, szlochając i wrzeszcząc, że zmarnował jej życie, położył ręce na jej ramionach i powiedział:

- Nie mogę znieść tego, że mnie nienawidzisz. Musisz obiecać, że nadal będziemy przyjaciółmi.

Właśnie te słowa, a nie to, co zrobił, wciąż towarzyszyły jej w myślach, nie pozwalając zasnąć.

Zniszczył ich związek, a teraz obchodzi go tylko to, że ona może go nie lubić. Jak mogła się zakochać w tym żalonym tchórze? Jak mogła podjąć takie ryzyko?

Winda dowiozła Delphine na szesnaste piętro. Wdychając znajomy zapach płynu do czyszczenia i świeżo odkurzonych dywanów, podeszła do drzwi mieszkania i włożyła klucz do zamka. Po ostatniej kłótni nie prosił, by go oddała, a ona o tym nie pomyślała. Klucz i pierścionek. Zatrzymała oba. Dzisiaj, wychodząc, zostawi klucz w mieszkaniu, a pierścionek prześle matce P J. zaraz po przylocie do Paryża. Mogłaby wysłać go od razu z Nowego Jorku, ale bała się wizyty na amerykańskiej poczcie i gburowatych pracowników zachowujących się tak, jakby mówiła do nich po łacinie.

- Nie rozumiem - burczeli szorstko, a ona rumieniła się z zażenowania przed kolejną obcych ludzi.

W mieszkaniu panowała cisza, tylko z łazienki dobiegało szuranie łap Charliego. Pies na widok Delphine przekrzywił pytająco łeb, po czym wrócił na chłodne kafelki. P.J. miał świra na jego punkcie. Twierdził, że zwierzę przypomina mu beztróskie czasy, kiedy bawił się na podwórku przy domu swoich rodziców w Ohio.

Pozwalał mu spać w łóżku. Kiedyś, gdy miał występ z orkiestrą filharmonii Los Angeles, pojechali w obydwie strony samochodem, nocując w okropnych motelach, ponieważ E.J. nie zgodził się, żeby Charlie podróżował w luku bagażowym, a jedyny godny zaufania opiekun wyjechał z miasta. Delphine nigdy nie lubiła psów, a także ludzi otaczających je przesadnym uwielbieniem. Psy domagały się uwagi, patrzyły na swoich właścicieli jak na bogów. Teraz uświadomiła sobie, że P J. należy do osób pragnących tego rodzaju relacji.

Przeszła przez korytarz, postawiła walizkę na podłodze i wkroczyła do sypialni. W kącie na honorowym miejscu stał na stojaku stradivarius. Tego ranka P.J. prowadził zajęcia dla klasy mistrzowskiej w Juilliardzie. Zabrał na nie instrument mniej imponujący, choć również bardzo dobry - może skrzypce Guadagniniego?

Delphine pamiętała terminy zajęć zapisane w kalendarzu czerwonym tuszem, i pojedyncze rzędkie pustych okienek. Upajała się wtedy tymi pustymi miejscami, planowała, jak

spędzą tak rzadki dla nich wolny tydzień. E J. bardzo często wyjeżdżał, dawał pięćdziesiąt koncertów rocznie. Marzyła o czasach, gdy ich życie trochę zwolni tempo. Może za parę lat zaproponują mu katedrę w prestiżowym konserwatorium i nie będzie tak często podróżował.

Oto, co myślała zaledwie przed dwoma tygodniami. Zdumiewające, jak szybko i bez ostrzeżenia życie potrafi się zmienić. A może pojawiały się sygnały ostrzegawcze? Ależ tak.

Delphine podeszła do skrzypiec. Dzieło Stradivariego. Znała je o wiele dłużej niż E.J. Były piękne. Najpiękniejsze, jakie widziała, zrobione przez samego mistrza w 1712 roku. Kiedy E J. na nich grał, jeden instrument zmieniał się w całą orkiestrę symfoniczną.

Krytycy chwalili wyjątkowość jego gry, określali ją jako technicznie doskonałą, a jednocześnie pełną wyobraźni. Nazywali go Rogue\*, bo żaden żyjący skrzypek nie był do niego podobny. Grał całym ciałem, poruszając się w rytm muzyki, z każdym pociągnięciem smyczka włosy opadały mu na oczy. W szczególnie wzruszających momentach przyciskał policzek do podbródka skrzypiec i przymykał powieki, jak chłopiec przytulający twarz do poduszki. Podczas gry się uśmiechał. Prywatnie mógł narzekać - na podróż, na nawał pracy - ale na scenie to wszystko jakby przestawało go obchodzić. Delphine uważała to kiedyś za dowód prawdziwej miłości do sztuki, teraz jednak sądziła, że bardziej cenił sobie moc uwodzenia słuchaczy.

Poszła do kuchni i postawiła brązową torbę na blacie. Wszędzie panowały czystość i ład. Zaskoczyło ją to. A potem pojawiła się nowa myśl, bolesna jak mocne uderzenie w brzuch. Oczywiście. Kazał posprzątać dla tamtej.

Kiedy Delphine wprowadziła się do ukochanego, wielu rzeczy jeszcze o nim nie wiedziała, bo spędzili razem zbyt mało czasu. Okazało się, że E J. zawsze ma włączony telewizor, nawet gdy wychodzi - nie wyłącza go z powodu psa. Nie zwraca uwagi na bałagan, jaki robi wokół siebie, i gromadzi w zlewie sterty brudnych naczyń.

Kiedy Delphine weszła tu po raz pierwszy, miała ochotę się rozplakać. E J. powiedział, że ma duże dwupokojowe mieszkanie w ładnej kamienicy w stylu art déco na Upper West Side, ale zapomniał dodać, że urządzone jest jak sypialnia w akademiku. Metr od największego telewizora na świecie leżał futon, a po obu jego stronach stały, w charakterze szafek, skrzynki na mleko. W sypialni materac także leżał wprost na podłodze, a resztę umeblowania stanowiły rozlatująca się komoda, regał na książki wyciągnięty z czyjegoś śmietnika i komplet jaskrawopomarańczowych foteli do furgonetki, które E J. odkupił, gdy jego ulubiony zespół rockowy postanowił podnieść standard i przesiąść się do autobusu.

- Dużo podróżuję - powiedział, przyciągając Delphine do siebie. -1 mieszkałem sam. Potrzeba tu kobiecej ręki.

Normalnie taka uwaga nie podziałałaby na nią zachęcająco. Ale wtedy, oczarowana E J., urządziła mieszkanie na nowo. Eo latach rywalizacji z teściową o to, która jest lepszą specjalistką w dziedzinie dekoracji wnętrz, wreszcie miała wolną rękę i mogła robić, co chciała.

Całą jesień w oparach miłości przemierzała Madison Avenue i wydawała pieniądze ich obojga na wschodnie dywany, najcieńsze prześcieradła, piękną porcelanę, stół jadalny ze szklanym blatem, krzesła obite białym materiałem i wielki materac na stelażu, z białym tapicerskim zagłówkiem. Kupiła też białą pościel i białą puchową kołdrę, tak miękką, jakby można było ulecieć na niej w powietrze.

W galerii w centrum wypatrzyła plany Lincoln Center. Kazała je oprawić i powiesiła nad kominkiem. Nie tęskniła za porzuconą w Paryżu pracą, nawet nie zastanawiała się, jak funkcjonuje bez niej sklep. Wieczorem wracała do domu, do P J., z

najnowszymi skarbami, a on chwalił postępy prac. Potem zwykle kochali się, wtuleni w siebie, aż do rana.

Delphine sięgnęła do torby, wyjęła dwie butelki caberneta i je otworzyła. Nalała pełny kieliszek i upiła łyk, choć nie było jeszcze dziesiątej rano. Zapaliła papierosa, a potem, przed odłożeniem go na spodek, głęboko się zaciągnęła. P J. nie pozwalał jej palić w mieszkaniu. Gdy był w domu, zawsze posłusznie wychodziła na ulicę. Nawet kiedy wyjeżdżał, bała się, że po powrocie poczuje dym, więc paliła, wystawiając głowę przez okno, jak nastolatka.

Postanowiła zacząć od sypialni. Weszła tam zdecydowanym krokiem, trzymając w każdej ręce butelkę wina. Stała nad łóżkiem, uniosła butelki, przechyliła i potrząsnęła nimi tak jakby przyprawiała sałatę. Na widok pierwszych purpurowych plam serce zabiło jej mocniej, ale potem wszystko poszło gładko. Resztę wina z jednej butelki wylała na blado-niebieski dywan, a z drugiej na poduszkę PJ. Cofnęła się i oceniła swoje dzieło.

Wcześniej zastanawiała się, czy będzie jej przykro patrzeć na ruinę mieszkania. Tymczasem czuła się wolna, jakby jedyną korzyścią ze zniszczonego życia było to, że niczego więcej nie musi się bać. To idealne miejsce stworzyła dla nich dwojga, a nie dla P J. i innej kobiety.

Rzuciła butelki na łóżko. Teraz podkoszulki.

Delphine często namawiała PJ., żeby ubierał się lepiej i bardziej po męsku. On jednak, chociaż podczas występów nosił wymagany strój wieczorowy, wyglądał jak niechlujny nastolatek. W czasie wolnym z uporem nosił miękkie kolorowe podkoszulki, których całą kolekcję uzbierał przez lata. Część z nich była przetarta i poszarzała ze starości. Widząc EJ. na ulicy, nikt by się nie domyślił, kim naprawdę jest. Delphine kupiła mu elegancki czarny garnitur Diora i cudowne skórzane półbuty, ale nigdy ich nie założył.

Garnitur zostawiła w spokoju. EJ. nie dbał o niego. Za to wyciągnęła z szuflady podkoszulki, jeden po drugim, aż zebrała całe ich naręczce. Zniosła je do kuchni, otworzyła szufladę z przyborami i wyjęła nożyce, które kupiła w sklepie Williams-Sonoma za osiemdziesiąt dolarów.

Zaczęła od czarnej koszulki z napisem COLLEGE, potem przeszła do ciemnopomarańczowej, ozdobionej słowami TEKSAS - WYDZIAŁ PRAWA, a następnie zajęła się zieloną, z plamami potu, pokrytą symbolami dolara i łuszczącym się napisem BANKIEROM WSZYSTKO PROCENTUJE. Dźwięk stalowych nożyc tnących bawełnę był chłodny i precyzyjny. Przypominał chrzęst jesiennych liści pod nogami. Delphine odetchnęła głęboko i pocięła na kawałki ponad dwadzieścia podkoszulków, aż nie pozostało z nich nic prócz konfetti ścinków na podłodze.

Spojrzała na zegarek. Zaplanowała każdy krok jak generał przed bitwą. Na razie miała nawet kilka minut w zapasie. Otworzyła szafkę, wyjęła słoik masła orzechowego, odkręciła i postawiła na blacie. Potem przyszła kolej na stos talerzy.

Pierwszy rzuciła na podłogę bez przekonania. Nie stłukł się i po krótkim chybotaniu znieruchomiał. Coś ją powstrzymywało. Przypomniała sobie, jak razem stali w dziale porcelany w domu towarowym Bloomingdale's i sprzeczali się żartobliwie, który wybrać wzór. Potem czekali w kolejce w Dean & DeLuca na parujące cappuccino, a E J. mocno obejmował ją w talii.

Delphine znów głęboko odetchnęła i poczuła, jak jej klatkę piersiową wypełnia powietrze. Sięgnęła po następny talerz. Ten rzuciła już z całej siły, patrząc, jak uderza o podłogę

i rozbija się na kawałki. Takim samym ruchem posłała na ziemię kolejne talerze, a trzask tłuczonego szkła dostarczał jej niemal seksualnej przyjemności. W pewnej chwili, jak to było do przewidzenia, pies przyszedł sprawdzić, co się dzieje. Zanim zdążył podejść do skorup, złapała go za obroź i biorąc w drugą rękę słoik z masłem orzechowym, zaprowadziła z powrotem do łazienki, gdzie miał spędzić następne pół godziny na wyżeraniu zawartości słoika przy szumiącym w górze wentylatorze. Tak samo postępował z nim E.J. za każdym razem, gdy się kłócili z Delphine, aby jak to ujmował, pies nie doznał traumy.

Po powrocie do kuchni zajrzała do lodówki. Była tam większość produktów, które zostawiła: camembert i ser pleśniowy z Zabar's, korniszony i jajka. Na blacie stał nowy nabytek: zielona szklana butelka pastisu opróżniona w jednej czwartej.

Delphine otworzyła szerzej drzwi lodówki i tak je zostawiła. Otworzyła też zamrażalnik i wyłączyła urządzenie z kontaktu.

\* Rogue (ang.) - łobuz.



# 2012

Kate obudził dochodzący z kuchni zdenerwowany szept matki.

- Mają w lodówce tylko mleko sojowe. Można by pomyśleć, że skoro przyjeżdżają goście...

Po chwili May, siostra Kate, ruszyła z odsieczą:

- Pojadę poszukać sklepu spożywczego i kupię zwykłe mleko. Zaraz, zaraz, czy na tej wsi w ogóle są jakieś sklepy spożywcze?

Kuzyn Kate, Jeffrey, postanowił w kwietniu wziąć ślub w Hudson Valley, dlatego sześcioro najbliższych krewnych - w tym troje dzieci - zatrzymało się u niej na weekend. Nad głową, przez okno dachowe w sypialni, Kate widziała kwadrat czystego błękitu - była pierwsza słoneczna sobota tej wiosny. Tak dużo mogłaby dzisiaj zrobić: wybrać się z córką na wycieczkę, skopać ogródek za domem, spędzić całe popołudnie z książką na tarasie. Ale nic z tych rzeczy.

- Nienawidzę ślubów - powiedziała.

Obok niej, jak każdego ranka, leżał Dan z kołdrą podciągniętą pod samą brodę. Już się obudził, ale zamiast otworzyć oczy, zacisnął powieki.

- Dlaczego musimy cierpieć tylko dlatego, że oni się kochają?

- Wiem - jęknęła Kate.

Powinna wstać wcześniej, przed wszystkimi. Wziąć prysznic i się ubrać, zanim reszta zejdzie na dół. Przygotować pyszne śniadanie. Zapiekanki, frittate czy coś w tym rodzaju. Zwykle jej budzikiem była Ava, jednak tym razem ktoś wszedł do sypialni i wyjął ją z łóżeczka. Kate wiedziała, że powinna być wdzięczna, ale w związku z tym minęła ósma, a matka na dole zdążyła już ocenić zawartość lodówki. Jako ciotka i chrzestna matka Jeffrey'a miała dziś wieczorem, podczas ślubu, odczytać fragment Biblii. Była przez to jeszcze bardziej zdenerwowana.

May i jej mąż Josh przywieźli ze sobą trójkę dzieci w wieku dziesięciu, ośmiu i pięciu lat, ponieważ, jak wyjaśniła przez telefon May, po ustaleniu daty ceremonii: „Choć ślub gejów niezupełnie zgadza się z naszymi przekonaniem, jest to pouczające wydarzenie. W dzisiejszych czasach wypada, by dzieci uczestniczyły choć w jednym”.

Przyjechali wczoraj z New Jersey. Gdy wielki SUV May skręcił na podjazd, zakłócając wiejską ciszę, Kate wyszła rodzinie na spotkanie, oddychając głęboko i prosząc w myślach Boga, w którego nie do końca wierzyła, żeby dodał jej sił.

Najstarszy syn May, Leo, od razu wyciągnął z kieszeni zieloną rurkę z plecionej słomy i zaproponował:

- Ciociu Kate, włóż tu palec.

- Nie! - ostrzegł Max, wysiadając tuż za nim. - To chińska pułapka na palce.

Kate pamiętała tę zabawkę z dzieciństwa. Kupowały je z May całymi workami w

tanich sklepach Five and Dime.

- Zamknij się, Max! - warknął Leo. - Wszystko zepsułeś.

- Leo, nie wyrażaj się - powiedziała matka Kate, Mona, wynurzając się z wozu. Za nią wysiadło najmłodsze dziecko May, Olivia, w niebieskiej sukni Kopciuszka.

- Cześć, kochanie - przywitała się Mona. - Jak się masz? Pocałowała córkę w policzek.

- Widzieliśmy w centrum handlowym dziewczynkę, której obcięto rękę, bo utknęła jej w chińskiej pułapce - oznajmił Max. - Są bardzo niebezpieczne.

- Wymyśliłem to, idioto. - Leo zarechotał. - Nie wiem, dlaczego nie miała ręki, ale na pewno nie przez pułapkę. Ciociu Kate! Spróbuj!

- Czy wypada tak ją nazywać? - Mona spojrzała na córkę, ściągając brwi. - Może teraz powinniśmy mówić: azjatycka pułapka?

- No dobrze, pokaż - ustąpiła Kate. Wsunęła palce w otwory po obu stronach rurki i urządziła wielkie przedstawienie, udając, że nie może ich wyciągnąć.

- Ja też chcę ją na kimś wypróbować - domagał się Max.

- Nie! - krzyknął Leo.

- Mam coś lepszego - oznajmił nadąsany malec. - Mongolską pułapkę na palce.

- Nie ma czegoś takiego - prychnął lekceważąco Leo. May wysiadła z samochodu i popatrzyła z dezaprobatą na siostrę.

- Nie zachęcaj ich - powiedziała.

Zupełnie jakby to Kate dała dzieciom chińską pułapkę w powitalnym podarunku. Jakby ona też miała osiem lat. Już się zaczyna, pomyślała.

Obiad przedślubny minął bez kłótni, choć synowie May tak długo wiercili się i narzekali, aż pozwolono im grać przy stole na Playstation, co wyraźnie nie spodobało się kuzynowi Jeffreyowi. Kate nigdy nie aprobowała metod wychowawczych May. Siostra powtarzała jej zawsze: „Poczekaj. Zrozumiesz, gdy sama będziesz miała dzieci”. Tymczasem Kate już od trzech lat była matką i nadal nie podobało jej się błędne koło przekupywania potomstwa, by było grzeczne, i straszenia, gdy się źle zachowywało.

- Lepiej zejdę na dół - powiedziała do Dana.

Przytulił ją mocniej, był taki ciepły.

- Zostańmy tu przez cały dzień. Powiedzmy im, że zachorowaliśmy - zaproponował.

- Tak, jasne. - Uśmiechnęła się szeroko. - A kto będzie patrzył na dziewczynkę sypiącą kwiatki spojrzeniem pełnym rodzicielskiego uwielbienia?

- Powiemy jej, że potem obejrzymy wszystko na Face-booku. Twoja siostra na pewno wrzuci tam jakieś zdjęcia, jeszcze zanim zaczniesz się ślub.

May umieszczała w sieci dokumentację z każdej chwili życia swoich dzieci, jakby przyjęcie urodzinowe lub mecz t-balla nie wydarzyły się naprawdę, dopóki nie opowiedziała o nich swoim czterystu trzydziestu siedmiu najbliższym przyjaciółom i znajomym.

Kate i Dan milczeli przez chwilę, dzięki czemu podsłuchali następującą wymianę zdań. Najpierw odezwała się matka:

- Co to jest? Orgazmiczny sok jabłkowy?

- Słucham? - spytała May. - Pokaż! Mamo, tu jest napisane: „organiczny”.

Kate wybuchnęła śmiechem.

- Jejku, jaki to musiał być dla niej zawód - powiedział Dan.

- Idę. - Wstała z łóżka. - Życz mi szczęścia.

W kuchni trójka siostrzeńców siedziała przy stole i jadła kupne grzanki Pop-Tarts. May i Mona stały przy blacie, każda z filiżanką kawy w ręku. Kate nie pamiętała, kiedy ostatni raz wszystkie trzy spędzały razem poranek. Matka i siostra nigdy nie wychodziły z domu bez makijażu. Teraz wyglądały bez niego dziwnie, jakby brakowało im małej, lecz istotnej części twarzy - brwi albo górnej wargi.

Ava, nadal w śpioszkach do spania, siedziała przypięta do wysokiego krzeselka, w rączce trzymała pokruszoną grzankę. Miała trzy lata i już była bardzo rezolutna.

- Mamo - powiedziała. - To dobre. Chcę jeszcze.

Kate miała ochotę wyrwać jej grzankę i wyrzucić do kosza. Musiała szybko podjąć decyzję, czy wytaczać działa. Karmiła Avę ekologicznym jedzeniem, nie dawała jej słodyczy ani produktów sztucznie przetworzonych, chociaż sami z Danem wciąż raz w tygodniu jedli tłustą chińszczyznę, a od czasu do czasu pożerali paczkę chipsów. Starali się jednak uważać na to, co kupują, świadomi okrucieństw chowu przemysłowego. Choć niemal całkowicie zrezygnowali z mięsa, wciąż jedli dużo śmieciowego jedzenia. Na swój sposób byli już straceni, ale Ava, piękna Ava, pozostała czysta. Kate miała ochotę zapytać siostrę, dlaczego zaraz po przyjeździe zabrała się do podważania jej autorytetu. Ale powiedziała tylko:

- Przywieźliście grzanki Pop-Tarts?

- Też cię witam, słoneczko. - May ściągnęła brwi. - Wybacz. Moje dzieci niczego innego by nie zjadły.

- Dodają do nich prawdziwe owoce - odezwał się Leo, chcąc pomóc matce.

Kate wiedziała, że zdaniem rodziny to niemądre, iż tak bardzo przejmuje się kwestią odżywiania Avy. „Karmiłam cię hot dogami i makaronem z topionym serem firmy Kraft i jakoś wyszłaś na ludzi”, mawiała matka, gdy przy różnych okazjach pojawiał się ten temat.

Mona i May traktowały Kate i Dana jak parę radykałów, choć nie robili niczego szczególnie niekonwencjonalnego. Jednak matka wszystko, co różniło się od dokonanych przez nią wyborów, traktowała jako osobistą obrazę. Wyprowadzkę na wieś, karmienie córki ekologicznym jedzeniem, brak ślubu.

Kate liczyła, że po narodzinach Avy naciski w tej ostatniej sprawie się zmniejszą, ale była w błędzie. A w ostatnich miesiącach poruszenie z powodu przygotowań do ślubu Jeffa przywołało wspomnienia. Dzień, w którym oznajmiła, że jest w ciąży, a matka kupiła jej białą sukienkę („Po prostu na jej widok po-myślałam o tobie, to

wszystko"). Tydzień, gdy dowiedzieli się, że urodzi dziewczynkę, a May zmusiła męża, by zaprosił Dana na piwo i spróbował namówić go, by się oświadczył.

- Będiesz miała nieślubne dziecko. Nie obchodzi cię to? - pytała matka, gdy Kate była w siódmym miesiącu ciąży i skończyła się zabawa w subtelności.

- Co to znaczy nieślubne? - zapytała Kate.

- To, że jego rodzice nie są małżeństwem.

- Zupełnie jak moi.

- To co innego.

- Dlaczego?

- Bo kiedyś nim byliśmy.

Dzieciństwo Kate upłynęło dość tradycyjnie na przedmieściu. Wychowała się w Montclair, w stanie New Jersey. Ojciec pracował jako redaktor działu listów od czytelników w gazecie „Star-Ledger” w Newark, a matka była dziekanem do spraw studenckich w małym pobliskim college’u.

Kate chodziła do renomowanej szkoły publicznej, grała, choć nieszczególnie dobrze, w piłkę nożną i w softball i do ósmego roku życia należała do skautek. Mieszkała w zwykłych rozmiarów domu w stylu kolonialnym, w którym zawsze panował lekki bałagan, w razie przybycia gości dający się sprzątnąć w pół godziny. Miały z May własne sypialnie.

Między siostrami były cztery lata różnicy. Na tyle dużo, by bawiły się razem tylko z braku innej możliwości. Każda miała swoich przyjaciół i spędzały wspólnie czas jedynie podczas nudnych rodzinnych przyjęć lub wakacyjnych wyjazdów.

Coś na kształt więzi pojawiło się między nimi podczas rozvodu rodziców. Kate była wtedy w pierwszej klasie szkoły średniej, a May w ostatniej. Żadna niczego się nie spodziewała. Co prawda rodzice często się kłócili i od czasu do czasu matka rzucała różne groźby. Pewnego ranka, odwożąc córki do szkoły, oświadczyła takim tonem, jakby spodziewała się gratulacji, że wreszcie dojrzała do tego, żeby opuścić ich ojca. May zaczęła płakać. Kate milczała, choć potem miesiącami zamartwiała się, co będzie. Ale minęły dwa lata i nic się nie zmieniło.

Płakała, kiedy rodzice powiedzieli, że naprawdę się rozstają. W pewnym sensie rozumiała, że osobno będą szczęśliwsi. Ale do diabła z ich szczęściem, ona nie chciała być dzieckiem rozwodników. Nie mogli zaczekać, aż wyjedzie na studia? Uważała, że szkoła średnia to najgorszy moment na podjęcie takiej decyzji. Znajomych, których rodzice rozstali się przed ich pierwszymi urodzinami, uważała za prawdziwych szczęściarzy. Nie znali innej sytuacji.

Podczas rozvodu sąd wyznaczył rodzicom wspólne sprawowanie opieki nad dziećmi. Zdecydowali, że od niedzieli do środy córki będą mieszkały w ich dawnym domu z ojcem, a od czwartku do soboty z matką, w tanim mieszkaniu dla pracowników uczelni. Tak wyglądało życie Kate w szkole średniej. Nie znosiła go.

Po rozwodzie May starała się być jeszcze doskonalsza - ładna, uprzejma, dobrze

ubrana, popularna, zawsze z chłopakiem u boku. Wydawało się, że każdą swoją decyzją próbuje zmyć piętno dziecka z rozbitego domu. Kate poszła w przeciwnym kierunku. W piątkowe wieczory, wraz z przyjaciółką Brandy, spędzały czas z gromadką studentów, których poznały na imprezie i szybko się do nich podczepiły. Udawały, że też są studentkami Uniwersytetu Bostońskiego, i wieczorami przesiadywały w akademiku, pijąc alkohol, paląc marihuanę, słuchając Radiohead i Ani DiFranco. Rozmawiały o literaturze, feminizmie i życiu z dziewczynami z grupy lub obściskowały się godzinami z chłopakami o sennych oczach, pachnącymi proszkiem do prania i papierosami.

Różnice między siostrami jeszcze bardziej podkreślało to, że były bardzo do siebie podobne: obie miały metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, brązowe włosy i śniadą cerę. Takie same chude nogi i ręce, małe piersi, nawet identyczny niewielki odstęp między brwiami. May, chcąc naprawić tę wadę, poświęciła mnóstwo czasu i pieniędzy na wyskubywanie włosów, usuwanie ich woskiem lub laserem, a Kate po prostu zostawiła brwi w spokoju. Patrząc na siostrę, dokładnie wiedziała, jak mogłaby wyglądać, gdyby codziennie rano przez godzinę malowała się i starannie dobierała stroje. Ale styl Kate, jeśli w ogóle go miała, dawał się opisać tylko słowem: niezobowiązujący. Czasami pociągała usta odrobiną błyszczycy, to wszystko. Nigdy nie nauczyła się używać eyelinera, podczas kilku prób zaciskała powiekę, gdy tylko pędzelek znalazł się w odległości siedmiu centymetrów od jej oka. Niekiedy zastanawiała się, czy w poprzednim życiu nie oślepieno jej patykiem.

Ojciec ożenił się po raz drugi, kiedy Kate była na pierwszym roku studiów. Nowa żona, Jean, pracowała w tej samej gazecie i okazała się miłą kobietą, także rozwódką z dwojgiem dzieci. Kate ucieszyła się i wyraźnie jej ulżyło - mogła skreślić samotność ojca z długiej listy zmartwień. Ale dziwne uczucie budziło w niej to, że on i Jean mieszkają w domu, w którym spędziła dzieciństwo. Zupełnie jakby ojciec wymienił jedną kobietę na drugą, wszystko inne zostawiając tak, jak było. Nawet kanapa w salonie i mosiężne łóżko z baldachimem w sypialni pozostały te same. Dzieci Jean z pierwszego małżeństwa nie znały swojego ojca, więc choć miały po dwadzieścia parę lat, zaakceptowały w tej roli nowego męża matki. Było to trudne do przyjęcia. „Powinnaś zadzwonić do brata i pogratulować mu nowej pracy”, radził przez telefon ojciec, a Kate przez chwilę zastanawiała się, o czym on, do diabła, mówi. Brat? Ona nie ma żadnego brata.

Matka nie wyszła po raz drugi za mąż. Poślubiła swoje życie - pracę i przyjaciół. Powiedziała kiedyś Kate, że kobiety, które wyrwą się z nieudanego małżeństwa, na ogół mają tyle rozumu, by trzymać się z dala od tej instytucji. Mężczyźni natomiast wciąż próbują znaleźć partnerkę - tym razem tę właściwą - bo nie potrafią być sami. Mimo to Mona pragnęła, żeby jej córki miały mężów. Wesele May planowała z obsesyjną dokładnością, jakby przyznawano za to nagrody. Siostra i wiele przyjaciółek Kate najpierw patrzyły na rodziców duszących się w niedobrym związku

lub przechodzących przez bolesne rozwody, a potem same brały ślub, jakby chciały naprawić wszystkie błędy starszych.

Bardzo wczesnie, jeszcze w szkole średniej, Kate straciła zaufanie do instytucji małżeństwa. Wersja, którą najczęściej oglądała, była smutna i zniechęcająca, przypominała serial *Wszyscy kochają Raymonda*. Po rozwodzie, gdy ten temat się pojawiał, ojciec cytował powiedzonko Rity Rudner: „Mężczyźni z przekłutymi uszami są lepiej przygotowani do małżeństwa, ponieważ doświadczyli bólu i kupują biżuterię”. Za każdym razem, gdy mówił to ze śmiechem, Kate robiło się trochę niedobrze.

Podczas drugiego roku studiów na uniwersytecie w Vermont zapisała się na jesieni na zajęcia o nazwie „Historia małżeństwa”. Dowiedziała się z nich, że z historycznego punktu widzenia w małżeństwie w ogóle nie chodziło o miłość. Był to przede wszystkim interes.

Przez stulecia, w rozmaitych kulturach, kobiety do wyjścia za mąż zmuszano okropnymi sposobami - poprzez porwania, przemoc, nawet zbiorowy gwałt. W osiemnastowiecznej Anglii kobieta nie miała w małżeństwie żadnych praw, poza tymi, które przyznał jej mąż. Amerykańskie prawo skopiowało te założenia i do lat sześćdziesiątych XX wieku nie wprowadzano w nim żadnych zmian. W większości stanów mąż był „głową

i panem domu”, mógł bić żonę, decydować we wszelkich sprawach rodzinnych i mieć pełną kontrolę nad pieniędzmi, także tymi, które były własnością partnerki.

Im więcej Kate dowiadywała się o małżeństwie, tym większą czuła do niego odrazę. A więc na tym to ma polegać?

Gdy przyjechała do domu na Święto Dziękczynienia, nie ukrywała swoich uczuć. Chociaż pewnego dnia chciała mieć rodzinę, w głębi serca wiedziała, że nigdy nie wyjdzie za mąż.

- Małżeństwo to sztuczny twór - oznajmiła, polewając sosem pierś indyka. - Pozornie stworzono je po to, by zapewnić kobietom bezpieczeństwo i lepsze życie, ale w rzeczywistości służy głównie ich zniewalaniu. Do dziś w Afganistanie zachęca się kobiety, by poślubiły swoich gwałcicieli.

- Nie mieszkamy w Afganistanie. - Matka wyglądała na zażenowaną.

- Tu, w Ameryce, do lat siedemdziesiątych kobieta nie mogła otrzymać karty kredytowej ani pożyczki bankowej bez pisemnej zgody męża. A mąż mógł zmusić żonę, by uprawiała z nim seks. Nie istniało pojęcie gwałtu małżeńskiego.

- Proszę nie używać przy stole słowa „gwałt” - upomniała ją matka. - Dziadziu, czy możesz mi podać borówki?

Wszyscy, łącznie z chłopakiem Kate, Toddem, myśleli, że to przejściowa faza. Kate i Todd byli parą przez pięć lat, po dyplomie przenieśli się do Nowego Jorku i zerwali ze sobą latem tuż po dwudziestych piątych urodzinach obojga. Gdy podczas weekendu w Burlington Todd jej się oświadczył, Kate była w szoku. Setki razy

wyjaśniała mu, dlaczego nie chce wyjść za mąż, i sądziła, że się z nią zgadza. Zresztą przez długi czas zachowywał się jak człowiek, który wygrał los na loterii, bo znalazł kobietę, którą nie interesuje małżeństwo. Jednak kilka miesięcy przed oświadczeniami zaczął sprawiać wrażenie, jakby przekreślono w nim jakiś przełącznik. Zaczął mówić, że życie bez ślubu to infantylizm, i pytać, co pomyślą ludzie o nich i o ich przyszłych dzieciach. Poza tym, dodał, rząd zmusza pary do legalizacji związku. Ma się wtedy różne korzyści i ulgi podatkowe. Kate stwierdziła, że nie do końca jest to prawdą.

- Tylko w przypadku tradycyjnych, patriarchalnych małżeństw, w których mężczyzna przynosi pieniądze, a kobieta zajmuje się domem. Nasz system podatkowy karze związki, w których obie osoby dobrze zarabiają.

- Wszystko jedno. - Todd pokręcił głową. - Nie chcę się z tobą ożenić ze względu na podatki. To by zniszczyło cały romantyzm.

Kate powiedziała, że chce z nim być, ale za niego nie wyjdzie. Stwierdził, że to bzdura. Każda kobieta w głębi duszy pragnie wyjść za mąż. Zerwali ze sobą. A sześć miesięcy później Todd zaręczył się z inną dziewczyną.

Mniej więcej w tym samym czasie matka Kate zaczęła panikować.

- Na studiach wiele osób ma ideały, od których potem odchodzi - tłumaczyła. - To żaden wstyd.

Zaproponowała wspólną terapię, aby dokładnie ustalić, w jaki sposób zaszkodził córce rozwód rodziców.

Kate próbowała wyjaśniać matce, że nie chodzi jej o rozwód, tylko o to, że małżeństwo to przestarzała i ograniczająca instytucja, która sprawdza się tylko w połowie przypadków. Ale logika tych wywodów w niczym jej nie pomogła. Chociaż pod każdym innym względem Kate była idealną córką - oddaną, odnoszącą sukcesy - jednak to, że nie chciała wziąć ślubu, czyniło ją w oczach matki podejrzaną.

Mężczyźni, z którymi umawiała się na randki, traktowali ją równie podejrzliwie. Kiedy mówiła im, że nie zamierza wychodzić za mąż, zwykle spotykała się z niedowierzaniem lub była nazywana feministycznym betonem. W wieku dwudziestu ośmiu lat nabrała pewności, że nigdy nie spotka człowieka, z którym stworzy dłuższy związek. Pogodziła się z tym. Mieszkała w małej wynajętej kawalerce w Brooklyn Heights, sama się utrzymywała, miała satysfakcjonującą pracę, wspaniałych przyjaciół i może nic więcej nie było jej pisane.

A potem poznała Dana. Jak na ironię na weselu ich wspólnej koleżanki Tabithy. Pochodził z Wisconsin, był projektantem stron internetowych i przed przeprowadzką do Nowego Jorku przez osiem lat pracował w Szwecji. Tam życie bez ślubu było czymś zupełnie normalnym. Wielu sztokholmskich przyjaciół Dana kupowało domy i miało dzieci, nigdy nie legalizując swoich związków. Gdyby spotkał inną kobietę, pewnie w końcu by się ożenił, ale spodobał mu się pomysł, by dwoje ludzi codziennie od nowa decydowało się na wspólne życie, zamiast być na siebie skazanymi i traktować rozpad związku jako osobistą porażkę. Dan odnosił się też nieco nieufnie

do władzy i po zastanowieniu doszedł do wniosku, że nie widzi powodu, aby częścią ich związku miał być rząd. Coś, co wszystkim dawnym chłopakom Kate wydawało się przeszkodą nie do pokonania, nagle przestało mieć znaczenie.

Pasowali do siebie z tego powodu oraz setki innych. Na ślubie, na którym się poznali, pani pastor ubrana w zwiewne białe szaty powiedziała coś, czego Kate nigdy nie zapomniała. „Prześcigajcie się nawzajem w dobroci”. Starali się z Danem postępować według tej zasady. Gdy Kate coś w ich związku irytowało, próbowała to przepracować albo spokojnie i z empatią porozmawiać o tym z Danem.

Pamiętała z dzieciństwa zbyt dużo weekendów zepsutych przez kłótnie rodziców. Zwykle zaczynała je matka od zaczepki przy śniadaniu, lekkiego dokręcenia śruby: „Gary, mówiłeś chyba, że włączysz wieczorem zmywarę. Teraz w całym cholernym domu nie ma ani jednego czystego kubka”. Większość mężczyzn pewnie by przeprosiła lub obróciła sprawę w żart, ale ojciec Kate wolał ignorować żonę, kierując uwagę na dzieci, swoje żywe tarcze. „No to co dzisiaj robimy? Chcecie pójść do oceanarium?”

Jego bierność doprowadzała matkę do szału. Może właśnie dlatego tak się zachowywał? „Gary, mówiłam coś do ciebie - powtarzała. - Gary!”

„Słyszałem, Mono. Po prostu znam lepsze sposoby na spędzenie soboty niż wyklócanie się o głupią zmywarę”.

Kate siedziała między nimi i czuła, jak wszystko w niej kamienieje. Pragnęła, żeby matka ustąpiła. Ale Mona, jakby nie wiedziała, do czego to doprowadzi, kierowała rozmowę na jakiś przykry temat i mówiła coś w rodzaju: „Może gdybyś potrafił przyjąć trochę konstruktywnej krytyki, awansowałbyś choć raz w ciągu ostatnich dziesięciu lat”. Od tego momentu pretensje narastały niczym kula śniegowa i Kate wiedziała, że już za chwilę ojciec zamknie się w warsztacie stolarskim za domem, a matka wzruszy ramionami i zapyta, jaki ten facet ma problem.

Kate bardzo długo bała się, że odziedziczyła po matce skłonność do ranienia innych. Gdy poznała Dana, od razu zauważyła, ile jest wart, i ślubowała sobie, że niczego nie zepsuje. Dan był porządnym facetem ze Środkowego Zachodu, o właściwych poglądach i wielkim sercu. Takim, który odwraca monetę na chodniku orłem do góry i zostawia, żeby znalazł ją ktoś inny.

W rodzinie Kate, gdy go poznała, odżyła nadzieja.

- Myślisz, że się pobierzecie? - zapytała May, gdy spotykali się już od paru miesięcy.

- Myślę, że będzie ojcem moich dzieci - odparła Kate. Czuła, że wyznała coś ważnego i wielkiego. Spodziewała się, że siostra ją uściska.

Ale May stwierdziła:

- Jeśli nie myślisz o ślubie, to zły znak. { Poza kwestią małżeństwa pozostawała jeszcze sprawa wesela. W umyśle siostry Kate te dwie zupełnie różne sprawy były ze sobą nierozłącznie splecione. May uważała, że zakochana kobieta poświęca każdą wolną chwilę na rozmyślenia o lukrze na torcie, zespole przygrywającym do tańca



oraz sukniach drухen i wcale nie kłóci się to z podejmowaniem decyzji o spędzeniu całego życia z drugą osobą. Do Kate nie przemawiało ani jedno, ani drugie. Wiedziała, że kobieta powinna pragnąć wyjść za mąż, ale myśl o weselu wywoływała u niej dreszcz przerażenia, podobnie jak panny młode, które chciały być „inne niż wszystkie”. „Nie jestem taka jak inne!” - mówiły jej przyjaciółki, a potem wszystkie zachowywały się dokładnie tak samo. Kate była już na weselu za sześciocyfrową kwotę w Hamptons, na weselu z jedzeniem serwowanym z przyczepy na Brooklynie, na wesołym ludowym weselu w Kentucky i na weselu na zamku w Irlandii. Niczym się od siebie nie różniły.

Na każdym zjawiała się uśmiechnięta. Wręczyła ładny prezent, tańczyła i wznosiła toasty za szczęście młodej pary. Nie chciała wyglądać na zrzęde. Żałowała nawet, że nie stać jej na większą tolerancję, w głębi duszy bowiem nienawidziła cudzych zdjęć ślubnych. Zwycięskiego gestu, z jakim panna młoda podnosi bukiet, mówiąc „Ślubuję”, jakby właśnie dokonała jakiegoś niezwykłego czynu. Nienawidziła też tego, że nawet szczupłe kobiety przed ślubem odchudzają się i wyglądają jak własne karykatury. Wyrzucanych w błoto pieniędzy, które można by wydać na milion pożytecznych rzeczy. Wszystkie przyjaciółki Kate były tak przejęte organizowaniem uroczystości, jakby planowały paradę Macy's na Święto Dziękczynienia. Powstały nawet błogi z poradami dla zestresowanej panny młodej, niechętniej panny młodej czy niekomercyjnej panny młodej. Ale nikt poza Kate nie wycofał się z całego interesu i nie zapytał: „Po co w ogóle być panną młodą?”.

Naciski środowiska były ogromne. Dziesięć lat temu ją to dziwiło, ale teraz chyba wreszcie rozumiała, dlaczego tak się dzieje. Ludzie pragnęli, żeby inni potwierdzili słuszność ich wyborów, postępując tak samo. Kate, szczęśliwie lub pechowo - zależy, jak na to spojrzeć - nie przejmowała się opinią innych, o ile sama uważała, że postępuje słusznie. Ani razu nie zastanawiali się z Danem, czy jednak się pobrać, żeby sprawić przyjemność rodzicom i zamknąć usta znajomym. Mimo to Kate denerwowało czasem, że nikt nie traktuje poważnie jej związku, ponieważ nie są małżeństwem. Była z Danem dłużej niż niektóre przyjaciółki ze swoimi mężami.

Czasem kobiety zwierzały się Kate, że także chciałyby odważnie przeciwstawić się tradycji, ale potem robiły to, czego od nich oczekiwano, żeby wszyscy byli zadowoleni. Inne nie wierzyły, że Kate naprawdę nie chce wyjść za mąż. Pewnego razu, gdy była już ze swoim partnerem dwa lata, wybrali się na kolację razem ze współpracownikiem Dana i jego narzeczoną.

- Planujecie wkrótce zaręczyny? - zapytała Kate tamta kobieta.

- Nie - odparła Kate.

Szczęśliwa narzeczona poklepała ją po ręce i wyszeptała:

- Musisz więcej płakać.

Dan żartował, że powinni powiedzieć wszystkim, iż są roz-wodnikami, bo takie osoby zwykle zostawiano w spokoju. Nieudane małżeństwo wyjaśniało coś, czego nikt nie

mógł pojąć: dlaczego dwoje kochających się ludzi nie chce wziąć ślubu.

Przez pewien czas Dan odpowiadał pytającym, że bojkotują małżeństwo do czasu, aż będą mogli zawierać je także geje. To kłamstwo zamykało ludziom usta. Prawdziwe powody były

zbyt skomplikowane, a zresztą i tak nikt by im nie uwierzył. Mogli godzinami tłumaczyć komuś, że ich zdaniem państwo nie powinno ingerować w tak intymny związek i że nie ufają przemysłowi, który powstał wokół ślubów, a na koniec ta osoba i tak stwierdzała: „A więc, krótko mówiąc, boicie się w pełni zaangażować”.

Teraz jednak geje mogli już zawierać małżeństwa. Kate pamiętała wieczór, w którym Jeff i Toby powiedzieli im o swoich zaręczynach. Przyjechali z miasta na weekend i wszyscy czworo siedzieli na tarasie, podziwiając zachód słońca.

- Jesteś na mnie zła? - zapytał Jeff po ogłoszeniu nowiny.

- Tak-odparła.

- Bo wiesz, że będę upiorną panną młodą?

5 - Chyba czeka mnie jeszcze większa makabra niż wesele May - jęknęła Kate.

- Makabra, ale mniej pospolita - zauważył Jeff. - Dobra wiadomość jest taka, że nie zamierzamy urządzać wieczoru panińskiego. Jesteśmy już chyba na to trochę za starzy. Ale chcemy, żeby Ava sypała kwiatki. Skoro ja nie mogę włożyć sukni typu beza, będzie musiała zrobić to za mnie. I pragniemy się pobrać tutaj, na wsi. Będiesz musiała mi pomóc znaleźć catering, florystów i całą resztę. Miejsce już zarezerwowaliśmy.

- Gdzie? - zapytał Dan.

- W hotelu Fairmount - odpowiedzieli jednym głosem i wzięli się za ręce.

- O Boże, oni już przeszli na ciemną stronę mocy. Nawet mówią jednocześnie - jęknął Dan i podniósł się z krzesła.

- Chyba została nam z Nowego Roku butelka szampana. Zaraz wracam.

- Zamówiliśmy ogród na ślub o zachodzie słońca i koktajle

- ciągnął Jeff, gdy Dan wszedł do domu. - Trzysta sześćdziesiąt stopni widoków na góry i rzekę Hudson.

- Wspaniała panorama, Kate. - Toby promieniał. - Byle tylko nie padało, a wszystko się uda.

- Powiem jedno: matka natura lepiej niech mi w tym dniu nie bruździ - dodał Jeff. - Czekałem na to dziesięć lat.

- Na pewno nie odważy się z tobą zadrzeć. - Kate się uśmiechnęła.

- Przyjęcie odbędzie się w sali balowej z widokiem na rzekę. Zarezerwować ją na sobotę w kwietniu to cud, ale nam się udało. - Jeff był z siebie bardziej dumny niż w dniu, gdy zdał egzamin adwokacki czy wygrał pierwszą ważną sprawę. - Wyobraź sobie tylko: okna od podłogi do sufitu. Neutralna paleta barw w odcieniach kremu, grzybów i szaławii, która wygląda dobrze z każdym weselnym przybraniem.

Dan wrócił z szampanem i czterema kieliszkami. Kate złapała go za ramię koszuli,

jakby bała się, że upadnie, chociaż siedziała na krześle.

- Przestań, skarbie. Nie straszmy jej - powiedział Toby.

- Nie, nie! - wykrzyknęła. - Mów dalej. Widok zapowiada się wspaniale. I to, co mówiłeś o grzybach. Też dobrze brzmiało.

Chciała się cieszyć ich szczęściem. Byli jej najlepszymi przyjaciółmi. Ona i Jeffrey zawsze trzymali się razem jako dwie rodzinne czarne owce. On był gejem, a ona Kate, i tyle. A teraz Jeff pragnął stać się dokładnie taki sam jak wszyscy. Wziąć ślub. Kate nie mogła pojąć dlaczego.

Później tego samego wieczoru stała z kuzynem na tarasie, patrząc na dalekie góry.

- Nie pękasz - odezwał się Jeff - chociaż wiem, że nie łapiesz, o co mi chodzi.

Poza Danem był jedyną osobą, z którą rozmawiała o swoich wyborach, która wydawała się rozumieć, dlaczego Kate nie chce wyjść za mąż. I choć wiedziała, że nie o nią tu chodzi, odebrała decyzję Jeffa jako rodzaj zdrady.

- W tyłu krajach na świecie ludzie nie dbają o śluby - powiedziała.

- Ale nie w Ameryce.

- Nie. Nie w Ameryce - przyznała.

- A swoją drogą, skąd się taka wzięłaś?

- Nie wiem. Pewnie May wchłonęła z macicy matki wszystkie substancje odżywcze potrzebne do ukształtowania normalnego dziecka.

- Brzmi sensownie. Jak to powiedziała Fran Lebowitz? Dlaczego geje chcą się żenić i służyć w wojsku, skoro to dwa najgorsze aspekty bycia osobą heteroseksualną? Coś takiego. A my po prostu pragniemy, żeby nasz związek był akceptowany i przyjmowany jak każdy inny. Może to brzmi głupio, ale jest naprawdę proste. Chcemy być tacy jak wszyscy.

- To jeden z powodów, dla których ja nie chcę brać ślubu. Po prostu czuję, że to, co jest między mną i Danem, nie jest takie samo jak to, co łączy May i Josha, naszych przyjaciół albo, uchowaj Boże, moich rodziców. Nie sądzę, żeby istniały dwa takie same związki, więc po co na wszystkich przybijać ten sam stempel?

- Nie to miałem na myśli, mówiąc „tacy sami” - wyjaśnił Jeff. - Chodziło mi o równość.

- Wiem.

- W moim sercu zawsze byliśmy małżeństwem. Ale teraz będą nam przysługiwać te same podstawowe prawa co osobom heteroseksualnym: ubezpieczenie, prawo dziedziczenia i tak dalej. Wiesz, chcemy kiedyś adoptować dziecko. Zawsze się bałem, że jeśli coś stałoby się Toby'emu i nie bylibyśmy małżeństwem, jego stuknięci rodzice próbowaliby mi je odebrać.

Objęła go ramieniem i starała się zrozumieć. Od tamtej pory zachowywała się jak dobra przyjaciółka. A kilka tygodni później Jeff i Toby znów przyjechali do nich na weekend. Kate przygotowała ucztę: chleb dyniowy, muffiny z jagodami, żeberka z ziemniakami au gratin i zieloną fasolką, szarlotkę z kruszonką i wiadra czerwonego

wina. Przez dwa dni siedzieli przy kuchennym stole obłożeni stertami pism o tematyce ślubnej i laptopami. Planowali. Dan nazywał to naradą wojenną.

Wśród magazynów było nowe pismo o nazwie „Wedding Pride”. Jeśli Kate przypuszczała, że przemysł weselny będzie miał problem ze skomercjalizowaniem ślubu dwóch mężczyzn, to się myliła: na kolorowych stronach roiło się od reklam wybielania zębów, botoksu czy laserowej korekty wzroku, bo jeszcze, nie daj Boże, ktoś wzięłby ślub w okularach. Jeffa zirytował artykuł pod tytułem: Mój wielki gejowski miesiąc miodowy: dziesięć lokali przyjaznych gejom w różnych zakątkach świata.

- Błagam! - jęknął. - Spędzę miesiąc miodowy tam, gdzie będę chciał.

Toby rzucił okiem na tę stronę.

- Chodzi o względy praktyczne. Nie wszędzie czulibyśmy się komfortowo. Są miejsca, w których ludzie potrafią odnosić się do gejów naprawdę wrogo. Jesteś ze Wschodniego Wybrzeża i nie masz o tym pojęcia.

- Hej, studiowałem w Madrycie - sprzeciwił się Jeff, na co jego narzeczony tylko wzniósł oczy do nieba.

Jeff robił notatki w trzymanej na kolanach księdze.

- Co to takiego? - zapytała po chwili Kate.

- Moja książka panny młodej.

- Co proszę?

- Planer ślubny według Emily Post.

Kate spojrzała na Toby'ego, ale on tylko wzruszył ramionami.

- Pokaż - zażądała. Przerzuciła pastelowe strony, a jej niepokój wzrastał z każdym kolejnym zadaniem. Trzeba było pomyśleć o kwiatkach, stronie internetowej, zespole grającym na przyjęciu i muzyce podczas ślubu, wizytówkach na stół, sztuczkach i obrusach. O zaproszeniach i drobnych upominkach dla wszystkich gości. O tak zwanej „stylizacji weselnego stołu”.

- Czuję, że już od samego patrzenia zaraz dostanę ataku paniki, a to przecież nie jest nawet moje wesele - powiedziała. Wskazała jedną ze stron. - Powinnaś mieć możliwość skontaktowania się w nagłych wypadkach z każdą drużyną. Musisz znać ich wzrost, wagę oraz dokładne daty przymiarek sukni.

- Nie mamy druhen, więc możesz nie zwracać na to uwagi - powiedział Jeffrey.

- W porządku. - Przewróciła kolejną stronę. - Powinnaś zostawić gościom w pokojach hotelowych osobiście wybrane upominki oraz listę miejscowych atrakcji.

- To chyba oczywiste.

W niedzielę objechali okolicę i odwiedzili pięć ulubionych lokali Jeffreya, tylko po to, by się upewnić, czy wybrał najlepszy. Spróbowali potraw firmy cateringowej, której właścicielka specjalizowała się w faszerowaniu jedzenia innym jedzeniem - pomidorów faszerowanych listkami shiso i wasabi, fig nadziewanych gorgonzolą oraz czerwonej papryki faszerowanej kurczakiem z ryżem. Wszystkie te nadzienia wydały

się Kate trochę zbyt ostre, ale nie wspomniała o tym Jeffowi, tylko Toby'emu, który stwierdził:

- Może złości ją małżeństwo.

Wiedziała, że wesela to dochodowy interes: za każdym razem, gdy włączała telewizor, natrafiała na program o wyborze idealnej sukni, idealnego motywu przewodniego lub idealnego tortu. Mimo to koszty wprawiały ją w osłupienie: wynajęcie pustej stodoły obwieszanej lamkami choinkowymi kosztowało sześć tysięcy dolarów za dzień. W wiejskiej gospodzie liczone za obiad dwieście dolarów od osoby.

Kiedy pracowała w organizacji charytatywnej w Nowym Jorku, do jej obowiązków należało przygotowywanie informacji prasowych o konkretnych potrzebach w przeliczeniu na dolary i centy. Ludzie chętniej dawali pieniądze, jeśli dokładnie wiedzieli, na co zostaną przeznaczone. Kate nabrała przykrego zwyczaju przenoszenia tych obliczeń do normalnego życia. Za cenę obiadu dla dwóch osób na weselu Jeffreya można było kupić pompę do studni głębinowej, która dostarczałaby czystą wodę całej niewielkiej społeczności, albo płacić przez rok za naukę sześćdziesięciu uczniów w obozie dla uchodźców w Kenii. Cena kwiatów była równa cenie tysiąca moskitier, które uchroniłyby przed malarią pięć tysięcy Kambodżan. Podczas wyjazdu służbowego Kate poznała matkę dziewięciorga dzieci, której mąż i dwaj najstarsi synowie w wieku czternastu i dwunastu lat zmarli na tę chorobę. Rodzina miała tylko jedną moskitierę wystarczającą do osłony pięciu osób i każdego wieczoru kobieta musiała wybrać, która dwójka spośród ocalałych dzieci będzie wraz z nią spała na zewnątrz. Wystarczyło pięć dolarów, żeby ocalić im życie. Choć to wbrew przepisom, Kate oddała całą gotówkę, jaką miała przy sobie, tamtej kobiecie i jej sąsiadom. Na widok ich radości z powodu tak małej sumy wstydziła się amerykańskiej rozrzutności. Teraz wyobraziła sobie osiemnaście wybranych przez Jeffa wspaniałych stroików na stoły - z róż, peonii, hortensji i pachnącego geranium - które następnego dnia rano powędrują do śmieci. Zrobiło jej się niedobrze.

Kate zdawała sobie sprawę, że ludzie nie myślą w ten sposób o pieniądzach. Jeffrey i Toby byli hojni. Proszeni o wsparcie, udzielali go. Nikt nie powinien mieć do nich pretensji, że chcą wydać siedemdziesiąt tysięcy dolarów na wesele dla dwustu osób. Taki jest zwyczaj.

Początkowo chcieli urządzić skromniejszą imprezę dla osiemdziesięciorga gości, ale gdy tylko wujostwo Kate dowiedzieli się o zaręczynach, ułożyli listę z setką nazwisk.

- Czy kiedyś przyszłoby ci do głowy, że moi rodzice będą chcieli zapraszać ludzi na gejowski wesele swojego syna? - zapytał Jeff. - Tata już przystąpił do Strażników Wagi. Chce zrzucić dziesięć kilogramów. A mama biadoli, że nie pobieramy się w New Jersey. Podobno zgodnie z tradycją ślub powinien odbyć się w rodzinnym mieście panny młodej i ludzie uznają nasz wybór za dziwaczny. Wyjaśniłem jej, że w zasadzie nie mamy panny młodej.

- Czyżby? - Toby uniósł brwi.

Po weekendzie Jeffrey dał się ponieść szaleństwu tak samo, jak zrobiły to wszystkie znane Kate przyszłe żony. Kiedy rozmawiała z nim o czymś, co nie dotyczyło wesela, nie potrafił się skoncentrować. Wyznał jej, że w nocy leży bezsennie i rozmyśla, czy powinni podczas koktajlu podać na przekąskę przegrzebki, czy też może wejść na wyższy poziom cenowy i zdecydować się na roladki z homarem. I czy będą one uroczo wyszukane, czy też idiotyczne w miejscu tak oddalonym od morza? Całymi godzinami oglądał stare prognozy pogody i Almanach farmera w sieci, próbując wydedukować, czy tego dnia może padać. Raz, w samym środku rozmowy o chorej ciotecznej prababci, oznajmił:

- Zauważyłaś, że słoje są teraz ogromnie modne?

- Słucham? - zapytała Kate.

- Ludzie używają ich na weselach do wszystkiego. Na świece, koktajle, stroiki. Muszę przyznać, że mi się podobają. Ale może to przesada?

Zjadał go stres. Wyznał Kate, że zaczęły mu wypadać włosy i czasem rano budzi się pokryty wysypką. Chodzi do kancelarii, ale zamiast pracować, obsesyjnie ogląda w internecie zdję-

cia z wesel obcych ludzi, żeby podkraść pomysły na kwiaty i oświetlenie. Marnuje całe dni, siedząc na portalu ślubnym [www.theknot.com](http://www.theknot.com). Dostał też świra na punkcie witryny Pinterest, pełnej totalnego rozpasania, gdzie zamieszczano zdjęcia wspaniałych namiotów, przystrojonych muszkami golden retrieverów i piegowatych chłopców niczym z ilustracji Normana Rockwella, podających na poduszkach obrączki.

Jeff nałogowo czytał blog Prawie żona o kobietach, które zerwały zaręczyny. Pokazał też Kate stronę o nazwie Weselne skowoty, gdzie szukał wskazówek na temat sprzedawców, a wessało go w wir internetowych dyskusji. Przyszłe panny młode miały własny język pełen skrótów: D (druhna), PM (przyszły mąż), KŚ (konsultantka ślubna), ZSMT (zaraz szlag mnie trafi), DŚ (data ślubu).

Używały nicków typu Przyszła Pani Johnson, a jako sygnaturek zdań „Za X dni poślubię mojego ukochanego”, przyozdobionych rządkiem tańczących serc. (Lub, co gorsza, różowej powiewającej jak wstążka miarki z liczbą kilogramów utraconych i tych, które jeszcze należy zrzucić do wielkiego dnia).

- Napis zero dni jest taki smutny. Przypomina, że w pewnej chwili ślub po prostu się odbędzie i koniec - powiedział Jeff, a Kate zrozumiała, że przepadł z kretesem.

Także zaczęła przeglądać strony w internecie. Między pytaniami o najlepsze urzędy stanu cywilnego lub najładniej wykaligrafowane zaproszenia ślubne kobiety pisały o odkryciach, że narzeczeni umawiają się przez internet z innymi kobietami na seks, lub przyznawały, że dwa tygodnie po ślubie w małżeństwie już nie iskrzy. Gdy raz zaczęły dzielić się przeżyciami, nie mogły przestać, choć od niektórych ślubów minęło wiele lat. Teraz opisywały problemy z płodnością, a Przyszła Pani Johnson

zmieniła nick na Mama Layli.

Było coś fascynującego w zestawieniu ich obsesji na punkcie doskonałości - Czy spadnie deszcz? Jaką wybrać suknię? Czy jedzenie będzie dobre? - z mrocznymi lękami o miłość i życie, w którym tak łatwo wszystko może się rozsypać. Kate przypuszczała, że właśnie dlatego przygotowania do wesela często wymykają się spod kontroli. Może mają odwracać uwagę od lęku i niepewności?

- Bądź miła dla Jeffa - zaleciła jej przez telefon siostra pewnego wieczoru. - To jeden z najbardziej stresujących okresów w życiu. Podobno porównywalny z utratą rodzica. Kate starała się więc okazywać kuzynowi współczucie, ale czasem ogarniała ją irytacja. Jak to się dzieje, że normalna osoba ni stąd, ni zowąd zmienia się w Upiorną Pannę Młodą? Dlaczego rozsądny człowiek nagle dostaje bzika na punkcie pięciogodzinnej imprezy? Tak jak czasem zastanawiała się, co by było, gdyby spróbowała heroiny albo krzyknęła w zatłoczonym kinie, tak teraz, gdzieś w ciemnym zakątku umysłu, żałowała, że nie może na chwilę dzielić przeżyć Jeffreya. Może wtedy zrozumiałaby, o co w tym wszystkim chodzi.

**Każdego roku większość naszych potencjalnych klientów stanowią osoby wchodzące w wiek małżeński. Wyniki przyszłej sprzedaży zależą od przekonania milionów nowych osób, że pierścionek zaręczynowy z diamentem jest im niezbędny. Nie jest to możliwe do osiągnięcia w krótkim terminie, ponieważ potrzeba lat, żeby jednostkowe opinie przekształciły się w powszechny sposób działania, czyli w tym przypadku w stały popyt na tego rodzaju pierścionki.**

**N.W. Ayer i Syn, Roczny raport dla De Beers, 1952**

**Starsze osoby - rodzice, krewni i przyjaciele - wywierają delikatny, lecz zdecydowany wpływ na rynek. Ich pogląd, że symbolem zaręczyn powinien być pierścionek z diamentem, przyczynia się do podtrzymywania tradycji ofiarowywania z tej okazji takiej właśnie biżuterii.**

**Potrzebujemy wsparcia starszych osób, żeby zapobiec odrzucaniu tradycji przez młodych.**

**Celem naszych reklam jest wywołanie wrażenia, że diament to jedyny znaczący symbol miłości nieodłącznie związany z obietnicą zaręczyn. Powinniśmy więc zwracać się do ludzi młodych, a jednocześnie zachęcać wszystkich innych do uznania tradycji ofiarowywania pierścionków zaręczynowych z diamentem.**

**N.W. Ayer i Syn, Roczny raport dla De Beers, 1966-67**

# 1955

Frances podjechała do bramy Haverford College. Była dziewiąta rano. Jaskrawe promienie słońca przebijały się przez poranną mgłę, zapowiadając ciepły i suchy dzień. Jak mogłoby być inaczej. Pracowała w agencji od dwunastu lat i ku jej wielkiemu żalowi w dzień firmowego pikniku ani razu nie padał deszcz. Impreza odbywała się co roku w drugi piątek czerwca. Studenci Haverford wyjeżdżali na wakacje, a na ich miejsce przybywali pracownicy agencji N.W. Ayer i Syn, by przez kilka godzin spędzić wspólnie czas i grać w różne gry. Frances zwykle budziła się tego dnia z dziwnym uciskiem w piersiach. Wolałaby pójść do pracy, ale agencja szczyła się tym, że panuje w niej prorodzinna atmosfera i obecność na dzisiejszej imprezie była obowiązkowa.

W firmie działała żeńska drużyna koszykówki, kółko teatralne, drużyna baseballowa i międzydziałowy klub gier, wszystkie pod auspicjami Komitetu do spraw Wypoczynku. Na ścianach kantyny mieszczącej się w suterenie pracownicy działu artystycznego wymalowali okna i zasłony. Zdaniem Frances pomieszczenie to przypominało teraz bardziej stołówkę w gimnazjum niż w agencji reklamowej, ale zatrzymała tę opinię dla siebie.

Nie nawiązała ze współpracownikami bliższych stosunków. Traktowała ich przyjaźnie, lecz utrzymywała bezpieczny zawodowy dystans. Zaproszona, szła na lunch, wypijała dwa martini i opowiadała kilka dowcipów. Jednak nikt poza Dorothy właściwie nic o niej nie wiedział.

Już z daleka zobaczyła powitalny transparent rozwieszony między dwiema sosnami i stoliki nakryte obrusami w biało-czerwoną kratkę. Zjechała ze wzgórza prosto na parking, gdzie Howard Davis i jego żona Hana właśnie wsadzali synków do czerwonego wózka. Pomachali do siebie nawzajem.

Howard, przystojny, wysoki i szczupły jak Jimmy Stewart, był nieuleczalnym flirciarzem, wyraźnie jednak zakochanym w żonie, drobnej pięknej Niemce, którą przywiózł z wojny.

Na skraju parkingu, pod przybitą do drzewa tekturową tabliczką, stał Mitch Duncan z żoną. On wskazywał strzałkę z napisem „Siatkówka”, ona kręciła głowę, huśtając na biodrze pulchne dziecko. Mitch był starszym copywriterem o cholerycznym usposobieniu. Nie dopuszczał, by odrzucono ułożone przez niego hasło, jeśli sam uważał je za dobre. Teraz jednak wzruszył ramionami i ruszył za żoną i dziećmi do namiotu z rękodziełem, kopiąc kamyk w poczuciu klęski.

Tom Williams, który wysiadł właśnie z forda, mrużąc oczy od wiatru, zapalił papierosa. Tymczasem żona obesła samochód, polizała dłoń i przyglądała mężowi kosmyk na czole, na co nie zareagował.

Frances zakryła usta dłonią. Przywykła do oglądania tych mężczyzn na lunchach w



restauracji, gdzie z rozluźnionymi krawatami popijali szkocką, żartując wulgarnie na temat tyłków maszynistek. Dziwnie było patrzeć, jak zachowują się w towarzystwie swoich rodzin. Zabawnie. Otrzeźwiająco. Dokładnie z tego powodu nigdy nie chciała wyjść za mąż. Nie zamierzała odgrywać roli żonusi. Zawsze pragnęła być po prostu sobą.

Zaparkowała i wysiadła z samochodu, wygładzając wąską czarną spódnicę i poprawiając ramiona żakietu. Nie był to typowy strój piknikowy, ale dziś po południu wybierały się z Dorothy na spotkanie z redaktorem pisma „Motion Picture”, który szczęśliwym trafem właśnie przyjechał z Kalifornii. Powiedziały Gerry'emu Lauckowi, że nie można tego przełożyć na inny termin, gdyż chcą namówić redaktora na publikację artykułu Dzień, w którym dostałam diament, według sześciu aktorek. Shirley MacLaine i Jayne Mansfield już zgodziły się wziąć w tym udział. Frances była copywriterką i chodzenie na takie spotkania nie należało do jej obowiązków, ale na szczęście Gerry nie protestował.

- Dzień dobry, Frances! - krzyknął Tom z drugiego końca parkingu.

- Cześć! - odkrzyknęła. - Witaj, Judy! Kobieta pomachała jej z kwaśną miną.

Chyba nazywa się Judy? Frances była tego prawie pewna.

Co roku podczas pikniku starała się okazywać sympatię żonom kolegów. Chwaliła ich sukienki i zachwycała się uroczymi, dobrze wychowanymi dziećmi. Dopingowała łobuziaków dających z siebie wszystko podczas zawodów w rzucaniu jajkami i nie zwracała uwagi na ataki złości nieszczęśników, którzy w wyścigu par zajęli ostatnie miejsce.

Większość żon była dość miła, choć Frances wiedziała, że niektóre litują się nad nią, i odpłacała im tym samym. Część traktowała ją jak egzotyczne zwierzątko - czterdziestolatkę pracującą z mężczyznami i niezabiegającą o to, by mieć męża i dzieci. Zadawały jej głupie pytania, na przykład do kogo telefonuje, gdy zobaczy w piwnicy mysz lub bardzo dużego pajaka, albo czy mężczyźni, z którymi się umawia, nie boją się kobiety pracującej zawodowo. (Od lat nie była na randce, ale zachowywała tę informację dla siebie). Zapraszały ją na domowe obiady, jakby samotna kobieta nie potrafiła włączyć piekarnika.

Kilka okazywało jej jawną niechęć.

- Myślą, że lecisz na ich mężów - szepnęła jej ostatnio Dorothy. - Albo, co gorsza, oni lecą na ciebie.

Frances bardzo to rozśmieszyło. Setki razy słyszała, jak koledzy w pracy nazywali ją za plecami szarą myszą. Kiedyś Randolph Spears powiedział, że jest „prawie ładna”, i miał to być komplement. Nie robiła nic, by tę opinię zmienić. Nosła ubrania w ciemnych kolorach, bez dekoltów, i w ogóle się nie malowała. Potrafiła wypić więcej alkoholu niż koledzy i oni o tym wiedzieli. W oczach współpracowników Frances była właściwie mężczyzną. Każda kobieta w tej branży musiała być taka, inaczej zjedzono by ją żywcem.

Uważała, że nie daje żonom powodów do niepokoju, a jednak niektóre myślały inaczej. Należała do nich Janey Welch, drobna kobietka o rozwichrzonych, niemal białych włosach i brwiach, obdarzona czwórką podobnych do niej małych blondasów. Najwyraźniej uważała, że prędzej czy później Frances i tak ulegnie uwodzicielskiemu czarowi jej męża Ralpha, pulchnego faceta od finansów, pielęgnującego cztery pozostałe mu na głowie kosmyki włosów z taką determinacją, jakby od nich zależało jego życie.

- Moim zdaniem to wbrew naturze, żeby kobieta w pewnym wieku przez cały dzień pracowała w biurze z mężczyznami - oznajmiła Janey na ubiegłorocznej czerwcowej imprezie, kiedy wiedziała, że Frances może ją usłyszeć. - Jest w tym coś podejrzanego, nie uważacie?

Dwa miesiące później Frances bez szczególnej przykrości zobaczyła Ralpha Welcha obściskującego się z sekretarką przy stojącym na uboczu stoliku w restauracji Shoyer's.

Prawda była taka, że nigdy nie chciała wyjść za mąż i mieć dzieci. Gdy była młoda, nie wiedziała, jak z tego wybrnąć. Miała bezdzielną cioteczną babkę o imieniu Doreen. Wszyscy traktowali ją jak wariatkę, tylko dlatego że zamiast małżeńskich rozkoszy wybrała życie starej panny pośród książek i piesków. Jedynymi kobietami w rodzinie, które mogły żyć samotnie, nie wzbudzając podejrzeń, były zakonnice.

Frances słyszała, jak jej matka dopytywała się: „Kto weźmie Doreen na święta?”, i wielokrotnie uwagi w rodzaju: „Biedna Doreen. Jaki los ją czeka?”.

Przez długi czas po prostu wierzyła starszym, ale jako nastolatka uświadomiła sobie, że ciocia Doreen jest całkiem zadowolona ze swojego życia. To inni nie potrafili zrozumieć, jak to możliwe. W chwili gdy zdała sobie z tego sprawę, poczuła się wolna.

Po powrocie z rodzicami do Pensylwanii Frances skończyła szkołę średnią i znalazła pracę w miejscowej gazecie, a w sobotnie poranki studiowała zaocznie w Szkole Dziennikarstwa i Reklamy Charlesa Morrisa Price'a i na Uniwersytecie Pensylwanii, gdzie chodziła na wszelkie dostępne zajęcia z anglistyki. Jak każdy student miała zamiar napisać Wielką Amerykańską Powieść. Dzięki rekomendacji ze Szkoły Price'a dostała pierwszą poważną posadę jako specjalistka do spraw reklamy w firmie Steiger Walking Shoes. Potem zatrudniono ją w małej agencji w Wilmington, zajmującej się wszelkimi rodzajami sprzedaży detalicznej.

Frances pragnęła pracować w Filadelfii, ale nie w agencji Ayer. Wydawała jej się zbyt duża i imponująca. Zamierzała poszukać posady w małej firmie, aby móc robić wszystko. Gdy jednak w 1943 roku do takiej się zgłosiła, mężczyzna, który z nią rozmawiał i był pod wielkim wrażeniem jej dokonań, stwierdził: „Moim zdaniem to nie miejsce dla pani, ale zanim dam ostateczną odpowiedź, proponuję, żeby zgłosiła się pani do Ayer”. Poradził, by skontaktowała się z panem Cecilem, szefem copywriterów, albo z samym prezesem, Harrym Battenem. Zadzwoiła więc do Ayer

z budki telefonicznej w Wilmington i połączono ją z Pierce'em Cumminsem, zastępcą Cecila.

Zawiadomił, że pan Cecil jest chory, ale on sam chętnie z nią porozmawia. Facet z poprzedniej agencji radził zgłosić się do Cecila lub Battena, więc odwiesiła słuchawkę, wrzuciła do automatu następne pięć centów i zadzwoniła do pana Battena. Ten zaś oznajmił: „Właśnie odeszła od nas copywriterka. Może będziemy panią zainteresowani. Proszę skontaktować się z Pierce'em Cumminsem”.

I tak Frances w pewien lipcowy piątek poszła na spotkanie z Cumminsem. Okazało się jednak, że nie ma go w biurze. Był za to Cecil. Miała już dość biegania tam i z powrotem. I brakowało jej rozsądku, by obawiać się ludzi na wysokich stanowiskach. Nie bała się nikogo.

Wmaszerowała do gabinetu Cecila i oznajmiła:

- Jestem pana nową copywriterką.

Właściwie nie miała zamiaru pracować w Ayer, ale wszyscy tak się zachwycili pokazanymi przez nią próbkami, że od razu zaproponowali jej stanowisko za sto czterdzieści dolarów tygodniowo.

Pracowała pod kierownictwem siwej damy - Betty Kidd. Lubiła szefową, ale nie mogła się doczekać, kiedy starsza pani przejdzie na emeryturę, a ona przejmie wszystkie jej obowiązki. Nastąpiło to już po roku i Frances poczuła, że jej kariera zawodowa rozpoczęła się na dobre.

Od tamtej pory wszystko układało się wspaniale. Miała uroczą grupkę niezamężnych przyjaciółek, z którymi jeździła na narty do Vermont i Quebecu i na plażę do Meksyku. Była bardzo zajęta: po dwunastu latach pracy w Ayer zajmowała stanowisko starszej copywriterki, najwyższe, jakie mogła otrzymać kobieta w dziale kreatywnym. Udzielała się społecznie w swojej parafii. Mieszkała sama w Drexel Hill. Przed rokiem kupiła od hodowcy, znajomego matki, doga o imieniu Charles. W weekendy zabierała go na farmę rodziców, gdzie mógł się

wybiegać, a ona jeździła konno, pracowała w domu lub pomagała matce przy ostatnim miocie małych kózek. Rodzice przekroczyli już siedemdziesiątkę i Frances ze smutkiem patrzyła, jak się starzeją. Ale na ogół była zadowolona ze swego życia.

Podczas wojny wysyłała prezenty wszystkim krewnym w Hamilton - reglamentowane towary, które w Filadelfii sporo kosztowały, a w Kanadzie w ogóle nie były dostępne: dla ciotek nylonowe pończochy w odpowiednim rozmiarze, dla kuzynki w ciąży termofor, a dla wszystkich dzieci cukierki. Była dumna, że ją na to stać i nie musi nikogo pytać, czy i na co może wydać pieniądze.

Tylko od czasu do czasu przypominała sobie, że inni uważają ją za dziwaczkę. Na przykład podczas wakacyjnych wizyt u kuzynek w Toronto, gdy patrzyła, jakie robią zamieszanie wokół swoich dzieci. Albo na firmowym pikniku, kiedy czuła, że inne kobiety ukradkiem ją obserwują i osądzają.

Ale tym razem jej to nie obchodziło. Tegoroczne spotkanie z kilku trudnych do

zniesienia godzin zmieniło się w szansę na osiągnięcie ważnego celu. Wczoraj siedziała do późnej nocy, przepowiadając sobie, co dokładnie powie Hamowi Pattersonowi, kiedy uda jej się porozmawiać z nim na osobności.

Zaczęła powoli wchodzić się na wzgórze, wdychając słodkie wonne powietrze i rozglądając się za Hamem. Podeszła do stolików ustawionych na trawie przed wielkim kamiennym gmachem akademika. Krążyły tam z rąk do rąk pudełka z pączkami i termosy z kawą. Za parę godzin zastąpią je hamburgery i hot dogi. Mężczyźni wyciągną ukradkiem butelki whiskey. Frances pożałowała, że zapomniała o przyniesieniu alkoholu.

Przyjęła papierowy kubek z kawą French Roast firmy Hills Bros od którejś z nalewających ją żon i usiadła na ławce. Była to jedna z kilku chwil w roku, kiedy odczuwała niezwykłość swojej sytuacji. W pracy każdy był niezależną jednostką.

Wiedziała, że pod koniec dnia wszyscy wracają do domu, do swoich rodzin, ale tak naprawdę nie docierało to do niej, chyba że tak jak teraz znalazła się wśród kolegów i ich bliskich. Czy czuła się samotna? Niezupełnie. Bycie samą to sztuka, którą opanowała po mistrzowsku. Czasem jednak miło byłoby być częścią zespołu. Na myśl o tym aż pokręciła głową. Być częścią zespołu! Frances, jakie to romantyczne!

Przez chwilę przyglądała się dziewczynce w wieku czterech lub pięciu lat, która na skraju boiska pracowicie i w milczeniu obsypywała piaskiem włosy młodszego braciszka. Frances rozejrzała się bez przekonania, szukając dorosłego, któremu mogłaby o tym powiedzieć, ale po chwili po prostu odwróciła wzrok i nadal popijała kawę.

Zapaliła papierosa i zaciągała się powoli, by uspokoić nerwy

- Co słyhać? - usłyszała nad sobą czyjś głos. Podniosła wzrok i zobaczyła Paula Darrowa. Był uroczym człowiekiem, powszechnie uważanym za najlepszego dyrektora artystycznego w kraju. Robił projekty wszystkich reklam dla De Beers, do których Frances pisała teksty, choć w pracy rzadko mieli ze sobą kontakt. Paul był niski i cierpiał na poważny tik - przez cały czas mrugał okiem. Przez to Frances czasem nie mogła skupić się na tym, co mówi. W dodatku, oprócz mrugania, wypalał cygaro niemal do samego końca, co wyglądało, jakby je zjadał.

- Ładny mamy dzień, prawda? - zagadnął.

- Cudowny.

Rozmawiali przez kilka minut, a potem Paul odszedł powoli w stronę kortów tenisowych.

Nieco później na ścieżce wreszcie pojawił się Ham. Tuż za nim podążała jego żona Meg z włosami przewiązanymi bandaną, ubrana w rybaczkę z wysokim stanem, niosąc naczynie z zapiekanką. Frances przepadała za tą parą. On był uroczym facetem, miał dwadzieścia dziewięć lat i lubił się głośno śmiać. Jego żona, wesółka zabawna dziewczyna, darzyła Frances sympatią. Poznali się lepiej podczas firmowego przyjęcia na Boże Narodzenie i wielu długich obiadów z klientami.

Młodzi najwyraźniej szaleli za sobą, ale nie mieli dzieci, co w przypadku małżeństwa z kilkuletnim stażem było niezwykle.

- Rozglądałam się za wami! - Frances wstała z ławki.

- Miło cię widzieć, Frances. Ślicznie wyglądasz. - Meg pocałowała ją w policzek.

- Nie za bardzo się wystroiłaś? - zapytał Ham.

- No wiesz! - Żona trzepnęła go rękawiczką. - Czy tak się mówi do damy?

Frances się uśmiechnęła.

- Mam dziś po południu coś do załatwienia. Spotkanie służbowe.

- W dzień firmowego pikniku? - zdziwił się Ham. - Chyba zdajesz sobie sprawę, że to świętokradztwo?

- Owszem. Golfiści będą musieli ruszyć w bój beze mnie.

- Gramy w tym roku w golfa? - Twarz Hama się rozjaśniła.

- Och, nie sądzę. Ale skoro o tym mowa... Teraz jest dobry moment!

- Frances, właśnie opowiadałem Meg o twoim spotkaniu z Marilyn Monroe - przerwał jej Ham. Niestety.

- To prawda? - zapytała młoda kobieta, uśmiechając się promiennie.

- Tak - odparła Frances, chociaż nie poznała Marilyn osobiście. Ale przebywały razem w jednym pokoju, a to prawie to samo. - Dzięki klientowi od diamentów.

- De Beers - dodał Ham. Frances skinęła głową.

- Znasz piosenkę z filmu Mężczyźni wolą blondynki? Diamenty są najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny?

- Jasne! Ty ją napisałaś?

- Nie, kochanie. Jestem copywriterką, nie autorką piosenek. Po prostu parę lat temu zobaczyłyśmy z Dorothy Dignam Carol Channing śpiewającą to na Broadwayu - wyjaśniła Frances. - Byłyśmy na premierze sztuki. Dorothy od razu wpadła na pomysł, żeby wykorzystać temat z tej piosenki. Kiedy wszyscy redaktorzy działów mody przyjechali tamtego lata do Nowego Jorku na pokaz jesiennych kolekcji, zabrałyśmy ich na wieczorne przedstawienie, a potem na kolację, podczas której zrobili sobie zdjęcia z Carol Channing. Miała na głowie wysadzany diamentami diadem należący do cesarzowej Józefiny. Przyjęcie wspaniale się udało.

- Brzmi cudownie!

- Owszem. A kiedy dowiedziałyśmy się, że mają kręcić według tej sztuki film w technikolorze, przekonaliśmy ludzi z wytwórni Fox, by pokazali w filmie Marilyn Monroe obwieszoną prawdziwymi diamentami. To nie moja zasługa. Wszystko wymyśliła Dorothy. W każdym razie obie pojechałyśmy do Kalifornii i wspaniale się zabawiliśmy.

- Och, nie miałam pojęcia, że zajmujesz się takimi rzeczami.

- Nigdy wcześniej tego nie robiłam.

Frances przypomniała sobie, jak siedziały wśród mężczyzn, ona przy jednym, a Dorothy przy drugim końcu stołu, i próbowały wyjaśnić, dlaczego ich pomysł jest

lepszy niż wykorzystywanie rekwizytów. Pokój wypełniały kłęby dymu papierosowego, na ciemną wykładzinę kapało martini, a Francés zastanawiała się, czy ich plan się powiedzie.

Dorothy wciąż była atrakcyjną kobietą, choć dawno stuknęła jej pięćdziesiątka. Wyglądała jak spod igły i nawet w biurze nosiła kapelusze z szerokim rondem. Wszystkim nowym dziewczynom dawała tę samą radę: „Kobiety w reklamie muszą mieć oczy szeroko otwarte i pamiętać o pociągnięciu tuszem rzęs”.

Lubiła im też przypominać, że gdyby agencja po prostu potrzebowała copywritera, zatrudniłaby mężczyznę. Przyjmowali kobiety po to, żeby pisały reklamy dla kobiet. Ponieważ, przynajmniej w teorii, wiedziały, czego one pragną.

- Teraz bez przerwy robimy takie rzeczy - ciągnęła Frances. - Wypożyczymy biżuterię aktorkom, by zakładały ją na rozdanie Oscarów, Kentucky Derby i inne gale. Czasem De Beers płaci, żeby jego diamenty pojawiły się w filmie lub na szyi na przykład Elizabeth Taylor.

- Ale co z tego mają, skoro nie można wymienić nazwy firmy? - zapytała Meg. - Pamiętam ten moment w filmie, gdy Marilyn śpiewa - ustawiła się w odpowiedniej pozycji i obniżyła głos

- Tiffany. Cartier. Mów do mnie, Harry Winstonie, mówi mi o nich wszystko. W ogóle nie wspominała o De Beers.

- A co to miało być? - Ham się roześmiał. - Zresztą wszystko jedno. I tak bardzo mi się podobało.

- Tak naprawdę koncern De Beers jest właścicielem prawie wszystkich diamentów na świecie - wyjaśniła Frances. - Kto kupuje diamenty, działa na ich korzyść. Oni dostarczają kamienie do sklepów Tiffany'ego i Harry'ego Winstona.

- Och, to bardzo sprytne.

Meg wyglądała, jakby naprawdę ją to interesowało. Była inteligentną dziewczyną. Frances zastanawiała się, co robi sama przez cały dzień, kiedy Ham idzie do pracy. Meg, teraz typowa pani domu, przed ślubem była stewardesą. Zwierzyła się kiedyś Frances, że nie chciała rezygnować z pracy, przynajmniej dopóki na świat nie przyjdą dzieci, ale w firmie obowiązywała zasada, by nie zatrudniać mężatek.

- Latałam dziesięć tysięcy metrów nad ziemią, a teraz Ham nie pozwala mi nawet prowadzić samochodu - powiedziała, lecz roześmiała się przy tym, by pokazać, że jej to nie przeszkadza.

- Jaka jest Marilyn? - zapytała.

- Oczywiście oszałamiająco piękna. Nieśmiała - odparła Frances po chwili namysłu.

- Nieśmiała? Marilyn Monroe?

- Tak. Jane Russell musiała każdego ranka odprowadzać ją na plan. Śmiertelnie bała się kamer.

- Biedactwo.

Producent, przyjaciel Dorothy, zaprosił je, żeby obejrzały kręcenie jednej ze scen.

Stały w ciemnościach, w otoczeniu członków ekipy, nie mogąc oderwać oczu od tego, co działo się na planie. Cóż to był za widok! Do eleganckich żyrandoli podwieszono kobiety w czerni. Piękne dziewczyny w różowych sukniach balowych wirowały w objęciach młodych przystojnych mężczyzn. A w środku tego wszystkiego Marilyn Monroe w jaskraworóżowej obcisłej sukni i długich rękawiczkach, obwieszona diamentami schodziła po czerwonych schodach otoczona przez chłopców w smokingach i mówiła: Me, nie, nie, swoim dziecięcym głosem przechodzącym w teatralny zaśpiew, uderzając potencjalnych zalotników wachlarzem, aż wszyscy strzelali sobie w głowy i padali na podłogę.

W przerwie Frances przyglądała się, jak Monroe i Russell siedzą na tych samych schodach. Monroe popijała colę z butelki, a Russell się pudrowała. Wydawało się, że ich długie nogi wynurzające się z ozdobionych pajetkami spódnic nie mają końca.

W dniu premiery Frances poszła obejrzyć film i długo po zapaleniu się świateł nie wstawała z fotela. Ona tam była. Widziała, jak powstawał. Ile osób mogło coś takiego powiedzieć?

- To Frances wymyśliła dla nich slogan Diamenty są wieczne - opowiadał Ham. - Dobra robota. Kiedy go napisałaś? Pięć lat temu?

- Osiem.

- Osiem! I nadal go używają.

- Pewnie zostałaś potem gwiazdą copywriterów. - Meg była pod wrażeniem.

- Niezupełnie.

Frances dostała za slogan małą premię i wiadomość, że sir Edward był zadowolony, to wszystko. Nikt nie robił z tego wielkiej sprawy. Na tym polega jej praca.

Tamtego dnia w kinie, patrząc na śpiewającą Marilyn Monroe, stwierdziła, że niektóre wersy piosenki brzmią jak coś, co sama mogłaby napisać, tylko bardziej dobitnie: Płynie czas i niszczy nas, a w kościach już łamie ciut, ciut... Na wiek starszej pani najlepszy jest Tiffany! Nie majak diamentów blask!\*

Tak, na tym polegał cały pomysł - diament będzie trwać, nawet kiedy skończy się miłość. I młodość.

Meg nosiła na serdecznym palcu duży okrągły diament. Jak prawie wszystkie dziewczyny w dzisiejszych czasach. Osiem na dziesięć amerykańskich panien młodych. Gdy Frances na nie patrzyła - w sklepie spożywczym albo w kościelnej ławce - czuła dumę. Nie wiedzą dlaczego, a jednak pragną mieć diamenty. Przedtem właściwie nie było takiej tradycji. Ona przyczyniła się do jej zapoczątkowania.

Pamiętała tylko dwa lata, w ciągu których sprzedaż diamentów nie wzrosła w stosunku do poprzedniego roku: liczba ślubów osiągnęła szczyt w 1946 roku, lecz w 1948 zaczęła spadać, co w połączeniu z kryzysem nieco zahamowało sprzedaż. Musieli wymyślić coś nowego. Wiedząc, że liczba nabywców pierścionków zaręczynowych nie może być większa niż liczba dziewczyn wychodzących w danym roku za mąż, zwrócili uwagę na bardziej elastyczny rynek odbiorców tak zwanych

diamentów późniejszych lat. Dzielił się na dwie kategorie:

Diamenty są najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny, sł. Jule Style i Leo Rolin, przekł. Jerzy Bielunas i Michał Szota.

bizuterię ofiarowywaną na rocznicę ślubu i z innych okazji oraz „późniejsze” pierścionki zaręczynowe dla mężatek, które nigdy ich nie dostały albo chciały wymienić mały diament na większy.

W 1950 roku, kiedy amerykańscy żołnierze popłynęli do Korei, sprzedaż pierścionków skoczyła w górę i od tamtej pory wciąż rosła. Obecnie siedemdziesiąt procent więcej sklepów oferowało pierścionki z ponad dwukaratowymi kamieniami. Popularne były też obrączki ślubne wysadzone diamentami. Nosiło je teraz, razem z pierścionkiem zaręczynowym, trzydzieści procent panien młodych w Ameryce.

Agencja Ayer miała wkrótce rozpocząć pierwszą międzynarodową kampanię reklamową dla De Beers. Chcieli rozpowszechnić tradycję kupowania pierścionków zaręczynowych z diamentem na całym świecie.

Lansowali modę na dawanie w prezencie diamentów i „późniejszych” pierścionków zaręczynowych, ponieważ głównymi nabywcami były pary po czterdziestce - osoby o większych możliwościach finansowych niż przeciętni nowożeńcy. Agencja zamieszczała reklamy w coraz to nowych pismach czytanych przez zamożnych ludzi: „Town & Country”, „New Yorkerze”, „Newsweeku” i „Umie”.

Gerry Lauck przeczytał Teonię klasy próżniaczej Thorsteina Veblena i podsunęła mu ona mnóstwo pomysłów.

- To się nazywa obnoszenie się z bogactwem - tłumaczył. - Powinniśmy reklamować diamenty jako podstawowy rekwizyt, za którego pomocą mężczyzna oznajmia światu, że osiągnął sukces.

Szczegóły wyjaśnił w przekazanej Frances notatce służbowej. Przeczytała opis nastroju, jaki miała wywołać swoim hasłem: Powinno przywodzić na myśl zapach tweedu, starej skóry i polerowanego drewna, typowy dla dobrego klubu.

Zamieszczali więc cykle zdjęć mężczyzn w eleganckich garniturach, wyglądających na zamożnych, i opatrywali podpisami: Żaden prezent nie scharakteryzuje cię tak dobrze. Twojego wybrednego gustu... Czutego szacunku... Wysokich wymagań... Twojego miejsca w świecie.

I: Tylko diament, najcenniejszy z klejnotów, mówi o tym, jak wielkie jest twoje oddanie.

Frances nie była pewna, czy diamenty są cenniejsze od innych kamieni, lecz raz zapisana przez nią opinia stała się faktem.

Chcieli, żeby przeciętny Joe i jego dziewczyna wszędzie, gdzie spojrzą, widzieli diamenty. Dorothy potrafiła zamieszczać w prasie wiadomości na ten temat w odpowiednich miejscach. Przynajmniej raz w miesiącu wysyłała materiał do wszystkich gazet o nakładzie powyżej pięćdziesięciu tysięcy, które w działach o modzie publikowały zdjęcia. Zawierał fotografie diamentów nawiązujące do



najnowszych trendów, często w połączeniu z informacjami. Regularnie wysyłała do agencji prasowych ciekawostki na temat gwiazd filmowych i ich biżuterii. Publikowano je potem w pismach w całym kraju. Co tydzień drukowano ułożone przez nią historyjki, jakby to były prawdziwe informacje.

Co roku koło Bożego Narodzenia w czasopismach, w działach dla kobiet, pojawiały się felietony Dorothy pisane pod pseudonimem Diamentowa Dot Dignam. Na pozór mówiły o tym, że w grudniu sprzedaje się więcej pierścionków zaręczynowych niż w innych miesiącach. Lecz zaraz potem Dorothy przechodziła gładko do anegdot z życia gwiazd: Bywa, że cenne dobra otrzymujemy w tanich, czasem dziwnych opakowaniach. Zakochany Frank Sinatra w początkach znajomości podarował Nancy wysadzany diamentami zegarek ukryty w torebce żelków za dziesięć centów. Ellen Lehman McCluskey, nowojorska projektantka, zrobiła kiedyś maleńką jodełkę, która w świąteczny poranek ozdobiła tacę ze śniadaniem dla żony klienta. Na drzewku wisiła tylko jedna ozdoba: kokardka z diamentami.

Dorothy miała szalone pomysły, więc przygotowywanym przez nią kampaniom towarzyszyła wspiana zabawa. To ona postanowiła sprzedawać kobietom fordy, wykorzystując paryskie pokazy mody, podczas których modelki leżały na samochodach. Prowadziła też co roku prezentacje modnej biżuterii z diamentami w Nowym Jorku i Paryżu. Potrafiła wprowadzić ją na okładki pism i do programów telewizyjnych. Przekonała inne agencje, by w reklamach skierowanych do zamożnych klientów umieszczały diamenty, czyniąc je symbolem luksusu.

Udało jej się nawet nawiązać kontakt z brytyjską rodziną królewską, która miała osobisty interes w promowaniu najważniejszego towaru eksportowego Związku Południowej Afryki. Napisała do prasy dziesiątki tekstów o ich miłości do diamentów. Gdy przyszła królowa Elżbieta II w 1952 roku odwiedziła Amerykę, Dorothy, dzięki uprzejmości De Beers, jako jedyna otrzymała wcześniej zdjęcia przywiezionej przez księżniczkę biżuterii. Podróżowała królewskim pociągiem i codziennie wysyłała depesze do agencji prasowej Associated Press. Niedługo potem opisała całą uroczystość koronacji ze szczególnym uwzględnieniem diamentów osadzonych w brytyjskich klejnotach koronnych. Jej relację opublikowało ponad trzysta tytułów i przeczytały ją miliony czytelników. Frances śmiała się, czytając dowcipny początek artykułu: Podobno gdy mały książę Charlie po raz pierwszy zobaczył swoją matkę, młodą królową Elżbietę, pozującą do zdjęcia w koronie wysadzonej diamentami, zaśmiał się i zapytał, pokazując palcem: „Mamusiu, co to za śmieszna czapka?”.

W miarę jak coraz więcej Amerykanów przenosiło się na przedmieścia, rozpowszechniała się moda na bardziej codzienne ubrania. Ludzie mieli mniej okazji do noszenia na co dzień

diamentów, agencja musiała więc dopilnować, żeby wszyscy oglądali je na kobietach, którymi lub z którymi pragną być. Mówiąc o diamentach, Dorothy zawsze

powtarzała, że „duże pomagają sprzedawać małe”.

Frances napisała teksty do całej kampanii reklamowej wyko-rzystującej wizerunki kobiet ze śmietanki towarzyskiej. Chyba nic w dotychczasowej karierze tak jej nie zmęczyło. W agencji nazywali swoje bohaterki wzorami do naśladowania dla klasy średniej, choć Frances cisnęły się na usta zupełnie inne określenia. Wszystkie miały własne zdanie na temat tego, co nosić i jak pozować. Każda reklama z serii przedstawiała portret panny młodej eksponującej pierścionek na palcu ręki, w której trzymała wachlarz lub papierosa. Niżej widniało jej nazwisko panięskie i po mężu: Pani Washingtonowa Irving, z domu Frances Schmidlapp z Nowego Jorku, malował Gerald Brockhurst.

Brockhurst był artystą znanym wśród elity. Malował Marlenę Dietrich i księżną Windsoru, więc dziewczęta też pragnęły mu pozować. Po przygotowaniu i zatwierdzeniu jednej z reklam do Frances zadzwoniła jej bohaterka, histeryzując, że właśnie zerwała zaręczyny.

- Proszę nie wycofywać reklamy - chlpała. - Zanim się ukaże, znów będę zaręczona. Pod każdym portretem widniały pełne nadziei, a jednocześnie pouczające słowa Frances:

Diament połyskujący w zaręczynowym pierścionku odbija radość, piękno i obietnice, jakie kryje w sobie jedna z najważniejszych życiowych decyzji. Tradycja obdarzyła go specjalnym znaczeniem właśnie dla ciebie, więc nawet skromny kamień powinnaś wybrać z rozważą. Zasięgnij porady zaufanego jubilera.

Z reklam zamawianych przez De Beers korzystały wszystkie sklepy jubilerskie w kraju, począwszy od Tiffany'ego, a skończywszy na małym rodzinnym interesie w Arkansas.

Ayer stworzyła Dział Promocji Diamentów, który różnymi metodami podtrzymywał zainteresowanie ich sprzedażą.

Do najważniejszych należały wykłady. Niejaka Gladys Hannaford już od 1944 roku wygłaszała je dla organizacji młodzieżowych, w szkołach średnich, klubach kobiecych i na uniwersytetach. Docierała do dziesięciu tysięcy studentów tygodniowo. Wraz z Dorothy napisała dla słuchaczy różnych wydziałów serię wykładów na temat: geologii, gemmologii, ekonomiki przedsiębiorstwa, geografii, mody, sprzedaży detalicznej, handlu i wzornictwa. Bez względu na to, czego dotyczył wykład, Gladys zawsze na końcu opowiadała o diamentach ofiarowywanych z okazji zaręczyn.

Na wykłady zatytułowane: Kto zapoczątkował modę na diamenty, Opowieści o słynnych diamentach, Tajemnice znawców diamentów oraz Diamenty z przeszłością przynosiła próbki formacji skalnych, nieoszlifowane kamienie i, co najważniejsze, wybór nowoczesnych pierścionków zaręczynowych, które dziewczyny mogły potem przymierzyć.

Po wyżu demograficznym w latach czterdziestych, w latach sześćdziesiątych

spodziewano się gwałtownego wzrostu liczby małżeństw, należało więc zawczasu pracować nad urabianiem przyszłych państwa młodych.

- Zagrasz z nami w krokieta? - Frances poczuła na ramieniu rękę Meg Patterson.

- Hm? Z przyjemnością.

Gdy szli we trójkę po trawie w stronę boiska, Frances przystąpiła do rzeczy:

- Ham, Meg, należycie do Meriona, prawda?

Niestety w rozmowie przeszkodziła im zmijowata Janey Welch i jej okropne dzieci, które też chciały grać. Następne dwie godziny Frances spędziła, uśmiechając się przez zaciśnięte zęby.

Podczas lunchu Harry Batten wygłosił do zebranych swoje zwykłe przemówienie:

- Jestem dumny, że mogę być prezesem tak wspaniałej firmy. To prekursorka w branży reklamowej i ma siedzibę w najwspanialszym mieście na świecie, w Filadelfii. Większość osób odpowiedziała radosnymi okrzykami, ale Frances widziała, jak kilku chłopaków z Nowego Jorku wznosi oczy do nieba.

Batten został prezesem zarządu w 1937 roku. Pracę w firmie zaczynał jako pomocnik drukarza i doszedł do stanowiska dyrektora kreatywnego. Miał bzika na punkcie Filadelfii. Cały wolny czas i wszystkie pieniądze przeznaczal na kupowanie kamienic wokół Washington Square, udzielał też poparcia najpopularniejszym miejscowym politykom.

W ogóle go nie obchodziło, co dzieje się w Nowym Jorku, który tymczasem stawał się centrum branży reklamowej, dlatego niektórzy uważali, że główna siedziba agencji powinna się mieścić właśnie tam. Ale Batten nie widział powodu, by wprowadzać w Ayer jakieś zmiany. Przecież są i zawsze będą najlepsi.

Był dumny, że nie stali się wielkomięską agencją, jak niektóre nowojorskie firmy. Tylko dział obsługi klienta Ayer miał tam swoją siedzibę. Wystarczyło w obecności Battena wypowiedzieć słowo „Manhattan”, a od razu zaczynał perorę na temat palantów z agencji J. Walter Thompson, którzy nie mają kontaktu z Ameryką. „Trzeba siedzieć w głowach konsumentów! Pragnąć tego, czego oni pragną, i wiedzieć, dlaczego tak jest. Myślicie, że ci nowojorscy reklamiarze z Madison Avenue choć raz w życiu byli na Coney Island? To nie są prawdziwi Amerykanie, i tyle. Jak sądzicie, dlaczego podpisaliśmy kontrakt z Bell System? Bo jesteśmy jedynymi niesocjalistami w branży!”

Zdaniem Frances wciąż próbował udowodnić, że filadelfijska agencja jest na swój sposób bliższa nowojorskim klientom niż te, które mają siedziby na Manhattanie. W zeszłym roku pracowała przy kampanii dla Lever Brothers. Jechała rano do Nowego Jorku, prezentowała reklamy, słuchała uwag faceta nadzorującego projekt, a wieczorem ruszała w drogę powrotną i docierała do domu po północy. A następnego dnia znów piła poranną kawę na Manhattanie.

- Agencję N.W. Ayer założył w tysiąc osiemset sześćdziesiątym dziewiątym roku Francis Wayland Ayer - ciągnął Batten. - Nazwał ją inicjałami swojego ojca,

wiejskiego nauczyciela. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim roku Ayer zatrudnił na pełny etat copywritera, dając początek naszemu działowi kreatywnemu. Niektórzy z młodych pewnie nie wiedzą, że w ubiegłym wieku reklamodawcy sami układali reklamy, agencja zaś tylko pośredniczyła między nimi a nabywcami. Ayer to zmienił. Nasz dział kreatywny był pierwszą z licznych innowacji, agencja jako pierwsza nadała w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku reklamę przez radio. Pierwsza współpracowała z telewizją. Od dziesięciu lat produkujemy telewizyjne reklamy dla Atlantic Gasoline, Goodyear Tire & Rubber Company, AT&T, United Air Lines, wydziałów rekrutacji Armii i Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych oraz wielu innych klientów.

Frances westchnęła. Wszyscy słyszeli to już wcześniej. Musiała wyjść za pół godziny, a wciąż nie udało jej się porozmawiać z Hamem.

- Jednak te sukcesy nie miałyby znaczenia, gdyby nie nasza uczciwość zawodowa - perorował Batten. - Nigdy nie wyko-rzystywaliśmy naszej sławy ani nie graliśmy na braku poczucia bezpieczeństwa ludzi. Inni w branży mogą nas nazwać tradycyjnymi, lecz my po prostu staramy się unikać agresywnej reklamy i stawiamy na szczerść.

Rozległy się gromkie oklaski. Frances wątpiła, czy słuchacze są aż tak poruszeni słowami Battena. Po prostu chcieli, żeby się zamknął, a oni mogli w końcu zjeść lunch. Choć zapewne byli dumni z tego, że pracują dla Ayer, agencji, od której wszystko się zaczęło, wciąż należącej do czołówki. Czasem słyszało się skargi, to nieuniknione, ale brzmiały jak narzekania na rodzinę. Nikt nie traktował ich poważnie.

Poczuła na plecach dotknięcie, odwróciła się i zobaczyła Dorothy z faszzerowanym jajkiem w dłoni, ubraną w charakterystyczny kapelusz i długą, dopasowaną w talii i rozkloszowaną na dole spódnice.

- Tradycjonałiści? Oni? W żadnym wypadku! Puściła do Frances oko i wsunęła jajko do ust.

- Jak miło cię widzieć. - Frances ją uściskała.

- I nawzajem. Chcesz dla zabicia czasu usłyszeć, o co ostatnio pytali mnie chłopcy w nowojorskim biurze?

- Jasne.

Dorothy wyciągnęła z kieszeni złożoną kartkę, rozprostowała ją dramatycznym ruchem, po czym odchrząknęła.

- „Czy kobiety szyją pokrowce na samochody?” „Czy kobieta wie, kiedy w samochodzie zmienić olej?” „Jaki prezent ofiarować dziewczynie kończącej szkołę klasztorną?” „Jak wysoki jest obcas typu kaczuszka?” „Czy mężczyźni używaliby cielistego pudru do ciała?” „Co sądzisz na temat umieszczenia konia w reklamie prześcieradeł?”

Obie się roześmiały. Nikt lepiej od Dorothy nie rozumiał codziennego życia Frances.

To właśnie od niej dowiedziała się o zarobkach. W Ayer pracownicy nie rozmawiali na temat wysokości swoich pensji i Frances nigdy się nad tym nie zastanawiała. Lecz gdy przed paroma tygodniami wybrały się na koktajl, Dorothy opowiedziała jej, jak się sprawy mają.

- Wiesz, że zarabiamy połowę tego co mężczyźni? I że nie dopuszczają nas do wielu poważniejszych interesów?

Wszystkie główne spotkania biznesowe w firmie odbywają się na polu golfowym w Merionie.

- W Merionie?

- Tak. Cała miejscowa śmietanka towarzyska należy do sekcji golfa lub krykieta w klubie Merion. Facet, który jest członkiem obydwu, naprawdę dużo może. Większość pracowników z wyższego szczebla należy do Meriona.

Tamtego wieczoru Frances przemyślała sobie sprawę zarobków. Wszyscy zgadzali się, że kobiety są w branży na drugim miejscu, za mężczyznami. Zarabiają mniej pieniędzy, gdyż zatrudnia je się tylko po to, by tworzyły reklamy produktów dla kobiet, na których mężczyźni się nie znają. Uznała, że niewiele może w tej sprawie zrobić, wciąż jednak myślała o tym, co Dorothy powiedziała jej o Merionie.

Następnego dnia pojechała do klubu.

Było to, krótko mówiąc, eleganckie miejsce. W 1950 roku odbył się tam turniej U.S. Open. Na drzwiach okazałego budynku widniał napis: „Tylko dla członków”, ale Frances nie poczuła się onieśmielona. Pomyślała o krewnych z Kanady - członkowie klubu w niczym nie są od nich lepsi. Minęła główną jadalnię, pełną wschodnich dywanów i obitych pluszem foteli. Na jednej ścianie był kominek, a dokładnie naprzeciwko niego gablota z trofeami.

W biurze na piętrze poprosiła o rozmowę z kierownikiem. Z gabinetu wyszedł chudy mężczyzna w okularach i przywitał ją ciepło.

- Chciałabym należeć do klubu - oznajmiła.

- Oczywiście. Mieszka pani w naszej okolicy od niedawna?

- Nie, proszę pana, prawie przez całe życie.

- Doskonale. - Wyjął z kubka na biurku długopis, jakby miał zamiar robić notatki. - Jak brzmi nazwisko pani męża?

- Nie mam męża. Chodzi tylko o mnie.

Mężczyzna sapnął.

- Bardzo mi przykro, proszę pani, ale członkami klubu są wyłącznie mężczyźni.

- Znam wiele kobiet, które tu należą. Rose Jackson. Meg Patterson.

- No, tak, ale razem z mężczyznami. Nigdy dotąd nie przyjęliśmy samotnej kobiety.

- Jak zwykł mawiać mój ojciec, zawsze musi być ten pierwszy raz.

- W naszym klubie rzadko wprowadzamy zmiany. - Mężczyzna uśmiechnął się z rezerwą. - To właśnie cenią sobie nasi członkowie.

- Doprawdy? - Przesunęła po blacie palcem w białej rękawiczce. - Co mam zrobić,

żeby jednak zostać członkinią klubu?

- Musiałaby pani znaleźć kogoś, kto panią wprowadzi, ale wątpię, by ktoś chciał się podjąć tej roli.

Od razu przyszedł jej do głowy Ham.

- Zobaczmy. Dziękuję, panie...

- Adams. Floyd Adams.

- Będziemy w kontakcie, panie Adams. Gdy odwróciła się do drzwi, wyjął:

- Nawet jeśli znajdzie pani osobę wprowadzającą, zarząd będzie musiał tę sprawę przedyskutować. Nigdy wcześniej nie robiono takich wyjątków. A jeśli zostanie pani zaakceptowana, i tak nie dostanie pani prawa głosu. To bezdyskusyjne. Sprzeczne z panującymi tu zasadami.

Frances poczuła przypływ podniecenia. Bierze ją pod uwagę!

- Znakomicie.

- I oczywiście nie będzie pani mogła grać w golfa z mężczyznami. To wbrew zasadom.

- Oczywiście. A czy będzie mi wolno oddychać tym samym powietrzem?

Pożegnał ją pełnym wyższości uśmiechem. Frances stwierdziła, że na firmowym pikniku poprosi Hama i Meg, by wprowadzili ją do klubu. Ale czas uciekał.

- Spotkajmy się za dziesięć minut przy moim samochodzie - powiedziała do Dorothy.

- Jasne, Fran. Nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjdę! Chyba od razu polecę na parking i tam na ciebie zaczekam.

Frances znalazła Pattersonów pod drzewem. Jedli hamburgery z jednego papierowego talerzyka.

- Mam do was wielką prośbę - zaczęła.

- Tak? - Ham wyraźnie się zmartwił.

- No, może nie taką wielką. Po prostu pomyślałam sobie... Wiecie, jak lubię grać w golfa i jak bardzo utożsamiam się z Ayer. A gdybym tak wstąpiła do Meriona?

Ham zaczął się śmiać. Frances liczyła na inną reakcję, ale brnęła dalej:

- Powiedzieli, że potrzebuję osoby wprowadzającej, i pomyślałam o tobie.

Widać było, że w tej chwili biedny Ham wolałby znaleźć się w każdym innym miejscu na ziemi.

- O ile wiem, nie należą tam żadne samotne panie - powiedział.

- Tak słyszałam.

- Nie czułabyś się dziwnie?

- Nie wydaje mi się.

- I rozmawiałaś już o tym w Merionie? Zgodziliby się?

- Powiedzieli, że się zastanowią. Najpierw muszę znaleźć kogoś, kto mnie wprowadzi.

- Hm. - Ham ściągnął brwi, a Frances uświadomiła sobie, że prosi go o naprawdę dużą przysługę. Członkowie klubu wcale nie mają ochoty jej przyjąć, Ham zaś nie

chce, by obwiniali go za jej obecność.

- Pozwolisz, że się nad tym zastanowię? - zapytał.

- Oczywiście.

Frances pocałowała Meg w policzek i ruszyła do samochodu. Nie płakała od wieków, a już na pewno od lat. Teraz jednak czuła, jak łzy zbierają jej się pod powiekami. Zamrugowała energicznie, by je zatrzymać.

Wiedziała, że kobieta musi wybrać, jaką drogą pójdzie w życiu, sama zdecydowała o tym dawno temu. Ale czasem bolało ją, gdy uświadamiała sobie, z czego musiała zrezygnować. Nie chodziło o dzieci czy nawet o miłość, ale o zwykłe rzeczy, które każdej zameężnej kobiecie po prostu się należą.

Nagle usłyszała za sobą szybkie kroki. Odwróciła się i zobaczyła Meg.

- Zaczekaj! - zawołała, dotknęła ramienia Frances i zniżyła głos do szeptu. - Nie powinnam ci tego mówić, ale są duże szanse, że Ham i ja przeniesiemy się do Nowego Jorku.

- Co takiego? - zdziwiła się Frances. - Kiedy?

- Dostał propozycję pracy w Young & Rubicam. Proponują wysoką pensję. Ich człowiek powiedział Hamowi, że jego talent można lepiej wykorzystać w Nowym Jorku. Podobno pracują tam nad o wiele ciekawszymi projektami, lepiej płacą i... Zresztą wszystko jedno. I tak już za dużo wygadałam.

- Nie, mów dalej - poprosiła Frances. - Co jeszcze powiedział?

- Podobno Ayer zdycha. Ale to chyba oczywiste, że tak twierdzi, no nie? Pracuje dla konkurencji!

Nie po raz pierwszy usłyszała taką opinię. Kilka lat temu zaczęto mówić, że od powstania agencji Doyle Dane Bernbach wszystko w branży się zmieniło.

Jednak Frances w jednej sprawie zgadzała się z Harrym Battenem: po prostu w to nie wierzyła. Poza tym te opinie nie miałyby na nią wpływu, nawet gdyby okazały się prawdziwe. Nigdy nie wyjechałyby z Filadelfii. Nie była typem osoby, która potrafi co pół roku zmieniać pracę, jak to mają w zwyczaju no-wojorczy. W tamtejszych agencjach mogli płacić fortunę, a potem, jeśli tylko szefostwu coś się nie spodobało, człowiek lądował na bruku. Słyszała, że w Nowym Jorku zapanowała ostatnio moda na poddawanie potencjalnego pracownika testom psychologicznym. Zapraszano go na lunch i wystarczyło, że użył solniczki, a go nie zatrudniali.

Nowy Jork to istne zoo. Koktajle na śniadanie, przesiadywanie całymi popołudniami w restauracjach. W Filadelfii człowiek wypija podczas lunchu dwa drinki i wraca do biurka. Ludzie bardziej się tu szanują. Frances chciała mieć pracę i móc się w niej rozwijać, to wszystko. Ayer to dla niej idealna agencja - może staroświecka i konserwatywna, ale solidna i godna zaufania.

- Mówię ci o tym dlatego, żebyś wiedziała, że nie dbam, co pomyślą sobie o mnie w Merionie, i Ham także nie powinien się tym przejmować - ciągnęła Meg. -1 tak wkrótce nas tu nie będzie. Nie martw się, namówię go, żeby cię wprowadził.

- Naprawdę? - France była jej niewiarygodnie wdzięczna.

- Jasne! Z przyjemnością rozruszam trochę starych klubowych sztywniaków. Zresztą i tak należymy do najmłodszych członków. Pewnie spodziewają się po nas tego rodzaju ekstrawagancji.

- Meg, jesteś kochana!

W dali, obok swojego samochodu Frances zobaczyła Dorothy. Stała, opierając się o drzwi od strony pasażera, i paliła papierosa. Po spotkaniu pewnie wstąpią gdzieś na parę koktajli. A potem Frances pojedzie do domu, przygotowuje sobie obiad i z psem u stóp będzie oglądała telewizję.

Znów cieszyło ją, że jest wolną osobą. Wszystko było w najlepszym porządku.



# Część druga

# 1972

Evelyn stała przy zlewie i układała kwiaty w kryształowym wazonie. Gdy Gerald wszedł do kuchni, z piekarnika właśnie zaczynał rozchodzić się aromat pieczonego mięsa. - Pięknie pachnie! - stwierdził.

Evelyn od powrotu z zakupów nie zaglądała do gabinetu. Przywitali się tylko z daleka. Jednak teraz, gdy stanął obok, przy zlewie, by nalać sobie szklanek wody, powiedziała:

- Widziałam się z Julie.

- Gdzie?

- W centrum. W księgarni.

- Co mówiła? ; Evelyn poczuła, że coś ściska ją w gardle.

- Powiedziała, że Teddy poprosił ją o rozwód. Właśnie po to przyjechał.

- Tego się obawiałem. - Gerald potarł skronie.

- Przecież mówiłeś, że mógł zrozumieć swój błąd.

- Taką miałem nadzieję.

- Chce, żeby oskarżyła go przed sądem o pobicie. A ja mam poświadczyć, że to widziałam.

- Chryste! Czy on oszalał?

- Tak! - krzyknęła Evelyn tak głośno, że aż oboje się zdziwili.

- Uspokój się - powiedział Gerald i ją przytulił. - Wszystko będzie dobrze.

- Jak możesz tak mówić? Chcesz, żeby nasz syn się rozwiódł?

- Oczywiście, że nie. To okropne. Ale nic nie możemy zrobić.

Gdy Evelyn miała tyle lat co Teddy, słowo „rozwód” wymawiano szeptem. Był skandalem. Ostatecznością. Ucieczką przed strasznym pijaństwem albo szaleństwem. Jednak w ostatnich latach wciąż słyszało się o rozwodach. W niektórych stanach wprowadzono nawet nowe prawo o rozstaniu małżonków „bez orzekania o winie”, po to, by uniknąć sytuacji, w jakiej znalazła się biedna Julie. Może dla sądu takie określenie ma sens, ale praktycznie rzecz biorąc, małżeństwo nie może przecież rozpaść się bez powodu. Ktoś musi być winny.

Czy taka będzie teraz Ameryka? Wystarczy, że coś się komuś odwidzi, i będzie mógł zostawić za sobą całe dotychczasowe życie, żeby zacząć od nowa? Jak to wpłynie na wnuczki Evelyn i inne dzieci postawione w takiej sytuacji? Evelyn się poszczęściło. Trafiła na Geralda, a on jest cudownym człowiekiem i bardzo dobrym mężem. Myślała jednak o ludziach, dla których los okazał się mniej łaskawy - na przykład jej rodzicom nigdy się nie układało, mimo to do końca dotrzymali danej sobie obietnicy. Od czasów młodości jej i Geralda Amerykanie się zmienili. Teraz kładziono nacisk na „ja” - liczyło się bardziej niż kraj, rodzina i wszystko inne. Jej syn był najlepszym przykładem, do czego to prowadzi.

- Nie chcę go dzisiaj widzieć - powiedziała. - Zmieniłam zdanie.
- Przecież nie możemy go tak odprawić.
- Niby dlaczego?

Oczywiście wiedziała dlaczego i dlatego układała kwiaty, zamiast płakać w poduszkę.

- Evie! Jeszcze nie było rozprawy. Nic nie jest przesądzone. Może kiedy przyjedzie, zobaczy nas i córki, zmięknie mu serce.

- Naprawdę tak myślisz?

- Ja już nie wiem, co mam myśleć.

- Julie potraktowała mnie tak chłodno - pożaliła się Evelyn. - Jak obcą osobę. Nie, gorzej. Geraldzie, ona chce zabrać stąd dziewczynki. Wyjeżdżają na zachód.

- Powiedziała ci to?

- Tak.

Gerald odetchnął głęboko.

- Musisz pamiętać, że nie na ciebie jest zła.

- Wiem, ale na samą myśl o tym, że wyjedzie na zawsze... Już za nią tęsknię, a przecież mieszka na drugim końcu miasta. Od czasów Nathaniela za nikim tak nie tęskniłam.

- Wiem. - Gerald pogładził ją po plecach.

- Choć może teraz, kiedy jeszcze tu mieszka, jest mi trudniej. Mogę ją gdzieś spotkać, ale nie pozwala mi przychodzić w odwiedziny.

Gerald pokręcił głową.

- Pomyśl, co o tym wszystkim powiedziałyby Nathaniel.

- Że naszemu synowi należy się kopniak w pewną część ciała.

- Dokładnie tak. - Gerald się roześmiał.

W ciągu minionych lat często zadawali sobie pytanie, jak zareagowałyby Nathaniel na nową modę, informację podaną w wiadomościach czy jakieś niezwykle wydarzenie w ich rodzinie. Dzięki temu wciąż im towarzyszył, choć od jego śmierci upłynęło więcej lat, niż trwało całe jego życie.

Gerald mieszkał z Nathanielem w jednym pokoju w akademiku, gdy studiowali na Uniwersytecie Harvarda, był też jednym z dziesięciu gości na jego ślubie z Evelyn. Obcym ludziom mogło się to wydawać dziwaczne, ale oni bardzo kochali Nathaniela i wiedzieli, że tak będzie aż do śmierci. Nie widzieli w tym zagrożenia dla swojego związku. Po co mieliby udawać, że Nathaniel nie istniał? Co więcej, zdaniem Evelyn właśnie takie udawanie byłoby dziwne i wręcz niemożliwe.

Evelyn poznała Nathaniela i Geralda w 1927 roku podczas międzyuczelnianych zawodów pływackich. Studiowała wtedy na ostatnim roku w Wellesley. Kuzynka Geralda była w drużynie Radcliffe i przyjechał z przyjacielem jej kibicować. To on pierwszy zaczął Evelyn zaraz po tym, jak wygrała zawody w pływaniu stylem dowolnym.

- Masz doskonały styl boczny - powiedział, gdy udało mu się podchwycić spojrzenie

Evelyn, która właśnie wycierała się na brzegu basenu.

- Dziękuję.

- I bardzo ładnie wyglądasz, kiedy pływasz.

Wtedy zza Geralda wynurzył się Nathaniel ubrany w eleganckie futro. Żaden mężczyzna nigdy nie zrobił na niej takiego wrażenia.

- Proszę się nie gniewać na mojego kolegę, jest trochę nie-obyty - rzekł.

Evelyn się roześmiała.

- Nazywam się Nathaniel Davis - przedstawił się chłopak.

- Evelyn Green.

Zanim poszła do szatni, umówili się na sobotni wieczór.

Przed rozpoczęciem studiów Evelyn była chorobliwie nieśmiała, ale w Wellesley, w otoczeniu wesołych, towarzyskich dziewczyn, zaczęła nabierać odwagi.

Mieszkała z dziewczyną o imieniu Midge, która co tydzień kupowała czasopismo „Liberty”. Uczyły się z niego kroków modnych tańców. Ćwiczyły jak szalone w łazience, szurając i przytupując na wyłożonej kafelkami podłodze. Wieczorem w łóżkach czytały sobie głośno kącik porad Dorothy Dix, którą nazywały DD.

Idąc za przykładem Midge, Evelyn zaczęła nosić krótsze spódnice, sukienki z krepy i filcowe kapelusze w kształcie klosza. Przypinały do nich broszki, które podarowały im matki w zupełnie innym celu. Nosiły zapinane na paseczek pantofle na wysokich obcasach. Midge nauczyła Evelyn używać różu, pudru, szminki, cieni do oczu i lakieru do paznokci, ale ona nigdy nie malowała się tak mocno jak inne dziewczyny. Wiedziała, że ojciec umarłby ze wstydu, gdyby wiedział, że pokazuje się publicznie w makijażu. Midge szyła sobie luźne sukienki z obniżoną talią i dołem wykończonym frędzelkami. Przez całe życie Evelyn słyszała, że dorosłe kobiety powinny nosić gorsety zasnurowane jak najciaśniej, tak by talia wydawała się wąska, a biust pełny i uniesiony. Jednak z inicjatywy przyjaciółki porzuciły gorsety i wkładały staniki spłaszczające piersi, co nadawało sylwetce bardziej opływowy kształt.

To właśnie Midge pomogła jej się ubrać na randkę z Nathanielem.

- Jaki on jest? - zapytała, nakładając przyjaciółce cień na powieki.

- Przystojny - odparła Evelyn, bo prawdę mówiąc, wiedziała niewiele więcej.

Podczas kolacji okazało się, że jest także dobrze wychowany, inteligentny, zabawny i miły. Wychował się w Pittsburghu i miał trzy siostry. Jego ojciec pracował w hucie. Nathaniel czytał Hemingwaya i Faulknera, lubił poezję, studiował literaturę i miał nadzieję, że pewnego dnia zostanie prawnikiem, a potem może także politykiem. Po kolacji poszli do klubu jazzowego i tańczyli aż do zamknięcia.

Na drugiej randce zajęli trzecie miejsce w maratonie tańca, wytrzymując czternaście godzin. Następnego dnia Evelyn krwawiły stopy, ale nie pamiętała, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiła.

Na piątej randce Nathaniel wyznał, że martwi się o swojego współlokatora. Nadszedł czas, by zaczęli się rozglądać za żonami (przy tych słowach znacząco spojrzął na

Evelyn, a ją przeszył dreszczyk emocji), tymczasem Gerald nie spotyka się z nikim poważnym czy choćby odpowiednim, tylko z kolejnymi tancerkami i kelnerkami. Próbowali umówić go z Midge, lecz orzekła, że zachowuje się niemądrze, nie jest intelektualistą jak Nathaniel i brak mu jego urody. Gerald opowiadał okropne dowcipy i flirtował z byle kim, więc trudno, żeby rozsądna kobieta traktowała go serio. W wieku dwudziestu lat zaczął już łysieć i był niższy od Evelyn - co prawda ona, jak na dziewczynę, odznaczała się wysokim wzrostem. Przy Nathanielu wyglądał niepozornie. Gerald pochodził z bardzo bogatej rodziny i sprawiał wrażenie człowieka, który nigdy nie musiał się o nic starać, więc tego nie robił. Nathanielowi studia na Harvardzie nie przyszły łatwo. Ciężko pracował, by się na nie dostać, zarabiał na chesne, sprzątając toalety. Gerald otrzymał Harvard w prezencie, bo było oczywiste, że jako mężczyzna z rodziny Pearsallów będzie tam studiował.

- Znajdzie w końcu odpowiednią kobietę, która pomoże mu wydać spadek - powiedziała Evelyn. Sama wychowała się w podobnych kręgach; znała żony bogatych wpływowych mężczyzn, które prowadziły dom i przyjmowały gości. Jej ojciec pewnie chciał, żeby matka była jedną z nich.

- W tym cały problem. - Nathaniel westchnął. - Chcę, żeby znalazł kogoś, kto pokocha go bezinteresownie, a nie z powodu majątku. Z jakąś nadętą damulką z towarzystwa będzie nieszczęśliwy.

Evelyn podobało się, że Nathaniel tak bardzo troszczy się o przyjaciela. To świadczyło o tym, że jest dobrym człowiekiem.

Pomyślała, że nie powinni wykluczać Geralda ze swoich spotkań. W następnych miesiącach całą grupą - Gerald, Nathaniel, Evelyn, Midge i każdy, kto miał ochotę się przyłączyć - jeździli wieczorami po ulicach Bostonu samochodem Geralda. Dziewczyny siedziały z tyłu. Jedli kolacje w tanich knajpkach, chodzili na tańce i popijali alkohol w nielegalnych barach, do których chłopcy potrafili znaleźć dojskie. Gerald zawsze się upierał, że zapłaci rachunek. Gdy reszta protestowała, mówił: „To nie moje pieniądze, tylko mojego staruszka”. Zostawiał ogromne napiwki, przynajmniej trzydzieści procent. Evelyn zastanawiała się, czy jest taki hojny, czy po prostu kiepski z matematyki. Nathaniel mówił, że to pierwsze.

Skończyli studia w 1928 roku, tym samym, w którym Herbert Hoover wygrał wybory hasłem: „Kurczak w każdym garnku, samochód w każdym garażu”. Evelyn pamiętała, jak Gerald rzucił wtedy wesoło: „Żeby tylko nie skończyło się na kurczaku w każdym garażu, bo to by dziwnie wyglądało”, a wszyscy wzniesli oczy do nieba.

Potem wesoła grupka przyjaciół rozjechała się po kraju. Midge przyjęła oświadczyzny studenta medycyny poznanego na potańcówce na Uniwersytecie Bostońskim i wyjechała do jego rodzinnego miasteczka w Indianie. W listach do Evelyn pisała, że nigdy w życiu nie było jej tak zimno. Chłód Nowej Anglii to nic w porównaniu z tamtejszymi mrozami. W Indianie zimno wpełza do środka, pod skórę, do uszu i nosa i żaden płaszcz ani kapelusz nie stanowi przed nim osłony.

Gerald wyjechał do Chicago kierować nowym oddziałem firmy ojca. Nathaniel mówił, że uważa swoich współpracowników za bandę smutasów. Nigdy nie chciał się z nim nigdzie wybrać po pracy, może dlatego że jest synem szefa. Czuję się strasznie samotny, pisał Gerald. Tęsknię za naszymi wesołymi bibkami w Cambridge. Evelyn śmiała się, kiedy Nathaniel jej to przeczytał. Też brakowało jej Geralda.

Sama postanowiła zostać w Bostonie, głównie po to, żeby być blisko Nathaniela. Tuż przed dyplomem któraś z koleżanek z akademika wspomniała o wolnych posadach dla nauczycieli w szkole publicznej. Znajdowała się w niebezpiecznej okolicy i nikt nie chciał w niej pracować. Evelyn zgłosiła się tam następnego dnia. Chciała znaleźć sobie zajęcie na tyle sensowne, by matka nie kwestionowała jej decyzji pozostania w Bostonie.

Wynajęła na spółkę z koleżanką mieszkanie w Beacon Hill i zaczęła uczyć w trzeciej klasie. Bardzo lubiła swoich uczniów - bystre, niesforne, wesołe dzieciaki. Patrząc na nie, zapragnęła, z nieznaną dotąd siłą, mieć dzieci. Chcieli się z Nathanielem pobrać, ale powiedział, że oświadczy się dopiero wtedy, gdy będzie jej wart. „Gdybym teraz pojechał do Nowego Jorku prosić ojca o twoją rękę, przepędziłby mnie na cztery wiatry”.

Chociaż matka uważała, że praca nauczycielska to szlachetne powołanie, rodzice byli zaniepokojeni. Uważali, że córka powinna znów zamieszkać w rodzinnym domu, dopóki nie znajdzie odpowiedniego kandydata na męża. Byli też zdania, że dziewczyny z Bostonu mogą ruszać na podbój Manhattanu, lecz nie ma powodu, aby mieszkanka Nowego Jorku osiedlała się w Bostonie. Decyzję Evelyn, by studiować w Wellesley, a nie w Barnard lub Sarah Lawrence College, zaakceptowali tylko dlatego, że jej dwie kuzynki już się tam uczyły i uznano, że będą miały na nią oko.

Ojciec co miesiąc wysyłał córce pieniądze, zaniepokojony, że mieszka w złych warunkach. Evelyn chowała je jednak do szuflady, bo postanowiła, że obędzie się bez nich. Przeżyje za to, co sama zarobi, tak jak Nathaniel.

Pierwszy rok po ukończeniu studiów był dziwny i trochę przerażający, ale cieszyła się, że mieszka z dala od domu i blisko swojego chłopaka. Zarobki Nathaniela pozwalały im wybrać się dokądś dwa lub trzy razy w tygodniu. Nie odwiedzali eleganckich miejsc, chodzili tylko do kina lub na kawę, a w sobotę na obiad i tańce. Kiedyś Nathaniel wyznał, że martwi się, iż nigdy nie zapewni jej życia na takim poziomie, do jakiego jest przyzwyczajona: służby, szoferów i tak dalej. Ale Evelyn wcale na tym nie zależało. Lubiła gotować dla na-rzeczonego. Przyrządzała pieczeń wołową z ziemniakami i marchewką, a na deser babkę. Miała wtedy wrażenie, jakby robiła coś niemal zakazanego, bo jej matka chyba nigdy niczego nie ugotowała. Rodzice uznaliby, że to zajęcie poniżej jej godności, ale Evelyn podobał się pomysł, by prowadzić proste życie, być nauczycielką, matką i żoną. Nathaniel miał wszystkie cechy, których oczekiwała od mężczyzny.

Na każde spotkanie przynosił jej drobne upominki - jedną stokrotkę albo pudełeczko z

czekoladkami ze sklepu obok jego biura w Faneuil Hall. Wieczorem, zanim wrócił do siebie, czytał jej, gdy odpoczywała na kanapie.

Jesienią zaczął naukę na harwardzkim wydziale prawa. Evelyn przypuszczała, że lada dzień jej się oświadczy.

Jednak niedługo potem nastąpił krach na giełdzie i znajomi zaczęli tracić pracę. Słyszeli o kolegach ze studiów ledwo wiążących koniec z końcem, a w gazecie przeczytali o byłych biznesmenach sprzedających jabłka na ulicach Nowego Jorku. Uczniowie Evelyn pochodzili z rodzin, które nawet w najlepszych czasach nie były zamożne. Teraz pół klasy zniknęło, bo rodzice chcieli, żeby dzieci zajęły się szukaniem zarobku. Pozostali uczniowie przeżywali ciężkie chwile. Na szczęście nad szkołą sprawował nadzór Bostoński Komitet Szkolny, a Związek Kobiet do spraw Edukacji i Przemysłu dostarczał dzieciom gorące posiłki. W większości szkół w kraju ich nie wydawano i głodnym uczniom trudno było uważać na lekcjach. Evelyn spostrzegła jednak, że prawie żadne dziecko nie zjada otrzymanego jedzenia: zawijają je i chowają do tornistrów. Gdy o to zapytała, jeden z bardziej wygadanych chłopców wyjaśnił: „Proszę pani, to obiad dla całej naszej rodziny”.

Powiedziała o tym dyrektorowi, lecz on tylko wzruszył ramionami i stwierdził, że to smutne, ale wszyscy uczniowie tak robią.

Postanowiła przeznaczyć pieniądze przysyłane jej co tydzień przez ojca na codzienne dożywianie dzieci. Zazwyczaj kupowała jedzenie, które łatwo rozdzielić między większą liczbę osób: masło orzechowe, mortadelę, jabłka i chleb. Ale co pewien czas piekła kurczaka, żeby zjadły coś pożywniejszego.

Przez całą jesień dziękowali z Nathanielem Bogu, że omijają ich poważniejsze kłopoty. W Święto Dziękczynienia Gerald przyjechał do Bostonu, by odwiedzić rodzinę, i w sobotę Evelyn zaprosiła jego i Nathaniela do siebie na obiad. Śmiali się i gadali jak za dawnych czasów. Jednak w następnym tygodniu ojciec Nathaniela nie wrócił pewnego wieczoru do domu. Po kilku dniach okazało się, że zwolniono go po trzydziestu latach pracy w hucie. Gdy się o tym dowiedział, rzucił się z mostu do rzeki.

Nathaniel postanowił przerwać studia, wrócić do domu i zostać tam, dopóki matka i siostry znów nie staną na nogi. Gerald, nieproszony, pożyczył mu dużą sumę pieniędzy, lecz Nathaniel, krępując się przyjąć taki dar, odesłał je.

Wyjechał na dwa miesiące do Pensylwanii. Evelyn towarzyszyła mu na pogrzebie ojca, a potem wróciła do Bostonu. Był to najsmutniejszy okres w jej życiu. Zrozumiała wtedy, że nie chce nigdy więcej spędzić ani jednego dnia z dala od Nathaniela. Przesyłał jej listy miłosne, a ona zasypiała, ściskając je w dłoni. Nadeszły ponure miesiące. Aby je przetrwać, powtarzali sobie, że to najtrudniejsze, z czym przyszło im się w życiu zmierzyć.

W 1931 roku, w Święta Bożego Narodzenia, wreszcie się zaręczyli. Ślub, na który zaproszono setkę gości, miał się odbyć w maju w domu rodziców Evelyn. Ogarniała

ją euforia na myśl, że wreszcie zostanie panią Nathanielową Davis. Pewnie wszystkie dziewczęta czują się tak w dniu zaręczyn, ale ona przeżywała to chyba w sposób szczególnie. Mieli za sobą takie smutne lata, a teraz w końcu nastał czas radości.

By to uczcić, umówili się z Geraldem, że w pierwszym tygodniu lutego pojadą do Lake Placid oglądać zimowe igrzyska olimpijskie. Gerald wyglądał dziesięć lat starzej, choć od ich ostatniego spotkania minęły zaledwie dwa. Przywiózł ze sobą swoją aktualną dziewczynę, rudowłose stworzenie w obcisłej sukience. Evelyn spytała Nathaniela, czy jego zdaniem Gerald traktuje tę znajomość poważnie. „A kiedy Gerald traktował cokolwiek poważnie?” - odparł na to.

Rzeczywiście już pierwszego wieczoru wznosił toast:

- Za moich drogich przyjaciół, Nata i Evie. Wreszcie stają na ślubnym kobiercu! Czytałem niedawno wypowiedź Johna Watsona, który przewiduje, że za pięćdziesiąt lat małżeństwo będzie przeżytkiem.

- Kto to jest John Watson? - zapytała jego dziewczyna.

- Znany psycholog dziecięcy i, jak widać, również specjalista od spraw małżeńskich. Moim zdaniem na rację. Lepiej dajmy sobie spokój z całym tym kłopotliwym zwyczajem. Zwykle, gdy klamka zapadnie, wszystko okazuje się jednym wielkim rozczarowaniem.

Evelyn poruszyła się niepewnie, ale Gerald zakończył:

- Jeżeli jednak istnieje wyjątek od tej reguły, to wy dwoje.

Zatrzymali się w pięknym górskim domku z kominkiem w każdym pokoju. Gerald nazywał to miejsce obozowiskiem. Wyglądało jak hotel, ale należało do jego wujostwa. Evelyn bardzo się tam podobało. Mogłaby przez cały tydzień nie ruszać się z miejsca, tylko siedzieć przy oknie bawialni, czytać i patrzeć na widoczne w oddali sosny. Ale chłopcy nie chcieli o tym słyszeć - po raz pierwszy zimowa olimpiada odbywała się w Ameryce i musieli mieć pewność, że nic im nie umknie.

Gerald co chwila pociągał bourbona z flaszki przypiętej do wysokiego buta. Na studiach wszyscy lubili koktajle, ale teraz sytuacja się zmieniła. Evelyn miała wrażenie, że Gerald jest pijany od rana aż do chwili, gdy wszyscy udają się na spoczynek. W dodatku chciał, by reszta towarzystwa także doprowadzała się do takiego stanu - gdy tylko biedna Fran otworzyła butelkę jakiegoś napoju lub zrobiła sobie kawę, od razu wyciągał flaszkę. „Daj spokój, mała, napij się trochę wody życia. Będzie nam wszystkim weselej”.

Nathaniel martwił się o przyjaciela, ale nie chciał psuć innym wyjazdu. Powiedział, że napisze o tym do Geralda po powrocie do domu.

Jak na tę porę roku było wyjątkowo ciepło i mało brakowało, a zawody bobslejów i w łyżwiarstwie figurowym by się nie odbyły. Jednak ostatniego dnia zobaczyli Sonję Henie płynącą po lodzie z takim wdziękiem, jakby to w ogóle nie było trudne. Chociaż łyżwiarstwo figurowe kobiet nie należało do dyscyplin olimpijskich, trybuny wypełniał tłum, a bilety na miejsca stojące sprzedawano po pięć dolarów. Oni czworo,



dzięki Geraldowi, siedzieli w pierwszym rzędzie.

- Lepiej będzie widać nóżki Sonji - oznajmił, po czym patrząc na zirytowaną Eran, dodał: - Kochanie, przecież wiesz, że tak naprawdę liczą się dla mnie tylko twoje nóżki.

Tamtego ranka Evelyn przeczytała w gazecie, że Organizacja Amerykańskich Gospodyń Domowych domaga się, by łyżwiarki nosiły staromodne długie spódnice i nie narażały na uszczerbek moralny mężczyźni oglądających pokazy. Jednak łyżwiarki oświadczyły, że zrobią to tylko pod warunkiem, że sprinterzy startujący w letniej olimpiadzie zgodzą się pobiec w kajdanach, a pływacy staną do zawodów w nocnych koszulach.

Artykuł kończył się stwierdzeniem: Warto wspomnieć, że mężowie pań zrzeszonych w Organizacji Amerykańskich Gospodyń Domowych, którzy przypadkowo znaleźliby się na igrzyskach, mogą na szczęście zaopatrzyć się w klapki na oczy dla koni, wciąż sprzedawane w niektórych wiejskich sklepach w górach Adirondack.

Evelyn roześmiała się i pokazała ten artykuł Fran.

- Może powinniśmy postarać się o nie dla naszego drogiego Geralda.

Pod koniec pobytu, gdy chłopcy pakowali bagaże do samochodów, Evelyn podsłuchiwała, jak Nathaniel pyta Geralda:

- Masz w związku z nią jakieś plany?

- Nie. Chcę się tylko trochę zabawić.

- Mało ci jeszcze zabawy? Jesteś już starym koniem. Znajdź sobie wreszcie kobietę, która się tobą zajmie. Pora się ustatkować.

- Łatwo ci mówić, bo znalazłeś sobie taką dziewczynę jak Evie - powiedział Gerald. - Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo jest wyjątkowa.

Wkrótce po powrocie do Bostonu Nathaniel postanowił wybrać się na parę dni do Pensylwanii. Chciał, żeby Evelyn mu towarzyszyła, ale uznała, że nie powinna zostawiać uczniów.

- Pojedziemy tam w lecie, podczas wakacji, i zostaniemy na dłużej - obiecała. - Na cały miesiąc miodowy.

- Wtedy będziemy już mężem i żoną - zauważył Nathaniel z uśmiechem.

- Twoja matka nauczy mnie gotować twoje ulubione potrawy.

- Lubię wszystko, co ugotujesz - powiedział i ją pocałował.

Nathaniel wyjechał na niecały tydzień, ale Evelyn jak zakochana nastolatka liczyła dni do jego powrotu. Sprawiała sobie nową sukienkę i poszła do fryzjera. Narzeczony miał przyjechać we wtorek wieczorem, więc po szkole kupiła mięso na steki i składniki na piernik. Gdy stała w wąskiej kuchni, gotując obiad, a w radiu Ozzie Nelson śpiewał Dream a Little Dream of Me, myślała o tym, co ich czeka w przyszłości - o ślubie, na który włoży atlasową suknię matki, nowym domu w Pensylwanii i gromadce dzieci goniących motyle na trawniku. Miała prawie dwadzieścia pięć lat. Większość koleżanek urodziła już dziecko, albo nawet dwojkę.

Zaczną się o nie starać z Nathanielem zaraz po ślubie. Serce Evelyn przepełniała taka miłość, że aż bolało. Nie mogła się doczekać, kiedy narzeczony stanie w drzwiach, a ona rzuci mu się na szyję.

Gdy nie zjawiał się o dziewiętnastej, zaczęła się denerwować. Nathaniel nigdy się nie spóźniał. Przypomniła sobie jednak, że na drodze mogą być korki. Przed rokiem, podczas bożonarodzeniowego obiadu, jej ojciec prawie przez godzinę narzekał na sygnalizację świetlną zamontowaną w Nowym Jorku na skrzyżowaniach - według niego tylko spowalniała ruch i człowiek nigdzie nie mógł dojechać na czas. W myślach pomodliła się, żeby Nathaniel nie złapał gumi i żeby nie zepsuł mu się samochód.

O dwudziestej trzydzieści chodziła tam i z powrotem po kuchni, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. A kiedy tuż po dwudziestej trzeciej rozległ się dzwonek telefonu, siedziała roztrzęsiona przy stole, jakby wiedziała, co nastąpi.

Dzwoniła starsza siostra Nathaniela. We Framingham, niecałą godzinę od domu, zdarzył się wypadek. Jakiś pijak zjechał na przeciwległy pas i zderzył się czołowo z samochodem Nathaniela, którego przewieziono karetką do miejskiego szpitala w Bostonie. Jest nieprzytomny i ma krwotok wewnętrzny. Nie wiadomo, czy przeżyje noc.

Evelyn odłożyła słuchawkę i siedziała bez ruchu. Trochę płakała. Potem wstała i wytarła oczy. Dokładnie wiedziała, co powinna zrobić. Jej narzeczonemu grozi niebezpieczeństwo, ale ona go uratuje. Wybiegła bez płaszcza na mroźną noc i zatrzymała taksówkę.

Chociaż w myślach starała się przygotować na to, co zobaczy, gdy ujrzała Nathaniela na szpitalnym łóżku, była wstrząśnięta, tak czysto fizycznie - jakby przez jej ciało przebiegł prąd. Miał zamknięte oczy i bladą twarz. Ze złamaną, owiniętą bandażem szczęką przypominał mumię. Na sąsiednim łóżku jęczał starszy mężczyzna o cienkiej jak pergamin, pomarszczonej skórze. Evelyn próbowała się z nim przywitać, ale patrzył gdzieś w bok, w okno, za którym widać było tylko ceglany mur.

Postawiła krzesło obok łóżka i zaczęła wesołą pogawędkę, jakby byli z Nathanielem na randce i jedli razem obiad. Opowiadała mu o cieście, które upiekła, domagając się, by się zbudził i zjadł kawałek, bo inaczej będzie jej przykro. Delikatnie głaskała go po rękę. Była to jedyna widoczna część ciała, jaka pozostała niezmienną, więc wpatrywała się w nią, w znajome, długie, wytworne palce, otarcia na kciukach i obwódki brudu za paznokciami - aż reszta pokoju zniknęła.

Następnego dnia pierwsze, co zrobiła, to zadzwoniła do Geralda. Powiedział, że zaraz przyjedzie, i choć dobre wychowanie nakazywało zaprotestować, nie zrobiła tego, wiedząc, że obecność przyjaciela będzie pociechą i dla jej, i dla Nathaniela. Wkrótce po przybyciu Geralda chorego przeniesiono do większego jednoosobowego pokoju z widokiem na wysadzaną drzewami ulicę. Evelyn nie wiedziała, co i komu Gerald powiedział, czy raczej ile za to zapłacił, ale była mu wdzięczna.

Dopiero dwa dni później przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić do rodziców i powiedzieć im, co się stało. Matki i ojca nie było w domu, więc uznała, że równie dobrze może zostawić wiadomość gospodyni. Nigdy nie potrafili jej pocieszyć, więc nauczyła się radzić sobie sama, oczywiście przy wsparciu narzeczonego. Nie mogła sobie wyobrazić życia bez niego.

Gdy przyjechały matka i siostry Nathaniela, Gerald uparł się, by zamieszkały w domu jego rodziców w Wellesley. Każdego ranka przywoził je do szpitala i wieczorem, przed kolacją, odwoził do domu. Często wracał, żeby posiedzieć z Evelyn, która rzadko jeździła do swojego mieszkania. Przywoził jej ciepłe jedzenie od domowej kucharki i książki polecane przez swoją matkę. Namawiał, żeby po południu poszła do domu odpocząć, ale nie potrafiła zostawić narzeczonego. Chciała być przy nim, gdy odzyska przytomność. Gerald czasem zostawał w szpitalu na noc. Grali w szachy i rozwiązywali łamigłówki o trzeciej nad ranem, starając się, by i Nathaniel, chociaż nieprzytomny, brał w tym udział. „Zaraz zetrę twoją panią na miazgę”, mówił Gerald, a Evelyn odpowiadała: „Nie słuchaj go, kochanie, tylko tak gada”.

Cieszyła się, że Gerald jest przy niej. Lekarze nie rozmawiali zbyt często ani z nią, ani z matką Nathaniela. Bali się, że są zbyt delikatne i nie zniosą złych wieści. Ale nie oszczędzali Geralda, a on bez wahania przekazywał Evelyn całą prawdę.

Czytał przyjacielowi gazety, opowiadał o kampanii prezydenckiej Roosevelta i nowym gangsterskim filmie Howarda Hughesa. Zupełnie jakby sądził, że namówi go, by wrócił do życia, uświadamiając mu, ile traci. Czasem Evelyn myślała, że może mu się uda.

Właśnie z codziennych serwisów informacyjnych prezentowanych przez Geralda dowiedziała się o porwaniu małego synka Charlesa Lindbergha. Dziecko zabrano z kołyski stojącej na piętrze rodzinnego domu w New Jersey, gdy rodzice na dole jedli obiad. Lucky Lindy był najślawniejszym facetem na świecie. Przed dwoma laty o narodzinach jego pierwszego dziecka pisały gazety wszystkich państw - nigdy żadnemu niemowlęciu nie poświęcono tyle uwagi. Podobno życzliwi ludzie przysłali Lindberghom więcej zabawek, niż mógł pomieścić ich ogromny dom. Teraz dziecko miało dwadzieścia miesięcy i było cherubinkiem o złotych lokach, pulchnych policzkach, z dołeczkiem w brodzie.

Zniknięcie chłopca odkryła niania. Od razu zwrócono uwagę na niepokojące ślady: otwarte okno w pokoju dzieciennym, znalezione pod nim odciski drabiny, ślady stóp w błocie na długości prawie kilometra, do których na skraju lasu dołączyły inne, mniejsze, należące do kobiety. Kończyły się w miejscu, gdzie jak przypuszczano, para wsiadła do samochodu. Ustawiono blokady na drogach, a policja przeszukiwała każde auto. Prezydent Hoover spotkał się z prokuratorem generalnym, postawiono na nogi agencje federalne i całą policję stanów Nowy Jork i New Jersey. W dzieciennym pokoju znaleziono wiadomość z żądaniem okupu, a następnego dnia przyszła napisana tym samym charakterem pisma pocztówka: Dziecku nic nie grozi. Instrukcje

podamy później. Róbcie to, co każemy.

W gazetach ukazały się zdjęcia ślicznego chłopca w łóżeczku lub w ramionach matki. Anne Morrow Lindbergh, drobna i ładna, z włosami obciętymi na pazia, ubrana w krótką sukienkę, wpatrywała się z uwielbieniem w swojego jedynaka. Evelyn obsesyjnie słuchała wszystkich wiadomości, każdej nowiny i plotki powtarzanej przez pielęgniarki, które znały kogoś, kto znał kogoś, kto słyszał coś ciekawego. Pani Lindbergh wyznała zgromadzonemu przed jej domem tłumowi fotografów i reporterów, że dziecko było przeziębione. Opisała im szczegółowo, co mały lubi jeść, w nadziei, że porywacze dobrze się nim zaopiekują. Pułkownik Lindbergh oświadczył, że zapłaci każdą żądaną sumę.

Prasa doniosła, że Lindberghowie nie mogą spać. Zupełnie jak Evelyn. Siedząc o świcie przy łóżku Nathaniela, wyobrażała sobie Anne Morrow, dziewczynę mniej więcej w jej wieku, w drugiej ciąży, jak spaceruje nerwowo po domu, modląc się o szczęśliwy powrót dziecka. Dwie tragedie połączyły się w głowie Evelyn i nabrała przekonania, że jeśli malec odnajdzie się zdrowy i szczęśliwy na kolanach jakiejś babci, wtedy może Nathaniel wyzdrowieje.

Jednak w pewien słoneczny majowy poranek, gdy wyszła ze szpitala, by zaczerpnąć świeżego powietrza, usłyszała okrzyki gazeciarzy: „Dziecko nie żyje!”. Byli weseli, gdyż taka wiadomość oznaczała dla nich duży zarobek. Evelyn miała ochotę wykupić wszystkie gazety w Bostonie, żeby zmusić ich do milczenia. Ale kupiła tylko jedną i przeczytała ją, drżącą ręką przewracając strony. Dziecko znalazł kierowca ciężarówki. Leżało twarzą do ziemi w kupie liści osiem kilometrów od domu. Miało rozbitą czaszkę. Albo zostało czymś uderzone, albo wyrzucone z jadącego pojazdu. Policja przypuszczała, że porywacze zamierzali oddać chłopca, lecz gdy zaczął głośno płakać, wpadli w panikę i podjęli szybką decyzję, że go zabiją. Nie żył od kilku tygodni, a oni wciąż utrzymywali, że nic mu nie jest, domagali się okupu i dawali nieszczęsnym rodzicom nadzieję. Gdy znaleziono zwłoki, większość twarzy i ciała rozszarpały już dzikie zwierzęta.

Evelyn wyobrażała sobie niewinne bezbronne maleństwo leżące samotnie w lesie, podczas gdy jego ojciec latał samolotem, wciąż go szukając. Zaczęła dygotać. Nie mogła oddychać.

Wpadła w taką histerię, że musiała wrócić do szpitala, gdzie podano jej środki uspokajające i położono ją na kilka godzin do łóżka.

Trzy tygodnie później Nathaniel odzyskał przytomność. Lekarz ostrzegł, że sytuacja nie jest jeszcze opanowana i nie powinni wpadać w euforię. Ale Evelyn, po wszystkim, co przeszli, nie rozumiała, dlaczego nie wolno im się cieszyć.

Następnego popołudnia wzięli ślub w szpitalnej kaplicy. Evelyn miała na sobie biały kostium i brązowe pantofle, a na zaczesanych do tyłu włosach białą woalkę. Nathaniel siedział obok na wózku inwalidzkim, oszołomiony, ale szczęśliwy, a wszystkiemu przyglądała się jego rodzina, Gerald oraz grupka pielęgniarek. Pielęgniarki

przejmowały się historią ich miłości i lubiły Nathaniela, głównie ze względu na Geral-da, który przynosił im cukierki i zapewniał, jak cudownie wyglądają pod koniec długiej zmiany. Jedna z nich upiekła ciasto, złożyły się też, by kupić Evelyn kwiaty, świece i ładny porcelanowy półmisek.

W noc poślubną Evelyn spała przytulona do męża na wąskim szpitalnym łóżku. Przez krótki czas sądziła, że los ich oszczędził, ale już po kilku dniach, w czwartek rano, lekarze stwierdzili u Nathaniela zakażenie, które przeniosło się do krwi. W weekend zmarł.

Choć Evelyn wiedziała, że szanse, iż Nathaniel przeżyje, są niewielkie, jego śmierć była dla niej szokiem. Mimo to czuła wdzięczność do losu za to, że odzyskał przytomność, że mogli spędzić razem ostatnie dni i są teraz małżeństwem. Jednak ten nastrój szybko zmieniał się we wściekłość, gdy zastanawiała się, dlaczego Bóg ofiarował jej taki dar tylko po to, by zaraz go odebrać.

Starannie wybrała ubranie, w którym Nathaniel miał być pochowany. Wiedziała, że każda decyzja to zamknięcie kolejnych drzwi prowadzących do nieuchronnego końca. Stała samotnie w małym mieszkaniu męża w Cambridge i choć płakała, nie chciała stamtąd wyjść. Wciąż pachniało tam Nathanielem. Wybrała granatowy garnitur, bo miał go na sobie, gdy oświadczył jej się przed restauracją, w której byli na pierwszej randce. Poza szpitalem nigdy ze sobą nie spali i teraz rozpaczliwie tego żałowała. Noc spędziła samotnie w jego łóżku, ciasno owinięta kołdrą, wyobrażając sobie, że to ramiona Nathaniela.

Podczas pogrzebu wyszukiwała sobie różne zajęcia. Nie chciała stać beczynnie. Choć była żoną Nathaniela, wiele osób o tym nie wiedziało. Ze zdziwieniem myślała o innych stronach jego życia: o ludziach, którzy pamiętali go tylko jako syna, brata lub małego chłopca z sąsiedztwa. Nic dziwnego, że kierowali swoje współczucie do matki i sióstr, które przecież niedawno przeżyły inną tragedię, wydawałoby się, wystarczającą na całe życie.

Potem nie opuszczał jej ból. Często patrzyła na obcych ludzi, którym można było coś zarzucić - na matkę krzyczącą przed szkołą na syna, na mężczyznę spluwającego na ulicę - i zastanawiała, dlaczego oni żyją, a Nathaniel nie. Wpatrywała się w takie osoby, niemal wierząc, że istnieje jakiś sposób, by wymienić go na którąś z nich.

W nocy, leżąc bezsennie w łóżku, rozmyślała o chwili, kiedy zderzył się z tamtym samochodem. Nathaniel był wtedy sam. Chciał, żeby z nim pojechała. Powinna się zgodzić, powinna być z nim w momencie, gdy w przedniej szybie ukazały się światła reflektorów innego auta. Wtedy może wciąż byłiby razem, po tej lub tamtej stronie.

# 1987

James zawrócił i wyjechali z parkingu.

Zaledwie przed dziesięcioma minutami odbili karty, a Maurice już był w środku jednej ze swoich historyjek. Zaczął opowiadać, gdy James jak zwykle sprawdzał, czy pracownicy z poprzedniej zmiany doprowadzili ambulans do porządku i czy jest w nim wszystko, czego potrzebują - defibrylator, EKG, ssak, kaniule, zestaw do oparzeń i nosze. - Mówię mu: ustawienie kół masz w porządku. Pewnie zaciął ci się ręczny hamulec. I, cóż za niespodzianka, miałem rację. Dzięki mnie zaoszczędził dziewięćdziesiąt dolarów i pół dnia w warsztacie. W dodatku jego mechanik to skończony oszust. Meksykanin.

Maurice nie ufał Meksykanom. James uważał, że to zabawne, bo sam był czarnoskóry. Kiedy mu o tym powiedział, kolega odparł: „I co z tego? Myślisz, że czarni nie mogą mieć takich samych uprzedzeń jak inni ludzie?”.

- Cindy uważa, że się wymądrzam - ciągnął opowieść. - Podobno dałem mu do zrozumienia, że nie umie naprawić własnego samochodu. Gdy spotkaliśmy się z sąsiadami z okazji Bożego Narodzenia, traktował mnie jak powietrze. Mam ochotę zapytać go, o co chodzi. W końcu jesteśmy dorosłymi ludźmi. Nie będę stał przed domem i machał mu na powitanie, gdy on myśli, że go nie szanuję. Szkoda, że w ogóle się odzywałem. Niechby sobie dalej zostawiał na jezdni ślady ha-mowania i nie wiedział dlaczego.

James zaparkował w tym samym miejscu co zwykle. Obok, przy krawężniku, stały dwie inne karetki.

- Nie chcę ci przerywać pasjonującego monologu, ale... chcesz kawę?

Maurice kiwnął głową.

- Mogę pójść - zaoferował się James. - Chcesz coś zjeść? Jajko z serem?

- Kanapkę - odparł Maurice. - Z indykiem. Nie, lepiej cheeseburgera.

- Jaja sobie robisz?

- Co?

- Jak to co? Jest ósma rano.

- I?

- Już nic, barbarzyńco. Przygotuj raporty.

- Właśnie to robię. - Maurice uniósł segregator, - I wcale nie żartowałem z tym cheeseburgerem.

- Wiem, że nie. I to mnie właśnie przeraża.

James wysiadł. Było przeraźliwie zimno. W powietrzu pachniało śniegiem. Otulił się ciasniej skórzaną kurtką.

Gdy wszedł do U Elsie, siedzący przy barze stali bywalcy pomachali mu na przywitanie.

- Witam panów.

- Dzieńdoberek, panie McKeen. - Ron Shanahan kiwnął do niego głową. Każdego dnia mówił to samo.

Praca Jamesa składała się w równych częściach z adrenaliny i rutyny. Przemierzali wciąż od nowa te same ulice. Miasto Cambridge zajmowało dziesięć kilometrów kwadratowych i James znał na pamięć każdy jego centymetr. W ciągu godziny przejeżdżał trzy czy cztery razy przez Harvard Square, codziennie widywał tych samych policjantów, pielęgniarki i strażaków. Z większością dobrze się dogadywał. Ci, którzy akurat byli bez pary, co wieczór zachodzili na drinka do Ground Round albo do Ding Ho przy placu Inman, i zależnie od dnia albo się w kimś kochali, albo kłócili.

Młodszy chłopcy, osiemnasto- czy dziewiętnastolatki, uważali się za twardzieli. W ramach otręsin potrafili przykuć nowicjusza do słupa telegraficznego i stłuc na miazgę albo przystawić mu do głowy naładowany pistolet, przy wtórze krzyków przerażonych przechodniów, bo wiedzieli, że wezwani policjanci tylko przejadą obok ze śmiechem. James trzymał się od takich zabaw z daleka.

W pracy zawsze coś się działo. Zdarzały się dni spokojne i dni szalone. Na ogół wzywano ich raz na godzinę. Dzisiaj miał padać śnieg. W taką pogodę zwykle panował spokój, chociaż różnie bywało. W jednej chwili człowiek jadł śniadanie, a w następnej wpełzał do samochodu, który dachował na Memorial Drive.

Za barem Cathy związywała włosy w koński ogon. W jej uszach kołysały się kolczyki ozdobione świątecznym motywem. Była po trzydziestce, ładna, choć zwykle miała zbyt mocny makijaż. Jej dzinsy zawsze sprawiały wrażenie, jakby wymalowano je wprost na tyłku.

- Cześć, James. Dwie kawy?

- Tak. I cheeseburgera.

- O tej porze?

- Powiedz to facetowi z tasiemcem, który czeka na mnie w karetce. - James wzruszył ramionami. - Zamykasz dzisiaj wcześniej?

- Koło szesnastej. Muszę zdążyć do ciotki na Wigilię, a potem zabrać matkę na pasterkę.

- Brzmi fajnie.

- Bo nie znasz mojej matki.

Odwróciła się do Phila, właściciela baru, który obsługiwał grill, i przekazała mu zamówienie.

Jamesa piekły oczy. Zacisnął powieki i potarł je palcami. Nie wiedział, jak przetrwa dzisiejszą zmianę. Jeśli będzie spokój, może uda mu się trochę zdrzemnąć. Sama kofeina nie wystarczy.

Ratownicy medyczni zazwyczaj pełnili dwa dwudzie-stoczerogodzinne dyżury w tygodniu, ale on przez ostatnie pół roku brał trzy. Gospodarka kulała, więc na wszelki

wypadek pracował, ile tylko mógł.

Gdy przed kilkoma miesiącami załamała się giełda, James w pierwszej chwili się nie przejął, bo nie miał żadnych akcji. Widok bogaczy choć raz bojących się o swoje pieniądze sprawił mu nawet przyjemność. Nowy ulubiony dowcip, który usłyszał od pacjenta i potem setki razy powtarzał w domu, brzmiał: „Mówi bankier do bankiera: «Dziś całą noc spałem jak niemowlę\*. «Naprawdę?» «Tak, co godzinę budziłem się z płaczem»”.

Maurice'a także nie obchodził krach na giełdzie, ale nie podobało mu się coraz większe uzależnienie od komputerów.

- Wiesz, że używają ich teraz do ustalania cen? - pytał każdego, kto chciał słuchać. - Rządzą nami roboty, a wszyscy mają to gdzieś.

W końcu jednak James także zaczął się niepokoić. Nie z powodu robotów, ale pieniędzy. W zeszłym miesiącu zamknięto fabrykę samochodów General Motors we Framingham i jego kolega Big Boy stracił pracę. Coś, co początkowo wydawało się problemem dotyczącym tylko bogaczy, okazało się poważniejszą sprawą.

Szef Jamesa lubił zapewniać nowych pracowników, że ich branża nie podlega recesji.

- Jak długo będą narkotyki, alkohol, staruszkowie i samochody, nie zabraknie nam roboty.

W pewnym sensie była to prawda - w czasach kryzysu gospodarczego mieli jeszcze więcej pracy niż zwykle. Bezrobocie wpływało na wzrost spożycia narkotyków i alkoholu, więcej ludzi wpadało w depresję i popełniało samobójstwa. Często widywało się ludzi, od których los się odwrócił, przewlekłe chorych, od miesięcy zaniedbujących zdrowie, bo stracili ubezpieczenie i nie mieli pieniędzy na lekarza.

Pracy było więcej, ale zarabiali mniej. Pacjenci nie płacili wysyłanych przez firmę rachunków i w końcu odbijało się to także na ratownikach.

Kiedy Jamesa zwolnili ze straży pożarnej w Lynn, szukał pracy przez rok. Biorąc pod uwagę okoliczności, miał szczęście, że w ogóle go zatrudniono, i postanowił, że tym razem utrzyma się w robocie.

Cieszył się, że dziś wypadła mu zmiana z Maurice'em, a nie z tym głupim gnojem Andrewsem. Pracował z Maurice'em dwa razy w tygodniu już od półtora roku. Dobrze się dogadywali, działali w jednym rytmie. Był to najdłuższy okres, przez jaki James z kimś pracował - w prywatnych firmach była duża rotacja. Niewielu facetów wytrzymało harówkę na tak długich zmianach za dziesięć dolarów na godzinę. James wiedział, że Maurice też niedługo odejdzie. Dla niego był to po prostu szczebel w karierze zawodowej. Większość ratowników w końcu awansowała na kierowników lub asystentów lekarzy. Jeden nawet rzucił pracę, żeby zostać śmieciarzem - czy, jak to mówił, specjalistą od odpadów - bo lepiej płacili. Wielu czekało na wolne etaty w straży pożarnej. Tam ratownicy medyczni pracowali w lepszych godzinach i za wyższą stawkę. Mogli przejść na emeryturę w wieku pięćdziesięciu pięciu lat i dostawali wtedy osiemdziesiąt procent pensji.



James jako jedyny w pogotowiu pracował przedtem w straży pożarnej. Miał swoją szansę i ją stracił, więc trudno powiedzieć, jak mógłby awansować. Nawet teraz, po trzech latach, bardzo żałował tego, co się stało.

Przez rok próbował zaczepić się w straży pożarnej w innym mieście, ale wszędzie wlokła się za nim zła opinia. Kolega, z którym pracował w Lynn, poradził, żeby poszukał posady w prywatnej firmie i nigdy nie wspominał o tym, co się stało. Tak też zrobił. Zatrudnił się w Cambridge jako ratownik medyczny, a w zeszłym roku wziął kolejną pożyczkę, żeby zrobić dyplom pracownika paramedycznego na Uniwersytecie Northeastern. Wiedział, że dzięki temu będzie więcej wart dla firmy niż zwykły ratownik, i ten wydatek się opłacał.

Większość kolegów na kursie w Northeastern była sanitariuszami wojskowymi i znali się na swojej pracy lepiej niż James. Program był bardzo bogaty: mieli zajęcia teoretyczne, jeździli w ambulansach i pracowali na izbie przyjęć. Pisemne testy za bardzo przypominały Jamesowi szkołę średnią. Podczas nauki oczy same mu się zamykały. Za pierwszy test dostał ocenę tak niską, że instruktor oddał mu go z przypiętym podaniem o pracę w Burger Kingu. Ale w karetce lub w szpitalu James się ożywił.

Ukończyli kurs dla pracowników paramedycznych jako pierwszy rocznik w stanie, co miało swoje plusy: mogli robić więcej niż inni. Nazywano ich Oddziałem Boga. Jeśli pacjent miał atak hipoglikemii, zwykły ratownik mógł mu tylko wsypać cukier do gardła, a dyplomowany ratownik miał prawo zrobić zastrzyk z preparatu D50 i wprowadzić wenflon do żyły. Gdy zwykły ratownik znalazł faceta, który nie oddychał po przedawkowaniu heroiny, wrzucał go na nosze i wiozł do szpitala. James wstrzykiwał mu narcan i po minucie ofiara siedziała na chodniku, zapewniając: „Nie wiem, o czym pan mówi. W życiu nie tknąłem narkotyków”.

Ratownicy dyplomowani nosili odznaki, które naprawdę o czymś świadczyły. Jednak paru facetów w firmie dowiedziało się o przeszłości Jamesa. Opinia wlokła się za nim bez względu na to, jak bardzo się starał. Wiedział, że uważają go za nieudacznika. Utrata pracy w budżetówce była prawie niemożliwa, ale spokojna głowa, on nawet z tym sobie poradził.

Kiedyś, późnym wieczorem, zatrzymali się przed 7-Eleven. Maurice wszedł do środka po dużą colę i hot doga, a James czekał przed sklepem razem z kutasem o nazwisku Tommy Benson.

- Słyszałem, że wywalili cię ze straży pożarnej w Lynn. Co jest z tobą nie tak, McKeen? - zapytał beczelnie Tommy. - Bierzesz prochy? Pijesz? Kradniesz? A może wszystko naraz?

James miał ochotę dać mu w mordę, ale pomyślał o Sheili i dzieciach i po prostu wszedł do ambulansu.

Maurice był jedyną osobą w firmie, która знаła prawdę. James bał się, co będzie, jeśli szef się dowie. Od razu go wywali. Dyplom ratownika medycznego trochę go chronił,

ale nie do końca.

Nowy facet, Andrews, z którym James pracował teraz raz w tygodniu, wcześniej służył w wojsku. Przyjechał do Bostonu przed pięcioma miesiącami gdzieś z zachodu. W lipcu, gdy zaczynał pracę w ambulansie, było okropnie gorąco. Przez całe lato jeździli z otwartymi tylnymi drzwiami, na zmianę stojąc na schodku, jedynym miejscu, gdzie dawało się oddychać i można było patrzeć na dziewczyny w minispódniczkach. Pierwszego ranka James zastał Andrewsa na schodku gotowego do odjazdu.

- Hej, młody - rzucił, wskazując kciukiem miejsce kierowcy - zjeżdżaj stąd.

Ale Andrews nie zagrzał miejsca za kierownicą, bo gdy prowadził, James się denerwował: chłopak nie wiedział, dokąd jechać, i stwarzał niebezpieczne sytuacje. Ciągle skręcał pod prąd w jednokierunkowe ulice. Kiedyś w drodze do szpitala Beth Israel zapytał: „Mam jechać w stronę tego trójkątnego neonu?”. Nawet nie znał znaku stacji benzynowej CITGO. James walnął go w tył głowy. „Zgłupiałeś? Nigdy nie oglądałeś w telewizji meczu Red Soxów?”

Z doświadczenia wiedział, że Andrews nie wytrzyma długo w pogotowiu, może parę miesięcy. Z utęsknieniem czekał na dzień, w którym chłopak po prostu nie zjawi się w pracy.

Nie wszyscy radzili sobie z ciemnymi stronami zawodu. Nawet ci, którzy wcześniej opatrywali rannych na froncie, mieli problem z wchodzeniem do cudzych domów. W październiku znaleźli w schowku na szczotki w jakiejś melinie ciało nastoletniej punkowej, uduszonej, a wcześniej pewnie zgwałconej. James widywał ją na placyku przed stacją metra, kręciła się tam kilka tygodni przed śmiercią. Nie wyglądała na bezdomną, raczej na dziewczynę z przedmieścia, która szuka nowych wrażeń, zanim wyjedzie na studia i zacznie nosić kaszmirowe swetry. Miała nie więcej niż siedemnaście lat, niebieskie włosy do ramion i srebrne kółeczko w nosie. Kiedy wychodzili z mieszkania, Andrews płakał. Nogi się pod nim ugiwały.

Miesiąc później na numer dziewięćset jedna dzwoniła kobieta skarżąca się na ból w plecach. Kiedy James i Maurice przybyli na miejsce, wydawało się, że nic jej nie dolega, choć sprawiała wrażenie obłąkanej - spacerowała po pokoju i emanowała dziwną energią. James w pierwszej chwili pomyślał, że jest uzależniona od lekarstw i szuka sposobu, by się naszprycować.

- Naprawdę musiała pani wzywać karetkę? - zapytał Maurice.

- Tak. Dzieci pojedą ze mną. Tylko gdzie ja położyłam ich kurtki?

- Przepraszam, ale nie wolno nam przewozić dzieci - odrzekł Maurice. - Czy nie mogłyby zostać z sąsiadką?

- Wykluczone - odparła.

James miał złe przeczucia. W mieszkaniu panowała cisza.

- Gdzie one są?

- W łazience - odpowiedziała wesoło kobieta, wskazując popękane drewniane drzwi.

James zebrał się na odwagę i je otworzył. W wannie pływały dwa małe ciała. Wszędzie pełno było wody, krwi i śladów walki. Poderżnęła im gardła. Dotknął ciało, były zupełnie zimne.

Wiedzieli, że dzieci nie żyją, ale i tak pognali z nimi na sygnale do szpitala, jakby liczyła się każda sekunda.

- Szybciej, kurwa mać, jedź szybciej! - krzyczał James. Potem był cały we krwi. Nawet po umyciu rąk czerwieniła się w liniach papilarnych i za paznokciami. Tężała skrzepami we włosach i ściekała do nogawek spodni.

James tłumaczył nowym pracownikom, że powinni zrobić dla pacjenta wszystko, co tylko możliwe, i iść dalej. Człowiek nie powinien za bardzo angażować się emocjonalnie, ale tamten wypadek był jak cios w samo serce. Rano, po powrocie do domu, zanim wszedł do środka, kopnął stojący na podjeździe samochód. Poczul niewielką ulgę, więc kopnął go po raz drugi, potem trzeci i czwarty, aż na drzwiach od strony kierowcy powstało głębokie wgniecenie, a James złamał sobie duży palec u nogi. W domu obudził Parkera i przytulił go tak mocno, że syn wyszeptał: „Tatusiu, udusisz mnie”.

James wychował się w katolickiej rodzinie i choć nigdy tak naprawdę nie wierzył w Boga, nie miał powodów, by wątpić w jego istnienie. Wciąż pamiętał wtorek po zabiciu Kennedyego. Kiedy w stolicy odbywał się pogrzeb prezydenta, Boston był pogrążony w żałobie. Matka Jamesa z czarną krepą na kapeluszu siedziała w zatłoczonej ławce kościoła Najświętszego Serca z jednym synem po lewej, a drugim po prawej stronie, ściskając ich za ręce. Trzymała zdjęcie JFK na kominku obok fotografii ślubnej i szkolnych zdjęć dzieci. Płakała cicho, tak jak wszyscy zgromadzeni parafianie. Kościół był wypełniony po brzegi. Kiedy ksiądz zaczął mówić, James zwrócił uwagę na miny otaczających go ludzi - chcieli pociechy, chcieli, by ktoś wytłumaczył im, jaki sens ma to szaleństwo. Ksiądz powiedział, że Bóg powołał prezydenta przed swoje oblicze, i choć może nigdy nie dowiemy się dlaczego, musimy pamiętać, iż to część Boskiego planu, a wszyscy kiwali głowami. James miał wtedy dziesięć lat i przez pewien czas to wspomnienie towarzyszyło mu wraz z przekonaniem, że wiara jest czymś niezbędnym, a Bóg przynosi pociechę nawet w niewyobrażalnym bólu.

Teraz jednak, gdy patrzył na ostatnie chwile tylu nieznanymi ludzi, miał pewność, że nie odchodzą oni do żadnego lepszego świata. Serce się zatrzymuje, mózg przestaje działać i do widzenia. Życie się kończy. Matka wierzyła, że dusza zmarłej osoby tuż po śmierci, przed pójściem do nieba, trzyma się znajomych kątów. Kiedy zmarła jej matka, zabrała Jamesa do swojego rodzinnego domu i zapytała: „Czujesz, Jimmy? Babcia ciągle tu jest”. Wtedy wydawało mu się, że rzeczywiście odczuwa czyjąś obecność, więc przytaknął. Matce sprawiło to wyraźną przyjemność.

Wróciła Cathy, niosąc dwie kawy.

- Cheeseburger będzie za parę minut.

Czekając na zamówienie, James gapił się w stojący w rogu telewizor. Ekran przeciął podświetlony banner z wynikiem wczorajszego meczu: Celtics pobili Bulletsów sto dwadzieścia dwa do stu dwóch. Larry Bird zdobył dwadzieścia siedem punktów.

- Dobry mecz - mruknął do siebie.

Wczoraj oglądał go do końca, zamiast iść spać. Był wykończony, ale wiedział, że nie zaśnie, więc po co miał leżeć i przewracać się z boku na bok? Podczas meczu wypił pięć piw. Nabrał nowego zwyczaju: kupował sześciopak piwa i wypijał pięć. Przypominało to zachowanie Sheili, która pożerała deser, ale ostatni kęs zostawiała na talerzyku, by pokazać, że potrafi się powstrzymać.

Teraz ledwie widział na oczy, ale mecz był tego wart. James czuł, że żyje tylko wtedy, gdy ogląda mecz koszykówki, słucha płyt ze szkolnych czasów lub po raz pierwszy wyjeżdża wiosną z garażu matki starym fordem coupe. Żałosne, ale prawdziwe.

Wciąż kochał muzykę, której słuchał, gdy grał w zespole - Beatlesów, Stonesów, Doorsów, Arethę Franklin i Supremes. Ich piosenki przenosiły go do czasów, kiedy myślał, że wszystko jest możliwe. Każda z nich przywoływała jakiś ważny moment w jego życiu. Pierwsza noc z Sheilą, gdy jej rodzice wyjechali z miasta, to Today Jefferson Airplane: I'm so full of love I could burst apart and start to cry.

Trzecia klasa szkoły średniej, gdy z nim zerwała, to Diana Ross śpiewająca Reflection. Słuchał tej piosenki wciąż od nowa, przez trzy dni, dopóki Sheila nie zmieniła zdania.

James miał starą gitarę basową, którą podarował mu kuzyn. Palił marihuanę i grał w swoim pokoju, puszczać z magnetofonu Velvet Underground, a potem odurzony i natchniony, pisał piosenki i przyklejał je na ścianie. Po kilku dniach, obściskując się z Sheilą na łóżku lub oglądając pod kołdrą „Playboya” należącego do starszego brata i waląc konia, patrzył na swoje dzieła i czuł, że wypełnia go moc.

Spojrzał na zegarek. Matka pewnie już wstała i jak każdego ranka o tej porze czeka na jego telefon. Podszedł do wiszącego na ścianie automatu.

Odebrała po pierwszym sygnale.

- Jimmy?

- Mama?

Milczała, a on nie wiedział dlaczego. Po udarze doszła do siebie, miała tylko zaburzenia widzenia obwodowego. Ale czasem nie potrafiła odnaleźć właściwego słowa.

- Wesołych Świąt - powiedział.

- Co u ciebie?

- W porządku. Dziś rano, gdy wyprowadzałem psa, spotkałem twoją przyjaciółkę Doris.

- Mam nadzieję, że się przywitałeś?

- Nie, odepchnąłem ją i poszedłem dalej.

- Jimmy, nie pozwalaj sobie.

- Dobrze spałaś? - zapytał. Mówiła, że ostatnio budzi się z walącym sercem i nie może oddychać. Gdy o tym myślał, chciał zabrać ją do siebie i stale mieć na oku. Pewnie w końcu do tego dojdzie, choć nie miał pojęcia, jak się pomieszczą.

W głębi duszy był przekonany, że jej życie się kończy. Zawsze, gdy mówił o tym Sheili, odpowiadała: „Jimmy, każdego ranka twoja matka budzi się z przekonaniem, że zostało jej pół roku życia. Słyszę to od dziesięciu lat”, ale on wiedział swoje i serce mu pękało. Gdy rozglądał się po małych mrocznych pokojach w jej domu, robiło mu się słabo na myśl, że już niedługo zostaną mu po matce tylko przedmioty - zalatujące stęchlizną ścierki do naczyń, okulary na cienkim złotym łańcuszku i brzydkie meble śmierdzące papierosami.

- Dobrze dziś spałam - powiedziała.

- Doskonale. A co będziesz teraz robiła?

- Właśnie słucham w radiu mszy odprawianej przez kardynała i gotuję sobie jajka na śniadanie.

- Wiesz, że ma padać śnieg? Nie wybieraj się gdzieś dalej, dobrze?

Matka się roześmiała. Już od dawna nie prowadziła samochodu. I nigdzie sama nie chodziła. Wozili ją co tydzień do lekarza, do kościoła i do salonu piękności, gdzie w każdy piątek układano jej fryzurę, choć James nie mógł pojąć, dlaczego lub dla kogo to robi.

- Wpadnę jutro rano, żeby się przywitać. A potem wrócę przed północą i zabiorę cię na pasterkę. A następnego dnia pójdziemy na obiad do Toma i Lindy, zgoda?

- Będę gotowa.

- W najbliższy weekend chcemy zabrać dzieci do Bostonu, żeby zobaczyły dekoracje świąteczne w parku. Zjemy lunch w Brigham's. Wybrałybyś się z nami?

- Z chęcią. Od wieków nie byłam w mieście.

James uważał matkę za świętą: słodką, łagodną kobietę, która robiła, co mogła, by wychować dwóch łobuzów. Wciąż pamiętał jedną z kilku prób wyjazdu na wakacje. Pojechali do motelu w Hampton Beach. Najpierw brat narobił kłopotów, bo znalazł bezdomnego psa i przyprowadził go na basen, potem James pobił się z jakimś chłopakiem na promenadzie obok pasażu z automatami do gier i wrócił z podbitym okiem. Matka przywiozła elektryczną patelnię, żeby nie wydawać pieniędzy na jedzenie w restauracjach. Tamtego wieczoru próbowała przygotować w pokoju spaghetti, lecz gdy włączyła patelnię, wywaliło korki i w całym motelu wysiadł prąd. W końcu ich stamtąd wyrzucili. James pamiętał, jak przez całą drogę do Massachusetts matka jednocześnie śmiała się i płakała.

- Prawdziwa z nas menażeria, no nie? - zapytała przez łyżę, a James, o dziwo, poczuł się dumny.

Pamiętał z dzieciństwa, że w domu zawsze grało radio - Nat King Cole, Frank Sinatra, audycja Irish Hours, a codziennie o siódmej rano - msza. „Dotrzymuje mi towarzystwa”, mawiała matka, a James dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jaka

była wtedy młoda. Miała osiemnaście lat, gdy urodziła jego brata, i dwadzieścia jeden, gdy na świat przyszedł James.

Po dwudziestych trzecich urodzinach została wdową. Wciąż miał przed oczami jej młodą ładną twarz, pamiętał, jak ściągała brwi, gdy kłamał. „Jimmy McKeen, natychmiast się przyznaj. Przecież widzę, że kręcisz, masz twarz czerwoną jak flaga radziecka”.

Przed wyjściem do pracy siadywała na ganku w różowym szlafroku i lokówkach i paliła papierosa za papierosem. A teraz ma pięćdziesiąt sześć lat i wygląda na siedemdziesiąt. Do udaru nie opuściła ani jednego dnia pracy. Najpierw była recepcjonistką u dentysty, a potem wydawała lunch w szkole Jamesa, czego on w tamtych czasach bardzo się wstydził. Czasem w stołówce nie zwracał na nią uwagi, udawał, że jej nie zna. Gdy teraz o tym myślał, paliły go policzki. Przez kilka lat, żeby związać koniec z końcem, dorabiała wieczorami jako kelnerka. Ale i tak dostawała grosze.

Gdy była młoda, pewnie nigdy nie sądziła, że po wyjściu za mąż będzie musiała pracować. Mąż miał utrzymywać rodzinę, a żona zajmować się dziećmi.

Ojciec Jamesa zapił się na śmierć. Wszyscy tak o nim mówili. Teraz James wiedział, że w ten uproszczony sposób określa się nałogowego alkoholika, który zdołał zniszczyć sobie wszystkie komórki wątroby, stopniowo zastępując je tłuszczem, od którego pożółkła mu skóra, a wypełniony płynem brzuch tak napuchł, że na jedynych zachowanych zdjęciach ojciec wyglądał jak chudzielec w ósmym miesiącu ciąży. Mimo to nadal pił, aż w końcu opuchnięta wątroba przestała działać, a potem odmówiły posłuszeństwa także nerki. Choroba alkoholowa, która zazwyczaj postępuje powoli, zabrała go już w dwudziestym ósmym roku życia. Facet naprawdę się postarał.

Ludzie pocieszali Jamesa, ale jak można opłakiwać człowieka, którego nawet się nie pamięta? Dla starszego brata, Bobby'ego, który znał ojca, było to trudniejsze. Może dlatego po jego śmierci stał się takim głupkiem i korzystał z każdej okazji, by odegrać się na Jamesie lub go upokorzyć.

Sheila uważała, że James wypiera uczucia. Kiedyś nawet namawiała go na wizytę u psychoterapeuty. Lecz on naprawdę nie miał mu nic do powiedzenia. Żałował, że matka mieszka sama, ale przecież żałował wielu rzeczy. Prawdę mówiąc, bardziej się zmartwił, gdy w czasach szkoły średniej zdechł jego piętnastoletni basset. Według żony było to znaczące, gdyż ojciec kochał tę rasę, kolekcjonował kubki, figurki, łyżeczki i inne przedmioty z podobiznami bassetów. Bobby i James je po nim odziedziczyli.

Sheila utrzymywała, że James tak bardzo kocha czerwonego fordą coupe z 1949 roku, ponieważ należał do jego ojca. U matki stał na podjeździe i rdzewiał, dopiero James, nie mając po skończeniu szkoły nic lepszego do roboty, przywrócił go do idealnego stanu: wstawił nową skrzynię biegów i skórzane fotele z rozbitego mustanga znalezionej na złomowisku. Ale gdy siedział za kierownicą, nie myślał o ojcu. Czuł,

że samochód należy do niego i do nikogo więcej.

Jeżeli już, to większy wpływ niż ojciec wywarła na Jamesa jego nieobecność. W latach pięćdziesiątych dzieci naprawdę wierzyły, że rodzina powinna wyglądać tak jak w serialu o Ozziem i Harriet\*. Koledzy mieli obydwój rodziców - ojca, który chodził do biura, i matkę prowadzącą dom. James marzył, że pewnego dnia zjawi się jakiś mężczyzna i ich uratuje. Ale po śmierci ojca matka nigdy się z nikim nie umówiła.

I chociaż mąż zmarł w 1954 roku, na zawsze pozostała panią McKeen. Co nie znaczy, że usychała z tęsknoty. Nigdy o nim \* Ozzie i Harriet - sitcom, jeden z najdłuższych seriali amerykańskiej telewizji (1952-1960), opowiadający o życiu rodziny Nelsonów, (przyp. tłum.) nie mówiła. Zdaniem Jamesa powodem takiego zachowania była nie tyle miłość do zmarłego, ile staroświeckie przekonanie, że ślub bierze się raz w życiu.

- Jutro, gdy tylko skończę zmianę, przyjadę odgarnąć ci śnieg - powiedział. - Do tego czasu nie wychodź z domu, dobrze? Nawet do skrzynki na listy.

- Jimmy, nie przejmuj się mną. To raczej ja powinnam się o ciebie martwić. Za dużo pracujesz. Potrzebujesz odpoczynku.

- Sheila po lunchu wybiera się na zakupy - dodał. - Przygotuj listę rzeczy, których ci potrzeba.

Opieka nad matką przypadła jemu i Sheili. Bobby w niczym im nie pomógł. Służba w Wietnamie trochę pomieszała mu w głowie. Sheila uważała, że wymigiwanie się od rodzinnych obowiązków jest nie w porządku, ale James wolał odpuścić. Gdy byli mali, amerykańskie dzieci nasiąkały patriotyzmem nieświadomie, w taki sam sposób, w jaki jego synowie otrzymywali fluor w wodzie pitnej. Wietnam w wielu z nich zabił patriotyzm. Nikt nie wiedział, o co tam walczyli.

Po wojnie Bobby przez pewien czas nie potrafił się odnaleźć. Zaczął chodzić na treningi o nazwie est - Erhard Seminars Training - które określał jako terapię pomagającą zmienić na lepsze swoje życie, choć Jamesowi przypominały one działalność jakiejś sekty. Ożenił się z maniaczką, którą tam poznał. Przenieśli się do Arizony i od tamtej pory James prawie brata nie widywał. Gdy w rozmowie padało imię żony Bobby'ego, Sheila mówiła zawsze: „Ta kobieta sprzedaje po domach kosmetyki Mary Kay. Jej największym życiowym marzeniem jest wciśnięcie ludziom tyłu szminek, żeby dostać w nagrodę różowy kabriolet. Twój brat musiał do reszty zgłupieć, skoro się z nią ożenił”.

James usłyszał brzęk dzwonka zawieszzonego na drzwiach baru. Do środka wpadło chłodne powietrze, a zaraz potem rozległ się głos Maurice'a:

- McKeen, jedziemy.

- Mam wezwanie - powiedział do słuchawki. - Do zobaczenia jutro, dobrze?

- Kocham cię, Jimmy - powiedziała mama.

- Ja ciebie też. I jeszcze jedno: nie oszczędzaj na ogrzewaniu. Obiecujesz?

Ostatnio mieli falę zgonów starszaków, którzy nie mogą lub nie chcą wydawać

pieniędzy na ogrzewanie, pozamarzali w bujanych fotelach. Tydzień temu zadzwoniła na pogotowie kobieta, która od kilku dni nie widziała swojej wiekowej sąsiadki. James wiedział, że budynek objęty jest kontrolą czynszów, i od razu pomyślał o ogrzewaniu. Jednak gdy weszli do mieszkania, nie czuli chłodu. Maurice sprawdził termostat. Był wyłączony.

W kuchni zastali piekarnik nastawiony na dwieście stopni, drzwiczki były otwarte. Metr dalej leżała na podłodze drobna siwowłosa pani w różowym dresie. Nie żyła. Zatruta się tlenkiem węgla. Sąsiedzi mieli szczęście, że nie powędrowali razem z nią na tamten świat.

James odwiesił słuchawkę i się odwrócił.

- Hej, Cathy...

- Wiem - odparła z uśmiechem. - Musicie iść.

- Zatrzymaj dla mnie tego cheeseburgera, dobrze? - poprosił Maurice, choć wszyscy wiedzieli, że gdy wrócą, przygotuje mu świeżego. Ratownicy często tu zachodzili, więc Cathy przywykła do takich sytuacji, była z niej równa babka - czasem po zamknięciu zanosila nieodebrane kanapki do pokoju socjalnego w szpitalu Cambridge dla zgłodniałych pracowników i nie brała za nie pieniędzy. Oni za to nie oszczędzali na napiwkach.

James przed wyjściem wrzucił piątkę do słoika stojącego na ladzie.

Usiadł za kierownicą. Zmieniali się z Maurice'em co kilka godzin, ale zawsze James prowadził pierwszy.

- Albany dwieście czterdzieści - powiedział Maurice, zapinając pas.

Jeździli tam przynajmniej raz dziennie. Było to jedyne schronisko w mieście, do którego przyjmowano pijanych. W pozostałych wymagano trzeźwości, ale pod numerem dwieście czterdzieści każdy, bez względu na to, jak bardzo zalany, dostawał miejsce do spania, pod warunkiem, że dobrze się zachowywał. Niektórzy domagali się zamknięcia tego schroniska wraz z pobliskim ośrodkiem Armii Zbawienia. Na temat bezdomnych gromadzących się na Central Square i w jego okolicach toczyły się dyskusje przypominające spór o to, co było pierwsze, jajko czy kura. Czy przebywają w tej okolicy i przysparzają problemów, dlatego że są tu schroniska? Czy też organizacje charytatywne wybrały to miejsce, bo mieszkają tu bezdomni? I czy można się ich pozbyć, po prostu przenosząc schroniska gdzie indziej?

Wszystko sprowadzało się do tego, że choć mieszkańcy Cambridge chętnie podawali się za miłośników różnorodności kulturowej, naprawdę nie chcieli jej w sąsiedztwie. W ciągu ostatnich kilku lat miasto się zmieniło. MIT\* wykupił budynki dawnych fabryk cukierków i przerobił je na biura i apartamenty. Zabudowania należące kiedyś do Superior Nut, Tootsie Roll i do fabryki czekolady służyły teraz innym celom. Przy Kendall Square wznosiły się wieżowce, siedziby Biogenu i innych nowych firm technologicznych. Dzięki nim dzielnica w dzień tętniła życiem, ale w nocy, poza okolicami Marriotta, ruch zamierał. Biali przedstawiciele klasy średniej, którzy



masowo wyprowadzali się stąd w latach siedemdziesiątych, teraz powrócili, remontowali od podstaw stare wikto\* MIT - Massachusetts Institute of Technology - Instytut Technologiczny w Massachusetts.

riańskie domy i narzekali na bezdomnych pijaków i narkomanów gromadzących się na Central Square. A przecież to oni nigdy nie opuścili tego miejsca, więc zdaniem Jamesa byli jego prawowitymi właścicielami.

Najgorsi byli pijacy. Ich widok strasznie go przygnębiał. Zwykle w końcu wyciągali kopyta, co go smuciło, bo od czasu do czasu wpadał na nich, gdy byli trzeźwi, i miał wtedy wrażenie, że spotyka zupełnie inne osoby - przez chwilę widział, kim mogliby być, gdy zdołali skończyć z nałogiem.

Na ulicy były korki, jak zwykle. Przed dwoma laty w Milwaukee zaczęto wysyłać ratowników do wypadków na harleyach-davidsonach. Zdaniem Jamesa był to dobry pomysł, ale dziękował Bogu, że jego nie dotyczy. Gdyby wsadzili go na harleya, sam musiałby w końcu wezwać pogotowie.

Włączył syrenę. Większość samochodów zjechała grzecznie na prawo, ale mamuśka w kombi nadal tkwiła na środku jezdni, jakby można było przez nią przeniknąć.

- Przesuń się, kobieto! - wrzasnął Maurice. W końcu zjechała, a James wdepnął gaz.

- Jedziemy po jakiegoś świra - wyjaśnił Maurice. - Zachowywał się dziwnie i ktoś po nas zadzwonił. Krwawi. Może być agresywny.

- No to czeka nas niezła zabawa - mruknął James.

- Na to wygląda. Wesołych Świąt.

Gdy dotarli na miejsce, byli tam już strażacy. Stali obok pacjenta, ale nic nie robili.

- Dzięki za wnikliwe obserwacje - warknął pod nosem Maurice.

Prywatne firmy ratownicze i straż pożarna zawsze dały ze sobą koty.

Firma Jamesa podpisała kontrakt, dzięki któremu odbierała zgłoszenia na numer alarmowy dziewięćset jedenaście z całego Cambridge, co oznaczało, że ratownicy codziennie wyruszali na akcję. Inaczej zajmowałiby się tylko transportem pacjentów szpitali, a prawdziwą robotę wykonywaliby strażacy. Mimo to straż pożarna także przyjeżdżała na każde wezwanie. Zależało jej na dofinansowaniu przysługującemu ekipom niosącym pomoc w nagłych przypadkach. Większość strażaków w sytuacjach takich jak ta nie miała ochoty kiwnąć palcem. Chętnie ratowali ludzi tylko wtedy, gdy wymagało to noszenia specjalnych kombinezonów ochronnych lub wkroczenia ekipy płetwonurków. Wszelka podstawowa pomoc była poniżej ich godności. James znał tę zasadę, bo sam kiedyś pracował w straży pożarnej. Pamiętał, jak w oddziale ratowniczym w Lynn pojawiły się aparaty do mierzenia ciśnienia. Faceci wpadli w szal. „Za kogo nas uważacie? - pytali. - Za bandę pieprzonych pielęgniarek?” Ale zamknęli się, gdy dostali ciśnieniomierze automatyczne. Wszyscy szukali pretekstu, żeby ich użyć. Zachowywali się jak jego syn grający na nintendo.

James i Maurice wysiedli z karetki, nie wyłączając świateł. Facet ubrany w roboczą flanelową koszulę i poplamione drelichowe spodnie był dobrze po czterdziestce.

Wyglądał na pijanego, naćpanego albo jedno i drugie, kołysał się z boku na bok, a głowa opadała mu w tył. Jego prawy policzek był głęboko rozcięty, z rany za kołnierz kapłała krew. Niedawno był w szpitalu - miał jeszcze na rękę plastikową bransoletkę identyfikacyjną.

Znali imiona niektórych narkomanów i bezdomnych - nazywali ich stałymi klientami. Widywali ich tak często, że pamiętali ich historie choroby i numery ubezpieczenia społecznego. Jednak tego mężczyzny James nigdy dotąd nie spotkał.

Śmierdział wódką, szczykami i gnijącym mięsem. Szybko namówili go, by wsiadł do karetki i położył się na noszach. Maurice zajął miejsce z tyłu, a James znów usiadł za kierownicą.

Od pacjenta bił taki odór, że oddychając, James chował nos w rękawie.

Opuścił szybę, połączył się przez radio z lekarzem dyżurnym i zapytał, czy mogą założyć wenflon, na wypadek gdyby Maurice miał taki zamiar. Za każdym razem musieli prosić lekarza o zgodę, chociaż nigdy nie spotkali się z odmową.

Potem sięgnął po segregator leżący na fotelu obok i zaczął spisywać raport, jednym uchem nasłuchując, co dzieje się z tyłu, by mieć pewność, że Maurice'owi nic nie grozi.

- Często pijesz alkohol? - zapytał Maurice bezdomnego.

- Tak.

- Kiedy piłeś ostatni raz? - Urwał, po czym sam odpowiedział sobie na pytanie: - Oczywiście dzisiaj. Bierzesz narkotyki? Pigułki? Kokainę?

- Nie, nic z tych rzeczy. Skończyłem z tym gównem.

- Aha. A kiedy ostatni raz coś zażywałeś?

- Próbuję sobie przypomnieć.

- W porządku.

- Czuję się dzisiaj jakoś dziwnie - powiedział facet. - Jakby swędziało mnie w głowie.

- Rozumiem. Spróbujemy ustalić, co ci dolega. - Maurice mówił łagodnym, uspokajającym głosem, jakby przemawiał do któregoś ze swoich dzieci. - A więc dlaczego byłeś w szpitalu?

Milczenie.

- Muszę wiedzieć, kiedy ostatnio coś zażywałeś. - Maurice zmienił ton na nieco bardziej stanowczy, niczym tatuś karcący dziecko, które po raz pierwszy nie przyszło do domu o wyznaczonej godzinie.

- Nigdy nie brałem narkotyków - odparł bezczelnie facet. Maurice skinął głową.

- Czy kiedykolwiek zażywałeś Valium? Albo crack?

- Jasne.

Maurice zaczął rozpinać pacjentowi koszulę. Z kieszeni spodni wyjął stetoskop, osłuchał serce i tonem przyjacielskiej pogawędki zapytał:

- Więc kiedy coś brałeś? Dzisiaj?

- Nie! - Mężczyzna podniósł głos i James spojrzał w ich stronę. - Nienawidzę

pieprzonych narkotyków. I pieprzonego Ronalda Reagana.

Złapał Maurice'a za przegub.

- Nie rób tego. - Ratownik uwolnił rękę. Był spokojny jak zwykle, ale James czuł, że wzbiera w nim gniew.

- Właśnie chciałeś mnie walnąć, może nie? - spytał facet oskarżycielsko.

- Nie wydaje mi się.

- Owszem, chciałeś. Zamierzyłeś się na mnie. Ale nie ma sprawy.

- Nie chciałem cię uderzyć.

- Jak to jest być typowym amerykańskim Afroamerykaninem? - zapytał pacjent drwiąco.

Maurice dorastał na Południu, a ożenił się, jak to mówił, z Janeską, czarną dziewczyną z Roxbury. Lubił mawiać, że Boston jest bardziej rasistowski niż Georgia za swoich najlepszych czasów.

- Fantastycznie - odparł, nie okazując emocji. - Kiedy byłeś w szpitalu?

- Jak to jest być typowym amerykańskim Afroamerykaninem? - powtórzył facet głośniej, z groźbą w głosie.

- Wspaniale. A teraz ty odpowiedz na moje pytanie. Masz problemy psychiczne?

-A ty?

- Czasem. Masz takie problemy, chłopie? Cierpisz na schizofrenię, depresję, napady lękowe?

- Na wszystko, Georgetown.

- Wygląda, jakbyś miał zakładany wenflon.

- Byłeś kiedyś na uniwersytecie w Georgetown? Maurice westchnął.

- Nie.

- A ja tak. Chcę jechać na oddział psychiatryczny szpitala w Cambridge.

- Dobrze, ale najpierw wstąpimy na izbę przyjęć - powiedział Maurice. - Teraz, za pomocą tego rękawa zmierzę ci ciśnienie.

- Znasz się na rzeczy, chłopie. Kocham cię.

- Wiem o tym.

- A jak twój penis? - Facet uniósł głowę.

- Świetnie.

- Widzisz? Już ja cię znam. Cholernie dobrze. Jesteś Rick.

- Jestem Rick. Pozwolisz mi wreszcie założyć ten wenflon? Wstrzykiwałeś sobie coś?

- Nigdy.

- Całe żyły masz w bliznach. Są świeże? Nie ruszaj się, dobrze?

Maurice delikatnie wprowadził wenflon do żyły. Nie mogło zboleć, zwłaszcza ćpuna, który sam robił sobie zastrzyki, ale facet wrzasnął dziko:

- Tylko spróbuj mi zgiąć rękę, to cię załatwię!

James nabrał powietrza, czując, że dłonie zaciskają mu się w pięści. Domyślał się, że ten kretyn zaraz spróbuje uderzyć Maurice'a. Wyobrażał sobie, jak przeskakuje na tył,

żeby dać mu w mordę. Bał się tylko, że jeśli zacznie, nie będzie mógł przestać.

- W porządku, nic się nie dzieje. Tylko uniosłem ci rękę - tłumaczył cicho Maurice. - Zapnę pas, rozluźnij się.

Facet nie protestował i Maurice kiwnął Jamesowi głową, że mogą jechać. James ruszył, włączając syrenę.

- Więc jak się nazywasz? - spytał Maurice, próbując załagodzić sytuację.

- A ty, Rick? - zapytał facet.

- Rick. Jak ci na imię?

- Zapytaj mnie jeszcze jeden pieprzony raz, a strzelę cię w pysk!

- Spokojnie. Jak się nazywasz?

- Podajmy sobie ręce.

James obserwował ich we wstecznym lusterku. Z jakiegoś powodu Maurice był na tyle głupi lub uprzejmy, że wyciągnął rękę. James widział, jak facet ją łapie, przyciska do nosy i podnosi drugą pięść, szykując się do zadania ciosu.

- McKeen, zjeżdżaj na bok! - krzyknął Maurice, uchylając się.

- Właśnie, zjeżdżaj - dorzucił złośliwie ćpun, opuszczając jednak pięść.

James zahamował i wypił łyk kawy.

- Wszystko w porządku? Czy mam cię przywiązać? - Maurice spojrzał na pacjenta.

- W porządku, bambusie. Podajmy sobie ręce.

Niektórzy ratownicy w takim przypadku zatrzymaliby karetkę w ciemnej uliczce i spuściliby dupkowi niezły łomot. Ale nie Maurice. Przed kilkoma miesiącami pacjent w napadzie szału chlapnął mu krwią prosto w twarz i krzyknął: „Masz! Teraz też dostaniesz AIDS”. A Maurice po prostu otarł krew rękawem i nadal robił swoje, jakby nic się nie stało.

- Na razie koniec z podawaniem rąk - oznajmił teraz. - Mam wezwać policję?

- W porządku, Rick. Twardy z ciebie gość. Wygrałeś. Lekarze nie chcą mi pomóc. Miałem już tyle ataków, a oni nic dla mnie nie zrobili.

- Cóż, pojedziemy do szpitala i spróbujemy załatwić ci opiekę.

- Na pewno się nie uda.

Maurice kiwnął głową, by jechali dalej. James połączył się z izbą przyjęć i zawiadomił, że wiozą agresywnego pacjenta. Gdzieś w głębi duszy było mu go żal. Facet miał nie po kolei w głowie i był sam w święta Bożego Narodzenia. James wiedział, że później będą się z tego śmiali. Wciąż opowiadali sobie makabryczne żarty, zwłaszcza gdy stykali się z tym, co najgorsze - morderstwami, wypadkami z udziałem dzieci. Przynajmniej raz w miesiącu wzywano ich do dziecka, które biegło, trzymając w buzi jakiś przedmiot - igłę, długopis - potknęło się, i wbiło go sobie w gardło. Widzieli już chyba wszystko. W zeszłym miesiącu wieźli sześciolatka - zakrztusił się hot dogiem i teraz był w śpiączce. Nawet żartowali na ten temat: „Jak przemienić wołową parówkę w warzywo?”.

W dzieciństwie James nigdy nie miał poczucia zagrożenia. Ileż to razy bawił się na

podwórku, rzucając bez powodu butelkami po piwie w szopę, a potem wyciągał cienkie odłamki szkła z nóg i rąk. Ileż razy jeździli z kolegami autostopem do Bostonu albo skakali u Big Boya z dachu garażu do nadmuchiwanego basenu. Teraz wspominał wszystkie te sytuacje, które mogły się skończyć tragicznie. Jego dzieci nie będą takie niedopilnowane i bezmyślne.

Tymczasem w ambulansie bezdomny znów zaczął swoje:

- Stary, z jakiej części Afryki pochodzisz?

- Z Atlanty.

Po pięciu minutach dojechali do szpitala. James nie posiadał się ze szczęścia, mogąc wreszcie przekazać całe to gówno pielęgniarzom, ale Maurice był wyraźnie zdenerwowany.

- Chcesz trochę tu zostać czy... - zapytał James, gdy wsiedli do karetki.

- Nie, chcę zjeść mojego cheeseburgera. James kiwnął głową i ruszył do U Elsie.

- Pieprzony rasista, co? - odezwał się Maurice.

- Widywaliśmy gorszych. - James wzruszył ramionami.

Big Boy i O'Neal lubili mu dokuczać, mówiąc, że Cambridge zmieniło go we wrażliwca trzymającego z pedziami i czarnymi, czyli swoimi pacjentami. James odpowiadał im wtedy: „Taki homofobiczny ultrakonserwatywny irlandzki beton jak wy nie wytrzymałby w mojej pracy nawet jednego dnia. Jesteście chodzącą zbrodnią z nienawiści”.

Jego szef nazywał to kompetencją kulturową. Z grubsza polegała ona na umiejętności odpowiedniego zachowania się wobec różnych pacjentów. Ratownik w jednej chwili pytał ulicznego ćpuna: „Ile bierzesz koki, trzy i pół grama?”, a w drugiej stał w rezydencji bogacza skarżącego się na ból brzucha i próbował ustalić: „Czy cierpiał pan dzisiaj na wzdęcia?” - jak w jakiejś pieprzonej reklamie musztardy Grey Poupon. Musiał umieć zachować się w towarzystwie bogatych i biednych, gejów i heteroseksualnych, białych i czarnych, po prostu w każdym.

Na żonę Jamesa napadł czarny chłopak. Starał się nie rozmawiać o tym przy Maurice'em w obawie, że powie coś, czego będzie potem żałował.

Był wdzięczny losowi, że Sheila oddała menelowi to, czego chciał. Powiedziała, że gdyby nie dziecko, nie ustąpiłaby tak łatwo, i James nie miał co do tego wątpliwości. Pamiętał wieczór spędzony w podejrzanym barze w Charlestown, gdy jeszcze chodzili do szkoły średniej. Weszli tam z jednym ze starszych kuzynów Jamesa i nawet nie musieli pokazywać sfałszowanych dowodów tożsamości. Do baru wkroczyły trzy członkinie Honey Bees i sala nagle opustoszała. Nawet faceci bali się tych dziewczyn, były szalone. Kiedyś zadźgały nożem chłopaka z bractwa studenckiego za skrzynkę piwa. Ale Sheila uparła się, że zostanie i dokończy drinka.

Nie przywiązywała większej wagi do tego, że napastnik jest czarny, ale jej rodzice wciąż powtarzali, że w ich dzielnicy człowiek po prostu nie styka się z takim elementem. Gdyby wspomniał o tym Maurice'owi, pewnie wyszedłby na rasistę, ale

czasem zastanawiał się, czy Maurice by się zorientował.

James miał dwadzieścia parę lat i pracował jeszcze w straży pożarnej, gdy w południowym Bostonie zaczęto walczyć z segregacją rasową, przymusowo dowożąc białych uczniów autobusami do szkół w czarnych dzielnicach i odwrotnie. Teraz ludzie pamiętali tylko to, że irlandzka biała hołota z tamtej dzielnicy to rasiści, którzy rzucali kamieniami w czarne dzieciaki. Jednak kuzyn Jamesa, bostoński policjant, opowiadał, jak niewinny biały facet został wyciągnięty z samochodu i pobity na śmierć, a banda czarnych stała wokół, wrzeszcząc: „Niech zdycha!”.

James nie lubił o tym myśleć, ale wiedział, że w sprzyjających okolicznościach każdy, naprawdę każdy człowiek może zamienić się w bestię.

- Czy opowiadałem ci już, jak w rocznicę ślubu poszliśmy z żoną na obiad do restauracji Jimmy's Harborside? - spytał Maurice.

James słyszał tę historię setki razy, ale gdy Maurice zaczął mówić, nie było sposobu, by mu przerwać. Zresztą to była niezła opowieść.

Po obiedzie w restauracji Maurice poszedł do toalety, a jego żona odebrała samochód od parkingowego. Gdy wyszedł, zobaczył, że czeka już na niego przy krawężniku, dziesięć metrów dalej, z zapalonym silnikiem. Tymczasem do Maurice'a podszedł biały facet w garniturze.

- Nawet nie spojrział mi w oczy - opowiadał. - Po prostu wetknął mi kluczki do ręki i rzucił: „Niebieskie BMW”. Uznał, że skoro jestem czarny, muszę być parkingowym.

- I co ty na to? - zapytał James, zadowolony, że zbliżają się do puenty.

- Powiedziałem: „Jedną chwilę, proszę pana”. A potem poszedłem przecnicę dalej i wrzuciłem kluczyki do morza.

Śmiali się, dopóki James nie stanął na czerwonym świetle.

Powieki mu ciążyły i trzymanie otwartych oczu wymagało coraz większego wysiłku. Z doświadczenia wiedział, że w tym miejscu światło nie zmienia się szybko, więc na chwilę zamknął oczy. Poczował ulgę.

Ocknął się, kiedy Maurice szarpnął go za ramię.

- McKeen, wszystko w porządku? Zasnąłeś? -Co? Nie.

- Chcesz, żebym prowadził?

- Nie, nic mi nie jest.

Dojechał do U Elsie i zatrzymał się, by Maurice mógł wysiąść.

- Chcesz kanapkę? James spojrział na zegar.

- Jeszcze nawet nie ma dziewiątej. Weź mi dietetyczną pepsi.

Pił ogromne ilości pepsi, chyba osiem czy dziewięć puszek dziennie. W piątkowy wieczór pozwalał Parkerowi na parę łyków podczas jedzenia pizzy, choć Sheila tego nienawidziła.

- Ale mam, to wybór nowej generacji - tłumaczył mały, nauczony przez Jamesa.

- To trucizna - odpowiadała zawsze.

W końcu James pewnie da za wygraną i przestanie pić pepsi. Z biegiem lat Sheila

odzwyczaiła go od tylu rzeczy. Przed urodzeniem Parkera zmusiła go, by rzucił trawkę, a gdy była w ciąży z Dannym - papierosy. I za każdym razem, gdy wypił przy niej więcej niż dwa piwa, przypominała mu o ojcu.

## 2003

Delphine rozpała w gazowym kominku.

Było to równie proste jak włączenie światła, przez co czynność ta wydawała jej się nienaturalna. Rozpalanie w kominku powinno być wyzwaniem połączonym z użyciem lepkiego od żywicy drewna i kul ze zmiętych gazet, których druk zostawia na dłoniach czarne plamy. W letnim domku na wsi Delphine często przyglądała się, jak jej mąż, Henri, walczy z płynną podpałką i kłodami drewna zbyt mokrymi, by mógł być z nich jakiś pożytek. Gdy wreszcie błyskał płomień, oboje wołali radośnie: „Hurra!”. Gazowy kominek wydawał się oszustwem, choć E. J. powiedział kiedyś, że między innymi z jego powodu kupił to mieszkanie. Ostrzegwał, by nie wkładała niczego do środka. Twierdził, że nawet kawałek papieru mógłby zakłócić pracę urządzenia, powodując przegrzanie i pęknięcie szkła.

W mieszkaniu panował teraz straszny bałagan: na podłodze w kuchni wałały się strzępy podkoszulków E. J. i potłuczona porcelana. Pod ścianami leżały obrazy, na środku dywany pocięte na kawałki, a pies w łazience objadał się masłem orzechowym.

Delphine trzymała w ręku plik ważnych papierów, z rodzaju tych, jakie wszyscy przechowują w sejfie lub w szafce z segregatorami, historię życia zawartą w podpisach i cyfrach. P. J. przechowywał teczkę z najważniejszymi dokumentami w plastikowej skrzynce pod łóżkiem, razem ze starymi rachunkami telefonicznymi, listami miłosnymi i programami koncertów, na których występował razem z Angielską Orkiestrą Kameralną, Orkiestrą Symfoniczną z Pasadeny czy Orkiestrą Filharmonii Narodowej w Warszawie.

Delphine wrzuciła do ognia świadectwo urodzenia, dokumenty bankowe i niebieską kartkę zapisaną kombinacjami liter i cyfr. P. J. nigdy nie uczył się na pamięć żadnych numerów kont ani haseł, wołał w razie potrzeby odszukać je na tej właśnie liście.

Pierścionek na palcu połyskiwał w blasku płomieni: dwa duże okrągłe brylanty przypominały wygiętą ósemkę otoczoną mniejszymi kamieniami. Był niezwykle, wyglądał jak kwiat. Ludzie wciąż ją o niego pytali - gdzie go zrobiono i kiedy. Jednak Delphine nie znała pochodzenia pierścionka. Zawsze chciała pokazać go jubilerowi, który może powiedziałby o nim coś więcej. Na obrączce wygrawerowano jedno słowo: EVIE. Pytała kiedyś P. J., co ono oznacza, ale nie wiedział.

Delphine snuła na ten temat różne przypuszczenia. Czy to czyjeś imię albo tajna wiadomość przekazana przez kochankę? Dlaczego sprzedali pierścionek? A może po prostu zgubili go lub oddali? Jakkolwiek było, nie należy już do nich. Jutro także i ona będzie tylko jego byłą właścicielką.

Zamknęła szklane drzwiczki kominka i przyglądała się, jak płomień łagodnie liżąc papier.



Palenie dokumentów trwało dłużej, niż się spodziewała. Gazowy ogień nie mógł się mocno rozpalić. Miał przedstawiać coś dzikiego i nieokiełzanego, a w rzeczywistości był tylko potulną, bladą imitacją prawdziwego żywiołu.

- Hurra! - powiedziała Delphine i pomyślała o domu.

Delphine Moreau poznała Henriego Petita tydzień po swoich trzydziestych trzecich urodzinach. Stało się to w sklepie przy rue Constance na Montmartrze, w którym sprzedawano rzadkie i stare instrumenty muzyczne, pochodzące niekiedy nawet z XV wieku. Sklep od czterdziestu jeden lat mieścił się na parterze czteropiętrowej kamienicy stojącej przy wąskiej sennej uliczce wybrukowanej kocimi łbami. Było to cudowne miejsce uwielbiane przez kolekcjonerów z całej Europy z powodu niezwyklej oferty, a także pełnego życia właściciela, François Dubray. Ten tęgi, lecz przystojny mężczyzna, o gęstej ciemnej brodzie miał tak zaraźliwy śmiech, że rozweseliłby nawet pomnik. Jego wiedza na temat muzyki była niemal encyklopedyczna i cieszył się szacunkiem jako luthier. W warsztacie na tyłach sklepu, gdzie niemal nikomu nie pozwalał wchodzić, naprawiał i stroił skrzypce dla najznakomitszych wykonawców z całego świata. Zgłaszali się do niego raz w roku, a on, wkładając narzędzie w otwór rezonansowy instrumentu, przesuwiał je o włos w lewo lub w prawo i dostosowywał brzmienie do sposobu gry skrzypka.

Przed dwoma miesiącami Dubray zmarł na atak serca, wynosząc śmieci, i teraz jego dwaj synowie i córka szukali kogoś, kto kupiłby sklep i obiecał, że zachowa jego oryginalny charakter.

W dzieciństwie Delphine spędziła niezliczone godziny, przyglądając się wraz z ojcem kołazowi instrumentów, który monsieur Dubray ułożył na wystawie za zakurzoną szybą. Na środku, nad pianinem, wisiały na najcieńszych niciach skrzypce i wyglądało to tak, jakby w magiczny sposób unosiły się w powietrzu. Towarzyszyły im dziesiątki fletów i klarnetów oraz harfa wyższa od małej Delphine. Na wystawie były też instrumenty, których przeciętny człowiek nigdy nie widział, ale ojciec znał nazwę każdego z nich: wirginał przypominający mały klawesyn, afrykańska kalimba z pudłem rezonansowym; zrobionym ze skorupy żółwia. i Dzieci Dubray, trójka dwudziestoparolatków, ułożyły sobie życie gdzie indziej: dwoje starszych mieszkało w Londynie, a najmłodszy syn studiował w Montrealu. Przyjechali do Paryża na pogrzeb i w sobotę, między godziną czternastą a siedemnastą otworzyli sklep. Czekali w nim na ewentualnych nabywców, których zamierzali poddać dokładnemu przesłuchaniu.

Zjawili się tylko Delphine i Henri.

Delphine usiadła na fotelu przy drzwiach, podczas gdy kilka metrów dalej, przy biurku, młodzi Dubray zadawali Henriemu różne pytania. Pamiętała ich z czasów, gdy była nastolatką, a one biegającymi w sąsiedztwie dzieciakami. Najwyraźniej żadne nie odziedziczyło ojcowskiej pasji do muzyki. Zadawały proste pytania i bardziej interesowały ich uczucia niż fakty. „Jakie są pana ulubione piosenki?” Albo:

„Dlaczego kupno sklepu uczyni pana szczęśliwszym człowiekiem?”. Było też jasne, że Henri doskonale nadaje się do tej pracy. Nauczył się renowacji instrumentów od samego Dubray i w związku z tym uważał się za jego prawowitego dziedzica. Wydawał się niemal obrażony, że mistrz w testamencie zostawił sklep dzieciom, a nie jemu. Poinformował ich, że pracuje jako konsultant w Muzeum Muzyki mającym jedną z największych kolekcji instrumentów na świecie. W młodości, tuż po studiach, kierował małym sklepem przy place des Vosges, specjalizującym się w siedemnastowiecznych instrumentach smyczkowych.

Delphine słuchała jego pewnego głosu i czuła, że z każdym kolejnym słowem zapada się głębiej w fotelu. Powtarzała w myślach to, co sama zamierzała powiedzieć: Ma doświadczenie w handlu, gdyż przez kilka lat pracowała w agencji nieruchomości, przechodziła obok tego sklepu setki, może tysiące razy i jest nim zachwycona. Odkąd pamięta, pragnęła, by do niej należał. Było to marzenie jej ojca, które odziedziczyła po nim wraz ze smukłymi nogami i ostrym nosem. Tata wymyślał dla niej przezwiska, nazywał ją imionami ptaków: ma tourterelle, mon petit canard - moja synogarliczko, moja kaczuszeko - a w końcu sam odleciał.

Gdy przyszła kolej na nią, Delphine zapomniała o wszystkich swoich i tak niewielkich kwalifikacjach, i zamiast tego opowiedziała, że sama także zaledwie przed rokiem straciła ojca.

- O nie! - wykrzyknęły dzieci, gdyż pamiętały przystojnego, miłego Ludovica Moreau, który mieszkał tuż za rogiem, w obrośniętej bluszczem kamienicy przy rue Cauchois. Można ją było zobaczyć, wychylając się na prawo z drzwi sklepu.

- Nadal pani tam mieszka? - zapytała dziewczyna.

- Oui - odparła Delphine. - Wasz ojciec był cudownym człowiekiem. Wiem, że kochałabym sklep równie mocno jak on. To moje ulubione miejsce w Paryżu. Gdy byłam mała, ojciec przyprowadzał mnie tu w sobotnie poranki. Był pianistą i uważał ten sklep za swoją świątynię. Znaczył dla niego więcej niż wszystkie francuskie katedry. Kiedy zmarł, przyszedłam tutaj. Nie spodziewałam się, że zacznę płakać. Wasz ojciec zachował się wtedy bardzo miło. Powiedział, że mój tata był dobrym człowiekiem, jednym z jego ulubionych klientów, i mogę tu przychodzić, kiedy chcę. Po rozmowach dzieci poszły do warsztatu. Za życia ojca nawet im nie wolno było tam wchodzić i Delphine zastanawiała się, co teraz czują. Nie pożegnały się ani nie obiecały, że wrócą. Delphine nie była pewna, czy za chwilę wyjdą stamtąd i ogłoszą, jaką podjęły decyzję, czy też zawiadomią ich później telefonicznie.

- Czy mamy na nich poczekać? - zapytała Henriego, a on wzruszył ramionami, jakby niezbyt go to wszystko obchodziło, lecz później wyszedł na dwór i przez dziesięć minut spacerował przed warsztatem szewskim. Był niedużym mężczyzną, mniej więcej tego samego wzrostu co Delphine, szczupłym, o falujących srebrnych włosach, miał około pięćdziesiątki. Nosił okulary w eleganckich czarnych oprawkach i ładny garnitur, ale wyglądał, jakby było mu w nim niewygodnie. Delphine przypuszczała,

że pewnie na co dzień ubiera się jak naukowiec, a po domu chodzi w za dużych swetrach.

W końcu dzieci François Dubray wróciły. Dziewczyna z uśmiechem zaprosiła Henriego do sklepu, a Delphine była rozczarowana, lecz jednocześnie odczuła lekką ulgę. Pewnie miała zły pomysł. Niewiele wiedziała o zabytkowych instrumentach, a jeszcze mniej o ich renowacji. Może po prostu los ocalił ją przed nią samą. Lecz z drugiej strony potrzebowała jakiejś odmiany, wyzwania, które wypełni pustkę w życiu. Romanse, dawniej ulubiony sposób oderwania od rzeczywistości, już jej nie interesowały.

- Monsieur Petit. Mademoiselle Moreau - powiedział najstarszy syn, na oko dwudziestopięcioletek. - Proszę, niech państwo spoczną.

Tym razem usiedli wszyscy wokół biurka.

- Omówiliśmy sprawę i znaleźliśmy doskonałe rozwiązanie - oznajmił tonem, który pasował bardziej do dziecka niż do mężczyzny. Miał życzliwe spojrzenie swojego ojca i Delphine uśmiechnęła się do niego, wiedząc, jak trudne jest podejmowanie takich decyzji. Madame Dubray była o wiele młodsza od ojca, ale też już nie żyła, kilka lat temu zmarła na raka. Zostali sierotami, tak jak Delphine.

- Idealnym właścicielem sklepu... - ciągnął chłopiec.

- Jesteście oboje! - weszła mu w słowo siostra.

Młody Dubray jakby przygasł. Nie potrafił ukryć rozczarowania, że właśnie okradziono go z puenty.

- Pardon? - zapytał Henri.

- Monsieur Petit, pan doskonale zna sklep. Uczył się pan u ojca - powiedział najstarszy syn. - A pani, mademoiselle Moreau, jest pełna radości i życia. Mieszka pani w sąsiedztwie, więc rozumie, jaką wartość sentymentalną ma to miejsce. Dobrze będzie wam się razem pracowało.

- Chcicie, żebym kupił sklep i ją zatrudnił? - zapytał Henri.

- Chcemy, żebyście kupili go na spółkę - wyjaśniła dziewczyna.

- Ależ tak się nie robi - wyjąkał Henri. - Nie kupuje się firmy na spółkę z obcą osobą. To może mieć okropne skutki. Pozwólcie każdemu z nas złożyć ofertę i wybierzcie lepszą. Bądźcie rozsądni.

Delphine przygryzła wargę. Nie stać jej na licytowanie się z tym człowiekiem. Ledwie wystarczy jej pieniędzy, by kupić sklep za niską cenę wywoławczą.

Najstarszy syn pokręcił głową.

- Nie zależy nam aż tak bardzo na pieniądzach. Chcemy postąpić zgodnie z życzeniem papy. Gdybyśmy mogli, zostawilibyśmy sklep w rodzinie, ale to byłoby niepraktyczne.

- A ten pomysł jest praktyczny? - rzucił szyderczo Henri. - Daję wam słowo, że jeszcze tego pożałujecie.

- Nie - odparła dziewczyna. - Będziemy żałowali naszej decyzji tylko wtedy, gdy

wrócimy tu za pięć lat i okaże się, że sklep przestał istnieć. Ojciec stanowczo nakazał, żebyśmy, jeśli cokolwiek mu się przydarzy, znaleźli najlepszą możliwą osobę - lub osoby - i sprzedali im sklep.

- Poza tym papa był romantykiem, więc... - dorzucił młodszy syn i umilkł, spoglądając w ich stronę. Delphine nie miała pojęcia, o co mu chodzi, domyśliła się tego dopiero po wielu tygodniach i wtedy głośno się roześmiała.

- Nie mogę się na to zgodzić - powiedział Henri.

- Niech pan się zastanowi - poprosił najstarszy syn i na tym spotkanie się zakończyło. Delphine i Henri wyszli ze sklepu. Sądziła, że jej towarzysz skręci w prawo, w stronę Metro Blanche, więc chociaż była to droga do jej domu, skręciła w lewo. Ale on zrobił to samo. Czowała, że za nią idzie. Zatrzymała się nagle, chcąc się odwrócić, i zderzyli się na chodniku.

- Zgadza się pani, że to absurdalne? - zapytał, jakby dopiero ją zauważył.

Może i tak, ale w jej życiu nie brak absurdalnych rzeczy. Absurdalne jest to, że w ostatnim poważnym związku była na studiach, a potem jej chłopak się ożenił, urodziło mu się dwoje dzieci i zamieszkał w domu z winnicą w Bordeaux, podczas gdy Delphine mniej więcej raz na rok ktoś łamał serce. Okazała się beznadziejną romantyczką ze skłonnością do niedobrych mężczyzn. Absurdalne jest to, że skończyła trzydzieści trzy lata i wciąż nie wie, co chce robić w życiu. Absurdalne jest to, że ojciec, najlepszy i najsilniejszy mężczyzna na świecie, zmarł i leży na cimetière de Montmartre, a po jego grobie spacerują koty i amerykańscy turyści. Na swój sposób Delphine obwiniła go o dręczący ją niepokój. Traktował córkę, jakby była najbardziej niezwykłą dziewczyną na świecie, a ona uznała, że świat to zaakceptuje. Mimo to wciąż żyła bez sprecyzowanych planów, niesiona nurtem wydarzeń.

- Owszem, to dziwna propozycja - przyznała. Zastanawiała się, jak długo Henri będzie walczył o sklep i czy odniesie zwycięstwo.

Skręcili w rue Lepic, wzdłuż której ciągnęły się kawiarnie, sklepy i cukiernie. Potem zaczęli wspinać się na wzgórze, aż utknęli za przewodniczką przemawiającą radośnie po angielsku do grupy turystów. Vincent van Gogh nie odniósł za życia wielkiego sukcesu. Właśnie tutaj, w domu swojego brata Theo, mieszkał przez kilka lat, zanim się zastrzelił. Jego ostatnie słowa według Theo brzmiały: La tristesse durera toujours. Czy ktoś z państwa wie, co to znaczy? Nikt nie zgadnie? To oznacza: "Smutek będzie trwał wiecznie".

Amerykanie zaczęli pstrykać sobie nawzajem zdjęcia na tle domu.

Henri uniósł brew.

- Jak pani myśli, co zrobią z tymi zdjęciami? Przerobią je na świąteczne pocztówki?

- Życzymy wam w tegoroczne święta wiele spokoju i radości. Tu właśnie mieszkał van Gogh przed swoim potwornym samobójstwem!

Henri pokiwał głową.

- PS: Smutek będzie trwał wiecznie - dodał. Delphine się uśmiechnęła.

- Nie znoszę Montmartre'u - oznajmił Henri. - Sami turyści, pretensjonalni artyści i bobos. Gdzie pani mieszka?

- Na Montmartrze. Tu spędziłam dzieciństwo. Wspominała o tym wcześniej, w sklepie rodziny Dubray.

Czy on sobie z niej kpi?

- Och! - Zamknął oczy i plasnął się dłonią w czoło. - Ależ ze mnie idiota!

Zrozumiała, że naprawdę nie dosłyszał. Wydawał się bardzo zażenowany.

- Drobiazg. Nic się nie stało. Nie wszyscy lubią Montmartre - powiedziała, choć nie mogła sobie wyobrazić, żeby ktoś, błądząc po tutejszych uliczkach, nie zakochał się w nich.

Od czasów jej dzieciństwa zaszło tu wiele zmian. Kiedyś na każdym rogu była boulangeie, a teraz większość z nich zamknięto. Na dwóch ulubionych piekarniach ojca zachowano stare szyldy, ale w lokalach mieściło się co innego - w jednym przedszkole, a w drugim kancelaria prawnicza. Zamiast dawnych tabac działały teraz czynne do późnej nocy sklepiki spożywcze prowadzone przez imigrantów z północnej Afryki. Niedaleko domu Delphine, za rogiem, był nawet sklep z mrożonkami.

Ale te zmiany jej się podobały. Paryż wciąż się przeobrażał - nowatorskie, śmiałe pomysły wyrastały na tym, co istniało od tysięcy lat, stare harmonijnie spletało z nowym. W ostatnich latach chodziła z ojcem na koncerty Red Hot Chili Peppers, Davida Bowiego i Iggy'ego Popa do La Cigale przy placu Pigalle, tego samego teatru, w którym jej dziadkowie podziwiali kiedyś Maurice'a Chevaliera.

Przychodząc na Montmartre, wciąż miało się wrażenie, że wkracza się w inny czas. Można było iść na przedstawienie do Au Lapin Agile i usiąść na jednym z krzeseł, na których siadywali kiedyś Modigliani, Picasso czy Renoir. W dzieciństwie Delphine zawsze w październiku, niczym poczciwa wieśniaczka, udeptywała winogrona w Cios Montmartre, gdzie zakonnice i mnisi co roku, począwszy od XII wieku, produkowali trzysta litrów wina. Ojciec nie dbał o turystów, którzy gromadzili się przed katedrą i stojącą u stóp schodów na wzgórze karuzelą, dopytując się o Moulin Rouge, wejście do kolejki linowej, popiersie Dalidy - tej Dalidy, której muzyka disco i podskakujące piersi dawały tyle radości, nim nastąpił tragiczny koniec. Ale Delphine była dumna, że obcy pragną zajrzeć do jej świata. Zresztą turyści i tak nigdy nie zwracali uwagi na to, co najciekawsze - na zdumiewający widok na Paryż, gdy się usiadło przy stoliku przed Chez Pommette, na pracowni artystów wysoko na strychach starych kamienic. U stóp wzgórza, gdzie czynsz był niski i gdzie kiedyś także gromadziła się cyganeria, turystów już nie było. Właśnie tutaj, przy rue des Martyrs, na czwartym piętrze nad kawiarnią, upłynęła znaczna część dzieciństwa Delphine. Znała miejscowego rzeźnika, sprzedawcę serów, starą właścicielkę cukierni, która zawsze po szkole częstowała ją kawałkiem moelleux chocolat, małżeństwo z Owernii prowadzące tabac - wszyscy oni tworzyli wielką i hałaśliwą rodzinę. Jedyłą, jaką ona, jedyną córką wdowca, kiedykolwiek miała.

Gdy skończyła dziesięć lat, przenieśli się wyżej na wzgórze do ceglanego domu przy rue Cauchois. Delphine zawsze uważała, że to najpiękniejszy budynek w Paryżu. Miał ściany obrosnięte bluszczem, a w skrzynkach na parapetach rosło jaskrawoczerwone geranium, dobrze widoczne na tle wysokich białych okiennic, które ojciec otwierał co rano. Dom różnił się od innych paryskich kamienic - nie był secesyjny ani nie przypominał domów z czasów Haussmana - co czyniło go wyjątkowym. Właścicielka, madame Delecourt, zajmowała apartament na pierwszym piętrze. Na drugim były dwa mieszkania, a na trzecim - trzy. W jednym z nich mieszkała z ojcem mała Delphine. Potem papa został tam sam aż do czasu, gdy kilka lat przed śmiercią wyprowadził się do swojej okropnej dziewczyny. Wtedy Delphine znów zajęła dawne mieszkanie. Madame Delecourt już nie żyła i właścicielem kamienicy był jej siostrzeniec. Delphine wyczuwała, że chce, by się wyprowadziła - zwolnione mieszkanie mógłby wynająć za pięciokrotnie wyższą cenę. Ale ona nie miała zamiaru go opuszczać.

- Ma pani ochotę na kawę? - zapytał Henri.

Odparła, że tak, chociaż nie była tego pewna. Weszli do kawiarni na rogu. Zamówił café au lait, a ona, zbyt zdenerwowana na dawkę kofeiny, citron pressé. Oboje zapalili papierosy i rozmawiali o muzyce, która wydawała się stanowić jedyny łączący ich punkt. Oczywiście zgadzali się co do starych mistrzów: Bacha, Beethovena, Chopina, Mahlera. Henri poi wiedział, że jego ulubieni kompozytorzy to Ravel i Debussy.

Delphine się uśmiechnęła. Jej ojciec także wolał francuskich kompozytorów, był z nich taki dumny. Pamiętała, jak podczas przerwy na lunch wracała ze szkoły do domu, a on grał Clair de Lune na pianinie w salonie madame Delecourt.

- Ostatnio słucham dużo Arvo Parta - powiedziała. - Uwielbiam jego muzykę. Ma duszę. Jest myląco prosta. Wydaje mi się, że czasem najtrudniej wyrazić właśnie prostotę.

- Absurd - prychnął Henri.

Zdziwiła ją ta zawziętość i pewnie jej mina to zdradziła.

- Przepraszam - powiedział. - Nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje. Wszystko jest takie dziwne.

Sądziła, że Henri mówi o warunkach kupna sklepu, ale on wrócił do przerwanej wątku:

- Nie obchodzą mnie współcześni kompozytorzy. Part w porównaniu z Schubertem, Brahmssem czy Brucknerem nic nie znaczy.

Ojciec zawsze powtarzał, żeby wystrzegła się wielbicieli Brucknera.

Henri rozwodził się nad tym, jakie to tragiczne, że najlepsze czasy w muzyce dawno minęły. Nie szanował współczesnych twórców.

- Nowe pokolenie - podsumował lekceważąco, jakby Part, Takemitsu czy Philip Glass byli bandą młodych chuliganów.

- Skąd pani tyle wie o muzyce poważnej? - zapytał. - Dzieci François Dubray

wspomniały o pani ojcu. Czy był muzykiem?

- Pianistą - odrzekła. - Studiował w Paryskim Konserwatorium.

Nie wspomniała, że zarabiał na życie, grając Gershwina i Cole'a Portera w hotelowym barze i oszczędzał na czynszu, dając lekcje właścicielce domu i jej znajomym oraz urządzając dla nich improwizowane koncerty. Henri zrobił na niej wrażenie coince, człowieka spiętego i przesadnie poważnego. Wyobrażała sobie, co by na to powiedział.

Wspomniał, że jego ojciec uczył się w dzieciństwie gry na skrzypcach i pchnął syna w tym samym kierunku.

- Najbardziej na świecie kocham muzykę - wyznał. - Ale brak mi talentu.

- Zupełnie jak mnie.

- Ojciec był kolekcjonerem, a ja poszedłem w jego ślady - ciągnął Henri. - Gdy miałem siedem czy osiem lat, bywałem na pchlich targach, wyprzedażach mienia i aukcjach w całej Europie i tak stopniowo powstała kolekcja, którą dziś mam. Są w niej instrumenty pochodzące z okresu od piętnastego do dziewiętnastego wieku.

- Który pan lubi najbardziej?

- Mam smyczek François'ego Tourte'a w idealnym stanie.

- No, no...

Ojciec opowiadał jej o Tourcie, który niszczył wszystkie swoje nie dość doskonałe wyroby i który na przełomie XVIII i XIX wieku poprawił barwę dźwięku skrzypiec. Dziś jego smyczki sprzedawano za cenę nowego ferrari.

- Ale to nie jest mój ulubiony eksponat - oznajmił Henri, który zdaniem Delphine trochę się przechwalał.

- Nie?

- Nie.

- A co nim jest?

- Kiedy się urodziłem, ojciec kupił za grosze skrzypce Stradivariusa. Dał mi je na dziesiąte urodziny. Inne, pochodzące z tego samego roku, właśnie sprzedano w Ameryce za dwa miliony dolarów. Należały do generała z armii Napoleona.

Po tamtej aukcji wiele osób pytało mnie o moje skrzypce, ale ja tak łatwo się z nimi nie rozstanę. Popatrzyła na niego zdumiona.

- Gdzie je pan przechowuje? - zapytała.

- W domu, w gabinecie, w szklanej gablocie.

To tragiczne, że nikt nie gra na tych skrzypcach. Idealny instrument się marnuje. Jest niczym ptak w klatce. Poza tym to mu nie służy. Henri, jako luthier, musi o tym wiedzieć.

- Czy je pan wypożycza?

- Czasami.

Henri dopił kawę i skubał czekoladkę, którą do niej podano.

- Gdybym dwadzieścia lat temu wiedział, ile te skrzypce są warte, mógłbym je

sprzedać. Jednak teraz na pewno bym tego żałował.

Skinęła głową. Wyraźnie o coś mu chodziło, ale nie wiedziała o co.

- Dzieci François Dubrey działają zbyt pochopnie. Zorientowały się, że sprzedając sklep, można zarobić, i próbują ubić interes.

- Może chodzi im o coś więcej? Może kochają to miejsce, ale nie są w stanie go prowadzić?

Pamiętała, co czuła, porządkując szafy ojca. Chciała zatrzymać każdą brudną chusteczkę do nosa i pachnącą stęchlizną kartkę papieru nutowego, a jednocześnie żałowała, że nie jest gdzieś daleko, wolna od tego wszystkiego.

- Obawiam się, że nie zdaje pani sobie sprawy, w co się pakuje - powiedział Henri.

- Tak?

- Prowadziłem kiedyś podobny sklep i wiem, że interesy idą falami. Są lata, gdy wszystko układa się dobrze, a potem nagle przychodzi okres zastoju. Dubray miał długi. Nabywca sklepu będzie musiał je spłacać. Jest pani tego świadoma?

Wyczuwała, że to dobry człowiek, choć może nieco arogancki. Po prostu chce kupić sklep, pewnie o wiele bardziej niż ona. Zresztą ma rację. Nie wiedziała o długach ani o tym, jak zabezpieczyć się na złe czasy. Ma nad nią przewagę.

Już zamierzała to powiedzieć, gdy Henri dodał:

- A może młodzi Dubray zgodziliby się zatrzymać sklep jeszcze przez rok, a my w tym czasie spróbowałibyśmy poprowadzić go razem? Taki okres próbny.

Zdziwiła się, lecz z drugiej strony sklep był dla niego świętością, tak samo jak dla niej. Może nie chce samotnie walczyć o jego przetrwanie?

Zgodziła się, by spróbowali.

Kiedy zaczęli pracę, Delphine zrozumiała, że sama nigdy by sobie nie poradziła. Dzieci, którymi na pozór kierował głupi kaprys, miały rację. Henri znał wszystkich liczących się sprzedawców z branży i dyrygentów na świecie, a wiedzą o instrumentach dorównywał zmarłemu Dubray. Potrafił naprawić skrzypce, ocenić ich wartość, rozpoznać okazję tam, gdzie inni jej nie dostrzegali. Był spokojny, tak spokojny, że w pierwszej chwili wydawał się nudny. Żył pogrążony w myślach.

Nie interesowały go pogaduszki z klientami. To była specjalność Delphine. Jej ojciec musiał biegle mówić po angielsku, by rozmawiać w pracy z podpitymi amerykańskimi turystami, którzy opierając się o pianino, pytali o Paryż i domagali się, by zagrał fragmenty z West Side Story. Nauczył ją wszystkiego, co umiał, różnych wyrażeń, których inaczej nigdy by nie poznała. Także tego, jak wprowadzić w dobry nastrój turystów spodziewających się, że Francuzi będą nadęci i nieuprzejmi. Teraz mogła wykorzystać to, czego się nauczyła. Odkryła, że potrafi przekonać amerykańskie małżeństwo będące na wakacjach w Paryżu do wydania osiemnastu tysięcy franków na harfę, o której posiadaniu nigdy wcześniej nie myśleli.

Rozumiała, jaka jest siła piękna instrumentu, jaką radość może dać, nawet jeśli nie wiedziała zbyt wiele o jego wykonawcy ani nie znała się na drewnie. Henri, podobnie



jak Dubray, nie zwracał sobie głowy turystami, Delphine zaś skoncentrowała się przede wszystkim na nich. Gdy pewnego dnia reżyser filmowy z Los Angeles z żoną weszli do sklepu, żeby się rozejrzeć, wdała się z nimi w długą rozmowę. W efekcie doprowadziła do nawiązania kontaktów z wytwórniami filmowymi w Ameryce poszukującymi instrumentów używanych potem jako rekwizyty w filmach historycznych.

Pod kierownictwem Delphine i Henriego sklep prosperował jeszcze lepiej niż dawniej. W rocznicę swojego pierwszego spotkania kupili go na spółkę.

Przez pierwsze półtora roku Delphine traktowała Henriego jak partnera w interesach. Czasem myślała też o nim jak o przyjacielu, ale głównym miejscem ich spotkań był sklep. Pracowali właściwie bez przerwy. Nikogo nie widywała tak często jak Henriego. W pracy poznali wspólnych znajomych i razem ich przyjmowali. Większość z nich była, tak jak Henri, kolekcjonerami i znawcami muzyki, rozbierali ją na czynniki pierwsze w sposób, który doprowadzał Delphine do szału. Lubiła rozmawiać o różnych wykonaniach, lecz uważała, że zbyt głębokie zagłębianie się w kwestie techniczne odbiera muzyce całe piękno. Irytowało ją, gdy Henri tuż po koncercie pytał: „I jak? Co o tym myślisz?”, pragnąc ocenić go, zanim jeszcze na sali zabłyśły światła.

W dzieciństwie ojciec kilka razy w roku zabierał ją na koncert do église de Saint-Germain-des-Prés. Nakazywał, by siedziała cicho i bez ruchu, pozwalając wypełnić się muzyce. Potem jedli małże w Café Central albo wędrowali wąskimi uliczkami w stronę rzeki, nie analizując szczegółowo tego, co usłyszeli, w ogóle nie omawiając koncertu.

Czasem wieczorem, po pracy, Delphine zapraszała Henriego do siebie na kolację. Byli tylko we dwoje, rozmawiali o swoich rodzinach, dzieciństwie, miłości do muzyki. Uwielbiali wykonawców muzyki poważnej tak jak inni szaleją za gwiazdami rocka.

Henri zachowywał się bardzo oficjalnie i gorszenie go sprawiało Delphine dziwną przyjemność. Lubiła ukradkiem podmienić mu w sklepowym odtwarzaczu płytę z Bachem na Beastie Boys. Był starszy od niej o piętnaście lat, a wyglądał na jeszcze starszego. Gdy Delphine drażniła się z nim na temat wieku, aż się rumienił. Traktowała go jako dobrego wujka czy raczej znacznie starszego brata.

Raz, gdy wypła za dużo wina, zwierzyła mu się z tęsknoty za ojcem i wyznała, że nie chce mieć dzieci z powodu tego, co zrobiła jej matka. Nigdy nikomu o tym nie mówiła. Henri powiedział, że sam kiedyś myślał o dzieciach, ale teraz już chyba na nie za późno. Delphine nie mogła wyobrazić go sobie huśtającego maleństwo na kolanach lub grającego ze starszym dzieckiem w piłkę. Na samą myśl o tym wybuchnęła głośnym śmiechem. Lecz potem zobaczyła, jak pomaga chłopcu z sąsiedztwa naprawić skrzypce, które znalazł u babci na strychu, pokazuje mu, jak przytwierdzić szyjkę i ślimak i wypolerować instrument do połysku. „Bardzo ładna

żyłka. Jest wielka różnica pomiędzy świerkiem a klonem", powiedział, a chłopiec skinął z powagą głową niczym licytator w domu aukcyjnym Christie's.

Henri po raz pierwszy pocałował Delphine w pewien spokojny wtorek, kiedy do sklepu przez wiele godzin nie wszedł żaden klient. Byłaby mniej wstrząśnięta, gdyby podszedł i ją spoliczkował. Potem odsunął się i nim zdołała wykrztusić choć słowo, powiedział:

- Muszę wyjść na spotkanie. Do jutra.

Następnego dnia oficjalnie zaprosił ją na obiad. Zjedli entrecôte frites i wypili butelkę wina. Na brwiach Henriego perliły się kropelki potu. Mówił niemal wyłącznie o sklepie - rozwodził się nad koniecznością zwiększenia sprzedaży w czasie świąt Bożego Narodzenia i pytał, czy Delphine uważa za rozsądne zamieszczenie kilku reklam w lokalnych gazetach.

Czuła się skrępowana i zmieszana. Początkowo sądziła, że ma to być randka, ale teraz zastanawiała się, czy Henri nie chciał jej po prostu przeprosić za wczorajsze zachowanie. Zapłacił rachunek, ale był to jego stały zwyczaj, gdy chodzili razem do restauracji. Odprowadził ją do domu, ale robił to zawsze, gdy było późno.

Przed drzwiami jej domu powiedział:

- Dziękuję za miły wieczór. Do zobaczenia jutro, prawda?

Po czym objął ją i gwałtownie pocałował. Oddała pocałunek, bo wydawało jej się, że inaczej byłaby niegrzeczna. Ale nie zamknęła oczu, wprost przeciwnie - otwierały się coraz szerzej.

Nie zaprosiła go na górę.

Następnego dnia rano weszła do sklepu tylnymi drzwiami, wiedząc, że Henri będzie siedział od frontu. Na biurku w warsztacie zobaczyła wazon z różami i bilecik. Serce podeszło jej do gardła. Na bileciku widniały słowa: Jak się pewnie domyślasz, jestem w Tobie szaleńczo zakochany.

Delphine o mało nie podskoczyła. Szaleńczo zakochany? Trudno było wyobrazić sobie Henriego w stanie choćby w przybliżeniu przypominającym szaleństwo. Przez chwilę miała ochotę uciec, ale on właśnie wszedł do pokoju, niosąc naręczę papierów. Na jej widok oblał się rumieńcem.

- Nie słyszałem, jak weszłaś - wybąkał. Widziała, że jest zdenerwowany.

- Bardzo piękne. - Wskazała na kwiaty.

- To dobrze. - Uśmiechnął się. - Wczoraj doskonale się bawiłem.

Naprawdę? - pomyślała, ale odpowiedziała:

- Ja też.

- Chyba wrócę do sklepu - dodał po chwili milczenia. Przez chwilę zastanawiała się, czy w kwaciarni po prostu nie zamieniono bilecików. Może gdzieś na Montmartrze kobieta, która niedawno się zaręczyła, otrzymała właśnie bukiet z liścikiem: Gratuluję sprzedania rekordowej liczby fletów w ciągu jednego miesiąca.

W nocy, leżąc w łóżku, Delphine zastanawiała się nad tym, co się stało. Henri ją

kocha. A przynajmniej tak mu się wydaje. Jakim cudem nigdy na to nie wpadła? Wiedziała, że nie straci dla niego głowy, ale przecież z gwałtownych uczuć nigdy nie wynika nic dobrego. Henri jest miły, inteligentny i mają razem sklep, co w ich przypadku przypomina posiadanie dziecka.

Potem wiele razy jedli razem obiad i czuli się w swoim towarzystwie coraz lepiej. Dużo się śmiali. Seks był przyjemny, choć niezbyt namiętny. Stopniowo dowiadywała się o Henrim coraz więcej - z własnej inicjatywy jadł niewiele, jakby jego umysł był zbyt zaabsorbowany innymi sprawami, by myśleć o czymś tak prozaicznym jak odżywianie się. Chociaż często sprawiał wrażenie najbardziej pewnego siebie człowieka we Francji, miał tak samo jak ojciec Delphine skłonność do wpadania w ponury nastrój i zdarzało się, że przez kilka dni nie wstawał z łóżka.

Podobnie jak ojciec, został też jej samozwańczym opiekunem, wciąż martwił się o jej bezpieczeństwo, zdrowie i szczęście. Pewnego wieczoru, gdy zamykali sklep, złodziej zerwał torebkę z ramienia Delphine. Henri gonił go aż na szczyt wzgórza i choć nie miał szans, by go złapać, bardzo ją to wzruszyło.

Henri odziedziczył po rodzicach duże mieszkanie w siódmej dzielnicy, a ona swoje tylko wynajmowała, dlatego pięć miesięcy po pierwszej randce zaproponował, żeby się do niego przeprowadziła, choć mieszkał po drugiej stronie rzeki, daleko od sklepu i dzielnicy, w której się wychowała.

- Nie mogę opuścić Montmartre'u - powiedziała. -1 mojego mieszkania. Stracę je na zawsze.

- I tak jest za małe dla nas dwojga - stwierdził, zapominając, że przez dziesięć lat mieszkała tam z ojcem.

- Jak mogę się stąd wyprowadzić do bogatej dzielnicy, która nie ma nic wspólnego z cyganerią? I jest taka bourgeois?

- Na pewno nie będzie ci brakować tych tłumów. I bobos - stwierdził. Gdy zobaczył, że się nie uśmiecha, wziął ją pod brodę i powiedział: - Przecież i tak tutaj pracujemy. Zresztą, jeśli naprawdę będziesz chciała, potem znów się tu przeprowadzimy.

Wiedziała, że kłamie - nienawidził Montmartre'u i nigdy by tu nie zamieszkał. Ale i tak pozwoliła mu się pocieszyć.

Henri nie zmienił nic w mieszkaniu, które dostał od rodziców. Meble były nieznośnie vieille France, w stylu Ludwika XVI i empire. Miały proste, surowe linie i zdobiły je rzeźbione w dębie laurowe wieńce i złożone żłobkowane kolumny, zupełnie jakby żyli w starożytnej Grecji. Ciężkie aksamitne zasłony chroniły przed słońcem. Delphine uparła się, żeby je zdjąć, i gdy odwiedzili ich rodzice Henriego, matka, zaraz po wejściu do salonu, wrzasnęła: Ferme les volets!, po czym pod-biegła do okna i zacisnęła dłonie w powietrzu, jakby stare zasłony mogły nagle się zmaterializować. Gdy nic z tego nie wyszło, nalegała, by zamknęli okiennice.

W świecie Henriego słońce było wrogiem mającym na celu jedno: doprowadzenie, by wypływały kilkusetletnie obicia i dywany. Delphine wspominała malarzy z

Montmartre'u, którzy pocili się w pracowniach na piątym piętrze, utworzonych z połączonych pokoiów dla służby, żeby tylko móc złapać północne światło.

W nowym życiu przy rue de Grenelle czasem sama siebie nie poznawała. Dopiero gdy rano wracała na swój ukochany Montmartre, czuła, że znów może oddychać.

Kilka miesięcy po przeprowadzce zaręczyli się. Delphine nie czuła potrzeby, by wychodzić za męża. Wielu ludzi obywa się bez ślubu. Podobno połowa dzieci we Francji rodziła się w konkubinatach. Jednak dla Henriego małżeństwo było ważne. W młodości Delphine marzyła czasem o romantycznych oświadczeniach, o mężczyźnie, który ją zaskoczy, prosząc ojca o jej rękę. Tymczasem papa zmarł, a Henri w pewien piątek przy obiedzie w Le Florimond po prostu zapytał, czy za niego wyjdzie.

Wesele odbyło się w wiejskim domu jego rodziców. Wszyscy tańczyli do szóstej rano, a potem, podczas gdy goście jedli zupę cebulową, ona i Henri, ukryci w schowku na szczytce, czekali, aż weselnicy ich znajdą. Matka nalegała, by odegrali to tradycyjne przedstawienie. Delphine uważała, że to zabawne, zwłaszcza po kilku kieliszkach szampana. Pewnie dla większości par była to pierwsza okazja, by w małżeńskim życiu przebywać blisko siebie, może nawet zrobić coś zakazanego. Jednak Henri tylko się złościł. „Co za idiotyzm - burczał. - Ledwie mogę oddychać”.

Był ubrany w sztywny czarny garnitur i staroświecki chapeau haut-de-forme.

Delphine wyobrażała sobie, co by powiedział ojciec, gdyby to zobaczył. Uznałby pewnie, że Henri jest zbyt oschły i poważny. Ale był także lepszym człowiekiem niż ci, których przed nim kochała.

Tuż po ślubie sklep odwiedziła dziennikarka z pisma muzycznego, by opisać, w jaki sposób śmierć François Dubray doprowadziła do ich spotkania.

- Poślubiłam najlepszego przyjaciela-wyznała jej Delphine.

Brzmiało to uroczo i w zasadzie było prawdą. Wiedziała Jednak, że inni zrozumieją te słowa jako: „Poślubiłam bratnią duszę”, gdy w rzeczywistości chciała powiedzieć: „Poślubiłam dobrego i statecznego mężczyznę, który nigdy nie potraktuje mnie źle ani nie roznieci pożaru w moim sercu”.

Minęło sześć lat. Co rano budził ich o siódmej terkot budzika Henriego. Gdy tylko Delphine otwierała oczy, zamiast „dzień dobry” mąż pytał Quelles nouvelles?, jakby ludzie, którzy spędzają ze sobą każdą chwilę we dnie i w nocy, mogli mieć sobie do przekazania jakieś nowiny. Wstawali, jedli tartines, a Henri czytał jej głośno gazetę. Potem jechali do pracy, rozmawiali o sklepie, spędzali tam cały dzień i wracali do domu albo szli na kolację.

Kupili letni dom w Normandii, w wiosce Muids. Zatrudnili na soboty pracownicę i w piątki, pociągami o osiemnastej odchodzącym z dworca Paris Saint-Lazare, jechali na wieś. Dom stał nad brzegiem Sekwany. Delphine często przyglądała się młodym ludziom, którzy przejeżdżali obok na rowerach, roześmiani, z piknikowymi koszykami przewieszonymi przez ramiona. Chyba dobrze się bawili, ale Henri nigdy nie chciał spędzić tak soboty. Wolał siedzieć na ganku i czytać, choć czasem, na

życzenie Delphine, zgadzał się zagrać w tenisa lub pójść na spacer brzegiem rzeki. Niekiedy wieczorami puszczała płytę z Vivaldim i słuchali jej przez otwarte kuchenne okno, siedząc na trawie i patrząc w gwiazdy.

Było to życie szczęśliwe i spokojne, ale po sześciu latach Delphine zaczęła odczuwać niepokój. Gdy myślała, że już nic więcej się nie wydarzy, szumiało jej w głowie. Byli z Henrim przyjaciółmi, a raczej rodziną. Znali się bardzo dobrze, lecz nawet to jej przeszkadzało. Gdy dotykał jej ramienia lub brał ją za rękę, nic nie czuła.

Była ciekawa, czy właśnie dlatego ludzie decydują się na dzieci - by odpędzić to ciche niewygodne uczucie. Jako rodzice mają na co czekać, o co się martwić, co planować. Czasem zastanawiała się, czy nie poszukać innej pracy. Może gdyby spędzali razem mniej czasu, poczułaby się lepiej. Ale nie mogła sobie wyobrazić, że porzuci sklep. Przecież jedną z przyczyn ich sukcesu było to, iż ludziom podobał się pomysł współpracy męża i żony. W najtrudniejszych chwilach zastanawiała się, czy właśnie dlatego Henri się z nią ożenił. Może wybrał ją, bo po prostu była pod ręką. Wydawało się, że traktuje małżeństwo jak niedzielny lunch - nie szukał go ani nawet o nim nie myślał, dopóki ktoś nie podał mu go na srebrnej tacy.

Mąż w towarzystwie bywał sztywny i nudny. Czasem Delphine obawiała się, że ludzie patrzą na małżonków jak jedną osobę i niezręczność Henriego, jego potrzeba, by zawsze mieć rację, rzuca na nią cień. W końcu jednak uświadomiła sobie, że dla innych są dwiema odrębnymi częściami tworzącymi całość: żona łagodzi wrażenie, jakie sprawia mąż, a on daje jej stabilność. Czym jedno byłoby bez drugiego?

Byli dla siebie mili. Nigdy się nie sprzeczała. Delphine czasem żałowała, że Henri nie ma romansu. Przynajmniej podejrzewałaby go i czuła gniew, jeżeli innych uczuć w niej już nie było. Nawet zazdrość wydawała się lepsza od obojętności. Ale wiedziała, że Henri jest niezdolny do zdrady. I przez długi czas to samo myślała o sobie.

## 2012

Jeszcze w zimie Jeff i Toby zamówili u jubilera w Stockbridge parę ręcznie robionych obrączek ozdobionych brylantami. Jednym z wielu obowiązków Kate było odebranie ich kilka dni przed ślubem. Zamawiając kwiaty, wybierając menu i odwiedzając z Avą dwa sklepy z sukienkami na Manhattanie, przez cały czas próbowała udawać sama przed sobą, że przygotowują uroczyste przyjęcie urodzinowe. Kiedy jednak pojechała po obrączki, nie mogła dłużej zaprzeczać. Naprawdę czekał ich ślub. Dziwiła się, że kuzyn, wiedząc, jakim obrzydzeniem napełniają ją diamenty, w ogóle poprosił, by mu pomagała, ale powtarzała sobie, że to już nie jest ten sam, dobrze jej znany Jeff i nie będzie nim przynajmniej przez następne siedemdziesiąt dwie godziny. Jubiler położył na oszklonej ladzie dwa aksamitne pudełeczka, w których leżały dwa identyczne pierścionki, każdy z brylantem osadzonym w szerokiej, płaskiej, platynowej obrączce.

- Przykro mi, że Toby i Jeff sami nie mogli po nie przyjechać, ale wiem, ile mają spraw na głowie, zwłaszcza że obaj mieszkają aż w Nowym Jorku - powiedział. - To prawdziwy zaszczyt robić w tym roku obrączki dla tak miłej gejowskiej pary. I podoba mi się nasz wspólny projekt. Przepięknie wyszły, prawda?

Wyglądało, jakby czegoś od niej oczekiwał, choć nie wiedziała, co to miałyby być - oklaski, omdlenie, a może płacz?

- Są wspaniałe - przytaknęła, zamykając z trzaskiem oba wieczka. - Ma pan jakąś torebkę?

Jubiler włożył pudełeczka do lśniącej czerwonej torby z rączkami ze złotego sznurka i wręczył ją Kate z szerokim uśmiechem.

Przez chwilę wyobrażała sobie, jak potrząsa nią przed nim ze słowami: „Chyba zdaje pan sobie sprawę, że te głupie błyskotki są siłą napędową okrutnych afrykańskich reżimów? Bądźmy uczciwi, to błyszczące kamyczki śmierci”.

Ale powiedziała tylko: „Dziękuję”.

Kate często nie wiedziała, jak postępować właściwie w zepsutym świecie, w którym nawet jedząc obiad lub włączając laptop, człowiek przyczynia się do czyjegoś cierpienia. Zastanawiała się, w jaki sposób mówić prawdę, nie spychając innych na pozycje obronne i nie wychodząc na osobę psującą wszystkim nastrój.

Do spraw, które znajdowały się na liście jej codziennych zmartwień, należały między innymi: dzieci głodujące w Afryce. Substancje chemiczne w jedzeniu Avy i w wodzie pitnej. Wszechobecna korupcja w Waszyngtonie. Biedni, którymi nikt już nie zawraca sobie głowy. Gwałty w Kongu, których liczba nie maleje, chociaż tyle się o tym gada. Wciąż zdarzające się gwałty na elitarnych amerykańskich uczelniach. Plastik. Ropa w Zatoce. Reklamy piwa przedstawiające mężczyzn jako głupków myślących tylko o piłce nożnej, a kobiety jako nieznośne jędze zainteresowane wyłącznie zakupami. Zło czające się w internecie. Fabryki wyzyskujące tanią siłę roboczą, a w konsekwencji

problem pochodzenia wszystkiego, czego człowiek potrzebuje do życia - mięsa, ubrań, butów i telefonów komórkowych. Niedźwiedzie polarne. Kardashianowie.

Chiny. Szkodliwe efekty działalności Howarda Sterna, Rusha Limbaugha i Glenna Becka oraz ogromna ilość pornografii w sieci. Ustawa ograniczająca dostęp do broni - pewnie nigdy jej nie wprowadzą, choć za każdym razem, gdy ktoś zastrzeli dziecko lub polityka, wszyscy przez chwilę jej się domagają. Rak, na którego w końcu zachorują różni członkowie jej rodziny od palenia, mikrofalówek, słońca, dezodorantów i wszystkiego innego, co szkodzi, a czyni życie o wiele wygodniejszym i/lub znośniejszym.

Przez cały dzień zło świata krążyło w jej głowie wymieszane z myślami o tym, co ugotować na obiad, kiedy zgłosić się do dentysty na czyszczenie zębów i czy wkrótce zdecydować się na drugie dziecko. Zastanawiała się, czy wszyscy tak mają, czy też większość ludzi wycisza w sobie podobne myśli, podobnie jak jej siostra May. Nawet Dan nie troszczył się aż tak bardzo o dalekie zakątki świata. Jednak Kate nie potrafiła zapomnieć.

Zawsze taka była, a gdy po skończeniu studiów rozpoczęła pracę w Human Rights Now, jej uczucia tylko się nasiliły. HRN była organizacją non profit, która miała placówki w czterdziestu dwóch krajach. Sporządzała raporty na temat zbrodni wojennych, przemocy wobec kobiet i homoseksualistów, problemów z wodą oraz innych nieszczęść trapiących świat. Kate zaczynała jako asystentka dyrektora zarządzającej, Ellen Cary, i w ciągu dziesięciu lat cztery razy awansowała. Jeździła do Afryki i Azji, spotykała się z decydentami, sponsorami i dziennikarzami, by opowiedzieć o swoich obserwacjach i zaproponować strategię postępowania. Kochała tę pracę, ale nie potrafiła zapomnieć o niej w domu, choć Ellen często ją przed tym przestrzegała.

Ostatni raport, który pomagała sporządzić dla HRN, dotyczył diamentów. Była w trzecim miesiącu ciąży, gdy grupa badawcza pojechała do Republiki Środkowoafrykańskiej i Konga.

Kate zamierzała się do nich przyłączyć, ale lekarz odradził, a Dan zdecydowanie zakazał jej jechać. Wiedziała, że zaczyna nowy okres w życiu, i nie była do końca pewna, czy jest na to gotowa.

Przed dziesięcioma laty do ludzi na Zachodzie zaczęły docierać wieści na temat tak zwanych krwawych diamentów. Oceniano, że aż czternaście procent sprzedawanych w Ameryce kamieni szlachetnych pochodzi z afrykańskich krajów rozdzieranych wojnami pochłaniającymi miliony ofiar.

Choć proceder ten trwał już od lat, ludzie Zachodu nagle się przerazili. Nie mieli ochoty, spoglądając na ulubiony pierścionek z diamentem, myśleć o dzieciach-żołnierzach, którym odrąbano ręce. Dlatego czterdzieści pięć krajów podpisało Deklarację z Interlaken, zobowiązując się do stosowania Procesu Kimberley, czyli opatrywania diamentów certyfikatami gwarantującymi, że nie wydobyczo ich w kraju

ogarniętym wojną. Pozornie wydawało się to dobrym rozwiązaniem, jednak HRN i inne organizacje walczące o prawa człowieka miały wątpliwości.

Głównym badaczem podczas tamtego wyjazdu był Albert Foster. Miał pięćdziesiąt trzy lata, lecz jego ogorzała pomarszczona twarz sprawiała, że wyglądał o wiele starszej. Doskonale nadawał się do takich zadań i po powrocie do Nowego Jorku beznamietnie przedstawił Kate ponure fakty: mówił o dzieciach, które umierały na ulicach na AIDS, a gdy przechodził, łapały się za krocze, proponując seks za jedzenie lub cokolwiek innego.

Kate spisała wszystko, co jej opowiedział, i poczuła się bezużyteczna. Powinna była tam pojechać. Pomyślała o swoim dziecku. Jeszcze się nie urodziło, a już tak wiele miało w życiu zagwarantowane.

- Czy Proces Kimberley w ogóle działa? - zapytała.

Pokręcił głową.

- Ujmijmy to w ten sposób: w Republice Środkowoafrykańskiej są kopalnie, z których można wydobyć rocznie tylko pięćset tysięcy karatów. Ale co roku certyfikaty otrzymuje blisko milion karatów pochodzących rzekomo z tego kraju. Wydobywają diamenty w Kongu, gdzie uważane są za krwawe. Po przewiezieniu przez granicę w magiczny sposób stają się czyste.

- A ich nabywca o tym wie?

- Oczywiście. Gdy tylko diamenty dotrą do szlifierni, De Beers szybko miesza je z kamieniami pochodzącymi z innych krajów.

- I nikt nie wie, czy kupił krwawy diament?

- Właśnie. A większość ludzi powie sobie, że oni tego nie zrobili. Czasem myślę, że Proces Kimberley to po prostu narzędzie marketingowe pomagające stłumić ogólne poczucie winy.

Kate wiedziała z innych raportów, że minerały używane do produkcji laptopów i telefonów komórkowych mają równie mroczną przeszłość, ale nie wydawało jej się to aż tak gorszące - ostatecznie nie symbolizują miłości. Po spotkaniu z Fosterem jeszcze trudniej było jej zapomnieć o całej sprawie. Przeczytała na ten temat wszystko, co się dało. Kiedy widziała na ulicy lub w kinie młodą kobietę noszącą biżuterię z diamentami, miała ochotę odciągnąć ją na bok i recytować okropne statystyki.

Kilka miesięcy później HRN zorganizowała spotkanie dla prasy na temat raportu i tym razem szefowa Kate, Ellen, i inne kobiety z biura wydawały się zmieszane, a nie, jak zwykle, zadowolone z siebie. Ellen obróciła na palcu pierścienkę zaręczynowy, żeby nie było widać kamienia.

Rankiem w dniu ślubu May wypila dwie filiżanki czarnej kawy, protestując w ten sposób przeciwko temu, że Kate ma w domu tylko mleko sojowe, i poszła na górę wziąć prysznic, zostawiając siostrę w kuchni z matką oraz czwórką dzieci.

Kate pogłaskała Avę po głowie.



- Jak tam, kochanie, cieszysz się, że dziś wieczorem idziemy na ślub? - zapytała.
- Tak! Do której mogę siedzieć ze wszystkimi? Rozmawiały już o tym sto razy, ale to było ulubione pytanie Avy.
- Dopóki oczy same ci się nie zamkną.
- Jeszcze tego pożałujesz. - Mona podniosła wzrok znad gazety.
- To wyjątkowa okazja.
- Kiedy włożę sukienkę? - dopytywała się Ava.
- Niedługo pojedę odebrać ją od wujka Jeffa i wujka Toby'ego - odparła Kate. - Muszę im zawieźć obrączki.
- Pokaż mi je - poprosiła matka. - Na pewno są przepiękne. Jeff ma taki doskonały gust.

Kate wzruszyła ramionami.

- Wiesz, można robić dużo gorsze rzeczy niż pracować w kopalni - powiedziała Mona, rozwlekając sylaby, tak że jej słowa brzmiały niemal jak śpiew. - A bez diamentów w Afryce nie byłoby żadnego przemysłu.

Kate pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Po pierwsze, praca w kopalni należy do najniebezpieczniejszych zawodów i stanowi wielkie zagrożenie dla zdrowia. Po drugie, czy zdajesz sobie sprawę, że w kopalniach diamentów w RPA panuje rasizm? Czarnych górników zamyka się na noc. Po pracy muszą się rozbierać i strażnik zagląda im w każdy zakamarek ciała, bo wszyscy z góry zakładają, że kradną. Biali górnicy są traktowani zupełnie inaczej. Czarni muszą nosić przy sobie dokumenty tożsamości. Każdy biały może zażądać ich okazania, a robotnik, który nie ma ich przy sobie, idzie do więzienia. Każdy biały! Matka westchnęła.

- Kate, prosiłam tylko, żebyś pokazała mi obrączki kuzyna, a nie udzielała lekcji historii. - Znowu pochyliła się nad gazetą.

- Przepraszam.

Czerwona torebka stała na parapecie nad zlewem. Kate często obierała tam warzywa, patrząc, jak Ava bawi się na podwórku. Odsunęła koronkową firankę i sięgnęła po torebkę. Wydawała się nieco lżejsza.

Zajrzała do środka: tam, gdzie przedtem znajdowały się dwa aksamitne pudełeczka, było tylko jedno. Serce zabiło jej mocniej.

Bez słowa wyszła na dwór i zajrzała do samochodu - nic. Podeszła do szafy ściiennej w korytarzu i wsunęła rękę do kieszeni każdego płaszcza, nawet tych, których nie nosiła od lat. Była prawie pewna, że wychodząc od jubilera, widziała dwa pudełeczka. No ale przecież zamknęła je tak szybko. Może jej się tylko wydawało? Nie, wykluczone, na pewno były dwa.

Wracając do kuchni, zastanawiała się, kiedy matka stamtąd wyjdzie. Nie chciała pytać dzieci o zgubę w obecności innych dorosłych. Przez następnych piętnaście minut nikt się jednak nie ruszył. Trójka dzieci May grała przy stole na Playstation, matka nie

dobrnęła nawet do końca działu Sztuka i odpoczynek, Ava zaś, siedząc na wysokim krzeselku, rozkoszowała się obecnością rodziny, która, jej zdaniem, zjechała tylko po to, by patrzeć, jak w różowej sukience będzie kroczyła w stronę ołtarza.

W końcu Kate nie mogła już dłużej wytrzymać. Najspokojniej, jak tylko potrafiła, zapytała:

- Dzieci, czy któreś z was ruszało tę torebkę?

Cała czwórka pokręciła głowami.

- Na pewno? Nikt nie będzie się na was gniewał. Po prostu coś mi zginęło. Avo, jesteś pewna?

- Tak, mam.

- Cholera - zaklęła Kate. Podeszła do okna, zacisnęła powieki i jeszcze raz odsunęła firankę. Drogi Wszechświecie, jeśli sprawisz, że gdy otworzę oczy, zobaczę obrączkę, będę ci wdzięczna na wieki. Obiecuję nie zadawać żadnych pytań. To, że nie leżała tutaj przed dwudziestoma minutami, będzie bez znaczenia.

Otworzyła oczy. Na parapecie leżał tylko pomarszczony pomidor, którego powinna była wyrzucić dwa dni temu.

- Co? Co się stało? - zapytała matka.

- W tej torebce były obrączki Toby'ego i Jeffa - odrzekła Kate. - Teraz jest tylko jedna. Matka przycisnęła dłoń do serca.

- Wyglądasz, jakbyś zaraz miała złożyć przysięgę na wierność sztandarowi - zauważyła Kate.

- Zgubiłaś obrączkę?

- Nie. Gdzieś ją zawieruszyłam, to wszystko. Pomóż mi szukać. Mam się z nimi spotkać za pół godziny.

- Kate! Zrobiłaś to umyślnie!

- To ma być pomoc?

- Właśnie opowiadałaś, jak bardzo nienawidzisz diamentów. Poza tym wszyscy wiedzą, że nie chcesz, aby Jeff wziął ślub.

- Nawet jeśli tak jest, mam, to z pewnością nie zgubiłabym umyślnie obrączki, żeby mu w tym przeszkodzić.

- Tak samo jak nie ufarbowałaś sobie włosów na niebiesko w przeddzień rozmowy kwalifikacyjnej w Lanebrook Academy?

- Miałam czternaście lat. Zawsze będziesz mi to wypominała?

- Uważam, że jedno łączy się z drugim. Kate poczuła, że zaraz wpadnie w panikę.

- Dan! - krzyknęła. - Dan! Jesteś mi potrzebny! Słyszac na schodach tupot stóp w skarpetkach, poczuła ulgę. Zaraz potem do kuchni wszedł Dan ubrany w spodnie od piżamy i biały podkoszulek. Potargany, z dołeczkami w policzkach, wciąż wyglądał jak student, choć miał trzydzieści pięć lat. Czasem Kate zastanawiała się, czy on w ogóle kiedyś przestanie wyglądać jak dziecko, czy też będzie miał słodką buzię, nawet gdy im obojgu stuknie dziewięć-dziesiątka.

- Co się stało? - zapytał.
- Nie mogę znaleźć jednej z obrączek Toby'ego i Jeffa.
- Kurwa mać. Czyjej?
- Obie są takie same. :'' - No tak.
- Wujek Dan powiedział brzydkie słowo! - wrzasnął Max, budząc się nagle do życia. - To kosztuje pięć dolarów!
- Zapisz je na mój rachunek, chłopie - powiedział Dan.
- Dobra. Gdybym był obrączką, gdzie bym był? Sprawdzałaś w kieszeni płaszczka?
- Tak.
- Nie chcę mieć ślubnej obrączki. Wolę ślubny diadem - oznajmiła Olivia, jedyna córka May. Miała pięć lat i obsesję na punkcie księżniczek.
- Musisz mieć obrączkę, głuptasie - zgasił ją Max. - Wszyscy mają obrączki.

Czterdzieści minut później Kate wsiadła do samochodu, zapięła pas i wpisała do GPS-u adres hotelu Birchland Inn. Zawsze miała problemy z orientacją. Dopóki nie przenieśli się na północ, prowadziła samochód może dwa razy do roku, teraz była to codzienność. Wciąż nie czuła się zupełnie swobodnie, zwłaszcza gdy Ava siedziała z tyłu w foteliku i pytała, dlaczego silnik włącza się kluczykiem, dlaczego samochód jest niebieski, dlaczego ryby mieszkają w morzu i dlaczego niebo w nocy robi się czarne.

Kate wyłączyła radio, wołała ciszę. Przeszukali cały dom i wszystkie samochody - także siostry - ale obrączka zniknęła jak kamfora. Kate widziała ją niemal wszędzie, była jak pustynna fatamorgana - na nocnym stoliku w miseczce, w której Dan trzymał drobne, na brzegu umywalki w łazience, gdzie sama czasem zostawiała zegarek. Ale po sprawdzeniu znajdowała w tych miejscach tylko to co zwykle.

Po ataku paniki przyszło pogodzenie się z rzeczywistością. Stało się. Jeśli obrączka się nie znajdzie, po prostu podejmie parę tysięcy dolarów z funduszu na studia Avy i kupi Jeffowi nową. Roześmiała się głośno na myśl o absurdzie całej sytuacji - zupełnie jakby w banku mieli choć parę tysięcy niepotrzebnych dolarów.

Wszystkie pieniądze, niemal do ostatniego grosza, włożyli w dom. Zwykle Kate uważała, że było warto, choć czasem podejrzewała, że kupno nieruchomości to po prostu kolejny sposób zniewolenia człowieka przez system kapitalistyczny. Co oznacza posiadanie domu? Mogą posadzić kwiaty i zmienić szafki w kuchni bez pytania właściciela o zgodę. Tylko co z tego? Są dumni, że mają coś na własność. Ale dlaczego?

Przez pierwszy rok życia Avy mieszkali na Brooklynie, dwie przecznice od kanału Gowanus, na trzecim piętrze kamienicy dawniej będącej siedliskiem kokainistów i squatersów. Wieczorami spacerowali po Union Street, mijając stację benzynową Hess, tanią restaurację i mural poświęcony Raulowi Vasquezowi, chłopcu, którego zastrzelono w tym miejscu w połowie lat dziewięćdziesiątych. Każdego roku w dniu jego urodzin ktoś kładł pod ścianą kwiaty.

Gdy się tam wprowadzili, okolica była już bezpieczna, choć wciąż panowała w niej dosyć specyficzna atmosfera. Między ulicami Trzecią i Nevins mieściły się tylko składy trumien. Pracujący tam ludzie byli przemili i przyjacielscy, co Kate dziwnie bawiło. Może ich wesołość wynikała z tego, że praca wciąż przypominała im o tym, jak cenne jest życie? W każdym razie zawsze machali lub żartowali w odpowiedzi na pozdrowienia.

Dan zobaczył kiedyś, jak zdejmują z ciężarówki prostą drewnianą trumnę, jeszcze bez ozdób i obić. Z jednej strony widniał na niej napis: GŁOWA.

- Oto, do czego wszystko się sprowadza - stwierdził ponuro po powrocie do domu.

Matka Kate, gdy tylko rozejrzała się po okolicy, oznajmiła córce, że powinni się stąd wyprowadzić. Ale czynsz był niski, a Kate lubiła rodziny gromadzące się na chodnikach w letnie wieczory - kilka pokoleń jadło wspólnie mięso z grilla, piło piwo i meksykańską colę oraz puszczało domowej roboty fajerwerki, których złociste kwiaty rozkwitały za oknem sypialni.

W sąsiedztwie mieszkała cała galeria dziwacznych typów budzących w Kate ciepłe uczucia. Olbrzymi jednooki mężczyzna, który witał ją co rano przed sklepikiem na rogu. Stara Włoszka o twarzy pooranej zmarszczkami, wyprowadzająca na spacer sześć maleńkich białych piesków. Znała po angielsku tylko cztery słowa - „Niech cię Bóg błogosławi” - i bez przerwy je powtarzała. Portorykańska babcia, która wcale nie wyglądała staro, ale nie mogła mówić. Kate przypuszczała, że miała wylew. Kobieta wydawała tylko chrząknięcia, jednak robiła to z entuzjazmem i chyba nie zdawała sobie sprawy, że nikt jej nie rozumie. Zresztą niektórzy sąsiedzi najwyraźniej wiedzieli, o co jej chodzi.

Dan chciał, żeby Ava miała podwórko, na którym będzie mogła się bawić. Ponieważ wraz z Kate uważali, że mieszkanie w domu na przedmieściu przypomina czekanie na śmierć, postanowili przeprowadzić się do wioski Stone Ridge, leżącej dwie godziny drogi w górę rzeki Hudson. Podobnie jak przedtem Nowy Jork, to miejsce wydało im się prawdziwe.

Kate czasami zastanawiała się, czy Dan chciał wynieść się z Brooklynu, ponieważ podświadomie pragnął, by rzuciła pracę. Jej posada w Human Rights Now była jedną z niewielu rzeczy, o które się kłócili. Kate czuła dumę ze swojej pracy. Stanowiła ważną, może najważniejszą część jej tożsamości. Ale po urodzeniu Avy stwierdziła, że zbyt dużo ją to kosztuje. Czasem w nocy, karmiąc niemowlę, myślała o innych dzieciach, które w tej samej chwili gdzieś cierpiały. Na zebraniach ogarniało ją takie przygnębienie, że musiała obiema rękami przytrzymywać się krzesła, żeby nie wyjść z pokoju.

W odróżnieniu do niektórych kolegów z HRN nigdy nie postrzegała ludzi, na rzecz których pracowała, jako abstrakcji. Teraz jednak wydawali jej się zbyt realni. Straciła zawodowy dystans. Nie była w stanie spokojnie rozmawiać o pięcioletnich dziewczynkach w indyjskich burdelach czy o jemeńskich ośmioletnich pannach

młodych, nie myśląc przy tym o swojej córce.

Wiedziała, że nie może ich ocalić. Zmiany, jeśli w ogóle coś się zmieniało, zachodziły bardzo powoli. Była to jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakich musiała się nauczyć.

Czasem wydawało jej się, że oszaleje. Nie mogła zasnąć, nawet gdy dziecko spało. Dan mówił, że nie chce na to patrzeć, że powinna znaleźć inną pracę, która nie będzie okradać jej i rodziny ze szczęścia. Kate w pewnym stopniu przyznawała mu rację, uważała jednak, że potrzebuje więcej czasu - może kiedy dziecko będzie starsze, przestanie tak wszystko przeżywać. Lekarz przepisał jej niewielką dawkę zoloftu, by złagodzić smutek, ale lekarstwo niewiele pomagało.

Nadeszły pierwsze urodziny Avy i Dan zorganizował dla przyjaciół i rodziny małe uroczę przyjęcie. Przystroił mieszkanie ozdobami z bibułki i kupił kolorowe spiczaste czapeczki ze szczypiącymi w podbródek gumkami. Dzieci jadły pizzę, a dorośli pili wino.

Wszyscy przynieśli prezenty. Nie książeczki z obrazkami lub zabawki, ale przepięknie opakowane pudełka, które wypełniły cały salon. May kupiła drewniane, ręcznie malowane klocki w kształcie sushi i pałeczki, Mona kuchenne mebelki z piekarnikiem i lodówką. Sąsiadka z dołu podarowała Avie maleńką spódniczkę baletową. Zostawiła metkę z ceną i Kate, rozwijając prezent z bibulek, dowiedziała się, że kosztował dwieście dolarów. Były też miniaturowe uggysy, ozdobione cekinami pantofelki z paskiem, dziwaczna futrzana kamizelka, w którą Kate nigdy by córki nie ubrała, a nawet, trudno uwierzyć, podkoszulek z podobizną Fridy Kahlo.

Kate, patrząc, jak córeczka pulchnymi paluszkami rozrywa opakowanie kolejnego prezentu, czuła, że coś ściska ją w gardle. Nie mogła oddychać.

- Zaraz wracam - powiedziała z uśmiechem, nie chcąc psuć innym zabawy. Dan popatrzył na nią z niepokojem, ale pokręciła głową, pokazując, że nie musi się o nią martwić.

Po kilku minutach odnalazł ją Toby. Siedziała na brzegu łóżka i patrzyła w okno.

- Świat jest taki niesprawiedliwy - powiedziała, wiedząc, że mówi jak rozczarowana życiem nastolatka. - Tyle wyszukanych prezentów dla rocznej dziewczynki, która w ogóle ich nie potrzebuje. Nie chcę wyjść na niewdzięcznicę, po prostu czuję się bezsilna. Nie rozumiem, dlaczego my dostaliśmy tak dużo, a inni ludzie nie mają nic.

- Och, nie wiem. W porównaniu z mieszkańcami Upper East Side jesteśmy nędzarzami - powiedział Toby, próbując ją rozweselić. - Gdyby zobaczyli twoje mieszkanie, urządziliby dla ciebie zbiórkę pieniędzy.

Do tej pory Kate postępowała tak jak wszyscy. Wiedziała, co jej w życiu nie odpowiada i w jaki sposób powinna to zmienić, ale nigdy tego nie robiła. Tamtego dnia po wyjściu gości poszła na spacer i rozmyślała o minionym roku, który mogły wypełniać radość i nadzieja. Uświadomiła sobie, że Dan chyba ma rację.

Przeprowadzka dostarczyła rozsądnego powodu, by rzucić HRN. Ellen mówiła, że może uda się coś wykombinować i Kate będzie na przykład pracowała zdalnie albo

dojeżdżała do biura dwa razy w tygodniu. Ale ona odrzuciła tę propozycję. Gdy dwa lata temu przenieśli się na północ, zaczęła pracować w miejscowym Banku Żywności. Od poniedziałku do czwartku przygotowywała materiały dla prasy i zbierała pieniądze. Dan podkreślał, że to także ważne, ale łatwiejsze. W Nowym Jorku była zatrudniona na pełny etat i chociaż Dan pracował w domu, musieli trzy razy w tygodniu wynajmować opiekunkę do dziecka. Teraz próbowali sami zająć się córką. Kate była w domu przez dwa z czterech dni roboczych, Dan przez cały czas, i jakoś im się udawało.

Żyli jak w ciepłym bezpiecznym kokonie i Kate cieszyła się z tego, choć czasem czuła, że się dusi. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali w odległości kilometra. Z nikim się nie zaprzyjaźniła, a wszystkie kobiety w pracy były po sześćdziesiątce. Od czasu do czasu umawiali się na obiad z rodzicami którejś z koleżanek Avy, ale szczerze mówiąc, nie łączyło ich nic poza dziećmi.

Tęskniła za pracą i Nowym Jorkiem. Brakowało jej roj-nych tłumów obcych, zaabsorbowanych sobą ludzi, choć przecież latami pragnęła od nich uciec. Wciąż jeździła do Nowego Jorku na demonstracje, podpisywała rozsyłane w sieci petycje i wysyłała na cele charytatywne tyle pieniędzy, na ile mogła sobie pozwolić - niekiedy nawet więcej - ale nie tkwiła już w tym wszystkim tak głęboko jak kiedyś.

Była jeszcze bardziej niż przedtem przygnębiona, zbulwersowana i zaniepokojona sytuacją na świecie, może dlatego że nie uczestniczyła czynnie w jej zmienianiu. Życie na wsi płynęło spokojne, ale zostawiało zbyt dużo czasu na rozmyślanie. W nocy śnili jej się ludzie, których sprawami przestała się zajmować. Nie wiedzieć, ile jest na świecie zła, to jedno, czymś o wiele gorszym jest o tym wiedzieć i nic nie robić.

Próbowała powtarzać sobie, że uwielbia wieś. Życie płynęło tu wolniej i wreszcie mogła robić rzeczy, które na Brooklynie nie wyszły poza etap planów. Gotowała obiady, pisała listy z podziękowaniami, uprawiała ogródek. Dużo czytała i wprowadzała w domu proste ulepszenia, do których kiedyś wezwałaby fachowca.

Kamienny budynek z 1793 roku wciąż miał oryginalne belki stropowe. Na piętrze były trzy sypialnie i łazienka z miedzianą wanną, a na parterze przytulna biblioteka, salon, w którym wieczorem oglądali telewizję, i nowoczesna kuchnia z kominkiem. Dom stał na prawie dwuhektarowej działce, z tyłu ograniczonej przez strumień. Mieli też prawdziwy kurnik i kamienną wędzarnię, w której Dan urządził sobie pracownię. Był szczęśliwy jak nigdy dotąd.

Zdaniem May ich posiadłość bardziej przypominała letnisko niż prawdziwy dom, a Kate dobrze wiedziała, że nie miał to być komplement.

Siostra mieszkała na przedmieściu. Po urodzeniu drugiego syna została z dziećmi w domu. Miała żal do matki, że pracowała.

Chyba starała się robić w życiu wszystko odwrotnie niż rodzice w obawie, żeby nie skończyć tak jak oni. Kate nie była pewna, czy to najlepszy sposób. Teraz May

potrafiła mówić wyłącznie o przedmiotach - swoim SUV-ie, zabawkach dzieci, nowych kuchennych gadżetach.

W ostatnich latach coraz częściej oglądała Fox News. Na jednym z rodzinnych obiadów, po wypiciu zbyt wielu kieliszków pinot noir, wygłosiła półgodzinną tyradę o tym, że to podejrzane, iż prezydent Obama nie chce udostępnić opinii publicznej aktu urodzenia. Najgorsze było to, że May nie doszła do swoich ksenofobicznych poglądów politycznych samodzielnie. Po prostu przejęła je od męża wraz z zainteresowaniem narciarstwem i miłością do drużyny futbolowej Miami Dolphins.

Kate zaparkowała przed Birchland Inn. Jeff i Toby zatrzymali się tam w apartamencie z kominkiem oraz, jak wcześniej tego ranka poinformował ją SMS-em kuzyn, z największym łóżkiem, jakie kiedykolwiek widzieli. Wybrali ten hotel, ponieważ przed dziesięciu laty właśnie tu po raz pierwszy spędzili razem wakacje.

Jeff przywiózł z Nowego Jorku sukienkę dla Avy. Kate powiedziała, że odbierze ją przed dziesiątą. Spóźniła się dwadzieścia minut, ale przyszli małżonkowie wcale się tym nie przejęli.

Kiedy weszła, siedzieli w białych wiklinowych fotelach na hotelowej werandzie i popijając kawę, patrzyli na rozciągający się przed budynkiem duży trawnik. Jeff miał trzydzieści pięć lat, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, gęstą szpakowatą czuprynę i urodę filmowego amanta. Toby był o wiele niższy, osiem lat starszy, zupełnie łysy, lecz także na swój sposób Przystojny. Ubierali się podobnie, w drogie swetry i koszule. Kate pomyślała, że obaj używają tego samego markowego kremu nawilżającego, gdyż mieli równie idealną cerę. Dziś promienieli. Byli podekscytowani i emanowali radosną energią.

- Jesteście najspokojniejszą parą w dniu ślubu, jaką widziałam w życiu - powiedziała Kate, ściskając ich na powitanie.

- Jedliśmy na śniadanie kiełbaski wędzone w dymie z drewna jabłoni i naleśniki z jagodami - oznajmił Jeff. - A na deser parfait z płatkami i śmietanką. Czujemy się niebiańsko.

- Poza tym do przyjazdu mojej matki zostały jeszcze dwie godziny - dodał Toby. - Wtedy zaczniemy tankować wódkę.

Kate wybuchnęła śmiechem. Ciotka Abigail i wuj Dennis osłupieli, gdy Jeffrey, wówczas student drugiego roku na Uniwersytecie Vanderbilta, postanowił wyjść z szafy. Opisał to w liście do Kate: Są tacy przygnębieni. Zachowują się, jakbym ich zdradził. Mam nadzieję, że przynajmniej między nami nic się nie zmieni i nie uznasz, że przez tyle lat ukrywałem przed Tobą prawdę. A może, znając Ciebie, i tak coś przeczuwałaś...

Kate domyślała się, że jej kuzyn jest gejem, odkąd dowiedziała się o istnieniu homoseksualizmu. W odpowiedzi na list wysłała mu pocztówkę, na której napisała: Kocham Cię, Jeff. Jestem z Ciebie dumna. Owszem, miałam przeczucie.

Abigail (siostra jej matki) i Dennis potrzebowali sporo czasu, by się z tym pogodzić.

Jeff w szkole średniej grał w baseball. Poszedł na studniówkę z najładniejszą dziewczyną w klasie. Nie mogli zrozumieć, jakim cudem ich Typowy Amerykański Chłopiec okazał się kimś zupełnie innym.

- Nie mam uprzedzeń, martwię się tylko, że czeka go o wiele trudniejsze życie - mówiła Abigail. Niemal to samo usłyszała Kate od swojej matki, gdy podczas studiów na uniwersytecie w Vermont dwa razy umówiła się na randkę z czarnoskórym chłopakiem.

Jeff bardzo długo nie przedstawiał rodzicom swoich partnerów. Lecz potem pojawił się Toby. Teraz Dennis dzwonił do Toby'ego, by porozmawiać o sporcie, a Abigail mówiła o nich obu jako o swoich synach. Kate zdumiewało, że ludzkie serca mogą się tak otworzyć, że tolerancja, a nawet miłość potrafią wyrosnąć tam, gdzie nikt się tego nie spodziewa.

Rodzice Toby'ego byli ewangelikami. Syn nigdy nie powiedział im, że jest gejem. Wiele razy spotykali Jeffa, lecz określali go mianem współlokatora Toby'ego.

- Nie pojmuję, dlaczego uważają, że czterdziestodwulatek zajmujący wysokie stanowisko w wytwórni filmów potrzebuje współlokatora, ale ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć - powiedział kiedyś Jeff.

Wiadomość o ślubie była dla nich szokiem. Kate przypuszczała, że podświadomie zdawali sobie sprawę z tego, że syn jest gejem. Ale co innego coś wiedzieć, a co innego przyjąć to do wiadomości. Matka Toby'ego płakała. Ojciec odmówił udziału w ślubie, więc miała przyjechać sama aż z Alabamy.

- Bez względu na to, czy ludzie są homo- czy heteroseksualni, śluby dotyczą nie tylko nowożeńców, ale całych ich rodzin - stwierdził Jeff.

- Złota myśl z forum internetowego? - drażniła się z nim Kate, choć wiedziała, że kuzyn ma rację. Na ślubie May jej rodzice siedzieli obok siebie w pierwszej ławce, jakby święty obrządek mógł na chwilę unieważnić całe zło - ich wzajemną nienawiść i bolesny rozwód. Wyglądało to bardzo dziwnie. Zastanawiała się, co czuła macocha, siedząc obok męża wraz z jego pierwszą żoną.

- No więc? Gdzie są obrączki? - zapytał Jeff. - Nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczę.

- Och, powinnam je zabrać ze sobą? - Kate nie potrafiła dobrze kłamać. Serce zabiło jej mocniej. - Myślałam, że mam je zawieźć wieczorem prosto do Fairmount.

Ku jej wielkiemu zdziwieniu, Jeff tylko wzruszył ramionami.

- W porządku.

- Napijesz się kawy? - zapytał Toby.

- Nie, nie będę wam przeszkadzała. Załatwmy tylko najważniejszą sprawę. Przyjechałam po sukienkę.

Toby wstał.

- Przyniosę ją. A wy pogadajcie sobie chwilę. Siadaj. Kate zajęła miejsce w fotelu.

- Więc jak wyszły obrączki? - zapytał Jeff.



- Bardzo ładnie.
- Nie za bardzo w stylu mafiosa?
- Nie.
- To dobrze. Trochę mnie poniosło. Choć pewnie trudno ci w to uwierzyć.
- Tak z ciekawości, ile kosztowały? Wybacz, jeśli zadaję nietaktowne pytanie.
- Owszem, zadajesz - odparł. - Czternaście tysięcy.
- Czternaście tysięcy za dwie obrączki? - wykrztusiła. Nie mogła się powstrzymać.
- Nie. - Jeff upił łyk kawy. - Za jedną. Każdy brylant ma ponad karat. Poza tym to ręczna robota.

Kate czuła, że zaraz zwymiotuje. Po co Jeff w ogóle ją w to wplątał, skoro wiedział, że w ogóle się do tego nie nadaje?

- Piękny dzień na ślub - zauważyła.
- Tak, dzięki Bogu. Według prognozy pogody ma być około siedemnastu stopni Celsjusza. Bez opadów.
- Brzmi wspaniale. I co? Jesteś zdenerwowany?
- Jak wiesz, od dwóch miesięcy cierpię na ślubną chorobę dwubiegunową - odparł z uśmiechem. - Gdy dowiedziałem się, że zdjęcia zrobi nasz wymarzony fotograf, czułem się jak po zażyciu ecstasy.
- Pamiętam.
- Ale gdy myślałem o tych wydatkach, o tym, jak szybko wszystko się dzieje, ogarniało mnie przygnębienie. Dziś jestem podekscytowany. To chyba plus pobierania się w późniejszym wieku: nie przejmujesz się drobiazgami.

- Zabrzmiało, jakbyś miał sześćdziesiąt lat.

- Bardzo długo na to czekałem, i tyle. Cieszę się, że możemy wreszcie wziąć ślub w naszym stanie. Gdybyśmy zrobili to poza Nowym Jorkiem, czułbym się dziwnie. Przed dziesięcioma miesiącami gubernator Cuomo wreszcie zalegalizował małżeństwa osób tej samej płci w stanie Nowy Jork. Toby i Jeff usłyszeli o tym, siedząc w domu na kanapie, i natychmiast się sobie oświadczyli. Miesiąc później, dwudziestego czwartego lipca, zaczęto udzielać ślubów. Urzędy w całym stanie wydawały certyfikaty małżeństwa, chociaż była niedziela. W Borough Hall częstowano darmowym ciastem i szampanem. Przed urzędem stanu cywilnego w śródmieściu na widok wychodzących z budynku nowożeńców wielki tłum wiwatował, strzelał korkami od szampana i rozrzucał garściami konfetti.

Ludzie chcieli się pobrać jak najszybciej, w obawie, że zezwolenie zostanie cofnięte, jak zdarzyło się to w wielu innych stanach. Przed siedmiu laty kilku bliskich przyjaciół Jeffa i Toby'ego zawarło małżeństwa w San Francisco tylko po to, by pięć miesięcy później anulował je stanowy Sąd Najwyższy.

W minionych latach Kate wzięła wraz z kuzynem udział w kilkunastu demonstracjach domagających się praw, o których wartości nie była przekonana. Żałowała, że ludzie nie protestują z przeciwnych powodów - dopominając się odrzucenia instytucji

małżeństwa - ale wiedziała, że nie powinna oczekiwać zbyt wiele.

Toby chciał wziąć ślub najszybciej, jak to możliwe, ale Jeff Pragnął urządzić prawdziwe wesele, którego zaplanowanie wymagało kilku miesięcy.

Toby wyszedł właśnie z hotelu, niosąc sukienkę, blad różową kreację z marszczoną, wielowarstwową taftową spódniczką i z jedwabnymi białymi różyczkami wokół talii.

- Niech małej nie przyjdzie czasem do głowy nagle urosnąć - ostrzegł Jeff. - Inaczej pojedę do wiejskiego sklepu i złapię pierwszą ładną dziewczynkę, na którą ta sukienka wejdzie.

Kate spojrzała na Toby'ego.

- Na pewno chcesz się ożenić z tym facetem? Toby uśmiechnął się szeroko i głupawo.

- Jak tu pięknie. - Westchnął. - Co za spokój. i- Poprzedniej nocy przed naszym domem wybuchła straszna awantura, jakiś chłopak pobił turystę - wyjaśnił Jeff. - Nawet na chwilę nie zmrużyliśmy oka.

- W Chelsea? - zdziwiła się Kate.

- Jakieś głupstwo. Mimo to przysłali cztery wozy strażackie. Wyobrażasz sobie?

- Moglibyście przeprowadzić się tutaj - zaproponowała, choć wiedziała, że nigdy się na to nie zdecydują. Wieś nie jest miejscem dla każdego. Nie wiedziała nawet, czy dla niej.

- Bardzo mi się tu podoba, ale na zawsze bym nie został - odparł Jeff. - Za cicho. W nocy, za każdym razem, gdy skrzypnęła podłoga, wydawało mi się, że Dick i Perry przyszli mnie zamordować.

Toby wziął go za rękę.

- Znasz nas. Koktajle na tarasie na dachu to szczyt naszych możliwości, jeśli chodzi o spędzanie czasu na świeżym powietrzu.

Ulicą nadjechało powoli niebieskie kombi i skręciło w podjazd prowadzący do hotelu.

- To pastor - poinformował Jeff. - Miał wpaść do nas przejrzeć tekst ślubowania.

Kate pragnęła powiedzieć, że odkąd się znają, nigdy nie słyszała z ust kuzyna słowa „pastor” lub jakiegoś innego określenia o choćby w przybliżeniu religijnym charakterze. Powstrzymała się jednak, wiedząc, że to po prostu kolejny element ślubnego szaleństwa.

Na ślubie May także był pastor. Matka pochodziła z rodziny protestanckiej, ojciec był Żydem, ale nie wychowali córek w duchu religijnym. W dzieciństwie nikt nie rozmawiał z Kate o Bogu. Gdy będąc w szkole, zapytała matkę, czy w niego wierzy, Mona przekrzywiła głowę i powiedziała: „Naprawdę nie wiem. Czasem. Tak trochę”. Ojciec zaś odparł krótko: „Nie”.

Dan wierzył w Boga i Kate to się podobało. Miała nadzieję, że Ava odziedziczy po ojcu dobre maniery, dobry charakter i wiarę, że ogólnie rzecz biorąc, wszystko ma sens, nawet jeśli dokładnie nie wiadomo dlaczego. Dan pochodził z Kansas City. Według Kate miało to wpływ na jego podejście do życia, chociaż nie znosił typowych dla Nowego Jorku uogólnień na temat ludzi ze Środkowego Zachodu. Gdy wspominał

o Kansas City, wszyscy pytali, czy wychował się na farmie, albo robili aluzje do Czarnoksiężnika z Krainy Oz.

Kate podniosła się z fotela.

- Zostawiam was, gołąbeczki - powiedziała. - Dzwońcie, gdybyście czegoś potrzebowali.

Jeff wstał, żeby ją uściskać.

- Dzięki, że przyjechałaś. Do zobaczenia za osiem godzin. Na moim ślubie - powiedział i dwa razy wesoło poruszył brwiami.

Zasługiwał na lepszą przyjaciółkę, taką która będzie piszczala i podskakiwała. Ale Kate starała się, jak mogła. Oboje o tym wiedzieli.

Jadąc do domu, rozmyślała o trwałej miłości, jaka z pewnością stała się udziałem Jeffa i Toby'ego. Przez wiele lat po rozwodzie rodziców nie potrafiła uchwycić, co jest w związku normalne, a co nie - nawet gdy poznała Dana, każda drobna kłótnia napełniała ją lękiem, że zaraz wszystko się skończy.

Wokół nie brakowało ostrzeżeń. Upływający czas i rozpad związków innych ludzi przypominały jej, że miłość nie trwa wiecznie, ale przywodziły też na myśl znak „Uwaga, spadające kamienie” pojawiający się nocą na autostradzie. Co niby powinno się wtedy zrobić, zrezygnować z jazdy?

Kate zapytała kiedyś swoją szczęśliwą w małżeństwie szefową o sekret dobrego związku. Ellen i jej mąż po dwudziestu latach wciąż lubili swoje towarzystwo.

- Mężczyźni się cieszą, gdy żona podaje im obiad. Może to być chińszczyzna kupowana na wynos sześć razy w tygodniu, pod warunkiem, że nałożysz mu ją na talerz i postawisz przed nosem - powiedziała Ellen. - Wcale nie chodzi o gotowanie.

- I to wystarcza?

- Na ogół tak. Polewam wszystko keczupem, sosem sojowym lub czymś tam jeszcze. I często używam kokilek. Wiesz, co to takiego?

- Nie.

- Lepiej się dowiedz.

Diamenty to powszechnie uznana i rzucająca się w oczy oznaka tego, że ich właściciel osiągnął wysoką pozycję i sukces... Nawet kobiety, które uważają diamenty za „wulgarne”, z radością przyjmą w prezencie ozdobioną nimi biżuterię.

Badania rynkowe na zlecenie koncernu De Beers, lata siedemdziesiąte XX wieku Mężczyźni obdarzają żony biżuterią z diamentami z wielu powodów. Kiedy kierują się szczerym uczuciem, chcą być przekonani o słuszności swojej decyzji. Gdy powody ich działań są nieco mniej wzniosłe, lubią uzasadniać je przed sobą we wzniosły sposób.

N.W. Ayer, Roczny raport dla De Beers, 1966/67 1968 Rankiem, w dniu pięćdziesiątych trzecich urodzin, Frances odebrała telefon. Siedziała właśnie w swoim gabinecie na dziesiątym piętrze budynku agencji Ayer.

- Frances? - odezwał się głos w słuchawce. - Mówi Paul Darrow.

- Paul? Dzwonisz od siebie?

- Wolałem nie wchodzić na górę, żeby się z nikim nie spotkać. Musimy porozmawiać.

- Bardzo proszę.

Przez chwilę zastanawiała się, czy Paul dowiedział się skądś o jej urodzinach. Może dzwoni z życzeniami? Dorothy Dignam co roku przesyłała jej w tym dniu żółte róże, ale odkąd w 1960 roku odeszła na emeryturę, nikt w pracy nie pamiętał o święcie Frances.

Zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko.

- Widziałaś nową reklamę diamentów, którą Warner Shelly ma zawieźć do RPA? - wyszeptał Paul.

- Nie ma nowych reklam - odparła Frances.

- Owszem, są. Chcą się nas pozbyć.

- O czym ty mówisz, na Boga?

- Przyjdź do mojego gabinetu - poprosił i odłożył słuchawkę.

- Coś podobnego - mruknęła, ale podniosła się z krzesła i zjechała windą piętro niżej, żeby sprawdzić, o co tyle hałasu.

Przy tworzeniu reklam dla De Beers zawsze współpracowała z Paulem. On odpowiadał za stronę graficzną, ona pisała teksty. Mimo to rzadko się spotykali. W jego gabinecie była zaledwie kilka razy.

Paul siedział przy biurku, palił cygaro i mrugał jeszcze szybciej niż zwykle.

Między kciukiem a palcem wskazującym ostrożnie, jakby to było coś paskudnego, trzymał kartkę papieru.

- Zobacz, co znalazłem. Frances wzięła kartkę do ręki.

Była to gotowa reklama: zdjęcie diamentu leżącego w pudełku z tanimi chrupkami Cracker Jack. Miało w sobie coś swobodnego, kapryśnego i nietrwałego. Stanowiło przeciwieństwo wszystkiego, co tworzyła Frances.

Cóż za niespodzianka - przeczytała. - Diament, który pasuje na palec i nie przypomina klejnotu ze szkatułki wdowy. Diamenty nie należą do jednego okresu, stylu czy mody. Stać na nie nawet niezbyt zamożne osoby. Są dla każdej damy. Niech je nosi, gdy chce poczuć się wyjątkowo. Diament jest na dziś.

- Co to, do diabła, ma być? - prychnęła. i - Mnie nie pytaj.

Frances ogarnął niepokój.

W ciągu ostatnich lat tak dużo się zmieniło. Jej bezpośrednią przełożoną była teraz dwudziestodwuletnia. W De Beers szefem zespołu zajmującego się rynkiem wewnętrznym został młodziak, niejaki Jeremy Pudney, który ożenił się z Oppenheimerówną i interesowało go tylko to, co nowe, świeże i młode. Frances starała się nie przejmować zmianami, robić dobrą minę do złej gry i oto, co jej z tego przyszło.

Ruszyła do drzwi

- Dokąd idziesz? - zapytał Paul.

- Zadzwoń do Gerry'ego Laucka.

Gerry Lauck senior przed rokiem przeszedł na emeryturę, a jego miejsce zajął syn noszący to samo imię. Pod pewnymi względami stanowił kopię ojca: w Yale grał w drużynie golfowej, miał ten sam smutny uśmiech. Był niewiele młodszy od Frances, ale ona, po tylu latach pracy z Lauckiem seniorem, uważała go za dzieciaka. Tęskniła za oryginałem. Po powrocie do swojego gabinetu wybrała numer i poprosiła sekretarkę o połączenie z szefem. Gdy odebrał, od razu przeszła do rzeczy:

- Mówi Frances Gerety. Czy możesz mi powiedzieć, co to za historia z De Beers?

- No właśnie, Frances - wyjąkał. - Mam dobre wieści. Chyba zapomniałem ci o nich wspomnieć.

W Ayer od wieków nie słyszano żadnych choćby w przybliżeniu dobrych wieści. Agencja traciła klientów i oboje o tym wiedzieli.

- Ach tak?

- Znasz Deanne Leety, prawda?

- Jasne, że znam. O co chodzi?

Deanne Leety była młodą piękną kobietą, która od trzech czy czterech lat pracowała w firmie jako copywriterka. Wszyscy robili wokół niej strasznie dużo hałasu - jaka inteligentna, jaka twórcza, co za energia! „Istna nowa Frances Gerety!” - powiedział kiedyś Gerry senior, na co Frances odparła: „Czyżby? A co się stało ze starą?”.

Przed rokiem Deanne się rozwiodła. Przeszła do filii agencji w Nowym Jorku. Frances nigdy się nie zastanawiała, nad czym tam pracuje.

- No właśnie - ciągnął junior. - Pomoże ci przy reklamach dla De Beers. Jesteś przecież taka zajęta.

- Wcale nie jestem. Nie bardziej niż zwykle.

- Właśnie. No cóż...

Frances nagle zrobiło się gorąco. Gmach agencji Ayer był chyba ostatnim budynkiem w Filadelfii, w którym nie zainstalowano klimatyzacji. Rozciągając sznur telefoniczny na całą długość, podeszła do okna i je otworzyła. Do pokoju wpadł chłodny powiew, a papiery z biurka zaczęły fruwać po pokoju.

- Czy mówiąc, że mi pomoże, masz na myśli to, że przejmie mojego klienta?

Nie odpowiadał. Był zdenerwowany.

Usiadła na krześle.

- Rezygnujecie ze sloganu? - zapytała cicho.

- Nie! Diamenty są wieczne wciąż nam się podoba. Zmiany nie są aż tak drastyczne, jak ci się wydaje. Po prostu niedługo przejdziesz na emeryturę. To chyba dobry moment, żebyś zaczęła przekazywać pracę innym.

- Odchodzę za ponad rok - przypomniała.

- Czyli wkrótce, Frances.

- Nie wiem, czy przyglądałeś się bliżej sprawom klienta, ale w ciągu ostatnich kilku lat sprzedaż pierścionków zaręczynowych z diamentami osiągnęła szczyt.

Sprzedawano od sześciuset do siedmiuset tysięcy karatów rocznie. Przeciętnie po pół karata na pierścionek.

- Tak, ale w dużej mierze zawdzięczamy to wzrostowi liczby ślubów, która właśnie znów zaczęła spadać. Wiesz równie dobrze jak ja, że czasy się zmieniają. Dziś każdy, kto nie skończył dwudziestu pięciu lat, kpi z tego, w co wierzą dwudziestosześcioletkowie. Musimy znaleźć sposób, jak sprzedać stary produkt nowej generacji. Klient chciał, żeby skupić się właśnie na tym.

Rzeczywiście, wiele czołowych pism nie zamierzało już co roku lub choćby co dwa lata zamieszczać artykułów wstępnych o diamentach. Dział promocji zbyt dobrze wykonał swoje zadanie i klejnoty te przestały być nowością. Ale to wina działu promocji. Przecież Frances starała się, jak mogła, by temat nie stracił na świeżości.

- Pisałam o tym setki razy - powiedziała. - Mogę to robić nawet przez sen.

Była jedynym copywriterem pracującym dla De Beers nieprzerwanie przez dwadzieścia cztery lata. Miała też innych klientów: firmy Yardley of London, Sealtest, Canon, Crane & Co. Kiedyś nawet dostała premię za jakieś głupstewko na temat małego przenośnego aparatu telefonicznego: Jest maty! Jest śliczny! I świeci!\* Ale to wokół De Beers koncentrowała się jej cała kariera.

- Jak długo ta dziewczyna pisze dla mojego klienta? - zapytała. Czuli się jak żona, która pyta męża, od jak dawna sypia z księgową.

- Od paru miesięcy razem z Jerryem Siano z działu artystycznego pracują nad kilkoma pomysłami - odpowiedział zakłopotany Lauck.

- Od paru miesięcy!

Oboje milczeli. Gerry chyba spodziewał się, że Frances zrobi mu scenę. Bóg jeden wie, że nigdy nie bała się awantur. Kiedy przed czterema laty jego ojciec wraz z prezesem agencji, Warnerem Shellym, polecieli do Johannesburga na uroczystość z okazji dwudziestopięciolecia współpracy Ayer i De Beers, Frances była urażona, że nie otrzymała zaproszenia. Nikt o niej nie pomyślał. Nie odezwała się słowem, lecz gdy szefowie wrócili roześmiani i opowiadali wszystkim, jak wspaniale ich tam Przyjęto, i o złotych zegarkach, które dostali w prezencie, wpadła w szal. Przecież to ona odwaliała całą robotę!

Gdy biedny Gerry wparował tanecznym krokiem do gabinetu Frances, by pochwalić się podarunkiem, warknęła:

w oryg.: It's little! It's lovely! It lights!

- A gdzie jest mój złoty zegarek?

Szczęka mu opadła, a oczy o mało nie wyszły z orbit. Nikt nigdy nie ośmielił się tak do niego mówić. Nikt oprócz niej. Od tamtej pory często o tym myślała: „Gdzie mój złoty zegarek? A raczej: gdzie mój zegarek wysadzany diamentami?”.

Teraz jednak była zbyt wstrząśnięta, by zrobić awanturę.

- Może poproszę Deanne, żeby przyjechała tu jutro porannym pociągami i pokazała ci, co wymyśliła - zaproponował Lauck.

Frances nie odpowiedziała. Pewnie będzie to tortura, ale chyba nie ma wyboru.

- I jeszcze coś - dodał.

- Co, na Boga?

- Przenosimy część działu kreatywnego do Nowego Jorku. W tym kampanię dla De Beers.

Odkąd przed dwoma laty umarł Harry Batten, wszyscy się tego spodziewali. Za każdym razem, gdy tracili kolejnego klienta, powód był ten sam: główna siedziba agencji nie znajdowała się na Manhattanie, zatem kontakt z nią był utrudniony. W czasach, gdy Frances rozpoczynała pracę, sytuacja wyglądała odwrotnie: wtedy dzięki pozycji outsidera wydawali się bardziej amerykańscy niż reszta branży.

Jednak od dłuższego czasu zostawali w tyle. Jako ostatni z wielkich agencji przenieśli pięćdziesiąt procent reklam do radia i telewizji.

- AT&T zagroziło, że odejdzie, i to była kropla, która przepełniła czarę - powiedział Gerry. - Warner chce do przyszłego miesiąca przenieść do Nowego Jorku dział kreatywny.

- Nie mogę tak ni z tego, ni z owego się tam przeprowadzić.

- Wiem - odparł. - Nic nie szkodzi. Wiele osób zostanie w Filadelfii. Odejdzie tylko kilka dużych projektów. Ty zostaniesz na miejscu do emerytury. Nie musisz się tym przejmować.

- Ale się przejmuję.

Wiedziała, że kampanii dla De Beers nie trzeba nigdzie przenosić. Oppenheimerowie nigdy nie przyjeżdżali do Ameryki. Było im wszystko jedno, czy ich reklamy powstają w Nowym Jorku, czy w Timbuktu.

Poczuła, że nie może złapać tchu.

- To nic osobistego - zapewnił ją Gerry. - Po prostu taka jest kolej rzeczy.

Mówił prawdę. W tej branży nie ma sentymentów. Starzy odchodzą, a na ich miejsce zjawiają się młodzi. Frances zawsze o tym wiedziała, po prostu nigdy dotąd nie była tą starą. Po raz pierwszy w życiu wyobraziła sobie, co musiała czuć Betty Kidd, kiedy zjawiła się ona, pełna zapału, gotowa zająć jej miejsce. Biedna Betty.

Rozłączyli się i Frances przez dłuższą chwilę siedziała z brodą opartą na dłoniach, patrząc w ścianę. Ta wiadomość nie powinna jej aż tak zboleć. Ma przecież innych klientów. A jednak...

W południe wzięła torebkę, kapelusz i poszła do windy. Gdyby ktoś pytał, miała zamiar powiedzieć, że wychodzi na spotkanie służbowe.

Pojechała w stronę Main Line, gdzie zamiast drapaczy chmur wśród bujnej zieleni stały okazałe stare domy. W klubie Merion od razu skierowała się do wyłożonej boazerią sali jadalnej. Mijając panie grające w salonie w brydża, nawet na nie nie spojrzała. Po raz pierwszy przyszła do klubu w dzień powszedni.

Kelnerką była studentka o imieniu Victoria.

- Dzień dobry, panno Gerety - powiedziała. - Martini z dwiema oliwkami?

- Tak, moja droga. I sałatka z kurczaka.

- Już podaję.

Gdy pojawił się drink, Frances wypłała połowę jednym haustem.

- Wszystkiego najlepszego, Mary Frances - powiedziała głośno.

Czuła się opuszczona i miała ochotę trochę się nad sobą porozczulić, choć przecież później wybierała się z dwiema koleżankami na obiad. Tak naprawdę nie była samotna.

Żałowała, że nie ma nagrania porannej rozmowy. Mogłaby ją odsłuchać i na świeżo zastanowić się nad każdym słowem. Gerry powiedział, że czasy się zmieniły i potrzebne jest nowe podejście. Pomyślała, że Frances nie poradzi sobie z pracą, był nedorzecznym. Zaledwie kilka lat temu uratowała De Beers skórę. Czy wszyscy już o tym zapomnieli?

W 1960 roku, gdy na Syberii odkryto wielkie złoża diamentów, zarząd De Beers postanowił, że zamiast współzawodniczyć ze Związkiem Radzieckim, nawiąże z nim współpracę. Diamenty okazały się małe, przeważnie o masie od dwóch do czterech dziesiątych karata, za to wydobywano ich miliony. Co prawda nie było z nich pożytku na wykreowanym przez Ayer rynku klejnotów, na którym większe oznaczało lepsze, ale De Beers pragnął kontrolować całą światową sprzedaż diamentów, bez względu na to, gdzie je wydobyto i jakie miały rozmiary.

Gerry nie wiedział, co począć.

- Przez cały czas wbijaliśmy ludziom do głowy, że poważne oświadczenia wymagają jak największego klejnotu. A teraz oni chcą, żebyśmy się z tego wycofali i oświadczyli: „Wybaczenie, kochani, dziś liczą się przede wszystkim małe diamenty”? Stracimy wiarygodność.

- No dobrze - powiedziała Frances, która właśnie szykowała się do wyjścia - co, poza rozmiarem, czyni diament wyjątkowym?

Gerry zastanawiał się przez pół minuty i wreszcie odparł:

- Nic nie przychodzi mi do głowy.

- Zastanowię się nad tym - obiecała. - Nie martw się.

Wieczorem w domu nalala sobie drinka i zapisała ponad pięćdziesiąt pomysłów. Wszystkie były okropne. Zaczęła się bać, że Gerry ma rację. Nie można przez trzydzieści lat wmawiać kobietom, że chcą jakiejś rzeczy, a potem nagle zażądać, by zapragnęły czegoś wręcz przeciwnego.

Nazajutrz na porannym spotkaniu Frances po raz pierwszy od niepamiętnych czasów musiała przyznać, że niczego nie wymyśliła. Zaproponowano różne złe rozwiązania - może teraz kobiety mogłyby dostawać dwa diamenty, duży i mały, i inne bzdury w tym rodzaju.

Po spotkaniu Frances poszła do gabinetu i wyciągnęła album ze wszystkimi napisanymi przez siebie reklamami. Gdy przerzucała kartki, była trochę wzruszona. Szukała czegoś, co pobudzi jej wyobraźnię, ale nie wiedziała, co to mogłoby być.



W końcu zatrzymała się na zdjęciu z lat pięćdziesiątych, przedstawiającym białe stokrotki. Próbowali wtedy przez krótki czas pisać o pierścionkach w sposób nieco bardziej naukowy. W tej reklamie skupiła się na cechach diamentów: barwie, czystości, szlifie i masie. Pomysł niespecjalnie się sprawdził, więc porzucono go i wrócono do sentymentalnych sloganów.

Frances poszła do dyrektora kreatywnego, by powiedzieć mu, co odkryła.

- Cztery C, Cztery Cechy. Może zrobimy z tego oficjalny termin? Cechy, o które kobieta mogłaby spytać jubilera. W ten sposób, kupując mały kamień, może mieć pewność, że jest on o wiele doskonalszy niż inny, trzy razy większy.

- Niezły pomysł, ale nie wyobrażam sobie, żeby kobiety obchodziło, jak przejrzysty jest ich diament pod mikroskopem, a ty?

- Jeśli reklama będzie wystarczająco przekonująca, dlaczego nie? - Frances wzruszyła ramionami. - I jeśli jubilerzy wykorzystają nasz termin, a powinni to zrobić.

- Poprzednio ten pomysł nie wypalił - zauważył dyrektor.

- Może nie lansowaliśmy go wystarczająco mocno.

Do wszystkich reklam dodali informację w ramce: Jak kupować diamenty. Pytaj o ilość karatów, barwę, czystość i szlif - to one świadczą o jakości kamienia, decydują o jego pięknie i wartości. Wybierz diament, z którego zawsze będziesz dumna, bez względu na jego wielkość.

Frances dużo na ten temat pisała - przez cztery lata z rzędu zamieszczali reklamę na całą stronę, zawierającą tylko tabelę poświęconą definicji Czterech Cech. Dział promocji zaczął używać tego określenia w poradach, jak wybrać najlepszy diament, publikowanych w gazetach i pismach dla panów. W końcu zaś prezenterzy telewizyjni, pracownicy Tiffany'ego i wszystkie panny młode w Ameryce rozmawiały o Czterech Cechach, jakby pomysł był stary jak świat.

Ostatnio Frances zaczęła pracować nad rozpowszechnieniem zwyczaju ofiarowywania pierścionków z diamentem w krajach - takich jak Szwecja czy Niemcy - w których dotąd nie istniał i gdzie tradycją było dawanie oblubienicy tylko złotej obrączki. Mogłoby w ten sposób pozbyć się nadwyżki małych kamieni.

Tymczasem De Beers zaproponował nowy typ pierścionka: obrączkę wysadzaną dwudziestoma małymi syberyjskimi diamentami. Nazwali go wieczną obrączką i miał być prezentem na rocznicę ślubu. W 1964 roku Frances skoncentrowała się na promowaniu właśnie tego pierścionka i wymyśliła slogan: Diamenty dowodem coraz większej miłości. Kampania była wielkim sukcesem.

I oto zaledwie cztery lata później ci sami ludzie, którzy przez ćwierć wieku wychwalali ją pod niebiosa, chcą się jej pozbyć.

Gerry junior powiedział, żeby nie traktowała tego osobiście. Teoretycznie może i miał rację, ale dla Frances praca była całym życiem. Cóż bez niej znaczy?

W ogóle nie myślała o emeryturze, chociaż wiedziała, że się zbliża. Czasem niejasno wyobrażała sobie, że przenosi się na przedmieście, wstaje o dziesiątej rano i w każdy

wtorek gra w golfa. Zastanawiała się, co oprócz pracy mogłaby robić. Ale nie brała pod uwagę tego, że w ogóle nie będzie pracowała, i pustki, jaką odczuje.

Rodzice Frances zmarli w 1959 roku w odstępie sześciu miesięcy. Najpierw odeszła matka, a potem ojciec, jakby nie widział powodu, by dłużej pozostawać przy życiu. Frances utrzymywała kontakt z kuzynami, ale prawdziwej rodziny nie miała od lat. Co w takim razie jej pozostało? Inni emeryci mogą się zająć opieką nad wnukami lub odkryć na nowo swoich współmałżonków. Frances najdłuższej w życiu związana była nie z mężczyzną, lecz z firmą.

Gerry Lauck senior pokazał jej kiedyś list napisany przez Cecila Rhodesa, który w latach osiemdziesiątych XIX wieku założył koncern De Beers. Rhodes także nigdy się nie ożenił. W liście pisał do przyjaciela: Mam nadzieję, że nie poślubisz nikogo. Nienawidzę, kiedy ludzie to robią. Zmieniają się wtedy w maszyny, które nie potrafią myśleć o niczym poza swoimi małżonkami i potomstwem.

Mimo to właśnie oni dwoje, Rhodes i Frances, w dużej mierze ponosili odpowiedzialność za powstanie tradycji ofiarowywania na zaręczyny pierścionka z diamentem.

- Przepraszam? Fran? - usłyszała za sobą czyjś głos. Przez chwilę wydawało jej się, że to kelnerka zauważyła pusty kieliszek, lecz oczywiście pracownica nie zwróciła się do niej po imieniu. Odwróciła się i zobaczyła Meg Patterson.

- Tak mi się wydawało, że to ty. Kiedy przyszedłaś, grałam na górze w brydża, ale właśnie skończyłyśmy na dziś. Mogę się dosiąść?

- Bardzo proszę. - Frances się uśmiechnęła.

To Hamowi i Meg zawdzięczała, że przyjęto ją do klubu. Mieli z tym sporo zachodu, gdyż różne stare pierniki z zarządu groziły, że odejdą, jeśli członkinią Meriona zostanie niezamężna kobieta. Teraz do klubu należało kilka innych panien. Oczywiście wciąż nie miały i pewnie nigdy nie zdobędą prawa głosu, ale Frances o to nie dbała. Nie zależało jej na głosowaniu. Chciała grać w golfa i pić martini na tarasie o zachodzie słońca.

Meg wyjęła z torebki paczkę parlamentów i poczęstowała Frances, po czym sama zapaliła papierosa.

- Miałaś spotkanie?

- Nie. Wzięłam wolne popołudnie. Dziś są moje urodziny.

- Och, przepraszam, nie miałam pojęcia.

- Skąd mogłaś wiedzieć?

Kelnerka przyniosła sałatkę i zaproponowała Frances kolejnego drinka.

- Tak, bardzo proszę. A ty czego się napijesz, kochanie?

- Niech będzie Biały Rosjanin - odparła Meg. - Dziękuję, Victorio. Proszę zapisać wszystko na rachunek Hama.

- Nie! - zaprotestowała Frances, ale Meg powstrzymała ją ruchem ręki.

- To twoje urodziny.

- Dziękuję. V

- A więc co myślisz o wielkich nowinach? - zapytała Meg - Ayer w Nowym Jorku.

Frances zastanawiała się, czy wszyscy na świecie poza nią o tym wiedzieli. Wygląda na to, że lada moment odstawią ją do lamusa. Przypomniała sobie, jak trzynaście lat temu, tuż przed wstąpieniem do Meriona, Meg powiedziała jej, że zamierzają przeprowadzić się do Nowego Jorku. Jednak nigdy tego nie zrobili. Traktowali Ayer jak rodzinę, a Ham, podobnie jak Frances, był lojalny.

- Zostanę tutaj - powiedziała. - Będę dojeżdżała na Manhattan tak samo jak przedtem. Jeżeli o mnie chodzi, nic się nie zmieni.

Meg skinęła głową.

- Ham też ma zamiar spróbować dojazdów. Za bardzo kocham nasz dom, żeby się wyprowadzić. Mamy takich cudownych sąsiadów. Dziesięć lat temu może rzuciłabym się w nowojorską przygodę, ale teraz ugrzęzłam tutaj na dobre.

- Zupełnie jak ja. - Frances poklepała ją po ręce.

- Ale kiedy Ham przejdzie na emeryturę, chciałabym podróżować - dodała Meg. - Nigdy nie byłam w Europie.

- Piękny plan.

- Wiesz, Frances, zawsze trochę ci zazdrościłam.

- Czego, na miłość boską? - Frances wybuchnęła śmiechem.

- Wydawało mi się, że panujesz nad swoim życiem. Ja wylądowałam w zupełnie innym miejscu, niż chciałam. W młodości wyobrażałam sobie, że będę matką, ale niestety nic z tego nie wyszło. I kim zostałam? Gospodynią domową.

- Na pewno piekielnie dobrą - powiedziała Frances. Meg wzruszyła ramionami.

- Czasem mam wrażenie, że nie zdajemy sobie sprawy, z czego rezygnujemy, dopóki nie jest za późno.

Była druga nad ranem, a Frances wciąż nie mogła zasnąć. Powinna zadzwonić do Dorothy albo do kuzynki Margaret i porozmawiać o tym, co się stało, ale teraz zrobiło się na to o wiele za późno. Wiedziała, że sen odszedł na dobre.

Próbowała się uspokoić. W życiu tak bywa. Wcześniej także zabierano jej projekty albo zlecano te, które odebrano komuś innemu. „Nic osobistego”.

Rano włożyła najlepszą sukienkę, ale i tak wyglądała jak zaniedbana nauczycielka. Mysie włosy obcięte równo na wysokości podbródka zwisały smętnie, w dodatku musiała założyć okulary z grubymi szklami, które nosiła od dobrych kilku lat. Bez nich nic nie widziała.

Gdy do gabinetu wkroczyła Deanne Leety w pantoflach na wysokich obcasach i dopasowanym spodniem, Frances miała ochotę wczołgać się pod biurko i tam umrzeć. Kobiety w spodniach widywała dotąd tylko na okładkach „Women's Wear Daily”.

- Cześć, Frances - rzuciła Deanne. - Nie przeszkadzam?

- Ależ skąd. Siadaj.

Deanne niewiarygodnie chudym ramieniem przyciskała do siebie grubego segregatora.

- Przywiozłam moje pomysły.

- Doskonale. - Frances skinęła głową. - Zobaczmy, co tam masz.

Deanne otworzyła teczkę. Emanowała kobiecością, była ładna i modnie ubrana, mimo to Frances nie widziała dotąd w tym budynku kobiety równie pewnej siebie. Tak właśnie zachowują się nowoczesne dziewczyny. Nie ukrywają swojej kobiecości ani nie przepraszają za nią, jak za dawnych czasów. Obnoszą się z nią i choć dostały więcej niż ich poprzedniczki, nie zamierzają na tym poprzestać.

- Przede wszystkim chciałam ci powiedzieć, że bardzo podziwiam twoją pracę - zaczęła Deanne. - Podoba mi się, że wiele twoich reklam opowiada jakąś historię.

- Dziękuję. - Frances uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Po prostu trochę je uwspółcześiałam. Chciałam, żeby przemawiały do hipisów i marzycieli. Na przykład ta...

Przesunęła po stole kartkę. Na jaskrawym tle utrzymanym w psychodelicznych odcieniach pomarańcza i błękitu kobieta z wieńcem kwiatów na długich rozwianych włosach obejmowała w pasie stojącego przed nią mężczyznę. Z tyłu, za nimi, czaił się komiksowy lew.

Dobry Boże, pomyślała Frances, chyba przydałby mi się koktajl.

Podpis pod rysunkiem głosił: Pokochałam mężczyznę, który jest panem swojego losu. Silny, dumny i niezawodny. Pragnie, żebym szła z nim przez życie. Diamenty są wieczne.

- Chyba powinnam cię ostrzec, że De Beers to konserwatywny klient - powiedziała Frances. - Mają określone zasady. W reklamach nie wolno odwoływać się do religii. Kobieta i mężczyzna nie mogą się w żaden sposób dotykać.

- Wiem - odparła Deanne. - Chociaż Jerry Siano mówi, że warto je nieco zmodernizować.

- Naprawdę?

- Tak. Tę już zaaprobowali.

- Rozumiem. - Frances starała się nie okazać zaskoczenia. - Z drugiej strony ważne, żebyśmy pamiętali, jaki jest nasz cel. W tym przypadku chodzi o utrzymanie tradycji PZD, a jednocześnie o przekonanie konsumentów, że bardziej niezwykły i droższy PZD lepiej wyraża ich miłość i przywiązanie. PZD oznacza „pierścienek zaręczynowy z diamentem”.

- Wiem. Proszę spojrzeć na tę reklamę. Ma się ukazać w „Seventeen”, „Vogue'u” i w „Lifie”.

Frances zbliżyła kartkę do lampy.

Nagle staje przed tobą Książę, Kowboj albo Ktoś, o kim nigdy nikomu nie mówiłaś. I pragnie cię poślubić. Diamenty są wieczne. Brzmiało całkiem niezłe.

- Masz talent - stwierdziła Frances, chociaż nie sprawiło jej to przyjemności.

- Dziękuję. A to moja ulubiona. Fotografia Lucy Saroyan z dzieciństwa zestawiona z

jej aktualnym zdjęciem. Jedno i drugie zrobił Richard Avedon. Pracuję jeszcze nad tekstem, ale myślałam o czymś w rodzaju: W każdej kobiecie kryje się mata dziewczynka marząca o dniu, w którym ktoś ją odnajdzie, pokocha i ofiaruje jej pierścionek. Diamenty są wieczne.

- Kto to jest Lucy Saroyan? - zapytała Frances.

- Aktorka - odparła Deanne takim tonem, jakby to było oczywiste. - Jej ojciec dostał nagrodę Pulitzera, matka jest żoną Waltera Matthau, a brat poetą. Pisze jednowyrazowe wiersze.

Frances ściągnęła brwi.

- Moja droga, nie ma czegoś takiego jak jednowyrazowy wiersz.

- Ostatnia reklama, którą chciałam ci pokazać, nawiązuje do twojego hasła. Skierowałam ją do coraz liczniejszej grupy kobiet, które nie chcą się zaręczyć. Może jednak będą miały ochotę same kupić sobie diament? Diamenty są na dziś. Co o tym myślisz?

- Już ją widziałam.

- Och. No to tyle.

- Możesz być z siebie dumna - powiedziała Frances, nie wiedząc, dlaczego właściwie to robi. - Jak sobie radzisz w agencji? Czeka nas wiele zmian.

- Bardzo się cieszę, że wracam do Nowego Jorku. Gdy po raz pierwszy przyjechałam do Ayer do Filadelfii, miałam wrażenie, jakbym przeniosła się w czasy średniowiecza.

- Co masz na myśli?

- Mała agencja, w której wcześniej pracowałam, miała siedzibę w penthousie w hotelu Plaza - wyjaśniła. - A potem przeszłam do Ayer. Wszystko było takie staroświeckie. Na przykład dział artystyczny i dział tekstów reklamowych nie współpracowały ze sobą. Nawet nie mieściły się na tym samym piętrze. Ktoś z kierownictwa przesyłał mi notatki służbowe wyjaśniające, jaki jest cel danej reklamy: Upoważniam do stworzenia reklamy, która przekazuje bla, bla, bla, i ma być umieszczona w takich-a-takich środkach masowego przekazu. To strasznie sztywne. Nikt już tego nie robi. Dunning mówi, że w Ayer wszystko chodzi jak w zegarku, a to zabójcze dla procesu twórczego.

- Dunning? - Frances uniosła brew.

- Robert Dunning. Szef działu kreatywnego w Nowym Jorku.

- Tak. Wiem, kim on jest.

Mówiła o nim po prostu „Dunning”. Frances zastanawiała się, czy mają romans, czy po prostu takie teraz panują zwyczaje.

- Że nie wspomnę o tym, jak traktowane są tutaj kobiety - ciągnęła Deanne. - Chcą mnie mianować wiceprezeską. Nie powinnam jeszcze nikomu mówić, ale niedługo ogłoszą to oficjalnie. Mamy tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy rok, a oni właśnie postanowili mianować pierwszą kobietę wiceprezeską zespołu kreatywnego.

Frances była wstrząśnięta. Za jej czasów kobiety nie tylko nie zajmowały takich

stanowisk, ale nawet o tym nie marzyły.

Dziewczyna nie miała w sobie ani odrobiny pokory. Oczywiście Frances zachowywałaby się tak samo, gdyby tylko dano jej szansę.

- Nie wiem, jak zdołałaś przetrwać w takich warunkach - dodała Deanne. - Ja bym zwariowała.

# Część trzecia

# 1972

Stojący zegar wybił dwunastą trzydzieści. Wkrótce zjawi się Teddy, a Evelyn wciąż miała dużo do zrobienia. Gerald poszedł na górę wziąć prysznic i zostawił włączony telewizor. Przez otwarte drzwi kuchni dobiegały oklaski na zakończenie teleturnieju, a po nich poważny głos spikera odczytującego popołudniowe wiadomości. Evelyn, krojąc seler, wychwyciła słowa „Sajgon”, „budynek Kapitolu”, „nadciga zimny front”, „doroczna parada z okazji Halloween”.

Podeszła do odbiornika, by go wyłączyć, lecz powstrzymały ją słowa prezentera: po tygodniach uników George McGovern wreszcie oświadczył, że jego zdaniem prezydent Nixon był zamieszany w aferę Watergate.

„Jednak - ciągnął prezenter - skandal wokół Watergate jest przez większość ludzi bagatelizowany jako "typowy dla polityki”.

- Całkiem słusznie - mruknęła Evelyn. - Są większe zmartwienia.

Przekręciła gałkę, rozległ się cichy trzask i obraz zniknął.

W ciągu ostatnich kilku lat wielokrotnie dochodziło do protestów, podjęto tyle prób zmiany sytuacji: walczono o prawa obywatelskie, prawa kobiet, a nawet prawa homoseksualistów.

Świat się zmienił, a starzy ludzie czuli się przez to jeszcze starsi. Evelyn ucieszyła się, gdy w szkołach zniesiono segregację rasową. Był to ważny krok naprzód. Lecz teraz w całej Ameryce biali i czarni mogli zawierać małżeństwa mieszane. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

Czarnoskóra kobieta kandydowała nawet na prezydenta. Według Geralda nie myślała o tym poważnie, ale Evelyn me była tego taka pewna. Ruthie, jej przyjaciółka, zaprosiła ją na spotkanie poświęcone uwrażliwianiu na problemy polityczne i społeczne, na którym rozmawiano o kampanii na rzecz Shirley Chisholm. Kobiety dyskutowały też o nowym bestsellerze Małżeństwo otwarte. Jeden z rozdziałów książki mówił o tym, że para może zaakceptować romanse współmałżonków, uznając je za część zdrowego związku. Powstały nowe słowa, takie jak „prezeska” i skrót „Ms.”, będące dla Evelyn zapowiedzią nadejścia nowego porządku.

Ruthie specjalnie się tym nie zajmowała, po prostu chciała dotrzymać kroku młodym. Tak naprawdę nie wiedziała, co myśleć o połowie głoszonych przez nich prawd.

- Przynajmniej można porozmawiać o czymś poza tą okropną wojną - stwierdziła.

Evelyn przypuszczała, że niektóre zmiany to zmiany na lepsze. Ale na żadne z kolejnych spotkań nie poszła. Było w nich coś, co budziło lęk.

Chyba najbardziej zdenerwowała ją książka.

- Małżeństwo otwarte - powiedziała tego samego wieczoru do Geralda. - Nic dziwnego, że nasz syn nie ma zasad, skoro tak wygląda świat, w którym żyjemy.



Teraz znów o tym rozmyślała, choć wiedziała, że popełnia błąd. Jeśli skupi się na wadach Teddy'ego, gdy ten się zjawi, będzie na niego wściekła. Próbowwała wyobrazić sobie syna jako maleństwo przywiezione ze szpitala do domu w niebieskim kocyku. Ale to nie pomagało. Jeszcze nigdy nie była taka zła. Pomyślała o słowach Julie. Już ją prosił o rozwód.

Wyobraziła sobie, że gdy Teddy się zjawi, zamknie mu drzwi przed nosem, wiedziała jednak, że nigdy się na to nie zdobędzie.

Powtarzała sobie, że sama też nie zawsze robiła to, czego oczekiwali od niej rodzice, i wszystko ułożyło się dobrze. Ale oczywiście jej sytuacja była inna. Po śmierci Nathaniela matka i ojciec nalegali, by Evelyn wróciła do Nowego Jorku, lecz ona odmówiła. Boston był wszystkim, co zostało jej po mężu. Restauracje, w których jadali obiady, sale taneczne, w których śmiali się i pocili w letnie noce. W końcu znów podjęła pracę w szkole, gdzie uczniowie nazywali ją panią Davis. Za każdym razem na dźwięk tych słów była jednocześnie smutna i szczęśliwa. Obecność dzieci sprawiała Evelyn radość, lecz przypominała także, że nigdy nie zostanie matką.

Gerald wrócił do Chicago. Tęskniła za ich rozmowami, za tym, że nawet w najbardziej ponure dni potrafił ją rozśmieszyć. Kiedy przebywała z innymi ludźmi, nie mogła za nimi nadążyć, nie potrafiła prowadzić prostej rozmowy, nie pamiętała, co ktoś przed chwilą powiedział. W szkole pracowała grupa niezamężnych dziewczyn, na ogół nieco młodszych od Evelyn. W piątkowe wieczory chodziły na kręgle i zawsze prosiły, by się z nimi wybrała. Odmawiała. Ostatecznie była mężatką. Poza tym samotność okazała się łatwiejsza.

Kilka miesięcy po pogrzebie Gerald napisał, że wraca do Bostonu. Było to jego rodzinne miasto, więc Evelyn nie zastanawiała się, dlaczego to robi, choć się ucieszyła. Firma ojca Geralda miała siedzibę przy Park Square i Evelyn przypuszczała, że tam właśnie będzie pracował. Lecz gdy w pierwszy wieczór po jego przyjeździe wybrali się na kolację, powiedział, że złożył wymówienie. Tata był wściekły, ale Gerald nie mógł zapomnieć tego, co powiedział Nathaniel: ważne jest, by dochodzić do wszystkiego własną pracą. I dlatego, zamiast pójść w ślady ojca i pracować w banku, przyjął posadę w firmie ubezpieczeniowej. Musiał zacząć od niskiego stanowiska, lecz wydawało mu się to ekscytujące. Miał nadzieję, że wreszcie zdoła zaprzyjaźnić się z kolegami z pracy. Oczywiście dziedziczył po rodzicach majątek i tak naprawdę do niczego nie doszedł sam, chciał jednak przynajmniej spróbować pójść własną drogą. Evelyn wiedziała, że Nathaniel byłby dumny, gdyby wiedział, jaki wpływ wywarł na przyjaciela.

Gerald pracował nad sobą chyba także pod innymi względami. Wyglądał trochę zdrowiej i przez cały wieczór wypił tylko jeden gin z tonikiem.

Podobnie jak Evelyn, martwił się o matkę Nathaniela. Powiedział, że wysłał jej pieniądze, które powinny wystarczyć na rok. (Robił to aż do jej śmierci). Evelyn starała się raz w miesiącu jeździć do Pittsburgha, by odwiedzić teściową, chociaż bała

się tych weekendów. W ciemnym, ponurym domu nigdy nie wymawiano głośno imienia Nathaniela. Evelyn nie wiedziała, czy rodzinę męża jej obecność cieszy, czy też jest tylko bolesnym przypomnieniem.

W towarzystwie Geralda czuła się inaczej. Płakali, ale także wspominali Nathaniela na wesoło i opowiadali sobie ulubione historyjki, nawet jeśli oboje znali zakończenie. Dowiedziała się o mężu zupełnie nowych rzeczy. Między bliskimi przyjaciółmi bywają chwile, z których mężczyzna nie zwierza się nawet swojej dziewczynie. Teraz Gerald jej o nich opowiedział. Uszczęśliwiona Evelyn odkryła, że wciąż może się czegoś o Nathanielu dowiedzieć. Zupełnie jakby znalazła w ulubionej powieści cztery dodatkowe rozdziały, wcześniej dziwnym trafem przeoczone. Gerald to rozumiał, a Evelyn nie mogła wyobrazić sobie cenniejszego prezentu.

Nigdy wcześniej nie spędzała czasu sam na sam z Geraldem. Bez Nathaniela wydawał się łagodniejszy i poważniejszy. Powiedział jej, że jako chłopiec był nieśmiały, a gdy roześmiała się z niedowierzaniem, dodał: „Przysięgam na Boga, to prawda. Nadrabiałem miną jako klasowy błazen”.

Choć pochodził z wyższych sfer, lubił zwykłe przyjemności. Proste jedzenie i mecze baseballa. Nienawidził baletu. Nie widział sensu w czytaniu powieści. Wolał gazety, według niego były dziwniejsze, smutniejsze i śmieszniejsze niż fikcja.

Czasem w niedzielę wieczorem zapraszał ją na kolację do okazałej rezydencji swoich rodziców w Wellesley. Rodzina Evelyn była dość zamożna, lecz w porównaniu z rodziną Geralda wydawali się nędzarzami. Czuła się trochę onieśmielona, ale postanowiła tego nie okazywać. Podobało jej się, że Gerald zawsze jest sobą. Opowiadał kiepskie dowcipy, nawet gdy matka ściągała brwi z taką miną, jakby syn mówił w obcym języku. Zawsze obok sterczał kamerdyner i proponował sztywno wino deserowe.

Nikt nie potrafił rozbawić jej tak jak on. Tyle razy przyłapał ją na rozczulaniu się nad sobą, kiedy szlochała w domu w chusteczkę albo puszczała płytę z piosenką Someone to Watch Over Me, że było to krępujące.

- Przejdźmy się, mała - mówił i szli na spacer.

Niemal cały wolny czas spędzali razem. Wieczory z mężczyzną, który nigdy nie musiał liczyć się z pieniędzmi, wyglądały zupełnie inaczej. Gerald proponował, by wybrali się na obiad do restauracji Locke-Ober, a Nathaniel zabrałby ją do Wursthau. Evelyn czuła się, jakby zdradzała męża, więc powiedziała Geraldowi, że woli hamburgery niż steki z polędwicy.

Pewnego zimowego popołudnia szli przez zaśnieżony park i rozmawiali o tym, jak ucieszyłby się Nathaniel na wiadomość, że Franklin Delano Roosevelt został prezydentem.

Gerald wspominał o przemówieniu Roosevelta w Nowym Jorku, którego słuchał w czasach, gdy jeszcze spotykał się z Fran. Evelyn znów przyszła do głowy pewna myśl: od śmierci Nathaniela Gerald ani razu nie umówił się na randkę z żadną

dziewczyną. Zastanawiała się, czy to nie jej wina.

- Nie wiem, czy poradziłabym sobie bez twojej przyjaźni - wyznała. - Bardzo ci dziękuję. Mam nadzieję, że nie zabieram ci zbyt dużo czasu.

- To niemożliwe.

- Mówię szczerze. Przyjechałeś do Bostonu, żeby zacząć nową pracę, znaleźć przyjaciół i poznać cudowną dziewczynę. Przeze mnie tego nie robisz.

Popatrzył na nią zdziwiony.

- Wróciłem tu dla ciebie.

- Co masz na myśli?

- To, co powiedziałem.

- Myślałam, że przyjechałeś do pracy.

- W Chicago też jej nie brakuje. - Wzruszył ramionami.

- Obiecałem Nathanielowi, że się tobą zaopiekuję.

- Och...

, - Poza tym lubię cię, mała.

Uśmiechnęła się blado, niepewna, co odpowiedzieć.

- Chcesz wstąpić na gorącą czekoladę na Newbury Street?

- zapytał, wybawiając ją z kłopotu.

Kilka miesięcy później, na wiosnę, wybrali się na kolację do restauracji w hotelu Parker House. Nathaniel nie żył od roku, tygodnia i dwóch dni - Evelyn wciąż obliczała to co rano, po przebudzeniu. Gdy jadła, jej łzy kapały na faszerowanego homara. Powiedziała Geraldowi, że nie pamięta już zapachu Nathaniela ani tego, jak się śmiał. Gerald wyznał ze zrozumieniem, że wie dokładnie, o czym ona mówi. Kiedy czasem zapominał, jaką piosenkę albo restaurację lubili na studiach, w pierwszej chwili chciał dzwonić do Nathaniela, żeby sprawdzić, czy on je pamięta.

Kelner zapytał o deser i Gerald zaproponował, by zamówili coś na spółkę. Skinęła głową.

- Deser lodowy - zdecydował Gerald w tej samej chwili, gdy Evelyn oznajmiła:

- Bostońskie ciasto z kremem. Roześmiali się.

- To może pan za nas zdecyduje?- zwrócił się Gerald do kelnera.

- Obawiam się, że muszę się przychylić do wyboru pańskiej żony - odparł. - Ciasto z kremem to nasza specjalność.

Kiedy odszedł, przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- O Jezus - mruknął Gerald.

- Miał prawo się pomylić. - Evelyn uniosła lewą rękę, na której błyszczał pierścienek z małym szmaragdem. - Ciągłe go noszę. I pewnie zawsze będę. Myślisz, że jeśli mąż kobiety nie żyje, to ona znów jest starą panną?

- Myślę, że w żadnych okolicznościach nikt nie weźmie cię za starą pannę.

Uśmiechnęła się.

- To samolubne, ale zazdrozczę innym kobietom. Tym, które chodzą na randki,

wyjdą za mąż i będą miały dzieci. Czuję się jak półmartwa, Geraldzie. Nie należę już do ich świata.

- Jeszcze będziesz. Zobaczysz.

Przed kilkoma miesiącami znenawidziła go za te słowa, ale wtedy on by ich nie wypowiedział. Jak zwykle poczuła wdzięczność za to, że jest obecny w jej życiu.

Po deserze wyszli na ulicę. Był ciepły wieczór i Evelyn pomyślała, że chciałyby wstąpić gdzieś na drinka. Już miała zapytać Geralda, czy też ma na to ochotę, gdy zobaczyła, że wpatruje się w nią z dziwną miną.

- Co się stało? - spytała.

- Ten kelner. Myślał, że jesteśmy małżeństwem.

- Och, Geraldzie, już się tym nie przejmuj.

- Nie przejmuję się. Podobało mi się, że tak pomyślał, a - Jak to?

- Evelyn, czy to nie jest oczywiste? - powiedział z żarem.

- Szaleję za tobą.

- Nie mów tak.

- Myślałem, że...

- Że co? Że musisz mnie podrywać, żebym nie czuła się samotna? Obiecałeś Nathanielowi opiekować się mną, ale to nie oznacza, że masz się nade mną litować.

- Litować? - Gerald ściągnął brwi. - Evie, wzdycham do ciebie od dnia, w którym cię ujrzałem.

- Przestań.

- Miałaś na sobie czerwony kostium kąpielowy, a kosmyk mokrych włosów przykleił ci się do policzka.

- Naprawdę?

- Byłaś najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem. Chciałem zaprosić cię na obiad, ale Nathaniel zrobił to pierwszy. Prawdę mówiąc, początkowo byłem wściekły. Jednak gdy cię lepiej poznałem, zrozumiałem, że i tak bym ci się nie spodobał. Byłaś z innej ligi niż ja, za to z tej samej co on.

- Nie bądź takim defetystą.

- Przecież to prawda.

Evelyn nie wiedziała, co powiedzieć.

- Pewnie dlatego tak się zawsze martwił, czy znajdzie właściwą dziewczynę - ciągnął Gerald. - Czuł się winny, bo spostrzegł, że się w tobie zakochałem, choć wiedziałem, że nie mam szans.

- Muszę jechać - powiedziała Evelyn, widząc taksówkę zatrzymującą się przy krawężniku.

Przez tydzień się nie spotykali ani nie rozmawiali ze sobą. Tęskniła za Geraldem. Śmiała się, wspominając jego żarty. A gdy przeczytała coś ciekawego, od razu chciała mu o tym powiedzieć.

Kiedy w niedzielę wróciła z kościoła, siedział na ganku. Poczuła wielką radość.

- Masz ochotę na spacer? - zapytał.

- Jasne. - Uśmiechnęła się.

Wędrowali po brukowanych ulicach, opowiadając sobie, co przydarzyło im się w ciągu minionego tygodnia. Żadne nie wspominało o wyznaniu Geralda i Evelyn ze zdziwieniem stwierdziła, że tego żałuje. Przez następne dwa miesiące niewiele się zmieniło. Za każdym razem, gdy Evelyn myślała o ich sytuacji, czuła się bezradna. Pragnęła, by Gerald ją pocałował, ale nie wiedziała dlaczego.

W końcu, w pewien gorący lipcowy wieczór, sama to zrobiła. Zaiskrzyło między nimi, choć gdyby ktoś przed pięcioma laty czy nawet przed pięcioma miesiącami powiedział jej, że tak będzie, nigdy by mu nie uwierzyła.

- Jesteś pewna? - zapytał Gerald.

- Tak.

Cztery miesiące później wzięli ślub w ogrodzie letniego domu rodziców Evelyn w Berkshires. Gerald przy oświadczeniach ofiarował jej wraz z pierścieniem cienki złoty łańcuszek. Bez słowa zsunął z palca narzeczonej pierścionek Nathaniela, zawiesił go na łańcuszku i zapiął jej na szyi.

Nigdy nie rozmawiali o tym, co o ich zaręczynach powiedziała Nathaniel, bo oboje znali odpowiedź. Zdawali sobie sprawę, że inni traktują je jako skandal sezonu. Pewnego ranka, wchodząc do głównego holu szkoły, Evelyn usłyszała, jak jedna z nauczycielek mówi:

- Pan młody jest najlepszym przyjacielem jej pierwszego męża. Moim zdaniem to nie w porządku.

Kiedy Evelyn wyszła zza rogu, kobieta oblała się rumieńcem.

Ale nie obchodziło jej, co mówią inni. Ona i Gerald mimo tak niezwykłych okoliczności zakochali się w sobie. A jeżeli w ich małżeństwie obecny był duch Nathaniela, tylko wyszło im to na dobre - myśl o nim, świadomość ulotności życia łagodziła każdą kłótnię czy nieporozumienie.

Marzenia Evelyn się spełniły i podczas miodowego miesiąca zaszła w ciążę. Nazwali syna Theodore Nathaniel i początkowo wydawało się, że ma serce i duszę swojego imiennika. Teddy był radosnym dzieckiem, roześmianym i ciekawym wszystkiego. Chwile spędzone z synkiem tuż po jego urodzeniu były dla Evelyn wielką radością. Po raz pierwszy w życiu obca istota wydawała jej się tak dobrze znana. Potem, kiedy pozwolono już Geraldowi wejść do pokoju, pomyślała, że poprzedni wspólny pobyt w szpitalu to były najgorsze chwile w ich życiu, a teraz nareszcie nadeszło szczęście.

Wciąż miała przed oczami małego Teddy'ego siedzącego pod wierzbą w ogrodzie i czytającego komiks o Supermanie przez okulary X-ray. Starła się poświęcać synowi dużo uwagi i okazywać, że go kocha, zaspokajając jego potrzeby i pomagając mu rozwijać zainteresowania. Nie miał rodzeństwa, więc grali z nim po obiedzie w salonie w różne gry - w cluedo albo w węże i drabiny. W ogóle nie przypominało to atmosfery chłodu, w jakiej wychowywali ją rodzice.

Jednak gdy Teddy dorósł, Evelyn straciła z nim kontakt. Łatwo wpadał w złość i często w szkole wdawał się w bójkę. Na Harvardzie wciąż dostawał nagany za bijatyki, picie czy wandalizm. W końcu wyrzucono go ze studiów za ściąganie podczas egzaminu z historii. Zareagował wybuchem gniewu, jakby ktoś zrobił mu krzywdę. Potem przyszła kolej na tysiące dolarów karcianych długów, więcej bójek, nadużywanie alkoholu i Bóg wie co jeszcze. Nigdy nie podjął prawdziwej pracy, przechodził od jednego głupiego pomysłu do drugiego, a ich koszty często pokrywał Gerald. Raz ukradł ojcu z biurka pusty blankiet i wypisał sobie czek na dziesięć tysięcy dolarów. Potem przeproszał, obiecywał, że zwróci pieniądze, jednak nigdy tego nie zrobił, ale i tak mu przebaczyli. Mały słodki chłopczyk wyrósł na mężczyznę, którego Evelyn nie poznawała. Nie rozumiała, dlaczego tak się stało.

Gerald uważał, że niepotrzebnie szuka racjonalnych przyczyn, ale według Evelyn największy wpływ na kształtowanie się charakteru dziecka ma miłość matki. Gdzie zatem popełniła błąd?

Pediatra powiedział jej kiedyś, że może w dzieciństwie spędzała z Teddym za dużo czasu. Gdy się urodził, nie chciała wypuścić go z ramion. Kiedy zdał do szóstej klasy, rodzina Geralda nalegała, by posłano go do szkoły z internatem, ale Evelyn się nie zgodziła. Może dlatego, że tak wiele w życiu straciła, a może dlatego, że był jej pierwszym i jedynym dzieckiem.

Czasem zastanawiała się, czy syn nie miał żalu o to, że gdy skończył dwanaście lat, wróciła do pracy. Może gniewał się, bo okazywała miłość innym dzieciom? Do niektórych uczniów czuła szczególną sympatię. Był chłopiec, który nie miał matki, tylko ojca pijaka, i musiał opiekować się trójką młodszych braci. Nazywał się Adam i pewnego lata Evelyn wzięła go z rodzeństwem do domu, dopóki babcia z Memphis nie przyjechała się nimi zająć. Dziewczynka, Sabrina, miała problemy z czytaniem. Evelyn trzy razy w tygodniu pracowała z nią po lekcjach. U siebie, bo Sabrina bała się, że inni uczniowie odkryją jej sekret. Gdy dziecko miało problemy, Evelyn śledziła jego losy jeszcze długo po tym, jak skończyło jej klasę, a nawet szkołę. Pisała listy. Zapraszała na obiady. Ale czy Teddy nie wiedział, że kochała go bardziej niż wszystkie tamte dzieci razem wzięte?

Z jakiegoś powodu wszystko się poplątało i oto teraz Teddy uważa, że chce rozwodu, chociaż jego żona jest najlepszym, co go w życiu spotkało. Evelyn kochała syna, ale było coś, czego nigdy nie powiedziała nikomu, nawet Geraldowi: choć czuła wdzięczność do losu, często się zastanawiała, dlaczego właściwie Julie zakochała się w Teddym. Nie był miły, rycerski ani nawet szczególnie czarujący. Evelyn od dawna martwiła się, że pojawi się jakaś interesowna dziewczyna i wyjdzie za niego tylko ze względu na spadek. Ale Julie coś w nim dostrzegła.

Może to, co zobaczyła Julie, tak naprawdę nigdy nie istniało, może wszystkie dobre cechy, jakie widziała w Teddym, były po prostu odbiciem jej własnej natury.

Gdy piętnaście po pierwszej rozległ się dzwonek do drzwi, Evelyn, krokiem skazańca

wstępującego na gilotynę, ruszyła wolno korytarzem. Opuszczone ręce zacisnęła w pięści.

Nie chciała słuchać wyjaśnień syna. W ogóle nie powinna się zgodzić na jego wizytę. Dotknęła klamki, a ona sama ustąpiła i Teddy pchnął drzwi z drugiej strony. Wyglądał tak samo jak przed pięcioma miesiącami, gdy widziała go po raz ostatni. Na jego twarzy nie malował się nawet cień wstydu. Trzymał bukiet różowych, lekko przywiedłych goździków owinięty w ociekający wodą papier.

- Mamo - powiedział i pocałował ją w policzek - pozwól, że przedstawię ci Nicole Standish, moją dziewczynę. Evelyn zamarła. Przywiózł ze sobą inną kobietę.

# 1987

Maurice czekał na hamburgera, tymczasem James poszedł otworzyć tylne drzwi karetki. W środku wciąż czuć było smród bezdomnego. Paskudne zapachy, zwłaszcza w lecie, należały do najprzykrzejszych stron zawodu ratownika. Biorąc prześcieradło w palce, ściągnął je z noszy, tak jak to robił, gdy któryś z synów zsiadał się do łóżka. W zeszłym roku dwa razy złapał wszy od tego samego włóczęgi z Central Square. Odkręcił butelkę z alkoholem i wylał jedną czwartą zawartości na gruby ręcznik. Czyszcząc nosze, myślał o żonie, o tym, jak lubi się z nim drażnić, gdy myje naczynia i powtarza: „Może bardziej się do tego przyłóż, McKeen?”.

W szkole średniej chodzili ze sobą przez trzy lata. Sheila uważała, że James powinien iść na studia, choćby po to, żeby nie wzięli go do wojska, ale on, gdy dostał do ręki świadectwo ukończenia szkoły, myślał tylko o rozkręceniu zespołu. Nazwali go „Ulterior Motive”\*. Grał na basie i pisał wszystkie piosenki. Przez trzecią i czwartą klasę starali się ćwiczyć w każdej wolnej chwili. James cztery razy w tygodniu po szkole oraz w soboty pracował w dziale serów i wędlin w Stop & Shop, więc miał czas tylko w piątkowe wieczory i w niedziele. Kłócił się o to z głównym wokalistą, Chipem McIntyre'em. Chip nie \* ulterior motive (ang.) - ukryty motyw.

Mógł zrozumieć, jak to jest mieć samotną matkę, której nie wystarcza pieniędzy na jedzenie. Był synem lekarza, mieszkał w wielkim domu na Hospital Hill i został w Quincy tylko dlatego, że jego ojciec się tu wychował i miał sentyment do tego miejsca. James uważał Chipa za dupka, ale dołączył do zespołu nieco później, wprowadzony przez perkusistę Franka Rogersa, i podobało mu się to, co robią. Początkowo wykonywali głównie covery, lecz gdy pojawił się James, zaczęli grać własne piosenki. Wydawało im się, że tworzą coś prawdziwego. Ważnego.

James wiedział, że studia to nie jego bajka, nawet gdyby jakimś cudem znalazły się na nie pieniądze. Nienawidził szkoły. Ileż godzin zmarnował, przyglądając się, jak wskazówki suną się po tarczy zegara tak wolno, jakby przeczyły prawom czasu i przestrzeni? Ileż lekcji chemii i algebry przesiedział, pisząc w zeszycie piosenki i udając, że uważa? Kiedyś przyłapała go pani Pierce (historia Ameryki) i zadzwoniła do matki. Tamtego wieczoru mama wróciła z pracy rozczarowana i zmęczona: „Jimmy, dlaczego zamiast się uczyć, marnujesz czas na bzdury?”.

Chciał jej wytłumaczyć, że jego powołanie to muzyka, jedyna rzecz, w jakiej jest dobry. I nie wyobraża sobie, żeby mógł się zestarzeć i utyć za biurkiem. Ale powiedział tylko: „Przepraszam mamó, rzucę to”.

Gdy Bobby'ego wysłano do Wietnamu, matka przygasała. James wiedział, że - przynajmniej na razie - został jej tylko on. Może matka zmieni zdanie, kiedy zespół odniesie sukces? Wtedy kupi jej duży dom, nowy samochód i zabierze ją na wakacje do Irlandii.



Szkoła się skończyła i zespół mógł częściej ćwiczyć, chociaż James pracował teraz w sklepie na pełny etat. Nagrali demo za pieniądze pożyczone od ojca Chipa i wysłali kasety do wszystkich ludzi w branży, którzy przyszli im do głowy. Zaczęli występować. Grali w miejscowych klubach. W tygodniku „Phoenix” nazwano ich „wschodzącymi gwiazdami lokalnej sceny rocka”. Trochę pili i ćpali, ale to należało do image'u.

Sheila zapisała się do szkoły pielęgniarstwa. Po skończeniu szkoły średniej chodzili jeszcze ze sobą przez dwa miesiące, ale potem rzuciła go, bo uznała, że nie myśli poważnie o przyszłości. Nie rozumiała, co właściwie James próbuje osiągnąć. Uważała, że to głupie mrzonki. Według niego powtarzała tylko opinie swojego ojca, ale nie potrafił sprawić, by zmieniła zdanie. Nie potrafił też żyć bez Sheili. Wiedział, że musi ją odzyskać, nawet gdyby trzeba było w tym celu podpisać umowę na płytę i nagrać na cześć Sheili piosenkę, która trafi na pierwsze miejsce listy przebojów.

Nigdy nie chodził z żadną inną dziewczyną. Kiedyś przeleciał jedną w toalecie baru U Dee Dee i była to jedyna osoba poza Sheilą, z którą uprawiał seks. Tamtej nocy, po pięciu kolejkach whiskey i nie wiadomo ilu piwach, płakał w oldsmobile'u należącym do ojca Dave'a Connelly'ego. Wybił wtedy pięścią szybę w oknie od strony pasażera, co skończyło się założeniem czternastu szwów i zakazem zbliżania się do domu Connellych obowiązującym do czasu, aż urodził się pierwszy syn Jamesa.

Sheila zaczęła umawiać się z kolegą z klasy, pielęgniarzem. Connelly próbował pocieszyć Jamesa, nazywając rywala pielęgniarzem. James cierpiał, ale bardziej przejął się jej następnym facetem, studentem prawa z Boston College.

Powiedziała mu o nim Debbie, siostra Sheili, kiedy pewnego popołudnia przyszła do sklepu na zakupy.

- Jak leci, Jimmy? Czterdzieści deko szynki i dwadzieścia deko amerykańskiego sera. Ciągle mieszkasz z mamą? Wiesz, że Sheila chodzi teraz z prawnikiem?

W sierpniu po zakończeniu szkoły na występie Ulterior Motive zaczął ich niejaki Marty Klein. Był menedżerem Snowmen i Negative Attention, miejscowych zespołów, które podpisały umowy z wytwórniami i pojechały w trasy koncertowe. Zaproponował współpracę i obiecał puszczać demo na antenie.

James rzucił robotę w sklepie i w końcu zdobył się na odwagę, by pójść do Sheili. Powiedział jej, że jeśli do niego nie wróci, to się zabije. Ma szansę na sukces, ale nic z tego nie wyjdzie, jeśli ona nie będzie w niego wierzyła. Nigdy w życiu nie był w takiej euforii jak wtedy, gdy wygłaszał te słowa. A zwłaszcza gdy Sheila objęła go i powiedziała, że tak, zaryzykuje, bo ciągle go kocha.

Rzuciła prawnika, a po miesiącu zamieszkali razem, co udało im się utrzymać w tajemnicy przed rodzicami.

Ale demo puściło tylko kilka studenckich stacji radiowych. A potem gitarzysta poszedł do więzienia, bo w barze pobił do nieprzytomności jakiegoś faceta. Franka Rogersa wzięli do wojska, a rodzice Chipa McIntyre'a, w obawie, że to samo spotka

ich syna, zmusili go, by poszedł na studia. I James został sam. Sukces wydawał się na wyciągnięcie ręki, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło.

Rozczulał się nad sobą przez prawie rok. Siedział w domu i palił trawkę, ale także sprzątał i przygotowywał lunch dla Sheili, bo bał się, że wpadnie w złość i każe mu się wynosić. Pewnego dnia powiedziała, że chłopak jej przyjaciółki pracuje w straży pożarnej w Lynn i mają tam wolne miejsca. Wspomniała, że taka praca to łakomy kąsek, dobrze płacą i nie ma zwolnień. Trzeba tylko napisać test wielokrotnego wyboru.

Lynn było dziurą zabitą dechami, a dojazd tam zajmował co najmniej czterdzieści minut.

- Naprawdę chcesz, żebym tam pracował? - zapytał James. - Wiesz, co mówią ludzie? „Lynn, Lynn, miasto grzechów i win. Myślałeś, że będzie miło, a nigdy nie było”. Wybacz, ale mnie to nie interesuje.

Sheila odparła, że jeśli nie złożą w straży podania o pracę, koniec z nimi.

I tak James został strażakiem.

Pracował z facetami, którzy w szkole średniej uprawiali sporty i byli zbudowani jak buldożery. W porównaniu z nimi wyglądał mizernie, prawdziwe chuchro. W remizie, między wyjazdami na zgłoszenia, zaczął podnosić hantle. Przybyło mu pięć kilogramów.

Niektórzy strażacy wrócili z Wietnamu. Stracili tam kolegów. W domu James prawie nie rozmawiał z matką o wojnie, chociaż był na niej jego brat i wielu chłopaków ze szkoły. Bardzo się bał, że i jemu przyślą kartę mobilizacyjną. Próbował sobie z tym radzić, udając, że go to nie dotyczy. Na osiedlu przy Storrow Drive w Bostonie stał billboard z reklamą: Gdybyś tu mieszkał, już byłbyś w domu. W sierpniu 1972 roku ktoś zmienił tekst na: Gdybyś mieszkał w Wietnamie, już byłbyś martwy. James nadkładał piętnaście kilometrów, żeby nie przejeżdżać obok tego miejsca.

W październiku kuzyn Sheili, Fred, zginął od bomby w Quang Ngai. James po powrocie z pracy zastał ją zapłakaną, zwiniętą w kłębek na kanapie. Na stoliku stała pusta butelka po winie.

- To mogłeś być ty - szlochła. - To wciąż możesz być ty.

- Nie. Ta głupia wojna już się prawie skończyła - pocieszał ją. - Rząd nie powoła więcej żołnierzy.

- Tak mówił Nixon cztery lata temu i zobacz, co się dzieje.

- To straszne, co spotkało Freda, ale nie ma sensu się zamartwiać, „co by było gdyby”. Nic nie możemy zrobić.

- Weźmy ślub - zaproponowała.

Przed siedmiu laty Lyndon Johnson bez uprzedzenia zmienił prawo niepozwalające brać do wojska żonaty. Zarządził, że wyłączeni z poboru będą tylko ci, którzy wzięli ślub najpóźniej dziś do północy oraz ojcowie rodzin. Od jutra wszyscy żonaci, bezdzietni mężczyźni będą traktowani jak kawalerowie. Johnson ogłosił to o godzinie

siedemnastej czasu wschodniego, zbyt późno, by mieszkańcy tej części kraju mogli coś zrobić. Jedynym miejscem na Zachodnim Wybrzeżu, gdzie udzielano ślubów od ręki i bez badania krwi, było Las Vegas. Do Nevady ruszyły tamtego wieczoru tysiące mężczyzn ze swoimi dziewczynami. Starszy kuzyn Jamesa z Kalifornii także to zrobił i ożenił się z panienką, którą znał od sześciu tygodni. Prawdopodobnie ocalała mu życie, chociaż małżeństwo potem unieważniono.

- Podczas drugiej wojny światowej moi rodzice skłamali, że są starsi, bo chcieli wziąć ślub, zanim ojca wyślą na front - powiedziała Sheila. - Dopiero teraz, patrząc na to, co się dzieje, zrozumiałam dlaczego.

James pokręcił głową.

- Chcesz, żebyśmy się pobrali?

- Czemu nie? Przecież i tak w końcu to zrobimy. Co za różnica, czy weźmiemy ślub teraz, czy za dwa lub trzy lata?

Wcześniej właściwie się nad tym nie zastanawiał, ale serce zabiło mu radośnie. Sheila chciała za niego wyjść.

- Jesteś pijana - przypomniał jej, a także sobie.

- Wiem, James, ale to nie znaczy, że tak nie myślę. - Przyciągnęła go do siebie. - Co ty na to?

Pocałował ją, zastanawiając się, czy może traktować jej słowa poważnie. Miał nadzieję, że tak.

- Chcę wziąć ślub - powtórzyła następnego dnia rano.

- Gdyby cokolwiek ci się stało, chcę wiedzieć, że byłam twoją żoną. Zastanów się nad tym, dobrze?

Trzy tygodnie później James, cały spocony, poszedł porozmawiać z ojcem Sheili. Siedząc przy kuchennym stole Toma i Lindy, miał wrażenie, że wisząca nad głową witrażowa lampa równie dobrze mogłaby być lampą używaną podczas przesłuchań. Przed przyjściem wypił trzy piwa, ale i tak trzęsły mu się ręce.

- Na pewno jesteście już gotowi na taką decyzję? - zapytał Tom. - To znaczy wystarczająco dojrzały, że nie wspomnę o sytuacji finansowej.

- Tak, proszę pana - odpowiedział James, choć nawet dla niego zabrzmiało to dziecinnie. Miał tylko dwadzieścia lat.

- „Co nagle, to po diable”, jak mawiała moja matka - dodała znad zlewu Linda, która udawała, że zmywa naczynia. - Jimmy, dlaczego trochę nie poczekacie?

Tylko skinął głową. Miło byłoby otrzymać błogosławieństwo, lecz prawdę mówiąc, miał gdzieś, co oni myślą. Zdążył już kupić pierścionek.

Wydał na niego maksymalną kwotę, na jaką mógł sobie pozwolić, ale i tak dawał Sheili marną błyskotkę - diament miał tylko ćwierć karata. Mimo to, kupując go, po raz pierwszy w życiu czuł się dorosły. Poprosił jubilera, by osadził kamień płasko w obrączce. Wystające oczko mogłoby rozerwać gumową rękawiczkę i przeszkadzać w pracy pielęgniarki.

James wciąż pamiętał, jak się czuł, mając ten pierścionek w kieszeni. Bał się, że podczas oświadczyn będzie plątał mu się język, a przecież Sheila ma je usłyszeć tylko raz i podobno dla każdej kobiety jest to najważniejsza chwila w życiu. Jednak bez względu na to, jak marnie mogłoby wypaść jego przemówienie, wiedział, że diament wyrazi więcej niż słowa. Każda kobieta pragnie dostać diament. To symbol poważnej decyzji na całe życie. Oświadczył się na nadmorskim wale przy plaży Wollaston. Ukłękął na jedno kolano, a Sheila krzyknęła ze zdumienia, jakby cała sprawa nie była jej pomysłem.

Byli zaręczeni od miesiąca, gdy w styczniową sobotę skończyła się wojna. Siedzieli w milczeniu w pokoju dziennym i oglądali w telewizji podpisanie porozumienia o zaprzestaniu działań wojennych. Dzwonił telefon. Za oknem biły kościelne dzwony. Z odległej o dwie przecznice remizy strażackiej dochodziło wycie syren.

- Jejku, to naprawdę koniec - powiedziała Sheila. James wbił palce w poręcz kanapy. Wiedział, że powinien się cieszyć, ale odczuwał napięcie. Wybijał trampkiem rytm o deski podłogi.

Spojrzał na Sheilę, próbując odczytać, czyjej mina wyraża coś więcej niż ulgę z powodu zakończenia wojny. Chciała wziąć ślub, na wypadek gdyby doszło do najgorszego, ale teraz niebezpieczeństwo minęło. Wiedział, że powinien zapytać, czy nadal pragnie za niego wyjść, przynajmniej dać jej szansę na wycofanie się. Ale nie potrafił.

- Co? - zapytała.

- Nic - odparł. - Wspaniała wiadomość, i tyle.

Przez następnych siedem miesięcy Sheila z siostrą i matką rozmawiały wyłącznie o ślubie i weselu. James nie wiedział, że trzeba omówić tyle spraw: jedzenie, tonację kolorystyczną, wybór druhen. Trzymał się od tego wszystkiego z daleka i ilekroć Sheila pytała go o zdanie w tej czy innej kwestii, odpowiadał: „Ty wiesz najlepiej”. Denerwowało ją to, choć właściwie co znaczącego mógł dodać w sprawie stroików na stoły.

Babka Jamesa lubiła opowiadać, jak wzięła ślub za dziesięć dolarów. Poznali się z dziadkiem na Castle Island trzy miesiące wcześniej i oświadczył się jej na piątej randce. Po ślubie udali się do domu kuzynki na poczęstunek złożony z kanapek, piwa i lodów i to było całe wesele. Zawsze, odkąd pamiętał, babka nosiła na serdecznym palcu prostą złotą obrączkę.

Wesele Jamesa miało być jednak wydarzeniem. Rodzice Sheili wydawali dla nich przyjęcie we Florian Hall, miał być obiad, zespół przygrywający do tańca i darmowy bar przez dwie godziny, aż do czwartej.

Przed ślubem przez dwa miesiące w każdą sobotę chodzili na plebanię kościoła Maryi Gwiazdy Morza na nauki przedmałżeńskie, podczas których ksiądz mówił o przebaczeniu, rozwiązywaniu konfliktów i podziale obowiązków domowych. Każdy, kto chciał mieć ślub kościelny, musiał uczyć się na takie nauki.

- Któż lepiej wyjaśni nam, czym jest małżeństwo, niż ksiądz żyjący w celibacie? - zażartował James pewnego popołudnia przed zajęciami. Sheila uciszyła go, ale się roześmiała.

Na dzień ślubu zapowiadano deszcz. Poprzedniego wieczoru matka Jamesa na wszystkich drzewach przy Willet Street zawiesiła różańce, by odpędzić złą pogodę. Następnego ranka, gdy się obudzili, powitało ich bezchmurne błękitne niebo. Dzień ślubu pozostał w pamięci Jamesa jako radosne zamazane wspomnienie pełne znajomych twarzy, szampana i muzyki. Sheila tańczyła z ojcem do piosenki Daddy's Little Girl, a Big Boy wygłosił mowę, której James do dziś mu nie wybaczył.

Tamtej nocy siedzieli z Sheilą na nierozścielonym hotelowym łóżku, które weselni goście obsypali płatkami róż i prezerwatywami, i nie zdjawszy ślubnych strojów, rozrywali jedną po drugiej otrzymane w prezencie koperty. Sheila je otwierała, a James liczył pieniądze, rozkładając na dwie kupki czeki i nowe studolarowe banknoty. Dostali w sumie sześć tysięcy dolarów. Tamtej nocy, zasypiając, czuli się bogaci jak królowie. Ale nie minął rok, a pieniądze się rozeszły.

Sheila zawsze mówiła, że uwielbia swój pierścionek i to, że James specjalnie wybrał taki, który będzie mogła nosić w pracy. Jednak on, patrząc na pierścionki zaręczynowe innych kobiet - siostry i wszystkich przyjaciółek Sheili - z biegiem lat czuł coraz większy wstyd. Powinien był kupić narzeczonej oszałamiająco piękny klejnot na dowód, że mężczyzna, który ją kocha, jest coś wart.

Po napadzie Sheila powiedziała, że naprawdę szkoda jej tylko pierścionka z diamentem. Nosiła go przez piętnaście lat. Chociaż, jak wszystkie ważne kiedyś przedmioty, w końcu im spowszedniał, w ubiegłym miesiącu James, patrząc na dłoń żony bez pierścionka, czuł smutek. I nie wiadomo kiedy podjął decyzję, że bez względu na wszystko kupi Sheili nowy diament.

Dwa lata po ślubie szef przedstawił Jamesowi propozycję: wysyła kilku strażaków na kurs ratowników medycznych i James dobrze by się do tego nadawał. Przed wybuchem wojny w Wietnamie nagłe przypadki zawoziły do szpitala policja i zakłady pogrzebowe. Te ostatnie dlatego, że jeśli nastąpił zgon, mogły od razu zabrać zwłoki. Stare makabryczne ambulansy nie tylko wyglądały jak karawany - po prostu nimi były. Były także jedynymi pojazdami, w których pacjent mógł się położyć. Stopniowo jednak uświadomiono sobie, że im szybciej dostarczy się chorych i ofiary wypadków do szpitala, udzielając im po drodze pierwszej pomocy, tym większą mają szansę na przeżycie. Zadanie to wzięła więc na siebie straż pożarna i rozpoczęto specjalne szkolenia. James skończył dziesięciodniowy kurs pierwszej pomocy i z członka straży pożarnej Lynn stał się ratownikiem medycznym.

Początkowo nowa praca mu się podobała. Sheila twierdziła, że jest do niej stworzony - słyszała od znajomych pielęgniarek, jak wspaniale obchodzi się z pacjentami i ilu uratował życie. Gdy wszystko układało się dobrze, James czuł się jak bohater. Jednak wiele przypadków nie miało szczęśliwego zakończenia. Słyszał, że to nie jego wina.

Lecz w takim razie jak mógł przypisywać sobie zasługi w sytuacjach, gdy było odwrotnie.

Z czasem uznał, że w dziewięćdziesięciu procentach nie ma na nic wpływu. Wszystko zależało od tego, co się stało, jak szybko znaleziono ofiarę i kiedy zadzwoniono na numer alarmowy. Korki na drodze, zajęta linia telefoniczna, stare rozklekotane windy jadące godzinę na trzecie piętro miały takie samo znaczenie jak to, co zrobił lub czego nie zrobił James.

Odkąd rozpoczął pracę w pogotowiu, minęło dwanaście lat i teraz, gdy o tym myślał, uświadamiał sobie, że nigdy w życiu nie podjął żadnej samodzielnej decyzji: Sheila kazała mu zostać strażakiem, więc to zrobił. Także ona stwierdziła, że powinni się pobrać. O przekwalifikowaniu się na ratownika zadecydował szef. Żadnej z tych rzeczy James nie zaplanował sam.

Jedyne, za co ponosił odpowiedzialność, to utrata pierwszej i jedynej naprawdę dobrej pracy, jaką miał w życiu. W straży pożarnej jego partnerem był niejaki Mac Kelly. Mac miał w sobie coś. Potrafiłby namówić psa, żeby zrezygnował z kiełbasy. Był przyjacielem Jamesa, prawie bratem, w tym sensie, w jakim braterską miłość wyobrażają sobie ludzie, a nie jaka według doświadczeń Jamesa naprawdę jest. Nawet wyglądali podobnie: niscy, bladzi Irlandczycy o ciemnych włosach.

Mac trochę za dużo pił. Łatwo wpadał w złość. Żona groziła, że go zostawi, i w końcu to zrobiła. Wróciła po miesiącu, ale w Macu coś pękło. Miał dziesięcioletniego syna z zespołem Downa i ciągle o nim mówił - nie były to opowieści o chorobie, tylko stwierdzenia w rodzaju: „Mojemu synowi bardzo się ten program podobał” albo: „Mój syn powiedział coś zabawnego”. Według Jamesa dowodziło to, że jest porządnym człowiekiem. W porównaniu z nim czuł się szczęśliwcem. Parker miał cztery lata, był zdrowy, a on i Sheila, choć ludzie mówili, że dziecko to próba dla związku, kochali się jak nigdy przedtem. James dobrze zarabiał i myślał, że wreszcie wszystko zaczyna się układać.

Starał się pomóc przyjacielowi. Kilka razy go krył, gdy przyszedł do pracy na gazie. Mac wciąż dostawał nagany, jednak nie traktowali tego poważnie, przecież ze straży pożarnej nikogo się nie zwalnia.

Kilka miesięcy przed wypadkiem, który wszystko zmienił, stali na czerwonym świetle. W okno od strony kierowcy zastukał jakiś bezdomny. Mac opuścił szybę.

- O co chodzi, chłopie?

Facet wyciągnął spluwę, a Mac gwałtownie ruszył z miejsca. James nie podejrzewał, że ambulans potrafi rozwinąć taką prędkość. Bydlak strzelił jeszcze za nimi i usłyszeli, jak kule uderzają w tylne drzwi. James był pewny, że na miejscu Maca spieprzyłby sprawę - zastygł bez ruchu albo skręcił w niewłaściwą stronę. Ale partner zachował spokój i zawiózł ich prosto na posterunek policji. Uratował im życie. Gliniarze szybko odnaleźli tamtego faceta. Świr szukał narkotyków, których nawet nie wolno było przewozić w karetce.

Nieszczęścia chodzą parami. Tydzień później w ambulansie wielki pijany facet bez ostrzeżenia uderzył Jamesa pięścią w twarz. James upadł na plecy, a gdy się podniósł, napastnik miał już na środku czoła rozcięcie - Mac walnął go kantem sztywnej podkładki na papiery. Krew ściekała mu po nosie i wpływała do oczu.

Wszystko widział policjant, który był z nimi wtedy w karetce.

- Miał tę ranę, kiedy przyjechaliśmy, zgoda? - powiedział Mac.

- Jasne. - Gliniarz kiwnął głową.

- Wygląda na to, że trzeba ci będzie założyć szwy - powiedział Mac do pacjenta. - A teraz leż i bądź, kurwa, cicho.

„Tamto”, jak nazywali z Sheilą utratę pracy, zdarzyło się wkrótce potem. Późnym wieczorem James i Mac dostali zgłoszenie z parku na przedmieściach, gdzie przed kilkoma miesiącami zaczęli zbierać się narkomani. Ktoś zawiadomił o próbie samobójstwa.

- Jakim cudem to zauważyli? Chyba niczym innym tam się nie zajmują - prychnął Mac. Pochodził z Lynn, z rodziny robotniczej, i wyszedł na ludzi dzięki własnej pracy, a w każdym razie radził sobie w życiu lepiej niż wielu kolegów z dzieciństwa. Miał zerową tolerancję dla ćpunów.

Narkomani byli nieprzewidywalni. Gdy któryś stawiał opór, zwykle kończyło się awanturą. Facet po cracku nie bał się niczego - trzeba było dwóch albo trzech ludzi, aby go obezwładnić.

Tym razem ambulans prowadził James. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby włączyć syrenę.

Gdy przyjechali na miejsce, w parku było tak ciemno, że musieli wrócić do karetki po latarki. Założyli czołówki i jak dwaj górnicy ruszyli ostrożnie przed siebie. Pod stopami chrzęściły fiołki po cracku. Gdzieś z oddali dobiegały jęki dziewczyny. Szli w ich kierunku, rozglądając się za porzuconymi igłami, choć tutejszych ćpunów pewnie nie było stać na heroinę. Przed kilku laty facet z ich zespołu ukłuł się i zaraził żółtaczką typu C. Zmarł dziesięć miesięcy później.

W końcu znaleźli dziewczynę. Leżała obok chłopaka, oboje byli zalani jego krwią i nieprzytomni. Samobójca - chudy, biały gówniarz, ponad metr osiemdziesiąt - podciął sobie żyły na nadgarstkach. Początkowo nie chciał z nimi iść. W końcu Mac postawił go na nogi, a chłopak zaczął się śmiać.

James usiadł za kierownicą, a Mac przypiął pacjenta do noszy. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, ale nagle sytuacja się zmieniła. Gdy chcieli opatrzyć mu nadgarstki, dzieciak zaczął się rzucać, zachlapując wszystko krwią.

- Uspokój się! - wrzasnął na niego Mac. - Co ty wyprawiasz? Chłopak posłuchał, ale po chwili powiedział:

- Ja cię znam.

- Naprawdę?

- Tak. Mój kuzyn w zeszłym roku pieprzył twoją żonę. Macie nienormalne dziecko,

prawda?

Reakcja Maca była natychmiastowa. Zadał chłopakowi szybki cios w głowę, po którym ten przez trzy minuty leżał nieprzytomny. Zaraz potem uderzył go po raz drugi, żeby było do pary. James doskonale rozumiał, dlaczego to zrobił. Sam nigdy nie pobił pacjenta, choć czasem miał na to ochotę. Zastanawiał się, czy ćpun mówił prawdę, ale poza tym nie zaprzętał sobie głowy tym wypadkiem.

Kiedy kilka dni później wezwano ich do gabinetu szefa, myśleli, że może chodzi o podwyżkę.

- No i co, durnie? Któremu z was to zawdzięczam? - zapytał szef tymczasem.

Po czym przesunął po stole cienki plik zdjęć. W świetle latarki widać było, jak chłopak się wzdryga, gdy do jego twarzy zbliża się pięść. Potem następował cios i jego głowa opadała pod dziwnym kątem. Poniżej można było odczytać numer rejestracyjny ich karetki - doskonale widoczny na zdjęciach.

Napastnika sfotografowano od tyłu.

- To pewnie ty, Kelly - powiedział szef.

James zobaczył, jak po twarzy partnera spływa kropla potu.

- Kto zrobił te zdjęcia? - wyjąkał Mac.

- Kamery przemysłowe wiszą w parku od tygodni. James szybko przeanalizował sytuację: przyszłość Maca i tak już jest niepewna, ale on sam nie popełnił dotąd żadnego wykroczenia. Za pierwszym razem zwykle dostawało się ostrzeżenie.

- To ja - powiedział. - Przepraszam, szefie. Szef uniósł brwi.

- Ty? Naprawdę?

- Zaraz panu wyjaśnię...

- Nie rób sobie kłopotu, McKeen. Zwalniam cię.

- Co takiego?

- Zwalniam cię. Wiesz, kogo uderzyłeś? Chłopak ma bogatą dziewczynę. Jej ojciec zagroził, że wyśle zdjęcia do „Globe” i wniesie oskarżenie, jeśli ktoś nie wyleci za pobicie. A tym kimś na pewno nie będę ja. Nie powinieneś tego robić przy otwartych drzwiach, stary. To straszna głupota.

James siedział osłupiały. Mac nie kiwnął palcem w jego obronie. Po prostu zostawił go własnemu losowi.

Kiedy opowiedział Sheili, co się stało, wpadła w furję.

- Chciałem pomóc przyjacielowi - tłumaczył.

- Ach tak? Prawdziwy z ciebie książe. Pomyślałeś chociaż o swoim dziecku? Jimmy, co my teraz zrobimy?

Przez dwa dni w ogóle się do niego nie odzywała. Tylko raz, w środku nocy, gdy leżeli bezsennie w łóżku, powiedziała:

- Miałabym dla ciebie trochę szacunku, gdybyś naprawdę uderzył tamtego chłopaka. Ale to, co zrobiłeś, jest po prostu chore.

Przez rok na bezrobociu James przez cały czas myślał o zespole. Śniła mu się gitara i



budził się przerażony, myśląc o tym, że wszystko zaprzepścił, pozwolił, by wymknęło mu się z rąk.

Od wieków nie grał poza domem, ale gdzieś w głębi duszy wciąż marzył o sukcesie. Co prawda w młodości wszyscy chłopcy fantazjowali, że zostaną Tedem Williamsem albo Paulem McCartneyem, jednak James czuł, że naprawdę ma talent. Ale czy mógł cofnąć czas?

Miał dobre ucho i próbował nadać za tym, co się działo w muzyce, chociaż był już z niego stary piernik. Czasem oglądał MTV, zachodził do Tower Records i próbował rozmawiać ze sprzedawcami, okoliczowanymi dzieciakami o tlenionych włosach. Patrzyli na niego jak na starego wiarusa. Kiedy pytali o Woodstock, opowiadał, że nie dorastał do pięć festiwalowi Monterey Pop.

- Monterey był najlepszy - mówił. - Festiwale jeszcze się wtedy nie skomercjalizowały. Liczyła się tylko muzyka. Otis Redding. Hendrix w szczytowej formie. Grace Slick w swoich najlepszych czasach. Była wtedy taka piękna. Mówiliśmy o niej: „Twarz, która wysyłała w tysiące odlotów”.

- Byłeś tam? - zapytał jeden ze sprzedawców.

- Niestety, chłopie, miałem tylko czternaście lat. Ale mój brat pojechał.

James błagał wtedy Bobby'ego, żeby zabrał go ze sobą. Rok później, w pierwszym dniu projekcji, obejrzał w kinie Cleveland Circle film dokumentalny o festiwalu.

W 1981 roku jeden z chłopaków z Tower podsunął mu brytyjską płytę Boy zespołu U2. Jamesowi strasznie się spodobała: gitarowe frazy, głos młodego gniewnego Irlandczyka zwanego Bono. Wcześniej tego samego roku U2 nagrali nową, bardziej wygładzoną (i, zdaniem Jamesa, robiącą mniejsze wrażenie, choć i tak świetną) płytę z muzyką Briana Eno. Byli na najlepszej drodze, by zostać największymi gwiazdami rocka na świecie.

- Powinni uważać - powiedział zeszłej wiosny James do chłopaka za ladą, kupując płytę Joshua Tree, - Za dużo sławy w zbyt krótkim czasie może zawrócić w głowie. Weźmy na przykład Clash. Rozlecieli się bardzo szybko po tym, jak w osiemdziesiątym drugim pojechali w trasę z The Who i nagle wszyscy zaczęli mówić, że to oni przejęli w rocku pałeczkę. Trzeba mieć wyczucie.

Uznał to za inteligentną obserwację, a jego rozmówca był tego samego zdania. Kiedy jednak po powrocie do domu powtórzył swoje spostrzeżenie Sheili, powiedziała tylko:

- Mam nadzieję, że pamiętasz, ile masz lat.

- P-cztery - odezwała się przez radio dyspozytorka. Wzy; wała ich.

Nona pracowała w Cambridge od zawsze. Jej głos - z chrypką palacza i ciężkim bostońskim akcentem - James rozpoznałby nawet po pięćdziesięciu latach.

Właśnie naciągał na nosze czyste prześcieradło. Pobiegł do szoferki, wziął radiotelefon i nacisnął guzik.

- Tu P-cztery.

- W Whitson Hall zemdląła kobieta. Straż kampusowa już jedzie na miejsce.
- Nie masz jakiejś strzelaniny czy samobójstwa? - zapytał. - Błagam, Nono, wszędzie, byle nie na Harvard.
- Przykro mi.

Z jękiem wysiadł z karetki. Cambridge było miastem dziwnym i pełnym skrajności. Bywało, że na jednym końcu ulicy mieszkali sami milionerzy, a na drugim policjanci i kierowcy ciężarówek. James stykał się podczas pracy z przeróżnymi ludźmi - od włóczęgów leżących we własnych odchodach po osoby z wyższych sfer.

Zdecydowanie wolał włóczęgów. Na studentów z Harvardu patrzył jak na gromadę bogatych, rozpieszczonych gówniarzy, którzy nie potrafią pić. Ratownicy mieli obowiązek traktować każdego pacjenta uprzejmie i z szacunkiem. Na ogół było to oczywiste, gdyż stykali się z ludźmi w najtrudniejszych chwilach ich życia. James zawsze powtarzał, że jego pacjentów łączy jedno: nie spodziewali się, że go dziś spotkają. Jednak typki z Harvardu naprawdę dawały popalić. Zwykle z trudem się powstrzymywał, by nie strzelić kóregoś w zęby. Sheila mówiła czasem, że pragnie, by Parker pewnego dnia studiował na Uniwersytecie Harvarda, ale James myślał sobie: Po moim trupie.

Podczas weekendów w niektóre noce odwiedzał kampus sześć, siedem razy. Kiedy zwykły student wypił za dużo, kolega z pokoju dawał mu aspirynę i szklanekę wody, a potem szli spać. Studenci z Harvardu dzwonili na pogotowie, wymiotowali w karetce i grozili, że wytoczą proces, jeśli ktoś spróbuje im zrobić płukanie żołądka albo jeśli wpiszą wypadek do papierów.

W dzielnicy, w której wychował się James, dorośli bezustannie straszili młodzież, że ich wykroczenia zostaną umieszczone w dokumentach. James miał na swoim koncie tylko „pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego”, wpisane po bójce w barze latem, gdy miał siedemnaście lat, oraz „drobną kradzież”, za doprowadzenie mniej więcej w tym samym czasie alkoholu ze sklepu w Dorchester. Kilku jego kolegów wciągnęło się na dobre w prowadzenie ciemnych interesów. Jamesa kusilo czasem, by też spróbować - na handlu narkotykami lub kombinowaniu z czekami dla starszych pań wystawianymi przez opiekę społeczną zarabiali przez dwa miesiące tyle co on przez rok. Ale wiedział, że nie potrafiliby z tym żyć. Nie mógłby spojrzeć matce w oczy.

Wszedł do baru i kiwnął głową Maurice'owi, który oparty o ladę gawędził z właścicielem, Philem.

- Już jedziemy? Nie dostałem jeszcze mojego hamburgera.
- Wybacz, chłopie. Phil pokręcił głową.
- Będzie tu na ciebie czekał.

Gdy dojechali na skraj kampusu, James przyjrzał się dziwacznym ukośnym kratom grzewczym, które władze uczelni na początku zimy kazały zamontować w chodnikach. Stare, płaskie, zerwano, żeby bezdomni nie mogli na nich spać.

Wjechali przez bramę na teren Harvard Yard. Wokół panowała cisza.

- Co ta mała w ogóle tutaj robi? - dziwił się Maurice. - Przecież są ferie świąteczne.

James wzruszył ramionami.

Wyładowali nosze z karetki przed akademikiem, trochę podobnym do Białego Domu. Jamesowi chrupnęło w krzyżu, a zaraz potem poczuł ostry, przeszywający ból. Skrzywił się.

- Co ci jest? - zapytał Maurice.

- Nic, w porządku.

Strażnik czekał na nich przed wejściem. James spotykał go już kilka razy przy innych okazjach, ale nie zapamiętał nazwiska.

- Jak leci? - zapytał strażnik. - Bardzo mi przykro, ale dziewczyna mieszka na piątym piętrze.

- Jakżeby inaczej.

Ruszyli z noszami po schodach. Już na czwartym piętrze James czuł, że zaraz wysiądą mu płuca, ale jakoś dotarli na miejsce. Na drzwiach pokoju przyklepiono taśmą trzy kawałki różowego kartonu z imionami: Sara, Jennifer i Adhira.

Strażnik zastukał do drzwi.

- Proszę wejść! - rozległ się dziewczęcy głos.

Była Hinduską albo kimś w tym rodzaju. Siedziała na kanapie w ciasnym saloniku pachnącym kadzidełkami. Na ścianie wisiał czerwony gobelin, a na każdej płaskiej powierzchni piętrzyły się stosy książek. Dziewczyna miała na sobie spodnie od dresu i podkoszulek. Na ramiona opadały jej czarne mokre włosy. Wyglądała na dwanaście lat.

- Chyba już mi przeszło - powiedziała z brytyjskim akcentem. - Niepotrzebnie wzywałam pogotowie.

- Co się stało? - zapytał James.

- Brałam prysznic i nagle zrobiło mi się tak słabo, jakbym zaraz miała zemdleć.

- I zemdlałaś?

- Nie. Wyszłam z łazienki, usiadłam na kanapie, opuściłam nisko głowę i poczułam się lepiej.

- Doskonale - powiedział James. - Czy wcześniej już ci się to zdarzało?

- Nie, proszę pana.

Proszę pana? O Jezu, aż tak staro wygląda?

- Jadłaś coś dzisiaj? - zapytał.

- Nie.

- Prysznic był bardzo gorący?

- Tak! - powiedziała tonem, jakby był MacGyverem. - Najgorętszy, jak się dało.

James postukał stopą w podłogę. Popatrzył na przytulną, głęboką kanapę i stojący w kącie skórzany fotel. Studencki pokój był urządony ładniej niż jego dom.

- Myślisz, że powinnaś pojechać do szpitala? - zapytał. Pokręciła głową.

- Już czuję się dobrze.

Dali jej do podpisania rezygnację z usługi. James polecił, by się położyła, odpoczęła, wypła szklanę wody i coś zjadła.

- Kiedy wracają twoje współlokatorki? - zapytał.

- Wyjechały na ferie - odparła.

Zastanawiał się, dlaczego żadna z nich nie zaprosiła koleżanki, która jest tak daleko od domu. Przez chwilę kołatała mu po głowie irracjonalna myśl, by zabrać ją do siebie.

- Masz z kim spędzić święta? - zapytał, chociaż to nie była jego sprawa.

- Jutro idę do przyjaciół.

Kiedy Maurice, James i strażnik wyszli z budynku, padał lekki śnieg. Leżał już na trawie i na przedniej szybie samochodu.

- Krótco mówiąc, wzięła gorący prysznic, kiedy miała niski poziom cukru we krwi, a potem była zdziwiona, że zakręciło jej się w głowie - podsumował strażnik. - Te harwardzkie dzieciaki mnie załamują.

James pomyślał, że może po prostu czuła się samotna. Podczas pracy nieraz spotykali takich ludzi, chociaż zwykle byli to staruszkowie albo świry.

- W zeszły piątek dziewczynę z tego akademika trzeba było zaintubować, bo wypła tyle, że miała problemy z oddychaniem - dodał strażnik.

Maurice pokiwał głową.

- Tak zwana zwykła piątkowa noc.

- Chłopie, jak ja nienawidzę tych gówniarzy - ciągnął strażnik. - Wiesz, co krzyczą na meczach koszykówki przeciw uniwersytetowi z Massachusetts? Szkoła dla mas. Dla nich to wyzwisko. Gnoje. - Pokręcił głową. - Ale co tam. Wesołych Świąt.

Już w karetce James pochylił się, otworzył schowek, wyjął buteleczkę z advilem i wytrząsnął sobie na rękę trzy tabletki, notując w pamięci, że razem z tymi, które już dzisiaj zażył, będzie ich sześć. Połknął lek i ruszył w stronę U Elsie.

Po minucie rozległ się znajomy głos Nony:

- P-cztery.

- Cholera - zaklął Maurice. James sięgnął po radio.

- Pewnie dostaniesz tego swojego cheeseburgera o godzinie, o której jedzenie go nie będzie już takie obrzydliwe - powiedział, zanim połączył z Noną.

- O Boże, mam nadzieję, że się mylisz - odparł Maurice ze śmiertelnie poważną miną.

## 2003

Delphine stała na środku salonu i przyglądała się swojemu dziełu. Przewróciła niski stolik i wydrapała na nim nożyczkami szalone wzory. Rozbiła przepiękną lampę, którą znalazła w jednym ze sklepów z antykami na Brooklynie. Pokłócili się o nią z EJ. Powiedział, że nie jest w jego stylu, jakby w ogóle miał jakiś styl lub poczucie piękna. Wtedy kłócili się już właściwie o wszystko.

W ciągu sześciu lat małżeństwa Delphine i jej mąż nie mogli się dogadać tylko w dwóch sprawach. Po pierwsze, wkrótce po ślubie, Henri stwierdził, że chce mieć dziecko. Marzył o córeczce imieniem Josephine. Tak nazywała się jego starsza siostra, która utonęła, gdy miała trzy lata. Dziwnie myśleć o starszym rodzeństwie, które nie doczekało nawet czwartych urodzin. Delphine nie była pewna, czy teściowie pragnęli, aby w ten sposób przypomniano im o zmarłej córce, zresztą nie chciała mieć dzieci. Skończyła czterdzieści lat, czuła się już na to za stara. Uważała też, chociaż nigdy tego głośno nie powiedziała, że mąż także jest zbyt stary na bycie ojcem. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat nie powinien prosić jej o dziecko.

Pokłócili się także o stradivariusa.

Skrzypce były największą dumą Henriego. Zawsze gdy mieli na obiedzie gości, przynosił je do jadalni, zanim Delphine zdążyła podać sery. Nic innego nie wprawiało go w takie ożywienie. Nowym słuchaczom mógł przez całą noc opowiadać o Stradivarim. Istniało wiele teorii próbujących wyjaśnić, dlaczego dźwięk jego skrzypiec jest taki doskonały, ale zdaniem Henriego najbardziej przekonująca mówiła o okresie dziwnych zjawisk pogodowych, znanym pod nazwą minimum Maundera i trwającym mniej więcej od 1645 do 1715 roku, podczas małej epoki lodowej w Europie. Niedobór światła słonecznego spowodował wtedy spadek temperatury, co spowolniło wzrost drzew i sprawiło, że drewno miało większą gęstość niż zwykle. Jeśli popatrzy się na słoje drewna, z którego zrobione są stradivariusy, widać to doskonale.

- W każdym miejscu gęstość jest idealna - mówił Henri, unosząc skrzypce i obracając je na wszystkie strony. - Gdyby Stradivari ujął choćby jeden milimetr, dźwięk byłby pozbawiony równowagi.

Goście zwykle słuchali z zainteresowaniem, ale kochany mąż nigdy nie wiedział, kiedy przestać.

- To oryginalny lakier. Wyobrażacie sobie? I nie położono go tylko dla urody. Nie, wpływa także na dźwięk. W dolnej części konturu widać lekkie uszkodzenie od wody, ale to tylko dodaje instrumentowi charakteru. Najlepiej zachowany stradivarius na świecie to zapewne pochodzące z tysiąc siedemset dwudziestego pierwszego roku skrzypce Lady Blunt. Wciąż mają struny z jelit i brak im podstawka. Oczywiście są w tak doskonałym stanie dlatego, że zawsze należały do kolekcjonerów i prawie nikt na

nich nie grał. Czy to nie zbrodnia?

Ogrom wiedzy Henriego robił na Delphine wielkie wrażenie, choć także lekko ją śmieszył. Henri wiedział, gdzie znajduje się niemal każdy z pięciuset czterdziestu istniejących stradivariusów, i uwielbiał tymi bezużytecznymi informacjami dzielić się z innymi: cztery są w Metropolitan Museum of Art na Manhattanie, osiem w Królewskiej Akademii Muzycznej, ponad dwanaście w Nippon Music Foundation, trzy w Instytucie Smithsoniańskim, dwa należały do Itzhaka Perlmana i tak dalej.

W obawie, że zanim Henri skończy, wszyscy zasną, Delphine zachęcała, aby opowiadał, tylko najbarwniejsze historie związane z jakimś skandalem lub tragedią. W połowie lat dziewięćdziesiątych z mieszkania dziewięćdziesięcioletniej wirtuozki Eriki Morini ukradziono wykonanego w 1727 roku stradivariususa o nazwie Davido.ffa. Stało się to kilka dni przed jej śmiercią. Skrzypaczka była wówczas w szpitalu i rodzina, chcąc oszczędzić jej bólu, nigdy nie powiedziała o zniknięciu instrumentu.

W 1936 roku, podczas piętnastominutowej przerwy w występie, Julian Artman, drugorzędny skrzypek grający w nowojorskiej restauracji Russian Bear, zakradł się do wznoszącego się po drugiej stronie ulicy Carnegie Hall, gdzie dawał właśnie koncert polski solista Bronisław Huberman. Huberman podróżował z podwójnym futerałem, w którym przechowywał dwoje najlepszych skrzypiec na świecie: guarneriego i stradivariususa o nazwie Gibson. Matka Altmana przeczytała o tym w gazecie i doradziła synowi, żeby ukradł instrument, którego Huberman tego wieczoru nie używa.

Altman przekupił strażnika przy wejściu dla artystów dobrym cygarem i wślizgnął się do garderoby skrzypka. Wziął stradivariususa i ukrył pod płaszczem, podczas gdy na scenie nieświadomy niczego Huberman grał nieskazitelną sonatę Francka.

Altman pokrył skrzypce pastą do butów, by utrudnić ich rozpoznanie. Przez prawie pięćdziesiąt lat grał na nich na weselach i w pubach, a prawdę wyznał dopiero na łożu śmierci. Huberman za swoją stratę otrzymał w latach trzydziestych trzydzieści tysięcy dolarów odszkodowania. Kiedy wdowa po Altmanie w 1987 roku zaniósła skrzypce do Lloyda, były warte ponad milion dolarów.

Stradivarius Henriego nazywał się Salisbury. Czasem wypożyczał go skrzypkom na sześć miesięcy lub na rok, ale potem zawsze prosił o zwrot. Trudno mu było bez niego żyć. Po odzyskaniu od razu wkładał go do gabloty i długo na niego patrzył.

Wielu kolekcjonerów i muzyków od lat próbowało odkupić skrzypce od Henriego, lecz on odrzucał wszystkie oferty. Delphine widziała, że poważniej zastanowił się tylko raz, gdy dawny przyjaciel, kurator z Moskwy, Peter Jefimow powiedział: „Wiesz, Rogue jest nimi zainteresowany”.

Oczy Henriego rozblęśły na moment jak u dziecka wpatzonego w świeczki na urodzinowym torcie. Rogue - młody wirtuoz z Nowego Jorku - był jednym z jego ulubionych wykonawców. Mąż Delphine w zasadzie nie cenił amerykańskich

solistów, pretensjonalnych typków, którzy nagrywają płyty ze Stingiem i łączą Simona i Garfunkela z Bachem. Jednak Rogue, choć młody i efektowny, był w gruncie rzeczy takim samym tradycjonalistą jak on. Delphine i Henri słuchali go raz na koncercie, na którym wykonał koncert skrzypcowy Beethovena z Filharmonikami Berlińskimi, i Henri ogłosił, że ten młody skrzypek to geniusz.

- Zdumiewające - powiedział podczas kolacji Jefimow. - Biały, wykarmiony kukurydzą chłopak ze Środkowego Zachodu z takim talentem!

- Jakie znaczenie ma pochodzenie lub kolor skóry? - zapytała siedząca przy stole młoda Amerykanka, która przyjechała, by kupić instrumenty dla wytwórni Paramount Pictures. Delphine wstrzymała oddech. Amerykanie byli przewrażliwieni na punkcie uwag o rasie, a jej bardzo zależało, by sprzedaż doszła do skutku.

- Takie zdolności w jednych grupach występują, a w innych nie - wyjaśnił Jefimow. - W pierwszej połowie dwudziestego wieku największymi solistami na świecie byli Żydzi z Rosji i Europy Wschodniej: Jasha Heifetz, Nathan Milstein, Efrem Zimbalist, Misza Elman. Najważniejszy jest talent, ale co sprawia, że utalentowane dziecko staje się kimś wyjątkowym? Ćwiczenia. To wszystko. Tylko jakie dziecko samo wybierze dla siebie taką drogę? Muszą tego pragnąć jego rodzice. W czasach, gdy w niektórych krajach Żydzi nie mieli nawet prawa mieszkać w stolicy, rodzice widzieli w dziecku przepustkę na Zachód.

Dziewczyna z Paramountu wydawała się zadowolona z tej odpowiedzi, ponieważ Jefimow był rosyjskim Żydem, a Amerykanie uważają, że każdy ma prawo mówić o swoim narodzie, co chce.

Ale on jeszcze nie skończył.

- Zwróćcie uwagę, że obecnie większość utalentowanych młodych skrzypków pochodzi z Azji. Znowu mamy rodziców, którzy pragną być zaakceptowani na Zachodzie. Wszyscy wiemy, że Azjaci to najpracowitsi ludzie na świecie, więc pod względem czysto technicznym są znakomici. Jednak według mnie w ich wykonaniu czegoś brak. Nie mają gry na skrzypkach we krwi, tak jak my. Proszę posłuchać Chińczyka grającego na swoim prymitywnym ludowym instrumencie - muzyka będzie piękna, pełna znaczeń. Ale na skrzypkach? W ich grze brak serca.

Amerykanka była zbulwersowana. Delphine postanowiła podać mille-feuille nieco wcześniej, niż planowała.

Tydzień po tamtym obiedzie przyszedł list od samego Rogue'a. Chciał oficjalnie poinformować, że jest zainteresowany kupnem skrzypiec. Był gotów zapłacić za nie dwa miliony dolarów. Delphine policzyła w pamięci - było to więcej, niż przed pięciu laty zapłacili za sklep, i więcej, niż kosztował ich dom. Ale wiedziała, że mąż nigdy nie zgodzi się na sprzedaż stradivariusa.

- Mógłbyś mu go wypożyczyć - sugerowała. - Będzie ci miło posłuchać, jak na nim gra.

- Rzeczywiście - odparł Henri, ale nie wracał do tematu przez ponad rok. Właśnie

zwrócił mu skrzypce młody francuski solista i nie był jeszcze gotowy na to, by się z nimi rozstać.

W pewien wiosenny czwartek 2001 roku Delphine obsługiwała jedyne w sklepie klienta - kolekcjonera z Londynu. Przyszedł obejrzyć osiemnastowieczną wiolonczelę Tononiego. Delphine wyszukała o nim informacje w internecie. Był wiceprezesem wielkiej agencji reklamowej i zarabiał milion funtów rocznie. W wolnym czasie, w ramach hobby, kolekcjonował instrumenty.

- Może obejrzy pan smyczek, który niedawno udało nam się kupić - zaproponowała właśnie po angielsku, kiedy do sklepu weszła kobieta w ciemnym kostiumie.

Delphine wyjęła smyczek z futerału i podała Anglikowi.

- Tourte père. - Wciągnęła powietrze, jakby smyczek był skropiony dobrymi perfumami. - Ten, kto ostatni nim grał, lekko uszkodził szpic. Pęknięcie jest ledwie widoczne, lecz oczywiście obniża wartość. Mimo to uważam, że to piękna rzecz.

Kobieta zatrzymała się w drzwiach. Patrzyła na Delphine.

- Une moment, s'il vous plaît - powiedziała Delphine do klienta. Ogarnęło ją podniecenie. Jeśli uda jej się sprzedać wiolonczelę i smyczek, będzie to największy tygodniowy obrót od miesiąca. Henri bardzo się ucieszy. Podeszła do kobiety i zapytała: - W czym mogę pomóc?

- Nazywam się Helena Kaufman - odparta przybyła tonem, jakby jej nazwisko mogło być Delphine znajome. - Przychodzę w imieniu Międzynarodowego Kongresu Żydów.

Chyba zauważyła, że Delphine nie wie, o co chodzi.

- Czy mogłabym rozmawiać z właścicielem? - zapytała.

-To ja.

Helena Kaufman wyglądała na zaskoczoną.

- Czy właścicielem sklepu nie jest już Henri Petit?

- To mój mąż. Pojechał do Berlina wycenić instrumenty. O co chodzi?

- Przepraszam. - Kobieta westchnęła. - Nie chciałam być niegrzeczna. Po prostu przyjechałam aż z Brukseli pociągiem Eurostar, żeby z nim porozmawiać.

- Mąż spodziewał się pani wizyty?

- Nie. Ale nie odpisał na żaden z moich listów, więc postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce - powiedziała. - Otrzymali państwo moje listy?

Delphine nie miała pojęcia, o czym ona mówi.

- Ja nie - odparła w końcu. - Może Henri.

- Czy znajdzie pani dla mnie chwilę czasu? - zapytała kobieta przyciszonym głosem, spoglądając na Anglika. - Wiem, że to może być krępujące.

- Ale o co chodzi?

- Staramy się skontaktować z jak największą liczbą właścicieli - wyjaśniła kobieta.

- Właścicieli czego?

- Och, rzeczywiście nie czytała pani moich listów. Właścicieli skrzypiec. Zwłaszcza



skrzypiec wykonanych przez Stradivariiego, Guarneriego i Amatiego. Najlepszych. Być może nie wie pani o tym, madame Petit, ale tysiące najznakomitszych instrumentów na świecie należało kiedyś do Żydów, którzy zginęli lub musieli uciekać w czasie wojny. Naziści poszukiwali takich instrumentów. Chcieli wykorzystać je na uniwersytecie, który miał powstać w rodzinnym mieście Hitlera. Wielu ludzi zabili tylko po to, żeby zdobyć skrzypce podobne do tych, które należą do państwa.

Delphine nigdy o tym nie słyszała. Zastanawiała się, dlaczego Henri nie wspomniał jej o listach.

Zaprowadziła kobietę do foteli stojących przy drzwiach i obitych pluszem i zachęciła gestem, by zajęła ten, na którym sama siedziała przed laty, słuchając, jak dzieci François Dubray rozmawiają z jej późniejszym mężem.

- Proszę zaczekać. To potrwa kilka minut - powiedziała i wróciła do Anglika.

- Macie tu w sklepie stradivariusa? - zapytał z nutką rozczarowania w głosie, jakby uważał, że gdyby o tym wiedział, wyszedłby ze skrzypcami ze sklepu już pół godziny temu.

- Nie, należy do kolekcji mojego męża - odparła.

Czuła niepokój. Chciała, żeby klient już wyszedł, wszystko jedno z czym.

Anglik kupił wiolonczelę i powiedział, że zastanowi się nad smyczkiem. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Delphine podeszła do Heleny Kaufman i usiadła w stojącym naprzeciwko niej fotelu.

- Powiedziała pani, że naziści kradli stradivariusy - zaczęła. - Co to ma wspólnego z moim mężem?

- W chwili kradzieży instrumenty miały wartość głównie sentymentalną - powiedziała kobieta. - Większość z nich była w danej rodzinie od pokoleń. Ci, którym udało się przeżyć obozy koncentracyjne, bardzo dużo stracili i nie myśleli o czymś tak nieistotnym jak skrzypce. Teraz jednak te instrumenty są warte miliony. Staramy się je zwrócić rodzinom prawowitych właścicieli.

Delphine zrozumiała, dlaczego Henri nie odpowiadał na listy - nie był zainteresowany oddaniem stradivariusa.

- Rozumiem, że to kłopotliwa sytuacja. Ale mój mąż odziedziczył skrzypce po swoim ojcu. Jest do nich bardzo przywiązany.

- A kiedy jego ojciec je kupił? - chciała wiedzieć kobieta.

- Chyba w latach pięćdziesiątych.

Helena Kaufman pokiwała znacząco głową i popatrzyła na Delphine tak, jakby powinna się ona wstydzić.

- Podejrzewamy, że Salisbury jest jednym z instrumentów, które zostały skradzione - oznajmiła. - Pewnie pani wie, że przed nabyciem skrzypiec przez pani teścia nie zweryfikowano dokumentów.

Ojciec Delphine zabrał ją kiedyś, by zobaczyła Memoriał des Martyrs de la

Deportations, pomnik ku czci dwustu tysięcy Francuzów, którzy zginęli w nazistowskich obozach koncentracyjnych. Z siedemdziesięciu ośmiu tysięcy Żydów wywiezionych z Francji - w tym jedenastu tysięcy dzieci - ocalało tylko dwa i pół tysiąca. Delphine prześladowało potem wspomnienie ciemnego korytarza oświetlonego dwudziestoma tysiącami kryształowych lampek upamiętniających ofiary i wyrytego na podłodze napisu: Poszli na koniec świata i nie wrócili.

Potem miesiącami śniły jej się koszmary. Gdy pewnego wieczoru rozplakała się, pytając ojca, dlaczego ją tam zaprowadził, po raz pierwszy opowiedział jej o życiu w Paryżu pod rządami nazistów. Nigdy nie zapomniał początku okupacji, widoku ludzi i zwierząt uciekających z miasta, wsiadających do pociągów, nie dbając o to, dokąd jadą. Niemieckich żołnierzy maszerujących Polami Elizejskimi. Flagi ze swastyką wiszącej na hotelu Le Meurice. Benzyna była na kartki, więc tylko nieliczni jeździli samochodami. Większość używała rowerów.

Brakowało opału i żywności. Wszyscy chodzili głodni i wychudzeni. Dziadkowie Delphine i ich sąsiedzi trzymali w mieszkaniach kury. Gdy rozeszła się wieść, że rzeźnik ma na sprzedaż mięso, kolejka ustawiała się już o czwartej rano, chociaż było to nielegalne.

Starszego kuzyna ojca aresztowano i rozstrzelano za to, że przebywał na ulicy po godzinie policyjnej. Zwykle drobnych wykroczeń nie karano aż tak bezwzględnie, jednak tego samego dnia ludzie z ruchu oporu zastrzelili niemieckiego żołnierza. W takich sytuacjach Niemcy zabijali w odwecie dwudziestu Francuzów bez względu na to, czym zawinili.

Wiele osób po prostu zniknęło, a pozostawione przez nich rzeczy były jedynym dowodem na to, że w ogóle istnieli. Pewnego1 wieczoru zabrano Żydów, którzy mieszkali obok ojca Delphine w dzielnicy Marais. Potem dowiedział się, że wszyscy zginęli w Auschwitz: chudy, spokojny ojciec, wiecznie zatopiony w książkach, energiczna matka, która śpiewała, wieszając pranie, i ośmioletni bliźniacy.

Teraz przypomniało jej się to wszystko, ale powiedziała tylko:

- Nie możemy ich oddać. I skąd pewność, że właśnie te skrzypce zostały skradzione? Świat rzadkich instrumentów jest pełen tajemnic. W odróżnieniu od obrazów lub rzeźb często nie mają pełnej dokumentacji i nie zawsze wiadomo, do kogo wcześniej należały.

- W minionych latach wielokrotnie udało nam się odzyskać dobra, które naziści odebrali naszym rodakom - konta bankowe, obrazy i tak dalej. W tamtych przypadkach łatwiej jednak było ustalić powiązania. Teraz jest trudniej, ale uważamy to za nasze główne zadanie. Może nawet najważniejsze. Obraz tylko wisiał na ścianie, a skrzypce opowiedzą historię przodka, który na nich grał.

Delphine powiedziała Helenie Kaufman, że powinna porozmawiać z Henrim. Po jej wyjściu była roztrzęsiona. W nocy nie mogła spać, rozmyślała o tym, czego się dowiedziała. Koło trzeciej nad ranem poszła do gabinetu męża i otworzyła gablotę.

Przez długi czas przyglądała się skrzypcom, jakby chciała namówić je, by opowiedziały swoją historię.

W 1940 roku ojciec Delphine miał tylko dwanaście lat. Nie należał do ruchu oporu, ale podziwiał tych, którzy choćby w niewielkim stopniu uczestniczyli w walce z okupantem.

Ludzi zaangażowanych w podziemną działalność zwykle aresztowano i zabijano w ciągu pół roku. Prawdopodobnie zginęło w ten sposób około trzydziestu tysięcy Francuzów. Lecz nawet zwykli obywatele starali się pokazać, po której są stronie. Każdego ranka, gdy pociąg metra wjeżdżał na stację Jerzego V, wszyscy pasażerowie w hołdzie królowi wstawali i siadali dopiero, gdy pociąg ruszał.

Ojciec Delphine lubił anegdotę o próbie wjazdu Hitlera na wieżę Eiffla. Hitler podziwiał Paryż. Chociaż odwiedził go tylko raz, chciał, by był drugim najważniejszym miastem Rzeszy. Wuj ojca pracował na wieży Eiffla i gdy nadeszła wiadomość, że kanclerz życzy sobie wjechać na jej szczyt, wraz z innymi pracownikami szybko zepsuł windę.

Ojciec często wspominał wielkich bohaterów: Jeana Moulina, Lucie Aubrac i swoją ulubienicę, Rose Valland. Powiedział córce, że chciał ją nazwać Rose, ale jej matka się sprzeciwiła.

Podczas okupacji Valland pracowała w Galerie Nationale du Jeu de Paume. Niemcy obiecali, że zostawią w spokoju muzea i kolekcje sztuki, ale Francuzi im nie ufali. Zanim wojska okupanta wkroczyły w 1940 roku do Paryża, z Luwru wywieziono połowę dzieł sztuki. Francuzi ukryli je w krypcie kościoła Saint-Sulpice, na wsi i w różnych innych miejscach, które uznali za bezpieczne. Monę Lisę przewieziono do Tuluzi ambulansem.

Mieli rację, gdyż wszystko, co pozostało, Niemcy zabrali. Wykorzystali Jeu de Paume do sortowania i przechowywania dzieł sztuki ukradzionych z muzeów i prywatnych kolekcji, a następnie rozdzielali je między oficerów wysokiego stopnia i różne ważne figury. Naziści nie wiedzieli jednak, że Rose Valland zna język niemiecki i zapisuje, skąd dane dzieło pochodzi i komu zostało przekazane. Po wyzwoleniu Paryża była odpowiedzialna za odzyskanie czterdziestu pięciu tysięcy dzieł sztuki. Delphine zastanawiała się, co skłoniło ją do zostania bohaterką. Jakimi cechami musiała się odznaczać?

Kiedy Henri wrócił z Berlina, opowiedziała mu o wizycie Heleny Kaufman.

- Myślę, że powinniśmy coś z tym zrobić - zakończyła.
- Nie bądź niemądra. - Machnął ręką.
- Przypuśćmy, że to prawda. Ze naziści ukradli Salisbury prawowitemu właścicielowi. Teraz my także jesteśmy w to wplątani.

Henri westchnął.

- Przekonanie, że skoro naziści robili okropne rzeczy, my powinniśmy teraz za to płacić, jest absurdalne. W czasie wojny nawet nie było nas na świecie, A poza tym

stradivariusa nie można mieć na własność. Można tylko opiekować się nim przez pewien czas, a potem przekazać następnemu opiekunowi.

Delphine wydawało się, że słyszy w jego głosie nutkę desperacji, jakby próbował przekonać samego siebie, że ma rację.

- Właściwie nie znamy historii żadnego z instrumentów, które sprzedajemy lub włączamy do naszej kolekcji - ciągnął. - W ich przeszłości mogą się kryć najszcześniejsze i najtragiczniejsze wydarzenia. Jakże to ma teraz znaczenie?

Delphine w zasadzie przyznawała mu rację, ale od tamtej pory zawsze, gdy spojrzęła na skrzypce, przebiegał ją dreszcz.

Kiedy Henri wyjeżdżał, nakrywała gablotę prześcieradłem. Za każdym razem, gdy ktoś wymieniał nazwisko ewentualnego kupca, Rogue'a lub kogoś innego, ożywiła się, zapisywała wszystkie informacje i przez wiele dni przypominała Henriemu o możliwości sprzedaży.

Pięć miesięcy po wizycie Heleny Kaufman samoloty terrorystów uderzyły w wieże World Trade Center. Oglądali wszystko na ekranie telewizora, było to okropne i niewyobrażalne. Delphine płakała, myśląc o rodzinach, które w jednej chwili straciły bliskich.

- To będzie miało dla nas straszne konsekwencje - stwierdził Henri.

Jego słowa brzmiały tak egoistycznie, że Delphine poczuła wstyd, choć przecież nikt prócz niej ich nie słyszał.

- Nie bądź śmieszny - powiedziała.

Ale mąż miał rację. W interesach panował zastój. Amerykanie nie przylatywali już do Paryża, nikt nie kupował instrumentów. Tak złego roku jeszcze w sklepie nie mieli.

Henri wpadł w depresję. Często nie odzywał się całymi dniami.

Sklep przez większość czasu świecił pustkami. Długi rosły. Miewali już przedtem zastój przez miesiąc lub dwa, ale zawsze w ostatniej chwili sytuacja zmieniała się na lepsze. Tym razem martwy sezon trwał już dziesięć miesięcy i nie było widać szansy na poprawę. W czerwcu Henri oznajmił ze łzami w oczach, że sprzeda Salisbury, by ratować sklep. Pod koniec lipca Rogue miał nagrywać Koncert podwójny Bacha z pierwszym skrzypkiem Opery Paryskiej, postanowił więc, że instrument odbierze osobiście.

Przed przyjazdem Amerykanina Henri niemal każdego wieczoru po kolacji długo przesiadywał samotnie ze stradivariusem na kolanach. Głaskał go delikatnie jak starego ukochanego psa, który ma zostać uspijony. Delphine pomyślała, że gdyby na to pozwoliła, zabierałby skrzypce do łóżka.

Cieszyła się, że pozbędzie się stradivariusa, lecz jednocześnie współczuła mężowi. Ostatniego wieczoru siedzieli razem do późna, wpatrując się w szklaną gablotę. Delphine ścisnęła rękę Henriego. Był taki wrażliwy, tak łatwo można go było zranić. Zastawiała się, jak długo będzie się po tym podnosił.

- Kiedy sytuacja w interesach się poprawi, odkupimy od niego skrzypce - pocieszała

go, chociaż oboje wiedzieli, że to nieprawda.

Następnego dnia nie otworzyli sklepu. Czekali w domu na Amerykanina. Panował grobowy nastrój, choć Delphine próbowała wprowadzić świąteczną atmosferę: postawiła na stole miski ze słonymi orzeszkami i oliwkami oraz tacę tartinek.

Od ustalonej godziny spotkania minęło już dwadzieścia minut, a Rogue się nie zjawiał.

- M'a posé un lapin - powiedział Henri.

- Nie, na pewno przyjdzie.

Zjawił się spóźniony pół godziny, w ciemnych dżinsach, wy-puszczzonej na wierzch koszuli i converse'ach. Tak samo przystojny, jak Delphine go zapamiętała. Był pod każdym względem mężczyzną potężnej postury - miał głęboki dudniący głos i śmiech, szerokie ramiona, grzywę ciemnych włosów. W Berlinie, na scenie, nie wydawał się taki wielki, ale w ich mieszkaniu, tak blisko, wypełniał sobą niemal cały pokój.

Nalegał, by go nazywali P J., co Delphine wydawało się nieco dziwaczne i bardzo amerykańskie. Rozmawiali wyłącznie po angielsku, nie padło ani jedno francuskie słowo.

Niepokoilo ją, jak zachowa się Henri, ale on w towarzystwie skrzypka wyraźnie poweselał. Przyniósł stradivarius i poprosił gościa, żeby na nim zagrał. Delphine nie była pewna, czy nie chce zbyt dużo, czytała w gazetach, że Rogue'owi płacą czasem tysiąc dolarów za minutę występu, musiał jednak wypróbować skrzypce i nie miał nic przeciwko obecności widowni.

Przeprowadzono wiele prób: słuchacze nie widzieli instrumentu i nie potrafili odróżnić dźwięku stradivarius od dźwięku skrzypiec dla dzieci. Ale gdy P J. usiadł na kanapie i zagrał adagio Albiniego, Delphine zrozumiała, że tworzą z instrumentem wspianą parę. Słyszała kolor muzyki, głębokie szafirowe błękity i jaskrawe czerwienie. Dźwięk był słodki i piękny, a jednak miał też w sobie coś żalobnego. Kiedy EJ. grał, wszystkie smutne chwile z życia Delphine powróciły, nabrzmiewając w gardle łzami.

Tamtego dnia zaprosili Amerykanina na kolację do Le Florimond.

Tym razem spóźnił się tylko piętnaście minut.

- Bonjour! - powiedział na powitanie, wyraźnie wymawiając - Zgubiłem się.

Wszystkie ulice wyglądają tu tak samo.

Podczas kolacji Henri zachowywał się tak, jakby przeprowadzał oficjalny wywiad.

- A więc pochodzisz z Ohio?

- Zgadza się.

- Zadebiutowałeś na scenie w wieku szesnastu lat z Cleveland Orchestra, prawda? W następnym roku wydałeś pierwszą płytę. Studiowałeś w Juilliard School, a potem otrzymałeś stypendium Avery Fisher, przyznawane obiecującym amerykańskim wykonawcom muzyki poważnej.

Delphine ściągnęła brwi. Henri zachowywał się tak, jakby chciał poinformować E J. o jego własnym życiu.

- To prawda. Wygrałem stypendium, gdy miałem dwadzieścia jeden lat. Bardzo to przeżyłem - powiedział, chociaż ton jego głosu temu przeczył.

- Formidable - stwierdził Henri. - Opowiedz nam o nagraniu, nad którym teraz pracujesz. Oboje uwielbiamy Bacha.

EJ. otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Henri mówił dalej:

- To szczególnie trudne, biorąc pod uwagę, że Bach nie wstawiał żadnych znaków dynamicznych. Jak oddać jego prawdziwe intencje, skoro nie zachowały się oryginalne partytury?

- Z wyjątkiem koncertów klawesynowych - dorzuciła Delphine.

- No tak, ale co by powiedział Bach, gdyby usłyszał je grane na pianinie? - zapytał Henri.

Delphine się roześmiała.

- Zaraz powiesz EJ., że koncert może być grany tylko na strunach jelitowych.

- Zdumiewające, gdy się pomyśli, że muzyka Bacha żyje od niemal trzystu lat - odezwał się EJ. - Czasem zastanawiam się, co on by na to powiedział. Nie wiem, ile godzin spędziłem, studiując dynamikę i ornamentację. To chyba mój ulubiony utwór.

- A współcześni kompozytorzy? - zapytał Henri. - Nie grasz ich zbyt często, prawda?

- Wstyd powiedzieć, ale nie. Wciąż uczę się jednego koncertu rocznie i czuję, że ledwie zacząłem zapoznawać się z klasykami - wyznał EJ. - Ale współczesnych też lubię. Jestem fanem Arvo Parta. Chciałbym wykonać kiedyś jego Spiegel im Spiegel. Ale widownia woli chyba bardziej tradycyjne utwory. Chcą słuchać Brahmsa. W nim wszystko jest takie przewidywalne.

Delphine spodobały się jego słowa.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - rzekła.

- A co sądzisz o naszych francuskich kompozytorach? O Ravelu? - spytał Henri.

- Och, kocham jego muzykę.

- Ciekawe, że zdecydowałeś się nagrać Podwójny koncert z Francuzem - powiedział Henri. - Czy twoim zdaniem wykonawcy francuscy grają inaczej niż amerykańscy?

Delphine westchnęła i pokręciła głową. Jedyłą zadowalającą Henriego odpowiedzią byłoby zapewnienie, że Francuzi są lepsi pod każdym względem.

EJ. wzruszył ramionami.

- Zauważyłem, że Francuzi trzymają smyczek bardziej odsunięty od strun i unoszą wyżej prawe ramię. To sprawia, że dźwięk jest gładszy.

Delphine znów się roześmiała. To był tak niewielki, właściwie nic nieznaczący szczegół. Żadne z nich go nie zauważyło.

- Postanowiłem zagrać na Salisbury jutro podczas nagrania - oznajmił EJ. - Nie przypuszczałem, że tak szybko się z nimi oswoję, ale mam wrażenie, że jesteśmy razem od zawsze. Na wszelki wypadek przywiozłem swojego starego guarneriego,

choć po powrocie do Nowego Jorku mam zamiar go sprzedać. Już zgłosił się nabywca.

- Od jak dawna grasz na guarnerim? - chciała wiedzieć Delphine.

- Od trzech lat. Dostałem te skrzypce jako dwudziestolatek. Mój nauczyciel, wielki George Sennett, zapisał mi je w testamencie.

- Jakiego futerału używasz? - interesował się Henri.

- Futerału Bam z szelkami do noszenia na plecach. Henri uśmiechnął się zadowolony. Był to dobry futerał i, co najważniejsze, francuski. Ale cóż za nudne pytanie!

- Dlaczego tak bardzo zależało ci na kupnie Salisbury? - zapytała Delphine.

- Zawsze marzyłem, by mieć na własność stradivariusa. Głębia dźwięku jest niewyobrażalna - odparł E J.

- Muzyk pańskiej klasy powinien grać na tak znakomitym instrumencie - orzekł Henri.

- Grałem na stradivariusie już jako kilkunastolatek, ale tylko na pożyczonym.

- Sto lat temu każdy wybitny skrzypek grał na guarnerim albo stradivariusie. - Henri westchnął. - Teraz większość muzyków musi pożyczać instrumenty od fundacji czy sponsorów, którzy potem dyktują im, jak i gdzie mogą grać. To idiotyczne.

P. J. skinął głową, ale Delphine się zdenerwowała. Wolałaby, żeby mąż przestał przemawiać z taką wyższością.

- To bardzo frustrujące, być na każde zawołanie mecenasa - zgodził się P J. - Trzeba grać zawsze, kiedy tego zażąda.

Młody skrzypek w nieuchwytny sposób przypomniał Delphine jej ojca. Choć takie porównanie wydawało się groteskowe, pomyślała, że tata też był zależny od kaprysów madame Delacourt. Prosiła, żeby przychodził i grał Chopina, gdy po południu pisała listy, albo wykonywał Pieśni bez słów Mendelssohna na koktajlach dla gości. Ojciec nigdy się na to nie skarżył. Mówił, że lubi grać na jej dobrym pianinie i dzięki temu znów ma szansę poćwiczyć klasyków.

- Aż serce boli, gdy trzeba oddawać pożyczone skrzypce - mówił P J. - To po prostu nie w porządku. Muzyków na ogół stać na własne instrumenty. Z wyjątkiem skrzypków. Dobre skrzypce i smyczek potrafią kosztować więcej niż dom.

- To chyba uwzględnia umowa, którą zawierasz z menedżerem - zauważył Henri. - Po raz pierwszy podpisałeś ją jako szesnastolatek, prawda?

- Tak - potwierdził P J. - Nauczyciel zorganizował mi występ u Johnny'ego Carsona w Tonight Show, gdy miałem tylko dwanaście lat, w tym samym roku, w którym przyjęto mnie do Cleveland Institute of Music. Carson był niezrównany. Nie wyobrażam sobie, żeby dziś jakiś gospodarz programu pozwolił dzieciakowi przyjść i zagrać cały utwór Vivaldiego. W każdym razie potem zainteresowało się mną kilku menedżerów, ale jeszcze przez parę lat nie podpisałem żadnego kontraktu. Poszczyliło mi się, bo dzisiaj młodzi ludzie muszą startować w niezliczonych konkursach. Mnie było o wiele łatwiej. Choć tak naprawdę wszystkim zawdzięczam

George'owi Sennettowi. Miałem szczęście, że był moim nauczycielem.

Teraz już obaj ją denerwowali. P J. najwyraźniej przyzwyczał się, że jest gwiazdą. Przez cały wieczór nie zadał im ani jednego pytania, za to rozpływał się nad nieznanym mężczyzną, którego ukochane skrzypce zamierzał właśnie sprzedać temu, kto da za nie najwięcej.

- Może jutro po nagraniu znów wybralibyśmy się razem na obiad? - zaproponował pospiesznie Henri przy pożegnaniu. - Do naszej ulubionej restauracji w Marais. Powiedzmy o dziewiątej?

PJ. wyglądał na zaskoczonego, ale się zgodził. Delphine podejrzewała, że Henri uczeplił się go, by odwlec rozstanie z ukochanym stradivariusem. Nie byłaby zdziwiona, gdyby poprosił, aby pozwoliła mu skrzypka adoptować.

- Spotkajcie się jutro we dwójkę, dobrze? - zaproponowała, gdy wracali piechotą do domu.

- Zgoda. - Henri pokiwał głową.

Jednak nazajutrz rano, po przebudzeniu, Henri złapał się za brzuch i oznajmił, że źle się czuje. Delphine przez chwilę zastanawiała się, czy to nie depresja. Czasem zaczynała się od bólu brzucha. Często przychodziła bez ostrzeżenia: mieli bilety na koncert albo plany wyjazdu na weekend do Bretanii i musieli ze wszystkiego zrezygnować. Gdy mąż wpadał w czarny nastrój, Delphine nie potrafiła go rozweselić. Nie pomagały żarty ani opowieści, ulubione płyty, elegancka bielizna czy domowe obiady. Na całe dni pogrążał się w rozpacz i powracał do świata, dopiero gdy atak depresji mijał. Delphine obawiała się, że pewnego dnia Henri odejdzie w ciemność i już nie wróci.

Tym razem wyglądało jednak na to, że naprawdę zachorował. Pobiegł do łazienki i Delphine słyszała, jak wymiotuje za zamkniętymi drzwiami.

- Nic mi nie jest! - zapewnił, kiedy wrócił do pokoju, po czym od razu padł na łóżko.

- Merde! Jak to się mogło stać, przecież idziemy wieczorem na obiad.

Delphine uniosła brwi. Przez wszystkie wspólne lata prawie nie słyszała, żeby przeklinał.

- Na pewno Rogue znajdzie sobie jakieś ciekawsze zajęcie - stwierdziła.

- Nie! To byłoby z naszej strony niegrzeczne. Ty pójdziesz.

- Ja? Dlaczego?

- Chyba nie przywiózł ze sobą komórki. Nie ma go jak zawiadomić, że nie przyjdziemy.

- Możemy zostawić wiadomość w hotelu.

- Poświęć mu trochę czasu, kochanie. Wiem, że ci na nim nie zależy, ale postaraj się być miła. To interesy.

Wiedziała, że chodzi o coś więcej, ale się nie spierała.

Punktualnie o dziewiątej weszła do restauracji. Miała na sobie czerwoną spódnicę do kolan, białą jedwabną bluzkę bez rękawów, szal i beżowe pantofle na obcasach.



Podobnie ubierała się do pracy. Włosy upięła w luźny kok.

P J. tak samo jak wczoraj spóźnił się piętnaście minut.

- O, jak ładnie wyglądasz - rzucił. - Gdzie jest Henri?

Delphine zrobiło się miło, choć zauważyła, że nie przeprosił za spóźnienie. Kiedy usiedli przy stoliku, powiedziała, że mąż leży w łóżku z grypą.

- Bardzo mi przykro. - PJ. wyglądał na zmartwionego.

- Nie musiałaś się ze mną spotykać. Trzeba było zostać w domu i zająć się mężem.

- Sam potrafi się sobą zająć - powiedziała.

- W takim razie w porządku. Skoro jesteś pewna. - Prze\* biegł wzrokiem menu. - Co tu mają dobrego?

Siedząca obok para obrzuciła ich uważnym spojrzeniem. Restauracja była niewielka, miała tylko dziesięć stolików, a PJ. mówił głośniejszym głosem niż inni, ale chyba tego nie zauważał. Delphine zniżyła głos niemal do szeptu, w nadziei, że on zrobi to samo.

- Wszystko jest dobre - odrzekła. Zapaliła papierosa i poczęstowała PJ., ale pokręcił głową.

- Jak poszło nagranie?

- Dobrze. Potem wypełniłem obowiązki turysty, które dla ciebie są pewnie nudne jak flaki z olejem.

- Flaki?

- Nudziarstwo.

- Ach tak.

- Wjechałem na wieżę Eiffla. Strasznie długo stałem w kolejce, ale widok z góry był piękny. Byłaś tam kiedyś?

- Tylko jako dziecko. > Pokiwał głową.

- Ja nigdy nie byłem na szczycie Empire State Building, a mieszkam czterdzieści przecznic od niego. W każdym razie wjechałem na wieżę, a potem przespacerowałem się nad Sekwaną i próbowałem zwiedzić Luwr, to znaczy wszedłem do środka, ale okazał się zbyt ogromny. A to kupiłem dla matki.

- Sięgnął do papierowej torebki i wyjął z niej plastikową kulę z umieszczoną w środku małą katedrą Notre Dame, wokół której unosiły się płatki śniegu. - Zbiera takie - wyjaśnił.

- Potem posiedziałem w kawiarnianym ogródku, bo lecąc tu, przeczytałem w przewodniku, że tak właśnie należy zrobić.

Delphine roześmiała się, myśląc, jakie to amerykańskie: siedzieć w kawiarni, bo tak nakazuje przewodnik.

- I jak ci się tam podobało?

- Było miło. Chociaż niewiele różniło się od picia kawy w Nowym Jorku. Tylko więcej ludzi paliło papierosy. Paryżanki są bardzo piękne. Wiem, że to stereotyp, ale taka jest prawda. Za to język macie trudny. Teraz spędzam połowę życia, odwiedzając miejsca, w których potrafię powiedzieć tylko „dzień dobry”. Ale tutaj mam wrażenie,

że za każdym razem, gdy otworzę usta, ocenia mnie dziesięciu paryżan. Czuję się trochę niezręcznie.

Delphine się uśmiechnęła. Nie aż tak niezręcznie, żeby zadać sobie trud nauczenia się po francusku czegoś więcej niż bonjour i merci. Ale może jest niesprawiedliwa.

- Dokąd jeszcze powinienem pójść przed wyjazdem? - zapytał P. J. - Tu jest tyle do oglądania. To aż przytłacza. Znajomy znajomych radził, żebym zobaczył kanał Saint Martin.

Delphine skinęła głową. Niewiele wiedziała o tych okolicach. Nad kanałem mieszkali młodzi artyści i Henri nie lubił tam chodzić.

- Długo tu jeszcze będziesz? - zapytała.

- Dwa tygodnie. i

- Ach tak. Henri mi o tym nie powiedział.

- Nie wiem, czy mu wspominałem. Chyba nie. Zwykle nie zostaję nigdzie dłużej niż dzień czy dwa, ale tym razem postanowiłem, że zrobię sobie prawdziwe wakacje. Aż do września nie mam występów, co rzadko się zdarza. Proszę, nie zrozum mnie źle, jesteście oboje bardzo mili, ale jeśli mogę, staram się unikać towarzystwa ludzi związanych z muzyką. Słowa P. J. nie zrobiłby na Delphine większego wrażenia - na ogół myślała podobnie. On jednak chyba sądził, że ją obraził.

- Po prostu czuję się trochę nieswojo, gdy rozmawiam na tematy zawodowe - tłumaczył. - Mam czwórkę rodzeństwa i najpoważniejszym tematem poruszonym u nas w domu było to, czy oglądamy dziś w telewizji Wieży rodzinne, czy Hollywood Squares. Moi rodzice to ludzie dobrzy i niegłupi, ale niezbyt wyrafinowani. Czasem tęsknię za tamtymi klimatami.

Delphine niespodziewanie poruszyło to, co powiedział. Większość znanych jej młodych muzyków pragnęła bywać na wszystkich koncertach i imprezach w Paryżu. Opowiadali o swoich rodzinach z wyższych sfer, jakby przynależność do nich była oczywista. Uznała za niezwykle, że takie życie P. J. nie zmieniło. I zrozumiała, że wczorajszego wieczoru był po prostu uprzejmy.

- Chyba mój mąż cię nie zmęczył? Strasznie się ekscytuje - powiedziała. - Ja też nie pochodzę z wyższych sfer. Kochaliśmy z ojcem muzykę, ale niekoniecznie całą jej otoczkę. Czasem, gdy Henri zaczyna mówić o teorii, myślę o czymś innym. Ojciec dbał tylko o brzmienie.

- To zupełnie jak ja. - P. J. pokiwał głową. - Wolę grać niż mówić o graniu. Daję rocznie prawie pięćdziesiąt koncertów, a więc właściwie jeden w tygodniu. Trudno mi znaleźć w życiu miejsce na coś poza grą na skrzypcach. Kilka lat temu przenieśliem się do dużej firmy menedżerskiej. Opiekują się największymi artystami. Na litość boską, mają nawet Yo-Yo Ma. Ale ja czuję się tam jak na parkingu. Wszystko wydaje się takie bezosobowe i fałszywe. Marcy, moja menedżerka, jest świetna, jednak planuje każdy mój krok. Wymyśliła, żebym co pewien czas dawał koncert za darmo, na cele dobroczynne, tylko po to, by mieć dobrą prasę. O Boże, pewnie zabrzało to,

jakbym był skończonym draniem.

- Wcale nie.

- Chciałem powiedzieć, że ona próbuje zbić kapitał na opowieści o biednym chłopcu z małego miasteczka. Jeśli gram za darmo, to niby spłacam dług wobec społeczności, z której wyszedłem. Mnie się to wydaje wymuszone. Biedne dzieci nie chcą słuchać solo na skrzypcach, tylko dostać iPody.

Delphine przypomniał się wieczór, na którym Jefimow bardzo się dziwił, że biały chłopak ze Środkowego Zachodu potrafi tak dobrze grać. Zastanawiała się, czy to właśnie miał na myśli E J.

- Cieszysz się, że możesz tak dużo podróżować? - zapytała.

- Właściwie to nie. Nigdy niczego nie oglądam. Nie licząc pokoiów hotelowych. Zwykle gram o dwudziestej i już na scenie słyszę, jak mi burczy w brzuchu. A po występie muszę spotkać się z ludźmi, podziękować sponsorom, powiedzieć parę słów. O tej porze naprawdę umieram z głodu, a restauracje są już zamknięte. Często przed zaśnięciem muszę sobie przypomnieć, w jakim jestem mieście, żeby po przebudzeniu nie doznać szoku. I ciągle myślą mi się nazwiska. Już w dzieciństwie zawsze miałem wrażenie, że wszyscy wiedzą, jak się na-zywam, a ja nie znam nikogo.

Delphine znów pomyślała o ojcu, który kiedyś powiedział jej, że najtrudniejsze w życiu hotelowego pianisty jest pogodzenie się z anonimowością - nikt nie zadaje sobie trudu, by zapamiętać imię kogoś takiego.

- Jesteś znaną osobą - zauważyła.

- Niespecjalnie. - Roześmiał się. - Na ulicy dziewięć przecinek dziewięć osób na dziesięć nie ma pojęcia, kim jestem. Nie chcę wyglądać na niewdzięcznika. Zwykle nikomu o tym nie opowiadam, ale żyję tak od pięciu lat. I czuję się samotny. Tęsknię za moim psem.

Delphine też się roześmiała.

- Naprawdę! Wszyscy myślą, że soliści to wolni ludzie. Ale w praktyce wygląda to tak: przychodzisz, nie znasz nikogo w orkiestrze, grasz jedną próbę, potem może jeszcze jedną dla dyrygenta i koniec.

Delphine pokiwała głową. Często myślała, że to niesprawiedliwe, iż młodzi wybitni muzycy muszą decydować o swojej przyszłości wtedy, gdy jeszcze nic nie wiedzą o życiu.

- Powinieneś wziąć termos z winem i pójść o zachodzie słońca na schody przed Sacré-Coeur - poradziła. - Albo do Centrum Pompidou, jeśli lubisz sztukę nowoczesną.

Zmarszczył nos.

- No to do Musée d'Orsay - zaproponowała. Kochała Degasa. W dzieciństwie piękne baleriny, a potem Labsinth. - Albo wybierz się do muzeum Rodina - ciągnęła. - Jest wspaniałe. Wszystkie dzieła wystawione w jego domu. I kilka rzeźb Camille Claudel. Bardzo pięknych. Pełnych uczucia.

- Claudel? - powtórzył. - Kim on był?
  - Ona - poprawiła go Delphine. - Była kochanką Rodina.
  - Jak to jest, że Francuzi zawsze mają kochanki?
  - Inni mężczyźni, według ciebie, postępują inaczej?
  - Tak. Na przykład Amerykanie.
  - Bill Clinton?
  - Och, nie mówmy o nim. Chodziło mi o prawdziwych Amerykanów. Gwiazdy rocka i politycy się nie liczą.
  - A artyści? - drażniła się z nim. - Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego Amerykanie tak bardzo przejmują się prywatnym życiem urzędników państwowych. Zupełnie jakby preferencje seksualne człowieka miały związek z jego zdolnością do zarządzania.
  - A nie mają? - zapytał EJ. - Na przykład robienie laski w Gabinetcie Ovalnym podczas godzin pracy?
  - A czy miałbyś pretensję do człowieka, który by się od-stresować, wybrałby się na południowy spacer?
- Wytrzeszczył na nią oczy.
- Porównujesz spacer do uprawiania seksu oralnego ze stażystką? Już cię lubię.
  - Weźmy na przykład naszego Mitterranda. Z żoną miał synów, a z kochanką córkę. Podczas państwowego pogrzebu obie stały obok reszty rodziny i nikomu to nie przeszkadzało. Francuzi po prostu nie uważają tak jak wy, że opinia publiczna ma prawo o wszystkim wiedzieć. I nie robimy o te sprawy tyle hałasu. Oczywiście do zdrad nie dochodzi tu częściej niż u was, ale nie budzą one takiego oburzenia. Nawet Pałac Elizejski, w którym mieszkają wszyscy francuscy prezydenci, zbudowano jako rezydencję dla kochanki Ludwika Piętnastego, madame Pompadour. W Ameryce pewnie zrównaliby go z ziemią.
- Gdy podszedł kelner, P J. słuchał, jak Delphine składa zamówienie. Do obiadu wypili butelkę wina, a przy deserze po kieliszku szampana. Bez Henriego nastrój był zupełnie inny. Prawie nie rozmawiali o pracy. P J. okazał się lepszym towarzyszem, niż Delphine przypuszczała. Mówili o filmach, które widzieli lub chcieliby zobaczyć, głośnych gwiazdach filmowych i o tym, co zmieniło się w Ameryce po atakach terrorystycznych. Po obiedzie P J. uparł się, że zapłaci rachunek.
- Bardzo się cieszę, że przyszedłeś na to spotkanie - powiedział. - Dziękuję.
- Delphine wyczuła, że chce się pożegnać. Była trochę rozczarowana. Wyobraziła sobie powrót do domu i dobiegający z salonu cichy szum telewizyjnych wiadomości.
- Skoro już tu jesteś, powinieneś się wybrać także do Wersalu. Pałac i ogrody są bardzo piękne. Można tam dojechać pociągiem. Po drodze mija się różne urocze miasteczka.
  - Kto wie? Dziękuję. Hej, czy będę niegrzeczny, jeśli zapytam, czy miałabyś ochotę na jeszcze jednego drinka?

Serce zabiło jej szybciej.

- Ależ skąd. Znam przyjemne miejsce.

Kilka minut później poleciła kierowcy taksówki, żeby zawiózł ich do hotelu Crillon. Na tylnym siedzeniu, w ciemnościach, gdy EJ. sięgnął, by zapiąć pas, ich ręce się spotkały.

- Lepiej powiem Henriemu o naszych planach - rzekła Delphine.

Nawet dla niej zabrzmiało to dziwnie, ale EJ. był zajęty oglądaniem migających za oknem budynków.

- Paryż jest piękny, prawda? - powiedziała. - Drugiego takiego miasta nie ma na świecie.

Napisała SMS do męża: Amerykanin chce wstąpić na drinka. Mam nadzieję, że niedługo będę w domu.

Biedactwo, odpisał Henri. Przepraszam! 1 dziękuję, że zgodziłaś się z nim spotkać.

- Co to takiego? - zapytał EJ., wskazując coś palcem. Podniosła wzrok. Nad Ogrodami Tuileries błyszczało podświetlone koło diabelskiego młyna.

- Latem jest tam wesołe miasteczko - wyjaśniła.

- Może się wybierzemy? - zaproponował EJ.

- Teraz?

- A dlaczego nie?

Uśmiechnął się szeroko. Delphine poprosiła kierowcę, by zatrzymał się przed bramą. W środku cygańska orkiestra uderzała w tamburyny, a przy piknikowych stołach siedziały rodziny, popijając wino, jedząc naleśniki i watę cukrową. Dzieci skakały na trampolinach, ich drobne ciała zdawały się unosić w powietrzu. Ruszyli ścieżką, mijając po drodze nawiedzony dom i dwadzieścia innych atrakcji. Jakiś mężczyzna wymiotował w obracającym się wagoniku kolejki.

- Wygląda na to, że ktoś właśnie stracił obiad - stwierdził E J. Miasto o tej porze tętniło życiem. Delphine nie pamiętała, kiedy ostatnio była gdzieś po dwudziestej pierwszej, nie licząc sal koncertowych i restauracji.

Doszli do końca wesołego miasteczka, przeszli przez bramę i przecięli plac Zgody. Kiedy wchodzili przez obrotowe drzwi hotelu Crillon, Delphine skinęła głową odźwiernemu, jakby spodziewała się, że ją rozpozna, choć przecież nigdy wcześniej się nie spotkali.

Weszli do holu z białymi kolumnami z czarno-białą marmurową posadzką. Z sufitu zwisały złożone kryształowe żyrandole. EJ. popatrzył na swoje ubranie.

- Czy jestem wystarczająco elegancki? - zapytał.

- Jasne.

Przeszli obok zamkniętych drzwi butiku, na którego podświetlonych wystawach pyszniły się stroje i torebki od Diora, Prądy i Lancela. Hol rozszerzył się, a potem zwęził, minęli duże srebrne wazony pełne białych róż, wreszcie skręcili w lewo do baru o ścianach wyłożonych ciemną boazerią, z matowymi szybami w oknach i z

krzesłami obitymi czerwonym aksamitem. Wyglądał zupełnie inaczej niż w czasach, gdy Delphine była małą dziewczynką. Wtedy mieścił się w piwnicy i nie był tak elegancki. Nazywano go Amerykańskim Barem.

- Usiądźmy tutaj. - Wskazała stolik obok pianina. - To moje ulubione miejsce.

Było jeszcze wcześniej, zaledwie dwudziesta trzecia, i sala dopiero zaczynała się zapełniać. Stało w niej osiem małych stolików i dwadzieścia cztery krzesła plus osiem przy barze. Dużo mniej niż za czasów ojca Delphine.

Zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i patrzyła, jak dym ulatuje z jej ust. Odkąd była tu po raz ostatni, minęło przynajmniej dziesięć lat.

- Nie palisz - zauważyła.

- Nie. Spróbowałem kilka razy w szkole średniej. Matka przyłapała i kazała mi za karę zjeść papierosa.

- Zjeść? - powtórzyła Delphine, myśląc, że może nie zrozumiała.

- Zjeść - potwierdził i się rozejrzył. - Ładne miejsce.

- Kiedy byłem mała, mój ojciec grał tutaj na pianinie.

- Tak?

Skinęła głową.

- Czasem przez cały wieczór siedziałam przy stoliku w rogu i na niego patrzyłam. Barman przygotowywał mi drinka Shirley Temple, a kelnerzy grali ze mną w kości, gdy na sali nie było zbyt dużo ludzi. Następnego dnia zasypiałam na lekcjach.

- Brzmi niezwykle. Co prawda ćwiczenie na skrzypcach od trzech do pięciu godzin dziennie w wieku dziewięciu lat też nie jest czymś zwyczajnym.

- Chciałeś czasem mieć bardziej zwyczajne dzieciństwo? - spytała Delphine z uśmiechem.

- Tak. A ty?

- Nigdy innego nie znałam. - Wzruszyła ramionami.

- A twoja matka?

- Umarła, kiedy miałam cztery lata.

Tak utrzymywał ojciec przez większość życia Delphine. Kiedy skończyła dwadzieścia pięć lat, wyjawiał, że tak naprawdę matka ich opuściła. Pewnej nocy po prostu zniknęła. Przez czternaście lat nie miał od niej żadnych wiadomości, wreszcie dostał list od koronera z Saint-Mandé zawiadamiający, że żona zmarła, a on, jako najbliższy krewny, powinien przyjechać po ciało.

Delphine całymi tygodniami rozmyślała o tym, czego się dowiedziała. Była zdruzgotana. W końcu postanowiła wyrzucić tę wiedzę z pamięci. To, czy matka umarła, kiedy córka miała cztery lata czy też osiemnaście, nie miało przecież żadnego znaczenia. I tak odeszła i nigdy jej nie było.

Tylko Henriemu Delphine wyznała prawdę.

- Ojej - powiedział EJ. - Bardzo mi przykro.

- To było dawno temu.

- Pewnie czułaś się bardzo samotna.

Mężowi i znajomym często opowiadała barwne anegdoty z czasów swojej młodości. Wszyscy uwielbiali słuchać o tym, jak siedziała do późnej nocy w hotelu Crillon z amerykańskimi aktorami lub z paryskimi bogatymi biznesmenami i ich dziwkami. Jeśli powtarza się jakąś historię wystarczająco dużo razy, staje się prawdą. Ale teraz, siedząc w barze z E.J., przypomniała sobie wszystko. Zbyt wiele było nocy, kiedy ojciec upijał się do nieprzytomności, a ona musiała ciągnąć go do domu. Zawsze się wtedy bała. Kiedy miała jedenaście lat, jeden z biznesmenów poszedł za nią do toalety. Po tym wypadku przekonała ojca, że jest już na tyle duża, by zostawać sama w domu. Ale nienawidziła siedzenia w pustym mieszkaniu, patrzenia na zegar i czekania, aż tato wróci.

Opowiedziała teraz o tym P.J., nie wspominając o mężczyźnie w toalecie.

- Mój stary też lubi sobie wypić - wyznał P J. - Nauczyłem się od niego stu słów na określenie pijanego. Wstawiony, nawalony, ubzdryngolony, zalany, urżnięty...

Poczuła wyrzuty sumienia, gdy pomyślała, jak on to sobie wyobraża.

- Ojciec zrobiłby dla mnie wszystko - dodała szybko. - Miał wielki talent. Przed śmiercią matki występował w bardzo znanym trio. Przyjął pracę w hotelu, żeby nie jeździć z koncertami. W ciągu dnia dawał lekcje gry na pianinie, bo chciał być w domu, gdy wracałam ze szkoły. Posłał mnie do dobrego katolickiego liceum, chociaż nie mógł sobie na to pozwolić.

Dziewczęta ze szkoły Świętej Agaty traktowały Delphine okrutnie. Nie zapraszały jej na urodziny ani do wspólnej zabawy.

Gdy miała czternaście lat, ktoś rozpuścił plotkę, że próbowała uwieść młodego księdza, i od tamtej pory nikt się do niej nie odzywał. Każdego dnia liczyła minuty do chwili, gdy będzie mogła pójść do domu na lunch. Ojcu nigdy jednak o tym nie powiedziała. Pragnęła, by wierzył, że jest najszczęśliwszą dziewczynką na świecie. Czasem, gdy wchodził do kuchni, udawała, że plotkuje przez telefon z koleżankami, choć na linii nie było nikogo.

- Kiedy myślę, ile dla mnie poświęcił, serce mi się kraje - wyznała.

Przez otwarte drzwi baru zobaczyła przechodzącą przez hol pokojówkę w czarnej sukience i białym fartuszk.

- Mój ojciec był taki sam - powiedział P J. - Wszystko poświęcił dla dzieci. Trzeba to uszanować, chociaż czasem, kiedy na niego patrzę, zastanawiam się, co naprawdę chciał robić w życiu. I czy ma do nas żal. Czy gdy dorosłaś, twój ojciec na poważnie zajął się muzyką?

- Nie. Za namową swojej dziewczyny zaczął pracować w handlu nieruchomościami. Na pewien czas wciągnęła w to także i mnie. Chyba nie za bardzo lubił to zajęcie. Ja też nie. Czułam się zagubiona. Ale zarobił na tym dużo pieniędzy.

Delphine kupiła za nie sklep, którym ojciec byłby zachwycony. Zawsze uważała, że robi to dla niego, ale może kierowały ją też inne, bardziej egoistyczne pobudki.

Może w dniu, w którym poznała Henriego, próbowała udawać przed sobą, że ojciec nadal żyje. Zmarł w wieku sześćdziesięciu lat, wciąż pełen werwy.

Podszedł kelner - chudy, siwy mężczyzna w czarnym garniturze. Delphine go nie znała. Zamówili dwa kieliszki szampana.

- To najlepszy hotel w Paryżu - powiedziała. - Robią wszystko, żeby goście dobrze się tutaj czuli. Samotnie podróżującym kobietom co rano stawiają w pokoju świeże kwiaty, zostawiają pisma dla pań, menu ze specjalnie wybranymi daniami i przewodnik po najlepszych sklepach.

- Gdyby jakiś amerykański hotel tak zrobił, pewnie wytoczono by mu proces. - EJ. uśmiechnął się znacząco.

- Dlaczego?

- Feminizm.

- A ty? - zapytała. - Masz dziewczynę w Nowym Jorku?

- Nie, proszę pani. Znam wiele dziewczyn, ale o żadnej nie powiedziałbym, że to moja dziewczyna.

- A to dlaczego?

- Chyba nie mam szczęścia w miłości. Kiedyś chodziłem z pewną Shannon. Ale to było dawno temu.

- Co znaczy „dawno temu” dla dwudziestotrzylatka? - zapytała. - Jesteś właściwie niemowlęciem.

Roześmiał się.

- Zerwaliśmy przed rokiem.

- Dlaczego?

- No cóż, w ogóle nie mam czasu. Prawie się nie widywaliśmy. Była dla mnie ważna. Inteligentna, ale pochodząca z podobnej rodziny co ja. Moja matka ją uwielbiała. Myślałem, że kiedyś się pobierzemy. Ale ciągle się kłóciliśmy. Kłótnia, zgoda, potem znowu kłótnia. Zwykłe sprawy.

- Niech zgadnę, często zakochujesz się w kobiecie od pierwszego wejrzenia. Fotem spotykasz się z nią raz czy dwa, rozmawiacie całą noc, idziecie do łóżka i tracisz zainteresowanie. Pewnie nie ma w tym niczyjej winy, lecz te kobiety tęsknią za tobą, błagają, żebyś wrócił, a ty nic już do nich nie czujesz.

- Może i tak. - Popatrzył na nią uważnie, przechylając głowę.

- Mieszkasz w wielkim mieście i trafia ci się wiele okazji. Nie możesz im się oprzeć i zachowujesz się jak łakomy chłopiec w sklepie z czekoladkami.

- Mówisz jak ekspertka.

- Może. Jesteś typowym un cavaleur. Lubisz zdobywać, - Wolę uważać się za romantyka. Roześmiała się.

- Nie wywarłem na tobie najlepszego wrażenia? - zapytał tonem, jakby był bardzo z siebie zadowolony.

- Jesteś młody, nie możesz nic na to poradzić.



Wciąż wspominała o młodości EJ., jakby próbowała sobie udowodnić, że nie flirtuje z nim, a tylko go poucza. Lubiła bezpieczny flirt, zwłaszcza w obecności Henriego. Odkąd wyszła za mąż, mężczyźni traktowali ją inaczej. Ale ta sytuacja wydawała się bardziej niebezpieczna.

- A co z Henrim? - zapytał EJ. - Ile on ma lat, sześćdziesiąt? Pewnie jest od ciebie trzydzieści lat starszy?

- Nie staraj się mi przypochlebiać.

- Mówię poważnie. Dlaczego piękne kobiety wiążą się ze starszymi mężczyznami? Powinnaś dla odmiany dać szansę komuś młodszemu.

Jego słowa zawisły w próżni, a po chwili zjawił się kelner z szampanem. Delphine poczuła się tak, jakby byli dwójką dzieci, które w ostatniej chwili uniknęły przyłapania na ściąganiu. Upiła mały łyk szampana, żeby się uspokoić. Powinna zakończyć tę rozmowę. To nie w porządku wobec jej biednego męża.

- Henri ma tylko pięćdziesiąt pięć lat - wyszeptała. - Jest między nami piętnaście lat różnicy.

Zwykle nie mówiła nikomu, w jakim jest wieku, ale cały ten wieczór z Amerykaninem wydawał się nierealny.

- Żadne z was na tyle nie wygląda - stwierdził EJ. - Jesteś piękna. Ludzie muszą ci to mówić przez cały czas. Fewnie podchodzą i zatrzymują cię na ulicy.

- Chyba za dużo wypiełeś. - Delphine się roześmiała.

- Nie chcę obrazić starego Henriego, ale nie zdziwię się, jeśli codziennie pada na kolana i dziękuje Bogu, że obdarzył go taką cudowną kobietą jak ty.

W rzeczywistości, chociaż Delphine przez całe życie słyszała od mężczyzn, że jest piękna, Henri rzadko robił uwagi na temat jej wyglądu.

- Męża bardziej interesuje uroda instrumentów niż kobiet - odparła.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, zrozumiała, że się upiła. Powinna iść do domu. Dokończy drinka i wyjdzie. A tymczasem zmieni temat na neutralny.

- Podoba ci się ta piosenka? - zapytała. Pianista był właśnie w połowie doskonałej interpretacji Night and Day, jednego z jej ulubionych utworów.

- Bardzo. Uwielbiam Cole'a Portera.

- Och, ja też. A skoro mowa o pianinie, z tym miejscem wiąże się interesująca historia. W czasach, gdy był to jeszcze prywatny dom diuka de Crillon, Maria Antonina brała tu lekcje gry na pianinie. W hotelu jest apartament, w którym zatrzymywał się Leonard Bernstein. Stoi tam w salonie piękne drewniane pianino. Nigdy go nie widziałam, ale podobno wygląda wspaniale.

- Może pójdziemy na górę i je obejrzymy? - zaproponował.

W tej samej chwili położył ciepłą rękę na udzie Delphine. Zdumiało ją, że w ogóle nie jest zdziwiona. P J. pochylił się i ją pocałował.

- Jesteś najcudowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Ile razy tak ci się wydawało? - zapytała. Nawet nie wyobrażał sobie, jak bardzo

pragnęła, by jego słowa okazały się prawdą.

- Jeśli pójde do recepcji i wynajmę pokój, czy pójdziesz ze mną na górę? - wyszeptał. Poczwała, jak sztywnieją jej sutki, a po nogach przebiega dreszcz.

- Chyba powinnam cię spoliczkować za taką propozycję. Pocałował ją jeszcze raz, kładąc rękę na jej włosach, a potem wstał od stołu.

- Daj mi dwie minuty.

Delphine skinęła na kelnera i zapłaciła rachunek, jakby nic innego w życiu nie robiła. Każdy drink kosztował tu dwadzieścia euro. Wiedziała, że cena pokoju waha się w granicach dziewięciuset euro za noc. Chociaż spędziła w tym hotelu tyle czasu, nigdy nie była na górze.

Po powrocie P J nawet nie wspomniał o cenie pokoju ani o tym, że ma już zarezerwowany całkiem przyzwoity nocleg gdzieś w Dzielnicy Łacińskiej. Po prostu wyciągnął rękę i powiedział:

- Chodź.

W windzie przywarli do siebie. Delphine oparła się ścianę, czując na całym ciele rękę P J. Jego pocałunki były namiętne, wręcz brutalne. Szli korytarzem, całując się, wtuleni w siebie, co kilka kroków objając się o ściany.

PJ. otworzył drzwi pokoju i nim Delphine zdążyła usłyszeć, jak się zamykają, uniósł ją i rzucił na łóżko, jakby nic nie ważyła. Zdjął jej majtki, a potem opadł na kolana i delikatnie rozsunął jej nogi.

Kiedy skończyli się kochać, nie chciała wracać do domu. Wydawało jej się, że nie będzie w stanie opuścić łóżka. Ale minęła już północ, więc jak miałyby wytłumaczyć swoją nieobecność Henriemu?

Wstała i sięgnęła po ubranie. PJ. przyglądał się, jak je wkłada.

- Pojedziesz ze mną do Wersalu? - zapytał.

- Kiedy?

- Jutro.

- Nie wiem, czy to możliwe.

- Postaraj się. Spotkajmy się tu o dziesiątej.

Jadąc taksówką do domu, czwała się tak lekko, że mocno przyciskała rękę do piersi, bo wydawało jej się, że uleci w powietrze. Próbowwała przestrzegać samą siebie, że P J. to po prostu młody Amerykanin, który pragnie przeżyć prawdziwe francuskie wakacje: dobre wino, wieża Eiffla i naga paryżanka w hotelowym łóżku. Jednak cały czas miała wrażenie, że to coś więcej.

Kiedy weszła do mieszkania, Henri spał. Wślizgnęła się do łóżka z lękiem, że obudzi go głośne bicie jej serca, ale nawet się nie poruszył. Do rana nie mogła zasnąć. O siódmej zadzwonił budzik, a Henri przewrócił się na drugi bok i spojrział na żonę.

- Quelles nouvelles? Jak spotkanie z Amerykaninem?

- W porządku - odparła.

- Było aż tak źle?

- Nie, po prostu nie czuję się dziś najlepiej.

- Moje biedactwo - powiedział tonem, jakby zwracał się do ukochanego dziecka. - Czy mam przynieść moje specjalne lekarstwo?

Specjalne lekarstwo, które często podawała mu po zbyt obfitym lunchu było po prostu dobrą szkocką, którą trzymał w spiżarni.

- Nie. Chyba zaraziłam się od ciebie grippe intestinale. Była pewna, iż Henri rozpozna, że kłamie, ale powiedział tylko:

- Może weźmiesz sobie wolny dzień? Ja czuję się już lepiej i nie mam dziś żadnych spotkań. Mogę sam posiedzieć w sklepie.

Tymi słowami przypieczętował ich los.

Delphine leżała w łóżku, słuchając, jak w głębi mieszkania Henri przygotowuje się do wyjścia. Przedtem przyniósł jej na tacy ciepłą tartine beurrée i kawę.

- Tylko nie zacznij sprzątać w szafach albo robić innych męczących rzeczy - przykazał. - Leż i odpoczywaj.

Gdy tylko wyszedł, Delphine wzięła prysznic i się ubrała. Poświęciła dużo czasu na makijaż, dobranie perfum i bielizny. Zeszłej nocy P J. powiedział, że dziewczyny w Nowym Jorku, nawet młode, noszą wielkie, brzydkie, bawełniane majtki. Jak on je nazwał? Chyba babcine galoty. Delphine wybrała biustonosz i figi z delikatnej czarno-fiołkowej koronki.

Pojechała metrem do Crillona. Gdy pociąg stawał na kolejnych stacjach, przestrzegala się w myślach, by nie robić sobie zbyt wielkich nadziei. Może R J. po prostu zniknął? Jednak stał przed hotelem, a gdy ich oczy się spotkały, uśmiechnął się promiennie.

W Wersalu zjedli lunch w ulicznej kafejce, całując się przy stoliku jak para nastolatków. Pokazała mu malowniczy ratusz, widoczny w oddali pałac i sklep ze słodyczami, w którym sprzedawano maleńkie marcepanowe owoce i warzywa. Powędrowali przez miasteczko, trzymając się za ręce, a potem weszli do pałacu, gdzie znowu zaczęli się całować. Całowali się w Sali Lustrzanej, w ogrodach i w cieniu dębu Marii Antoniny, który jak głosiła tabliczka, królowa ocalała przed wyrwaniem w 1790 roku, niedługo przed tym, jak stanęła na szafocie.

- Dalej przy tej ulicy jest cimetière des Gonards - powiedziała, gdy po południu wracali na stację kolejową. - Leży na nim Edith Wharton.

Popatrzył na nią, nie rozumiejąc, o czym mówi.

- Pisarka - dodała.

- Och! - Wydawał się zakłopotany. - Nie znam wielu francuskich pisarzy.

- Edith Wharton - powtórzyła, starając się wymawiać słowa jak Amerykanka. Sądziła, że nie zrozumiał nazwiska z powodu jej akcentu. - Była z Nowego Jorku.

Pokręcił głową.

- Ach, tak.

Po powrocie do Paryża poszli do hotelu P J. Był mały i stał przy bocznej uliczce. P J. powiedział, że kiedyś mieścił się tu klasztor. Rozebrał Delphine przed wąskim oknem

z otwartymi drewnianymi okiennicami. Gdy prowadził ją do łóżka, słyszała trzepot gołębih skrzydeł i śmiech staruszków palących papierosy przed kinem po drugiej stronie ulicy. A potem już tylko zmieszane oddechy ich obojga.

Kochali się, a później leżeli w łóżku. P. J. zasnął z głową na jej nagiej piersi. Delphine nie mogła spać. Rozejrzała się po pokoju i zobaczyła w kącie leżącego na krześle stradivariusa. Nagle zapragnęła powiedzieć mężowi, że Amerykanin nie zamknął skrzypiec w hotelowym sejfie, lecz zostawił je na widoku. Ten brak odpowiedzialności miał w sobie coś elektryzującego.

Powinna już wracać. Henri przychodzi z pracy o dziewiętnastej.

- Muszę iść - szepnęła. Czuła się bezbronna, żałowała, że nie siedzi teraz bezpiecznie w wiejskim domu, gdzie mąż w sąsiednim pokoju czyta Zolę lub najnowszą powieść Jeana Echnoza.

- Jeszcze nie - zaprotestował P.J., ale Delphine podniosła się z łóżka.

Gdy wieczorem Henri wrócił do domu, leżała w szlafroku na kanapie i udawała, że śpi.

E. J. zadzwonił do niej koło północy. Czekwała na to, ściskając w dłoni komórkę, drżąc z oczekiwania. Gdy tylko telefon zawibrował, pobiegła do łazienki na korytarzu.

- Muszę cię zobaczyć - powiedział. - Czy mogłabyś teraz Przyjechać?

- Nie! - odrzekła ze śmiechem.

- No to jutro. Proszę.

Między dwunastą a piętnastą sklep był zamknięty. Umówiła się z P. J. w Brasserie Élise o dwunastej trzydzieści.

Gdy Delphine powiedziała, że chce zjeść lunch ze starym przyjacielem ojca, który przyjechał z Tuluzy, Henri tylko skinął głową.

- Muszę wrócić prawie pod nasz dom - dodała. - Zatrzymał się niedaleko rue Cler.

Przygotowała sobie to wyjaśnienie, na wypadek gdyby zobaczył ją ktoś z sąsiadów i potem wspomniał o tym Henriemu. Pomyślała, że jej słowa zabrzmiały sztywno i sztucznie, ale mąż odparł:

- Lepiej weź samochód. Ja i tak mam dzisiaj mnóstwo papierkowej roboty.

- W porządku.

Brasserie była cztery przecznice od ich domu. Kiedy Delphine zobaczyła czekającego tam na nią P. J., bez słowa wzięła go za rękę i zaprowadziła do mieszkania. Każdy prozaiczny szczegół nagle wydał jej się ekscytujący - pchnięcie ciężkich drzwi prowadzących na dziedziniec, obrócenie klucza w zamku, wejście do windy i zaciągnięcie krat, pocałunek, gdy jechali na drugie piętro. Kochali się, a potem Delphine, stojąc w kuchni, patrzyła, jak P. J. siedzi bez koszuli przy stole i przegląda wczorajszy „Le Monde”. Pasował do tego miejsca. Widziała w myślach nadchodzące lata i ich dwoje siedzących razem w przy kuchennym stole.

Następnego dnia był piątek. Wieczorem Delphine i Henri mieli jak zwykle wyjechać na wieś. Powiedziała sobie, że nie ma innego wyjścia i może dobrze się składa -

powinna złapać oddech i otrząsnąć się z tego głupiego romansu. Nigdy dotąd seks nie dostarczał jej tak silnych przeżyć, ani z Henrim, ani z nikim innym. Musiała jednak pamiętać, że P J. to artysta, do tego bardzo utalentowany. Chociaż kochał się z nią, jakby rzeczywiście był w niej zakochany, nie musiała to być prawda. W przeszłości zbyt wiele razy dawała się na to nabrać.

Zapowiedziała, że przez weekend jej nie będzie. P J. protestował, ale przypomniała mu, że potem będą przecież mieli przed sobą jeszcze cały tydzień. Była dumna z takiego rozwiązania, lecz o szesnastej jej wola zaczęła słabnąć. O siedemnastej na myśl o rozstaniu z P J. miała skurcze żołądka. O osiemnastej, gdy zamykali sklep, powiedziała do męża:

- Cały tydzień jestem jakaś nieswoja. Źle się czuję.

- Wiejskie powietrze dobrze ci zrobi - odrzekł Henri. - Nie mogę się doczekać poniedziałkowego poranka. Czy wspominałem ci, że z Galway przyjeżdża Seamus O'Malley?

Delphine zrobiło się słabo. Była za mało przekonująca.

- To jeden z czterech najlepszych wytwórców dud irlandzkich na świecie - dodał Henri.

- Czy będzie ci bardzo przykro, jeśli tym razem zostanę w domu? - Słowa same wydostały się z jej ust, zupełnie jakby wypowiedział je ktoś inny.

Henri wyglądał na przejętego.

- Nie muszę jechać na wieś. Jeśli wolisz, oboje zostaniemy w mieście.

- Nie, nie. Ty jedź. Wiem, że czekałeś na sobotni koncert muzyki kameralnej. Poza tym, nie obraź się, ale chętnie pobędę sama.

- Zrobiłem coś nie tak? - zapytał.

- Ależ skąd. Po prostu kobieta potrzebuje trochę czasu dla siebie.

- Niech będzie. Jeśli tego właśnie chcesz.

Delphine poszła do hotelu PJ., spodziewając się, że będzie tam na nią czekał. Ale on oczywiście zwiedzał Paryż. Weszła do holu, gdzie był samoobsługowy bar. Nalała sobie kieliszek białego wina i wrzuciła do koszyka pięć euro. Potem usiadła przy stoliku i przez blisko godzinę patrzyła na wchodzących i wychodzących turystów, niosących torby z zakupami i mapy. Wyobrażała sobie wszystko, co najgorsze: może odleciał już do Nowego Jorku, a może wejdzie do hotelu z inną kobietą? Gdy wreszcie się zjawił i zobaczył siedzącą w holu Delphine, minął ją i musiał spojrzeć po raz drugi, by upewnić się, że to naprawdę ona.

- To ty! - wykrzyknął uszczęśliwiony. - Myślałem, że mi się wydawało. Od wczoraj wciąż mam przed oczami tylko twoją twarz.

Spacerowali nad Sekwaną, mijając bukinistów sprzedających stare książki i plakaty. Na rzece błyszczały światłami łodzie, na ich pokładach stali ludzie i machali do przechodniów. Delphine i R J. także im pomachali, dwoje flaneurs bez planów i zobowiązań. Paryż, jej rodzinne miasto, w towarzystwie P. J. wydawało się zupełnie

inne. Nawet drzewa rosnące wzdłuż rzeki nagle nabrały życia, a końce gałęzi rozbłysły zielenią.

Wstąpili na obiad do małej restauracji. Gdy wyszli na ulicę, Delphine ze zdziwieniem stwierdziła, że słońce już zaszło. Zapytała E. J. o godzinę - była pierwsza w nocy.

Na brzegu rzeki zgromadziły się dziesiątki młodych imprezowiczów. Śpiewali, tańczyli i rozbijali na bruku puste butelki po winie. E. J. śmiał się, patrząc na to z chodnika.

- Idziemy tam? - zapytał.

Delphine zaczęła protestować, powiedziała, że jest za stara na takie rzeczy, lecz nagle przyszło jej do głowy, że to nieprawda. Prowadzi tylko stateczne życie. Pocałowała P. J., wzięła go za rękę i pociągnęła najbliższymi schodami nad wodę.

Resztę weekendu spędzili w jej łóżku. Godzinami na przemian rozmawiali i się kochali, aż wreszcie ktoś z nich uświadomiło sobie, że przez cały dzień nic nie jedli. Późnym wieczorem w sobotę Delphine usmażyła kochankowi krwisty stek.

W niedzielę rano obudziła się sama w łóżku i zastała go w salonie. Otworzył okiennice i wyglądał na dwór. Na podłodze kładły się plamy światła.

Zabrała go na gwarny targ za wiaduktem na boulevard de Grenelle, gdzie chodziła dwa razy w tygodniu. Wzdłuż alejki stała setka straganów, na których piękno i ekspozycja towaru były równie ważne jak smak. Sprzedawano tu najdojrzalsze czereśnie i jagody, rabarbar, wielkie pomidory, bakłażany i karczochy, grzyby długie i cienkie albo szerokie i grube. Inni sprzedawcy oferowali trzydzieści różnych gatunków oliwek w prostych kwadratowych pudełkach oraz wszystkie gatunki ziół i orzechów, jakie tylko można sobie wyobrazić. P. J. zrobił zdjęcie poissonneries, gdzie na lodzie i liściach ułożono srebrzyste rybie głowy, małże, pstrągi i półprzejrzyste fioletowe ośmiornice. Delphine pokazała mu fromagerie, stoisko z serami prowadzone przez ojca i córkę. Leżało na nim ponad dwadzieścia wielkich serowych kół, a sprzedawcy odkrawali kawałki i starannie zawijali je w bladoniebieski papier. Na stoisku z mięsem i wędlinami stały kadzie z bœuf bourguignon oraz paellą, a na różnie obracały się petits poulets. Rzeźnik w białym fartuchu poplamionym krwią flirtował z każdą starszą panią ciągnącą wózek z zakupami. Na straganach z kwiatami sprzedawano rozkwitłe róże i kalie. W powietrzu unosiła się mieszanka niebiańskich woni, przypominająca o tym, jaką rozkoszą są dobre jedzenie i picie.

Wracali do domu avenue de la Motte Picquet, jedząc po drodze jaskrawoczerwone fraises. Delphine z przyjemnością obserwowała E. J. patrzącego na wieżę Eiffla, którą ona oglądała codziennie.

- Nie chcę wyjeżdżać z Paryża - wyznał.

- To nie wyjeżdżaj - odparła. - Jesteś artystą. Możesz mieszkać wszędzie.

W tamtej chwili wierzyła, że to prawda. Że zawsze będą mogli żyć tak jak teraz. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że kochanek wyjedzie.

- Moje życie jest w Nowym Jorku - powiedział. - Nie odpowiadaj od razu, po prostu

zastanów się nad tym. Czy pojechałabyś ze mną?

- Przecież nie mogę.

- Wiem, że to bardzo niedogodne, ale zakochałem się w tobie.

- Nie mów tak - zaprotestowała, choć czuła, że sama niedługo straci głowę. Powtarzała sobie, że musi być silna; mężczyźni tacy jak P J. składają obietnice, a potem nigdy ich nie dotrzymują.

- Dużo o nas myślałem - ciągnął. - Jestem pewny, że to coś poważnego. Nie dlatego, że spotkaliśmy się tu, w Paryżu, a ty jesteś niedostępna. Nie chodzi nawet o to, że jesteś piękna. Kocham cię. To wszystko.

W milczeniu skinęła głową, bojąc się, że jeśli tylko się odezwie, złoży jakąś obietnicę.

- Jeśli tego chcesz, przeprowadzę się do Paryża, ale nie w sytuacji, gdy jesteś żoną innego mężczyzny i musimy się ukrywać - oświadczył.

Delphine po raz pierwszy podczas weekendu pomyślała o Henrim. Siedział samotny w wiejskim domu, do którego jeszcze nigdy nie pojechał bez niej. Pewnie spędza wolne dni, czytając, słuchając muzyki i martwiąc się o swoją dziwną żonę, która przez cały tydzień wydawała się nieswoja. Jadł niewiele, bo nie miał kto przypomnieć mu o jedzeniu. W kawalerskich czasach Henri żywił się zupami ze słoików.

- Czy ty w ogóle jeszcze kochasz swojego męża? - odezwał się EJ. - Przepraszam, nie powinienem o to pytać.

- Nigdy nie byłam w nim zakochana, nie czułam tego, co teraz. Ale nie tylko o to chodzi.

W oczach E J. zobaczyła błysk nadziei, choć nie powiedział ani słowa.

W poniedziałek strajkowali pracownicy metra. Cały ranek, porządkując sklepowe papiery i pokazując matce z synkiem kilka niedrogich afrykańskich instrumentów - balafon i podwójny flet z Egiptu - Delphine myślała o E J. W południe zadzwonił i oznajmił, że przyjedzie do niej taksówką. Zamknęła sklep i podczas przerwy na lunch wybrali się na długi spacer po Montmartrze. Henri wygłaszał wtedy wykład na Sorbonie. Delphine pokazała EJ. stojącą przy wąskiej uliczce kamienicę, w której mieszkała w dzieciństwie. Była skromna, chociaż od eleganckiego sąsiedztwa pełnego voies privées dzieliły ją tylko dwie przecznice.

- Mieszkaliśmy na piątym piętrze - opowiadała. - Bez windy. W Paryżu bogaci i biedni żyją obok siebie, w jednym budynku. Im kto biedniejszy, tym mniejsze i wyżej położone mieszkanie zajmuje.

P J. roześmiał się, a na widok ceglanej kamienicy, w której mieszkała Delphine, zanim przeprowadziła się do Henriego, westchnął z podziwem.

- Piękna - powiedział, robiąc jej zdjęcie. - Jakim cudem twojego ojca było na to stać?

- Właścicielka domu go lubiła. Dawał jej i jej znajomym lekcje gry na pianinie. I grał dla niej, kiedy tylko sobie zażyczyła.

- Pewnie go to denerwowało.

- Chyba uważał, że to uczciwa transakcja.

- Może miał rację.

Delphine była dumna ze swojego domu i cieszyła się, że EJ. też się spodobał.

Wzięła go pod rękę i zeszli krętymi uliczkami na boulevard de Clichy, pełen podejrzanych sex-shopów. Tu i ówdzie widać było sklepik ze zdrową żywnością lub butik, świadczące o tym, że Montmartre stał się o wiele lepszą dzielnicą.

- To była kiedyś quartier populaire. Kiedy byłam mała, na rogu naszej ulicy stali transwestyci pracujący jako prostytutki - opowiadała. - Ojciec twierdził, że dobrze się składa, bo przynajmniej ktoś ma wszystko na oku.

Nigdy nie wspomniałaby o czymś takim Henriemu, ale wiedziała, że EJ. to rozbawi, i się nie pomyliła.

- No proszę. Lepsze niż straż sąsiedzka - uznał, zamilkł na chwilę, po czym dodał: - To moja ulubiona część Paryża.

We wtorek kochali się w jego pokoju hotelowym. Delphine powiedziała mężowi, że ma wizytę u lekarza. E J. wylatywał w sobotę wieczorem i świadomość tego wisiała w powietrzu. W środę Delphine nie mogła wyjść ze sklepu. Przez cały czas myślała tylko o kochanku, o jego ustach, dłoniach i każdym słowie, jakie zamienili ze sobą podczas minionego tygodnia.

Dopiero w czwartek wróciła do jego propozycji.

- Wiesz, że jeśli z tobą wyjadę, porzucę wszystko. Całe moje dotychczasowe życie.

- Zdaję sobie z tego sprawę - zapewnił E J.

- Czy to nie za duże obciążenie dla mężczyzny w twoim wieku?

- Jesteś kobietą mojego życia. Wiem o tym.

- A co będzie, jeśli zmienisz zdanie?

- Nie zmienię.

- A biedny Henri? Jak ja mu to powiem?

- Myślałem, że wszyscy Francuzi mają romanse, a ich współmałżonkom to nie przeszkadza.

- Oglądałeś za dużo filmów. Poza tym tu nie chodzi tylko o romans.

Zaczęła szlochać. Kiedy P. J. zapytał, dlaczego płacze, odpowiedziała, że nie wie, ale w rzeczywistości dopiero teraz dotarło do niej, że się zakochała. I że rozważa odejście od męża.

Delphine żałowała, że nie ma choć jednej dobrej przyjaciółki, do której mogłaby zadzwonić i poprosić o radę. Koleżanki ze studiów powychodziły za mąż i urodziły dzieci, dawno straciła z nimi kontakt. Kiedy spotkała Henriego, była sama na świecie, a wszyscy, których potem poznała, stali się znajomymi ich obojga. Pragnęła porozmawiać z ojcem, zastanawiała się nawet, czy wybrać się na jego grób, ale co by to dało? Nie mógł już jej udzielić żadnej rady. Musiała sama podjąć decyzję.

W piątek nie poszła do pracy, żeby wszystko spokojnie przemyśleć. Spacerowała ulicami Paryża, starała się być rozsądna, rozważała różne możliwości. Mogła podjąć ryzyko i rzucić na szalę wszystko, małżeństwo, pracę, rodzinne miasto, albo mogła



pozwolić P J. odlecieć jutro do Nowego Jorku, a sama wrócić do normalnego życia, nudnego jak flaki z olejem.

Zawsze w sierpniu zamykali sklep. Za tydzień mieli wyjechać na trzy tygodnie na wieś. Do spokojnego i cichego domu. Nie była pewna, czy zniesie konfrontację z własnymi myślami.

Gdy rozważała względy praktyczne, odejście od męża nie miało sensu. Zresztą ryzyko było zbyt duże. Chciała wywrócić swoje życie do góry nogami dla mężczyzny, którego znała dwa tygodnie. Kiedy jednak myślała o sobie jako o drobnie gwiazdnej pyłce unoszącej się wśród miliardów innych, drobnie, której życie jest niewiarygodnie krótkie i cokolwiek zrobi, za sto lat nie będzie miało żadnego znaczenia, wtedy potrafiła przekonać samą siebie, że warto spróbować. Bo dlaczego nie? Przeżyła, chociaż zostawiła ją matka. Henri też przeżyje.

W domu zaparzyła sobie tilleul z lawendą, ziółka, które dawał jej do picia ojciec, gdy w dzieciństwie była przygnębiona. Tym razem jednak potrzebowała czegoś mocniejszego i sięgnęła po szkocką Henriego.

Zanim wrócił z pracy, spakowała walizkę. Cała się trzęsała. Nalała do szklanki whiskey i podała mężowi, kiedy stał w salonie i przeglądał pocztę. Musiała to powiedzieć od razu, zanim straci odwagę. Postanowiła nie wspominać o P.J., po prostu oświadczy Henriemu, że powinni trochę od siebie odpocząć. Ale gdy tylko otworzyła usta, prawda sama się z nich wylała:

- Muszę ci coś powiedzieć. To bardzo trudne, więc powiem wprost: zakochałam się w innym mężczyźnie. To Amerykanin. Rogue. Spotykaliśmy się, a teraz on chce, żebym pojechała z nim do Nowego Jorku. Zgodziłam się. Może to błąd, ale muszę sama się o tym przekonać. Chcę spróbować.

Henri przez chwilę patrzył na nią zdumionym wzrokiem człowieka, który wszedł do cudzego mieszkania, a potem jego twarz poszarzała. Opadł na krzesło, jakby nogi nagle odmówiły mu posłuszeństwa.

- Wiedziałem, że coś się zmieniło - powiedział. - Myślałem, że jesteś w ciąży.

Ukrył twarz w dłoniach, a Delphine w końcu pojęła, jak strasznie go skrzywdziła.

- Przebacz mi - wyszeptała naiwnie. - Proszę.

Ta godzina była chyba najgorsza w jej życiu. Henri nie zadawał żadnych pytań. Nie błagał, by zmieniła zdanie. Po prostu siedział na krześle, a Delphine płakała. W końcu pocałowała go w czubek głowy i wyszła z domu.

Gdy tylko poczuła na twarzy świeży powiew, ogarnęła ją wielka radość. Obróciła się na pięcie i obdarzyła promiennym uśmiechem przechodzącego staruszka. Nigdy dotąd nie doznawała jednocześnie dwóch tak silnych, sprzecznych uczuć.

Musiał to być najbardziej niewybaczalny, a zarazem najcudowniejszy egoizm. W brasserie czekał na nią E.J. Chwycił ją w ramiona i okręcili się dookoła.

- A więc jedziemy - powiedział.

- Tak!

Postawił Delphine na ziemi, a jej wydało się, że sam zaraz się przewróci. Ale on tylko ukląkł na jedno kolano i wyjął z kieszonki koszuli pierścionek.

- Należał do mojej matki - powiedział. - Wyjdiesz za mnie ?

Wyszeptała, że tak, i przytulili się. Wtedy wsunął jej na palec pierścionek, który stuknął o ślubną obrączkę, przypominając o absurdzie całej sytuacji: jak może stać tutaj i obiecywać, że za niego wyjdzie, skoro jest mężatką?

Odepchnęła od siebie tę myśl.

- Zawsze wozisz ze sobą zaręczynowy pierścionek matki, na wypadek gdybyś nagle poczuł chęć oświadczenia się komuś? - zapytała.

- Nie. W zeszły weekend zadzwoniłem do przyjaciela w Nowym Jorku i poprosiłem, żeby mi go przysłał.

- W zeszły weekend? Ale ja wtedy jeszcze nie powiedziałam, że z tobą pojedę.

- Miałem nadzieję. - Uśmiechnął się szeroko.

Następnego wieczoru Delphine, szalona i podekscytowana, odleciała do Nowego Jorku. Wychodzę za przystojnego, pełnego życia mężczyznę, myślała, wpatrując się w E J. Zaczynam wszystko od nowa. Pragnęła opowiedzieć o tym komuś, kto ją kocha i kto by się z tego ucieszył. Dziwne, ale pomyślała o Henrim.

W końcu będzie musiała poprosić go o rozwód. I to go zniszczy. Delphine martwiła się, że mąż wpadnie w głęboką depresję i sam z niej nie wyjdzie. Miała ochotę przytulić go i pocieszyć. Ale to już nie była jej rola.

## 2012

Kate odjechała, zostawiając Toby'ego i Jeffa w hotelu. Żałowała, że nie czekają na nią jakieś obowiązki, które odwróciłyby jej uwagę od pierścionka. Jedyne, co mogła zrobić, to wrócić do domu i kontynuować poszukiwania. Na podwórku jej szwagier Josh grał z synami w piłkę.

- I co? Jak na to zareagowali? - zapytał.

- Jeszcze im nie powiedziałam - odparła, nieco zirytowana jego wścibstwem.

Przez drzwi z siatki słyszała głos Dana, który nucił Marvi-na Gaye'a, zmywając naczynia po śniadaniu. Pamiętała z dzieciństwa, że ojciec doskonale gotował. Miał bardziej elastyczne godziny pracy, więc częściej niż matka-przebywał w domu z córkami i zwykle to on szykował obiad. W ich rodzinie Kate wzięła na siebie obowiązki kucharki, a Dan sprzątał. Chcieli, aby to był partnerski związek, choć macierzyństwo uświadomiło jej, że to bardzo trudne. Dan, ubierając Avę, czasem zakładał skarpetki nie do pary, a myjąc jej włosy, zużywał czternaście razy więcej szamponu, niż to było konieczne.

Mimo to Kate nie mogła sobie wyobrazić, że sama wychowuje córkę. Miała kilka przyjaciółek na Brooklynie, które postanowiły mieć dziecko bez partnera - jedna adoptowała, a druga skorzystała z banku nasienia. Kate nigdy by się na to nie zdecydowała.

Weszła do kuchni.

- I co? - Popatrzył na nią z nadzieją.

- Nic im nie powiedziałam.

- Aha. To dobrze. Mamy więcej czasu na szukanie. Kate wzruszyła ramionami.

- Nie rozumiem, jak to możliwe, że w jednej chwili obrączka jest, a w drugiej jej nie ma. Chyba nie myślisz, że podświadomie ją gdzieś ukryłam?

- Skąd. - David się roześmiał. - A ukryłaś?

- Nie! Chociaż wiesz, co myślę na temat diamentów.

- I nie bez powodu.

- Dzięki. - Zniżyła głos. - Myślisz, że mogło ją zabrać któreś z dzieci?

- Olivia?

- Też o tym myślałam. Jak my to załatwimy?

- Jeśli wzięła obrączkę, pewnie ma straszne wyrzuty sumienia i w pewnym momencie ją odda.

- Mam nadzieję. Hej, zgadnij, ile one kosztowały? Wzruszył ramionami.

- Czternaście tysięcy dolarów za sztukę.

Na widok miny Dana przeraziła się jeszcze bardziej.

- Cholera jasna. Musimy ją znaleźć.

- Wiem.

Nagle wydawało się, że każda serwetka, sznurówka czy słoik z ciastoliną mają na celu tylko jedno - ukrycie obrączki. Kate otworzyła szufladę z rupieciami i zaczęła wyciągać z niej stare śrubokręty, pieczętiki, pudełka spinaczy i kilka literek z magnesami, które zawędrowały tam z lodówki.

- Myślisz, że tu jest? - zapytał sceptycznie Dan.

- Nie wiem. Nalał jej kawy.

- Masz, wypij. - Podając kubek, pocałował ją w szyję.

- Wydajesz się bardzo wesoły w porównaniu z facetem, obok którego obudziłam się dzisiaj rano - stwierdziła.

- Cóż, cieszę się ze względu na chłopaków. Właśnie myślałem, że równe prawa dla małżeństw to jak na razie jedyny jasny punkt tego okropnego stulecia.

- No tak. Skoro w ostatniej dekadzie dominowały terroryzm, ludobójstwo, kryzys gospodarczy, tsunami, huragany, trzęsienia ziemi, wojny i tortury, to małżeństwo w porównaniu z nimi wypada całkiem dobrze.

- Zapomniałaś napomknąć o zamknięciu sklepów z płytami.

- No tak, jeszcze i to.

- Co nie oznacza, że lata dziewięćdziesiąte były takie wspaniałe. Rodney King, Columbine, Waco. Zamach bombowy w Oklahoma City. I O. J. Simpson.

- Tak. A wszystko wydaje się wprost urocze w porównaniu z ostatnią dekadą.

- Zgadza się. Za to nikt nam nie zarzuci, że nie jesteśmy parą radosnych entuzjastów.

- Dwa promyki słońca. - Kate uśmiechnęła się szeroko. Na stole leżała dzisiejsza poczta. Kate przejrzała listy - rachunek za telefon, zaproszenie na przyjęcie urodzinowe do koleżanki Avy i kilka ulotek zaadresowanych do pani Danielowej Westley. To, że nie byli małżeństwem, nie powstrzymało nikogo przed nazywaniem jej nazwiskiem Dana lub określaniem go jako jej męża. Na ogół się tym nie przejmowała.

Gdy mała Ava po raz pierwszy zachorowała, Kate pognęła z nią na ostry dyżur do brooklyńskiego szpitala.

- Czy mogę wiedzieć, kim pani jest dla dziecka? - zapytała chłodno kobieta w okienku, gdy Kate wypełniła wszystkie wymagane formularze.

- Jestem jej matką.

- Dziecko ma podwójne nazwisko - zauważyła kobieta. - Nasz system tego nie akceptuje, musi pani wybrać jedno z nich.

Jakby żyły w 1952 roku. Jakby mnóstwo mężatek nie zatrzymywało panieńskich nazwisk i nie nadawało dzieciom nazwisk podwójnych.

Cała ta sprawa rozżłościła Kate przede wszystkim dlatego, że na Brooklynie coś takiego nie powinno się zdarzyć. Prędzej w miasteczku, w którym mieszkała May. Tam wszyscy szczylicili się przywiązaniem do tradycji, a dziewczynka, której rodzice nie wzięli ślubu, byłaby pewnie wyśmiewana. Kobiety nosiły nazwiska mężów, zupełnie jakby ruch feministyczny nigdy nie istniał. „Po prostu tak jest łatwiej”,

tłumaczyły Kate przyjaciółki. Chciały stworzyć komórkę rodzinną, a w takiej komórce wszyscy powinni nazywać się tak samo.

Kate przyznawała, że słowa mogą być źródłem nieporozumień, ale to jeszcze nie znaczy, że człowiek powinien rezygnować ze wszystkiego, w co wierzy, tylko po to, by uprościć sobie życie. Była skrępowana, gdy ludzie nie wiedzieli, jakim słowem określić Dana. Jeśli musiała, nazywała go partnerem, ale większość nieznanym sądziła wtedy, że jest lesbijką lub prawniczką. Starła się więc mówić o nim po prostu „Dan”.

Weszła do salonu. May siedziała na kanapie pomiędzy Avą a Olivią. Dziewczynki oglądały program Barney i przyjaciele. May miała włączony laptop, ale gapiła się w okno, a może drzemała z otwartymi oczami. Lubiła mówić, że od dziesięciu lat, czyli odkąd urodził się Leo, w niemowlęctwie płaczący i cierpiący na kolki, nie przespaa ani jednej nocy.

Olivia i Ava miały na głowach różowe plastikowe diademy z medalionami przedstawiającymi disneyowskie księżniczki. Olivia nosiła na piżamie różową spódniczkę baletnicy, a Ava narzucone na ramiona różowe boa z piór, na bosych nogach miała zaś różowe plastikowe pantofle na wysokich obcasach. Na widok pantofli i wszechogarniającego różu Kate poczuła się nieswojo. Nigdy wcześniej nie widziała tych rzeczy. May musiała je ze sobą przywieźć. Bez wątpienia zaraz po wyjeździe kuzynów Ava także zacznie się domagać przeznaczonego specjalnie dla jej płci gówna w cukierkowym kolorze.

Kate pragnęła, żeby ten dzień się już skończył. Niech rodzina wróci wreszcie do domu i zostawi ich trójkę w spokoju.

- Cześć - rzuciła. - Co słychać?

- Właśnie widziałam na Facebooku, że moja przyjaciółka Rachel znowu jest w ciąży - oznajmiła May.

- Och.

- Przysięgam na Boga, że jeśli nazwie swoje dziecko Amelia, poderżnę jej gardło.

Kate spojrzała na córkę. Słowa wybrane przez siostrę wydawały się nieco zbyt brutalne jak na sobotni poranek, ale Ava nie odrywała wzroku od ekranu telewizora.

- Co cię to obchodzi? - prychnęła. - Przecież nie chcesz mieć więcej dzieci. A może?

- Kto wie? Miło byłoby mieć dwie dziewczynki i dwóch chłopców.

Kate wiedziała, że wśród par z Upper East Side panuje moda na posiadanie czworga, pięciorga czy sześciorga dzieci. Mówiły w ten sposób: „Spójrzcie tylko, jacy jesteśmy obrzydliwie bogaci! Stać nas, żeby wychować tyle dzieci naraz w najdroższym mieście na świecie”. Najwyraźniej ten trend przeniósł się już do New Jersey.

- Coś wiadomo w sprawie obrączki? - spytała May. Kate pokręciła głową.

- Posłuchajcie, dziewczynki - ton siostry zrobił się stanowczy - jeżeli któraś z was wzięła obrączkę, lepiej niech się od razu przyzna, bo pożałuje.

Ava wyglądała na przerażoną - nikt nigdy nie mówił do niej w ten sposób. (A może to

poczucie winy? - zastanowiła się Kate).

- Przysięgam na wszystko - oświadczyła dramatycznie Olivia.

- Przysięgam na wszystko - powtórzyła Ava, patrząc z podziwem na kuzynkę, która miała pięć lat i wydawała jej się kobietą dojrzałą i światową.

Na ekranie telewizora Barney i jego dziwni przyjaciele zaczęli śpiewać piosenkę o rodzinie. Kate nienawidziła dzieciaków z tego programu, wyglądali jak mali członkowie sekty i mówili w sposób przesadnie radosny, a zarazem wyprany z jakichkolwiek emocji.

- Ile osób jest w twojej rodzinie? - zapytał Barney widownię entuzjastycznym tonem właśnie nawróconego chrześcijanina.

- Ile? - zwróciła się May do córki znudzonym głosem.

- Pięć! - wykrzyknęła Olivia. - Awo! Ile osób jest w twojej rodzinie?

- Pięć! - wrzasnęła młodsza dziewczynka. Olivia skrzywiła się rozczerowana.

- Nie, trzy, ty głupku.

- Olivio! - warknęła May. - Nie wyrażaj się. To pierwsze ostrzeżenie.

Na ekranie dziecko w ogrodniczkach wspięło się na stolik piknikowy i oświadczyło radośnie: „Znam pewną dziewczynkę, która mieszka tylko z mamą. Jej tata mieszka gdzie indziej. Chociaż przebywa raz z jednym, raz z drugim rodzicem, oni oboje bardzo ją kochają!”.

- Dlaczego przebywa raz z jednym, raz z drugim rodzicem? - zainteresowała się Olivia, po czym sama sobie odpowiedziała: - Bo są rozwiedzeni. Tak jak dziadek i babcia.

- Możliwe - mruknęła May.

- Rodzice mojej koleżanki Lily się rozwiedli - oznajmiła Olivia, wyraźnie dumna, że ma na ten temat coś do powiedzenia. -1 jeszcze rodzice Joego i Sarah z naszej ulicy, aleja ich nie lubię. Nie dlatego, że ich rodzice się rozwiedli, tylko bo tak.

Kate i May należały do pierwszej wielkiej fali dzieci rozwodników. Gdy Kate poszła na studia, miała więcej kolegów i koleżanek z rozwiedzionych niż z pełnych rodzin. Opowiadali okropne historie. Taylor, współlokatorka Kate na pierwszym roku, po rozwodzie rodziców przytyła trzy i pół kilograma, ponieważ w poniedziałkowe i piątkowe wieczory przenosiła się od jednego do drugiego i oboje dawali jej obiad. Nie miała serca im o tym powiedzieć. Inna dziewczyna z ich korytarza w akademiku w ósmej klasie nocowała u koleżanki, ale źle się poczuła i postanowiła wrócić do domu. Zastała matkę uprawiającą seks z sąsiadem, w czasie gdy ojciec był w podróży służbowej. Od razu mu o wszystkim doniosła, a potem przez dziesięć lat obwiniała się o rozwód rodziców. Najdziwniejszą historię opowiedział niejaki Ed. Twierdził, że wszyscy koledzy zazdrościli mu rodziców, pięknego domu, dwójki rodzeństwa i letniego domku nad jeziorem w New Hampshire. Każdego wieczoru ojciec wracał punktualnie o osiemnastej, uroczy i wesoły. Całował żonę, wystawiał pojemniki ze śmieciami na ulicę i zbierał zabawki z podwórka. Pewnego wieczoru jak zwykle

zasiadł do obiadu. Kiedy żona postawiła jedzenie na stole, ni stąd, ni zowąd wrzasnął: „Nienawidzę kurczaków!”, a potem wyszedł i więcej nie wrócił.

Problem Kate polegał na tym, że rodzice wciągali ją w każdą kłótnię. W pewnym momencie uświadomiła sobie też, iż matka ją wykorzystuje. Pytała na przykład obojętnym tonem, ile tata wydał na nowy samochód albo czy się z kimś spotyka, a potem w sądzie używała tych informacji przeciwko niemu.

- Gdzie jest mama? - spytała Kate.

- Poszła na spacer - odparła May. - Chyba denerwuje się czytaniem na ślubie.

- Ja się nie denerwuję - oznajmiła Ava.

- Grzeczna dziewczynka! - pochwaliła ją May.

Kate aż się wzdrygnęła. Nie ma nic złego w byciu zdenerwowanym ani nic specjalnie dobrego w byciu niezdenerwowanym. Zastanawiała się, czy siostrze uda się w dwa dni obrócić wniwecz całą jej trzyletnią pracę wychowawczą.

- Ja się tym wszystkim tak bardzo nie przejmuję, bo nie będzie panny młodej - oświadczyła Olivia. - Chciałabym zobaczyć księżniczkę!

May poklepała córkę po ramieniu.

- W zeszłym roku w kwietniu wstałyśmy o czwartej rano, żeby obejrzeć w telewizji królewski ślub. Przygotowałam angielskie bułeczki ze śmietanką i założyłyśmy kapelusze. Olivia była zachwycona. Inne śluby straciły dla niej cały urok.

- Chyba sobie żartujesz - prychnęła Kate.

- To był wielki dzień. Jedyna okazja w życiu. Nie pamiętasz, jak same wstałyśmy o świcie, żeby zobaczyć Dianę idącą do ołtarza? Jakie byłyśmy wtedy podniecone?

- Miałam pięć lat. Zresztą sama widzisz, co z tego wynikło.

- Olivia ma obsesję na punkcie Kate Middleton - dodała May.

- Jej szczeniaczek nazywa się Lupo. - Potwierdziła słowa matki dziewczynka, nie odrywając oczu od ekranu.

May się rozpromieniła, jakby była to najmądrzejsza uwaga kiedykolwiek wypowiedziana przez dziecko.

- Rysuje ją w przedszkolu, kiedy inne dzieci rysują niedźwiadki czy co tam chcą.

- To chorobliwe. - Kate ściągnęła brwi.

- Kate, ja po prostu próbuję z tobą rozmawiać. Dlaczego zawsze musisz być taka nieprzyjemna?

- Przepraszam. Masz rację.

May zapamiętywała daty, kojarząc je w przedziwny sposób z wydarzeniami z kultury popularnej. Nic więc dziwnego, że o ile Kate miniony kwiecień kojarzył się z Arabską Wiosną, o tyle May myślała o księżniczce w ślubnej sukni. Nie była zła czy głupia, po prostu jak wielu innych uważała, że życie jest wystarczająco trudne i nie musi zamartwiać się losem obcych ludzi. Każda z sióstr zupełnie inaczej rozumiała słowo „sukces”. May uważała, że najważniejsze jest to, ile w życiu zgromadzimy, a nie ilu osobom zdołamy pomóc.

Kate obejrzała w wiadomościach migawki z przygotowań do ślubu księcia Williama z Kate Middleton. Patrzyła, jak młoda para jeździ samochodem bez obstawy ulicami Londynu i zawiadamia cały świat o tym, że zaprosili na ceremonię właściciela pubu i listonosza. Uznała to za idealny sposób na uspokojenie nastrojów społecznych. Masy nie miały pracy i jedzenia, ale i tak były zadowolone. Kiedy ludzie cierpią, rząd daje im dla odwrócenia uwagi ślub lub wojnę, a czasem jedno i drugie.

Kate przeczytała, że na ślubach osób tej samej płci w ciągu następnych trzech lat stan Nowy Jork zarobi trzysta milionów dolarów. Zastanawiała się, czy ogłoszenie decyzji o zmianie prawa właśnie teraz nie miało czegoś wspólnego z pieniędzmi. Powiedziała o swoich podejrzaniach ojcu, a on, jak w przypadku większości pomysłów córki, uznał, że to przesada. Podziwiał jednak jej skłonność do podawania różnych rzeczy w wątpliwość. May brała wszystko za dobrą monetę, co uważał za błąd. Tłumaczył córkom, że trzeba szukać prawdy, nawet jeśli rzadko się ją znajduje.

Przez wiele lat redagował w „Star-Ledger” dział listów od czytelników. I choć to nieetyczne, czasem, gdy jakaś sprawa bardzo go poruszyła, pisał na jej temat list, który zamieszczał pod fałszywym nazwiskiem. Zawsze chciał być dziennikarzem komentatorem i w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że tylko w ten sposób może spełnić swoje marzenie.

W zeszłym roku, po trzydziestu latach pracy, został bezceremonialnie zwolniony, a raczej otrzymał propozycję „wykupu akcji”, jak określano utratę posady, by złagodzić cios. Jego żona także dostała wypowiedzenie, gdyż powstanie internetu oznaczało śmierć prowadzonego przez nią archiwum, zawsze, o ironio, określanego mianem „Kostnicy”. Teraz ojciec z macochą siedzieli w domu, rozwiązywali krzyżówki i bez przekonania rozglądali się za pracą, wiedząc, że w tym wieku, w zamierającej dziedzinie i tak niczego nie znajdują, lecz wciąż za młodzi, by przejść na emeryturę.

- Rozmawiałeś ostatnio z tatą? - spytała Kate.

- Widzieliśmy się z nim i z Jean w zeszły weekend - odparła May.

- Jak on się trzyma?

- Jak zwykle. - May wzruszyła ramionami.

Kate pozostała jeszcze w pokoju przez kilka minut i poszła na górę. Z mdlącym poczuciem winy weszła do sypialni Avy. Różowa torebka Olivii leżała na podłodze. Kate obejrzała się przez ramię, po czym przeszukała każdą najmniejszą atlasową kieszonkę, ale w żadnej nie znalazła obrączki.

Badania fokusowe wykazały, że dla kobiet zaręczyny stanowiły jedynie wstępny etap przygotowań do ślubu, których częścią był PZD. W rezultacie PZD rywalizował z innymi koniecznymi wydatkami i kobiety często wolały dostać jego tańszą wersję.

W przeciwieństwie do nich mężczyźni postrzegali zaręczyny jako doniosły moment i jedną z najważniejszych życiowych decyzji, PZD był dla nich oznaką dorosłości i nakładanych przez nią obowiązków - założenia rodziny, posiadania domu, stałej pracy, trwałych wartości. Ponieważ nadawali pierścionkowi tak wielkie znaczenie,



stał się dla nich także powodem do dumy, którą chcieli w odpowiedni sposób wyrazić. Byli skłonni wydać więcej pieniędzy, by podkreślić powagę swoich zamiarów podczas pierwszej oficjalnej deklaracji wejścia w związek. Jednak kupując PZD, czuli się niepewni, gdyż nie wiedzieli, jaką sumę należy na niego przeznaczyć, ani nie znali się na diamentach.

Orientacyjny koszt pierścionka powinien być równy dwumiesięcznej pensji. Taki wyznacznik uwzględnia różnice w dochodach i sugeruje, do jakiej ceny nabywca może aspirować.

Wewnętrzna notatka, Studium przypadku, N.W, Ayer, 1990 1988 Mimo późnej pory Frances nie mogła zasnąć. Siedziała pogrążona w rozmyślaniach. W rękę trzymała filiżankę z kawą. Większość kobiet w jej wieku unikała po południu kofeiny, ale ona przez całe życie cierpiała na bezsenność i przekonała się, że jeśli o nią chodzi, picie czy też niepicie kawy nie ma żadnego znaczenia. Tak czy owak nie mogła zasnąć.

W tle mrucał telewizor. Czarny labrador Blazer leżał na dywaniku obok Frances, opierając głowę na jej stopach. Pisała kartki świąteczne, które właśnie odebrała z drukarni. Było na nich zdjęcie psa przystrojonego reniferowymi rogami. Podpisywała jedną po drugiej, chociaż drukarz zapewniał, że dzisiaj nikt już nie zawraca sobie tym głowy. Mają czcionkę, która wygląda jak odręczne pismo. Na myśl o tym Frances ogarniało przygnębienie.

Myślała o Howardzie Davisie i jego zaskakującej propozycji. Rozważała, czy powinna ją przyjąć.

Kiedy przed kilkoma dniami stary poczciwy Howard zadzwonił, by oznajmić, że przyjeżdża z żoną aż z Manhattanu, aby wybrać się z Frances na obiad, domyśliła się, że musi chodzić o coś ważnego. Nie widziała Howarda, odkąd przestała pracować w Ayer, czyli od osiemnastu lat. Nawet teraz nie lubiła myśleć o tamtym dniu. Nie było żadnej uroczystości ani pożegnalnego przyjęcia. Po prostu wyszła samotnie z biura, niosąc pod pachami pudełko. Nie mogła się zmusić, by zgasić światło, zupełnie jakby zostawienie zapalanej lampy oznaczało, że jutro wróci i znów weźmie się do pracy.

Od tamtej pory wiele się zmieniło, nawet biuro w Filadelfii, na pozór wieczne, przestało istnieć. Pierwszy budynek w Ameryce wzniesiony specjalnie dla agencji reklamowej, przez którego drzwi Frances wchodziła i wychodziła przez pięć dni w tygodniu w ciągu dwudziestu siedmiu lat, stał teraz pusty.

W końcu Ayer dołączyła do innych agencji na Manhattanie. Ale zrobiła to zbyt późno i z jej dawnej potęgi został tylko cień. Nikogo nie obchodziło, że od nich wszystko się zaczęło. Branżę reklamową interesuje to, co dzieje się tu i teraz, czasem przyszłość, ale nigdy przeszłość.

Kiedy Howard z żoną przyjechali tamtego popołudnia do Wayne, Frances zobaczyła, że oni także się postarzel, choć przecież byli od niej młodsi co najmniej o dziesięć lat. Powiedzieli, że ich najstarszy syn jest już po czterdziestce, został pisarzem i ma dzieci. Frances była w szoku. Oczywiście to żadna niespodzianka, ale wstrząsnęło nią

to, że starość jest czymś nieuniknionym. Czasem miała wrażenie, że przydarzyła się tylko jej.

Wyobrażała sobie, że goście pochwalą jej dom, a potem może będą wspólnie podglądali małego jelonka, który cały ranek wyjadał okruchy z karmnika dla ptaków. Przeniosła się do Wayne zaraz po przejściu na emeryturę. Kamienny parterowy dom z trzema sypialniami stał na wzgórzu, na końcu cichej ślepej uliczki, ukryty za kolonią ładnych willi otoczonych rabatami i drzewami. Miał ciemnozielone okiennice i białe wykończenie nad drzwiami garażu. W ogrodzie od frontu rosły wysokie sosny. Frances uważała, że jak na dom samotnej kobiety wygląda imponująco.

Jednak gdy otworzyła drzwi, pierwszymi słowami Howarda było pytanie:

-Czy to gaz?

Hana zmarszczyła nos.

- Frances, tu coś strasznie śmierdzi!

Najwyraźniej przekłety płomyk w piecyku gazowym znowu zgasł. A ona tego nie zauważyła. Nie przejęła się, ale goście byli przerażeni.

- Mogłaś zginąć! - wykrzykiwała Hana, biegając po domu i otwierając wszystkie okna.

Biedny Howard położył się na podłodze i zaczął dłubać w piecu.

Przypominali Frances kuzynów z Kanady, którzy wciąż jej powtarzali, że powinna sprzedać dom i przenieść się do jednego z tych okropnych ośrodków opieki. W ostatnich latach coraz bardziej dokuczała jej jaskra, ale poza tym czuła się dobrze. Zgodziła się zatrudnić pomoc domową, która przychodziła trzy razy w tygodniu posprzątać, zrobić zakupy i sprawdzić, czy nie umarła.

- Udało mi się włączyć piec - oznajmił triumfalnie Howard i wstał z podłogi. - No dobrze, Frances, co u ciebie słychać?

Nieco speszona, zaprosiła ich do dobrej restauracji w miasteczku, w nadziei, że przy jedzeniu zapomną o gazie. Zamówiła stek i pierwsze z dwóch martini, które zawsze wypijała podczas lunchu.

- O co właściwie chodzi, Howardzie? - zapytała, gdy oddali kelnerowi karty dań.

- Od razu przechodzisz do rzeczy. - Roześmiał się. - Zapomniałem o tym.

- Skończyłam siedemdziesiąt trzy lata, nie mam czasu na owijanie w bawełnę.

- No cóż. Prezesem Ayer jest teraz Lou Hagopian - zaczął.

- Tak, wiem.

- Postanowił, że agencja urządzi wielką fetę dla uczczenia pięćdziesiątej rocznicy współpracy z De Beers.

- Ach tak?

Jak żywa stanęła jej przed oczami scena, gdy w dwudziestą piątą rocznicę warknęła do Gerry'ego Laucka: „Gdzie jest mój złoty zegarek?”. Poczowała wyrzuty sumienia, chociaż Gerry od wielu lat leżał w grobie.

- Zamierzają urządzić imprezę na naprawdę wielką skalę - ciągnął Howard. - Cały

tydzień świętowania w Londynie, gdzie koncern ma główną siedzibę. Codziennie lunche, a wieczorem obiady i bankiety.

- Proszę, proszę, brzmi wspaniale.

- Punktem kulminacyjnym obchodów będzie wielkie eleganckie przyjęcie, na którym przypomniane zostaną twoje zasługi. Chcą, żebyś powiedziała kilka słów. Na przykład, w jaki sposób wymyśliłaś swój słynny slogan.

- Chcą, żebym przyjechała? - spytała osłupiała Frances.

- Tak! Pokryją wszystkie koszty. Będziesz gwiazdą wieczoru.

Powinna pomyśleć o tylu różnych rzeczach. O tym, że spotkał ją wielki zaszczyt, że w końcu została doceniona. Tymczasem przyszło jej do głowy tylko jedno: przecież nie mam się w co ubrać. Serce zabiło jej niespokojnie. Siedem lunchów i siedem obiadów z Oppenheimerami? Zapewne nie oszaleją z zachwytu na widok brązowego kostiumu, w którym co niedziela chodzi do kościoła.

- Myślisz, że dasz radę? - zapytał Howard.

- Dadzą ci osobę do towarzystwa - dodała jego żona. - Pomoże ci się ubrać i tak dalej. Będzie na wszystko uważała.

Frances teraz zrozumiała, dlaczego przyjechali. Pewnie wysłał ich Hagopian, by ocenili, czy nie jest na taką podróż za stara i za słaba, czy na przyjęciu nie upije się koktajlami i nie powie czegoś dziwnego. Sama nie była tego pewna. Od bardzo dawna nigdzie nie chodziła, nie licząc niedzielnej mszy i brydża trzy razy w tygodniu. Ostatni raz leciała samolotem dwanaście lat temu na pogrzeb ciotki.

- Czy mogę się z tym przespać? - zapytała. - Tb wspaniała propozycja, ale jest wiele spraw, nad którymi muszę się zastanowić.

- Oczywiście - odparł Howard. I teraz właśnie się zastanawiała.

Odkąd Frances odeszła z agencji, minęło prawie dwadzieścia lat, lecz wciąż czuła się z nią związana. Z kilkoma dawnymi kolegami i ich żonami spotykała się na Wschodnim Polu Golfowym w Merionie. Z tego, co słyszała, nowojorska agencja w niczym nie przypominała N.W Ayer z Filadelfii.

Śledziła ich współpracę z De Beers. Przed dziesięciu laty przeczytała w piśmie „Ad Art Techniques”, że koncern rocznie przeznaczą na reklamę dziesięć milionów dolarów, podczas gdy jego dochody wynoszą dwa miliardy.

Ale to było pod koniec lat siedemdziesiątych. Ostatnio szeptano o kłopotach. Kilka lat temu Frances wycięła z gazety artykuł na temat poważnych kontrowersji, jakie koncern De Beers wzbudził w Australii, gdy odkryto tam złoża diamentów. Oppenheimerowie próbowali je wykupić, chcąc jak dawniej kontrolować całość światowych zasobów tych kamieni. W przeszłości zawsze bez trudu dostawali to, czego chcieli, jednak tym razem niektórzy przedstawiciele australijskiego rządu wyrazili sprzeciw, utrzymując, że De Beers nie chce zapłacić uczciwej ceny i ponosi odpowiedzialność za apartheid.

Frances zastanawiała się, czy cała ich trójka - Ayer, De Beers i ona - nie oglądają

zmierzchu swojej kariery. Może tydzień w Londynie jest właśnie po to, by przypomnieć sobie, że kiedyś były lepsze czasy.

Zdawała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jacy są dzisiejsi nabywcy diamentów, nawet jeśli reklamy, które tworzy Ayer, mogą dostarczać jakichś wskazówek.

Słyszała plotki, że przed kilku laty, podczas ślubu księcia Karola z księżniczką Dianą, De Beers zapłacił około pół miliona dolarów za kilka minut telewizyjnych reklam. Frances nie mogła tego zrozumieć, lecz z drugiej strony, gdy pojawiła się telewizja, miała już swoje lata. Była człowiekiem epoki druku.

Jednak nawet reklamy publikowane ostatnio w gazetach wydawały jej się okropne. Wszystko zrobiło się takie zwyczajne. Niedawno widziała w „Lifie” zdjęcie dwojga dorosłych popijających niczym para małolatów mleczny koktajl, opatrzone podpisem: Ten diament to obietnica, że zawsze będziemy przyjaciółmi.

Czy można wyobrazić sobie coś mniej romantycznego? Ależ tak! Co powiecie na zdjęcie pary w czarnych skórach jadącej na motocyklu, z podpisem: Wiem, że ona kocha rock and rolla, więc podarowałem jej prawdziwie rockandrollowy diament.

Ciągle jednak wszystkim reklamom towarzyszył slogan wymyślony przez Frances. Czasem wolałaby, żeby go nie było.

Zaledwie miesiąc temu o mało nie rzuciła programem telewizyjnym o ścianę salonu, gdy natknęła się na wydrukowaną na błyszczącym papierze reklamę z pytaniem: Czy dwumiesięczna pensja to zbyt dużo za symbol, który przetrwa wieki?

Niżej przeczytała: Twoja miłość jest bezcenna. Pragniesz więc dostać jedyny w swoim rodzaju pierścionek zaręczynowy. Chcesz wiedzieć, ile twój ukochany powinien za niego zapłacić? W dzisiejszych czasach dobrym wyznacznikiem są dwumiesięczne zarobki. (A w prawym dolnym rogu widniał slogan: Diamenty są wieczne).

- Co to, u diabła, ma być? - zapytała głośno.

Kilka tygodni później w jadalni klubu Merion wpadła na Teddy'ego Regana, jednego z dyrektorów kreatywnych Ayer.

- Ted! - zawołała. - O co chodzi z tymi reklamami na temat dwumiesięcznych zarobków?

Podszedł z uśmiechem do jej stolika.

- Nie podobają ci się?

- Są w złym guście.

- Naprawdę tak myślisz?

- To szczyt złego smaku. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- To nie mój klient - odparł. - Twórcom reklamy chodziło chyba o to, że młody człowiek, przed zakupem pierścionka zaręczynowego, zwykle pyta ojca, ile zapłacił za diament dla mamy, i szuka czegoś w tej cenie. Wyobrażenia na temat kosztów nie nadążają za inflacją. Potrzebna była wskazówka zrozumiała dla wszystkich. Takim

wyznacznikiem są dwumiesięczne zarobki. Ten, kto zarabia mniej, kupi tańszy pierścionek. W ten sposób nabywcy będą starali się kupić najdroższy diament, na jaki ich stać. A może nawet jeszcze droższy. Bo pierścionek na palcu kobiety świadczy o tym, kim jest jej mężczyzna.

- Nadal uważam, że to niestosowne - powiedziała Frances.

- Zgadzam się, ale działa. - Teddy wzruszył ramionami.

Od tamtej pory coraz częściej zauważała tego rodzaju reklamy. Przypominały nieco hasła, które pisała w latach pięćdziesiątych.

Niech wie, że to dzięki niej nie jesteś samotny na szczycie. Karat lub więcej? Sukces mężczyzny przynosi szczęście kobiecie.

Niemal zatęskniła za hipisowskimi reklamami z rysunkami lwów i dzieci kwiatów, które kiedyś pokazała jej Deanne.

Howard powiedział, że kierownictwo pragnie, aby opowiedziała o swoim wkładzie w pracę agencji. Cóż, do dziś wszyscy korzystają z pomysłów jej zespołu - pokazują biżuterię światu, prezentując ją w filmach lub wypożyczając znanym osobistościom.

Chcą usłyszeć, jak wpadła na pomysł sloganu. Jak w przypadku większości ważnych chwil w życiu cała niezwykłość tego dokonania objawiła się dopiero później. W 1981 roku, po śmierci Granville'a Toogooda, Frances ze zdziwieniem przeczytała w nekrologu zamieszczonym w „Philadelphia Inquirer”, że to on wymyślił ten słynny slogan. Toogood należał do śmietanki towarzyskiej Filadelfii, grał w golfa oraz krykieta w klubie Merion i miał wykupione stałe miejsce w filharmonii. W 1930 roku napisał książkę zatytułowaną Huntsman in the Sky. Należał w Ayer do szefostwa, ale zajmował się zdobywaniem klientów i nie miał nic wspólnego z pisaniem reklam. Najwyraźniej jednak przez całe życie opowiadał swoim dzieciom i wnukom, że to on jest autorem sloganu Diamenty są wieczne.

Warner Shelly, ówczesny prezes Ayer, zadzwonił do Frances, by wyrazić swoje oburzenie. Narobił szumu i zażądał od gazety zamieszczenia sprostowania. Nigdy go nie wydrukowała, przez co wpadł w jeszcze większą złość. Ale Frances czuła się całym tym zamieszczeniem mile połączona: hasło, które machnęła, ot, tak sobie pewnej nocy, okazało się warte kradzieży, i to z za grobu.

Londyn. Chcą, żeby przyjechała do Londynu.

Szkoda, że nie wpadli na ten pomysł przed dziesięciu laty. Wtedy zgodziłaby się bez namysłu. Teraz jest już staruszką. Popsuł jej się wzrok i bywają dni, gdy z trudem trzyma się na nogach. Miło jednak pomyśleć, że nawet gdy ma się tyle lat, życie czasem szykuje jakąś niespodziankę.

- Chyba pojedę - powiedziała głośno. - Czemu nie? Była trzecia w nocy. Pies nawet na nią nie spojrzął. Doczekała do odpowiedniej pory i wykręciła domowy numer Howarda.

- Powiedz panu Hagopianowi, że pojedę - oznajmiła.

- Wspaniale. Lou bardzo się ucieszy. Pewnie sam zadzwoni do ciebie pod koniec

tygodnia, żeby omówić szczegóły. A ktoś z działu PR skontaktuje się z tobą może nawet dzisiaj.

- Bardzo proszę.

Czasem przez cały tydzień nikt do niej nie dzwonił, tymczasem już niecałe dwadzieścia minut po zakończeniu rozmowy z Howardem zaczął się ruch. Młodzi ludzie z działu PR w Ayer nagle zainteresowali się, kim jest Frances i co ma do powiedzenia. Zadawali pytania i domagali się zdjęć. Powiedziała wszystko, co chcieli wiedzieć o niej oraz o klientach, zwłaszcza o De Beers. Traktowała to jako miły pretekst do powspominania pracy w agencji. Jakkolwiek na to patrzeć, całe życie była z nią związana.

Dopytywali się, co robi po przejściu na emeryturę. Odparła, że gra w golfa i brydża w klubie Merion, udziela się w parafii kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i opiekuje się psem. W ostatniej chwili dodała też jazdę konną. Co prawda nie siedziała na koniu od piętnastu lat, ale to dobrze brzmiało.

Postanowiła wysłać im aktualne zdjęcie, to bez okularów, na którym ma na sobie elegancki kardigan i perły. Poprosiła, by wydrukowano je w kolorze i z wyretuszowanymi piegami. Dodała też drugie zdjęcie, z czasów, gdy miała około trzydziestu pięciu lat. Siedzi na nim przy swoim biurku w budynku agencji, ubrana w sukienkę z krótkimi rękawami i kołnierzykiem bebe, którą bardzo lubiła. Zanim wsunęła fotografię do koperty, przyglądała jej się długo i z uwagą - siwe włosy nagle znów stały się brązowe, a pomarszczone policzki białe i gładkie.

O trzynastej nadszedł czas, by pojechać z Meg na brydża.

Biedny Ham zmarł przed trzema laty na atak serca, ale jego żona wciąż nie umiała prowadzić samochodu i szanse, że się nauczy, były niewielkie. Frances też pewnie nie powinna już siadać za kierownicą, ale nie potrafiła z tego zrezygnować.

- Nie uwierzysz, co się stało - powiedziała, kiedy Meg zajęła miejsce obok niej.

- Co takiego?

- Pamiętasz, jak ci mówiłam, że Howard Davis chce się ze mną spotkać? No więc wczoraj przyjechał i zjedliśmy razem lunch.

- Co słyhać u Howarda? Ham bardzo go lubił. Frances wyjechała na ulicę.

- Czuje się dobrze. Ale pozwól mi dokończyć. Ayer chce, żebym pojechała do Londynu na wielką uroczystość urządzaną wspólnie z ludźmi od diamentów.

- Fran! To cudownie! - Meg złożyła ręce jak do modlitwy. Kiedy piętnaście minut później weszły do jadalni, wciąż o tym rozmawiały. Tymczasem panie zajmowały krzesła i wyciągały karty do brydża.

- Słuchajcie, mamy wspaniałą nowinę! - zawołała Meg. - Frances jedzie do Londynu.

Wszystkie spojrzały na nie ze zdumieniem, pragnąc usłyszeć coś więcej.

Frances się roześmiała. Z biegiem lat te kobiety stały się jej bliskie jak rodzina. Gdy w 1973 roku wstąpiła do klubu brydżowego, nie przypuszczała, że poza Meg, która ją tam wciągnęła, znajdzie z nimi wspólny język. Do klubu należały kobiety grające z

zapalem w golfa i takie, które już grać nie mogły, na przykład z powodu kontuzji kolana, ale wciąż pragnęły udzielać się towarzysko.

W większości były żonami bogatych mężczyzn na stanowiskach. Frances jako jedyna z nich nigdy nie wyszła za mąż i pracowała, odkąd skończyła dwadzieścia pięć lat. Z biegiem czasu zaczęła jednak dostrzegać w nich nie tylko żony, lecz także odrębne osoby. Bała się, że nie wyda im się interesująca, ale uwielbiały słuchać opowieści o pracy w Ayer. Uważały, że ma inny niż one rodzaj klasy. Nie bywała na imprezach charytatywnych czy balach, lecz na spotkaniach służbowych i obiadach z klientami. Mogła im także szczerze odpowiedzieć na pytanie: „Co przez te wszystkie lata robili całymi dniami nasi mężowie?”.

Wielu z nich już zmarło. Brydżowe spotkania na swój sposób przypominały Frances lata wojny, kiedy większość mężczyzn wyjechała i dziewczyny trzymały się razem. Mogły to robić bez poczucia winy i nikt nie miał do nich pretensji, bo nie odrzucały mężczyzn, po prostu czekały, by znów się z nimi połączyć.

- Och, Frances, musisz być strasznie podniecona - odezwała się Ruth Elder siedząca w fotelu przed gablotą z trofeami.

- Zgadza się, jestem - odparła. - Tylko... Wiem, że to głupie, ale prawdę mówiąc, przede wszystkim bardzo się boję.

- Czego? - zdziwiła się Meg.

- Nie mam w co się ubrać. Wszystkie panie wybuchnęły śmiechem.

- Trafiałaś we właściwe miejsce, moja droga - powiedziała Ruth. - Kobiety zebrane w tym pokoju mają stopy ciuchów. I więcej biżuterii, niż są w stanie nosić! Pomożemy ci.

- Naprawdę?

- Oczywiście - zapewniła Miriam. - Już przyszło mi do głowy pięć sukienek, które tylko wiszą w szafie i się kurzą, a doskonale będą na ciebie pasować.

- Właśnie kupiłam sobie na rejs piękną niebieską suknię wieczorową - dodała Rose Thompson. - Z twoją cerą będziesz w niej wyglądała uroczo.

Jeszcze tego samego dnia o osiemnastej przyjechały do niej. W zakolu ślepej uliczki zaparkowało dwanaście samochodów. Frances patrzyła, jak przyjaciółki wchodziły po schodkach, niosąc wieczorowe suknie, broszki, buty i futra. Prawdziwy pokaz mody.

- Wchodźcie, wchodźcie! - zawołała, otwierając siatkowe drzwi.

Wmaszerowały do sypialni, gdzie na komodzie czekały już na tacy kieliszki z martini.

- Najpierw przymierz tę - powiedziała Ruth, podając jej długą jedwabną szatę.

Frances poszła do łazienki, wsunęła suknię przez głowę i otworzyła drzwi.

- No i jak?

- Wspaniale! - wykrzyknęła Meg.

- Wciąż masz doskonałą figurę - stwierdziła Marge Samuels.

- Powinnaś częściej nosić eleganckie stroje.

- Niby gdzie? - roześmiała się Frances. - Na spacer z psem czy rozwieszać pranie?

- Nigdy nic nie wiadomo. - Meg wzruszyła ramionami.
- Może poznasz tam jakiegoś dziarskiego Brytyjczyka i nigdy do nas nie wrócisz.
- Wątpię.

Przymierzała sukienki jedną po drugiej, a przyjaciółki wypowiadały swoje opinie - ta za bardzo opina się na biodrach, ta jest za krótka, ale trzecia będzie idealna na wieczór.

Przyniosły także dużo sztucznej biżuterii i Frances dla zabawy założyła wszystko naraz - kolczyki z wielkimi rubinami, dziesięć naszyjników i pół tuzina bransoletek.

- Ostatecznie to feta na cześć klejnotów - zauważyła Meg.
- Mówiąc ściślej, diamentów. To, że je mamy, zawdzięczamy przede wszystkim tobie. Jeśli chcesz sobie któryś pożyczyć, bierz mój. - Zdjęła z palca pierścionek z diamentem i rzuciła na łóżko, jakby nie był jej najcenniejszą pamiątką.

Frances zastanawiała się, czy Meg nie wypłała za dużo martini.

- Masz drugi - powiedziała Marge i zsunęła z palca ładny zaręczynowy pierścionek. - Och, i jeszcze to... - Dorzuciła obrączkę.

- I mój! - krzyknęła Rose, ale pierścionek nie chciał zejść. - Zaczekaj!

Pobiegła do łazienki i tak długo trzymała palec pod strumieniem zimnej wody, aż pierścionek się zsunął.

- Nareszcie! - Uniosła go triumfalnie w górę. - Mam! Rzuciła pierścionek na stosik. Jedna po drugiej wszystkie panie zdejmowały zaręczynowe pierścionki. To był tylko żart. Wiedziały, że tak naprawdę Frances nie zabierze ich ze sobą. Ale ona nigdy nie zapomniała widoku połyskującego przed nią stosu klejnotów.



# Część czwarta

# 1972

Kiedy Evelyn myślała o tym, co się wydarzyło, zawsze zakładała, że kochanka jej syna będzie piękna. Tymczasem nie była, ani odrobinę. Nosiała buty na platformach i bardzo krótką sukienkę, choć miała niezgrabne nogi. Jej czoło było zbyt wysokie, a proste jak druty brązowe włosy przypominały perukę. Nie dorastała żonie Teddy'ego do pięt. Był to kolejny element, który sprawił, że cała ta groteskowa historia po prostu nie miała sensu. Evelyn wpuściła gości do domu. Chociaż wszystko w niej krzyczało i gotowało się z wściekłości, powiedziała tylko:

- Rozbierzcie się.

Zdumiewające, jak często na powierzchni nie widać tego, co dzieje się pod spodem. Przez chwilę Evelyn zastanawiała się, skąd w ogóle czerpać pewność, że wie się, co czują inni. A może tylko ona tak się zachowuje? Może inna matka chwyciłaby syna za ramiona i potrząsnęła nim kilka razy ze wszystkich sił.

- Miło mi panią poznać - powiedziała Nicole, wodząc wzrokiem od dywanu do stojącego zegara i od wieszaka na kapelusze do stołu, jakby była włamywaczką oceniającą, ile dana rzecz jest warta. - Jejku, co za wspaniały dom! Czuję się jak w muzeum.

Gdy Evelyn po raz pierwszy odwiedziła rezydencję rodziców Geralda, widoczne wszędzie bogactwo zrobiło na niej duże wrażenie. Była jednak zbyt dobrze wychowana, by to okazać. Podobnie zachowała się Julie, która dorastała na małej farmie w Oregonie, lecz miała maniery dziewczyny wykształconej w dobrej szkole z internatem.

- Przynieśliśmy ci kwiaty - oznajmił Teddy, podając matce wiązanek owiniętą w nasiąknięty wodą papier.

Evelyn odebrała je, nie patrząc synowi w oczy. Słowo „przynieśliśmy” przeszło ją jak nóż. Chciała, żeby sobie poszli. Pragnęła zasiąść z Julie i dziewczynkami do niedzielnego obiadu, śmiać się i rozmawiać, podczas gdy Teddy i Gerald oglądaliby w sąsiednim pokoju telewizję.

- Dziękuję, kochanie, to miłe.

Mąż zszedł po schodach ubrany w tweedową marynarkę.

- Teddy! - zawołał wesoło, ściskając rękę syna i klepiąc go po plecach. Obecność obcej kobiety na pozór ani trochę go nie zaskoczyła.

- To jest Nicole-przedstawił ją Teddy.

- Miło mi panią poznać - powiedział Gerald.

Swoboda Geralda irytowała Evelyn. Powinni trochę utrudnić Teddy'emu sytuację. Skoro czują się skrepowani, to on też powinien. Nie lubiła myśleć w taki sposób, ale tym razem chodziło o dobro całej rodziny. Pragnęła dać synowi do zrozumienia, że nigdy nie zaaprobuje jego decyzji, chociaż on nie dbał o to, co rodzice o nim myślą.

- Może usiądziecie w salonie, a ja wstawię kwiaty do wody - zaproponowała. - Teddy, zaprowadź panią.

Poszła do kuchni, a za nią ruszył Gerald.

- Co ona tu robi? - wyszeptwała.

- Nie mam pojęcia.

Nagle zrobiło jej się smutno. Teddy nie zamierzał zmieniać zdania. Już podjął decyzję.

- Okropne - powiedziała, patrząc na goździki. - Właściwie zwiędły. Po co on mi je przyniósł?

- Po prostu postaw je na stole, wyglądają dobrze - zaproponował Gerald.

- Nie chodzi o kwiaty - tłumaczyła. - Powinam się domyślić, że coś się święci, kiedy powiedział, że przyjeżdża uczcić twoje przejście na emeryturę. Jakby choć raz pomyślał o kimś oprócz siebie.

- Nic się nie stało.

- Owszem, stało. Powinien mnie uprzedzić, że z nią przyjeżdża.

- Pewnie wiedział, że wtedy byś się nie zgodziła.

- To prawda, nie zgodziłabym się. Nie wiem, czy to wytrzymam.

- Wytrzymasz. Dzieci, czego się napijecie? - zawołał w stronę salonu.

- Poproszę whiskey sour! - odchrząknął Teddy. - A dla pani wódkę z tonikiem.

Gerald przygotował drinki i zaniósł do salonu. Evelyn przycięła łądygi kwiatów. Włożyła je do niskiego wazonu, usuwając kilka zwiędłych płatków. Zbierało jej się na płacz i mocno zacisnęła powieki, by powstrzymać łzy. Nie teraz. Wyjęła z lodówki tacę z kulkami serowymi, zaniósła do salonu i postawiła na stoliku przy kanapie. Dla kwiatów znalazła miejsce w kącie na kuferku. Stały tam również oprawione w ramki zdjęcia wnuczek: Melody podczas występu baletowego i Judy grająca w szkolnym przedstawieniu. Obie dziewczynki przebrane za syreny na Halloween albo siedzące pod choinką we flanelowych nocnych koszulkach, otoczone pomiętymi płachtami srebrnego papieru do pakowania prezentów. Miała nadzieję, że syn spojrzy na zdjęcia i się zawstydy lub zatęskni za córkami, ale on w ogóle nie zwrócił uwagi na fotografię.

- Jak minął lot? - zapytał Gerald.

- Wspaniale - odparł Teddy. - Dostaliśmy szampana, sok pomarańczowy i wielkie pyszne śniadanie: sałatkę owocową, naleśniki, kiełbaski i jajecznicę. Podróż samolotem to prawdziwy luksus. Kredy wsiądem na pokład, nie mam ochoty wysiadać.

- A ja nie - powiedziała Nicole. - Latanie jest przyjemne, ale gdy zbyt długo nie mogę się ruszać, czuję się nieswojo.

- Nicole uwielbia biegać - oznajmił Teddy, biorąc ją za rękę. Evelyn zmroziło. Poczowała się zdradzona, jakby Gerald pocałował obcą kobietę w usta przy stole podczas obiadu.

- Och, tak bym tego nie nazwała. Po prostu lubię się wieczorem przebiec. To mnie

uspokaja.

Ich złożone dłonie leżały na jej kolanach, a potem Teddy zabrał swoją i zaczął masować kark dziewczyny. Evelyn poczuła, że coś dławi ją w gardle. Jak to się może dziać? Wydawało jej się, że ktoś powinien wpaść do pokoju i powstrzymać syna, ale kto, poza nią, miałby to zrobić?

- Pewnego dnia, tato, zobaczysz ją na olimpiadzie - powiedział Teddy i zjadł jednym kłapnięciem kulkę sera.

- Na temat olimpiady wolę się nie wypowiadać - odparł Gerald. - Tego lata przyznali najgorsze złote medale w historii igrzysk.

Evelyn zadziwiało, że mąż tak bardzo przejmuje się sportem. Kiedy na początku ich małżeństwa drużyna Red Soxów przegrała ważny mecz, Gerald zamknął się w gabinecie i (choć nigdy się do tego nie przyznał) płakał przez piętnaście minut. Sama słyszała - chlpał jak dziecko. Evelyn też lubiła oglądać zawody sportowe, ale wyniki nie miały dla niej aż takiego znaczenia. To tylko gra.

- Częściowo z winy sędziów - orzekł Teddy. - Jak można pozbawić dwóch facetów medali tylko za to, że śmiali się i rozmawiali na podium?

- Ale to wyglądało okropnie - stwierdził Gerald. - Zachowywali się jak chuligani.

- Daj spokój. Gdyby byli biali, nikt nie zwróciłby uwagi na ich zachowanie. W całej sprawie coraz mniej chodzi o sport, a coraz bardziej o walkę ideologiczną. To kpiny. Uważam, że powinniśmy rozszerzyć igrzyska, urządzić je w kilku krajach jednocześnie, żeby nie mogły być tak oczywistym celem ataków.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Gerald zmarszczył brwi. Przed miesiącem, podczas letnich igrzysk olimpijskich w Niemczech Zachodnich, arabscy terroryści zamordowali jedenastu członków drużyny Izraela. Ta tragedia przypomniła Evelyn o bolesnych wydarzeniach w jej życiu, o serii smutnych niespodzianek, które zdominowały początki znajomości z Geraldem. Wspólną wyprawę do Lake Placid, tuż przed wypadkiem Nathaniela, gdy naiwnie myśleli, że wszystko dopiero się zaczyna. Jego młode życie, przerwane zbyt wcześnie, i późniejsze rozstanie z Geraldem podczas wojny. Był dumny, że się zaciągnął, pragnął walczyć z wrogiem, choć przecież był już na to za stary. Po jego wyjeździe Evelyn godzinami pracowała w ogrodzie warzywnym, jednym z tak zwanych ogrodów zwycięstwa, i zastanawiała się, czy Bóg będzie na tyle okrutny, by zabrać jej jeszcze jedną kochaną osobę, choć wiedziała, że to nie On o tym decyduje.

- Świat oszalał - stwierdziła Nicole. - Wszystko się rozpada.

- Kiedy pożyje pani trochę dłużej, przekona się, że świat zawsze był szalony - odrzekł Gerald. - Wciąż się rozpada, ale nigdy nie rozsypuje się do końca.

- Wańka-wstańka się kołysze, ale nigdy nie przewraca - dorzucił Teddy i razem z Nicole zachichotali. Zachowywał się jak nastolatek, a nie jak dorosły mężczyzna odpowiedzialny za żonę i dzieci. Evelyn zrozumiała, że popełniła błąd, zapraszając ich na lunch. Razem z Geraldem pozwalali, żeby ta absurdałna sytuacja się rozwijała,

zamiast ją zakończyć.

- To, co się wydarzyło, jest potworne - powiedział Gerald. - Jednak Niemcom na pewno nie o to chodziło. Igrzyska miały sprawić, by świat zapomniał o okropnej nazistowskiej olimpiadzie z tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku. Ale teraz kto jest w stanie myśleć o czymś innym?

- Moim zdaniem Niemcy nie zasłużyli na to, żeby organizować olimpiadę - oznajmiła Nicole.

Evelyn zamknęła oczy. Miała podobne zdanie, ale nie lubiła rozmawiać w towarzystwie o przykrych sprawach. Zaraz zjedzą na Wietnam albo na leczenie elektrowstrząsami Thomasa Eagletona, podczas gdy spotkali się, ponieważ jej syn popełnił straszny błąd. Musi porozmawiać z nim w cztery oczy. Może poprosi Teddy'ego, żeby po lunchu przespacerował się z nią po ogrodzie? Im szybciej skończą jeść, tym szybciej będzie miała okazję to zrobić.

- Może przejdziecie do jadalni? - zaproponowała pośpiesznie. - Geraldzie, czy mógłbyś pomóc mi w kuchni? Chcę, żebyś pokroił pieczeń.

- W tej chwili?

- Tak.

Gerald wstał z krzesła.

- Jeszcze jednego drinka?

- Jasne, czemu nie - powiedziała Nicole.

Evelyn spojrzała na ich puste szklanki i zdziwiła się, że tak szybko uporali się z ich zawartością. Wszystko dobre, ale w miarę. Żyła w czasach prohibicji i być może z racji wieku nigdy nie widziała tylu alkoholików co wtedy. Ale zaniepokoił ją swobodny stosunek dziewczyny do alkoholu. Czy na domiar złego Teddy znowu zacznie pić?

- Wydaje się dosyć miła - stwierdził w kuchni Gerald.

- Oszalałeś? - Evelyn wytrzeszczyła na niego oczy.

- Nie dajesz jej szansy.

- A dlaczego miałabym to robić? Ta ladacznica zniszczyła nam życie. A może już o tym zapomniałeś?

- Evie, posłuchaj tylko, co wygadujesz.

Uśmiechnął się i wyciągnął ręce, by przytulić żonę i zakończyć spór, ale tym razem nie potrafiła odpowiedzieć mu tym samym.

- Muszę przygotować sałatki. - Odwróciła się do niego plecami. - Spodziewałam się trzech, a nie czterech osób. Podam mniejsze porcje.

- Postawię dodatkowe nakrycie. - Pocałował ją w policzek.

Podczas pierwszego dania Nicole wygłosiła szereg komentarzy na temat zastawy stołowej. Podobały jej się pucharki na wodę, ciężkie srebrne sztucce i talerze. Podziwiła też kryształowy żyrandol.

Kiedy Evelyn wniosła półmisek z pieczenią i postawiła go na stole, Nicole chwyciła

ją za lewą rękę.

- Ojejku, jaki wspaniały pierścionek. - Odwróciła się do Teddy'ego. - Ted, co za cudo. Zupełnie jakby gapili się na wystawę u Tiffany'ego, a ręka Evelyn i ona sama nie odgrywały w tym żadnej roli.

- Należał do mojej matki - powiedział Gerald.

Evelyn nałożyła sobie plaster mięsa i dopiero potem podsunęła półmisek Nicole. Zwykle najpierw częstowała gości, lecz nagle przestrzeganie zasad dobrego wychowania wydało jej się nieważne.

- Naprawdę przepiękny pierścionek - powtórzyła dziewczyna.

Pewnie wyobrażała sobie, że któregoś dnia będzie należał do niej. Na myśl o tym Evelyn miała ochotę pobiec do ogrodu i wrzucić klejnot do sadzawki, tylko po to, by mieć pewność, że ta kobieta nawet na chwilę nie założy go na palec. Przez krótki czas zastanawiała się, czy nie powinna, bez względu na rozwód, ofiarować pierścionka Julie. Wiedziała jednak, że synowa nie przyjmie takiego prezentu, nawet jeśli Evelyn będzie ją namawiała, by zatrzymała go dla dziewczynek.

- Moja najlepsza przyjaciółka właśnie dostała od swojego chłopaka, cóż, pewnie teraz już narzeczonego, ogromny diament! - Nicole się uśmiechnęła. - Biedak strasznie długo na niego oszczędzał. Oświadczyłby się o wiele wcześniej, gdyby nie miała tak kosztownego gustu.

Evelyn pomyślała, że dzisiejsza obsesja na punkcie diamentów jest wulgarna. W czasach jej młodości nosiły je tylko osoby pochodzące z rodzin takich jak Gerald. Nikt nie odkładał latami ważnych życiowych decyzji po to, żeby kupić biżuterię.

Nagle Nicole spostrzegła w pokoju jeszcze jedną rzecz wartą skomentowania.

- Obraz z psami na żaglówce jest przepiękny - oznajmiła. Evelyn włożyła do ust kawałek mięsa, żeby nie musieć nic mówić. Uśmiechnęła się, zaciskając wargi. Żeglujące psy, odkąd mąż uparł się, by powiesić je w jadalni dokładnie naprzeciwko obrazu, który namalował Antonio Jacobsen, będącego w posiadaniu rodziny od 1898 roku, stały się w ich małżeństwie kością niezgody.

- Evie go nie znosi - wyjaśnił Gerald. - Wygrałem go na loterii. Druga nagroda. Pierwszą była prawdziwa żaglówka.

- O nie! - wykrzyknęła Nicole przymilnym tonem, jakby zwracała się do zdzienniałego starego głupca, co Geraldowi najwyraźniej nie przeszkadzało. - Co za ogromna różnica.

- Tak to bywa. - Westchnął. - Wygrałem też kiedyś drugą nagrodę na loterii sponsorowanej przez Rolls-Royce'a. Zwycięzca dostał model silver cloud plus dziesięć tysięcy dolarów, a ja bańkę oleju silnikowego.

- Och nie! Co za pech! - Nicole wybuchnęła śmiechem.

- Jednak nawet zajęcie drugiego miejsca to cud - ciągnął Gerald. - Jeśli sponsorem jest wielka korporacja, szanse na wygraną są prawie żadne. Weźmy na przykład loterię Go America sponsorowaną przez Coca-Colę. Rocznie bierze w niej udział

dziewięć milionów ludzi.

- Chcą wygrać coca-colę? - zapytała Nicole.

- Skądże znowu. Zwycięzca dostaje około dwudziestu tysięcy dolarów, a także dwa samochody, motorówkę i sprzęt kempingowy.

- I od tego wszystkiego musi zapłacić podatek - wtrącił Teddy. - Jakaś nieszczęsna gospodyni domowa wygrała parę lat temu główną nagrodę i teraz winna jest urzędowi podatkowemu więcej, niż ma.

- Cóż, twojemu ojcu to nie grozi - stwierdziła Nicole. - Widać, że stać go na podatek.

Evelyn zeszywniała. Zastanawiała się, czy Teddy rozbił rodzinę tylko po to, by upolowała go naciągaczka. Kiedy jeszcze pracowała jako nauczycielka, najbardziej lubiła śmiałych chłopców, którzy snuli marzenia i pragnęli dokonać w życiu wielkich czynów. Jej syn był szczęśliwy, że może żyć dzięki rodzinnemu nazwisku i pieniądzom ciężko zarobionym przez Geralda.

Mówi się, że nikt nie zabierze majątku ze sobą do grobu, i oczywiście to prawda. Evelyn wcale tego nie chciała. Miała jednak nadzieję, że przekaże go wnuczkom i Julie. Niech ją piekło pochłonie, jeśli spadek trafi w ręce tej parki, która nie potrafi odróżnić dobra od zła.

- Co musiałabym zrobić, żeby wygrać taką nagrodę? - dopytywała się Nicole. - Jakie umiejętności trzeba mieć?

- Żadne. Chyba że chodzi pani o udział w konkursie - odparł Gerald, szczęśliwy jak prosię w maju, że trafiła mu się taka uważna słuchaczka. Lubił rozmawiać, a jeszcze bardziej być w centrum uwagi. Evelyn miała wrażenie, że ją zdradza, zachowując się, jakby to spotkanie było kolejnym obiadem z parą młodych ludzi, którzy właśnie wprowadzili się do domu w sąsiedztwie.

- To coś zupełnie innego - ciągnął. - O wygranej na loterii decyduje przypadek. Konkurs wymaga pewnych talentów, trzeba na przykład napisać piosenkę reklamową. Niestety, konkursy wyszły już trochę z mody. Kiedyś prenumerowałem pismo „Contest Worksheet”, bo pomagało mi przy układaniu sloganów, ale ono też się zmieniło. Teraz zamieszcza po prostu listy wszystkich dostępnych loterii.

Evelyn z zażenowaniem pomyślała o dwudziestopięciowyrazowym tekście na cześć ciasta w proszku i wszystkich odrzuconych sloganach reklamowych, które Gerald ułożył. Jeszcze wiele lat później chodził po domu, śpiewając z dumą: Jestem skołowany! Tak strasznie skołowany! Dlaczego? Ach, powiem ci to-o-o! Bo mam na kołach opony firmy Goodyear Tire and Rubber Co!

- A czy to nie jest po prostu społecznie akceptowana forma hazardu? - zapytała Nicole.

- Nie wydaje mi się. Nie ma obowiązku kupowania czegokolwiek. To uczciwa sprawa. Jeżeli już, chodzi raczej o reklamę. Powiedzmy, że producent masła orzechowego Skippy urządza konkurs... - Naprawdę to zrobił, a główną nagrodą była czterotygodniowa wycieczka dookoła świata odrzutowcami. Gerald jej nie wygrał. -

Umieszczają informacje o nim i przy okazji urządzają specjalne ekspozycje towaru we wszystkich sklepach spożywczych. Ten, kto idzie odebrać formularz zgłoszenia, staje przed ogromną wystawą, więc może podejść i sięgnąć po słoik masła, skoro już tam jest.

- A pan to robi? - interesowała się Nicole.

- Co?

- Kupuje masło orzechowe?

Prawdę mówiąc, Gerald nigdy nie chodził do sklepów spożywczych. Prosił żonę, żeby podczas zakupów wzięła dla niego formularze, albo po prostu wysyłał po nie swoją sekretarkę.

Kiedyś Evelyn zmusiła go, by zrezygnował z nagrody. Konkurs sponsorował producent psiej karmy i Gerald wygrał teriera szkockiego, którego mieli odebrać w Edynburgu, a koncertem pokrywał koszty podróży. Gdy Evelyn wytknęła mu, że nigdy dotąd nie wyrażał chęci posiadania psa, był smutny jak dziecko. Całymi dniami rozczulał się nad sobą i wspominał zapamiętanego z dzieciństwa uroczonego terierka należącego do jego prababci.

To była, zdaniem Evelyn, największa wada hobby Geralda. Konkursy zmuszają człowieka, by myślał, że potrzebuje różnych rzeczy, które inaczej nawet nie przyszłyby mu do głowy.

- Oglądała pani może w telewizji nowy program Dobra cena? - zapytał Gerald. - Zgaduje się ceny różnych produktów, na przykład sprzętu gospodarstwa domowego albo kukurydzy w puszkach. Myślę, że byłbym w tym niezły. Czasem przeglądam zapasy w kuchennych szafkach i zastanawiam się, ile co kosztuje. Przygotowuję się do występu!

Evelyn ukryła twarz w dłoniach, wyobrażając sobie Geralda w programie telewizyjnym.

- Nie wezmę w tym udziału. Nie martw się, Evie. Moja żona to poważna osoba - zwrócił się do Nicole. - Inteligentna i wartościowa. Los ją pokarał, że musi iść przez życie z takim durniem.

- Nie przesadzaj. - Evelyn wzniosła oczy do nieba. - Nie jestem aż taka poważna.

- Proszę zwrócić uwagę, że wcale nie zaprotestowała przeciwko określeniu „dureń”. - Gerald uniósł palec.

- Jak się państwo poznali? - zapytała Nicole.

- Na studiach - ucieła Evelyn. Wielu osobom z radością opowiedziałyby coś więcej, ale Nicole do nich nie należała.

Dziewczyna zrobiła smutną minę i pokiwała głową, a Evelyn pomyślała, że może Teddy zdążył już wszystko jej wypaplać.

- A wy? - zapytał Gerald, chyba zapominając, z kim rozmawia.

Gdy Evelyn spojrzała na niego ostro, uświadomił sobie, że posunął się za daleko. Ale było już za późno. Wstrzymała oddech.



- Poznaliśmy się w barze - oznajmiła radośnie Nicole. - W hotelu, w którym Teddy zatrzymał się w czasie podróży służbowej. Moja dawna przyjaciółka też tam wtedy mieszkała i umówiliśmy się na drinka. Teddy siedział przy stoliku obok. Zwróciłam na niego uwagę, bo w samym środku zatłoczonego baru czytał jakieś nudne pismo podróżnicze, wiedzą państwo, takie z żółtą okładką i zdjęciami nagich afrykańskich kobiet. Nachyliłam się i powiedziałam do niego: „Przepraszam bardzo, ale myślałam, że jedynym mężczyzną, który czyta publicznie takie rzeczy, jest mój dziadek”.

Evelyn wbiła sobie palce w udo tak mocno, że poczuła ból. Jutro będzie miała w tym miejscu fioletowy siniec. Przypomniała sobie ostatnie święta Bożego Narodzenia i Julie, która zastanawiała się, jaki prezent kupić mężowi. Evelyn powiedziała jej wtedy, że zamierza zaprenumerować dla Geralda „National Geographic”, więc dlaczego Julie nie miałyby zrobić tego samego? Kto wie, może ich mężczyźni wpadną potem na pomysł, żeby zabrać je w podróż dookoła świata?

Okropne, że w życiu dopiero po fakcie widać, co wynika z pewnych decyzji. Może gdyby nie zaproponowała prenumeraty pisma, Nicole nigdy nie zwróciłaby na Teddy'ego uwagi.

- Zaczęliśmy rozmawiać we trójkę, jednak w końcu...

- Nicole zaśmiała się znacząco - ...moja przyjaciółka zrozumiała, co jest grane, i sobie poszła. I zostaliśmy tylko we dwoje.

Evelyn wyobraziła sobie mroczną zadymioną salę, muzykę grającą w tle, flirty, śmiechy i alkohol. W tym samym czasie, dwa i pół tysiąca kilometrów dalej, Julie szykowała obiad dla dzieci, pomagała im dokończyć pracę domową i otulała je kołderką na dobranoc. A potem, przed pójściem spać, próbowała zadzwonić do Teddy'ego do hotelu i stwierdziła, że w pokoju nikt nie podnosi słuchawki.

- Pokazałam mu plażę i poszliśmy na długi spacer - ciągnęła Nicole.

- Mieszka pani blisko plaży? - zapytał Gerald znużonym głosem. Evelyn słyszała, że mówi z wysiłkiem. Nawet jego ta sytuacja zaczęła przerastać.

- Z naszego mieszkania idzie się na nią tylko kilka minut - odparła. - Muszą państwo niedługo przyjechać do nas z wizytą.

A więc już razem mieszkają. Evelyn nie wiedziała, dlaczego tak ją to dziwi. Teddy nie mówił, gdzie mieszka, a ona po prostu łudziła się, że nie doszło do najgorszego. W ostatnich latach zdarzało jej się spotykać dawne uczennice i ich chłopaków i choć byli zbyt kulturalni, by powiedzieć to głośno, z rozmowy wynikało, że niezamężne pary mieszkają i sypiają ze sobą. Za każdym razem Evelyn była zdumiona. Odczuwała wielką ulgę, że Teddy i Julie mieli dość rozsądku, by poczekać do ślubu, choć teraz przypuszczała, iż rozsądna z tej dwójki była tylko Julie.

- Przepraszam - powiedziała cicho i wstała od stołu. Nie czekając na odpowiedź, opuściła pokój i przez korytarz i kuchnię wyszła na dwór.

Usłyszała za sobą kroki i sądziła, że to Gerald, ale gdy się obejrzała, zobaczyła Teddy'ego. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Evelyn poczuła, że do oczu napływają jej łzy gniewu.

- Nie, nic nie jest w porządku - odparła. - Teddy, jak mogłeś to zrobić? Co ty sobie myślałeś?

Wyglądał na naprawdę zaskoczonego. Zbiło ją to z tropu.

- Słuchaj, nie pojechałem na Florydę, planując, że się zakocham. Po prostu tak się stało. Cóż mogłem na to poradzić?

Zacisnęła powieki i nie otwierając oczu, powiedziała:

- Mogłeś wyjechać. Mogłeś wrócić do domu, do żony. A przede wszystkim w ogóle nie powinieneś był dopuścić, żeby to tego doszło.

- Wiem - mruknął trochę łagodniej. - Ale teraz kłamka zapadła...

- Jeszcze nie jest za późno. Naprawdę. Wiem, że Julie potrafiłaby ci wybaczyć. A dziewczynki potrzebują ojca. Proszę.

- Mamo - uśmiechnął się z politowaniem. - Nicole i ja jesteśmy ze sobą na poważnie. Mam zamiar poprosić ją o rękę.

Evelyn zeszywniała.

- Ta dziewczyna... jest taka...

- Och, nie bądź snobką - prychnął. - Nawet nie wiesz, jak trudno jest normalnej osobie odnaleźć się w takim środowisku.

Jakby sam był człowiekiem z ludu. On, jedyny z całej rodziny, który nigdy nie wytrzymał długo w żadnej uczciwej pracy.

- Julie poświęciła ci wszystko. Dała ci dzieci.

- Nigdy tego nie chciałem. Przykro mi, jeśli to brzmi okrutnie, ale taka jest prawda. Nikt nie pytał mnie o zdanie. Człowiek się żeni, a potem nagle pojawia się mnóstwo oczekiwań, które powinien zaakceptować. Dostałem drugą szansę. Chcemy podróżować, przeżywać przygody.

Odwróciła się i ruszyła w stronę stawu. Słyszając, jak liście szeleszczą pod butami syna, przyspieszyła kroku.

- Wracaj do domu! - krzyknęła. - Zostaw mnie. Postradałeś rozum.

Złapał ją za łokieć i obrócił w swoją stronę tak, że znów stali naprzeciwko siebie.

Wyglądał zupełnie jak Gerald, gdy był w jego wieku. Kiedyś Evelyn wyobrażała sobie, że Julie będzie dla Teddy'ego tym, kim ona była dla swojego męża, że wydobędzie z jej syna to, co najlepsze, i oszlifuje nierówne infantylne kanty. Teraz jednak dotarło do niej, że Gerald, nawet kiedy był, jak sam mówił, młodym durniem, zawsze miał dobre serce. Teddy w niczym go nie przypominał.

- Ślubowałeś - powiedziała. - Mieliście być razem, dopóki śmierć was nie rozłączy. Nie możesz tak po prostu odejść.

- Czasy się zmieniają. Takie przysięgi miały większy sens, gdy przeciętna długość życia wynosiła trzydzieści pięć lat - spróbował zażartować. - Poza tym jeszcze przed Florydą mieliśmy z Julie problemy. Jeśli chcesz wiedzieć, potrafi być bardzo

krytyczna.

- Jakie problemy?

- Trochę przesadziłem z hazardem. Nie była to sytuacja bez wyjścia, ale ona zrobiła z tego wielkie halo.

Evelyn pomyślała o pieniądzach, które Teddy tuż przed wyjazdem pożyczył od Geralda. Mówił, że chodzi o nowe przedsięwzięcie biznesowe.

- Nie była to sytuacja, z której nie mógłby cię wyciągnąć ojciec. Och, Teddy, kiedy ty wreszcie dorosniesz?

- Mamo, ja jestem dorosły.

Przykre, lecz prawdziwe. Wiedziała o tym, jednak oznajmiła stanowczo:

- Nie rozwiedziesz się.

Jakby znów miał siedem lat, a ona mówiła mu, dlaczego w sklepie nie wolno kraść cukierków.

- Owszem, rozwiodę. Spotkałem się dziś rano z prawnikiem i ustaliliśmy datę rozprawy. To przesądzone.

Evelyn poczuła, że brakuje jej powietrza.

- Rozumiem - wykrztusiła.

- Przykro mi, że cię rozczarowałem.

- Rozczarowałeś?

- Tak! Ożeniłem się z Julie przede wszystkim dlatego, że była dokładnie taką dziewczyną, jakiej sobie dla mnie życzyłaś.

- Och, daj spokój.

- To prawda. Myślisz, że nie wiem, jak bardzo ją kochasz? Uważasz ją za ósmy cud świata. Posłuchaj, Julie jest wspaniałą osobą, ale nigdy nam się nie układało. Nicole to moja druga połowa. Może nie jest tak czysta i doskonała jak Julie, ale ja też nie jestem ideałem. To właśnie próbuję ci wytłumaczyć.

- Robisz coś bardzo złego. Jeśli nie zawrócisz, nigdy nie zaznasz w życiu spokoju.

- Wybacz, ale to do mnie nie przemawia.

- Julie jest załamana, nie rozumiesz tego?

- Kochasz ją bardziej niż mnie - powiedział. - Przyznaj to.

- Niech będzie. Kocham ją bardziej niż siebie.

Evelyn natychmiast pożałowała swoich słów. Nie dlatego, że nie była to prawda. Wprost przeciwnie - gdyby musiała wybrać jedno z nich, wolałaby Julie. Ale Julie nie chciała być wybrana, nie przez nią, nie po tym, co zrobił Teddy.

- Wyjeżdżamy - rzucił i ruszył w stronę domu.

- Tak chyba będzie najlepiej - odparła, stojąc i patrząc, jak odchodzi.

## 2012

W salonie fryzjerskim u Gabrieli czesano właśnie Avę, May i Olivię. Mona i Kate czekały na swoją kolej, siedząc na ustawionych pośrodku salki plastikowych krzeselkach. Przygotowania trwały drugą godzinę i wszystkie panie miały już zrobiony manicure. Organizatorką wypadu do fryzjera była May. Kiedy spytała o najlepsze miejscowe zakłady, Kate nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ostatni raz robiła sobie manicure przed studniówką. May poszperała więc w internecie i znalazła wiejski salon piękności, w którym z głośnika śpiewał Frank Sinatra, a kobieta z natapirowanymi włosami i jej dwie córki pracowały obok siebie, postukując wysokimi obcasami o żółte linoleum. Jedna z nich, Lulu, była w szóstym miesiącu ciąży. Kate miała wyrzuty sumienia, że trzyma dziewczynę na nogach przez całe popołudnie, ale Lulu zapewniała, że czuje się dobrze. Kate patrzyła na Avę okrytą narzutką za dużą o siedem numerów. Dziewczynka siedziała na fotelu i machała nogami wiszącymi metr nad podłogą. Była zachwycona, gdy Gabriella splotła jej krótkie włoski w warkocz. Dotąd nikt nie obcinał jej włosów poza Kate, która za pierwszym razem rozplakała się na widok spadających na podłogę brązowych kosmyków.

- Trochę więcej lakieru? - zapytała Gabriella.

- Tak, proszę - odparła Ava tonem osoby, której udało się załapać na coś niedozwolonego. Zupełnie jakby fryzjerka zapytała, czy może wpompować jej do ust cały pojemnik bitej śmietany w spreju.

Kate zamknęła oczy i próbowała udawać, że to wszystko nie dzieje się naprawdę.

Od przyjazdu do salonu rozmowę zdominował temat ślubów. Oprócz ich piątki nie było innych klientek i obwieszona lustrami salka zmieniła się w skarbiec wiedzy o początkach małżeństwa.

Wszystko zaczęło się zaraz po wejściu do fryzjera.

- Cóż to za okazja? - zapytała druga córka Gabrielli, nosząca dziwne imię Rue.

- Ślub naszego kuzyna - odparła pospiesznie May.

- Ach tak! Trafiała im się piękna pogoda! Prawdziwe zrządzenie losu!

- Będę sypała kwiatki - oznajmiła z dumą Ava.

- Naprawdę? W takim razie musimy ci zrobić ekstra fryzurę. Kate zobaczyła na twarzy Olivii cień zazdrości. Ogarnęło ją współczucie dla siostrzenicy.

- Jak szczęśliwa para się poznała? - chciała wiedzieć Lulu. - Ja znalazłam męża przez serwis match.com. Czy wiecie, że dzisiaj jedno małżeństwo na pięć poznaje się przez internet? Próbowałam też na eHarmony, ale tam ogłasza się masa dziwnych chrześcijan, którzy wciąż mieszkają ze swoimi matkami.

- Lulu! - zganiła ją Gabriella. - Przepraszam, ona nigdy nie wie, kiedy przestać mówić.

- Ale to prawda. Match.com lepiej mi pasował. Chłopaki puszczała do mnie oczka od rana do wieczora. Tak to się teraz nazywa: puszczenie oczek. Wystarczy kliknąć i wybrana osoba dostaje wiadomość, że ktoś puścił do niej oczko. Nigdy takim nie odpowiadałam. Nawet mała potrafi kliknąć. Prawdziwy mężczyzna poświęci trochę czasu i napisze e-mail, że jest tobą zainteresowany. Tak właśnie zrobił mój Robby. Uroczy, zabawny facet, nie jakiś świr. Najgorsi są ci namolni, którzy od razu zaczynają opowiadać historię swojego życia. Wzięliśmy ślub pół roku po pierwszym spotkaniu. To moje drugie małżeństwo. Te drugie zwykle udają się lepiej niż pierwsze. - Uniosła rękę. - Ale nie powinnam tego mówić, bo może wciąż jesteście panie ze swoimi PM-ami?

- PM-ami? - spytała Kate.

- Pierwszymi mężami.

Kate już otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale May jej nie pozwoliła:

- Jesteśmy, ale ogólnie rzecz biorąc, pewnie ma pani rację - powiedziała. - Nie gniewaj się, mamo, ale na przykład ojcu o wiele lepiej się układa ze starą szaroburą Jean niż z tobą.

- Wcale się nie gniewam. - Mona wzruszyła ramionami. Czy Jean jest szarobura? Kate nigdy nie przyszło to do głowy.

- Na szczęście z pierwszym mężem nie mieliśmy dzieci - ciągnęła swoją opowieść Lulu. - Byłam wtedy po dwudziestce i nasz związek trwał tylko rok. Mówią na takie: próbne małżeństwo. W dzisiejszych czasach to norma. Naprawdę uważam, że dla samotnych dziewczyn nie ma nic lepszego niż internet. W przeciwieństwie do osób zamężnych. Ta cała pornografia i facebookowe romanse... Nawet sobie nie wyobrażacie, jak dużo znam kobiet, do których mężów odezwały się na Facebooku były dziewczyny z liceum. Żona ani się obejrzała, a facet już jechał w podróż służbową, a potem prosił o rozwód.

- Przy słowach „w podróż służbową” Lulu zrobiła palcami znak cudzysłowu. - Jak się nad tym zastanowić, to chyba po raz pierwszy w historii ludzie w związkach mają swój prywatny świat niedostępny dla współmałżonka. Są komórki i konta e-mailowe. Zdrada nigdy nie była taka prosta.

Kate pomyślała, że to ciekawe spostrzeżenie, ale Gabrielli gadanina córki wyraźnie przeszkadzała.

- Dlaczego nie przyszła z wami panna młoda? - zapytała, żeby zmienić temat. - Kto ją czesze?

- Nie ma panny młodej, tylko dwóch panów - wyjaśniła Kate.

- Ach tak - mruknęła Gabriella, przetrawiając tę informację. Zastanawiała się, co powiedzieć, i wreszcie zdecydowała się na pytanie: - W jakich sklepach złożyli listę prezentów?

- W Crate & Barrel i w Sur La Table - odparła May. - Mają doskonały gust. Ich strona w serwisie knot.com jest wprost oszałamiająca.

Kate jej nie widziała, ale pamiętała wieczór sprzed kilku lat, kiedy zadzwoniła do niej Caroline, przyjaciółka z uczelni.

„Właśnie trafiłam na listę prezentów Evana na knot.com”, rzuciła bez tchu.

Evan przed sześciu laty, gdy studiowała na uniwersytecie w Vermont, był jej chłopakiem.

„Ta krowa, z którą się żeni, chce dostać porcelanę Spode'a. Ile ona ma lat? Sto? I, o Boże, pościel w paski zebry. Zakładają dom czy burdel?”

- Wyszłam za mąż, gdy miałam dwadzieścia sześć lat - mówiła tymczasem May. - Moi przyjaciele nie zaczęli jeszcze porządnie zarabiać. Dostałam okropne prezenty.

- May! - wykrzyknęła Mona. - To nieładnie tak mówić.

- Ale to prawda! Żebyś wiedziała, ile wybuliłam na prezenty dla znajomych, którzy byli na tyle mądrzy, że poczekali i wzięli ślub po trzydziestce. Na litość boską, właśnie kupiłam Liz robot KitchenAid. A te dzisiejsze wieczory panieńskie!

- Gdy słyszę to określenie, robi mi się niedobrze - powiedziała Kate.

- No to wieczory przedślubne - ciągnęła May. - Siedem druhen Marleny zabrało ją na tydzień na wyspy Turks i Caicos. Ja dostałam jedną noc w górach Pocono.

- Skoro ktoś chce się żenić, po co mu całe to zamieszanie? - spytała Kate. - Czy nie lepiej byłoby zostawić prezenty i wycieczki na czasy, gdy nasi przyjaciele naprawdę będą potrzebowali pociechy? Na przykład stracą pracę albo zdechnie im pies?

May popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Jest jeszcze jedna dobra rzecz w przypadku drugich małżeństw - powiedziała Lulu. - Fajniejszy ślub. Za pierwszym razem musisz robić to, czego oczekują inni. Za drugim kładą na tobie kreskę, więc urządzasz wszystko tak, jak chcesz.

Komórka leżąca na stoliku przed lustrem nagle zawibrowała.

- Czy mogę odebrać? - spytała Rue i nim May zdążyła odpowiedzieć, wybiegła na dwór.

- Bardzo przepraszam - powiedziała Gabriella. - To nieprofesjonalne z jej strony.

- Nic nie szkodzi - odparła May, ale na pewno pomyślała, że coś takiego nigdy nie mogłoby się zdarzyć w eleganckim salonie, do którego chodzi w New Jersey.

- No, to dopiero smutny przypadek - oznajmiła głośnym szeptem Lulu, wskazując w stronę, w którą pobiegła jej siostra. - Zakochała się w mordercy. Usłyszała o nim w wiadomościach, zrobiło jej się żal i napisała do niego list. On odpisał i rok później się pobrali. Tylko nie pozwolili mu osobiście stawić się na ślubie, więc w urzędzie stanu cywilnego musiał go zastąpić nasz kuzyn. Pobiegła odebrać, bo on może do niej dzwonić tylko raz dziennie. Żałosne.

- Dość już tego! - skarciła ją Gabriella.

- Nigdy się nawet nie dotknęli! - dodała pospiesznie Lulu, jakby bała się, że jeżeli nie wyrzuci z siebie tej ostatniej informacji, wybuchnie.

- Lulu! - krzyknęła Gabriella.

Kate chciała usłyszeć coś więcej. Jakie to dziwne. I fascynujące.

May uznała, że wobec tego będzie sprawiedliwie, jeśli też podzieli się rodzinnym sekretem.

- Moja siostra ma zawieźć dziś wieczorem na ślub obrączki z brylantami i już zdążyła jedną zgubić.

Kobiety wydały okrzyk przerażenia.

- O nie! - Lulu ukryła twarz w dłoniach.

- Wielkie dzięki - syknęła Kate do May.

- Na pewno się znajdzie - próbowała pocieszyć ją Gabriella.

W salonie zapadła cisza. Kate kartkowała jakieś pismo ilustrowane i niemal natychmiast natrafiła na reklamę pierścionków z diamentami.

Co za okrutne żarty płała mi wszechświat, pomyślała.

Zdjęcie przedstawiało długonogą modelkę w obcisłej czarnej sukni, a obok widniał tekst:

Twoja lewa ręka widzi czerwień  
i myśli o różach. Twoja prawa ręka  
widzi czerwień i myśli o winie. Twoja  
lewa ręka wierzy w czar błyszczącej  
zbroi. Twoja prawa ręka sądzi,  
że rycerze są tylko w bajkach.

Twoja lewa ręka mówi: „Kocham  
cię”. Twoja prawa ręka mówi:

„Ja też się kocham”. Kobiety, unieście prawą rękę. Ozdobioną pierścionkiem z diamentem, i Więcej na [www.diamentysawieczne.com](http://www.diamentysawieczne.com) - Fuj - prychnęła Kate, zamykając pismo. - Pierścionki na prawą rękę? Więc teraz mamy myśleć, że kupowanie sobie samej diamentów jest inspirujące?

- O, tak - odparła Lulu. - To weszło w modę już jakiś czas temu. Chociaż, oczywiście, wciąż pragniemy dostawać je od naszych mężczyzn.

Spojrzała na rękę Kate i szybko odwróciła wzrok.

- Moja siostra jest ostatnią osobą na świecie, która miałaby ochotę kupić sobie diament - powiedziała May. - Wierzcie mi, wiem, co mówię.

Kiedy May zaczęła umawiać się na randki z Joshem, wybrały się razem na oglądanie pierścionków zaręczynowych. Kate miała dwadzieścia dwa lata i była ze swoim chłopakiem Toddem od trzech lat, a May i Josh spotykali się dopiero od dziewięciu miesięcy. May jednak przypomniała siostrze, że jest od niej cztery lata starsza i gotowa do małżeństwa. U jubilera zjawiła się zaopatrzona w zdjęcia. Kate przyglądała się, jak przedstawia listę życzeń starszemu mężczyźnie za ladą: „Brylant o szlifie okrągłym, waga od jednego do półtora karata, szlif doskonały lub przynajmniej bardzo dobry, mało inkluzji - najlepiej stopień czystości WS-jeden, ewentualnie VS-jeden. Obrączka platynowa ozdobiona kilkoma mniejszymi kamieniami. Możemy przeznaczyć na zakup osiem, najwyżej dziesięć tysięcy

dolarów. Naprawdę nie chcę, żeby narzeczony wydał więcej na pierścionek".

Kate gapiła się na nią zdumiona. Siostra wyglądała tak, jakby zawładnęła nią jakaś obca siła. Czy to naprawdę mówiła May, której najdroższą ozdobą był maleńki złoty wisior otrzymany z okazji ukończenia studiów? May, która wszystkie ubrania kupowała w sklepie Banana Republic? Nagłe wyjście na jaw ukrytej części jej osobowości budziło niepokój. Czy tak zachowuje się większość kobiet? Mężczyzna za ladą nie wyglądał na speszonego, przeciwnie, wydawał się zadowolony.

- Zobaczmy, co da się zrobić - odrzekł. - Pokażę pani kilka kamieni.

Poszedł na zaplecze, a one czekały, stojąc przed długą gablotą, w której za szybą tkwiły na podstawkach setki obrączek, każda z luką przywodzącą na myśl usta dziecka, które właśnie straciło ząb, każda czekająca na diament. Kate wyobrażała sobie, że pierścionki już będą gotowe. Wszystko w sklepie wydawało jej się dziwnie bezosobowe.

- Zupełnie jak w pizzerii w centrum handlowym, gdzie każdy może wybrać własne dodatki do pizzy - zauważyła.

May nie zwracała na nią uwagi. Wpatrywała się w gablotę,; jakby za szybą leżało jej nowo narodzone dziecko.

Sprzedawca wrócił, niosąc cztery małe koperty. Wysypał z nich kamienie i ułożył na ladzie kilka obrączek. May przymierzała jedną po drugiej, za każdym razem pytając Kate o zdanie. Odpowiedzi wahały się od „uhm” do „niezła”.

- Może też przymierzysz? - zaproponowała May.

- Ja? O nie, dziękuję.

- Uważa, że nie chce diamentu - wyjaśniła May jubilerowi, a on popatrzył na Kate z taką miną, jakby właśnie zawiadomiła go, że nie chce dłużej żyć. Kate zawsze czuła się w sklepach nieswojo. Matka i siostra jeszcze pogarszały sprawę, rozmawiając o niej ze sprzedawczyniami tak, jakby nie stała obok. („Uważa, że wygląda źle w kostiumach kąpielowych”. „Uważa, że z lakierowaną skórą jest coś nie tak...”).

- Podobają mi się wzory wygrawerowane na tej obrączce, ale serduszka to lekka przesada - paplała May. - I czy jednokaratowy brylant nie będzie za duży na te łapki?

- Wszystkie obrączki są robione ręcznie przez dwóch braci w Cincinnati - wyjaśnił jubiler. - Metal jest kowalny, więc bez trudu usuną serduszka i nadadzą oprawie właściwy kształt.

- Znakomicie. - May pokiwała głową.

Po dwóch najdłuższych godzinach w życiu Kate siostra podjęła wreszcie decyzję. Jubiler zanotował wszystkie uwagi na karteczce i podpisał ją nazwiskiem May, ona zaś miała przekazać Joshowi, żeby zgłosił się tu, kiedy będzie gotowy.

- Naprawdę tak się robi? - wyrwało się Kate.

- Prawdę mówiąc, połowa mężczyzn sama przychodzi i wybiera pierścionek - odpowiedział jubiler. - Ja jednak wolę, gdy robią to dziewczęta. Jeśli przyjdą tu z matką lub siostrą i same podejmą decyzję, dostaną dokładnie to, czego pragną. Takie



podejście jest bardziej nowoczesne i daje kobiecie prawo wyboru.

- Kobiety mają prawo wyboru! - wykrzyknęła Kate.

- Właśnie - przytaknął mężczyzna. May spojrzała uważnie na siostrę.

- Po co w ogóle tu ze mną przyszedłeś, skoro miałeś zamiar tak się zachowywać? - zapytała w samochodzie.

- To znaczy jak?

- Wiesz, co mam na myśli.

- Nie sądziłam, że czekają mnie takie przeżycia. Myślałby kto, że podejmujesz właśnie najważniejszą życiową decyzję. Przecież chodzi tylko o kupno pierścionka.

- Wybór pierścionka to poważna sprawa - oznajmiła May. - Sam kształt oczka wiele o tobie mówi.

- Na przykład?

- Cóż, szlif typu poduszka oznacza, że jesteś staroświecka, podczas gdy szlif okrągły wskazuje, że masz klasyczny gust, ale nadążasz za modą.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Po prostu wiem. Mam przyjaciółki, które bardzo żałują, że wybrały niewłaściwy pierścionek albo dały się namówić na model, który nie do końca im odpowiadał. Bardzo rzadko spotyka się osobę całkowicie pewną, że wybrała dokładnie to, czego pragnęła.

- Myślę, że to, co mówisz, miałyby większy sens, gdybyś zastąpiła słowo „pierścionek” słowem „mężczyzna”.

- Nie rozumiesz, że to poważna sprawa? Symbol czegoś ważnego.

- Tak, konsumpcjonizmu w najlepszym wydaniu. Słuchaj, po prostu nie wiedziałam, że przez ostatnie dziesięć lat miałeś obsesję na punkcie diamentów.

- Wiedza, czego się pragnie, to niekoniecznie obsesja - broniła się May. - Nie przesadzaj.

- Wiesz chociaż, dlaczego chcesz mieć ten pierścionek?

- drażniła Kate.

- Tak. Bo jest piękny.

- I to wystarczający powód, żeby...

- Żeby co? - rzuciła wyzywająco May, prowokując siostrę, by dokończyła myśl.

Kate ogarnęła złość. Według własnej oceny zasługiwała na pochwałę, że wytrzymała i do tej pory nie wspomniała o najoczywistszych rzeczach. Ale w końcu puściły jej nerwy.

- Żeby brać na siebie odpowiedzialność za gwałcenie i mordowanie niewinnych Afrykanów przez brutalne reżimy tylko po to, by przez resztę życia nosić na palcu ładną błyskotkę.

- Zawsze wszystko musisz popsuć - powiedziała May, dla podkreślenia swoich słów uderzając dłonią w kierownicę.

- Powinnam zabrać ze sobą Kim albo mamę, albo po prostu pójść sama.

- Właśnie, po co właściwie prosiłaś, żebym z tobą poszła?

- Mama uznała, że jeśli cię zaproszę, może też się zachęcisz i zmienisz zdanie na temat ślubów.

- Jezu Chryste.

Wcześniej zamierzały wybrać się razem na obiad, ale teraz May tylko podrzuciła siostrę na stację szybkiej kolei i odjechała bez pożegnania.

W następnym roku odbył się ślub May i Josha. Na weselu przygrywał zespół bluesowy z Memphis, była fontanna z szampanem i (oprócz trzypiętowego tortu) bufet z lodami. Czarki do lodów miały kształt małych hełmów baseballowych: połowa w barwach drużyny Miami Marlins na cześć rodziny Josha z Florydy, a połowa w barwach Metsów. May wynajęła konsultantkę ślubną o imieniu Debra, która zajmowała się głównie przypominaniem pannie młodej, że to „najważniejszy dzień w jej życiu”, za każdym razem, gdy ta zaczynała martwić się wydatkami. Chociaż cała impreza kosztowała czterdzieści tysięcy dolarów, May wciąż powtarzała, że motywem przewodnim były „skromność i zabawa”. Podarowała druhom błyszczące, różowe, zapinane na suwak bluzy, które na plecach miały napis: „Jestem z panią Rosen”, a pod koniec wesela wszyscy dostali po puszce bud-weisera light w styropianowym pokrowcu z życzeniami:

„MAY i JOSH, 30 PAŹDZIERNIKA 2000: Niech wasze serca zawsze będą gorące, a piwo zimne!”.

Od tamtej pory, ilekroć Kate spoglądała na zaręczynowy pierścionek swojej siostry, czuła się niezręcznie. Pomysł, że ma on symbolizować miłość i doskonałość, uważała za okropny, gdyż pojęcia te wydawały jej się bardzo odległe od istoty małżeństwa, które w najlepszym razie było czymś zagmatwanym i przyziemnym. Niby dlaczego związek ma stać się idealny tylko dlatego, że dwoje ludzi wzięło ślub? Kiedy May zaczęła spotykać się z Joshem, często rozmawiała z siostrą. Opowiadała o swoich wątpliwościach i lękach, o tym, że przyłapała Josha na rozmowie przez telefon z byłą dziewczyną i że uważa go za człowieka leniwego i pozbawionego ambicji. Ale po zaręczynach nie poruszała więcej takich tematów, zupełnie jakby pierścionek i ślub były formą zapłaty za milczenie.

Kate wierciła się niespokojnie na plastikowym krześle. Miała ochotę wyjść z salonu fryzjerskiego i wrócić do domu, ale zanosilo się na to, że spędzą tutaj jeszcze godzinę. Zaczęła przeglądać kolejne pismo, tylko po to, żeby się czymś zająć.

Kiedy patrzyła na ostatnią stronę, przyszedł SMS od Jeffreya: Chyba nie dam rady.

Choć przed kilkoma godzinami kuzyn nie wyglądał na zdenerwowanego, Kate nie była zdziwiona. Chwile zwątpienia wydawały jej się nieodłącznym elementem całego tego przed-sięwzięcia, obok decyzji, jak ma wyglądać tort lub czy wybrać zespół, czy didżeja. Osoby mające przedślubne rozterki zwykle dzwoniły właśnie do niej. Kate lubiła myśleć, że robią to, bo potrafi dobrze słuchać, ale wiedziała, iż prawdziwy powód jest inny. Reprezentowała odmienną drogę, była jedyną koleżanką, która nie

wyszła za mąż i nigdy tego nie robi. Osoba, którą nagle ogarnęły wątpliwości, wiedziała, że cokolwiek powie, Kate na pewno się nie obrazi.

Jeff i Toby pojechali zagrać w golfa do hotelu Fairmount. Kate nie słyszała, by wcześniej lubili ten sport, teraz jednak byli przyszlými nowożeńcami, a takie osoby grają w golfa, sporządzają listę prezentów, odchudzają się i miewają chwile zwątpienia.

Już po ciebie jadę, odpisała.

- Muszę wyjść - poinformowała siostrę. Rue, która skończyła rozmawiać i wróciła do salonu, właśnie upinała jej włosy w kok.

- Co takiego? - zdziwiła się May. - Dlaczego?

- Jeffrey ma wątpliwości.

- No tak - mruknęła May. Była druhną pięć razy i znała zasady. - A co z twoimi włosami?

Kate od tygodni próbowała wyjaśnić rodzinie, że nie musi się czesać u fryzjera. Zamiast powtarzać to jeszcze raz, powiedziała tylko:

- Nikt nie zwróci uwagi na moje włosy, jeśli zabraknie jednego pana młodego.

- Nic mu nie będzie - stwierdziła May. - To normalne.

- Wiem, ale mimo wszystko powinnam pojechać. Odwiesz Avę do domu?

- Oczywiście.

- Zostaniesz z cicią May i babcią? - zapytała córkę.

- Zostanę - odparła Ava, jakby robiła to każdego dnia.

Kate pomyślała, że tak bardzo starają się z Danem odpowiednio kształtować życie córki, choć ma dopiero trzy lata: świeże wiejskie powietrze, ekologiczne owoce i warzywa, w przyszłym roku przedszkole Montessori, za które nie wiadomo, jak zdołają zapłacić, i neutralne płciowo zabawki mające pokazać córce, że dziewczynki mogą osiągnąć wszystko. A jednak Ava nigdy nie była taka szczęśliwa jak teraz, z paznokciami pomalowanymi na różowo i włosami spryskanymi lakierem.

Kate pokręciła głową i śmiejąc się, poszła do samochodu. Będzie się tym martwiła później.

Kiedy po dwudziestu minutach wjechała przez główną bramę na dziedziniec hotelu Fairmont, przed drzwiami czekał na nią Toby. Podjechała bliżej i opuściła szybę od strony pasażera.

- Dzięki, że przyjechałaś - powiedział.

- Ty do mnie napisałeś? - zapytała. - Myślałam, że to Jeff.

- Ja. Próbowałem szybko wysłać ci wiadomość, tak by nikt tego nie zauważył, i niechcący złapałem nie swojego iPhone'a.

- Ach tak. Ciągle grają w golfa?

- Owszem.

- Co im powiedziałaś, wychodząc?

- Że dzwonili z kwaciarni, bo mają problem z kwiatami wiśni.

- Brzmi prawdopodobnie. No to jedziemy. Wsiadaj. Toby usiadł obok Kate, a ona uśmiechnęła się do niego.

Jeff poznał Toby'ego przed dziesięciu laty, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ją porzucił Todd. Jeff i Toby byli wtedy na etapie zakochiwania się w sobie, co w normalnych warunkach łączy się z egoizmem, izolowaniem się od innych i poczuciem, że na całym świecie nie ma nikogo prócz ukochanej osoby. Ponieważ jednak Kate cierpiała, kontaktowali się z nią przez cały czas. W sobotnie wieczory wyciągali ją na obiady do restauracji, żeby nie siedziała sama w domu. Organizowali jej randki, upewniając się tylko, czy facet jest heteroseksualny i wolny. Większość spotkań okazała się wielką porażką, ale doceniała ich dobre chęci.

Po czterech latach poznała Dana. Kiedy mieszkali w Nowym Jorku, umawiali się z Jeffem i Tobym na podwójne randki, a po decyzji o przeprowadzce na północ Kate martwiła się głównie tym, że czeka ich rozstanie z przyjaciółmi. Oni jednak odwiedzali ich co parę miesięcy. Przyjeżdżali na urodziny, na Dzień Niepodległości i na letnie pikniki w górach. Po dziesięciu latach Toby był Kate równie bliski jak Jeff.

- Znam dobre miejsce - powiedziała.

Był to bar urządzony w stojącej przy wiejskiej drodze długiej chacie z bali. Ten, kto jechał zbyt szybko, mógł go nie zauważyć. Kate i Dan wstąpili tu na piwo w dniu, w którym po raz pierwszy przyjechali obejrzeć dom. W barze było wtedy prawie zupełnie pusto, podobnie jak teraz. W środku zastali tylko barmana i kilku miejscowych facetów siedzących w rogu pod pomarańczowym neonem w kształcie kowbojskiego kapelusza reklamującym piwo Bud Light. Powszechnie uważano, że tutejsza stara gwardia nienawidzi japiszonów w rodzaju Kate, wykupujących domy w dolinie.

- Dwie whiskey - powiedziała do barmana i spojrzała na Toby'ego. Miał łzy w oczach.

- Kochanie, co się stało?

- Moja matka jednak nie przyjedzie.

- Słucham?

- Nic nie szkodzi, spodziewaliśmy się tego. Parę dni temu powiedziała, że modliła się w mojej intencji i nie jest pewna, czy postąpi słusznie, akceptując to, co w jej mniemaniu pośle mnie do piekła. Kiedy rozmawiałem z nią wczoraj wieczorem, zapewniała, że przyjedzie, ale dziś rano, tuż po odlocie samolotu, zadzwoniła i powiedziała, że nie mogła się przemóc, by do niego wsiąść.

- Tak mi przykro. - Kate była szczerze zmartwiona.

- Naprawdę nie o to chodzi. W sumie bez niej wszystko będzie prostsze.

- Więc o co?

- Jak mam ci to wytłumaczyć? Spróbuję. - Toby mówił cicho i powoli, w sposób zupełnie do niego niepodobny. - Pod koniec lat osiemdziesiątych przeprowadziłem się do Nowego Jorku. W tamtych czasach, gdy ktoś zmarł na AIDS, w „Timesie” zawsze pisano, że pozostawił długoletniego towarzysza. Nigdy nie był to mąż czy partner,

zawsze „długoletni towarzysz”. Pamiętam, jak rozmawiałem o tym z Jeffem niedługo po tym, jak się poznaliśmy. Jego to złościło. Uważał, że takie określenie pomniejsza znaczenie tej osoby i powinni użyć bardziej adekwatnego słowa, na przykład „partner” lub „chło-pak”. Tymczasem ja po prostu nie mogłem uwierzyć, że nikomu to nie przeszkadza. I nawet jeśli używają eufemizmów, to piszą o takich związkach w gazecie i nie następuje koniec świata.

- Rozumiem - powiedziała Kate. Dostali drinki i każde z nich upiło po łyku.

- Jako młody chłopak uważałem, że jestem chory i nigdy nie będę normalny. Patrzyłem na rodziców, dziadków, ciotki i wujów. W szkole średniej ludzie zaczęli łączyć się w pary, a ja wiedziałem, że zawsze będę sam. Sam aż do śmierci, a potem pójdę prosto do piekła. W Nowym Jorku piekło to pojęcie abstrakcyjne. W moich rodzinnych stronach jest realnym miejscem. Piekłem przez duże „P”, jak nazwa stanu, na przykład Connecticut. Często, leżąc w łóżku, rozmyślałem o tym. Czasem nawet rozważałem samobójstwo. Dzieciaki w szkole strasznie mi dokuczały. Pewnie wyczuwały, że jestem inny.

Kate objęła go ramieniem.

- Nasz pastor miał obsesję na punkcie homoseksualizmu. Teraz, gdy o tym myślę, jestem prawie pewny, że sam ukrywał takie skłonności. Stał na ambonie i - co tam wojny, zbrodnie, głód czy bieda - dla niego najgorszą rzeczą na świecie był homoseksualizm. Opowiadał, jak diabeł próbuje nakłonić mężczyzn do wstrętnych czynów, bo chce, żebyśmy grzeszyli. I że każdego mogą takie skłonności nawiedzić, ale musi je zwalczyć. Dla niego cała Biblia sprowadzała się do Sodomy i Gomory: Bóg nienawidził gejów i na dowód tego zniszczył całe miasto. Za każdym razem, gdy ten temat się pojawiał, ojciec wpadał w złość. Mówił o tym tak często, jakby w naszym domu roiło się od homoseksualistów. Zawsze uważałem, że to śmieszne, bo przecież nie znał żadnych gejów. Teraz rozumiem - przez cały czas musiał mnie podejrzewać. Kiedy byłem mały, bił mnie pasem, a ja oczywiście płakałem, jak każde dziecko. Tłukł mnie dopóki się nie uspokoilem. Mówił, że to jedyny sposób, żebym nie wyrósł na babę.

- Jezu. A co na to twoja matka?

- Czasem też płakała i prosiła, żeby przestał. Ale częściej po prostu nie zwracała na to uwagi. Musisz zrozumieć, że nie byłem wtedy Tobym, którego dobrze znasz, tylko małym chrześcijaninem. Tak bardzo chciałem, żeby rodzice byli ze mnie zadowoleni, że sam nienawidziłem gejów. Według mnie zasługiwali na śmierć, choć w głębi duszy wiedziałem, że jestem jednym z nich. Kiedy miałem piętnaście lat, w naszym miasteczku aresztowano dwóch facetów za uprawianie w nocy seksu w samochodzie. Następnego dnia rano wszyscy o tym wiedzieli. Jeden był po prostu przejeżdżnym, ale drugi synem miejscowego dentysty, faceta, który chodził do tego samego kościoła co moi rodzice. Chłopaka wysłali na leczenie na Florydę do instytutu zmieniającego orientację seksualną. Wrócił po roku, ożenił się z jakąś nieszczęsną dziewczyną i

mieli dwoje dzieci.

- O Matko Święta - jęknęła Kate. Ani on, ani kuzyn nigdy jej tego nie mówili. - Czy Jeff o tym wie?

Toby skinął głową.

- Gdy odesłali tamtego chłopca na Florydę, ojcu naprawdę odwaliło. W moje szesnaste urodziny obiecał, że zabierze mnie do miasta na stek. Uwielbiałem ojca. I wiesz, byłem dumny, kiedy zechciał poświęcić mi więcej uwagi, choć w wieku szesnastu lat powinienem już zdawać sobie sprawę, że to po prostu nieudacznik.

Kate pokiwała głową i dokończyła drinka. Skinęła na barmana, żeby podał im jeszcze po jednym. Facet oglądał właśnie serial Zdrówko w wiszącym nad jego głową telewizorze, co wydało jej się zabawne. Chciała pokazać to Toby'emu, ale poprosiła tylko:

- Mów dalej.

- Wyszukowałem się i poszliśmy z tatą do restauracji. Zamówił dużo alkoholu - bourbona, tequilę, kilka kolejek wódki. Piliśmy równo. W tamtych czasach było to dozwolone od lat osiemnastu. Choć mogłem wyglądać na osiemnasto-latkę, popełniałem przestępstwo. Lecz przecież piłem w restauracji z tatą! Przez cały czas myślałem: No! W końcu stary potraktował mnie jak równego sobie! Pod koniec obiadu zaczął mówić, że pedały to, pedały tamto. Pamiętam, jak stwierdził, że do gejów powinno się strzelać bez ostrzeżenia. Nie zwracałem na te słowa uwagi, bo wypowiadał je ojciec. Gdy wyszliśmy z restauracji, ruszyłem do samochodu. Wtedy powiedział: „Nie, nie, idziemy w tamtą stronę”. Nie miałem pojęcia, dokąd mnie zabiera. Ledwie trzymałem się na nogach, ale nie protestowałem. Przeszliśmy piętnaście, może dwadzieścia przecznic i dotarliśmy do obskurnej kamieniczki. Tata zadzwonił do drzwi jednego z mieszkań, a kiedy drzwi się otworzyły, powiedział: „Zaraz wracam”. Kilka minut później wyszedł i zawiadomił mnie: „Już jej zapłaciłem. Zaczekam tutaj”.

Kate poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, jakby zjeżdżała z najwyższego wzniesienia kolejką w wesołym miasteczku.

- Tata wynajął ci prostytutkę? Toby pokiwał głową.

- I co zrobiłeś?

- Byłem przerażony. Chyba się rozplakałem. Nigdy wcześniej nikogo nawet nie pocałowałem i po prostu nie wiedziałem, co robić. Przecież seks przedmałżeński także był grzechem. Kobieta miała około czterdziestki i też wyglądała na wstrząśniętą. Zastanawiałem się, skąd ojciec w ogóle ją zna, a ona pewnie próbowała zgadnąć, po co mnie do niej przyprowadził. A może wiedziała?

- Uprawiałeś z nią seks? - spytała Kate. Toby przytaknął.

- Bałem się, co będzie, jeśli tego nie zrobię. Potem wróciliśmy z ojcem do domu i po drodze żaden z nas nie odezwał się ani słowem. Nigdy więcej o tym nie wspominaliśmy.

- I to miało cię wyleczyć?

- Najwyraźniej tak. - Toby roześmiał się z niedowierzaniem, - Jak wiesz, później przez kilka lat studiowałem na chrześcijańskiej uczelni i umawiałem się z różnymi dziewczynami, ale żadna taka znajomość nie trwała dłużej niż miesiąc. Zawsze po kilku randkach zapraszałem je do domu, jakbym chciał pokazać rodzicom, że jestem normalny. Ale na ogół spędzałem czas sam. Byłem najsamotniejszym człowiekiem na świecie. Gdy miałem dziewiętnaście lat, przeprowadziłem się do Nowego Jorku i to mnie uratowało. Naprawdę nie przesadzam, Nowy Jork mnie ocalił. O Boże, jaki ja wtedy byłem irytujący. Jeden wielki banał - sypiałem, z kim popadło, tańczyłem całe noce w gejowskich klubach i nosiłem obcisłe podkoszulki. Jak to mówią, urwałem się z łańcucha. Przesadzałem, dlatego że moje prawdziwe „ja” było przedtem zepchnięte gdzieś w głąb, przyduszone i nagle wyszło na wolność. Zawsze czułem się tak, jakbym miał dwa życia - przed Nowym Jorkiem i po nim. Dwóch różnych Tobych. Ale nie uwolniłem się od poprzedniego wcielenia i teraz to do mnie dotarło.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek z nas mógł uwolnić się od dzieciństwa - powiedziała Kate. - Po prostu odpowiadamy na nie.

- Powtarzałem Jeffowi, że nie chcę dużego wesela, ale wiesz, jak on się nakręca. A przecież to także jego dzień. Chciałem, żeby go miał. Jednak to wszystko jest zbyt piękne. Kiedy widzę tych bigotów w telewizji, gadających, że małżeństwa jednopłciowe to pierwszy krok w stronę poligamii albo krzywda dla dzieci, czuję to samo co wtedy, kiedy w „Timesie” pisano o „długoletnich towarzyszach”. Po prostu nie mogę uwierzyć, że o takich małżeństwach w ogóle mówi się oficjalnie. To ogromny postęp!

- Ależ oczywiście! Więc na czym polega problem, kochanie? Przecież wszystko idzie ku dobremu.

- Owszem, ale... Od dawna nie byłem w kościele i naprawdę myślałem, że już z nim skończyłem. Jednak wciąż słyszę w głowie słaby głosik mówiący, że robię coś złego. Oczywiście nie spodziewałem się zobaczyć ojca na ślubie i byłem przygotowany na to, że matka także się nie zjawi. Ale telefon od niej sprawił mi wielką przykrość. Znaczył więcej, niż chciałyby przyznać. Dokonał się ogromny postęp, lecz gdybyśmy pojechali z Jeffem do mojego miasteczka w Alabamie i spacerowali ulicami, trzymając się za ręce, nie uszlibyśmy z życiem. Czy naprawdę możemy wziąć ślub, skoro tyle osób w to nie wierzy? Jakaś autodestrukcyjna część mnie, słysząc ludzi broniących tradycyjnych małżeństw, prawie się z nimi zgadza. Nie mogę powiedzieć o tym Jeffowi, bo stwierdzi, że oszalałem, i będzie miał rację, ale co mi z tego?

- Toby, dzisiaj spotkałam kobietę, która wyszła za mąż za więźnia. Nigdy się nie dotknęli. Nawet nie pozwolono mu wziąć udziału we własnym ślubie. Czy według ciebie jest to tradycyjne małżeństwo tylko dlatego, że on ma penisa, a ona waginę? Bardziej prawdziwe niż wasze?

Roześmiał się z głębi brzucha, głośno, wesoło i ze zdziwieniem, śmiechem, który tak lubiła.

- Gdzieś ty się, u diabła, włóczyła?

- Byłam w salonie piękności.

- No tak, mogłem się domyślić. - Pokręcił głową. - Dziękuję, że się ze mną spotkałaś. Już samo przyście tutaj dobrze mi zrobiło.

- Wiem o tym.

- Jeff obsesyjnie pragnie, żeby dzisiejszy dzień był idealny. Lecz planując idealne kwiaty, idealne jedzenie, idealny widok i idealną pogodę, zapominamy, że nie możemy zamówić do kompletu idealnej rodziny. Jesteśmy skazani na ten sam syf, który mieliśmy wcześniej.

Kate wzięła go za rękę.

- Przecież ja też jestem twoją rodziną. Pozwoliłam córce przebrać się za księżniczkę, chociaż przyprawia mnie to o mdłości. I przez dwa dni muszę wytrzymać z May i z Moną. Widzisz, jak bardzo cię kocham?

- Naprawdę to doceniam. - Uśmiechnął się.

Kate poczuła, że pod wpływem whiskey problemy, którymi się martwiła, tracą ostrość. I kiedy przyszedł jej do głowy pewien zapewne nie najlepszy pomysł, postanowiła go zrealizować.

- Chcesz, żebym powiedziała ci coś, co na pewno odwróci twoją uwagę od smutnych myśli?

- Bardzo proszę.

- Zgoda, ale robię to tylko dlatego, że gdy usłyszysz, co się stało, nie będziesz już w stanie myśleć o niczym innym.

- Brzmi obiecująco. Mów dalej.

- Zgubiłam jedną obrączkę. Toby wytrzeszczył oczy.

- Wyobrażałem sobie różne rzeczy, ale tego nie przewidziałem. Dostajesz szóstkę za element zaskoczenia. Jeff cię zabije, wiesz o tym?

Z ulgą zobaczyła, że Toby się uśmiecha.

- Nie jesteś zły?

- Nie. Przecież się znajdzie, prawda? Sprawdziłaś w kieszeni płaszcza? Może ją przymierzałaś i potem wyleciało ci to z głowy?

- Nic z tych rzeczy. Obie obrączki leżały w kuchni w pudełeczkach i w torebce od jubilera. Gdy dziś rano do niej zajrzałam, jedno etui zniknęło.

- Sprawdziłaś odciski palców?

- Nie, ale mam pewne podejrzenia.

- Olivia, prawda?

- Właśnie.

- Mówiłem Jeffowi, że dzieci May też powinny brać udział w ceremonii, skoro zaprosiliśmy Avę. Tak byłoby sprawiedliwie. Ale sama wiesz, May... Jeff nie chciał z



nią tego ustalać.

- Bardzo dobrze go rozumiem. Na pewno nie jesteś na mnie zły?

- Obrączki znaczą wiele dla Jeffa, dla mnie nie są takie ważne. Chciałem po prostu wybrać coś w Blue Nile, i tyle.

- Co to jest Blue Nile?

- Sklep internetowy, w którym możesz kupić diamenty z dużą zniżką. Prawdę mówiąc, w ogóle nie chciałem nosić diamentów.

- I słusznie.

- Nie z powodów humanitarnych. Po prostu uważam, że są w złym guście.

- Ach tak! - Kate się roześmiała.

- Nie ma w nich niczego wyjątkowego. Każda kobieta w Denny's ma na palcu diament.

- Kiedy ostatnio byłeś w Denny's?

- Czy gdzie indziej. - Uśmiechnął się szeroko. - Zresztą jesteśmy przecież mężczyznami, a nigdy nie słyszałem, żeby faceci nosili pierścionki z diamentami. Ale Jeff twierdzi, że to modne. Według niego za pięć lat wszyscy mężczyźni będą chcieli takie mieć.

- Hm.

- Chyba wiesz, że można teraz dostać diamenty bez krwawej historii. W Kanadzie też mają kopalnie. Sprzedają diamenty z wygrawerowanym laserowo niedźwiedziem polarnym, klonowym liściem i czymś tam jeszcze.

- Niby tak, ale słyszałam, że niektóre z tych kanadyjskich kopalni należą do koncernu De Beers.

- Och, ale są też diamenty syntetyczne. Robią je w komorach pod wysokim ciśnieniem. Jest nawet firma, która wyrabia diamenty z prochów skremowanych zmarłych.

- To najbardziej makabryczna rzecz, o jakiej w życiu słyszałam.

- Prawda? Jeffowi bardzo zależało, żebyśmy sami zaprojektowali nasze obrączki, więc ostatecznie tak zrobiliśmy. Chciał, żeby były wyjątkowe.

Kate pokiwała głową. Miała ochotę zmienić temat.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Toby.

- Tak, tylko trochę kręci mi się w głowie.

- Nie o to chodzi, pytam ogólnie. Już od pewnego czasu chciałem z tobą porozmawiać. Zmieniłaś się. W pierwszej chwili myślałem, że chodzi o adaptację - przeprowadziliście się tutaj i tak dalej - ale teraz nie jestem tego taki pewny.

- Bardzo mi się tu podoba - zapewniła Kate. - I oczywiście kocham Dana i Avę. Ale czuję się trochę zagubiona. Tęsknię za pracą. Mam wrażenie, że porzuciłam wszystko, co było dla mnie ważne.

- Chciałabyś wrócić na Brooklyn?

- Trochę. Ale Dan lepiej czuje się tutaj.

Zawsze dziwiło ją, gdy ludzie decydowali się na wyprawę z Nowego Jorku. Gdy jeszcze tam mieszkała, jej przyjaciele wciąż powtarzali, że o wiele lepiej żyłoby się im gdzie indziej. Sama brała udział w takich rozmowach: „W Austin odpada problem surowych zim! Dom można wynająć za dolara. W Portland, w stanie Maine, każdego ranka po przebudzeniu patrzysz na ocean!”.

Jednak kiedy ktoś przestawał mówić o przeprowadzce i naprawdę wyjeżdżał, Kate nie mogła tego zrozumieć. Co prawda Nowy Jork był męczący, ale był także Nowym Jorkiem. Podejrzała, że wyjazdy do różnych miejsc to co innego niż osiedlenie się na stałe. Jej była szefowa mieszkała za miastem i codziennie dojeżdżała do pracy. Powiedziała kiedyś Kate, że nadejdzie moment, kiedy i ona będzie miała dość Nowego Jorku. Kate na to czekała. Pewnego dnia, w jednym z pierwszych tygodni ciąży, psychicznie chory bezdomny popchnął ją na chodniku. Nie przewróciła się, ale był to przykry wypadek i potem przez kilka dni zastanawiała się: Czy to już? Czy mam dość Nowego Jorku? Jednak życie toczyło się dalej. Rok przed tym wydarzeniem, w parne sierpniowe popołudnie zobaczyła w metrze nastolatkę, która straciła przytomność, spadła na tory i przejechał ją pociąg linii numer sześć. Pod Kate ugięły się nogi. W domu z płaczem tłumaczyła Danowi: „Mam dość. Nie mogę żyć wśród tyłu ludzi i dzielić ich cierpień”. Jednak następnego dnia rano łązy obeszły i jak zwykle pojechała do pracy.

Ostatecznie to nie ona podjęła decyzję. Dan pragnął, żeby mieli drugie dziecko, zamieszkali wśród drzew, łąk i mieli więcej przestrzeni. Chciał też, żeby żyło im się łatwiej niż na Brooklynie, a Kate mniej skupiała się na tragediach, a więcej na prostych przyjemnościach. Ona teoretycznie także tego pragnęła, ale czasem myślała, że nie jest jej przeznaczone spokojne życie. Konflikty zawsze ją dogonią - gazety i internet zadbają, by się o nich dowiedziała.

- Czy nie możesz porozmawiać o tym z Danem? - zapytał Toby. - Nie znam drugiej pary, która byłaby ze sobą tak blisko. Możesz mu o wszystkim powiedzieć.

- Nie o to chodzi. - Wiedziała, że nic nie stoi na przeszkodzie, by wyznała Danowi, czego pragnie, a on może nawet pomógłby jej to osiągnąć. Ale ich pragnienia tak bardzo się różniły. Jedno z nich musiałyby się poświęcić. To było najtrudniejsze w małżeństwie lub w związku takim jak ich: nadzieje, lęki i szczęście zależą od drugiej osoby. Jeśli ktoś przestaje myśleć w ten sposób, kończy jak rodzice Kate: zgorzkniali, pełni złości, obcy sobie ludzie...

- Kocham Dana, ale ty nigdy nie należałaś do osób, które pozwalają, by inni dyktowali im warunki - powiedział Toby. - Nie zaczynaj nagle tego robić.

Kate się uśmiechnęła.

- Mamy rok dwa tysiące dwunasty - ciągnął. - Możesz pracować zdalnie albo dojeżdżać do Nowego Jorku na parę dni w tygodniu, gdy Ava zacznie chodzić do przedszkola. Wiem, jak bardzo kochałaś swoją pracę. Czy nie uważasz, że trochę za szybko z niej zrezygnowałaś?

Kate zaskoczyły te słowa. Wzruszyło ją, że Toby myśli o niej w tak ważnym dla siebie dniu.

- Może masz rację - powiedziała i uścisnęła mu dłoń.

## 2003

O jedenastej zadzwoniła komórka. Delphine rozpoznała numer. Mężczyzna nazywał się Paul Lloyd. Kiedy rozmawiała z nim kilka dni temu, wydawał się miły. W odpowiedzi na jej ogłoszenie w internecie napisał, że mieszka z żoną dwie godziny drogi od Nowego Jorku, w Madison, w stanie Connecticut, w domu na działce o powierzchni dwóch tysięcy metrów, stojącym trzy przecznice od oceanu. Mają sześciolletnich bliźniaków, którzy właśnie rozpaczają po stracie Lucky Penny, suki rasy basset, która odeszła z tego świata w wieku czternastu lat.

- Charlie wygląda zupełnie tak samo jak ona - powiedział Paul Lloyd, a jego ton zdradzał, że sam też tęskni.

Ogłoszenie zawierało zdjęcie Charliego oraz krótką informację, że ten czteroletni pies o nienagannych manierach jest do oddania w dobre ręce.

- Czy mogę spytać, dlaczego chce go pani oddać? - zapytał Paul Lloyd przez telefon.

- Cierpię na alergię - wyjaśniła Delphine, a on, jeśli miał inne pytania, zatrzymał je dla siebie.

A teraz okazało się, że przyszedł właściciel Charliego czeka w samochodzie dziesięć minut stąd. Zaproponowała, żeby spotkali się na rogu Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy i Central Park West.

Wyjęła z szafy na korytarzu dużą torbę i zapakowała do niej ulubione zabawki basseta, jego kocyk, miski ozdobione monogramem i resztkę ekologicznej karmy, którą E J. kupował po pięćdziesiąt dolarów za worek. Fotem poszła do łazienki i przypięła Charliemu smycz do obroży.

- Wstawaj - powiedziała. - Idziemy na spacer. Popatrz na nią sceptycznie.

- O co chodzi? - zapytała. Co prawda, choć już od roku mieszkali razem, nigdy dotąd nie wybrali się na spacer tylko we dwojkę. Zresztą nawet stwierdzenie, że mieszkali razem, było przesadą. Każde z nich mieszkało z E.J. i ignorowało istnienie drugiego.

Charlie wciąż leżał rozciągnięty leniwie na posadzce łazienki.

- No, chodź. - Pociągnęła za smycz. Jęknął w proteście, ale po minucie podniósł się z podłogi i ruszył z Delphine na korytarz, potem do windy i przez hol, gdzie miejsce młodego rosyjskiego portiera zajął stary Irlandczyk.

- Cześć, Charlie - powiedział z ciężkim akcentem.

W ślimaczym tempie pokonali trzy przecznice, bo Charlie wciąż zostawał z tyłu i sapał z gorąca. Obcas Delphine stukały o chodnik, ciepły wiatr owiewał pod sukienką jej nagą skórę.

Kiedy doszli do parku, zobaczyła na przystanku autobusowym SUV-a z rejestracją z Connecticut. Paul Lloyd wysiadł. Wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażała - duży, krępy tata z telewizyjnych seriali. Jak wszyscy Amerykanie nosił długie szorty, adidas i białe skarpetki. We Francji mężczyźni także po ślubie chcieli być atrakcyjni.

Dbali o wygląd, ubrania, zapach - Delphine uważała to za oczywiste. Amerykanie pili dużo piwa i tyli, a ich żonom to nie przeszkadzało. Nawet EJ. po kilku miesiącach wspólnego życia wyhodował sobie brzuszka, na którego punkcie Delphine zaczynała mieć obsesję - w jej towarzystwie zachowywał się swobodnie, ale za każdym razem, gdy spozjrzał w lustro lub wychodził na scenę, wciągał brzuch. Rano, robiąc siku, zostawiał drzwi od łazienki otwarte. Delphine powiedziała mu, że zachowuje się obrzydliwie, ale on uważał, iż to dobry znak - po prostu czuje się w jej towarzystwie zupełnie swobodnie. Pomyślała o Henrim, który przez sześć lat małżeństwa nigdy nie zapomniał zamknąć drzwi do łazienki.

Światła się zmieniły i Delphine weszła na jezdnię, machając ręką Paulowi Lloydowi.

- To musi być Charlie! - wykrzyknął, gdy do niego podeszła.

Pies spojrział na niego i zaakceptował energiczne drapanie między uszami. Pomachał ogonem.

- Och, proszę tylko spojrzeć. Moi chłopcy go pokochają. Jeszcze nic im nie mówiliśmy. Nie chcieliśmy robić nadziei, na wypadek gdyby coś się nie udało.

- Wiem, że będzie miał u was cudowne życie - odrzekła Delphine z uśmiechem.

Paul Lloyd nachylił się do psa.

- Stephanie właśnie jest w Petco i kupuje dla ciebie łożeczko, zabawki, które lubiła Lucky Penny, i różne pyszności. Pyszności, pyszności - przemawiał takim tonem, jakby zwracał się do dziecka. - Lubisz smakołyki? Lubisz? O tak, piesek bardzo lubi smakołyki.

Wyprostował się i wygładził podkoszulek.

- Wziąłem na dziś wolny dzień - oznajmił normalnym tonem. - Pojedziemy z psem po chłopców do szkoły. Już nie mogę się doczekać. Przywiozłem dla niego trochę boczku. Mogę mu dać?

- Jasne. Teraz to pański pies.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni spodni plastikową torebkę, a z niej pół plasterka boczku.

- Siad! - powiedział.

Charlie usiadł, a on podał mu mięso.

- Grzeczny piesek! Jaki grzeczny piesek!

W Paryżu psy widziało się wszędzie - leżały w kawiarnianych ogródkach u stóp właścicieli, dreptały za nimi posłusznie po ulicy, spacerowały między ładami w eleganckich butikach. Ale Francuzi nie traktowali ich jak małych dzieci. Okazywali im więcej szacunku. Tutaj psy miały specjalne place zabaw, a wynajęte osoby wyprowadzały je popołudniami na spacer - po dziesięć sztuk. Delphine tylko czekała, kiedy Paul Lloyd założy Charliemu na łeb niemowlęcą czapkę i wsadzi mu do pyska smoczek. Ale głupi basset, jak to Amerykanin, był zachwycony.

Bała się, że pies zacznie protestować, jednak gdy Paul Lloyd otworzył drzwi samochodu, Charlie od razu wskoczył do środka.

- Zaraz przypniemy cię specjalnym pasem dla piesków - oznajmił mężczyzna, a Delphine uniosła brwi.

Przed odjazdem ujął jej rękę w obie dłonie.

- Jestem pani bardzo wdzięczny - powiedział. - Nawet nie wie pani, ile to dla nas znaczy. - Zupełnie jakby właśnie oddała mu jeden ze swoich organów. - Czy chce pani zostać z nim na chwilę sama, żeby się pożegnać? Mogę pójść na krótki spacer.

- Nie trzeba. Już się pożegnaliśmy.

Wydawał się zmieszany. Zapewne uznał jednak, że po nieczułej Francuzce nie należy spodziewać się zbyt wiele.

Czy jest nieczuła? Wiedziała, że w żaden inny sposób nie zdołałaby tak głęboko zranić P.J., lecz przecież nie postąpiła okrutnie. Okrucieństwem byłoby przywiązanie psu cegły do szyi i wrzucenie go do East River. Charliemu będzie dobrze w wielkim domu nad oceanem, wśród kochających ludzi. Zresztą po tym, co zrobił jej P. J., żadna forma zemsty nie wydawała się zbyt okrutna.

Wiedziała, że nie może oczekiwać współczucia. Zdradziła męża, a teraz sama została zdradzona. Ktoś patrzący z boku powiedziałby pewnie, że dostała to, na co zasłużyła. A jednak ludzką rzeczą jest mieć nadzieję, iż może właśnie nam się uda i świat zrozumie nasze motywy, nawet jeśli my sami ich nie rozumiemy.

Odwróciła się twarzą do ściany budynku i zapaliła papierosa. Kilka metrów dalej jakaś kobieta prowadziła za rękę córeczkę, a jednocześnie, wzorem wszystkich nowojorskich matek, wciąż czegoś ją uczyła, ponieważ jej dziecko musiało być najlepsze! I wszyscy wokół powinni o tym wiedzieć!

- Co widzisz, Ello? - zapytała głośno.

- Biedronkę.

- No właśnie! A jakiego jest koloru?

- Czerwonego.

- I?

- Czarnego.

- Bardzo dobrze!

Nowojorskie dzieci pewnie nie spędzały ani jednej chwili w ciszy i spokoju aż do dnia, w którym wyjeżdżały z domu na studia.

Gdy Delphine przechodziła obok, kobieta rzuciła nienawistne spojrzenie na jej papierosa. Nowojorczyki byli zagorzałymi przeciwnikami palenia tytoniu, jakby ich samych nie zabijała równie skutecznie miłość do napojów dietetycznych, koktajli i węglowodanów. Delphine posłała kobiecie kwaśny uśmiech.

W ciągu tygodnia rzadko widywało się tu matki z dziećmi. Większość maluchów na Manhattanie była biała. Popychały je w wózkach czarne nianie, ze znudzeniem rozmawiając przez komórki. "We Francji były doskonałe żłobki i przedszkola. Choć przed przyjazdem do Stanów Delphine nigdy się nad tym nie zastanawiała, był to powód do dumy.

- Uważaj! - Kobieta odciągnęła małą, jakby Delphine miała właśnie zamiar wypalić w niej dziurę.

Tutejsze matki bały się wszystkiego. Ich ciągłe „Uważaj!” rozbrzmiewało w parkach, na chodnikach, podczas wysiadania z autobusu. Uważaj, uważaj, uważaj! Wypowiadane tonem, jakby życie pełne było czających się katastrof.

Po powrocie do kamienicy Wilfred Delphine spodziewała się, że portier zapyta ją o Charliego, ale tego nie zrobił. Może myślał, że zaprowadziła go do weterynarza, salonu piękności albo na korepetycje. Psy w sąsiedztwie miały prawie tyle społecznych obowiązków co dzieci.

Wsiadła do windy. Nie miała nic do roboty poza podziwianiem swojego odbicia i zauważyła ze zdziwieniem, że ma bardzo wystające kości policzkowe, a pod oczami ciemne kręgi. Straciła nie wiadomo kiedy pięć kilogramów i wygląda, jakby była chora.

Kiedy nad drzwiami windy zapalały się kolejne numery - trzecie piętro, czwarte, piąte, szóste - wyobrażała sobie, co pomyśli P J. po powrocie do domu. Czy w pierwszej chwili uzna, że ktoś się włamał, bo opasłe, wzdęte psy to w dzisiejszych czasach dla złodziei łakomy kąsek? Ile czasu zajmie mu odkrycie prawdy? Czy będzie musiał zapytać portiera, czy też domyśli się sam?

Spojrzała na pierścionek. Na chwilę zsunęła go z palca i położyła na dłoni. Po raz pierwszy patrzyła na niego jak na biżuterię. Był bardzo ładny. Może edwardiański, lub nawet wiktoriański. Wszystkie kamienie musiały mieć razem masę około trzech karatów. Francuzki nosiły diamenty przynajmniej jednokaratowe - jeśli nie mogły sobie na nie pozwolić, po prostu wybierały tańszy kamień. Przed kilku laty popularne były szafiry. Ale w Ameryce wszystkie kobiety nosiły diamenty najróżniejszej wielkości - od rozmiarów piłki golfowej do pyłka kurzu.

Długo zastanawiała się, jaką podjąć decyzję, w końcu uznała, że powinna oddać pierścionek prawowitej właścicielce. Pomyślała o stradivariusie, o tym, jak przed wielu laty komuś go odebrano. Pierścionek i skrzypce połączyły się w jej głowie w całość: obie te rzeczy miały ogromną wartość sentymentalną i nie powinny opuszczać rodzin. Tak naprawdę pierścionek należał do matki P J. Nigdy nie chciała ofiarować go Delphine.

Kiedy dostała go od EJ., zastanawiała się, dlaczego jego matka zgodziła się oddać tak cudowny klejnot, swój pierścionek zaręczynowy. Ale nigdy o to nie zapytała, a gdy w końcu dowiedziała się prawdy, żałowała, że tak się stało.

Przylecieli do Nowego Jorku w połowie sierpnia. Był straszny upał. Delphine nigdy w życiu tak się nie pociła. Przypominało jej to wilgotny, nieubłagany żar tropików. P J. mówił, że się przyzwyczai.

Przez resztę miesiąca miał wolne, nie licząc kilku występów na letnim festiwalu. Spędzali czas, zwiedzając miasto, a w weekendy jeździli do Tanglewood, gdzie P J. zachwycał widownię swoją interpretacją Koncertu skrzypcowego nr 2 E-dur Bacha.

Jeden z krytyków napisał, że słuchanie, jak EJ. gra na stradivariusie, to niewiarygodnie cudowne przeżycie, któremu nie dorównują żadne inne życiowe przyjemności.

Menedżerka EJ. starała się z historii stradivariususa wycisnąć jak najwięcej dla prasy. Kazała młodemu skrzypkowi codziennie udzielać przez telefon dwóch, trzech wywiadów dziennikarzom z gazet, ze stron internetowych poświęconych muzyce i z publicznego radia. Delphine podczas tych rozmów wychodziła z pokoju, odkąd usłyszała, jak EJ. mówi: „Poprzednim właścicielem był francuski kolekcjoner”. Henri. Te słowa uderzyły ją w samo serce, zupełnie jakby w tej właśnie chwili dowiedziała się prawdy.

Kiedy EJ. wychodził z domu, niosąc na plecach futerał ze stradivariusem, Delphine czuła dziwną mieszaninę strachu i rozbawienia. Henri traktował skrzypce jak obiekt muzealny, ale dla EJ. był to po prostu ukochany instrument, stworzony po to, by na nim grać.

Z każdej podróży przywoził zapas zabawnych anegdotek, śmiał się nawet z niedogodności. W Niemczech stewardesa kazała mu włożyć stradivariususa do schowka nad głową i przywaliła futerał sportowymi torbami i laptopami. W Japonii zmuszono go, żeby kupił dla skrzypiec dodatkowy bilet.

- To absurd! - wykrzyknęła Delphine, ale EJ. tylko wzruszył ramionami.

- Skrzypkowie i tak mają dobrze - powiedział. - Wiolonczeliści zawsze muszą kupować miejsce dla instrumentu. A kontrabasiści nawet nie mogą go ze sobą zabrać, bo jest za duży.

- Więc co robią?

- Wynajmują instrument w każdym mieście, w którym dają koncert. Wyobrażasz to sobie?

Pewnego razu w Polsce ochrona lotniska zatrzymała EJ. na trzy godziny. Zażądali okazania dowodu, że jest właścicielem stradivariususa. Na szczęście zmianę zaczął strażnik, który poprzedniego wieczoru widział go grającego z zespołem warszawskiej filharmonii.

- Poprosił mnie o autograf i puścił wolno - opowiadał EJ., gdy po południu dotarł do domu. - Gdyby nie on, pewnie siedziałbym tam do tej pory. Wygląda na to, że powinienem zacząć wozić ze sobą dowód zakupu.

- Powinieneś - zgodziła się Delphine. - Znam wiele smutnych przykładów na to, co może się wydarzyć, gdy zaginie dokumentacja.

- Naprawdę? - mruknął P J., przeglądając listy leżące na stoliczku w korytarzu.

- Słyszałeś, że naziści odbierali właścicielom cenne skrzypce? - zapytała.

Podniósł na nią wzrok.

- Nie.

Opowiedziała mu o kobiecie, która przyszła do sklepu, a gdy skończyła, P J. zmarszczył brwi.



- Okropna historia - stwierdził, choć nie wiedział, jaki mogłaby mieć związek z nim.
- Czy słyszałaś o Rose Valland? - zapytała Delphine.
- Nie. Kto to jest?

W tej samej chwili podszedł do nich pies, domagając się uwagi, a PJ. położył się na podłodze i zaczął go drapać po brzuchu.

Delphine nie powiedziała nic więcej. I tak jej nie słuchał.

Potem nadal grał na stradivariusie bez cienia wahania czy poczucia winy. Delphine zastanawiała się, dlaczego tak bardzo przejmuje się tą sprawą, skoro najwyraźniej nikogo poza nią nie obchodzi.

We wrześniu, kiedy znów zaczęły się koncerty, spędzała samotnie dwa lub trzy dni w tygodniu. Spacerowała po mieście albo siedziała w domu i czytała książkę. Starła się znaleźć sobie jakieś zajęcie. W Nowym Jorku było tyle do obejrzenia - muzea, teatry i butik w SoHo. Chciała traktować to miasto jak wspaniałą przygodę. Zawsze marzyła, by tu przyjechać. Ale w porównaniu z Paryżem Nowy Jork wydawał jej się nijaki.

W Paryżu wszystko było dziełem sztuki. Wcześniej nigdy tego tak naprawdę nie doceniała. Architektura, skrzynki na kwiaty, z których w czerwcu wylewały się pelargonie, wąskie białe okiennice. Marzyła, by znów stanąć przed jedną z tysięcy ciężkich drewnianych bram pomalowanych na niebiesko, czerwono lub zielono, skrywających brukowane dziedzińce i bujne ogrody, skarby dostępne tylko nielicznym.

W Paryżu każdy człowiek wyglądał inaczej. Tutaj wszyscy nosili jednakowe buty i torebki, czytali te same książki i pili taką samą kawę. Słyszała o domu towarowym Saks przy Piątej Alei, ale kiedy poszła tam na zakupy, okazało się, że niczym nie różni się od innych. Tęskniła za wytwornym pięknem galerii Lafayette, jej złoconymi balkonami i witrażami na suficie.

Konieczność ciągłego tłumaczenia z jednego języka na drugi bardzo ją w codziennym życiu męczyła. Gdy patrzyła na migający przed bankiem neon pokazujący aktualną godzinę i temperaturę, musiała w myślach przełożyć stopnie z Fahrenheita na Celsjusza. Mapy metra wydawały się stworzone po to, by wprowadzać w błąd, a jeśli Delphine pojechała omyłkowo w przeciwną stronę, miała potem problemy ze złapaniem właściwego pociągu. Musiała wyjść na zewnątrz, przejść przez ulicę i drugi raz zapłacić za bilet. Niekiedy coś jej się udawało i wtedy uznawała to za mały triumf, ale zwykle już po kilku godzinach niweczył go kolejny przykry błąd.

Pewnego razu postanowiła zrobić P J. niespodziankę i zdobyć bilety na Szekspira w Parku. Przeczytała w gazecie, że są za darmo i będą wydawane od jedenastej. Gdy piętnaście po jedenastej przybyła na miejsce, okazało się jednak, że biletów już nie ma.

- Wszystkie rozeszły się w ciągu piętnastu minut? - zapytała mężczyzny za ladą.
- Ludzie stali w kolejce od siódmej - wyjaśnił, jakby sterczenie przez cztery godziny w piekielnym upale miało jakiś sens.

Następnego dnia pojechała taksówką do Greenwich Village na zakupy. Odbiła z kierowcą długą, miłą rozmowę na temat jego podróży poślubnej do Nicei. Gdy zapłaciła mu kwotę, jaką pokazał licznik, nastrój mężczyzny się zmienił. „Pieprz się paniusiu”, powiedział, a Delphine zrobiło się bardzo przykro. Dopiero później, gdy opowiedziała o wszystkim P J., przypomniała sobie, że powinna dać kierowcy napiwek wysokości od piętnastu do dwudziestu procent wartości rachunku.

Dosyć szybko uświadomiła sobie, że w Nowym Jorku liczy się dla niej tylko jedna osoba, bez której to miasto nic nie znaczy. Kiedy P J. był w domu, Delphine rozpierała energia. Kochali się każdej nocy z namiętnością, jakiej nigdy nie doświadczyła z Henrim. Gdy P J. pracował, zbierała w pamięci historie, które mu opowie, i zajmowała się urządzaniem mieszkania. Chodziła na manicure, pedicure i maseczki do salonu kosmetycznego prowadzonego przez Chinki niemówiące ani słowa po angielsku. W Paryżu od osiemnastu lat farbowała i podcinała włosy u tego samego fryzjera, ale tu nie mogła znaleźć miejsca, które by jej odpowiadało. Próbowwała oszczędzać francuskie kosmetyki i balsamy, wiedząc, że gdy się skończą, kupno nowych nie będzie łatwe. Zostało jej jeszcze jedno opakowanie ulubionego kremu Avene Hydrance Optimale i ślubowała jak najdłużej go nie otwierać.

Początkowo gotowała dla P J. tak jak w Paryżu, ale narzekał, że potrawy są zbyt tłuste lub dziwaczne - zawsze coś było z nimi nie tak. Zaczęła więc eksperymentować z kuchnią amerykańską i szykowała dania, które podawała mu w dzieciństwie matka: spaghetti bolognese, naleśniki z boczkiem, makaron z żółtym serem. Nigdy nie była zadowolona z efektów, choć P J. zapewniał, że jedzenie jest pyszne. Sama starała się unikać amerykańskich dań i jadła, jak dawniej, trzy posiłki dziennie.

Na obiad warzywa z małym kawałkiem mięsa. Było to proste podstawowe jedzenie, chociaż nigdy nie udawało jej się przyrządzić go tak, by smakowało jak we Francji.

- Zabrakło mi francuskich produktów spożywczych - oznajmiła z irytacją pewnego wieczoru.

- Powinnaś powiedzieć: „Brakuje mi francuskich produktów” - poprawił ją - bo inaczej brzmi, jakby właśnie ci się skończyły.

Poradził, żeby poszła do Fairway, a będzie pod wrażeniem. Rzeczywiście sklep miał duży wybór towarów, ale Delphine czuła się tam jak na wyprawie wojennej - klienci się przepychali, a sprzedawcy w dziale wędlin i serów krzyczeli: „Następny! Następny! Następny!”, zanim zdołała zebrać myśli i odnaleźć właściwe słowa.

W Nowym Jorku wszyscy poruszali się zbyt szybko i ta prędkość ją przytłaczała.

Może byłoby inaczej, gdyby miała tu przyjaciół. Zastanawiała się, czy wybrać się do ambasady i poszukać grupy Francuzów mieszkających w Nowym Jorku, do których mogłaby dołączyć. Ale nigdy do żadnych grup nie należała. Nie wiedziałyby, co mówić ani jak się zachować. Zresztą byłby to akt rozpacz. Zostawał więc krąg znajomych P J.: młodzi muzycy, z którymi chodził do szkoły. Jedni odnieśli sukces, inni wciąż się o to starali, ale nikt nie zrobił takiej kariery jak EJ. Wszyscy odebrali

akademickie wykształcenie muzyczne, ale tylko on był mistrzem interpretacji. Delphine widziała, że mu zazdroszczą, choć temu zaprzeczał. Jeden z kolegów, tak zwany Clams, całymi dniami tylko się obijał i palił marihuanę. P. J. płacił mu za opiekę nad psem podczas swojej nieobecności. Delphine bez specjalnego entuzjazmu zaoferowała, że sama może zająć się Charliem, ale P. J. powiedział, że martwi się o kolegę i woli mieć pretekst do dawania mu pieniędzy.

Czasem towarzyszyła mu podczas wyjazdów, ale nie chciała latać do Europy, było na to za wcześnie. Czowała się nieswojo, gdy jej dwa światy, nowy i stary, zachodziły na siebie. Na przyjęciu w Montrealu, po występie E.J. z miejscową orkiestrą symfoniczną, do Delphine podszedł pierwszy oboista i oznajmił: „Jestem pewny, że gdzieś już panią widziałem”. Spotkali się na obiedzie w jej paryskim mieszkaniu. Delphine tylko pokręciła głową i odrzekła, że go sobie nie przypomina.

W Paryżu wyrobili sobie z Henrim pewną pozycję i wszyscy z kręgu ich znajomych o tym wiedzieli. Teraz była jedynie dodatkiem do E.J. „Musi być pani z niego dumna”, słyszała stale podczas wspólnych wyjazdów. Kiedy pytali Delphine, czym się zajmuje, odpowiadała, że pracuje w handlu nieruchomościami, i patrzyła, jak z oczu rozmówców znika wyraz zainteresowania.

Poznała dwie artystki, których towarzystwo polubiła. Jedna z nich, Jennifer, mniej więcej w wieku Delphine, pochodziła z Kalifornii i była córką znanego wiolonczelisty. Sama też grała na tym instrumencie i osiągała sukcesy. Druga, Natasha, nieco starsza, wysoka i ładna, urodziła się i wychowała na Manhattanie. Grała na flecie w orkiestrze Filharmonii Nowojorskiej. Delphine dwa razy zaprosiła je wraz z mężami do siebie na obiad. Za każdym razem przygotowała tradycyjny francuski posiłek, podała domową zupę dyniową, sałatę, mięso, sery i deser. Wyglądało na to, że wszyscy wspaniale się bawili. Eo pierwszej wizycie Natasha przysłała jej kwiaty, a po drugiej miły, ręcznie napisany liścik. Ale nigdy nie poprosiła o rewizytę. Delphine wyznała E. J., że jest jej bardzo przykro. Zastanawiała się, jaki popełniła błąd.

- Nie bądź niemądra - powiedział. - Nowojorczyacy rzadko zapraszają gości do domu. Niektórych ludzi znam od dziesięciu lat i nigdy u nich nie byłem.

Pomyślała, że to dziwne, iż Amerykanie, na pozór pełni entuzjazmu i rodzinni, w rzeczywistości nie chcą dzielić się z innymi swoim życiem. Początkowo Delphine sądziła, że przeprowadzka do Stanów nie będzie trudniejsza niż przeniesienie się z Montmartre'u do bourgeois quartier Henriego na prawym brzegu Sekwany; teraz zrozumiała, jaka była niemądra.

Na imprezach, na które zabierał ją P. J., wszyscy mówili tak szybko, że połowy nie rozumiała. W pracy od lat miała kontakt z Amerykanami i była dumna ze swojego angielskiego, teraz jednak pojęła, iż wtedy obie strony starały się zwolnić, by spotkać się pośrodku. Tutaj ludzie oczekiwali, że Delphine za nimi nadąży.

W Paryżu podczas proszonego obiadu w rozmowie brali udział wszyscy siedzący przy

stole, w Nowym Jorku dzielili się na pary i rozmawiali tylko z jedną osobą, zwykle tej samej płci. Delphine uważała, że to okropnie nudne. Kobiety głównie wypytywały ją o Paryż. Opowiadały o spędzanych tam wakacjach i chciały się dowiedzieć, jakie są, zdaniem Delphine, największe różnice między Francją a Stanami Zjednoczonymi. Pytały też, jakim cudem paryżanki zachowują linię mimo tylu kuszących ciast, serów i win oraz jakiego kremu nawilżającego Delphine używa na noc.

Mieszkancki Nowego Jorku miały obsesję na punkcie Francuzek, chociaż im także nie brakowało urody. Delphine wydawało się, że dążą do perfekcji: pragnęły mieć idealny strój, ciało i włosy. Paryżankom daleko było do doskonałości - nie zawsze miały równe zęby i nienaganny makijaż - a jednak odznaczały się pewnością siebie i wdziękiem, których tamtym brakowało. Ale tego oczywiście nie mogła Amerykankom powiedzieć!

Przeżyła szok, gdy kobieta, której prawie nie znała, na jednym ze spotkań rzuciła jej się na szyję. Sama miała odruch całowania na powitanie w oba policzki, lecz wiedząc, że tutaj ludzie tak się nie zachowują, starała się dostosować do sytuacji. EJ. powiedział, że nowojorczycki uważają ten zwyczaj za czarujący i bardzo francuski. Na tym właśnie polegał problem. Delphine nosiła swoją narodowość jak kostium na scenie. Była pierwszą rzeczą, którą ludzie w niej zauważali, jedyną cechą sprawiającą, że wydawała się wyjątkowa. Nikogo nie obchodziło, czy jest zabawna i bystra, czy pijana i wściekła. Była Francuzką i tylko to się liczyło.

Jesień i początek zimy spędziła na urządzaniu mieszkania z zapalem, który zachwycał EJ. Czasem, gdy wieszala zasłony lub rozpakowywała srebra, a on grał na skrzypcach w sąsiednim pokoju, czuła, że jej serce po brzegi wypełnia miłość. Fró-bowała się w niej zatopić, odepchnąć od siebie wszelkie wątpliwości. Frzyjechała do Nowego Jorku na stałe i na pewno poczuje, że tak jest, gdy tylko dokończy urządzenie mieszkania, dostanie amerykańską kartę visa, otworzy konto w banku. Na razie wciąż używała francuskiej karty kredytowej, więc o gotówkę musiała prosić E. J. Trzymał w szufladzie ze skarpetkami gruby plik studolarówek i powiedział, by w razie potrzeby z nich korzystała, ale Delphine nie czuła się z tym dobrze. W końcu znajdzie pracę, może jako tłumaczka, wtedy jej nastawienie na pewno się zmieni.

Foczątkowo ciągłe wyjazdy kochanka jej nie przeszkadzały. Fowitania były radosne, a od wielu lat nie miała okazji spędzić trochę czasu sama. Jednak w miarę jak zbliżały się święta, czuła się coraz bardziej samotna. Przyzwyczajona do bliskości Henriego, wciąż łapała się na tym, że rozmawia z nim w myślach. Zastanawiała się, jak spędzi Boże Narodzenie - czy zostanie sam w domu, czy też odważy się pojechać na weekend do rodziców do Bretanii. Na pewno będą go rozpieszczali i napychali buche de Noel i lait de poule, próbując uleczyć smutek syna śmietanką i cukrem. W Wigilię matka Henriego się rozplacze, zapali gitane'a i zacznie przeglądać stary album ze zdjęciami Josephine, córki zmarłej przed ponad pięćdziesięciu laty. Henri z ojcem, siedząc obok, będą kręcili młynka palcami, niezręczni, niepewni, co poradzić na ten

bezdenny smutek.

Tylko raz rozmawiali o dzieciach i EJ. zapewnił, że może się bez nich obyć. Ale był młody i mógł prędzej czy później pożałować swojej decyzji. Delphine pomyślała o Henrim, który chciał mieć swoją małą Josephine. Czy byłoby lepiej, czy gorzej, gdyby po odejściu żony zostało mu dziecko?

Napisał do Delphine tylko trzy e-maile. W pierwszym, utrzymanym w oficjalnym tonie, pytał, czy wie, gdzie znajdują się w sklepie pewne ważne dokumenty. W drugim, wysłanym o trzeciej w nocy czasu paryskiego, błagał, żeby wróciła do domu. Kiedy nie odpowiedziała, napisał jeszcze raz, tym razem na temat cudownego przedstawienia, które obejrzał w paryskiej operze. Wiadomość była tak neutralna, że równie dobrze mógł ją wysłać do swojej babki.

Po kilku miesiącach pobytu w Stanach Delphine obudziła się pewnego ranka przepełniona lękiem o grób ojca.

- Nic się z nim nie dzieje - uspokajał ją EJ. - Nie martw się.

- Jeśli przez długi czas nikt nie dba o grób, wykopują ciało i przenoszą do jakiejś anonimowej krypty - wyjaśniła.

- Jezu Chryste, co za barbarzyński zwyczaj. Delphine wzruszyła ramionami. Tak już było.

Myśl o tym nie opuszczała jej przez kilka dni, wreszcie wysłała do Henriego e-mail z pytaniem, czy mógłby pójść na cmentarz i położyć kwiaty na grobie. Gdy odpisał, że już to zrobił, miała ochotę obsypać go z wdzięczności pocałunkami.

Za każdym razem, słysząc dzwonek telefonu, spodziewała się, że to jej mąż, choć przecież nie wiedział, jak się z nią skontaktować. Tuż po przyjeździe do Nowego Jorku dostała telefon komórkowy, ale dotąd nie miała komu podać jego numeru. Dzwonił do niej tylko EJ., żeby spytać, jak minął dzień.

W połowie grudnia poszła na koncert filharmoników, z którymi jako solista wystąpił gościnnie EJ. Gdy wyszedł na scenę, pochyliła się do przodu, oparła podbródek na dłoniach i zamknęła oczy, by dobrze słyszeć każdą nutę. Grał niebiańsko. Było coś upajającego w tym, że tygodniami słuchała, jak ćwiczy ten utwór, a teraz świat może poznać muzykę, która wcześniej należała tylko do niej. Chciała powiedzieć siedzącym obok obcym ludziom, że po próbach przygotowuje temu mężczyźnie grzanki z serem i przygląda się, jak macza je w zupie pomidorowej z puszkii firmy Campbell.

EJ. krążył po scenie, a pozostali muzycy siedzieli bez ruchu.

- Trochę zbyt niekonwencjonalne jak na mój gust - zwierzył się żonie przy wyjściu jakiś mężczyzna, a Delphine roześmiała się w duchu. Uważała, że EJ. był wspaniały.

Po raz ostatni wyjechali razem za granicę na początku października, do Montrealu, a to oznaczało, że wbite w paszporcie dziewięćdziesięciodniowe pozwolenie na pobyt niedługo dobiegnie końca. Święta spędzili na plaży w Meksyku, popijając słodkie piña colady pod parasolem w zielono-białe paski. EJ. powiedział, że i tak nie chcieli

mu się jechać do rodziców, woli spędzić wolny czas z nią. Przez chwilę obawiała się, że może nie chce przedstawić jej rodzinie, ale szybko porzuciła tę myśl. Zamierzali na wiosnę pojechać tam na urodziny ojca. Zresztą może odwiedziny w domu na Boże Narodzenie nie mają w Stanach takiego znaczenia jak we Francji. E. J. mówił, że wiele razy, zamiast spędzać hałaśliwe święta z rodziną, wolał odpocząć i zregenerować siły. Delphine zastanawiała się, czy naprawdę był wtedy sam, czy też towarzyszyła mu jakaś kobieta, ale nie pytała.

W świąteczny ranek podarował jej wysadzaną szmaragdami bransoletkę od Tiffany'ego. Wrzucił niebieskie pudełeczko do czerwonej filcowej szarfki, którą powiesił na rogu komody. Delphine widywała takie szarfki w amerykańskich filmach, ale nigdy dotąd nie miała swojej. We Francji ustawiali buty przed kominkiem dla Père Noël, a on napełniał je podarkami.

Siedzieli nad basenem i śpiewali jedno drugiemu kolędy - E. J. uczył Delphine Jingle Bells, a ona roześmiała się, rozpoznając piosenkę.

- Na tę samą melodię śpiewamy Vive le vent - powiedziała.

- Co to znaczy?

- Niech żyje wiatr.

- Brzmi mało świątecznie w porównaniu z dźwiękiem dzwoneczków. - P. J. ściągnął brwi. - Kto chce, żeby wiatr ciągle wiał?

- Znam ładniejszą, która bardziej ci się spodoba - odrzekła ze śmiechem Delphine.

Zaśpiewała cicho Il est né, le divin enfant\*. Miała wąty głos, ale przypomniała sobie, jak pewnego roku poszli z Henrim do Notre Dame, by posłuchać dziecięcego chóru wykonującego tę właśnie kolędę. Już na samo wspomnienie słodkich, czułych głosików chciało jej się płakać.

Wspominała, jak przed Bożym Narodzeniem przystrajali sklep, obsypując całą wystawę puszystym sztucznym śniegiem.

- Co ci jest? - spytał E. J.

- Trochę mi smutno.

- Dlaczego?

- Fomyślałam o Henrim. To głupie.

Delphine spodziewała się, że E. J. ją pocieszy, ale on wyglądał na zaniepokojonego. Chciała mu opowiedzieć o tym, co przeżywa - chociaż kocha go tak, że nie sądziła, iż to możliwe, nie potrafiła po prostu wyrzucić z pamięci dawnego życia.

\* Il est né... (franc.) - Oto narodziło się boskie dzieciątko.

Martwiła się, że wyrzuciła Henriemu krzywdę, zastanawiała się, dlaczego w ogóle za niego wyszła, i podejrzewała się o najgorsze motywy - pojawił się w jej życiu tuż po śmierci ojca, więc wstawiła jednego na miejsce drugiego, jakby byli częściami zamiennymi, a nie ludźmi z krwi i kości. Ale nie mogła tego wyjaśnić, nie martwiąc E. J. Złożoność uczuć Delphine wydawała mu się podejrzana.

- Któregoś dnia usłyszałam w telewizji takie powiedzenie: „Kocha... nie kocha...” -

zaczęła.

- Też je znam - powiedział.

- Naprawdę?

- Nie. To najlepszy sposób, żeby... Wszystko jedno. Co chciałaś powiedzieć?

Wydawał się zdenerwowany i zastanawiała się, czy nie lepiej po prostu zmienić temat. Ale tłumaczyła dalej:

- We Francji wygląda to inaczej. Dziewczynki obrywają kwiatom płatki i mówią: Il m'aime un peu, beaucoup, passionnément, à la folie, pas du tout i od nowa. W przekładzie brzmiałoby to: „On mnie kocha trochę, bardzo, namiętnie, szaleńczo, wcale”. W Ameryce wszystko jest biało-czarne. Rozumiesz?

Zrobił minę mówiącą, że nie rozumie. Zamówili jeszcze dwa koktajle.

Nie zdawała sobie sprawy, jak trudno jest kochać kogoś, kto nie mówi tym samym językiem. Problemy z wysławianiem się wciąż ją denerwowały. Jej angielski był na niezłym poziomie, a z biegiem czasu stawał się coraz lepszy, ale napotykała określenia, które mógł zrozumieć tylko Amerykanin. Nie umiała wyrazić wszystkiego, co chciała. Zanim wypowiedziała głośno jakieś zdanie, tłumaczyła je w myślach. Czasem w ciągu dnia chodziła sama na francuskie filmy i upajała się uczuciem, że znowu wszystko rozumie. Ciągłe myśłała i śniła po francusku. Jednak sen przynosił odpoczynek, gdyż na jawie musiała myśleć dwa razy intensywniej. EJ. drażnił się z nią, że gada przez sen. Były to jedyne chwile, gdy mówiła tak dużo po francusku. Uważał, że to bardzo seksowne.

Wciąż ją poprawiał. Gdy powiedziała na przykład: „Poszłam piechotą aż na ulicę Sto Dwadzieścia Pięć”, śmiał się i korygował: „Sto Dwudziestą Piątą”. Ceniła sobie tę pomoc, ale czasem ogarniała ją irytacja. Sam nigdy nie nauczył się mówić jej językiem, nie licząc kilku prostych słów i zwrotów. Wydał pięćset dolarów w Virgin Megastore na komplet płyt z programem Rosetta Stone, dzięki któremu miał nauczyć się francuskiego w ciągu zaledwie kilku miesięcy, jednak nawet nie wyjął ich z pudełka.

Tymczasem ona tak bardzo się starała. Zmusiła się do czytania „New York Timesa” po angielsku, sięgnęła też po amerykańskie powieści, choć zapewne umykała jej część znaczeń. Wiedziała, że takie porównania są niesprawiedliwe. EJ. przez wiele godzin dziennie bardzo intensywnie pracował, a ona szukała sposobów na wypełnienie czasu.

Seks był nadal bardzo namiętny, jakby oboje wiedzieli, że to jedyna sfera życia, w której mogą się naprawdę zrozumieć. Kiedy się kochali, z Delphine opadało całe napięcie. Piękny geniusz znów należał do niej. Kochał ją i rozśmieszał. Liczyła, że z czasem cała reszta też zmieni się na lepsze.

Tydzień po Nowym Roku, w pewien nietypowo ciepły środowy wieczór, Delphine wybrała się na spacer. EJ. koncertował w Londynie. Kilka przecznic od ich kamienicy natrafiła na Brasserie Montmartre. Nigdy wcześniej jej nie widziała. Szyld nad

drzwiami oświetlały ciepłym blaskiem żółte żarówki, a na wystawie, podobnie jak w niemal każdym fałszywym francuskim bistro w Nowym Jorku, leżały bagietki. Delphine nigdy nie wchodziła do takich lokali, podejrzewając, że mają tyle wspólnego z prawdziwą francuską restauracją, co Mr. Chan's Chinese Food na Siedemdziesiątej Trzeciej Zachodniej z knajpką w Hongkongu. Jednak na widok nazwy uśmiechnęła się i pomyślała, że wstąpi na kieliszek wina.

Brasserie pogrążona była w półmroku. W głębi sali kilka par jadło przy świecach posiłek. W amerykańskich restauracjach panował zwykle taki hałas, że z trudem słyszało się, co mówi towarzysz przy stole. Tu jednak było ciszej, podobnie jak w Paryżu.

Przy barze stały wysokie stołki, a na lustrze narysowany był kontur wieży Eiffla. Delphine usiadła i napotkała wzrok barmanki, ładnej blondynki wyglądającej na dwadzieścia parę lat.

- Co podać? - zapytała, a Delphine z drżeniem serca usłyszała, że naprawdę jest Francuzką.

- Un petit rouge, s'il vous plaît.

- Mamy dziś dobre Côtes du Rhône.

Delphine z zadowoleniem skinęła głową. Miło czuć się rozumianą.

- Może podam coś do jedzenia? - zaproponowała barmanka. - Niech pani nie zmyli ten tandetny wystrój. Specjalnością zakładu jest krucha confit de canard, równie dobra jak u nas w kraju.

- Ach, oui, merci. - Delphine się uśmiechnęła.

- Przyjechała pani w odwiedziny czy mieszka w Nowym Jorku na stałe? - zapytała kobieta, nalewając jej wino. - Jeszcze pani u nas nie widziałam.

Delphine wyjaśniła, że zaręczyła się z Amerykaninem i przed pięcioma miesiącami przenieśli się do Stanów. Chociaż miała wrażenie, że przebywa tu o wiele dłużej.

- Ja mieszkam w Nowym Jorku od dziesięciu lat - oznajmiła barmanka.

Nazywała się Marie-Hélène i pochodziła z Marsylii. Miała trzydzieści jeden lat, ale wyglądała młodziej. Nie pracowała w restauracji jako barmanka, zastępowała tylko chorą osobę.

Oficjalnie była współwłaścicielką i kierowniczką nocnej zmiany, lecz tak naprawdę zarządzała całym interesem, gdyż jej partnerzy, amerykańskie małżeństwo z New Jersey, traktowali brasserie tylko jako inwestycję. Ona zaś włożyła w nią wszystkie swoje pieniądze i musi teraz mieszkać z dwiema współlokatorkami. Na szczęście, jak na razie, restauracja okazała się sukcesem.

- Czego najbardziej nienawidzi pani w Nowym Jorku? - zapytała, gdy Delphine zamówiła drugi kieliszek wina.

- Nie czuję do niego nienawiści - odrzekła Delphine z uśmiechem.

- Niech pani da spokój. Z początku wszyscy nie znosimy tego miasta.

- Po prostu muszę się jeszcze dużo dowiedzieć o Ameryce.



- Nowy Jork to nie Ameryka, proszę to sobie zapamiętać. - Marie-Hélène uniosła w górę palec.

Delphine skinęła głową i przeszła na francuski.

- Nienawidzę tego, że nowojorczyści są niewolnikami siłowni. Dla nich to powód do dumy! Opowiadają o tych wszystkich maszynach i zajęciach jak o religii. Amerykanie chyba dali sobie wmówić, że nie przetrwają bez uprawiania sportu.

- Zgadza się.

- Dlaczego po prostu nie pójda na spacer albo nie rozegrają partii tenisa?

- Gram w tenisa we wtorki i piątki - powiedziała Marie-Hélène. - Może się pani przyłączy?

- Z przyjemnością.

Kobiety z południa Francji przypominają trochę mieszkanki Nowego Jorku. Szybko zawierają przyjaźnie, jeśli mają z tego jakąś korzyść. Na północy kontakty nawiązuje się trudniej, ale Delphine uważała, że są głębsze. W Paryżu pewnie raziłaby ją poufalskość Marie-Hélène, jednak tu była jej wdzięczna za okazaną sympatię.

- Za czym najbardziej pani tęskni? - zapytała Marie-Hélène. - Lubię się bawić w wyszukiwanie tutejszych francuskich skarbów. Proszę mnie o coś zapytać.

Delphine się zastanowiła. Tęskniła za tyloma rzeczami.

- Brak mi francuskich pism o modzie i tabloidów. Najbardziej „Elle”. Ale chętnie przeczytałabym nawet „Paris Matcha”.

- Można je kupić w Universal News na rogu Broadwayu i Broome - poinformowała ją nowa znajoma. - Pozwalają je przeglądać przy kawie. Co jeszcze?

Usta Delphine rozchyliły się w uśmiechu. Taki drobiazg, a czuła się, jakby dostała prezent.

- Od trzech miesięcy nie byłam u fryzjera. Boję się iść w nieznane miejsce. Tam, gdzie byłam ostatnio, obcięli mnie bardzo dziwacznie.

- Powinna się pani wybrać do salonu Serge'a Bertranda w Meatpacking District - poradziła Marie-Hélène. - Ale trzeba się zgłosić bezpośrednio do niego, a terminy ma pozajmowane kilka tygodni, a nawet miesięcy naprzód. Niech pani tam jutro zadzwoni i powie, że przyjdzie w każdym dogodnym dla Serge'a terminie. To nie Paryż, gdzie można wejść do pierwszego z brzegu salonu i liczyć na to, że nie będzie pomyłki.

- Zupełnie jak w sklepach spożywczych - powiedziała głośno Delphine, zanim uświadomiła sobie, że to zdanie nie ma sensu.

- Właśnie. - Przytaknęła ku jej zdumieniu Marie-Hélène.

- Tęsknię za francuskim jedzeniem - ciągnęła Delphine. - Tym najzwyklejszym, na przykład za éclair au chocolat z cukierni przy mojej ulicy, za konsystencją francuskiej czekolady.

Marie-Hélène pokręciła głową.

- Wiem. Takiej się tutaj nie znajdzie, nawet w specjalistycznych sklepach na

Brooklynie. Bardzo mi przykro. Po prostu nie robią jej w odpowiedni sposób. To chyba wina mleka. I trudno dostać dobre kosmetyki, nawet jeśli kupuje się rzeczy tej samej marki. Wszystkie lepsze są na receptę, w drogeriach sprzedają byle co. Kosmetyki firm La Roche-Posay, Avène czy Vichy trzeba sprowadzać bezpośrednio z Francji. Mój kuzyn z Paryża przyjeżdża tu służbowo trzy razy do roku. Bez jego dostaw bym zginęła.

Delphine pomyślała o ostatnim opakowaniu Hydrance Optimale. Dobrze zrobiła, zachowując je na później.

Rozmawiały przez ponad godzinę i czuły się trochę jak na udanej pierwszej randce. Delphine wróciła do domu w radosnym nastroju. Od tamtej pory wpadała do brasserie dwa lub trzy razy w tygodniu. Zajmowała miejsce przy barze, a Marie-Hélène dosiadała się do niej na pogawędkę, nawet jeśli na sali było dużo gości.

We Francji pewnie nigdy by się nie zaprzyjaźniły. Delphine była dziesięć lat starsza i właściwie nie miały ze sobą nic wspólnego poza tym, że pochodziły z tego samego kraju. Lecz w Nowym Jorku to wystarczało. Śmiały się z amerykańskich zwyczajów i rozmawiały po francusku, a wszyscy wokół próbowali zgadnąć o czym.

Mniej więcej po miesiącu Marie-Hélène zaproponowała Delphine, żeby wybrały się na zakupy. Przy Lexington Avenue, pomiędzy Osiemdziesiątą Drugą a Osiemdziesiątą Trzecią Ulicą, pewna kobieta z Prowansji prowadziła butik o nazwie Ludivine. Sprzedawała ubrania firm, których Delphine nie spodziewała się znaleźć w Nowym Jorku - Maison Michel i Denis Colomb. Kupiła tam sobie dwie pary miękkich dżinsów po dwieście sześćdziesiąt dolarów, bluzkę firmy Carven i wysokie buty.

Po zakupach pojechały taksówką na Pięćdziesiątą Siódmą Ulicę do salonu kosmetycznego Elnstitut Sothys. Delphine nie miała pojęcia, że ma filię w Nowym Jorku. Kiedyś, w ramach prezentu na trzydzieste urodziny, zafundowała sobie wizytę w ich głównej siedzibie przy rue du Faubourg Saint-Honoré. Razem z Marie-Hélène zdecydowały się na godzinny zabieg, w którego skład wchodził oczyszczający z toksyn peeling solą i body wrapping. Potem poszły do La Grenouille, którą Marie-Hélène uważała za najbardziej autentyczną francuską restaurację w Nowym Jorku. Zamówiły blanquette de veau i soufflé z grand marnier. Skorupka sufletu była delikatna jak płatek śniegu. Kiedy kelner ją przebił i w dymiący otwór wlał łyżkę sosu sabayon, uszczęśliwiona Delphine aż wstrzymała oddech.

- Jestem ci bardzo wdzięczna - powiedziała do Marie-Hélène, czując, że zaraz się rozpłacze. - Dziękuję za wszystko.

Przy deserze opowiedziała przyjaciółce, jak poznali się z P J. i jak odeszła od męża. Marie-Hélène wcale nie wyglądała na zgorzaloną. Wyznała, że sama dała sobie spokój z mężczyznami, nie licząc uprawiania seksu. Przeżyła tyle nieudanych romansów, że ma ich dość na całe życie.

- Podobnie myślałam przed poznaniem Henriego - powiedziała Delphine. -1 skończyło się ślubem.

- A potem rozstaniem.

- To prawda!

Zapłaciła za obiad, tak samo jak za zabiegi w salonie kosmetycznym. Wiedziała, że jej nowa przyjaciółka ma, jak to tutaj mówią, małe problemy z kasą.

Czasem zachodziła do brasserie z P J. Zamawiał steak frites albo croque monsieur i piwo. Delphine próbowała namówić go na spróbowanie cielejącej wątróbki w sosie z czerwonego wina, podawanej z ziemniakami smażonymi na kaczym smalcu, ale on, jak dziecko, lubił tylko te potrawy, które znał.

Zazwyczaj koło północy Marie-Hélène pozwalała pracownikom iść do domu i zostawały w restauracji we dwie. Śmiały się i rozmawiały. Czasem dołączał do nich kucharz imieniem Erwan, chłopak z Marsylii. Miał tylko dwadzieścia lat. Tworzyli coś w rodzaju rodziny, mają Francję w środku Ameryki. Delphine czuła, że wreszcie naprawdę żyje. Jest zakochana i po raz pierwszy od lat znalazła prawdziwą przyjaciółkę.

W pewne mroźne niedzielne popołudnie w samym środku lutego Marie-Hélène miała wolne i wybrały się na wino do baru w centrum miasta.

- Ale zimno - powiedziała Delphine, trzęsąc się za każdym razem, gdy ktoś otwierał drzwi. Zimowy płaszcz, który przywiozła z Francji, okazał się za cienki jeszcze przed końcem listopada. Nigdy dotąd nie miała grubych rękawiczek i czapki, a teraz nosiła je każdego dnia.

- Spójrz na to - powiedziała Marie-Hélène, wskazując wiszący w rogu telewizor. Nadawano właśnie wiadomości na kanale CNN.

Delphine już je oglądała.

Wczoraj na całym świecie odbyły się demonstracje przeciwko wojnie w Iraku. Setki tysięcy ludzi zebrały się na Manhattanie, wypełniając dwadzieścia przecznic. W Rzymie demonstrowały miliony, a w Paryżu sto tysięcy osób. Kamera przesuwiała się po tłumie zebranych przed siedzibą ONZ - panie w futrach i panowie w garniturach tłoczyli się obok studentów, młodych rodziców i staruszek z balkonikami. Trzymali transparenty z napisami: „Czyń miłość, nie wojnę”, „Nie w naszym imieniu” i „Bush jest gorszy niż Bin Laden”.

- Do diabła z George'em Bushem - powiedziała Marie-Hélène. - Nigdy nie przeforsuje swoich decyzji.

Drzwi znowu się otworzyły i do środka wtargnął podmuch mroźnego powietrza.

Marie-Hélène zerwała się z miejsca. Wybiegła na dwór, a Delphine, odwróciwszy głowę, zobaczyła, jak łapie za rękę przystojnego młodzieńca w bluzie z kapturem.

- To jest Pete - oznajmiła, ciągnąc go do stolika. - Pete, poznaj Delphine.

Delphine nigdy wcześniej go nie widziała, ale nie była zaskoczona. Marie-Hélène w każdy piątkowy wieczór zakochiwała się w nowym mężczyźnie. Chłopak kiwnął głową i wymamrotał coś niezrozumiałego.

W marcu Stany Zjednoczone wysłały wojska do Bagdadu. Inne kraje postąpiły

podobnie. Delphine była dumna, gdy Francja odmówiła. Miała ochotę powiedzieć wszystkim demonstrantom w mieście, że jej ojczyzna stoi po ich stronie.

Ale pewnego ranka, niedługo po rozpoczęciu wojny, przeczytała w internecie nową wiadomość. Izba Reprezentantów postanowiła usunąć z menu stołówek słowo „francuski” i zastąpić je słowem „wolność”. Nigdy więcej francuskich grzanek ani francuskiego ciasta.

- Co, u diabła? - zapytała P. J., używając jego ulubionego zwrotu.

- Ludzie są wściekli. - P. J. wzruszył ramionami. - Uważają was za kupę mięczaków, przez których jak zwykle musimy sami robić porządek na świecie.

Delphine krew napłynęła do twarzy.

- Was? - powtórzyła, oglądając się za siebie, jakby szukała grupy, do której, zdaniem EJ., należy. - Jak zwykle?

- Wiesz, kogo mam na myśli - wyjaśnił spokojnie. - Francuzów.

Zaskoczona Delphine wskazała akapit artykułu mówiący o tym, że Amerykanie zachowywali się tak samo podczas pierwszej wojny światowej w stosunku do Niemców.

- Spójrz tylko na to! - powiedziała, chcąc, by się rozchmurzył. - Twój stuknięci rodacy nazywali hamburgery stekami z Salisbury i zmienili różyczkę na odrę wolności\*.

\* Nieprzetłumaczalna gra słów: po ang. różyczka to German measles, czyli niemiecka odra.

Zaczęła się śmiać, ale na widok jego gniewnej miny przestała.

- Nie było cię tutaj, kiedy runęły wieże World Trade Center. Nie musiałś na to patrzeć.

Powstrzymała się i nie powiedziała, że istotnie, nie było jej w Nowym Jorku - oglądała wszystko na ekranie telewizora, dokładnie tak samo, jak robił to on w siłowni New York Sports Club przy Siedemdziesiątej Zachodniej Ulicy.

- Tu nie chodzi o wieże - powiedziała cicho.

- Bzdura - prychnął. - Wiesz, ilu moich kolegów z dzieciństwa walczy w Iraku? Bronią świat przed terroryzmem, tak jak nasi dziadkowie podczas drugiej wojny światowej. A Francuzi chodzą sobie zadowoleni i mówią, że nie będą się opowiadali po żadnej ze stron.

Nigdy wcześniej nie wspominał o kolegach i nagle odeszła jej ochota, by się z nim cackać.

- Twój koledzy zginą bezsensowną śmiercią - powiedziała.

- Pieprz się - warknął, a potem poszedł do sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi.

W ten sposób Delphine dowiedziała się, że nie mogą rozmawiać o wojnie. P. J. nie był w stanie myśleć rozsądnie na ten temat. Po kilku godzinach pogodzili się, a on prawie ją przeprosił.

- Słuchaj, ten cały patriotyzm to dla mnie nowość - tłumaczył się. - Ale to, co stało się jedenastego września, wywołało we mnie straszny gniew. Chyba wyobrażałem sobie,

że Ameryka jest niezwyciężona, ale wszystko okazało się złudzeniem.

- Rozumiem. Naprawdę. Jednak teraz zginie jeszcze więcej ludzi. I po co?

- Żeby się zemścić - odparł, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. Jakby wewnątrz wrażliwego muzyka krył się brutalny zabójca.

Potem wszystko potoczyło się tak jak dawniej. Delphine wmawiała sobie, że może dobrze się stało, iż się pokłócili. To chyba zdrowy objaw. Ale po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy przyjechała tu z powodu EJ., czy też swoich wyobrażeń o nim.

Jedyną osobą, z którą mogła rozmawiać o wojnie, była Marie-Hélène. Często to robiły. We francuskiej telewizji pokazywano zabitych i wziętych do niewoli amerykańskich żołnierzy, a w amerykańskiej panowała na ten temat cisza. A jeśli wierzyć podawanym w mediach informacjom, wszyscy Amerykanie nienawidzili teraz Francuzów. Marie-Hélène powiedziała, że w restauracji, w kabinie damskiej toale-ty, ktoś przylepił naklejkę z napisem: „Najpierw Irak, potem Chirac”. Śmiały się z tego, ale niedługo potem Marie-Hélène po przyjściu do pracy zastała przed brasserie swoich partnerów zawieszających nad wejściem ogromną amerykańską flagę.

- Ostatnio sala świeciła pustkami, a ja nie wiedziałam dlaczego - wyznała, kiedy Delphine wpadła wieczorem do restauracji. Popijała pastis z kilkoma kostkami lodu. Delphine aż podskoczyła: nigdy dotąd nie widziała, żeby jej przyjaciółka piła alkohol w godzinach pracy.

- Bojkotują wszystko, co ma związek z Francją - ciągnęła. - Wygląda na to, że w całej Ameryce.

- Ale Nowy Jork to nie Ameryka! - zaprotestowała Delphine. - Sama mi to mówiłaś. I co z demonstrantami, których widziałyśmy na ulicach?

- Nie chcieli wojny, ale skoro już do niej doszło, potrzebują jakiegoś obiektu do nienawiści. - Marie-Hélène ukryła twarz w dłoniach. - Najpierw zakaz palenia, a teraz to. Restauracja splajtuje, a ja będę miała szczęście, jeśli uda mi się znaleźć pracę w Au Bon Pain.

- Nie mów głupstw - pocieszała ją Delphine, ale przez wiele kolejnych wieczorów siedziały na sali tylko we dwie. Przypomniała sobie, jak razem z Henrim walczyli, by po jedenastym września ocalić sklep, jak łatwo mogliby go stracić, gdyby nie mieli stradivariusa.

Razem z PJ. próbowali podnieść Marie-Hélène na duchu. Podarowali jej bilety do filharmonii, a ona przyprowadziła młodego przystojnego aktora poznanego na jakiejś imprezie. PJ. przekonał kolegę z orkiestry, który obchodził pięćdziesiąte urodziny, żeby urządził je w Brasserie Montmartre, i restauracja zarobiła w jeden wieczór więcej pieniędzy niż w ciągu poprzednich dwóch tygodni.

- Jak miło, że o tym pomyślałaś - powiedziała Delphine.

- To twoja dobra przyjaciółka - odparł. - Wyciągnęła cię z zimowej depresji.

Delphine wzruszyło, że zauważył, co czuła w ciągu minionych miesięcy. W małżeństwie depresja Henriego zwykle przyćmiewała jej smutki i musiała udawać

przy nim wesołość. Taki układ właściwie jej odpowiadał, przypominał relację z ojcem. Lecz oto w końcu spotkała mężczyznę, który naprawdę ją dostrzegał.

Pewnego wieczoru E. J. zabrał Marie-Hélène na mecz Knicksów. Poszli tylko we dwoje, Marie-Hélène lubiła koszykówkę, a Delphine nie chciało się iść. Wolała zostać w domu i poczytać książkę. Dwie osoby, z którymi zawsze spędzała czas, tym razem zajęły się sobą nawzajem. Jeśli zastanawiała się nad tym, to tylko przez chwilę. Cieszyła się, że P. J. i Marie-Hélène się polubili. A kiedy napisał do Delphine SMS, że za nią tęskni i marzy o jej czarnych właśnie kupionych pończochach, od razu poszła do szafy i je założyła.

Dwa tygodnie później ponad setka restauratorów urządziła w Le Cirque konferencję prasową, podczas której poprosili nowojorczyków o zaprzestanie bojkotu. W „Timesie” ukazało się zdjęcie, na którym w tle widać było zmartwioną, wykrzywioną twarz Marie-Hélène.

W połowie maja współwłaściciele Brasserie Montmartre postanowili zamienić ją w restaurację meksykańską. Przepraszali partnerkę i zapewniali, że będą zachwyceni, jeśli pokieruje nowym lokalem. Odmówiła. Delphine powiedziała P. J., że martwi się o przyjaciółkę. Czuła się niczym starsza siostra i zastanawiała się, jak ma pomóc.

- Żal mi jej, ale nie powinna rezygnować z pracy, nie mając na widoku czegoś innego - stwierdził. - Szkoda, że nie poprowadziła z nimi tej meksykańskiej knajpy. Co za różnica?

Delphine próbowała wyjaśnić, że Marie-Hélène nie mogła tego zrobić.

- Restauracja meksykańska? To upokarzające. Brasserie była jej marzeniem.

- Partnerzy Marie-Hélène jakoś nie są upokorzeni - zauważył P. J. - Dlaczego ona miałaby być?

- Partnerzy nie są Francuzami - wyjaśniła Delphine. - Przychodzą z New Jersey.

- Powiedz po prostu, że są z New Jersey - sprostował z irytacją.

Westchnęła. Nie mogła zrozumieć, dlaczego P. J. się tak zachowuje.

- Niech ci będzie. Są z New Jersey. Lepiej?

- Lepiej.

Kiedy Delphine i P. J. pojechali w maju odwiedzić jego rodziców, zaproponowali Marie-Hélène, by zamieszkała u nich i odpoczęła trochę od współlokatorek. Delphine poszła do sklepu Henri Bendela po lawendowe mydło, krem pod oczy Chanel oraz świece marki Diptyque i urządziła w łazience spa, w nadziei, że poprawi tym przyjaciółce nastrój. Wyciągnęła też z szafki bezcenny, dotąd nieotwarty krem Hydrance Optimale firmy Avène i postawiła go na brzegu umywalki.

Wyjazd do rodziców E. J. nie spełnił nadziei, jakie w nim pokładała. Podsłuchiwała, jak E. J. kłóci się o nią z matką. Było jasne, że nie polubiła nowej narzeczonej syna i nie akceptuje ich związku. Delphine obawiała się, że jej opinia może mieć wpływ na E. J.

- Szkoda, że nie znasz jakiegoś fajnego faceta, z którym moglibyśmy umówić Marie-Hélène - powiedziała, kiedy w drodze powrotnej stali w korku na West Side Highway.

- Jest taka przygnębiona. Potrzebuje odmiany.

Ale P J. błędził gdzieś myślami.

- Co mówiłaś?

- Nieważnego.

Niedługo potem, pewnej nocy ją obudził.

- Mówiłaś po angielsku! - zawołał.

Miał rację. Gdy przypomniała sobie sen, stwierdziła, że rzeczywiście rozgrywał się w jej drugim języku. P J. się śmiał, ale Delphine, wracając potem myślami do tamtej chwili, doszła do wniosku, że właśnie wtedy wszystko się zmieniło.

- Mam nadzieję, że nie przyjechałaś tu tylko dla mnie - rzucił niedbale następnego dnia przy śniadaniu.

Delphine sądziła, że się przesłyszała.

- Słucham?

- Do Ameryki. Mam nadzieję, że nie z mojego powodu dokonałaś w swoim życiu tak drastycznej zmiany.

Delphine poczuła, jakby gdzieś w jej wnętrzu obsunęło się coś twardego i ciężkiego. Zrozumiała, że zaczyna tracić P J. Zastanawiała się, czy to da się jeszcze naprawić i kiedy.

- Oczywiście, że z twojego - powiedziała. - Po co niby miałabym tu przyjeżdżać, jeśli nie dla ciebie?

- Z miłości do Nowego Jorku?

- Nowy Jork nic nie znaczy w porównaniu z Paryżem, - Skrzywiła się drwiąco.

- Och, Paryż, Paryż... - odparł tonem dziecka, które przedrzeźnia inne dziecko na placu zabaw. - Twoje miasto jest takie cudowne tylko dlatego, że poddaliście się nazistom. Kto by was wyzwolił, gdyby nie Amerykanie? Londyn zachował się o wiele uczciwiej. Zrujnowana architektura to świadectwo ich niezłomnych zasad.

Delphine była pewna, że musiał to gdzieś usłyszeć. Sam nie był na tyle bystry, by wpaść na taki pomysł.

- I pozwalacie psom wszędzie srać, jakby od zbierania kup mogła wam spaść korona z głowy.

Za to ta złota myśl na pewno zrodziła się w jego głowie. P J. spał tamtej nocy na kanapie, a następnego dnia rano oboje byli zmieszani i traktowali się uprzejmie jak dwoje gości w pustym hotelu, którzy zjedli kiedyś razem obiad i się polubili. P J. zaproponował, że włoży do pralki ubrania Delphine, a ona przygotowała mu miskę greckiego jogurtu z jagodami i miodem.

Mimo to nie wszystko między nimi wróciło do normy. P J. wydawał się zamknięty w sobie i nieobecny. Zwykle jadali posiłki razem, teraz zabierał talerz i siadał samotnie przed telewizorem. Dawniej lubił, gdy po obiedzie wychodzili z psem na spacer, ostatnio zaczął wyprowadzać go sam. Twierdził, że musi ochłonać. Czasem nie wracał przez godzinę albo dwie, a potem mówił, że wałęsał się po ulicach albo po

Central Parku, gdzie po zmroku bywało niebezpiecznie. Delphine wyobrażała sobie, że leży zabity gdzieś na chodniku, więc gdy wreszcie przychodził, czuła taką ulgę, że nawet nie wspominała o zapachu alkoholu wyczuwalnym przy pocałunku.

Odkąd zamknięto restaurację, Marie-Hélène nabrała zwyczaju wpadania do nich parę razy w tygodniu. Zwykle zjawiała się około południa i od razu zaczynała popijać pastis. Delphine lubiła jej towarzystwo. Było lato, czas na odpoczynek i zwolnienie tempa, czego większość nowojorczyków zdawała się nie zauważać. Już sam drink przypominał o lecie. Ileż razy podczas weekendów na południu Francji wypijała kieliszek lub dwa pastisu z dwiema kostkami lodu.

Żałowała tylko, że jej przyjaciółka nie poprzestaje na dwóch kieliszkach. Na ogół po południu Marie-Hélène była już tak pijana, że opadały jej powieki. Zwykle ogarniał ją wtedy gniew. Sypiała z trzema mężczyznami - żonatym klientem Brasserie Montmartre, z barmanem, z którym pracowała przed dziesięciu laty i co pewien czas odnawiała kontakty, oraz z malarzem, mieszkającym i malującym w jednopokojowym mieszkaniu w dzielnicy Williamsburg. Gdy któryś z nich ośmielił się nie oddzwonić do niej wystarczająco szybko lub nie stawić się na wezwanie, Marie-Hélène krzyczała, ciskała przedmiotami i groziła, że rzuci się z Mostu Brooklińskiego. Delphine nie mogła słuchać, jak płacze i wrzeszczy do telefonu. Nagle zaczęła bać się kobiety, którą dotąd uznawała za przyjaciółkę. Miała wrażenie, że Marie-Hélène nie lubi żadnego ze swoich mężczyzn i od szczęścia woli targający ją gniew.

Atmosfera stawała się szczególnie napięta, gdy w domu był EJ. Szybko stało się jasne, że oboje mają zupełnie różne poglądy polityczne. Nieraz dochodziło do kłótni, podczas których Delphine starała się na przemian uspokajać to jedno, to drugie. Nic nie pozostało po ich wzajemnej sympatii. EJ. z uporem nazywał ją Mary Helen, czego oczywiście nie znosiła. „Teraz jesteś w Ameryce”, powtarzał.

- To czarna owca. Nie powinnaś spędzać z nią tyle czasu - mawiał wieczorem, po wyjściu Marie-Hélène.

Delphine sądziła, że może mieć trochę racji, lecz przyjaciółka jej potrzebowała i nie wyobrażała sobie, by mogła ją odtrącić. Przerazał ją tępy patriotyzm EJ. Gdy się poznali, podobało jej się, że jest trochę nieokrzesany i nie ma w sobie nic z intelektualisty. Ale odkąd zaczęła się wojna, to, co mówił, budziło w niej lęk.

W pierwszym tygodniu sierpnia Marie-Hélène wyjechała do Montauk z jakimś nowo poznanym mężczyzną i Delphine z ulgą powitała przerwę w kontaktach. EJ. był w Nowym Jorku, ale całymi dniami miał próby w filharmonii przed zbliżającym się nagraniem. Rano i po południu Delphine mogła się nad wszystkim spokojnie zastanowić. Nie wiedziała, co sądzić o panujących w ich trójce nastrojach. Może zawinił upał, a może zbyt dużo wydarzyło się jednocześnie: rozczarowanie Marie-Hélène, brak błogosławieństwa matki EJ., bzdurne zachowanie Amerykanów i ich gniew na Francuzów.

W czwartek poszła do sklepu po składniki na sałatkę z makaronu, a tam, w dziale



warzywnym stała, obmacując awokado, Natasha, flecistka z filharmonii, którą kilka miesięcy temu gościła na obiedzie. Delphine zdziwiła się na jej widok.

- Mamy teraz przerwę w próbach - wyjaśniła Natasha. - Coś cudownego. Carl namawia mnie, żebyśmy wybrali się do Nowej Anglii, ale ja chyba wolę zostać w domu i poczytać. Miło mieć takie problemy, co? Doskonale, że cię spotkałam. Musimy niedługo wybrać się razem na obiad.

Delphine zamarło serce. EJ. zdążył jej dzisiaj przysłać SMS opisujący, co działo się na próbie. Była to cała historia: podczas wolnej, cichej części Koncertu skrzypcowego numer 5 Vieuxtempsa, kiedy grał partię solową, komuś zadzwoniła komórka. Dyrygent wpadł w szal i wyrzucił telefon za kulisy.

Może czegoś nie zrozumiała. Może próby dotyczyły tylko instrumentów smyczkowych.

Kiedy późnym wieczorem wrócił do domu, skarżąc się bardziej niż zwykle na nadmiar zajęć, nie powiedziała ani słowa. Następnego dnia rano wykradła się za nim. Zwykle szedł pieszo do Lincoln Center, jednak tym razem wsiadł do metra jadącego do śródmieścia. Delphine była roztrzęsiona. Po powrocie do domu przeszukała kieszenie PJ., ale niczego nie znalazła.

Marie-Hélène wróciła w niedzielę porannym pociągiem. W południe siedziała już w salonie Delphine i popijała pastis bez lodu.

- Podobno tego lata Francję odwiedziło osiemdziesiąt procent mniej Amerykanów niż w zeszłym roku - oznajmiła.

- W Stanach gadają, że Francuzi plują na Amerykanów na ulicach, że trzeba przypinać sobie kanadyjską flagę, żeby ująć z życiem. Tymczasem we Francji biznes pada.

Delphine pomyślała o Henrim, zastanawiała się, jak wiąże koniec z końcem. Pięciu amerykańskich turystów wydawało w sklepie tyle pieniędzy co stu Europejczyków. A mąż i tak nigdy nie radził sobie najlepiej w kontaktach z klientami.

- C'est stupide - ciągnęła Marie-Hélène. - Mówią, że Saint-Tropez oczywiście na tym nie ucierpiało. Bogacze nie są takimi idiotami. A wszystko przez to, co Francuzi pół roku temu mówili na temat Iraku.

P J. usiadł z nimi na kanapie i włączył telewizor, by obejrzeć mecz baseballu. Wypił już kilka piw i Delphine zrobiła się czujna. Chciała, żeby gdzieś wyszedł. Wtedy mogłaby opowiedzieć przyjaciółce o jego dziwnym zachowaniu i o tym, co mówiła Natasha. Koło szesnastej zamówili hinduskie jedzenie i P J, miał je odebrać. Delphine szybko przekazała Marie-Hélène najnowsze nowiny.

- Ja bym się tym nie martwiła - powiedziała przyjaciółka.

- Pewnie czegoś nie zrozumiałaś. Może instrumenty smyczkowe i dęte mają próby w innych dniach?

To, że Marie-Hélène broniła P J., było niezwykle i Delphine odnotowała ten fakt w pamięci, myśląc, że to dobra wróżba.

Po obiedzie powędrowała chwiejnym krokiem do sklepu na rogu kupić więcej wina. Powtarzała sobie, że wszystko się ułoży.

Okazało się, że sklepikarz zamknął dziś wcześniej. Na widok zgaszonych świateł Delphine westchnęła i zawróciła. Weszła do mieszkania i wtedy ich zobaczyła. Jej najlepsza przyjaciółka i narzeczony, spleceni w uścisku, całowali się namiętnie na kanapie.

To, co wydarzyło się później, pamiętała jak przez mgłę, niczym człowiek, który budzi się z koszmaru i przypomina sobie tylko niewyraźne szczegóły: Marie-Hélène podrywająca się z krzykiem, jakby to Delphine była intruzką, a nie kobietą wchodzącą do własnego mieszkania. PJ. nakazujący przyjaciółce wyjść. A potem jego żalostne przeprosiny układające się w ciąg nic nieznaczących dla Delphine zdań.

- Przestraszyłem się - mówił. - Nagle dotarło do mnie, co zrobiłem. Wyrwałem cię z twojego życia. Wpadłem w panikę. Wiem, że źle postąpiłem, ale jestem idiotą. Delphine, proszę, przebac mi.

Przez chwilę miała rozpaczliwą nadzieję, że to tylko drobne potknięcie i wszystko jeszcze się ułoży. Ale zaprzeczyło temu to, co powiedział potem.

- Jestem rozdarty między dwoma światami. W Paryżu, a nawet tu, w Nowym Jorku, wydawało mi się, że wszystko układa się dobrze. Byłaś dla mnie idealną partnerką. Ale gdy zobaczyłem minę mojej matki, uświadomiłem sobie, że wciąż jestem tamtym dawnym chłopakiem. Wiem, że odejdiesz ode mnie, doskonale to rozumiem. Ale proszę, obiecaj mi jedno: nie czuj do mnie nienawiści.

Wcale nie chciał, żeby mu przebaczyła. Może właśnie dlatego wybrał Marie-Hélène. Pragnął, żeby to Delphine zakończyła ich związek. Przypominał jej tchórza, który popełnia ohydny zbrodnię, a potem zmusza policję, by go zastrzeliła, zamiast oszczędzić wszystkim bólu i zabić się już na samym początku.

- Przecież nie znosiłeś Marie-Hélène - powiedziała. - Zakochałeś się w niej?

- Nie. Zakochałem się w tym, że ona nie chce być kochana. Jesteśmy jak dwie puste skorupy. Zaslugujemy na siebie.

Wiedziała, że to kłamstwo, przynajmniej jeśli chodzi o niego. Przepęlniały go romantyczne uczucia i miłość, tylko już nie Delphine miała być ich obiektem.

- Jak długo to trwa? - zapytała. - Od meczu koszykówki, na który wybraliście się w zimie?

- Nie. Kilka tygodni. Odkąd wróciliśmy od rodziców.

- Spałeś z nią?

Zacisnął powieki, jakby sam właśnie się o tym dowiedział.

- A w zeszłym tygodniu? Spotykaliście się?

- Przepraszam.

Delphine zaczęła płakać. Najpierw cicho, a potem rozziewającym szlochem, od którego cała się trzęsała. Chodziła po mieszkaniu, pakując rzeczy do walizki kupionej przed wieloma miesiącami w Paryżu. Ściągając sukienki z wieszaków, przypomniła

sobie, jak EJ. nalegał, by wieczorami mógł sam wyprowadzać psa, i wyrwał jej się głośny okrzyk.

Błagał, żeby została - nie z nim, ale w mieszkaniu. On zatrzyma się u przyjaciela. Przyjaciela? Oczywiście.

W końcu przystanęła na chwilę i spojrzała mu w oczy.

- Zniszczyłeś mi życie. Nachylił się, jakby chciał ją objąć.

- Nie mogę znieść tego, że mnie nienawidzisz. Musisz znaleźć sposób, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

W szczytowym momencie obsesji na tle urządzania mieszkania Delphine dała się namówić na kupno kompletu najlepszych kuchennych noży w sklepie w Greenwich Village. Zdaniem sprzedawcy były to noże przeznaczone tylko dla osób, którym naprawdę zależy na osiągnięciu kulinarnej doskonałości. Wymagające. Należało je ostrzyć co trzy miesiące i nie wolno ich było przechowywać w zbyt ciepłym pomieszczeniu. („Och, takim jak na przykład kuchnia? - zapytał EJ. - Doskonale się składa, bo zamierzamy je trzymać przy łóżku”).

O ile wiedziała, największy i najostrzejszy nóż nigdy dotąd nie był używany. Teraz wyjęła go z bloku, poszła do salonu i wbiła ostrze w szare pluszowe poduszki kanapy. Drugą ręką wyciągała białe bawełniane wypełnienie, wyobrażając sobie, że wyrwa EJ. serce z piersi i zostawia je na ziemi, by zgniło. Zaczęła płakać, jakby to z niej coś wrywano.

Było południe. Fowinna już iść, bo EJ. wkrótce wróci do domu.

Musiała jednak wcześniej zrobić jeszcze parę rzeczy.

Odkręciła krany w kuchni i w łazience przy wannie. Jeśli będzie miała szczęście, do powrotu EJ. woda zaleje całe mieszkanie. Wyszła na korytarz i wrzuciła do zsypu kluczyki do samochodu. Na stoliku przed kanapą stał otwarty laptop. Zamknęła go, a potem ze spokojem utopiła w wannie.

W rogu salonu stał na stojaku stradivarius. Na tle bałaganu, który go otaczał, wydawał się jeszcze bardziej doskonały i królewski. Przypominał maleńkie ciało o miękkich kobiecych kształtach. Delphine pewnie już nigdy nie usłyszy, jak EJ. na nim gra.

W szafie w korytarzu znalazła futerał i włożyła do niego skrzypce. Trzymając je w jednej ręce, a w drugiej walizkę, zjechała windą na dół, przeszła po raz ostatni przez marmurowy hol i wyszła na wilgotne popołudniowe powietrze. Portier nawet nie podniósł oczu znad gazety.

Przed dwoma dniami zadzwoniła do brukselskiego biura Heleny Kaufman, podając się za Marcy, menedżerkę P J. Powiedziała, że ma dla niej fantastyczną wiadomość. Oto sławny skrzypek postanowił ofiarować stradivariusa Salisbury Międzynarodowemu Kongresowi Żydów. Uzgodniono, że dostarczy instrument do nowojorskiego biura organizacji o dwunastej trzydziści. O szesnastej ogłoszą to oficjalnie w prasie, ilustrując zdjęciami. Jeśli się uda, przedstawią całą historię w następnym weekendowym wydaniu programu 60 Minutes.

W informacji prasowej miały zostać zacytowane słowa P. J., pełne pasji i potępienia wobec tych wszystkich, którzy nie uważają, że cenne instrumenty powinny powrócić do potomków ich prawowitych właścicieli.

Kiedy PJ. odkryje, co się stało, nie będzie miał dość ikry, by powiedzieć coś innego niż to, co zaplanowała Delphine. A ona wtedy będzie już leciała, hen wysoko w górze. Aż zniknie w oddali.

# 1987

Maurice dostał swojego cheeseburgera dopiero o trzynastej. James zamówił sobie wtedy kanapkę z pieczoną wołowiną; Ledwie zdążyli zjeść kilka kęsów, gdy znów dostali wezwanie, tym razem do Rindge Tower numer trzysta sześćdziesiąt cztery.

W wieżowcach, dwóch wielkich brzydkich budynkach przy Rindge Avenue, wiecznie panował chaos. Mieszkało tam dwa tysiące rodzin, głównie imigranckich. James uważał, że skumulowanie tylu biednych ludzi w jednym miejscu to głupi pomysł.

Dwa razy w miesiącu, gdy mieszkańcy dostawali z programu dożywiania przydziały masła, mąki i mleka, zawsze jakiś kretyn wrzucał torbę mąki do zsypu spalarni w nadziei, że spowoduje wybuch, od którego w paru mieszkaniach wylecą drzwi.

W niektóre dni ratownicy medyczni wchodzili do budynku tylko w asyście uzbrojonego policjanta.

W wieżowcu pod numerem trzysta sześćdziesiąt cztery działały trzy windy. Dziś, gdy wkroczyli z noszami do holu, drzwi tej po lewej stronie były już otwarte. Maurice, który szedł pierwszy, ruszył w ich kierunku, po czym gwałtownie się wycofał.

- Kurwa mać! - wrzasnął.

Całe wnętrze kabiny pokrywały odchody.

James pokręcił głową i nacisnął guzik, by ściągnąć inną windę.

Jeśli pewnego dnia ktoś zadzga go w tej norze, jak długo Sheila będzie po nim płakała? Pięć lat? Dziesięć? Już sobie wyobrażał, jak Debbie próbuje ją swatać z rozwiedzionymi facetami ze swojego Kościoła. „Musisz wrócić do życia, skarbie. Jimmy i tak nigdy nie był ciębie wart. Potraktuj to jako zrządzenie losu”. Parker i Danny z początku będą czuli niechęć do nowego partnera mamy, ale po paru latach dojdą do wniosku, że nie jest taki zły, i zaczną nazywać go tatą.

Druga winda zjechała na dół. Gdy tylko drzwi się otworzyły, w twarz uderzył ich mdlący zapach kopącego się plastiku. Panele były stopione, a ściany zwęglone. Na podłodze stał podpalony przez kogoś wielki worek ze śmieciami, tłąc się i wtapiając w wykładzinę.

Przez drzwi przeciwpożarowe wpadło dwóch chłopaków, by sprawdzić, jak udał im się kawał. Na widok Jamesa i Maurice'a od razu zawrócili.

- Do diabła, gliny - mruknął jeden z nich.

- Człowieku, nie żadne gliny, tylko kierowcy z pogotowia.; Kierowcy z pogotowia. James nie znosił, kiedy ludzie ich tak nazywali.

- Chodźmy po schodach - zaproponował Maurice.

Na siódmym piętrze zza drzwi wydobywały się dziwne kuchenne zapachy, od których Jamesowi zrobiło się niedobrze. W mieszkaniu 7F leżał na kanapie nieprzytomny Haitańczyk. Jego żona nie mówiła po angielsku, ale wezwała kuzyna, który znał kilka słów i zwrotów. Od niego James dowiedział się, że mężczyzna wrócił wczoraj

wczesnym wieczorem, skarżąc się na ból głowy, a o szóstej stoczył się z łóżka i już nie odzyskał przytomności.

- Chorował na coś? - zapytał James.

Kuzyn pokręcił głową i wzruszył ramionami, niepewny, o co go pyta.

- Ciśnienie?

Facet pokiwał głową. Twarz mu się rozjaśniła, jakby właśnie rozwiązał zagadkę i zaraz wszyscy będą mogli pójść do domu.

- Wysokie ciśnienie - oznajmił.

- Bierze na to lekarstwa? - dążył James. - Leki? - Udał, że nabiera coś na łyżeczkę i połyka. Miał nadzieję, że go zrozumieli. - Leki! - powtórzył, tym razem prawie krzycząc, jakby to mogło pomóc.

Facet powiedział coś do żony Haitańczyka, ale ona wyglądała na zdezorientowaną. James pogwizdywał, próbując ukryć irytację. Współczuł emigranckim rodzinom, z którymi często mieli w pracy do czynienia. Niektórzy nie wzywali pogotowia, bo bali się deportacji. Może dlatego ci ludzie także czekali zbyt długo. Inni, chociaż zdecydowali się na wyjazd do Stanów Zjednoczonych, nigdy nie kontaktowali się z osobami spoza swojego środowiska, bo nie ufali Amerykanom lub nie rozumieli ich zwyczajów.

Język stanowił mur nie do przebicia - już od paru lat miasto zatrudniało dwujęzycznych ratowników, ale nawet imigranci, którzy mówili po angielsku, różnili się od rodowitych mieszkańców. Irlandczycy, rodacy Jamesa, nie życzyli sobie, by inni coś o nich wiedzieli. Chorobę uważali za oznakę słabości i ukrywali ją do ostatniej chwili, tak że w końcu często było już za późno.

Maurice założył pacjentowi rękaw aparatu do mierzenia ciśnienia.

- Dwieście pięćdziesiąt na sto dwadzieścia - powiedział. Pewnie udar.

- Wyjdzie z tego? - dopytywał się kuzyn. Kobieta powiedziała coś szybko i nakazała gestem, żeby tłumaczył. Westchnął. - Mówi, że o szóstej mąż ma być w pracy.

Byli tylko kilka lat starsi od Jamesa. Na lodówce wisiały dziecięce rysunki, a na składanym stoliku stała mała plastikowa choinka.

Jednak nawet znając ich język, James nigdy nie potrafiłby powiedzieć kobiecie prawdy: gdyby zadzwoniła od razu, mąż może by przeżył. Ale czekała zbyt długo i teraz nie ma już żadnej nadziei. Postanowił zostawić wyjaśnienia lekarzom z ostrego dyżuru. Niech zapracują na swoje wysokie pensje.

Ze względu na żonę odegrali komedię z wyjazdem do szpitala, chociaż na pomoc było już za późno.

Wsiadając do karetki, James uświadomił sobie, że zapomniał zapisać nazwisko mężczyzny. Teraz nie do końca wypełniony formularz leżał na stercie dokumentów, a on zastanawiał się, jak to wytłumaczy szefowi. Nigdy by nie popełnił tak głupiego błędu, gdyby nie skrajne wyczerpanie. Powinien oprzytomnieć. Powinien się przespać.

Przez kilka ostatnich godzin za każdym razem, gdy wstawał, trzęsły mu się nogi. W głowie wirowały różne myśli, od czasu do czasu wciągając go w swój nurt. Przed Haitańczykami wezwano ich do dwudziestolatka, który stracił dwa palce w odśnieźarce, bo chciał ją przepchać, nie wyłączwszy silnika.

Gdy jechali z chłopakiem do szpitala, Jamesowi, nie wiadomo dlaczego, przypomnieli się sąsiedzi, McGuire'owie. Mieszkali w zaniedbanym bliźniaku. Zajmowali jedną połowę, a drugą wynajmowali dwóm młodym facetom, na oko dosyć miłym, choć wiecznie nawalonym. Dlaczego, do diabła, zawsze trzymają na ganku taką masę gratów? Zardzewiałe meble ogrodowe, stare brudne pluszaki, ubrania, buty i rozmiękłe od deszczu gazety. Zupełnie jak jacyś pieprzeni Clampettowie\*. Musi \* Clampettowie - nowobogacka rodzina, bohaterowie amerykańskiego filmu Bogate biedaki (1993).

porozmawiać o tym z Tedem McGuire'em. Pogadać z nim jak mężczyzna z mężczyzną. Taki burdel to zagrożenie dla całej okolicy. Kilka dni temu mieli na trawniku rozrzucone baterie. Baterie!

Karetka gwałtownie podskoczyła. Niechcący wjechał na krawężnik.

- McKeen, wolniej! - krzyknął z tyłu Maurice.

James spojrzał na szybkościomierz. Jechał prawie sto czterdzieści kilometrów na godzinę.

- Wybacz, stary.

A więc baterie. Przypuśćmy, że jeden z synów znalazłby taką i połknął. Może to mało prawdopodobne, ale kto wie?

Czy Sheila kupiła baterie do robota Parkera? Co roku o nich zapominali i potem przez połowę świątecznego poranka wyciągali stare baterie z budzików, wykrywaczy dymu i pilota do wideo. U osób zorganizowanych nowa paczka baterii paluszków czekałaby na stoliku na rozpakowanie prezentów, jednak im nigdy się to nie udało.

W szkole średniej był chłopak, którego przezywali Paluszek, ponieważ był chudy jak bateria. Głupie przezwisko, jeśli się nad tym zastanowić. Głupie przezwisko dla niezbyt bystrego chłopaka. W pewne piękne letnie popołudnie wybrali się całą bandą do zalanych wodą kamieniołomów za Cunningham Park. Pili piwo, pływali i mieli niezły ubaw, dopóki Paluszek nie wpadł na pomysł, by skoczyć na główkę. Niestety zrobił to w miejscu, w którym jak wszyscy wiedzieli, skakać się nie powinno - z powodu wystającej skalnej półki woda nie była wystarczająco głęboka. Usłyszeli, jak uderza w występ, jeszcze zanim jego ciało zanurzyło się w wodzie. Stali tam wszyscy: Connelly, Big Boy, Sean Fallon, Mike Sheehan. Gdyby James nie wskoczył do wody, reszta pewnie pozwoliłaby chłopakowi utonąć. Warto o tym pamiętać.

James włączył kierunkowskaz i skręcił na izbę przyjęć szpitala Beth Israel. Zaparkował.

- McKeen! Co ty, do diabła, wyprawiasz? - wrzasnął Maurice. - Przecież wieziemy go do Brigham! Dalej, chłopie! W łodzi czekają dwa palce!

Maurice rzadko się denerwował, ale tym razem naprawdę wpadł w złość. I słusznie. James sam by się wkurzył na jego miejscu.

Była szesnasta trzydzieści. Przez całe popołudnie nie mieli chwili przerwy. Wezwano ich na Inman Square do kobiety po pięćdziesiątce, która skarżyła się na bóle w piersi. W kuchni filipińska pielęgniarka pomogła Maurice'owi sporządzić listę przyjmowanych przez pacjentkę leków, a kilkoro starszków, głównie kobiet, zebrało się wokół, jakby oglądało przedstawienie. Jeden z dwóch mężczyzn w grupie był młodszy od innych i miał wszelkie oznaki AIDS - zmiany na skórze, sterczące obojczyki świadczące o nienaturalnym wychudzeniu. W ostatnich latach w Cambridge widywało się wielu takich facetów.

James przypomniał sobie, jak Rock Hudson tuż przed śmiercią w 1985 roku potwierdził, że jest chory na AIDS. Nigdy by nie wpadł na to, że Hudson jest gejem. „Myślisz, że Doris Day o tym wiedziała?” - szepnęła matka, gdy wszystko wyszło na jaw, a James i Sheila o mało nie pękli ze śmiechu. Ale od tamtej pory ludzi ogarnął strach. Sheila powtarzała mężowi, żeby uważał na krew. Wiedziała, że nie noszą w karetkach rękawiczek i w ogóle raczej nie dbają o ochronę. Takie podejście było zupełnie nowe i nie przyjęło się jeszcze w środowisku ratowników medycznych. Jakżeby inaczej, skoro większość facetów z firmy Jamesa z dumą paradowała po szpitalu zachlapaną krwią? Mieli powiedzonko: „Najbardziej zakrwawiony na koniec zmiany wygrywa”. Taką postawę trudno zmienić z dnia na dzień.

Mieszkanie, w którym się teraz znajdowali, był to wielki, jasny penthouse o wysokich sufitach. Do małej sypialni z tyłu korytarza właśnie wprowadziła się pielęgniarka. Przed łóżkiem stały otwarte walizki, z których na dywan wysypywały się ubrania.

James wraz ze strażakami stał w drugiej, większej sypialni nad starszą panią o kruchej ptasiej urodzie. Leżała w łóżku w jedwabnej sukni i pantoflach i miała całkiem dobry nastrój. Druga kobieta w podobnym wieku siedziała obok i gładziła ją po rękę. Na przeciwległej ścianie wisiał rząd czarno-białych zdjęć przedstawiających ładną ciemnowłosą dziewczynę.

- To ja - oznajmiła pacjentka. - Byłam aktorką. Jesteście chłopcy za młodzi, żeby mnie pamiętać, ale mówię prawdę.

- Zgadza się - potwierdziła jej przyjaciółka. - Jinx Murray. Sprawdźcie sobie nazwisko.

- Jinx? - zapytał James.

- Pseudonim. Naprawdę nazywam się Angela Morris - wyjaśniła kobieta podobna do ptaka. - W tamtych czasach studia filmowe wymyślały aktorom nową osobowość.

James nie wiedział, czy pacjentka tylko się przechwala. Miała tak eleganckie mieszkanie, że mogła być gwiazdą. Lecz z drugiej strony może po prostu wyszła bogato za męża. Zapisał w pamięci nazwisko, żeby potem zapytać matkę. Jinx. Nietrudne do zapamiętania.

- Dwa tygodnie temu miałam operację serca - powiedziała kobieta. - Musicie mnie



zawieźć do szpitala Mass General. Moim kardiologiem jest doktor Warner. James popatrzył na potężnych strażaków stojących po drugiej stronie łóżka. Zabawne, jak bardzo nie pasowali do filigranowych buteleczek z perfumami i różowych koronkowych firanek.

- Curley, pomożesz mi przenieść panią na nosze? - zwrócił się do jednego z nich. Curley skinął głową i obaj podnieśli pacjentkę. Prawie nic nie ważyła, wydawała się lekka jak piórko. James poczuł lęk, że rozsypie mu się w rękach.

Powieźli ją korytarzem i przez duży salon, gdzie przy fortepianie stała największa choinka, jaką James widział w życiu. Pod nią leżały prezenty zapakowane tak pięknie, że całość wyglądała jak fotografia w piśmie ilustrowanym. James zaproponował, że w tym roku sam zapakuje podarki dla dzieci, ale Sheila tylko się roześmiała, jakby taśma klejąca i nożyczki należały do ciężkich maszyn, których mąż nie potrafi obsługiwać.

Od lat nie dawali sobie z Sheilą prezentów. Ostatnio James wciąż trafiał na telewizyjne reklamy biżuterii, które o tej porze roku pokazywano co chwila. Wydawały się skrywać subtelny podtekst: „Gdybyś był prawdziwym mężczyzną, kupiłbyś jej te pieprzone kolczyki”. Kiedyś bardzo tego pragnął i żałował, że Sheila tak dobrze go zna i wie o wszystkich jego ciemnych stronach. Chyba lepiej było za dawnych czasów, kiedy to mężczyźni zarządzali finansami, a żony nie miały pojęcia, jak dużo pieniędzy jest na rodzinnym koncie w banku. Nie mógł zrobić Sheili oszałamiającej niespodzianki, bo bez względu na to, co kupi, ona, zajrzawszy do pudełeczka, zobaczy tylko kolejne kilkaset dolarów długu.

Mimo to postanowił, że tego roku podaruje jej nowy pierścionek. Zdaniem Connelly'ego każdy facet, który nie chce wyjść na tandeciarza, powinien przeznaczyć na taki zakup dwumiesięczną pensję. Kiedy James o tym myślał, zaczynało mu się wydawać, że pieniądze stanowią nie prawdziwą, lecz tylko wymyśloną przeszkodę, którą da się ominąć.

Całymi tygodniami zastanawiał się, jak to rozegrać. Zapłata kartą kredytową nie wchodziła w grę - na widok miesięcznego wyciągu Sheila wpadłaby we wściekłość, a nie taki miał być cel niespodzianki. Rozważał wzięcie kolejnej karty, bez wiedzy żony, ale uznał to za oszustwo. Przychodziły mu do głowy różne szalone pomysły: udział w badaniach klinicznych, oddawanie nasienia (już za samą myśl o tym Sheila by go wykastrowała). Brat Dave'a Connelly'ego opowiadał, że kiedy stracił pracę po zamknięciu stoczni Fore River, zarobił mnóstwo pieniędzy na piramidzie finansowej. James przez pewien czas zastanawiał się, czy nie wziąć w tym udziału. Ale ostatecznie sprzedał forda coupe z silnikiem V8 dolnozaworowym z 1949 roku, który kiedyś należał do jego ojca.

Connelly wyśmiewał się z tego samochodu od lat. „Twój gruchot wygląda jak z serialu Happy Days. Nie wsiadam do niego”, mówił, ale zawsze wsiadał i podczas przejażdżek dobrze się bawili.

Nabywca forda przypominał kogoś żywcem przeniesionego z lat siedemdziesiątych. Miał baki i wielkie ciemne okulary. Powiedział, że jest kolekcjonerem. Kredy poszedł do banku po gotówkę, James przez pół godziny siedział za kierownicą i oddychał głęboko, jakby pragnął zatrzymać w sobie zapach samochodu.

Connelly próbował poprawić mu humor: „Hej, wiesz, że wszyscy uważają fordę za gruchoty, które tylko potrafią się psuć”.

Kiedy jednak James myślał o tym, że samochód nie należy już do niego - że następnej wiosny nie pojedzie nim wzdłuż wybrzeża, w szumie wiatru, z radiem nastawionym na cały regulator - niemal go mdliło z tęsknoty. Ale nie miał wyjścia. Cóż byłby z niego za mężczyzna, gdyby nie stawiał na pierwszym miejscu rodziny?

Sprzedając samochód, miał gwarancję, że Sheila nie będzie musiała się martwić, jak oddać dług. Może po prostu cieszyć się prezentem.

Przed kilkoma dniami poszedł do jubilera wybrać pierścionek. Wszedł podniecony do środka, ale po wyjściu wyglądał, jakby spuszczone z niego powietrze. Chociaż zamówił dokładnie taki sam wzór, pierścionek wydawał się jeszcze mniejszy, przypominał błyskotkę, która wypada z automatu jako dodatek do gumy do żucia. Mężczyzna po drugiej stronie lady próbował namówić go na kupno większego kamienia. Powiedział, że po tylu latach małżeństwa wielu mężczyzn pragnie ofiarować żonie bardziej okazały diament. James nie miał na to pieniędzy, ale na widok pierścionka pożałował, że mimo wszystko nie podjął takiej decyzji.

Wiele by dał, by móc zabrać Sheilę i chłopców do tego penthouse'u. Dlaczego nie mogą się tu wprowadzić i mieć wszystkich tych ładnych mebli, prezentów, ognia trzaskającego w kominku?

Przyjaciele pacjentki wydawali się przejęci, lecz także podnieceni nieoczekiwanym obrotem wydarzeń. Jedna z kobiet z radosną ostentacją narzuciła na gołe nogi aktorki futro z norek.

- Zaczekamy tu na ciebie! - zawołała i popchnęła pielęgniarkę. - Jedź razem z nią!

James i Maurice wtoczyli nosze do windy i zjechali piętnaście pięter w dół razem ze strażakami stłoczonymi niczym sardynki.

Padał gęsty śnieg i widać było tylko na parę metrów. James miał nadzieję, że Sheila nigdzie się nie wybiera. Jej toyota miała napęd na tylne koła i podczas śnieżycy koszmarnie się ją prowadziło. Silnik zapalany na zimnie zawsze przez kilka minut pisał i terkotał. Trzeba było czekać, aż się rozgrzeje, ale Sheili brakowało na to cierpliwości.

Jej siostra, Debbie, jeździła teraz nowym volvo.

- Ma w środku wbudowaną taką stalową klatkę - tłumaczyła Sheili podczas ostatniej wizyty. - Moim zdaniem to za drogi samochód, ale Drew uznał, że skoro chodzi o moje bez-pieczestwo, cena nie gra roli.

W drodze do szpitala filipińska pielęgniarka siedziała z przodu, obok Maurice'a, i cicho płakała. James zastanawiał się, dlaczego tak rozpacza - znała chorą dopiero od

dwóch tygodni. Może bała się, że straci pracę? Czyżby jej życie zależało od zdrowia obcej osoby w drugim pokoju? To dziwne uczucie, zawsze mieszkać w domach obcych ludzi.

Pacjentka była bardziej rzeczowa.

- Gdy dojedziemy na miejsce, zadzwoń, proszę, do mojego syna w Waszyngtonie - instruowała pielęgniarkę. - Powiedz mu, co się stało.

James zapytał, kiedy pojawiły się bóle w piersiach.

- Siedziałam przy fortepianie. Zaprosiłam grupę przyjaciół z czasów, gdy jeszcze występowałam, na śpiewanie kolęd i ajerkoniak. Wspaniale się bawiliśmy. I wtedy nagle poczułam, jakby słoń usiadł mi na piersiach.

- Czy wypita pani dużo ajerkoniaku?

- Ani kropli! Doktor zakazał!

, - A jadła pani coś pikantnego?

- Nie. I zażyłam wszystkie leki.

Maurice zadzwonił do lekarza, by uzyskać zezwolenie na podanie nitrogliceryny, i zaczął zakładać wenflon.

- Proszę otworzyć usta - poprosił i wsunął jej pod język tabletkę.

Przejechali przez Kenmore Square. W śniegu wyglądał jak miasto duchów. James założył pacjentce na ramię opaskę uciskową i wprowadził wenflon do żyły, na wypadek gdyby potrzebowała lekarstw, zanim dojadą do szpitala.

- Studiowałam tu niedaleko, na Wydziale Teatralnym Uniwersytetu Bostońskiego - powiedziała kobieta. - Na tym samym roku była Faye Dunaway. Mówiliśmy na nią Done Fadeaway. Zapowiadała się na gwiazdę jednego sezonu. Teraz, gdy o tym myślę, nadal uważam, że były wśród nas osoby z większym talentem. Ale jej chyba najbardziej zależało.

James pokiwał głową. Pewnie to samo dałoby się powiedzieć o jego karierze muzycznej. Może nie zależało mu tak bardzo, by odnieść sukces. Już miał to powiedzieć, ale się powstrzymał.

Był przekonany, że życie zrujnowali mu Beatlesi. Kiedy wyszła płyta Meet the Beatles, miał jedenaście lat. Jego starszy o cztery lata brat Bobby kupił ją w pierwszym dniu sprzedaży. James pamiętał, jak siedział obok niego, oglądając pierwszy występ zespołu w programie Eda Sullivana i czuł się bardzo dorosły. Brat nigdy nie dopuszczał go do towarzystwa, więc wstrzymywał oddech i starał się wtopić w kanapę w lęku, że czar pryśnie. Po piosence i Want to Hold Your Hand Bobby popatrzył na niego wstrząśnięty i powiedział: „Cholera jasna”.

- No - przytaknął James, kiwając zdumiony głową. Do dziś uważał, że była to wiekopomna chwila.

Oszczędzał kieszonkowe, by kupować karty z Beatlesami i pisma dla fanów, bluzę i kieliszek do jajek z wizerunkiem zespołu. Wydał trzy dolary na beatlesowską perukę u Woolwortha i następnego dnia założył ją do szkoły tylko po to, by odesłano go do

domu z uwagą od dyrektora.

Gdy miał dwanaście lat, a Bobby szesnaście, matce jakimś cudem udało się zdobyć bilety na koncert Beatlesów w Boston Garden. Prawie nie słychać było piosenek, bo dziewczyny piszczały tak głośno, że zagłuszały muzykę. Ale i tak wrażenie było ogromne. James oszalał na punkcie Beatlesów. Czwórka chłopców z Liverpoolu wydawała się taka swobodna, radosna i bezpretensjonalna. Skoro im się udało, inni także mogą spełnić najbardziej szalone marzenia.

Kilka lat później James dowiedział się, że Bobby'ego powołano do wojska. Siedział nieruchomo na łóżku, szukając w sobie jakichś uczuć. Wiedział, że to źle o nim świadczy, ale odczuwał ulgę. Wyobrażał sobie, jak grzebie w szufladach brata bez lęku, że zostanie przyłapany, jak podkrada mu płyty, ubrania i papierosy. Bobby lubił go bić i oto w końcu James będzie miał spokój. Ale przy kolacji na widok brata, który zgolił długie tłuste włosy i baki, nagle dotarła do niego powaga sytuacji. Zrozumiał, że teraz wszystko się zmieni. Pobiegł do swojego pokoju, zatrzasnął drzwi i puścił na adapterze Sgt. Pepper's tak głośno, że aż trzęsły się meble.

Nikomiu nie udało się zastąpić Beatlesów. Dziesiątki lat później, za każdym razem, gdy jakiś zespół zdobywał popularność, największym komplementem było nadanie mu miana „nowych Beatlesów”. Anglicy wyznaczyli poziom, na który nikt już potem się nie wzniósł.

Syn Jamesa, Parker, był niemowlęciem, kiedy zginął John Lennon. James nigdy nie zapomniał tamtego wieczoru. Sheila poszła z dzieckiem do rodziców, a on oglądał w domu mecz, gdy nagle komentator, Howard Cosell, powiedział: „Pamiętajcie, to tylko gra w piłkę, nieważne, kto wygra, a kto przegra”.

James wciąż pamiętał, jak ścisnęło go w gardle. Skoro Cosell tak mówi, to znaczy, że stało się coś okropnego. Ale ze wszystkich tragedii, jakie w tamtej chwili przyszły mu do głowy, tej jednej nie przewidział: „John Lennon, chyba najślawniejszy z Beatlesów, został dwukrotnie postrzelony w plecy przed kamienicą w West Side w Nowym Jorku, w której mieszkał. Zmarł w drodze do szpitala Roosevelta”.

Nigdy nie lubił Howarda Cosella, ale po tamtym wieczorze, chociaż komentator tylko wykonywał swoją pracę, nie mógł znieść jego głosu. Oglądał Monday Night Football z wyłączonym dźwiękiem.

Czasem, gdy Sheila pracowała, James wyciągał starą gitarę i grał synom. Danny był jeszcze za mały, by go to interesowało, ale Parker uwielbiał Help! i Rubber Soul prawie tak samo jak tata. James nie mógł się nadziwić, że syn ma taki znakomity słuch i pamięć do tekstów - zaledwie siedmiolatek, a już potrafił zaśpiewać Yesterday tak, że się chciało płakać. James nauczył go kilku akordów na gitarze i naprawdę był pod wrażeniem, gdy okazało się, że po tygodniu Parker wciąż je pamięta.

W zeszły wtorek w szkole syna odbył się koncert świąteczny. James wziął niedzielną zmianę, żeby na nim być. Każde dziecko miało solowy występ - najmłodszy tylko kilka słów. Pewnie po to, by mogli się poczuć wyjątkowo i podnieść swoją samoocenę,

choć James nie wiedział, jakim cudem, skoro każdy robił dokładnie to samo co wszyscy. Parkerowi przypadł początek kolędy Cicha noc: Pokój niesie ludziom wszem. Tylko tyle. Cztery słowa, a James poczuł, że w kącikach oczu zbierają mu się łzy. Zrobi wszystko, żeby jego syn został kimś, a nie kolejnym nieudacznikiem, z którego wielkich marzeń nic nie wyszło.

- Musimy zapisać go na lekcje muzyki - szepnął do Sheili, zanim zapaliły się światła.

- Przecież ma w szkole - odparła.

- Myślałem o czymś lepszym. On jest naprawdę utalentowany. Ma w sobie to coś.

- Jimmy, uspokój się - Sheila poklepała go po ręce. - To tylko dziecko.

W wigilijny wieczór działo się więcej, niż można by się spodziewać przy takiej pogodzie. Chłopiec rozciął sobie głowę, wjeżdżając sankami na drzewo, a młoda kobieta połknęła buteleczkę tabletek, co o tej porze roku było typowym zjawiskiem. Innej uwięzia w tyłku piłeczka pingpongowa, gdy zabawiała się ze swoim chłopakiem. Takie rzeczy także często się zdarzały.

Zawieźli rozrywkową parę do szpitala Cambridge. Na izbie przyjęć, gdy Maurice kończył wypełniać kartę pacjentki, James przez szparę w zasłonie spostrzegł bezdomnego, którego przywieźli tu wczesnym rankiem - leżał skulony na wąskim, zasłanym łóżku, ubrany tylko w szpitalną koszulę. Wyglądał jak dziecko i James miał ochotę do niego podejść. Zastanawiał się, gdzie jest jego matka. Czy przeżył kiedyś prawdziwy świąteczny poranek, a jeśli tak, czy wspomnienie o nim sprawia, że obecne życie wydaje mu się lepsze czy gorsze?

- Piłeczka pingpongowa. Coś podobnego - mruknął Maurice, gdy wyszli z izby przyjęć.

- No.

Obaj zaczęli się śmiać i przez następne dziesięć minut nie mogli przestać.

W każdej izbie przyjęć w mieście jest specjalne pudło, w którym lekarze przechowują różne przedmioty wyciągnięte z ludzkich odbytów. James widział zdjęcia rentgenowskie przedstawiające butelkę piwa albo żywą mysz we wnętrzu jakichś facetów. U człowieka występuje tak zwany odruch odbytniczy, ogólnie rzecz biorąc polegający na tym, że przedmiot po przejściu przez zwieracz jest wsysany w głąb ciała i już tam pozostaje. Żaden z tych palantów nigdy o nim nie słyszał, dopóki mu się to nie przytrafiło.

James pomyślał, że chyba wolałby umrzeć niż wzywać ratowników i zapoznawać ich ze szczegółami swojego życia seksualnego.

W zeszłym roku Sheila zaproponowała, żeby dla podgrzania atmosfery w sypialni spróbowali odgrywać różne role.

Najwyraźniej jej przyjaciółka Kathy Dolan robiła to ze swoim mężem i była zachwycona.

- Chodzi ci o coś takiego jak na przykład przebieranie się za pielęgniarkę? - zapytał James, gdy po raz pierwszy mu o tym wspomniała.

- Jasne. Nic mnie tak nie podnieca jak wkładanie stroju pielęgniarki, w końcu robię to codziennie.

- Sam nie wiem. - Jamesa zdziwiła własna nieśmiałość. Podobało mu się, że wciąż odkrywa w żonie nieznane strony, budzące w nim niepokój.

Sheila chciała, żeby udawali, że on jest mechanikiem, a ona szkolną cheerleaderką, stojącą przy zepsutym samochodzie na poboczu drogi. Najwyraźniej była to jej ulubiona fantazja. James się zgodził i mieli niezły ubaw, choć od tamtej pory za nic na świecie nie pozwoliłby jej odstawić samochodu do warsztatu.

Ledwie zdążyli wsiąść z Maurice'em do karetki, znów odezwało się radio.

- Jezu, czy w całym Cambridge nie pracuje nikt oprócz nas? - jęknął James, łącząc się z dyspozytorką. - Nono, zamordujesz nas dzisiaj.

- Poważny wypadek - odparła. - Samochód spadł do rzeki z mostu Harvarda. Na miejscu są już strażacy.

Musieli czekać na moście, aż ekipa płetwonurków ze straży pożarnej wyciągnie ofiarę z wody. Według prawa jazdy nazywał się Liam Stone, mieszkał w Somerville. Osiemnastolatek.

Miał zmiażdżoną twarz, powykręcane nogi i ranę szarpaną na biodrze.

- Biedny dzieciak - powiedział James do pielęgniarki, którą spotkali na ostrym dyżurze szpitala Mass General.

- Pewnie był pijany i wracał do domu z jakiejś świątecznej imprezy. - Wzruszyła ramionami. - Całe szczęście, że nikogo nie zabił.

- Może to wina śnieżycy? - mruknął James. - Wesołych Świąt.

Nawet Sheila przyznawała, że pielęgniarki dzielą się na anielsko dobre i fatalne, a pośrodku nie ma prawie nic. Nie chciał zostawiać chłopaka w rękach tamtej kobiety, ale nie miał wyboru.

James był prawie pewny, że Liam Stone nie przeżyje. Był wdzięczny losowi, że przynajmniej nie musi uczestniczyć w powiadamianiu rodziców. Wyobrażał sobie, jak to może wyglądać - w jednej chwili człowiek siedzi w domu, cieszy się świętami, czeka, aż syn wróci z centrum handlowego, a w następnej dowiaduje się, że życie, jakie znał do tej pory, właśnie się skończyło. Żałował, że nie może pojechać do domu uściskać dzieci.

Doszedł do wniosku, że teraz dyspozytorka pewnie przez kilka godzin da im spokój, pojechali więc do szpitala Cambridge, gdzie na stole w pokoju socjalnym czekały na Maurice'a osierocone cheeseburgery w towarzystwie kilku kanapek, dwulitrowej butli coli i talerza ciasta domowej roboty od Cathy. Dobre z niej dziecko.

James poczęstował się ciastem i wyszedł na korytarz, by zadzwonić z automatu do domu.

- Cześć - powiedział, gdy Sheila podniosła słuchawkę.

- Och, cześć - odparła tonem, jakby spodziewała się kogoś innego. - Parker! Powiedziałam: nie!

- Co się dzieje?

- Chodzą po ścianach. Byliśmy wcześniej u twojej mamy, żeby podrzucić jej zakupy, i przy okazji dała mi pół kilo ciasta krówkowego, które upiekła jej sąsiadka. Chyba połowy już nie ma. Siostra wpadła tu z dziećmi, bo miałyśmy dekorować ciasteczka, ale śnieg tak się rozpadał, że musieli jechać do domu, zanim wyjęłyśmy je z piekarnika. Który, nawiasem mówiąc, się psuje. Potrzebujemy nowego.

Ile to może kosztować? James próbował określić cenę, ale nigdy dotąd nie kupował kuchenki - ta była w domu, gdy się wprowadzili.

- Ciastka! - wrzasnął w tle Parker.

- Jasne - jęknęła Sheila. - Więcej cukru, oto, czego na pewno im potrzeba.

James słyszał napięcie w jej głosie. Nie była to zwykła irytacja z powodu zachowania chłopców, ale coś gorszego. Zapowiedź nadchodzącej awantury. Nie chciała, żeby pracował w Wigilię, a teraz tkwiła sama w domu z dziećmi, w które wstąpił diabeł.

- Obiecuję, że jutro cały dzień będę się nimi zajmował - powiedział.

- Jasne. I tak wyglądasz jak zombie - mruknęła. - Musisz się w końcu wyspać. Jak tam w pracy?

W pierwszej chwili chciał opowiedzieć o Liamie Stonie, ale nie było powodu, by jeszcze i tym ją obarczać.

- Dużo roboty - odparł. - Wcześniej mieliśmy pacjentkę, która powiedziała, że...

- Danny, siedź na krześle, bo pożałujesz! - wrzasnęła.

- Przepraszam. Mów dalej.

Zastanawiał się, w jakim wieku muszą być dzieci, żeby dało się przy nich prowadzić normalną rozmowę. Kiedy ostatnio mogli pomówić z Sheilą dłużej niż kilka minut bez towarzystwa chłopców?

Pociągnęła nosem.

- Płaczesz? - zapytał.

- Nie.

- Zaziębiłaś się?

- Przy moim szczęściu pewnie tak - odparła.

- Co się stało? - zapytał.

- Dowiesz się, gdy wrócisz do domu.

To zabrzmiało jak groźba. Wyobraził sobie spakowane walizki żony pod drzwiami, dzieci czekające w samochodzie, przypięte pasami, gotowe do drogi.

- Boże, Sheilo, nie strasz mnie. Westchnęła.

- Obiecywałam sobie, że nic ci nie powiem, dopóki pracujesz, ale sam tego chcesz.

Kilka minut temu, po wyjściu siostry, siedziałam w pokoju dziennym z chłopcami i nagle w kuchni rozległ się straszny huk. Gdy weszłam, okazało się, że runęła część sufitu. W tym miejscu, w którym łuszczyła się farba. Wiesz, Jimmy, dziura jest naprawdę olbrzymia. Widać przez nią łazienkę na górze. Parker był w kuchni pół minuty wcześniej. Mógł zginąć.

James nie był w stanie jasno myśleć. Chłopcy są bezpieczni, co za ulga, lecz mimo to czuł paniczny lęk.

- Ale nikomu nic się nie stało? Pies żyje?

- Żarty sobie stroisz? Tak, twój drogocenny pies ma się dobrze.

- Musimy to naprawić. - Z uwagi na żonę starał się mówić spokojnie.

Sufit groził zawaleniem od roku, a on nic nie zrobił. Nie miał pieniędzy. A teraz jedno z jego dzieci mogło zginąć pod gruzami. Miał ochotę mocno kogoś uderzyć, a może niech to jego ktoś zajdzie od tyłu i tłucze tak długo, aż przestanie oddychać. „Jakby słoń usiadł mi na piersi”. Tak chyba określiła to uczucie tamta kobieta.

- Powinniśmy wynieść się z tej nory już rok temu - szepnęła gniewnie Sheila. - Tu jest niebezpiecznie. Próbowалам ci to powiedzieć. Dlaczego ty nigdy mnie nie słuchasz?

- Wracam do domu - rzucił, choć wiedział, że to niemożliwe.

- Możesz wyjść z pracy dopiero rano - przypomniała mu. - Nie martw się. Posprzątałam, ile się dało, a chłopcy wiedzą, że nie wolno im teraz wchodzić do kuchni. Poradzimy sobie bez ciebie.

- Dzięki.

- Wiesz, co mam na myśli. - Westchnęła.

- Może powinnaś prznocować u rodziców? - Oczami duszy widział, jak cały dom się wali, a on po powrocie dowiaduje się, że już nie ma rodziny.

- Tata mówi, że teraz nic nam nie grozi. Po prostu nie mam pojęcia, jak zapłacimy za naprawę.

James już wiedział, że będzie wściekła z powodu pierścionka, chociaż nie pożyczył na niego pieniędzy. Powie, że skoro postanowił sprzedać samochód, powinien przeznaczyć gotówkę na coś naprawdę potrzebnego. I pewnie będzie miała rację. Ale Sheila nigdy nie dostała żadnego prezentu, a kto powiedział, że pierścionek jest mniej ważny niż dach nad głową?

W tle słyszał, jak Parker opowiada o Świętym Mikołaju i Wirującym Robocie. Żałował, że go tam nie ma. Siedziałby teraz skulony pod kocem na kanapie przed telewizorem obok żony i dzieci, wszyscy by się śmiali, wspominali, wieszali przed pójściem spać skarpety na prezenty.

- Bez ciebie w ogóle nie czuję, że jest Wigilia - dodała Sheila nieco łagodniej.

- Przykro mi, że dziś wieczorem sama musisz kłaść ich do łóżek. To chyba praca dla dwóch osób.

- Co najmniej. - Roześmiała się.

- Kochanie?

- Tak?

- Kocham cię. Bardzo mi przykro, że mnie z wami nie było.

Zaczął płakać. Nigdy nie ma go w domu, gdy jest potrzebny. Niczym nie różni się od swojego nic niewartego ojca.

- Ja też cię kocham - powiedziała Sheila. - Nie płacz. Wszystko już jest pod kontrolą.



- No dobrze. Daj mi na chwilę Parkera.

Przez kilka minut na drugim końcu linii słycać było przepychanki i szumy, aż wreszcie rozległ się podniecony głos starszego syna:

- Cześć, tato! Wiesz, że mamy dziurę w suficie? Mogę pójść do łazienki i patrzeć z góry na mamę. Jest bardzo fajnie.

- Tak, słyszałem. Słuchaj, kolego, wiem, że nie możesz się doczekać jutrzejszego dnia, ale obiecaj, że dziś wieczorem będziesz miły dla mamy, dobrze?

- Dobrze.

- Grzeczny chłopiec. Przykro mi, że nie utulę cię dziś do snu. Napisałeś już list do Świętego Mikołaja?

- Tak. Od siebie i od Danny'ego, bo on jeszcze nie umie.

- To bardzo ładnie z twojej strony. Wiesz, że Mikołaj nie przyjdzie, dopóki nie zaśniesz?

- Tak.

- I od razu pozna, że udajesz.

- Naprawdę, tato?

- Na mur.

Zmiana kończyła się o siódmej rano.

O szóstej doszli do wniosku, że skoro od pięciu godzin nie dostali żadnego wezwania, to chyba następnego już nie będzie. Przez całą noc padał śnieg. Wszystkie sklepy były pozamykane. W całym mieście dzieci bogate i biedne błagały rodziców, by pozwolili im wstać i rozpakować prezenty. Parker i Danny mieli surowy zakaz odwijania czegokolwiek, dopóki tata nie wróci z pracy. Mogli wyjąć prezenty ze skarpet, i na tym koniec.

James nie mógł zasnąć, chociaż siedzieli w pokoju socjalnym od pierwszej w nocy. Maurice chrapał obok na łóżku polowym, kilku facetów oglądało w telewizji stary western, a on po prostu leżał i myślał o nadchodzącym dniu. W drodze do domu wstąpi do matki, potem wypije z Sheilą kawę, podczas gdy chłopcy będą rozpakowywali prezenty. W południe całą rodziną pójda do kościoła, a potem do rodziców Sheili na wczesny obiad.

Myślał o tym wszystkim i chciał czuć się szczęśliwy, wiedział, że tak być powinno. Tymczasem był tylko przytłoczony obowiązkami i wyczerpany. Bez względu na to, co robi, i tak nic się nie zmieni. Parker zachwyci się robotem, ale już za tydzień zacznie marzyć o innej zabawce. A większych prezentów mu nie podarują - nie będzie ich stać na to, żeby posłać go na studia albo pomóc mu przy zakupie domu. Dzieciak chodził dopiero do drugiej klasy i uwielbiał Jamesa. Jak długo potrwa, zanim zda sobie sprawę, że jego stary to nieudacznik?

A Sheila? James sprzedał starego forda, żeby kupić jej pierścionek, lecz teraz znów nie ma nic. Ani grosza. A przecież potrzebują gotówki, żeby naprawić dziurę w suficie, zepsuł się piekarnik, skrzynia biegów w samochodzie i diabli wiedzą, co

jeszcze.

Pomyślał o chłopaku, który napadł na jego żonę. Co zrobił z pierścionkiem? Pewnie zastawił albo dał jakiejś dziewczynie, w której się kocha. James po raz kolejny wyobraził sobie tamtą scenę: żona walczy z wózkiem i zakupami, nawet nie słyszy zbliżających się z tyłu kroków. Pragnął odnaleźć tego gówniarza i strzelić mu prosto w głowę, z bliska, na oczach całej rodziny, w świąteczny poranek.

Kiedy Maurice zaproponował, żeby wzięli się dzisiaj wcześniej do sprzątania ambulansu, by po pracy móc od razu iść do domu, James uznał, że to najlepszy pomysł, jaki słyszał od tygodni. Wyszli ze szpitala, pojechali do bazy i zaczęli sprawdzać i uzupełniać stan wyposażenia. Jak zwykle pod koniec każdej zmiany James odhaczał jedną po drugiej kolejne pozycje na liście. Piętnaście czystych ręczników, pudełko chusteczek, komplet pasów, ssak, zestaw do oparzeń, EKG, defibrylator, płyn do dezynfekcji. Już kończył, gdy usłyszał, że wzywają ich przez radio. Do końca zmiany zostało czterdzieści pięć minut, a oni znów muszą dokąś jechać.

Dyspozytorka nakazała im udać się do Belmont.

- Co się, u diabła, stało?

- Wezwanie w ramach wzajemnej pomocy - wyjaśniła. Od czasu do czasu, gdy zespół ratowniczy z sąsiedniej miejscowości nie dawał rady, proszono ich o pomoc. Ale zwykle nie musieli tuć się aż do Belmont. Nawet przy dobrej pogodzie, bez śnieżycy, dojazd tam zajmował od dziesięciu do piętnastu minut.

- Chyba sobie żartujesz - prychnął James.

- Dziś jeździ u nich tylko jeden ambulans i właśnie wysłano go do pożaru. Przykro mi, macie pecha.

- Nie zdążymy na czas - stwierdził.

- Chodzi tylko o sprawdzenie, czy wszystko w porządku - wyjaśniła dyspozytorka. - Nie musicie się spieszyć.

- Skoro nie ma pośpiechu, to dlaczego nie zaczekają na swoich ludzi? - zapytał Maurice.

- Przyjęłam zgłoszenie. Musimy kogoś wysłać. Dyspozytorka wyjaśniła, że pacjentka ma osiemdziesiąt lat. Na numer alarmowy zadzwoniła jej synowa z Florydy. Od dwóch dni próbowała skontaktować się ze starszą panią, ale ta nie obierała telefonu.

- Mieszka sama - mówiła dalej. - Najwyraźniej, przynajmniej do tej pory, czuła się dobrze. Jej mąż zmarł chyba przed paroma laty, a ona nie chciała się przenieść do domu opieki. Nazywa się Evelyn Pearsall.

James szybko zapisał nazwisko na dłoni, żeby tym razem nie zapomnieć.

- Chyba synowa sporo ci o niej opowiedziała - stwierdził.

- Owszem. Wygląda na to, że czuje się winna, bo nie zaprosiła staruszki na święta.

James pomyślał o swojej matce.

- I słusznie - stwierdził.

- Starła się mnie przekonać, że zamierzali odwiedzić ją za tydzień.
- Teraz pewnie będą musieli wybrać się wcześniej. Maurice wskoczył na siedzenie pasażera i włączył syrenę.

Jej wycie brzmiało bardziej żałobnie niż zwykle.

James wyjął ze schowka proszki od bólu głowy, odkręcił buteleczkę i wrzucił sobie do ust dwie tabletki.

- Wiesz, że to nie cukierki? - Maurice popatrzył na niego znacząco.
- Strasznie bolą mnie plecy.

Było ślisko, ale drogę numer dwa już odśnieżono i o tej porze nie jeździło zbyt dużo samochodów. James jechał sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Jeśli Maurice to zauważył, nic nie powiedział. Też chciał jak najszybciej wrócić do domu.

- Zona mnie zabije - powiedział James. - Dzieciaki wstały i chcą rozpakować prezenty.

- Mnie to mówisz? Cindy już zdążyła zrobić mi piekło, że pracuję w Wigilię.

- Sheila też.

- Była straszna awantura - ciągnął Maurice, kręcąc głową, jakby już samo wspomnienie go dobijało. James miał ochotę zapytać o szczegóły. Dobrze byłoby móc zajrzeć do cudzego małżeństwa, żeby sprawdzić, czy własne jest normalne.

- Co się dzieje z twoimi rękami? - zapytał Maurice.

- Słucham?

- Strasznie ci się trzęsą.

James spojrział w dół. Nawet tego nie zauważył.

- Martwię się o ciebie, chłopie - dodał Maurice. - Potrzebujesz odpoczynku.

- Odpocznę w grobie.

- To się nazywa optymizm.

W milczeniu zjechali z autostrady i skręcili ostro w lewo, w Pleasant Street, nie czekając, aż światło zmieni się z czerwonego na zielone. Miejsce salonów samochodowych i małych centrów handlowych zajęły wiktoriańskie domy. Okrywał je śnieg, spod którego tu i ówdzie błyskały białe świąteczne lampki.

Żeby znaleźć adres, musieli spojrzeć na mapę. Wjechali na strome wzgórze ulicą wysadzaną po obu stronach wysokimi drzewami. Nikt jej nie odśnieżył i jezdnia była śliska. James wyobraził sobie, że zakopują się w zaspie i muszą pchać karetkę. Zwolnił. Jechał teraz bardzo powoli, mijając piękne domy.

Wreszcie dotarli do skrzynki na listy opatrzonej numerem sześćdziesiąt trzy.

- Cholera jasna - mruknął Maurice.

W oddali wznosiła się ceglana rezydencja, którą oddzielał od ulicy trawnik tak ogromny, że profesjonalna drużyna piłkarska mogłaby rozegrać na nim mecz. Podjazd miał chyba kilometr długości.

James zastanawiał się czasem, czy ludzie, przejeżdżając obok jego nędznego domku stojącego na ruchliwym rogu ulicy, myślą sobie: Kto, u diabła, tam mieszka? Takie

samo pytanie można było zadać i tutaj, tylko z innych powodów.

Zaparkowali przed domem i wysiedli. Wokół panowała cisza.

- Nawet pachnie ładniej - stwierdził Maurice.

James żałował, że nie mogą zostać na dworze. Wolałby nie wchodzić i nie dowiadywać się, jaka smutna niespodzianka czeka na nich za drzwiami. Sprawdzenie, czy wszystko jest w porządku, oznaczało zwykle, że ktoś zmarł, choć zdarzały się wyjątki. James niemal słyszał słodki głosik swojego syna: Pokój niesie ludziom wszem.

Zadzwonili raz, a potem drugi. Cisza. James przygotowywał się w duchu na konieczność wywarzenia drzwi, chociaż krzyż bolał go tak bardzo, że nie wiedział, czy da radę. Ale Maurice nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły.

W środku rezydencja wydawała się jeszcze większa. Bardziej przypominała muzeum niż czyjś dom. Stali w wielkim holu z wysokim sufitem - James widział taki tylko w kościele. Na ścianie wisiało wielkie lustro, a w kącie stał zegar, który zatrzymał się na wpół do dwunastej.

- Dzień dobry! - zawołali. - Evelyn? Evelyn, przyjechaliśmy pani pomóc!

Słowa wróciły do nich echem, nie usłyszeli żadnej odpowiedzi. Ruszyli szybkim krokiem poprzez pokoje, wciąż wołając właścicielkę. James zapalił lampę w jadalni wielkości całego piętra w jego domu. Panował w niej nieskazitelny porządek, a ogromny stół i kryształowy żyrandol przywodziły na myśl wnętrza z serialu Dynastia. Na jednej ścianie wisiał obraz z dwoma psami w żaglówce. Na drugiej - bardziej formalne malowidło w złożonych ramach przedstawiające statek. Wszystko pokrywała warstwa kurzu, jakby od lat nikt tu nie wchodził. James przesunął palcem po stole, rysując na nim równą, prostą kreskę. Przeszedł do kuchni, gdzie na blacie psuła się wiązka brązowych bananów. Słodkomdlący odór zmusił go do zatkania nosa.

- Evelyn? - zapytał, chociaż widział, że jej tu nie ma.

Wszedł do gabinetu. Obok drzwi wisiał oprawiony w ramki dyplom z Uniwersytetu Harvarda. James zastanowił się, co dalej.

Mimo wszystko liczył na jakieś cudowne, nieprawdopodobne wyjaśnienie, rodzaj szczęśliwego zakończenia, o którym będzie mógł opowiedzieć synom przed zaśnięciem. Evelyn Pearsall, która spędzała w tym roku samotne święta, postanowiła polecieć na Hawaje i po raz pierwszy w życiu spróbować nurkowania z maską! Evelyn Pearsall lubiła czasem zamknąć się na strychu z walkmanem i taśmą Rolling Stonesów, by na parę dni zapomnieć o całym świecie... Synowa Evelyn Pearsall nie miała pojęcia, że starsza pani ma na Newbury Street dwudziestoczworoletniego chłopaka i z nim właśnie postanowiła spędzić święta.

Jednak w tej samej chwili rozległ się okrzyk Maurice'a:

- Znalazłem ją!

James przeszedł do salonu, a tam na podłodze leżała nieprzytomna staruszka. Miała

na sobie bawełnianą nocną koszulę w kwiatki, podobną do tych, które nosiła jego matka. Pewnie mieszkała tylko w tym jednym pokoju. Na kanapie leżały starannie złożone ubrania, a na stoliku obok - gazety i mnóstwo świątecznych pocztówek. Na skrzyni stały rodzinne fotografie w ramkach. Na końcu stołu w otwartej szkatułce połyskiwała wrzucona byle jak biżuteria. Były tam też plastikowy kubek na protezę, wytarta szczoteczka do zębów, butelka balsamu i stos książek w twardych okładkach. James już nieraz to widział: starsze panie zajmujące tylko pokój lub dwa w wielkim domu. Czasem bały się wchodzić po schodach, częściej jednak wołały, by otoczenie nie przypominało im o zmarłym mężu. Nie chciały spać samotnie w dużym łóżku ani otwierać szafy i patrzeć na wiszące w niej garnitury. James pomyślał o drzwiach, które zastali otwarte. Evelyn była tu zupełnie sama i bezbronna.

- Chyba nie żyje - powiedział Maurice. - Spójrz na kolor skóry. Wspaniały początek świąt, nie ma co.

James przykucnął i wziął kobietę za rękę. Była zimna. Wydało mu się jednak, że wyczuwa słaby puls.

Wiedział, że ta kobieta nie ma nic wspólnego z jego mamą. Pewnie była nadętą bogaczką, która nawet nie dostrzegłaby Mary McKeen. Lecz przecież są święta Bożego Narodzenia, ona jest czyjąś matką i została sama. James chciał ją uratować. Żałował, że nie może zabrać ze sobą do domu wszystkich spotkanych dzisiaj zagubionych dusz. Wyobraził sobie, jak przyprowadza je do teściów na świąteczny obiad: „Hej, kochani, poznajcie całą bandę - to stuknięty bezdomny rasista, żona faceta zmarłego na wylew, nierozumiejąca ani słowa po angielsku, Hinduska studiująca na Harvardzie, która pewnie za dziesięć lat kupi nas wszystkich, i rodzice zmarłego Liama Stone'a. Oraz ostatnia, ale nie mniej ważna, Evelyn”.

- Spróbujmy - poprosił. - Pojadę z nią z tyłu.

Położyli staruszkę na noszach i wynieśli na dwór. Maurice wyjechał na drogę i jednocześnie zadzwonił do lekarza, ale zanim ktoś zdążył odebrać, James włączył kardiomonitor. Evelyn oddychała tylko cztery razy na minutę, a serce biło dwadzieścia razy na minutę. Prawdopodobnie właśnie zegnała się ze światem.

James założył wenflon. Próbował podawać cukier i narcen, by się ocknęła, ale bez skutku. Usiłował wprowadzić jej do gardła rurkę intubacyjną. W końcu za szóstym razem mu się udało i zaczął oddychać za nią. Poczł przyptyw nadziei, choć wiedział, że taka ilość podanych środków i zabiegi to pewnie więcej, niż jej ciało może znieść. Pozostała już tylko modlitwa. Zmówił Zdrowaś Mario, tak jak zrobiłaby jego matka, i patrzył, jak na monitorze puls Evelyn Pearsall spada do dziesięciu na minutę, a potem linia robi się płaska.

Gdy wiedział już na pewno, że umarła, zaczął płakać. Cicho, tak by Maurice go nie słyszał. Zawiódł ją. Jest nędzną namiastką ratownika.

- Nie żyje - powiedział w końcu.

Słyszał, jak jego partner mówi do dyspozytorki:

- Mamy nagły zgon.

Znów wrócił myślami do jej domu: pięknych mebli i szkatułki pełnej klejnotów. Wszystko odziedziczy niewdzięczna synowa, kobieta, która zostawiła staruszkę samą na święta.

Pomyślał o swojej żonie. Opiekowała się jego matką jak swoją własną. Zasługiwała na wszystko, co najlepsze, i zwykle gówno z tego miała. Dlaczego życie jest takie niesprawiedliwe? Wiedział, że to głupie, dziecinne pytanie, ale doprawdy, dlaczego jedni muszą walczyć o każdy drobiazg, a innym wszystko przychodzi łatwo?

Usiadł wygodniej, starając się opanować, i po raz pierwszy zwrócił uwagę na pierścionek Evelyn. Zdobiły go dwa wielkie brylanty, cztery razy większe od tego, który kupił Sheili. Naokoło było mnóstwo mniejszych kamieni, na wypadek gdyby dwa giganty nie robiły wystarczająco dużego wrażenia. Wiedział, ile zapłacił za swój pierścionek. Za ten dostałby pewnie dziesięć razy tyle. Wystarczyłoby aż nadto na naprawę sufitu i nową kuchenkę.

Kiedyś, przy jakiejś okazji, Jamesowi przyszło do głowy, że bardzo łatwo mógłby okradać pacjentów, i na samą myśl o tym zrobiło mu się niedobrze. Wciąż tak uważał, ale dzisiaj wewnętrzny protest był dużo słabszy. Czy ktoś dbał o niego, kiedy starał się postępować uczciwie wobec wszystkich? Jakiś gówniarz okradł mu żonę. Mac Kelly wystawił go do wiatru. Po co właściwie tak się starał?

Przez resztę życia miał rozmyślać o tym, co się wtedy wydarzyło. Czuł, że jakaś fundamentalna część jego istoty odeszła w nicość, kiedy sięgnął i zdjął pierścionek z palca pacjentki. W karetce było zimno, więc zsunął się bez problemu. James sądził, że gdyby wszystko odbywało się w lecie i pojawił się choćby cień oporu, nigdy by się na to nie zdobył.

W oddali widać już było neon błyszczący nad izbą przyjęć.

Jamesowi waliło serce, po twarzy spływał pot. Gdy wjeżdżali na parking, wsunął pierścionek do kieszeni.

Popatrzył na ogołoconą rękę kobiety, na której żyły i zmarszczki tworzyły coś w rodzaju mapy. Na serdecznym palcu, w miejscu, gdzie był pierścionek, pozostał przeraźliwie biały skrawek skóry.

*Diamenty są wieczne.*

*Mary Frances Gerety, 1947*

# 1988

Wieczorna gala zapowiadała się wspaniale. Impreza na dwieście osób w sali balowej prywatnego londyńskiego klubu, a w programie obiad i tańce oraz przemowy wszystkich grubych ryb z De Beers. Frances przed przyjazdem do Londynu nigdy wcześniej nie spotkała się ani nie zamieniła słowa z żadnym z tych dostojników, chociaż pracowała dla koncernu przez kilkadziesiąt lat. Byli dokładnie tacy, jak się spodziewała: uprzejmi i dystyngowani, choć zachowujący lekki dystans, oraz nieziemsko bogaci. Tydzień minął w mgnieniu oka. Spotkała wielu nowych, nieznanych jej dotąd pracowników agencji, a także kilkoro znakomitości z dawnych lat, w tym Warnera Shelly'ego niemal zupełnie już niewidomego. Była z nim - podobnie jak z Frances - osoba towarzysząca, która każdego wieczoru odprowadzała go do pokoju i pilnowała, by trafił kluczem do dziurki.

Niewątpliwie wszyscy oni, podobnie jak sama agencja, pamiętali lepsze czasy. Poprzedniego wieczoru podczas obiadu Frances usłyszała, jak dwudziestoparoletni członek kierownictwa Ayer poinformował swoją towarzyszkę, że „pan Young i pan Rubicam kiedyś u nas pracowali”\*.

\* Young & Rubicam - znana amerykańska agencja reklamowa założona w 1923 r.

Na dziewczynie nie zrobiło to większego wrażenia. Teraz Frances siedziała na brzegu łóżka w wytwornym apartamencie hotelu Dorchester i paliła papierosa. Upiła łyk martini.

Przed dziesięcioma minutami zamówiła drinka do pokoju. Przyniósł go na srebrnej tacy przystojny Brytyjczyk w nienagannym smokingu. Wyglądało to dekadensko i niewiarygodnie głupio, ale Lou Hagopian nalegał, żeby niczego sobie nie żałowała, a Frances była w wieku, kiedy wreszcie była w stanie zaakceptować taki nakaz. Jutro czeka ją przykre przebudzenie. Wróci do Pensylwanii, do mrocznych pokoiw swojego domu, do psa, który pewnie zachodzi w głowę, co się z nią stało. Nigdy dotąd nie zostawiła go nawet na jedną noc.

- Chcemy, żebyś czuła się jak Kopciuszek - oznajmił przez telefon Hagopian, kiedy zgodziła się pojechać do Londynu.

Bardzo stary i pomarszczony Kopciuszek, bez szans na spotkanie Księcia z Bajki, pomyślała Frances, ale odpowiedziała tylko: „Dziękuję”.

Mimo zdenerwowania parsknęła śmiechem. Gdyby ktoś zapytał ją przed dwoma miesiącami o wielkie przygody jej życia, odpowiedziałyby, że wszystkie należą już do przeszłości. A oto mieszka tu sobie jak królowa, dali jej na tydzień limuzynę z szoferem. Codziennie chodzi na lunche i wieczorne przyjęcia, a czas między nimi wypełniają zwiedzanie i zakupy.

Żałowała, że ojciec nie może tego zobaczyć. Byłby taki dumny. I jej stara kumpelka z pracy, Dorothy Dignam - cóż to by było, gdyby przyjechały tu razem! Dorothy zmarła



przed niespełna rokiem. W nekrologu napisano, że miała dziewięćdziesiąt dwa lata. Jej wiek, podobnie jak w przypadku wielu kobiet, wszyscy poznali dopiero w dniu śmierci.

Frances myślała o przyjaciółce podczas zwiedzania głównej siedziby De Beers.

- Proszę spojrzeć w górę - powiedział jeden z chłopców z działu PR, gdy stanęli przed budynkiem.

Frances nawet w okularach niewiele widziała, ale zdołała dojrzeć słowa wyryte w kamieniu tuż nad ogromnymi drzwiami: DIAMENTY SĄ WIECZNE.

- Musi być pani bardzo dumna - powiedział młodzieniec. - Uważa się, że to jeden z najbardziej udanych sloganów w historii reklamy.

- Wiem - odparła. -1 bardzo się z tego cieszę.

Przez cały tydzień bez końca powtarzano Frances ten komplement i wciąż nie zdołała wymyślić lepszej odpowiedzi. Odkąd przyjechała do Londynu, ludzie z De Beers zapewniali, że jej praca bardzo wiele dla nich znaczyła. Wszystkie te honory sprawiały jej ogromną przyjemność, zwłaszcza na tym etapie życia, ale chwilami czuła się jak oszustka. Początkowo slogan nie miał aż takiego znaczenia. Podobał się, ale nikt z jego powodu nie szalał z radości. Musieli po prostu jakoś podpisywać reklamy. Frances zadrzała na myśl, co by się stało, gdyby klient zażądał wtedy naprawdę wyjątkowego sloganu - każdy copywriter w agencji przedstawiłby setki pomysłów, a w końcu odbiorcy i tak odrzuciliby najlepszy, podobnie jak to się stało z modelem Forda Edsel.

Zaplanowano, że pod koniec imprezy nastąpi pokaz krótkiego filmu prezentującego sukcesy kampanii reklamowych Ayer, a potem Frances wygłosi przemówienie. Mary Frances Gerety będzie miała ostatnie słowo. Przynajmniej dziś wieczorem.

Do obiadu zostały dwie godziny. Frances rozpaczliwie pragnęła się zdrzemnąć, ale wciąż jeszcze nie wymyśliła, co powie zebranych. W domu kilka razy siadała, by napisać przemówienie, ale zawsze coś odwracało jej uwagę. Ktoś zadzwonił do drzwi albo pokazywali coś ciekawego w wiadomościach, a ona zapomniała o De Beers. Oczywiście zawsze pracowała w ten sposób. Była najbardziej twórcza, gdy czekała do ostatniej chwili - mieszanka przymusu i strachu dobrze jej robiła.

Może właśnie od tego zacznie. Powie, że gdyby w życiu nie odkładała wszystkiego na później, nie mieliby dzisiaj czego świętować.

Wstała. Od chodzenia bolało ją całe ciało. Zwiedzali Tower, Oxford Street, British Museum, katedrę Świętego Pawła i Pałac Westminsterski. Wczoraj pojechali pociągiem do Bath, którego najsławniejszą i najbardziej uwielbianą mieszkanką była Jane Austen, choć Frances miała wrażenie, że pisarka mieszkała tam tylko przez trzy minuty.

Przez całe życie uprawiała sport. Kiedy włączyli się po Londynie, ambicja nie pozwoliła jej przyznać, że ostatnimi czasy rzadko chodzi piechotą dalej niż na koniec podjazdu. I oto skutki. A dziś w dodatku będzie musiała wcisnąć stopy w pantofle na

wysokich obcasach. Istne narzędzia tortur. Frances nie pojmowała, jakim cudem kobiety mogą pracować, mając je na nogach. Ona nie mogłaby zebrać myśli, stojąc na czubkach palców.

Przypomniała sobie młodą Marilyn Monroe przepowiadającą, że taki właśnie los czeka starych pryków. Marilyn, której nigdy nie dane było się zestarzeć. Czy raczej nigdy nie musiała, zależy od punktu widzenia.

Przeszła do żółtego saloniku, śpiewając na cały głos: Płynie czas i niszczy nas, a w kościach już łamie ciut, ciut... Na wiek starszej pani najlepszy jest Tiffany! Nie majak diamentów blask!

Klapnęła na fotel stojący przed mahoniowym biurkiem i spojrzała przez okno na zielone wierzchołki drzew w Hyde Parku. Oparła policzek na dłoni, a łokieć na blacie, w pozycji, którą przyjmowała tysiące razy w sytuacjach, gdy miała pilne zlecenie.

Rzadko się zdarza, żeby podczas kampanii reklamowej stworzono, tak jak wtedy dla De Beers, potrzebę, która przedtem nie istniała. Frances zanotowała tę myśl. Pisząc tekst reklamy, zwykle podkreślano, że oto pojawiła się jakaś fascynująca nowość. W tym przypadku było odwrotnie: nie tylko mieli uświadomić zwykłym kobietom i mężczyznom - zwłaszcza tym ostatnim! - iż diamenty są niezbędnym ślubnym rekwizytem, lecz także wmówić im, że tak było zawsze. Kiedyś diamenty nosiły wyłącznie kobiety bogate. Dzisiaj - wszystkie.

Wiele lat później podobny skutek odniósł slogan: Zamiejskowa - jakbyś byt tuż obok\*. Po kampanii reklamowej zyski AT&T ogromnie wzrosły. Wcześniej nikt nie prowadził rozmów zamiejskowych, bo były zbyt drogie. Ale reklamy w prasie chwyciły ludzi za serce, a telewizyjne spoty ze sloganem Połącz się z kimś\*\* zdobyły dla AT&T rzesze odbiorców dzięki ckliwej melancholijnej muzyce i filmom pokazującym dzieci rozmawiające z dziadkami mieszkającymi pięć tysięcy kilometrów od nich, kochanków zapewniających, jak bardzo za sobą tęsknią i żołnierza dzwoniącego z frontu do domu.

Kolejnym takim sloganem było: Bądź wszystkim, czym możesz być\*\*\*. Agencja Ayer zachęcała ochotników, by zaciągali się do wojska, sugerując przy tym, że to amerykańska tradycja.

Zdaniem Frances, jeśli chodzi o wymyślanie rzeczy, bez której rzekomo nie można się obejść, kampania dla De Beers \* Long distance is the next best thing to being there. ?

\*\* Reach out and touch someone.

\*\*\* Be all you can be.

była jeszcze skuteczniejsza niż tamte. Oczywiście brzmiało to jak przechwałki. Przekreśliła wszystko, co napisała. Może powinna najpierw się ubrać.

Postanowiła włożyć niebieską taftową suknię z długą szeroką spódnicą i ozdobiony pajetkami szal. Wisiały na drzwiach łazienki. Frances weszła do środka i pogładziła materiał. Co wieczór, wkładając inną suknię, myślała o kobiecie, do której ona należała, i wyobrażała sobie, że przyjaciółka stoi obok niej. Suknię Meg zachowała na

dzisiejszą uroczystość.

Przed śmiercią Hama Meg mawiała, że któregoś dnia wybiorą się z mężem w wielką podróż po Europie. Potem wszyscy zachęcali ją, żeby pojechała sama, ale taki wyczyn nie był w stylu Meg.

Frances uniosła szklankę w stronę sukni.

- Twoje zdrowie, kochanie - powiedziała i dopiła drinka.

Pomyślała, że równie dobrze może zamówić sobie następnego.

Wydawało się, że minęły zaledwie sekundy, lecz oto wybiła dziewiętnasta i Frances prywatną limuzyną pomknęła do klubu. Na tylnym siedzeniu miała, ni mniej, ni więcej, tylko telefon i szampana w kubelku z lodem. Była lekko pijana i czuła gwałtowną potrzebę, by do kogoś zadzwonić. Ale do kogo?

Położyła dłonie na kolanach i splotła palce, jakby im nie ufała.

Po przyjeździe do klubu Richard, szofer, pobiegł otworzyć jej drzwi limuzyny. Wysiadając, musiała ciężko oprzeć się na jego ramieniu. Była stara, niezdarna, a jednak dzisiaj czuła się jak gwiazda. Przywitała odźwiernych, którzy skłonili się bez słowa. Może nie wolno im się odzywać, tak jak gwardzistom pełniącym wartę przed pałacem Buckingham?

Sala jadalna wyglądała wspaniale, z kryształowymi żyrandolami i bukietami białych storczyków i róż na każdym stole. Sceneria niczym podczas wręczania Oscarów.

Frances odnalazła swoje miejsce przy stoliku zajmowanym przez Warnera i kilku innych pracowników Ayer. Starła się rozkoszować koktajlami, kurczakiem i puddingiem Yorkshire, ale myślała tylko o tym, że niedługo stanie na scenie. Wciąż nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Zebrani nie wiedzieli, że będzie przemawiała. Tajemnicę znali tylko ona, Hagopian i kilka innych osób. Lou Hagopian podczas wystąpień przypominał Tony'ego Bennetta - uwielbiał blask reflektorów i mówił tak gładko, jakby wszystko miał wcześniej napisane. Gdyby tylko autor jego tekstów wyświadczył i jej tę przysługę.

Po deserze, zgodnie z planem, dziewczyna z działu PR odszukała w tłumie Frances i zaprowadziła ją za kulisy.

Wygłoszono wiele pięknych przemówień. Sam prezes De Beers złożył Frances hołd! Była naprawdę wzruszona.

Potem pokazano film nakręcony przez Boba i Deanne Dunningów, małżeństwo, które w latach siedemdziesiątych odeszło z Ayer i założyło własną firmę.

Rozpoczął się od sceny z Casablanki, w której Ingrid Bergman mówi: Zagraj to, Sam.

Potem słyhać było piosenkę As Time Goes By, a na ekranie migały dziesiątki reklam, do których teksty napisała Frances.

Głos w tle oznajmił: „Związek agencji Ayer i De Beers rozpoczął się w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku od listu wysłanego z hotelu Victoria w

Johannesburgu w Związku Południowej Afryki".

Potem opowiedziano od początku do końca całą historię: wspomniano o badaniach rynku, które robili w latach trzydziestych, o katastrofie samolotu podczas pierwszej podróży Gerry'ego Laucka do Afryki Południowej. O wszystkich sukcesach, które odnosili w kolejnych dekadach. Na koniec pokazano historyjkę stworzoną przez najnowszy zespół kreatywny, reklamę De Beers w formie teledysku. Długowłosi rockmani wyglądali ponuro i groźnie, ale po występie wokalista oświadczał się dziewczynie i ofiarowywał jej pierścionek z diamentem.

Po piosence miała przemawiać Prances.

Nigdy w życiu nie była tak zdenerwowana. W uszach słyszała łomot własnego serca. Przez chwilę wyobraziła sobie najgorsze: wychodzi na scenę i pada martwa. Jedyne szansa na to, by wszyscy ją poznali, przepada.

Starła się opanować. Powtarzała sobie, że zawsze najlepiej pracowało jej się w stresie.

Kurtyna się rozsunęła i Prances nie miała innego wyjścia - musiała wkroczyć na scenę.

Kiedy zebrani zobaczyli, że idzie w stronę podium, a na ekranie pojawiło się jej nazwisko, wstali. Przez salę przetoczyła się fala oklasków, a Frances wykrztusiła pierwsze z wielu słów, które miała powiedzieć tego wieczoru:

- Dziękuję.

# Część piąta

# 1972

Po wyjściu gości Evelyn położyła się do łóżka. Leżała w nim już od pół godziny. Czytała kiedyś, że Edith Wharton pisała swoje powieści pod kołdrą, obłożona psami. Evelyn taki sposób spędzania czasu tylko przygnębiał. Łóżko służyło jej do spania, chorowania i niekiedy do przeżywania smutków. Nie potrafiła określić, ile czasu upłynie, zanim znów zobaczy syna. Wiedziała już, że Teddy zdecydował się na rozwód, i gdy wyobrażała sobie, jakie będą tego skutki, pragnęła zapaść w głęboki sen. Julie wyjedzie i zabierze ze sobą dziewczynki. W święta ona i Gerald będą samotnie jedli obiad przy długim stole jadalnym, za którym zmieściłoby się szesnaście osób. Jej wnuczki będą dorastały bez ojca. Dziadkowie mogą wysłać za Teddy'ego pieniądze, ale żadna kwota nie zastąpi jego obecności.

Gdy usłyszała kroki wchodzącego po schodach Geralda, wstrzymała oddech. Zaraz po wyjściu Teddy'ego minęła męża i poszła prosto do sypialni. Było to dla niej tak nietypowe, że Gerald się roześmiał. Popełnił przez to poważny błąd, z którego zdał sobie sprawę, dopiero gdy ich oczy się spotkały i zobaczył minę żony. Teraz, po półgodzinie, Evelyn wstydziła się swojego zachowania. Prawdę mówiąc, było zbyt teatralne. Ale naprawdę rozgniewała się na męża. Był to jeden z kilku momentów w życiu, na pewno najpoważniejszy, kiedy ich reakcje tak bardzo się różniły. Gdyby tylko nie namówił jej, żeby zaprosili Teddy'ego na lunch. Gdyby poleciał na Florydę zaraz po tym, jak Teddy poznał Nicole. Gdyby, gdyby, gdyby... Gerald wszedł do sypialni.

- Zrobiłem ci herbatę - powiedział, stawiając kubek na nocnym stoliku.

Nie pamiętała, by wcześniej mu się to zdarzało, nie licząc sytuacji, kiedy miała gripę.

- Dziękuję.

- Pewnie wciąż jesteś na mnie zła - stwierdził.

- Tak.

Czuła się jak aktorka grająca w jakiejś sztuce. Przez czterdzieści lat nie nauczyli się ze sobą kłócić. Kiepsko im to wychodziło.

- Powtórzę to jeszcze tylko jeden raz i postaram się mówić najbardziej zrozumiale, jak umiem. Chyba nigdy nie zdołam pojąć, dlaczego nie próbowałaś namówić Teddy'ego, by zmienił zdanie, kiedy jeszcze była na to szansa.

- Bo to nie moja rola, Evie.

- Ale dlaczego?

- Nikt nie ma prawa oceniać czyjejś miłości.

Evelyn wydawało się, że rozmawia z obcym człowiekiem.

- Zlituj się! To wspaniała postawa podczas abstrakcyjnych rozważań, ale mówimy o naszym synu. Geraldzie, przecież wiesz, że on nie ma racji. Dlaczego mu tego nie powiedziałaś?

Pokręcił głową,

- Powiedzmy, że mam swoje powody.

- Chciałabym je poznać.

- Nigdy ci tego nie mówiłem, bo nie chciałem cię martwić - zaczął, a Evelyn poczuła, że brakuje jej tchu. Chyba nie zniesie kolejnych tajemnic. - O czym ty mówisz?

- Moi rodzice byli bardzo przeciwni naszemu małżeństwu.

Chociaż teściowie nie żyli od ponad dwudziestu lat, zrobiło jej się przykro w imieniu młodej Evelyn.

- Nie lubili mnie? - zapytała i aż się uśmiechnęła, tak dziecinnie to zabrzmiało.

- Uwielbiali. Uważali, że jesteś wspaniała. Zresztą wszyscy byli tego zdania. Jednak nie chcieli, żebyśmy się pobrali, bo według nich to było nie w porządku. Sądzi, że nie mogłaś mnie kochać. Próbowalaś udawać, iż Nathaniel żyje, a ja robiłem to samo.

- Ale to przecież nieprawda.

- Z czasem oni także to zrozumieli. Przynajmniej taką mam nadzieję. I o to właśnie mi chodzi. Nikt nie wie, co tak naprawdę dzieje się wewnątrz małżeństwa. To są dziwne sprawy.

- Nie możesz porównywać tego, co zrobił Teddy, z naszą decyzją.

- Dlaczego nie? Ożeniłem się z dziewczyną najlepszego przyjaciela. Według kodeksu moralnego większości ludzi trudno zrobić coś gorszego.

Te słowa ją zaskoczyły. Choć początki jej związku z Geraldem rzeczywiście były dziwne, potem tworzyli najzwyczajniejsze małżeństwo pod słońcem. Może sposób, w jaki się poznali, wciąż był najciekawszym momentem ich znajomości, ale wszystko działo się tak dawno. Od tamtej pory Gerald walczył na wojnie, wrócił cało do domu, zdobył wysoką pozycję w swojej firmie, Evelyn wykształciła setki uczniów, na świat przyszedł ich syn i obie wnuczki.

Od czasu do czasu wyobrażała sobie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby Nathaniel nie umarł. Byliby razem szczęśliwi. Może borykaliby się z problemami finansowymi, którymi ona i mąż nigdy nie musieli się martwić. Rozmawialiby o książkach i rzadziej oglądaliby telewizję. Może Evelyn miałyby więcej dzieci, choć sama nie była pewna, od czego to właściwie zależy, czy o wszystkim decyduje fizjologia matki, ojca, czy też opatrność Boża.

Lecz rozmyślając o tym, widziała też swojego Geralda - samotnego lub będącego mężem niewłaściwej kobiety, takiej, która nie dostrzega, jaki jest naprawdę. I wtedy kończyły się rojenia, bo Evelyn po prostu nie mogła sobie wyobrazić, że jedno z nich istnieje bez drugiego.

- Serce mi pęka na myśl, że dręczyłeś się tym przez tyle lat - powiedziała. - Kochanie, przecież musisz wiedzieć, że nie zrobiłeś nic złego.

- Z jednej strony masz rację. Ale z drugiej czasem zastanawiam się, co powie Nathaniel, gdy spotkamy się po tamtej stronie. Czy będzie zły? Czy przez całą wieczność będzie żywił do nas urazę?

- Nie wydaje mi się, żeby po tamtej stronie były urazy - powiedziała Evelyn.
- Może i nie.
- Więc co zrobimy z Teddym?
- Zadajemy sobie to pytanie od trzydziestu lat. Teddy jest po czterdziestce. Chyba niewiele możemy już zrobić.
- Ale jesteśmy jego rodzicami. Gerald milczał.
- Ta kobieta, Nicole... Nie mogłam znieść sposobu, w jaki oglądała nasz dom. Zupełnie jakby czekała, aż umrzemy i wszystko będzie jej. Jest okropna. Gerald wciąż nic nie mówił.
- I pospolita - dodała Evelyn.
- Zupełnie jak Teddy-powiedział Gerald.
- Evelyn się roześmiała. Mąż zawsze umiał ją rozśmieszyć, nawet gdy wydawało się to niemożliwe.
- Założę się, że ich związek nie przetrwa nawet roku - stwierdził.
- Zresztą przecież nie o nią tu chodzi. Cokolwiek stanie się za rok, i tak będzie już za późno. Nie mogę się rozstać z dziewczynkami - powiedziała Evelyn. - A jeśli Julie naprawdę je zabierze? Co wtedy?
- Będziesz pisała listy. Zaczniemy je odwiedzać i one będą do nas przyjeżdżały. Jesteś ich babcią. Bez względu na to, co robi Teddy, nic nie może tego zmienić.
- Evelyn zastanawiała się, czy Gerald ma rację. Miała nadzieję, że tak.
- Zobaczysz, wszystko się ułoży. Może wybralibyśmy się jutro do Cape? - zaproponował. - Wiem, jak lubisz ocean jesienią. Co ty na to?
- Niech będzie - odparła słabym głosem. Nie potrafiła się tym cieszyć, ale była wdzięczna, że mąż jest przy niej i próbuje ją rozweselić. To też się liczy.
- Głowa do góry, mała. - Gerald wyciągnął rękę, a ona ją chwyciła. - Chodź, Evie, przejdźmy się, zanim zrobi się ciemno.



## 2003

Droga na lotnisko JFK zawsze wyglądała inaczej. Podczas roku spędzonego z E. J. Delphine jechała tam taksówką pięciokrotnie i za każdym razem przez kilka minut zastanawiała się, czy czasem nie zostali porwani. Żadne z nich nigdy nie potrafiło określić, gdzie akurat są. Dziś było tak samo. Taksówką kierował Afrykanin. Miał otwarte okna i wyłączoną klimatyzację. Rozmawiał przez telefon w jakimś obcym języku, wrzeszcząc na osobę na drugim końcu linii.

Komórka Delphine rozbłysła. Dzwonił P. J. Postanowiła go zignorować.

- Jakie linie? - zapytał kierowca.

- Air France.

Kiedy Delphine dowiedziała się o zdradzie E. J., poszła prosto do hotelu. Nie mogła znieść myśli, że spędzi jeszcze jedną noc w jego mieszkaniu. Przez dwa tygodnie leżała w łóżku, nie jadła, z nikim nie rozmawiała i miała wrażenie, że rozpada się na kawałki. Choć była kobietą w średnim wieku, czuła się jak dziecko, zupełnie jakby w każdej chwili mogła wezwać ojca na ratunek.

Telefon znów zadzwonił. Nie odebrała.

Taksówka zwolniła, bo zapaliło się czerwone światło. Znajdowali się w jakiejś nieznanej Delphine egzotycznej dzielnicy, pełnej niskich kamienic. W niektórych, na parterach, w miejscu sklepów urządzono kaplice. Na ulicach dzieci chlapały się w wodzie tryskającej z odkręconych hydrantów przeciwpożarowych.

Komórka leżąca na kolanach Delphine znowu zawibrowała. Przyszedł SMS. Co zrobiłaś z moim mieszkaniem? GDZIE JEST CHARLIE, ty stuknięta dziwko?

Wyłączyła telefon i wsunęła go do bocznej kieszeni walizki.

Kilka minut później na lotnisku, mijając muzulmankę w chuście na głowie, uśmiechnęła się do niej. Pomyślała, że wielu Amerykanów pewnie nie znosi albo nie darzy zaufaniem tej kobiety. „Mnie też nie lubią, wystarczy, że otworzę usta”, to właśnie chciała jej powiedzieć.

Kupiła bilet w automacie i zajęła miejsce w kolejce do kontroli bezpieczeństwa. Większość pasażerów nosiła dresy lub luźne spodnie. Delphine wygładziła przód niebieskiej sukienki.

Mężczyzna w mundurze wrzeszczał:

- Proszę zdjąć buty, biżuterię i paski! Proszę zdjąć buty, biżuterię i paski!

Mówienie innym, co mają robić, chyba sprawiało mu ogromną satysfakcję.

Delphine zdjęła zegarek. Cofając dłoń, uświadomiła sobie z mdlącym uczuciem przerażenia, że pierścionek zniknął.

Wyszła z kolejki i wpatrując się w podłogę, tą samą drogą wróciła do drzwi. Nie znalazła pierścionka. Usiadła na ławce przed terminalem i rozpięła walizkę, choć wiedziała, że zguby w niej nie ma. Przeszukała całą, wreszcie wsunęła palce do

kieszonki, w której schowała telefon. Poczowała chłód metalu i zalała ją fala ulgi, ale okazało się, że to tylko cent.

W panice po raz drugi zaczęła oglądać podłogę. Uklękła przed automatem z biletami. Może pierścionka w ogóle nie ma na lotnisku? Może zgubiła go wcześniej?

Próbowała sobie przypomnieć, kiedy widziała go po raz ostatni. Chyba przed kilkoma godzinami. Czyżby wpadł do zsypu? Albo do kominka? Miała teraz tak szczupłe palce, że mógł się zsunąć praktycznie w każdej chwili. Zaczęła rozważać szalone scenariusze, w których podejrzana była każda osoba. Portier wydawał się przesadnie uprzejmy. Ojciec bliźniaków z Connecticut mógł być w rzeczywistości kieszonkowcem i zdjąć Delphine pierścionek z palca, podczas przekazywania smyczy Charliego.

- Zgubiłam pierścionek - powiedziała do kobiety, która właśnie naciskała guziki automatu, ale nawet nie odwróciła głowy.

Według Delphine sprawiedliwość wymagała, aby wszystkie niewinne osoby postronne wyszły z tej sytuacji z tym samym, co na początku do niej wniosły: Żydzi mieli zatrzymać skrzypce, a rodzina R J. pierścionek. A teraz ona go zgubiła i cudza własność przepadła. Delphine żał było matki R J., ale najbardziej ojca, który przed wielu laty oszczędzał, żeby kupić żonie diament.

Kilka tygodni wcześniej, podczas wizyty w Ohio, która przypieczętowała los jej związku, Delphine w ciągu dwóch dni dowiedziała się o E J. więcej niż podczas całego roku. Jego rodzice, James i Sheila, byli nawet mili, ale Delphine niewiele z nimi łączyło. Nie mieli w domu książek. Telewizor był włączony przez cały czas i tło każdej rozmowy stanowiły wypowiedzi konserwatywnych polityków i komentatorów sportowych. Pili za dużo sztucznych napojów gazowanych i jedli chipsy prosto z torby. Głosowali na George'a W. Busha.

Delphine nie chciała wyglądać na snobkę, ale w wystroju domu królowało bezguście: wszędzie, gdzie tylko się dało, stały jakieś bibeloty: porcelanowe figurki w kształcie żab, kwiatów, dzieci obsypanych śniegiem i oczywiście bassetów. Ściany ozdabiała namalowane szablonem szlaczki z tulipanów i baloników.

Sheila była wysoką tęgą kobietą, która najwyraźniej przestała już o sobie dbać. Sięgające do ramion brązowe włosy przetykały pasma siwizny przypominające żyłki tłuszczu w steku. Czesła się w kok spięty plastikową zapinką. W ciągu czternastu lat urodziła pięciu chłopców, mając nadzieję, że za którymś razem trafi się córka. Choć ten etap życia miała już za sobą, jej brzuch nie wrócił do dawnego stanu. Miała grube mięsiste przedramiona, a w domu nosiła workowate dzinsy i bluzę od dresu z logo Red Soxów. Sheila kiedyś musiała być bardzo ładna. Miała duże niebieskie oczy i ciepły uśmiech. Jednak pracowała czterdzieści godzin w tygodniu jako pielęgniarka i wciąż wychowywała trójkę dzieci w wieku dziesięciu, trzynastu i szesnastu lat, trzech hałaśliwych rozrabiaków. Frontowy ganek wypełniony był sprzętem hokejowym, śmierdziało tam potem i pleśnią.

. Mąż Sheili, James, był szczupły i o wiele niższy od P. J. Pracował w pogotowiu ratunkowym jako dyspozytor ratowników medycznych. Nie skończył studiów. Jak zresztą nikt w rodzinie poza E J. i jakimś wujem, którego wszyscy nie znosili.

W domu mieszkała także matka Jamesa, krucha kobieta po osiemdziesiątce. Przez większość weekendu siedziała samotnie na werandzie, oglądając w telewizji programy religijne.

- Jak się czuje babcia? - szepnął P J. do Sheili, patrząc na staruszkę przez otwarte drzwi.

- Jak zwykle. - Sheila wzruszyła ramionami. - Każdego ranka mówi, że zostało jej pół roku życia.

Delphine nie wiedziała, co ma na myśli. Brzmiało poważnie, ale Sheila się uśmiechała.

W piątkowy wieczór przed kolacją wszyscy zgromadzili się w salonie. Sheila wniosła tacę z małymi parówkami w cieście.

- Mam też w zamrażalniku minitarty, jeśli ktoś ma ochotę - oznajmiła. - Mogę je odgrzać w ciągu pięciu minut.

- Nie trzeba - odparł P J.

Salon przypominał sanktuarium poświęcone najstarszemu synowi. Na wielkim stole stały szklane kule, które przysyłał matce z całego świata. Ściany były pokryte oprawionymi plakatami - dowodami sukcesów EJ.: lista najlepiej sprzedających się płyt z muzyką poważną z czasów, gdy jego album zdobył pierwsze miejsce, plakat z występu w Dublinie z czerwonym nadrukiem: „Bilety wyprzedane” i recenzje z gazet z najbardziej pochlebnymi zdaniami zaznaczonymi jaskrawo-żółtym markerem. McKeen wy dobył z instrumentu wszystko, co w ludzkiej mocy. Grał mistrzowsko, cudownie, niezmiernie - „New York Times”. Dziś McKeen dał się poznać nie tylko jako wirtuoz skrzypiec, lecz także jako chór śpiewaków, począwszy od operowego sopranu, a na prowincjonalnym szansonie skończywszy. Wstrząsający talent - „Dallas Morning News”.

Sheila zadawała E J. dziesiątki pytań na temat pracy, które, jak zauważyła Delphine, wyraźnie go krępowały. James przez większość wieczoru był dziwnie milczący. Wydawało się, że także liczy na zmianę tematu.

EJ. opowiadał Delphine, że rodzice nie rozumieją, iż sława, którą tak chętnie się przechwalają, jest dla niego tylko pracą. Nie widzą już w nim swojego syna. Zmienił się z osoby w ideę. Stał się właściwie wykonanym zadaniem, obietnicą, wokół której zbudowali swój świat. Miał o to do nich żal.

Delphine zastanawiała się, czy wiedzą, ile syn zarabia. Był hojny - na święta dał Sheili kolczyki z szafirami, a Jamesowi telewizor z dużym ekranem. Chyba pomógł im też przy zakupie domu. EJ. wspominał kiedyś, że rodzice, jak wszyscy Amerykanie, mają straszne długi, lecz o ile wiedziała, nigdy nie próbował ich spłacić. Widać było, że jest ich radością i dumą. Drugi dorosły syn, Danny, był hydraulikiem i

mieszkał w Columbus. Zarabiał przyzwoicie, ale nie mógł się równać z E J. Zwracając się do niego, zawsze używali pełnego imienia: Parker. Zastąpił je inicjałami w szkole średniej, gdy podczas letniego obozu muzycznego dzieci szydziły, że ma pretensjonalne imię. „Gdzie twoja matka je usłyszała? W operze mydlanej?” - zapytał jakiś łobuz i na początku nowego roku szkolnego Parker zmienił się w EJ. Kiedy się poznali, Delphine podobał się ten skrót, ale z czasem zaczęła uważać, że jest dziecinny. Jej zdaniem powinien wrócić do Parkera. Czasem zastanawiała się, czy P J. nie za bardzo stara się czerpać profity ze swojej młodości. Za każdym razem, gdy pisano o nim w gazecie, dziennikarz podkreślał, że artysta ma „tylko dwadzieścia cztery lata”. Dwudziestoczterolatka trudno uważać za muzyczne cudowne dziecko. Ale pisano w ten sposób, gdy miał tylko siedemnaście, tylko osiemnaście, tylko dziewiętnaście lat. Kiedy osiągnie wiek, w którym talent będzie musiał bronić się sam?

Dawniej Delphine ujmowała naiwność i uczciwość P. J. odbijające się w jego muzyce. Teraz jednak uważała, że nie jest tak utalentowany, jak wszyscy twierdzili. Ani tak naiwny. Wszystko, co robił, było wykalkulowane - począwszy od koncertów na cele dobroczynne dawanych tylko wtedy, gdy miał gwarancję, że napisze o nich prasa, a na murze, jaki zbudował między sobą a rodziną, skończywszy.

James i Sheila mieszkali w domu stojącym na przedmieściach Cleveland. Na rozległej działce przesadnie dużo miejsca zajmował basen. Dom był spory, ale zbyt mały dla sześciu osób. Miał tylko cztery sypialnie. Delphine i E J. spali na rozkładanej kanapie w salonie.

- Więc jak się żyje we Francji? - zapytał James przy obiedzie.

Czy mogła zmieścić odpowiedź w jednym słowie lub zdaniu? Co by powiedział, gdyby spytała, jak się żyje w Ameryce?

- Naprawdę wszyscy tam szaleją za Jerrym Lewisem?

- dopytywał się James.

- Daj spokój, tato - rzucił niedbale E J., który wydawał się lekko skrepowany. - Chyba wiesz, że to tylko głupi stereotyp, prawda?

- Żartowałem - powiedział James.

- Nic nie szkodzi - odparła Delphine. - Ja wiedzę o Ameryce czerpałam głównie z telewizyjnego serialu Kocham Lucy.

Wszyscy się roześmieli i atmosfera nieco się rozluźniła.

- Ten pierścionek bardzo ładnie wygląda na twojej ręce - zauważyła matka EJ. - Masz takie długie, szczupłe palce.

Zażenowana Delphine spojrzała na swoją dłoń. To był przecież pierścionek Sheili.

- Czy też ciągle nim o coś zaczepiasz? - zapytała Sheila.

- Właśnie dlatego przestałam go nosić.

- Tak! - odparła Delphine. - Jestem lewopisząca, więc często używam tej ręki.

- Mówimy leworęczna - poprawił ją E J.

James uśmiechnął się i pokręcił głową, jakby była uroczym, lecz głupiutkim dzieckiem.

- Lewopisząca - powtórzył.

Wszyscy dużo pili. Wino było podłe, ale Delphine wychyliła cały kieliszek, jakby nigdy nie próbowała niczego lepszego.

Sheila zaczęła zbierać talerze i EJ. wstał, żeby jej pomóc. Delphine nie wiedziała, czy powinna się przyłączyć, więc również podniosła się z miejsca.

- Jesteś gościem! Siadaj! - wykrzyknęła Sheila. Zrobiła, co jej kazano, zastanawiając się, czego naprawdę od niej oczekują, i patrzyła, jak wynoszą naczynia do kuchni. Amerykanie często mówili jedno, a chcieli czego innego.

James powiedział, że jego pies Frank przez cały tydzień był bardzo ospały.

- Nawet jak na basseta. - Roześmiał się. - Chyba będę musiał jutro zabrać go do weterynarza.

Delphine pokiwała głową, lecz tak naprawdę nasłuchiwała, co się dzieje w kuchni. EJ. z matką rozmawiali z ożywieniem, ale nie mogła rozróżnić słów. Nagle podnieśli głos tak, że dotarli do niej słowa Sheili: „Dałam ci ten pierścionek dla Sharon, a nie dla jakiejś cudzoziemki, którą znasz od pięciu minut. Co będzie, jeśli wróci do męża i wywiezie pierścionek z kraju?”.

- Dałaś mi go dla kobiety, z którą będę chciał się ożenić, czyli dla Delphine - powiedział E J. -1 właściwie dlaczego jesteś taka niezadowolona? Nigdy nie lubiłaś tego pierścionka.

- Nie o to chodzi.

- No to o co?

- O to, że ona ma męża - syknęła matka. - Nie chcę, żebyś spędził resztę życia ze świadomością, że rozbiłeś małżeństwo. Jeszcze dzieciak z ciebie. Nie rozumiesz, co to znaczy.

Fo chwili wyszła przez wahadłowe drzwi i z szerokim uśmiechem poczęstowała Delphine kawałkiem tortu lodowego.

- Dlaczego powiedziałaś matce, że jestem mężatką? - zapytała Delphine EJ., kiedy wieczorem położyli się do łóżka.

- Nie wiem. Dlatego że byłaś. Albo jesteś. Głupio sądziłem, że nie będzie miała z tym problemu.

- Nigdy nie mówiłaś, że matka dała ci ten pierścionek dla kogoś innego.

- I co z tego? Ja dałem go tobie.

- Dlaczego sama go nie nosi? Nie rozumiem.

- Ojciec podarował jej ten pierścionek, bo chciał w ten sposób coś sobie udowodnić. Matka zawsze uważała, że postąpił niemądrze. Wydał mnóstwo pieniędzy w czasach, gdy prawie nic nie mieli. Żeby go kupić, sprzedał swój stary samochód. Matka nosiła pierścionek, bo myślała, że ojcu to pomoże, że będzie czuł się bardziej męski. Kiedy byli młodzi, ofiarował jej tani pierścionek z płaskim oczkiem, który mogła nosić

podczas pracy w szpitalu. Kochała tamten, nie ten. Ten pasuje do zupełnie innej kobiety. Takiej jak ty.

Delphine zrozumiała, że E J. nie widzi nic złego w ofiarowaniu jej pierścionka przeznaczonego dla innej osoby, bo był dla niego tylko rzeczą. Z tego samego powodu mógł kupić stradivariusa i nigdy nie zastanawiać się, czy naziści, by go zdobyć, zabili człowieka.

Leżeli w łóżku, nie dotykając się. Delphine nie mogła zasnąć. Patrzyła na wiszące na ścianie zdjęcie w ramce ozdobionej słowami: „Nie majak w domu”. Przedstawiało mały, szary budynek na rogu ruchliwej ulicy. W tle, na trawniku sąsiada, stał na pustakach samochód.

Koło drugiej wstała, żeby napić się wody. W ciemnym salonie siedział James i oglądał telewizję. Na jego widok chciała wyjść, ale poprosił, żeby została.

Pod krzesłem Jamesa stało, niczym szereg cynowych żołnierzyków, pięć pustych butelek po piwie. Szóstą trzymał w ręku.

E J. powiedział Delphine, że odkąd pamięta, ojciec popija. Może nie jest alkohikiem, ale niewiele mu brakuje.

- Usiądź - zaproponował James.

Delphine zajęła miejsce na kanapie i spojrzała na ekran telewizora.

- Frasier - rzekł James. - Taki jest tytuł serialu. Akcja toczy się w Seattle. Byłaś tam kiedyś?

- Nie - odparła.

- Ja też nie. Podobno to najlepsze miejsce na świecie na atak serca. Żeby dostać świadectwo ukończenia szkoły średniej, trzeba tam skończyć kurs RKO\*.

- Ach tak.

\* RKO - resuscytacja krążeniowo-oddechowa.

- Seattle albo kasyno. W kasynie są kamery, które wciąż obserwują każdy twój ruch. Jeśli człowiek upadnie, na pewno ktoś to zauważy.

- Aha.

- Wybacz. Takie ratownicze nudy.

- Wcale nie nudy.

- Należałem do pierwszego pokolenia ratowników medycznych. Okazało się, że mnóstwo rzeczy robiliśmy źle. Intubowaliśmy pacjentów z zatrzymaniem akcji serca. Teraz mówią, że to najgorsze, co można zrobić. RKO wyglądało wtedy zupełnie inaczej. O wiele częściej stosowano wentylację. W niektórych przypadkach nawet hiperwentylowaliśmy ludzi. Czasem prześladują mnie myśli o tych wszystkich pacjentach. Wydawało mi się, że ich ratuję, a wcale tak nie było.

- Na pewno widziałeś dużo okropnych rzeczy - powiedziała Delphine. - Czy uczono was, jak sobie z tym radzić?

- Dzisiaj są na etacie psychologowie, z którymi ratownicy mogą porozmawiać. Ale kiedy ja jeździłem karetką, człowiek radził sobie, idąc po zmianie do baru Ground

Round albo wsadzając głowę pod kran.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a na ekranie pojawiła się reklama kleju do protez.

- Mam nadzieję, że w tym roku nie będę jeszcze go potrzebował - zażartował James.

- Słucham?

- Dziś są moje urodziny.

- Och, rzeczywiście, już po północy! - wykrzyknęła Delphine. - Wszystkiego najlepszego.

Machnął niebdale ręką, jakby nie on zaczął ten temat.

- Nienawidzę urodzin - wyznał. - Pięćdziesiąt lat. O Boże. Delphine była wstrząśnięta. James jest tylko o sześć lat młodszy od Henriego.

Butelką z piwem wskazał leżącą na stoliku gazetę.

- Zachowałem ją dla ciebie - powiedział. - W dziale Sztuka jest o nim artykuł. Sprzed paru miesięcy. Dzwonili do nas i prosili o komentarz.

- Musicie być z niego bardzo dumni - powiedziała to, co wszyscy zawsze mówili do niej.

James, wyraźnie skrępowany, skinął głową.

- Masz dzieci?

Delphine zdziwiło jego pytanie, choć taka sytuacja nie była przecież niemożliwa.

- Nie.

- Wszyscy pragniemy, żeby nasze dzieci miały lepiej od nas. Na tym polega amerykański sen. Ale kiedy nas przerastają, jest trudno. To bardzo boli.

Delphine nie wiedziała, co powiedzieć. -EJ. bardzo was kocha - zapewniła.

- Oczywiście, że tak. Ale nie mówiłem o miłości. To nie ona stanowi problem. Po prostu syn nie lubi z nami przebywać.

- Nieprawda!

- Nie widzieliśmy go od roku.

- Jest bardzo zajęty. Ja z nim mieszkam i prawie się nie widzimy.

James skinął głową, ale nie wydawał się przekonany.

- Kiedy starsi synowie byli mali, zawoziliśmy razem puste puszki do punktu skupu. Wtedy jeszcze mieszkaliśmy w Massachusetts. Uwielbiali to. Parę zarobionych groszy dzielili między siebie. Potem Parker skończył osiem lat, zaczął brać w Bostonie lekcje gry na skrzypcach i wystarczyły dwa miesiące, a był już za dobry na puszki. Kiedy ja z Dannym wchodziliśmy do skupu, zostawał w samochodzie.

Delphine ściągnęła brwi.

- Dzieci takie są - powiedziała.

- To był dopiero początek. Wiesz, że kiedy miał dwanaście lat, wystąpił w programie Johnny'ego Carsona? Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Nigdy nie chciał, żebyśmy mu towarzyszyli. Wstydził się nas.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Najgorsze jest to, że chociaż wstydził się swojego pochodzenia, zaczął je

wykorzystywać jako temat do anegdot. Oto chłopiec z biednej rodziny, który odniósł sukces.

- Wiem, że on tak nie myśli. Jeżeli już, to Marcy, jego menedżerka, nalega, by mówił takie rzeczy - przekonywała Delphine.

- Słusznie. Jego menedżerka. Ważni ludzie przyszli i go zabrali. A my im na to pozwoliliśmy. Uważaliśmy, że tak będzie dla niego najlepiej. Kiedy był małym chłopcem, marzyłem, żeby pewnego dnia został kimś. A teraz, gdy tak się stało, tęsknię za dawnymi czasami. Wtedy był tylko uroczym dzieckiem uwielbiającym swojego tatę.

- Wszyscy musimy dorosnąć. - Delphine westchnęła.

- Jasne. Ale pozwól, że o coś cię spytam: jak ktoś, kto nie był nawet w Kalifornii, ma rozmawiać z dzieckiem, które występowało przed cesarzem Japonii?

Dopił piwo i wstał.

- Przepraszam. Nie wiem, dlaczego opowiedziałem ci to wszystko. Nie powinienem był tego robić.

- Nic się nie stało.

- Owszem, stało. Właśnie dlatego nienawidzę urodzin. Człowiek zaczyna się zastanawiać nad swoim życiem. Wiem, że Parker musiał wiele poświęcić, żeby zrealizować swoje marzenia, ale co z nami? Oboje z żoną pochodzimy z miasteczka pod Bostonem, tam mieszkają wszyscy nasi przyjaciele i rodzina Sheili. Zerwaliśmy z dawnym życiem i przenieśliśmy się tutaj, żeby mógł się uczyć w najlepszej szkole, pod kierunkiem nauczyciela, który chciał go przyjąć. Jaw Cleveland? To trochę... no cóż, jakbyś ty tu wylądowała. Delphine się uśmiechnęła.

- Dlaczego nie wróciliście do Massachusetts teraz, kiedy EJ. stąd wyjechał?

- Życie ma swój rytm. Człowiek przywiązuje się do miejsca, nawet jeśli tego nie planował. Młodszy synowie się tutaj wychowali. Mamy stałą pracę. Wypiję jeszcze jedno piwo, zanim pójdę spać - zmienił temat. - A ty masz na coś ochotę?

- Nie, dziękuję. Chyba wrócę do łóżka.

- W porządku. Do zobaczenia rano. I, hej, nie przejmuj się Sheilą. Stara się być opiekuńcza. Na pewno jesteście wspaniałą parą.

W końcu, około czwartej, Delphine udało się zasnąć. Kilka godzin później obudziły ją hałasy na dworze. EJ. powoli otworzył oczy.

- Co, u diabła? - wymamrotał.

Wyjrzeli przez okno, by sprawdzić co się dzieje, zapominając o wczorajszych problemach. Na podjeździe James kręcił się, trzymając na rękach Sheilę, nie dbając, że pewnie waży dwadzieścia kilogramów więcej od niego. Obok stał duży czerwony samochód, który wyglądał, jakby przeniesiono go prosto z amerykańskiego filmu z lat pięćdziesiątych.

EJ. wspominał o awanturach wybuchających między rodzicami, ale wydawali się razem szczęśliwi, wciąż zakochani mimo tylu wspólnie przeżytych lat. Może dlatego



tak często ostro odzywał się do Delphine - w jego świecie słowa nie miały większego znaczenia.

- Jezu - EJ. patrzył na nich przez okno - wygląda zupełnie jak samochód, który tata sprzedał. Opowiadałem ci o nim wczoraj.

Wkrótce dowiedzieli się, że to ten sam. Sheili udało się odszukać forda i kupiła go mężowi na urodziny. EJ. wspominał, że rodzice mają dług na karcie kredytowej. Delphine zastanawiała się, czy stać ich takie prezenty, ale wolała nie pytać.

- Jakie to romantyczne - powiedziała tylko, gdy rozmawiano na ten temat przy śniadaniu.

James pocałował żonę w policzek. Wyglądał młodo i szczęśliwie.

- To najlepszy prezent, jaki w życiu dostałem.

W drodze powrotnej do Nowego Jorku Delphine popełniła błąd i powtórzyła E J. nocną rozmowę z jego ojcem.

- Powinniśmy ich częściej widywać - stwierdziła. - Chyba bardzo za tobą tęsknią.

- Tak powiedział, co? - rzucił drwiąco EJ. - Zabawne, że nie mieli z tym problemu, kiedy kupiłem im dom.

- Uspokój się - prosiła.

Mówiąc to, myślała o swoim ojcu. Między Jamesem a EJ. powstał dystans, z którym obaj się pogodzili. Lecz dopóki żyli, wciąż mieli szansę na pojednanie. Po co ją marnować?

- Moje najwcześniejsze wspomnienie to tata, który dla mnie śpiewa - powiedział P J. - Chciał, żebym grał na gitarze. A potem zobaczył w telewizji program o dzieciach, które nauczyły się grać na skrzypcach metodą Suzuki, i postanowił, że muszę tego spróbować. Okazało się, że bardzo dobrze mi idzie. Od razu potrafiłem naśladować grę. W Stanach powszechnie stosuje się tę metodę, dzieci wszystkiego uczą się na pamięć. Słuchają nagrań i próbują je powtórzyć. Dobry nauczyciel uczy, jak odczytywać muzykę i nuty. Na pierwszej lekcji, na którą poszedłem, polecono nam tylko słuchać muzyki. Na drugiej, po tygodniu, wszystko pamiętałem. Nauczycielka zauważyła, że mam talent. Skierowała mnie na zajęcia w Bostonie, na które rodziców nie było stać. Ale i tak mnie posłali.

- Chcieli dla ciebie tego, co najlepsze - powiedziała Delphine.

- Ćwiczyłem po pięć godzin dziennie - ciągnął. - Odkąd skończyłem osiem lat, nie miałem normalnego życia. Rozumiesz to? Nie potrafiłem już dogadać się z kolegami z sąsiedztwa i cholernie różniłem się od dzieci ze szkoły muzycznej. To byli na ogół synowie i córki Azjatów wykładających w MIT lub słynnych muzyków. A mój tata jeździł w karetce pogotowia. Gdy miałem dwanaście lat, wysłał mnie do szkoły w innym mieście. Przyjechałem do Cleveland uczyć się u George'a Sennetta i od tamtej pory chyba bardziej on był moim ojcem. Kiedy po dwóch latach rodzice wreszcie zdecydowali się tu przeprowadzić, już ich nie potrzebowałem.

Delphine czekała z przejściem przez kontrolę bezpieczeństwa do ostatniej chwili,

jakby w nadziei, że pierścionek jakimś cudem się pojawi. Po wejściu do samolotu szansa na odnalezienie zguby miała przepaść na zawsze.

Ale w końcu nadeszła godzina odlotu i wsiadła.

W samolocie myślała o możliwościach, nad którymi się wcześniej nie zastanawiała. Znów była sama i mogła robić wszystko - przeprowadzić się na zachód i otworzyć paryskie spa albo pojechać do Afryki i pracować jako nauczycielka w jakiejś wiosce. Ale żadnego z tych śmiałych pomysłów nie brała na poważnie pod uwagę. Tak naprawdę rozważała jedynie powrót do Henriego i wyrzucenie z serca minionego roku, jakby się nigdy nie zdarzył. W głębi duszy pragnęła wrócić - do sklepu, do zwykłych codziennych zajęć, do miasta, które kochała, i mężczyzny, który kochał ją. Wciąż miała w torebce złotą ślubną obrączkę. Była tam od chwili wyjazdu z Francji. Gdzieś nad Atlantykiem Delphine odszukała złoty krążek i założyła na palec.

Nigdy nie poprosiła Henriego o rozwód. Początkowo miała zamiar zrobić to od razu. P. J. bardzo nalegał na małżeństwo, ale szybko przestał o nim wspominać, a Delphine była z tego dziwnie zadowolona. Zareczyli się i to im wystarczało. Teraz, wspominając, zastanawiała się, czy już wtedy wiedział, że ich związek nie przetrwa. Gdyby zażądała rozwodu, zatrudnili prawników i podzielili majątek, nie wiadomo, jak zareagowałby Henri na jej telefon z hotelu i wiadomość, że wraca do domu. W jego głosie słychać było ulgę i nie wydawał się zaskoczony. Powiedział, że będzie czekał na nią na lotnisku.

Przed lotniskiem Charles'a de Gaulle'a, przy krawężniku, stał z włączonym silnikiem mercedes Henriego. Delphine zwróciła uwagę, że mąż nie wszedł do budynku, aby pomóc jej nieść bagaż, nie wysiadł też na jej widok z samochodu. Bagażnik otworzył automatycznie, a Delphine włożyła do niego walizkę. Usiadła na miejscu pasażera i wzięła męża za rękę. Nie spojrzał na nią, ale nie cofnął dłoni, a nawet ścisnął mocno jej palce. Ruszyli.

- Schudłeś - zauważyła, a gdy nie odpowiedział, zapytała: - Jak tam w sklepie?

- Tak samo źle jak przedtem. Amerykanie nie przyjeżdżają. Spadła cena dolara, boją się latać i myślą, że Francuzi są w zмовie z Saddamem Husajnem. Gdyby nie oszczędności, pewnie bym zbankrutował.

Zapadło milczenie. Delphine przyszło do głowy, że oboje myślą teraz o tym, skąd te oszczędności pochodzą. Po przyjeździe do domu Henri, nic nie mówiąc, poszedł spać do gościnnego pokoju. Następnego ranka Delphine obudziła się sama, słysząc przez ścianę dzwonek budzika.

Kilka minut później zastała męża w kuchni. Przygotowywał tartines i café au lait.

- Powinniśmy porozmawiać - powiedziała cicho.

- Mam dzisiaj bardzo dużo pracy - odparł.

Właśnie otworzył sklep po powrocie z trzytygodniowego pobytu na wsi.

Rozłożył gazetę i zaczął czytać nagłówki artykułów, zwłaszcza tych dotyczących ostatnich canicule i wielkiej fali upałów, która w sierpniu zabiła w domach trzynaście

tysięcy Francuzów. Od czerwca temperatury dochodziły do ponad trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza, wywołując pożary lasów i katastrofalną dla rolnictwa suszę. Najgorsze jednak było to, że tysiące osób wyjechały na wakacje, zostawiając, jak to bywa we Francji, starych krewnych w domu. W wielu prywatnych domach i zakładach opieki nie było klimatyzacji i ogromna liczba starszych nie przeżyła.

Nazajutrz po powrocie Delphine prezydent Chirac wygłosił orędzie do narodu, przyznając, że śmierci tak wielu ludzi winna jest niewydolność francuskiego systemu opieki zdrowotnej. Wcześniej przebywał na trzytygodniowych wakacjach, podczas których się nie odzywał.

- Jak mogli tak po prostu sobie wyjechać, zostawiając biednych starych krewnych na pastwę losu? - zapytał Henri po wysłuchaniu przemówienia przez radio.

- To okropne - zgodziła się Delphine.

Cieszyła się, że znów wolno jej krytykować Francję, której w minionym roku mogła tylko bronić. Zapewne Henri mówił także o i niej. Ale postąpiła ohydnie - nic więc dziwnego, że mąż pragnął dać jej do zrozumienia, iż o tym nie zapomni.

Przez wiele dni temat upałów nie schodził z pierwszych stron gazet. Kostnice były pełne, więc ciała gromadzono w samochodach dostawczych lub chowano w bezimiennych grobach. Dyrektor generalny służby zdrowia podał się do dymisji, a ludzie domagali się ustąpienia kolejnych osób z rządu.

Pewnego ranka Delphine zauważyła wzmiankę o innym wydarzeniu, mniejszej rangi, którego nikt nie nazwałby katastrofą:

trzystudwudziestopięcioletni dąb w Wersalu, zwany dębem Marii Antoniny, usechł, jak twierdził ogrodnik, z powodu suszy. Delphine zastanawiała się, co się z nim stanie, czy go zakopią, spalą, czy też porąbią i przerobią na nawóz, którym użyżną róże. Może w miejscu, gdzie stał, pojawi się tabliczka, a może zostanie tam po prostu goła, zeszpecona niewielką blizną ziemia, na której z czasem wyrośnie inne drzewo.

W październiku upały skończyły się na dobre, a wraz z nimi całe oburzenie i spekulacje, kto jest winien temu, co się stało, i jaki wniosek powinno wyciągnąć państwo ze zbiorowej moralnej porażki.

Delphine także udało się uniknąć kary. Po trzech tygodniach samotnych nocy Henri wrócił do łóżka i ją przytulił. Następnego dnia rano zapytał: Quelles nouvelles?, a ona z uśmiechem pogłaskała go po policzku.

Życie potoczyło się dalej. Czasem Delphine zastanawiała się, czy Nowy Jork po prostu jej się nie przyśnił.

Od czasu do czasu myślała o pierścionku. Kilka razy śniło jej się, że go znalazła, i budziła się z uczuciem wielkiej ulgi, po czym przypominała sobie, jaka jest prawda. Miała nadzieję, że po prostu upuściła go gdzieś w mieszkaniu i któregoś dnia P. J. znalazł zgubę na dywanie.

Przez pewien czas dostawała od niego e-maile i wiadomości nagrane na sekretarkę, które pozostawiła bez odpowiedzi. Zmieniła adres e-mail, numer komórki, a nawet

numer telefonu w sklepie, ten sam od czasu, gdy w 1972 roku François Dubray zainstalował tam aparat. Henri nigdy nie wspominał o tych zmianach, o VAméricain ani o roku, który spędzili osobno.

Jedenaście miesięcy po powrocie do domu Delphine urodziła ich jedyne dziecko, córkę imieniem Joséphine.

# 1987

James skręcił w Morrissey Boulevard. Włączył radio i poruszył gałką, ale każda stacja nadawała kolędy, a on nie był w odpowiednim nastroju. Wysłuchał kilku liniiek Feliz Navidad, po czym wepchnął do magnetofonu pierwszą z brzegu kasetę. Trafił na Ides of March. Z głośników ryknął Vehicle. Rozpoczynające piosenkę solo na rogu sprawiało, że słuchacz czuł się dziesięć razy potężniejszy, niż był naprawdę.

We wstecznym lusterku spostrzegł radiowóz. Po chwili policjant włączył syrenę. Gdy rozbłysło błękitne światło, Jamesowi zaczęło walić serce. W pobliżu nie było widać innych samochodów.

- Kurwa, kurwa, kurwa - zaklął pod nosem. No to koniec. Wyobraził sobie, jak do Sheili dzwonią policjanci. Jest złodziejem, w dodatku na tyle głupim, by okraść pacjentkę. Nie dość, że popełnił przestępstwo, to jeszcze znów straci pracę.

Zjechał na prawo. Wydawało mu się, że zaraz zwymiotuje, a przecież musiał opuścić szybę i zachowywać się, jakby nic się nie stało. Radiowóz przyspieszył, był coraz bliżej, a potem minął Jamesa i pognał dalej.

Odetchnął. Rozluźnił się.

Mimo wyczerpania był nienaturalnie pobudzony. Miał wrażenie, że ukryty w kieszeni pierścionek żyje. Mógłby przysiąc, iż wyczuwa jego pulsowanie.

Niedawne zdarzenie budziło w nim już tylko wstręt. Jak to się mogło stać? Może powinien odesłać pierścionek w czystej białej kopercie? Ale do kogo ją zaadresować? Jeśli zastawi diament, weźmie pieniądze i nikt się o niczym nie dowie. Jeśli odeśle, mogą trafić na jego ślad.

Gdy dojechał do domu matki, była już prawie ósma. Nacisnął klamkę i z ulgą stwierdził, że drzwi są zamknięte. Zastukał, a potem czekał, nasłuchując kroków.

Mama otworzyła mu ubrana w podomkę.

- Wesołych Świąt! - powiedziała na przywitanie. - Wchodź, bo zmarzniesz. Zdejmij buty. Twój brat już do mnie dzwonił.

- Dziwne. U nich jest chyba piąta rano.

- Pewnie wcześniej wstali.

Ten głupi telefon tak dużo dla matki znaczył, a jednak dupek dzwonił tylko na jej urodziny i w święta Bożego Narodzenia. W drugim pokoju grało radio. James miał ochotę tu zostać, czasami czuł się rozdarty między dawną a obecną rodziną.

- Spóźnię się do domu, do chłopców - powiedział. - Muszę zaraz jechać. Masz ochotę zabrać się ze mną i zobaczyć, jak rozpakowują prezenty?

- Teraz? Och, nie, jestem nieuczestna. Poza tym takie rzeczy powinniście robić we czwórkę.

- No dobrze, jak chcesz - odparł z ulgą.

Wziął ze stolika paczkę owiniętą w folię aluminiową. Ważyła chyba tonę. Pomyślał,

że może Doris Mulcahey zaszła do matki po ich porannej rozmowie. Zaledwie przed dwudziestoma czterema godzinami spotkali się przed jej domem, a Jamesowi wydawało się, że od tamtej pory minęły miesiące.

- Dostałam to od tej Azjatki z przeciwnika - wyjaśniła matka. - Miło z jej strony, prawda?

James odłożył paczkę na stolik.

- Co tam jest? Cegła?

- Chyba keks.

- Ach tak. - Pocałował matkę w policzek i ruszył do drzwi. - Przyjadę za piętnaście dwunasta, żeby zabrać cię do kościoła.

- Przyjedź o wpół do - poprosiła. - Chcę usiąść z przodu.

- Jasne. Wesołych Świąt, mamo.

Stała w drzwiach i przyglądała się, jak James szybkimi ruchami odśnieża schodki i ścieżkę. Miał wrażenie, że krzyż mu pięknie, ale działał na adrenalinie i rytmiczny odgłos szufli go uspokajał. Kiedy znów wsiadł do samochodu, nakazał sobie spokój. Sheila nie może zauważyć, że coś jest nie tak, w końcu dziś ma być jej dzień. Jutro rano pierwsze, co zrobi, to pójdzie zastawić pierścionek, a żonie powie, że wygrał w bilard trochę gotówki. Może radość z dodatkowych pieniędzy będzie większa niż gniew z powodu hazardu.

Gdy wrócił do domu, okazało się, że Connelly już u nich był i odśnieżył podjazd. Parkując, widział w oknie podskakującego syna. Roześmiał się.

Pierścionek, który kupił dla Sheili, leżał w schowku, w czarnym aksamitnym pudełeczku. Wyjął go, tak jak wyobrażał to sobie setki razy. Nagle się zawahał. Przypuśćmy, że mniejszy pierścionek zastawi w lombardzie, a większy i piękniejszy da żonie. W końcu ofiaruje jej coś, na co zasługuje.

Później miał się martwić, że nosząc tak drogi pierścionek, Sheila naraża się na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Ale wtedy wyjął z pudełka obrączkę z płaskim oczkiem i włożył na jej miejsce klejnot należący kiedyś do Evelyn Pearsall.

Zdenerwowany wszedł po schodkach na ganek. Podrapał za uszami psa, który powitał go za drzwiami.

- Wesołych Świąt, stary - rzucił.

Pod dziurą w suficie Sheila ustawiła barierę z krzeseł. James spojrział w górę i zobaczył sedes i umywalkę na piętrze.

- Chryste - westchnął.

W domu pachniało kawą i bułeczkami z cynamonem, a w pokoju dziennym czekała na Jamesa jego rodzina. Sheila siedziała na kanapie w szlafroku i rannych pantoflach. Chłopcy w piżamach leżeli na podłodze pod choinką, potrząsając paczkami i próbując odgadnąć, co w nich jest.

Zona ani słowem nie wspominała o tym, że się spóźnił. Po prostu wstała, przytuliła go i powiedziała:

- Wesołych Świąt. Zaparzę ci kawę. Pewnie jesteś wykończony.  
- Już można, tato? - zapytał Parker, zapominając o składaniu życzeń. - Proszę!  
- Jeszcze chwileczkę. - James poszedł do ściiennej szafy w korytarzu i wyjął z niej kamerę wideo. Ten szpaner, jego szwagier, pojechał ostatnio do Circuit City i kupił za osiemset dolarów kamerę wideo na kasety VHS. James miał tani sprzęt na małe kasety. Nie rozgryzł jeszcze, jak się ogląda nakręcone filmy, ale w jakiś spokojniejszy dzień na pewno to zrobi.

Sheila wróciła z dwoma kubkami świeżo zaparzonej kawy i usiadła obok Jamesa na kanapie. A on poczuł, że nie ma na świecie innego miejsca, w którym chciałby teraz być.

- Zgoda, już! - powiedział.

- Tatusiu, co masz napisane na ręce? - zapytał Parker. James spojrzał na swoją dłoń. „Evelyn Pearsall”. Zapisał, jak się nazywała. Cholernie sprytny z niego złodziej.

- To nazwisko pacjentki. Nie chciałem go zapomnieć - wyjaśnił. - A więc o której godzinie się obudziliście?

- O czwartej - odpowiedzieli jednocześnie Sheila i Parker, ona z rozpaczą, a on z dumą.

James wskazał paczkę, której kształt wydał mu się znajomy.

- Ta wygląda nieźle. Może ją najpierw otworzysz, co Parkerze?

Sheila spojrzała na męża znacząco. Jej zdaniem chłopcy powinni zajrzeć do skarpet, a dopiero potem przejść do robota, ale James uważał, że nie ma co czekać. To pewnie ostatni rok, kiedy syn wierzy w Świętego Mikołaja. Było w tym coś cholernie wyjątkowego. James żałował, że sam nigdy więcej czegoś takiego nie przeżyje.

Parker powoli zaczął rozrywać czerwony papier.

- Co to może być? - Szarpnięcie. - Czy to jest? - Rozdarcie. - Ojejku, mamo, to Wirujący Robot!

Chłopiec tańczył po pokoju, potrząsając pudełkiem nad głową. Danny śmiał się, chociaż nie rozumiał, o co chodzi.

- Wiedziałem! - krzyczał radośnie Parker.

- Ach tak, wiedziałeś? - przekomarzał się z nim James.

- Nie zapomnieliśmy o bateriach? - szepnęła Sheila, trącąc go w ramię.

Parker podbiegł i usiadł u stóp ojca.

- Hej, tato, opowiesz mi jeszcze raz o kinie dla zmotoryzowanych?

Tę historię James po raz pierwszy opowiedział mu w lecie. Przejeżdżali obok starego ekranu stojącego na poboczu drogi w Braintree. Nikomu nie chciało się go zdemontować, chociaż kino zamknięto przed wieloma laty. Parker spytał wtedy: „Co to za duży biały kwadrat?” i James poczuł się, jakby miał tysiąc lat.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - spytał teraz starszego syna.

- Wczoraj przed zaśnięciem opowiadałem tę historię Danny'emu - wyjaśnił chłopiec. - Ale nie pamiętałem, jak twoi kuzyni wydostali się z bagażnika.

James się roześmiał.

- No cóż, ja, wujek Bobby i nasi kuzyni Brian i Jon pojechaliśmy do kina dla zmotoryzowanych. Nie pamiętam, co to był za film, ale wiem, że samochód twojej babci prowadził Jon. Ponieważ w kinie trzeba płacić od osoby, a my nie chcieliśmy wydawać za dużo pieniędzy, kazaliśmy Brianowi i Jonowi schować się w bagażniku. Bobby zatrzaskał klapę i powiedział do mnie: „Jedziemy”, a ja na to: „W porządku, dawaj kluczyki”. A on mówi...

- Mówi, że też ich nie ma! - przerwał mu podekscytowany Parker. - A ty przypomniałeś sobie, że kluczyki trzymał twój kuzyn Jon!

- To prawda - przytaknął James. - Musieliśmy zadzwonić po mechanika, żeby ich wyciągnął. Kosztowało nas to pięćdziesiąt dolarów.

- A Jon płakał w bagażniku - dodał Parker. To była jego ulubiona część opowieści.

- No.

- Ja bym nie wsadził Danny'ego do bagażnika - oznajmił chłopiec z taką powagą, że James zastanowił się, czy przypadkiem nie miał takiego zamiaru.

- Słusznie. Tak się nie robi.

Pół godziny później dzieciaki padły i zasnęły na stercie pomiętego papieru i resztek taśmy klejącej.

- To były wspaniałe święta. - Sheila z uśmiechem nachyliła się do Jamesa, by go pocałować.

- O, tak.

- Nigdy nie zgadniesz, co John Travolta dał mojej siostrze. Dzwoniła przed twoim przyjazdem.

- Co takiego?

- Telefon samochodowy.

- Co? - Nie znał nikogo, kto miałby takie urządzenie. Widywało się je tylko w programach typu Życie bogatych i stawnych. -To głupie.

- Wiem.

- Hej, myślę jednak, że ich przebijemy.

- Co takiego?

- Jest jeszcze jeden prezent.

- Tak? - Sheila spojrzała na podłogę. - Gdzie? Ach, chodzi ci o te miniautomaty z cukierkami? Włożyłam je do skarpet.

- Nie chodzi o cukierki. - Położył rękę na jej dłoni, sięgnął do kieszeni i wyjął pudełeczko. - Tylko o to.

Sheila gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Jamesie McKeen, coś ty zrobił?

Wzięła pudełeczko i otworzyła je ostrożnie, jakby coś mogło z niego wyskoczyć i ją ugryźć.

- Nie stać nas - oznajmiła stanowczo na widok pierścionka.



- Sprzedałem forda coupe - powiedział James.

- Co takiego?

- Sprzedałem samochód taty i kupiłem ci pierścione. I jeszcze zostało mi trochę pieniędzy.

Nie był pewny, czy dodawać tę ostatnią informację. Może Sheila wie, jaką wartość miał samochód i ile kosztuje taka biżuteria? Ale sprawiała wrażenie oszołomionej.

- Przecież nie mogłeś sprzedać samochodu. Kochałeś go. Rozpłakała się.

- Już przepadło - powiedział. -1 co? Podoba ci się?

- Oczywiście, że tak - skinęła głową, ocierając łzy z policzków. - Tylko spójrz. Wygląda jak pierścione gwiazdy filmowej.

- Załóż go - poprosił.

Wsunęła pierścione na palec i oboje zapatrzyli się na niego. Światło lampy wiszącej nad Sheilą odbiło się w brylancie i na przeciwległej ścianie pojawiły się zajęczki. Taki pierścione James powinien dać jej na początku związku, przed czternastu laty.

- Czy wyjdiesz za mnie jeszcze raz? - zapytał.

- Tak, Jamesie, wyjdę - odrzekła Sheila z uśmiechem.

Przez długi czas James zastanawiał się, czy kiedyś zjawi się ktoś i zażąda zwrotu pierścionka. Jednak w końcu, po przeprowadzce, przestał o tym myśleć. Oczywiście dręczyło go straszne poczucie winy, ale tego należało się spodziewać. Musiał z tym żyć.

Dwa lata później, o tej samej porze roku, w święta Bożego Narodzenia, znów zobaczył ceglaną rezydencję. Tym razem w wieczornych wiadomościach. Od razu ją rozpoznał i przypomniał sobie tamten poranek i Maurice'a, który tymczasem awansował na kierownicze stanowisko w Providence.

Okazało się, że Evelyn Pearsall nie zostawiła majątku synowi i synowej, ale dwóm wnuczkom, wysokim jasnowłosym dwudziestoparolatkom, które mieszkały na Zachodnim Wybrzeżu. Co roku każdego lata przyjeżdżały do niej na miesiąc wakacji. Jedna z nich powiedziała, że tak jak babcia obie zostały nauczycielkami. Opisały ją jako najbardziej wielkoduszną kobietę, jaką znały, kogoś, kto zmienił na lepsze życie wielu młodych ludzi.

James poczuł, że po twarzy spływają mu łzy.

Evelyn przeznaczyła w testamencie dużą część swojego majątku na budowę domu kultury dla trudnej młodzieży w Bostonie. Przez resztę życia James, gdy tylko miał trochę dodatkowej gotówki, choćby dziesięć czy piętnaście dolarów, wpłacał datki na Dom Evelyn. Kiedyś Sheila spytała go, dlaczego to robi, a on odparł, że Evelyn Pearsall była jego pacjentką. Wydawała się miłą osobą. Może gdyby znał w dzieciństwie kogoś takiego jak ona, więcej by w życiu osiągnął.

Wiedział, że nie mówi żonie wszystkiego, a jednak było w tym ziarno prawdy.

# 2012

Z każdego kąta domu dobiegały hałasy. W łazience na dole May suszyła włosy suszarką włączoną na cały regulator. Jej dwóch synów biło się na schodach. Dan pod prysznicem śpiewał piosenkę ze starego filmu rysunkowego oglądanego kiedyś w programie Pee-wee's Playhouse, którą wykonywał zawsze, ilekroć ktoś brał ślub. Była przesłodzona, chwytna i potem przez wiele dni nie można się było od niej uwolnić: Wszyscy się szykują! Na wesele! Najwięcej hałasu robiła córka Kate, która darła się już od piętnastu minut. Za półtorej godziny mieli się stawić na miejscu ceremonii, a Ava wybrała tę właśnie chwilę, by dostać najgorszego ataku szału w swoim życiu. Kate winiła za to May, która najpierw nakarmiła małą grzankami Pop-Tarts, a potem, w drodze od fryzjera do domu, kupiła jej w McDonalddie mcnuggetsy z kurczaka i shake truskawkowy.

Teraz córka w samych majtkach w gwiazdki wiła się na podłodze sypialni i nie chciała włożyć sukienki, która czekała rozłożona na łóżku, wraz z pasującymi do niej pantofelkami ustawionymi dokładnie poniżej na dywaniku, przez co całość wyglądała, jakby poprzednia właścicielka stroju właśnie się roztopiła.

- Nie chcę sypać kwiatków! - krzyczała Ava przez łzy.

- Przecież od tygodni nie mogłaś się tego doczekać - mówiła Kate. -1 tak ci ładnie w tej sukience.

- Nie chcę! - wrzasnęła Ava, energicznie szorując głową o dywan. Z fruującymi wokół wyciągniętymi z warkocza pasmami włosów przypominała małą Meduzę.

Chociaż przed urodzeniem Avy Kate trzy razy została ciotką, wiele aspektów macierzyństwa było dla niej wielkim zaskoczeniem. Najtrudniejszą rzeczą okazał się płacz i histeryczne szlochy. Kiedy Ava była niemowlęciem, Kate, próbując ją uspokoić, często sama zaczynała płakać. Bała się, że jeśli dziecko nie zaczerpnie oddechu, udusi się, bała się wielu rzeczy.

Teraz, gdy Ava podrosła, znała różne słowa i potrafiła logicznie myśleć, było łatwiej. Jednak w tej chwili Kate nie wiedziała, co robić. Nigdy dotąd nie widziała córki tak wytrąconej z równowagi.

Łagodzący wpływ whiskey, którą wypiła razem z Tobym, minął, pozostawiając lekki ból głowy. Żałowała, że nie może się zdrzemnąć.

Ava leżała na plecach, kopała matkę i mało brakowało, a toczyłaby pianę z ust.

- Nie będę sypała kwiatków! Nie będę!

Matka Kate przeszła przez korytarz ubrana w kostium w kolorze bakłażana i pantofle na wysokich obcasach. Przyciskała do ucha komórkę. Spojrzała na Kate wzrokiem pełnym najwyższej nagany, zupełnie jakby Ava dostała napadu złości w jej gabinecie podczas zebrania zarządu, a nie we własnym pokoju.

Kate wystawiła język i dziewczynka na chwilę się uspokoiła.

- Mamo, czy właśnie pokazałaś babci język?

- Tak.

Kate wzięła córkę na kolana, nie czekając, aż znów zacznie się awanturować. Przyłożyła chłodne palce do jej czerwonych, gorących od płaczu policzków.

- Kochanie, dlaczego nie chcesz sypać kwiatków?

Wyobrażała sobie, że usłyszy jakieś poważny powód, na przykład: „Mamo, nie podoba mi się, że dziewczynki muszą wkładać falbaniaste różowe sukienki”. Albo: „Stwierdziłam, że jednak nie lubię ślubów”.

Tymczasem Ava pociągnęła noskiem i wyznała smętnie:

- Olivia powiedziała, że to dla małych dzieci.

- Ach tak, rozumiem.

Kate miała ochotę złapać siostrzenicę, zawlec ją na górę i zażądać przeprosin. Jednak nigdy nie zrobiłaby dziecku czegoś takiego, chociaż jej siostra May nie zawahałaby się nawet sekundy. Odetchnęła głęboko i starała się uspokoić.

- Kochanie, Olivia jest po prostu zazdrosna. Myślę, że sama chciałaby sypać kwiatki.

- Naprawdę? - Ava popatrzyła na nią podejrzliwie.

- Postąpisz, jak zechcesz, nie musisz wkładać tej sukienki. Ale wiem, że wujkowi Jeffowi bardzo zależy na tym ślubie i jeśli zrezygnujesz, możesz zranić jego uczucia.

Teraz Ava słuchała jej uważnie. Kate podeszła do komody i wyjęła z niej ulubione ogrodniczki córki z jaskrawozielonego sztruksu. Na lewym kolanie zrobiła się dziura, więc Kate naszyła na nią łatę z materiału w motylki.

- Jeśli chcesz, możesz je włożyć - zaproponowała. - Co ty na to?

Ava pokręciła głową, podeszła do łóżka i podniosła sukienkę.

- Wolę to.

Kate odetchnęła głęboko. Kryzys zażegnany. Oczywiście wciąż pozostawała sprawa obrączki. Była coraz bardziej pewna, że zabrała ją Olivia. Czy siostrzenica próbuje ciotkę ukarać? Czy w ostatniej chwili odłoży zgubę na miejsce? A może już zrobiła z nią coś szalonego, na przykład połknęła albo wyrzuciła w lesie?

Matka Kate wetknęła głowę do pokoju.

- Właśnie rozmawiałam z Carmen i ona mówi, że znajdziemy obrączkę w szkole.

- Kto to jest Carmen?

- Moja medium z Newark - odparła matka, jakby to było oczywiste.

- W jakiej szkole? - spytała Kate.

- Nie wiem. Pewnie Avy.

Jedynymi zajęciami, na które uczęszczała Ava, były spotkania „Mama i ja”, odbywające się rano dwa razy w tygodniu w suterenie budynku Łoży Masońskiej.

- No, skoro Carmen tak twierdzi, już tam leczę powiedzieć im, żeby otworzyli mi salę w sobotę wieczorem.

- Nie kpij sobie, Carmen jest zwykle bardzo dokładna - skarciła ją Mona. - W tym idziesz?

Kate spojrzała na swoje dzinsy i podkoszulek.

- Tak, idę na ślub w dzinsach.
- Cóż, w takim razie lepiej się pośpiesz!
- Będę gotowa w pięć minut.
- Hm.

Matczyne „hm” wyrażało tak wiele. Mówiło: „Naprawdę, będziesz gotowa w pięć minut, i to będzie widać”. Kate pamiętała, jak w dzieciństwie przyglądała się matce, która się malowała - stojąc przed lustrem w łazience lub siedząc w korku w samochodzie, starannie nakładała kolejne warstwy kosmetyków, choć miała całkiem niezłą cerę. Cały zabieg trwał około pół godziny. Kate nie wyobrażała sobie, że codziennie mogłaby poświęcić tyle czasu na tworzenie czegoś, co zmyje osiem godzin później.

Pomogła córce się ubrać i delikatnie uczesała jej loki, które i tak ładniej wyglądały rozpuszczone niż upięte w tę głupią fryzurę. Włosy Avy były teraz sztywne w miejscach, gdzie posklejał je lakier. Kate nie mogła się doczekać, kiedy wykąpie małą i zobaczy, jak cały ten blichtr znika w rurze odpływowej.

- Chcesz włożyć sobie za ucho kwiat magnolii? - zapytała. Ava skinęła głową i Kate wzięła ją za rękę.

- Drzewo za domem rozkwitło. Chodźmy.

Po drodze minęły chłopców, którzy ubrani ciemne garni-turki wciąż bili się na schodach.

- Dawaj! - krzyczał Leo.
- Nie, to moje! - wrzeszczał Max.
- Dupek!
- Kretyn!

- Uważajcie, bo spadniecie ze schodów - ostrzegła ich Kate. Z chłopcami jest tyle problemów. Ma szczęście, że trafiła jej się córka. Może Dan też ich słyszy i wyleczy się z pragnienia posiadania drugiego dziecka.

Olivia w kwiecistej odświeżonej sukience siedziała na tarasie i bawiła się lalkami Barbie. Chociaż nagadała Avie głupstw, Kate było jej żal. Pewnie należało poprosić Jeffa, żeby obie dziewczynki sypały kwiatki. Jest matką, powinna to przewidzieć. Przecież pękłoby jej serce, gdyby to Ava została pominięta.

Usiadła obok siostrzenicy na deskach, a córka poszła w jej ślady.

- Co to jest? - zapytała Ava. Oliwię zdumiała ignorancja kuzynki.
- Lalki Barbie! - prychnęła.

Ava wzięła jedną i pogładziła jej plastikowe włosy.

- Czy dostanę Barbie, gdy będę starsza? - zapytała.
- Możesz pożyczyć je od Olivii, kiedy nas odwiedzi - odparła Kate zamiast: „Dostaniesz cholerną Barbie tylko po moim trupie”.

Zdała sobie sprawę, że problemem jest nie tylko Olivia. Wkrótce Ava pójdzie do

szkoły i zetknie się z różnymi dziećmi, którym rodzice pozwalają robić, mówić i jeść najróżniejsze rzeczy. Czas, gdy Kate może ją chronić, coraz bardziej się kurczył. Momentami żałowała, że nie może włożyć córki z powrotem do macicy i ustrzec przed całym złem tego świata.

Kate bała się ciąży, ale wszystko przebiegało gładko. Po obejrzeniu filmu dokumentalnego na temat korporatyzacji służby zdrowia zdecydowała się na poród domowy pod opieką położnej. W pokoju między telewizorem a kanapą stanął nadmuchiwany, napełniony wodą basen. Jednak Kate nie podobało się uczucie, że brzuch unosi się na wodzie, i przeniosła się na łóżko.

Szesnaście godzin później, tuż po wschodzie słońca, patrząc przez okno sypialni na znajome kamienice i niebieską markizę nad barem po przeciwnej stronie ulicy, Kate wydała na świat Avę. Tak, było to bolesne, ale potem ogarnęła ją radość, co podobno nigdy nie zdarza się przy znieczuleniu zewnątrzoponowym. Położna położyła jej córeczkę na piersiach, a Kate poczuła obezwładniającą wdzięczność. Leżały w tym samym łóżku, w którym Ava została poczęta, i było w tym coś wzniosłego. Kate rozmawiała o swoich przeżyciach z wieloma przyjaciółkami z Brooklynu i wszystkie ją rozumiały. Natomiast siostra i matka uważały, że postradała zmysły.

- Rodzenie w domu bez znieczulenia przypomina pocieranie co wieczór dwóch patyków, żeby zagotować wodę na obiad, podczas gdy w sąsiednim pomieszczeniu stoi kuchenka Viking - stwierdziła May, która trzy razy miała cesarkę.

- Słuchaj, Olivio - powiedziała Kate. - Skoro mowa o pożyczaniu, zastanawiałam się, czy nie pożyczylaś sobie obrączki z kuchennego parapetu. Nic nie szkodzi, jeśli to zrobiłaś. Chciałabym tylko dostać ją z powrotem przed ślubem.

- Nie wzięłam jej! - krzyknęła oburzona dziewczynka, najwyraźniej przesłuchiwana wcześniej przez May, a może także przez Monę.

- W porządku. - Kate uniosła rękę. - Wierzę ci.

W tym momencie brała już pod uwagę tylko jedną możliwość.

- Zaczekajcie, dziewczynki, zaraz wracam.

Weszła do domu i na dnie czerwonej torebki odnalazła wizytówkę jubilera. Była prawie pewna, że nie zostawiła obrączki w sklepie, ale doszła do wniosku, że nie zaszkodzi zadzwonić. Może wszystko okaże się proste i jubiler powie: „Tak, zatrzymałem dla pani tę obrączkę, proszę po nią przyjechać”.

Odebrał, a Kate się przedstawiła.

- Poznaliśmy się kilka dni temu - powiedziała. - Jestem kuzynką Jeffa i Toby'ego.

Żałowała, że poprzednio nie była miłsza, ale jubiler, słysząc jej głos, wydawał się zadowolony.

- Co mogę dla pani zrobić? - zapytał.

- Brakuje jednej obrączki-oznajmiła.

- Nie było jej w pudełeczku?

- Nie. To znaczy brakuje też pudełeczka.

- Przecież wychodząc, zabrała pani oba.

- Tak? No dobrze. W takim razie wygląda na to, że ją zgubiłam.

Jubiler milczał przez chwilę. Kate wyobrażała sobie, że zastanawia się, czy jest złodziejką, czy po prostu wariatką.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział wreszcie. - Czy ślub ma się odbyć dzisiaj?

- Tak.

- Mam nadzieję, że obrączka się znajdzie. Swoją drogą to dziwne. Ten pierścionek już wcześniej ktoś zgubił.

- Jak to?

- No cóż, biżuteria w moim sklepie jest używana. Kupuję ją na wyprzedażach majątków, czasem z prywatnych kolekcji albo na aukcjach policyjnych. Na jednej z takich aukcji nabyłem obrączkę pani kuzyna.

Kate nie miała pojęcia, o czym mężczyzna mówi.

- Proszę się nie martwić - ciągnął. - Nie kupuję niczego, co pochodzi z jakichś okropnych miejsc zbrodni. Pierścionek ktoś zostawił w taksówce i nigdy się po niego nie zgłosił. Z drugiej strony proszę nie wspominać kuzynowi o tym, co mówiłem. To mogłoby zniszczyć magię chwili.

Kate pomyślała, że może pomylił z kimś Jeffa.

- Przecież to pan zrobił te obrączki.

- No właśnie.

Kate pokręciła głową.

- W każdym razie dziękuję. Życzę miłego weekendu. Z tyłu na ganku dziewczynki szeptały między sobą.

- O czym rozmawiacie? - zapytała Kate.

- Chyba wiem, gdzie jest obrączka. - Olivia zniżyła głos. - Tylko nie mów mojej mamie, bo to sekret.

Kate ścisnęło w gardle. Jednak to siostrzenica. Żadnych gwałtownych ruchów, pomyślała, jakby dziewczynka była uzbrojona.

- Gdzie ona jest? - zapytała obojętnym głosem osoby prowadzącej rozmowę tylko z grzeczności.

- Nie wiem.

Kate zacisnęła powieki i policzyła do dziesięciu.

- Proszę - powiedziała.

Czuła, że zaczyna błagać jak pięciolatek.

- Mówiłam prawdę, nie wzięłam jej. - Olivia popatrzyła na swoje lalki.

Kate zastanawia się, co jej pozostało. Zapewne powinna wezwać posiłki. Ale nie zносиła sposobu, w jaki jej siostra karmiła swoje dzieci, gdy się źle zachowywały. Nie mogła na to patrzeć.

Z głębi domu dobiegł łoskot, który wydawał się nie mieć końca, po czym rozległ się płacz Maxa.

W łazience przestała szumieć suszarka. Kate przygotowała się na to, co zaraz nastąpi. Usłyszała, jak otwierają się drzwi, a zaraz potem wrzask May:

- Co się tam dzieje, do cholery?! Leo!

Siostra ruszyła gwałtownie w stronę chłopców. Kate zdenerwowała się, jakby to jej coś groziło. Weszła do domu, a za nią dziewczynki. U podnóża schodów leżeli spleceni ze sobą Leo i Max.

Na górze pojawiła się Mona.

- Co się stało? - zapytała.

- Spadliście? - próbowała dowiedzieć się Kate.

- On mnie zepchnął! - poskarżył się Max.

- Leo! - May brutalnie podniosła syna za koszulę. - Idź do samochodu i zaczekaj tam, aż przyjdzie czas wyjazdu na ślub!

Leo znów zaczął płakać.

- Max ściągnął mnie ze schodów - chlipał. - Zepchnąłem go, więc złapał mnie za nogę i pociągnął za sobą.

- Może mamy się nad tobą litować? - warknęła May. - Też bym cię ściągnęła, gdybyś mnie zepchnął. Dlaczego to zrobiłeś? Jesteś najstarszy, powinieneś dawać rodzeństwu dobry przykład.

Leo przestępował z nogi na nogę. Kate waliło serce. Siostra nie potrafiła załagodzić konfliktu. Zawsze dolewała oliwy do ognia. Chociaż nie była wysoka i, jak Kate, ważyła niespełna pięćdziesiąt kilogramów, dzieci strasznie się jej bały. Nawet Leo, który pewnie za kilka lat przerośnie matkę.

- Chciałem wypróbować mongolską pułapkę na palce, a on mi nie pozwolił.

- Jaką znowu cholerną pułapkę? - zapytała May.

- Pokaż - rozkazał bratu Leo.

- Nie! - burknął Max. Spojrzał słodko na matkę i wyjaśnił tonem niewiniątka: - Tylko ją sobie wyobrażam.

- Kłamca! - wrzasnął Leo, po czym popatrzył na siostrę: - Olivio, wiesz, co to jest mongolska pułapka?

Dziewczynka pokiwała głową z ponurą miną.

- Max prawie złamał mi w niej rano palec.

Pokazała wszystkim palec wskazujący, który wyglądał zupełnie normalnie.

May wzniosła oczy do nieba.

- No dobrze, albo zaraz mi ją oddacie, albo cała trójka przez miesiąc nie będzie oglądała telewizji.

- Nie! - zawołała Olivia i zaczęła płakać. Ava także się przyłączyła dla towarzystwa.

- Siedzę na niej. - Max westchnął.

- No to wstań! - krzyknęła May.

Chłopiec wstał. Na podłodze leżało aksamitne pudełeczko na biżuterię. Kate wręcz rozpierało uczucie ulgi. Rzuciła się w stronę siostrzeńca i porwała pudełeczko, jakby

się bała, że zaraz zniknie.

May z trudem łapała powietrze.

- Maksie Rosen! Doigrałeś się jak jeszcze nigdy w życiu. Josh! Chodź tutaj!

Mona zeszła ze schodów, pstrykając palcami.

- Carmen miała rację! Obrączka była w domu z dziećmi. A więc jakby w szkole.

Teraz to Kate wzniosła oczy do nieba.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że szukaliśmy tej obrączki przez cały dzień? - May przycisnęła rękę do czoła. - Wiesz o tym? Będziesz miał szlaban do czasu, aż pójdziesz na studia. Słyszysz mnie, Max? To była kradzież. Za coś takiego mogliby cię wsadzić do więzienia.

- Chciałem ją potem oddać - powiedział cicho.

- Natychmiast przeproś ciocię.

- Przepraszam.

- W porządku. - Kate wiedziała, że powinna się gniewać, ale tylko kręciło jej się w głowie.

- Masz szczęście, że nie zadzwoniliśmy na policję - dodała May.

Kate westchnęła. Siostra nigdy nie przepuszczała okazji, by rozdmuchać każdą sprawę.

- A swoją drogą, jak to działa? - zapytała Maxa.

Chłopiec zbliżył się ostrożnie i sięgnął po pudełeczko. Podniósł pokrywkę. Obrączka wystawała z niego nieco bardziej niż przedtem.

- Podchodzisz do kogoś i pytasz: „Hej, może włożysz palec w tę obrączkę? - mówił szybko, pewnie świadomy, że May jest bliska wybuchu. - A kiedy to zrobi, TRZASK!

- Zamknął pokrywkę. - Mam twój palec!

Kate się roześmiała, chociaż wiedziała, że nie powinna. Właściwie to bardzo pomysłowe. Postanowiła, że od tej pory będzie nazywała wszystkie obrączki mongolskimi pułapkami na palce.

May odebrała synowi pudełeczko.

- Muszę się napić - powiedziała. - Ciocia Kate i ja pójdziemy teraz na chwilę na taras i proszę, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Jeśli będziecie czegoś chcieli, idźcie do tatusiów.

Chociaż raz Kate zgodziła się z siostrą.

Zabrały ze sobą butelkę wina z lodówki i dwa kieliszki. May opadła na drewniany fotel i położyła aksamitne pudełeczko na małym stoliku. Matka przyszła za nimi i usiadła pośrodku.

- Przynieść ci kieliszek? - zapytała May.

- Nie, jeśli będę chciała, to sama sobie przyniosę.

- Tak mi przykro - powiedziała May. - Chłopaki to naprawdę diabły wcielone. Nawet sobie nie wyobrażasz.

- Nic się nie stało - uspokoiła ją Kate. - Czuję się winna, bo podejrzewałam 01ivię.



- Och, chyba wszyscy ją podejrzewaliśmy.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - podsumowała Kate. - Nie mogę uwierzyć, że Jeff się dzisiaj żeni.

- A ja nie mogę uwierzyć, że weźmie ślub wcześniej niż ty - oznajmiła May. - Dziesięć lat temu byłoby to nie do pomyślenia.

Kate jęknęła.

- Wiesz, teraz małżeństwo wygląda inaczej - powiedziała May. - Nie można go oceniać na takich warunkach.

- Na jakich warunkach?

May wzruszyła ramionami. Znów sięgnęła po aksamitne pudełeczko i otworzyła je.

- Hm. Wzór trochę gejowski, ale kamień naprawdę robi wrażenie.

- Tak? - mruknęła Kate, a May zrobiła minę, która wydała jej się znajoma. Po chwili sobie przypomniała: taką samą miała Olivia, gdy Ava spytała, co to są lalki Barbie.

- Jeff mówił chyba, że każdy z tych brylantów ma ponad jeden karat.

May spojrzała na swój pierścionek.

- Muszę go trochę podrasować. Wiele kobiet w moim sąsiedztwie robi sobie taki prezent na dziesiątą rocznicę ślubu. Do pierwszego diamentu dodają większy, pośrodku, i jeszcze jeden, mniejszy, z drugiej strony.

- Sprytnie - stwierdziła Mona.

- Chciałabym drugi raz wziąć ślub - wyznała May.

- Wszystko urządziłabym inaczej. Ale nie zazdrozczę im pierwszego roku małżeństwa. Jest najtrudniejszy.

- Naprawdę? - zdziwiła się Kate. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby ktoś tak mówił.

- O, tak. Straszna jest świadomość, że właśnie zobowiązałaś się spędzić resztę życia z drugą osobą - wyjaśniła May.

- Ciekawe, czy Jeff i Toby sporządzili intercyzę?

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknęła Mona.

- Mamo, nie bądź taka staroświecka - prychnęła May.

- Teraz wiele par tak robi. To dobre rozwiązanie dla kogoś, kto dużo zarabia i ma zamiar zarabiać jeszcze więcej. Rozwody to trudna sprawa, przecież o tym wiesz.

- Nie mówmy o rozwodzie w dniu ślubu - poprosiła Mona. Kate wzniosła oczy do błękitnego nieba i upiła łyk wina.

Za piętnaście piąta przyjechali całą rodziną do hotelu Pairmount. Jeff i Toby stali w pawilonie przeznaczonym na ceremonie ogrodowe. W pobliżu kręcili się rodzice Jeffa. Gdy reszta rodziny usiadła na swoich miejscach, Kate i Ava podeszły do młodej pary.

Wyglądali przystojnie jak zawsze, gdy tak stali obok siebie ubrani w garnitury i trzymając się za ręce.

- Ava! - zawołali chórem na widok sukienki.

Będą wspianymi rodzicami, pomyślała Kate, a kiedy pojawią się dzieci, może ich

nowy sposób na życie wyda jej się mniej egzotyczny.

- Wyglądasz jak księżniczka - powiedział Jeff do Avy, po czym spojrzał na Kate, szukając oznak dezaprobaty. - Przepraszam, ale taka jest prawda.

Po chwili dziewczynka odwołana przez cioteczną babkę pobiegła przez ogród, by usłyszeć więcej pochwał. Kate uściskała najpierw Toby'ego, a potem Jeffa.

- Jak tam? - zapytała, czując wbrew sobie lekką ekscytację.

- Wspaniale - odparł Toby.

- Kłamie - szepnął Jeff. - Słyszałaś, że jego wredna matka zrezygnowała z przyjazdu? Miała poprowadzić go do ołtarza i teraz nie wiemy, co robić.

- Kochanie! - Toby westchnął i odwrócił się do Kate: - Chcieliśmy, żeby rodzice Jeffa poprowadzili jego, a moja matka mnie. Ale to drobiazg. Pójdę sam. Nawet tak wolę. Oto ja, niezależny człowiek, mam zamiar połączyć się z drugim niezależnym człowiekiem. Tak będzie bardziej dojrzałe.

- Bzdura - prychnęła Kate. - Ja cię poprowadzę.

Obaj wytrzeszczyli na nią oczy.

- Ty? Znana przeciwniczka małżeństwa? - zapytał Jeff, ale się uśmiechnął. - Mam nadzieję, że nie zamierzasz urządzić ucieczki panny młodej sprzed ołtarza.

- Dziękuję. - Toby ścisnął jej rękę.

- To zaszczyt - zapewniła Kate.

- No dobrze, dosyć tych czułości - zarządził Jeff. - Daj mi obrączki, żebym mógł je przekazać pastorowi.

Kate wyjęła pudełeczka z czerwonej torebki. Toby spojrzał na nią zdziwiony, ale nie powiedział ani słowa.

Zaraz potem ustawili się, by podejść do ołtarza. Kate wzięła Toby'ego pod rękę.

- Chwała Bogu, że ją znalazłaś - szepnął. - Czy to Olivia?

- Nie, Max. Uniósł brew.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jeden z synów May ma upodobanie do biżuterii.

- Niezupełnie tak było.

- Och, co tam. Dziękuję, że się zgodziłaś. I za wcześniejszą pomoc. Ratujesz mi życie. Nim zdążyła odpowiedzieć, rozległa się muzyka i ruszyli w stronę ołtarza, poprzedzani przez Avę obsypującą wszystko wokół różowymi płatkami róż.

Przyjęcie, które się później odbyło, było bardziej wytworne niż wszystkie gale na cele dobroczynne, w jakich Kate dotąd brała udział. Na łące otoczonej górami stał piękny namiot z żaglowego płótna o trzech wierzchołkach. Przypominał staroświecki cyrk. Wokół niego rozwieszono sznury maleńkich lampek, a wewnątrz białe japońskie lampiony. Podczas jednej z wielu rozmów Jeff poinformował Kate, że lampiony mają specjalny przełącznik i ich światło można nastrojowo przygaszać lub rozjaśniać.

Kate stała z siostrą, szwagrem i Danem, który trzymał Avę na biodrze. Obok, płynnie jak na wrotkach, przesuwali się kelnerzy w smokingach, oferując szampana, placuszki z mięsa krabowego, pierożki, szaszłyki z kurczaka i chyba sto innych przekąsek.

Zapadał zmrok. Niedaleko od siebie Kate zobaczyła Jeffa. Gdy ich spojrzenia się spotkały, uśmiechnął się do niej.

- Zaraz wracam - powiedziała i cmoknęła Dana w policzek.

Przecisnęła się przez tłum. Dobiegały do niej fragmenty rozmów, które bez kontekstu brzmiały zabawnie: „Dieta bezglutenowa to nowy weganizm, ale moim zdaniem wszystko to tylko po to, by ukryć zaburzenia odżywiania...”, „Nawet Franklin Delano Roosevelt by nie pomógł. To nie Nowy Ład ocalił gospodarkę, tylko wojna. A czasy produkcji na cele wojenne się skończyły. I co teraz?...”, „Została usunięta z puli wczesnych przyjęć i musieliśmy czekać przez dwa miesiące, jak wszystkie inne tępaki...”.

Kate podeszła do kuzyna i się objęli. Potem wyszli przed namiot, żeby się lepiej słyszeć.

- Udało ci się - powiedziała.

- Tak.

Jeffrey wyciągnął lewą rękę, jakby stanowiła jedyny dowód.

- Opowiadałem ci już, jak powstały nasze obrączki? - zapytał.

- Nie.

Zastanawiała się, jak długo rodzina wytrzyma, zanim powie mu, że przez cały dzień szukali jednej z nich. Pewnie wystarczy jeszcze kilka drinków.

- Chcieliśmy kupić dwie męskie obrączki u jubilera w Stockbridge, tego, do którego cię wysłaliśmy. Ale ja zakochałem się w damskim pierścionku. Był niezwykły. Miał dwa duże brylanty tego samego kształtu i wielkości i dużo mniejszych naokoło. Może chodziło o to, by przypominał pszczołę czy coś w tym rodzaju. W każdym razie strasznie spodobał mi się pomysł, żebyśmy się nim podzielili. Jubiler stopił pierścionek, oddzielił brylanty i wprawił w dwie takie same obrączki. Fajnie wyszło, co?

Kate skinęła głową.

- Ten brylant ma pewnie ze sto lat. Wyobrażasz sobie? A wciąż błyszczy. Czasem zastanawiam się, kto go nosił. Rozważaliśmy nawet z Tobym, czy używany pierścionek przynosi pecha. A jeśli para lub pary, które go kupiły, potem się znenawidziły? A jeśli ich małżeństwo było do dupy?

Kate przypomniała się opowieść jubilera o tym, że pierścionek znaleziono w taksówce. Nigdy tego Jeffowi nie powie.

Dzisiaj był dzień jego ślubu i kochała go, więc odparła:

- Myślę, że małżeństwo osoby, która nosiła ten pierścionek, było bardzo udane. A on kryje w sobie ślady dawnych miłości.

- Też tak uważam - odparł i pocałował ją w czoło.

Kate popatrzyła na diament. Przez chwilę zastanawiała się, skąd się wziął, sięgając myślą dużo dalej niż Jeffrey. W którym miejscu wydobyto go z ziemi i kto to zrobił? Ile palców ozdabiał w ciągu minionego stulecia? Większość jego właścicielek pewnie

umarła, a ich miłości przeminęły wraz z nimi. Pomodliła się w myślach, żeby nowożeńcy byli naprawdę szczęśliwi i tak bardzo, jak to tylko możliwe. Wzięła kuzyna za rękę i ruszyli do namiotu. Nad łąką wisiał księżyc w pełni, rozjaśniając mroki nocy.

Od Autorki

W 1995 roku koncern De Beers Consolidated Mines po pięćdziesięciu siedmiu latach współpracy rozwiązał umowę z agencją N.W. Ayer i zlecił organizowanie kampanii reklamowych agencji J. Walter Thompson. Agencja Ayer podjęła nieudaną próbę zastrzeżenia jako znaku handlowego określeń: „4C”, „pierścionek zaręczynowy z diamentem” oraz sloganu „Diamenty są wieczne”. Agencja zakończyła działalność w 2002 roku. Mary Frances Gerety zmarła 11 kwietnia 1999 roku, w wieku osiemdziesięciu trzech lat. Dwa tygodnie przed jej śmiercią tygodnik „Advertising Age” uznał hasło „Diamenty są wieczne” za slogan stulecia. Do dziś używa się go w różnych miejscach na świecie.

Podziękowania

Chciałabym przede wszystkim podziękować dwóm niezwykłym kobietom, z którymi mam szczęście współpracować: mojej redaktorce Jenny Jackson i mojej agentce Brettne Bloom. Obie przeczytały kilka wersji tej książki z wnikliwością i wielkodusznością, o jakiej marzy każdy pisarz. Postanowiłam napisać powieść o nieznanym mi środowiskach - o świecie ratowników medycznych, świecie muzyki poważnej, świecie reklamy w latach czterdziestych i kilku innych. Żeby właściwie je przedstawić, musiałam odbyć dziesiątki rozmów. Jestem niewymownie wdzięczna osobom, które były tak uprzejme, że podzieliły się ze mną opowieściami ze swojego życia oraz doświadczeniem.

Do opisanego związku koncernu De Beers z agencją reklamową N.W. Ayer i Syn zainspirował mnie artykuł Edwarda Jaya Epsteina Czy próbowałeś kiedyś sprzedać diament? opublikowany w 1982 roku w „Atlantic Monthly”.

Na nazwisko Frances Gerety po raz pierwszy natrafiłam w cudownej książce Toma Zoellnera Heartless Stone (Bezlitosny kamień). Tom wspaniałomyślnie podzielił się ze mną swoim czasem i wiedzą, a informacje zawarte w jego książce pozwoliły mi opisać pracę Kate i jej kolegów związaną z kopalniami diamentów w Afryce i Procesem Kimberley.

Przy tworzeniu portretu Frances Gerety pomagało mi wiele osób. Jestem wdzięczna jej byłym współpracownikom, którzy dzielili się ze mną swoimi wspomnieniami na temat Frances oraz agencji. Dziękuję Howardowi i Hanie Davisom, Deanne Dunning, Peterowi Elderowi, Jeffowi Odiorne'owi, Margaret Sanders, Tricii Kenney i Mary Lou Quinlan. A także Tedowi Reganowi i Chetowi Harringtonowi za to, że zaprosili mnie do Klubu Golfowego Merion, abym mogła zobaczyć, gdzie Frances spędzała czas wolny. W miarę możliwości używałam w książce prawdziwych nazwisk pracowników Ayer, za ich zgodą.

Niektóre wypowiedzi Frances pochodzą z wywiadu, który przeprowadził z nią Howard Davis. Jego nagranie i transkrypcja są dostępne w Instytucie Smithsona wraz z innymi oficjalnymi dokumentami dotyczącymi Ayer i De Beers, a także kolorowymi kopiami wszystkich reklam sporządzonych dla koncernu, począwszy od 1938 roku. W Archiwum Dorothy Di-gnam, przechowywanym w Schlesinger Library w Radcliffe Institute for Advance Study, znalazłam wiele fascynujących informacji na temat spraw osobistych i zawodowych Frances Gerety, w tym oryginalne listy pytań zadawanych jej przez mężczyzn, wszystkie listy do domu oraz artykuły, które pisała pod pseudonimem Diamentowa Dot Dignam. Wielu informacji dostarczyła mi też książka Ralph Howera *The History of an Advertising Agency* (Historia agencji reklamowej) oraz film *Celebrating 50 Years of Ayer & De Beers* nakręcony przez Roberta i Deanne Dunningów z okazji uroczystości, która odbyła się w 1988 roku w Londynie.

Phil Trachtman naświetlił mi tło pobytu Frances Gerety w Charles Morris Price School, a Richard DiNatale pomógł dotrzeć do ważnych źródeł, gdy utknęłam w martwym punkcie.

Podczas pracy nad ostateczną wersją powieści otrzymałam cenny dar od Susan Christoffersen, która po wyprowadzce Frances Gerety z Wayne kupiła jej dom. Przez dwa lata poszukiwałam rocznych raportów i memorandumów, które agencja Ayer sporządzała dla De Beers. Szkoda, że wcześniej nie przyszło mi do głowy zajrzeć do garażu Susan! To szczęśliwe odkrycie, dokonane w ostatniej chwili, bardzo wzbogaciło książkę i będę za to ofiarodawczyni dożgonnie wdzięczna. Susan podarowała mi też rodzinne zdjęcia Frances i oprowadziła mnie po jej domu. Leslie Post, wieloletnia sąsiadka Frances, także podzieliła się ze mną wspomnieniami przy herbacie i ciasteczkach.

Mam również dług wdzięczności u znakomitej skrzypaczki Anne Akiko Meyers, która poświęciła dużo swojego cennego czasu, by odpowiedzieć na moje pytania. Jej piękna muzyka była dla mnie podczas pisania źródłem natchnienia.

Pisząc o ratownikach medycznych, korzystałam z pomocy kilku ekspertów. Dziękuję Chrisowi Kerleyowi i wszystkim pracownikom Pro EMS w Cambridge, w stanie Massachusetts, za zaproszenie i wytłumaczenie mi, jak przebiegają szkolenia. Adamowi Shanahanowi i Nickowi Navarrettowi za to, że pozwolili mi towarzyszyć sobie w karetce. Sarze Stankiewicz Pitman, Lindzie Stankiewicz i Justinowi Pitmanowi za wskazanie właściwej drogi i dostarczenie wielu cennych informacji. Szczególnie wdzięczna jestem Willowi Tollefsenowi i Bil-lowi Mergendahlowi, którzy uratowali mnie przede mną samą więcej razy, niż mam ochotę przyznać.

Od Michaela Sullivana, byłego burmistrza Cambridge, Gerry'ego Reardona, szefa miejscowej straży pożarnej, i Roberta Healy'ego, administratora Cambridge, dowiedziałam się o przemianach, jakim miasto podlegało z biegiem lat. Richie Sullivan dostarczył mi dodatkowych szczegółów na temat jednokierunkowych ulic i

kanapek z pieczoną wołowiną w barze U Elsie.

O życiu Francuzek w Paryżu i w Nowym Jorku opowiedzieli mi moja francuska redaktorka Marie Barbier, a także Sandrine Cullinane, Pascale i Ludovic Blachez, Nina Sovich oraz Marie Delecourt, z której bloga Pańs in New York wiele się dowiedziałam. Brad Newfield, przewodnik z firmy Paris Walks, całymi godzinami wędrował ze mną po mieście, pomagając stworzyć tło osobistego życia Delphine - począwszy od dokładnej lokalizacji domu, w którym mieszkała w dzieciństwie na Montmartrze, przez mieszkanie Henriego, aż do Jeu de Paume. Kiedy po powrocie do Nowego Jorku okazało się, że mam więcej pytań, Brad odpowiedział na wszystkie.

Dziękuję Davidowi i Brendzie Troyom za informacje na temat Bostonu, Charliemu McCarthy'emu za lekcje z geografii Quincy oraz Delii Cabe za to, że w moim imieniu odwiedzała Belmont Historical Society.

Maggie Mertens, znakomita researcherka, przyjęła zadanie: „Znajdź materiały na temat kolejnych dekad, począwszy od 1910 roku” i zamiast ratować się ucieczką, wykonała je. Wybrane z gazet artykuły, obejmujące okres stu lat, pomogły mi przy opowieści o życiu każdego z bohaterów.

Z książki Stephanie Coontz Marriage, a History (Historia małżeństwa), dowiedziałam się wiele o tej instytucji i przemianach, jakim podlegała przez stulecia. A wydana w 1970 roku przez PTA broszura: Jak rozpoznać, czy twoje dziecko jest potencjalnym hipisem, i co z tym zrobić, autorstwa Jacqueline Himelstein, była zabawnym uzupełnieniem opowieści o Evelyn.

Dziękuję Kevinowi Johannesenowi, Hilary Black, Jennifer Kurdyli i moim rodzicom, Joyce i Eugene'owi Sullivanom, którzy na wczesnym etapie pisania, bardziej lub mniej, poprawili tę książkę.

Jestem wdzięczna Kathryn Beaumont Murphy i Ike'owi Williamsowi za wszystkie rady, Danie Murphy za pomoc w zbieraniu materiałów, Danny'emu Barorowi i Heather Baror-Shapiro za wprowadzenie Zaręczyn do wielu krajów świata, Josie Preedman z ICM za opiekę nad prawami filmowymi oraz wszystkim pracownikom Knopf and Vintage, a zwłaszcza Abby Weintraub, Sarze Eagle, Kate Rundę, Alex Houstoun, Jennie Meulemans, Marii Massey i Andrei Robinson.

Na koniec dziękuję mojemu towarzyszowi, Landonowi Sullivanowi Johannesenowi, który każdego dnia zwijał się w kłębek pod moim biurkiem i nigdy nie protestował, gdy odczytywałam głośno pierwsze nieudane wersje.

- [1] W języku angielskim slogan brzmi: *A Diamond Is Forever*. „Forever” to przysłówek. W dosłownym przekładzie slogan brzmiałby więc: *Diament jest wiecznie*. (przyp. tłum.)
- [2] Brylant – nazwa diamentu o szlifie brylantowym. W języku potocznym niekiedy określa się tym mianem wszystkie oszlifowane diamenty. (przyp. tłum.)

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz